

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



PIOTR KUNCEWICZ

GOJ PATRZY NA ŻYDA

**dzieje braterstwa i nienawiści
od Abrahama po współczesność**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Słowo od Wydawcy

GOJ PATRZY NA ŻYDA... pióra Piotra Kuncewicza to książka, na jaką zapewne od lat czekało wielu Czytelników. Podejmuje w niej Autor problematykę, w której na ogół czujemy się mniej kompetentni, niż chcielibyśmy i niż to wypada. Niekiedy niekompetencja ta uwiera lub deprymuje. Niekiedy prowadzi do nieuprawnionych sądów i uproszczonej wizji świata, błędnych przekonań i zawstydzających postaw. Piotr Kuncewicz trafnie odczytał i zrozumiał charakter i ciężar gatunkowy tej niekompetencji, zapewne także dlatego, że – jak sam wyznaje – bywała ona również jego udziałem. I zdecydował się ją przewyciężyć, czego świadectwem, a zarazem owocem jest prezentowana właśnie książka.

Ta osobista motywacja w połączeniu z temperamentem pisarskim Autora, jego dociekliwością i rozległymi zainteresowaniami humanistycznymi sprawiły, że otrzymaliśmy szeroko zakrojony esej literacki o dziejach narodu żydowskiego i zmiennych relacjach Żydów z nieżydowskim otoczeniem od czasów, kiedy patriarcha Abraham wraz z rodziną wyruszał z miasta Ur w Mezopotamii ku swemu przeznaczeniu, aż po koniec XX wieku n.e.

Jak opisać tę czasoprzestrzeń mierzoną tysiącami lat i epokami cywilizacyjnymi, setkami pokoleń, narodzinami, rozkwitem i upadkami państw i państwerek, mocarstw i imperiów, wielkimi karierami i klęskami narodów i całych kultur, aby dla dzisiejszego Czytelnika okazała się przejrzysta, interesująca i tak ważna, jak jest nią naprawdę. Chodzi przecież o dzieje narodu, który ma najstarszą zapisaną przeszłość ze wszystkich narodów Zachodu, chodzi o wiele istotnych wątków historii politycznej i duchowej narodów zaliczanych do Świata Zachodniego i w końcu chodzi także o nas, Polaków. A jest to czasoprzestrzeń nie tylko niewyobrażalnie rozległa, lecz także gęsta od zdarzeń i idei, wzlotów i upadków człowieka, od sprzecznych aspiracji i dążeń, wielowiekowych waśni, bezwzględnej rywalizacji i uświęconej wrogości ludzi, ras i narodów, choć przecież powiązanych ze sobą rozlicznymi splotami pokrewieństwa i zależności jak wielopiętrowe lasy tropikalne. Chyba wszystkich pisarzy nęca tak bardzo powikłane losy człowiecze, ale tylko niektórzy z nimi sobie radzą.

Sprawą kluczową nowej książki Piotra Kuncewicza jest oczywiście jego rozległa wiedza i intelektualne zadomowienie w śródziemnomorskim i bliskowschodnim antyku z jego religiami i świętymi księgami, filozofią, literaturą i sztuką, czego próbkę dał nam już wiele lat temu w DĘBACH KAPITOLIŃSKICH (1970) i ANTYKU ZMĘCZONEJ EUROPY (1982). Równie ważny jest taki rodzaj wiedzy o wiekach średnich i czasach nowożytnych, który umożliwia zarówno docenienie ich niewątpliwego dorobku w wielu dziedzinach, jak i w eskalowaniu ludzkiego okrucieństwa, motywowanego interesami plemiennymi lub dynastycznymi, względami politycznymi lub religijnymi, ideologicznymi lub społecznymi.

Piotr Kuncewicz porusza się w tej gęstwinie wieków i zdarzeń, ludzi i bogów, świadectw historii i wielkiej spuścizny piśmienniczej ze znanostwem i swobodą, jakie daje długotrwała z nimi zażyłość. Porusza się przy tym z wdziękiem, na jaki pozwala eseistyczna formuła konstrukcyjna i stylistyka dzieła, uwalniająca od dominacji chronologii tak charakterystycznej dla popularnonaukowych ujęć problemów, rutynowych opisów i bojaźliwych interpretacji, a jednocześnie zachęcająca do zintensyfikowania pisarskiej dbałości o celność słowa i barwę języka, humor i żartobliwe skojarzenia, gdy uzasadnia to sytuacja lub sens zdarzeń.

Autor obficie korzysta z dobrodziejstw poetyki eseju zarówno dla samej urody tekstu, jak i dla swobodniejszego docierania do sedna spraw, prawd zakrytych lub skrywanych, niezależnie od tego, czy chodzi o czasy legendarne, historyczne, odległe czy całkiem współczesne, rozgrywające się gdzieś na obrzeżach Bliskiego Wschodu, w Ziemi Obiecanej, w Europie Zachodniej, Południowej, Wschodniej, Środkowej czy w samej Polsce. Punktem wyjścia jest oczywiście STARY TESTAMENT i BIBLIA HEBRAJSKA, a punktem dojścia konkluzja, że bez znajomości historii Żydów nie da się zrozumieć historii Zachodniego Świata, tak samo jak bez wiedzy o kulturach klasycznych. Właśnie te walory literackie i myślowa swoboda zdecydowanie odróżniają książkę GOJ PATRZY NA ŻYDA. DZIEJE BRATERSTWA I NIENAWIŚCI. OD ABRAHAMA – PO WSPÓŁCZESNOŚĆ od szeregu wartościowych publikacji popularnonaukowych o historii narodu żydowskiego, jakie ostatnio przełożono na język polski.

Na marginesie zasadniczego tematu Autor podejmuje również pewne zagadnienia historiozoficzne, poznawczojęzykowe, a nawet teologiczne, jak na przykład sposób istnienia Boga, co wzbogaca książkę o wyraźnie odczuwane kwantum uniwersalności. Nie wszyscy zapewne zgodzą się ze wszystkimi opiniami i konkluzjami Piotra Kuncewicza, choć nie ma wątpliwości, że każda jest rezultatem głębokich przemyśleń i za każdą stoją racje godne uwagi. Przykładem może być zaproponowana opinia o wyborze dokonanym przez Janusza Korczaka dla siebie i „swoich” dzieci z warszawskiego getta w obliczu Zagłady lub niektóre interpretacje PISMA.

Jak dalecy jesteśmy od zadowalającej znajomości dziejów judaizmu i dziejów narodu żydowskiego, wymownie świadczy silnie odczuwany, zwłaszcza przez autorów i wydawców, brak w języku polskim, podobnie zresztą jak w tzw. językach światowych, naukowo skodyfikowanych zasad transliteracji nazewnictwa żydowskiego, od pisowni niektórych imion i nazwisk poczynając, niektórych nazw geograficznych, terminów obrzędowych i obyczajowych, aż po część pojęć i terminów z zakresu teologii i liturgii. W znacznej mierze jest to rezultat szczególnie skomplikowanych losów narodu żydowskiego, którego doświadczenia historyczne, życie duchowe i wielką część dorobku literackiego zapisano w kilku językach starożytnych o odmiennych alfabetach i w kilkunastu językach nowożytnych.

Kolejne przybliżenia do najtrafniejszych form zapisu terminologii żydowskiej pojawiają się u nas co kilka lat w ważniejszych publikacjach, jak np. w SŁOWNIK WIEDZY BIBLIJNEJ, w ŻYDACH Andrzeja Żbikowskiego czy w oddawanej właśnie do rąk Czytelników książce Piotra Kuncewicza, ale mimo to – jak można sądzić – znajdujemy się dopiero w drodze do zadowalającego stanu. Warto zatem nad tym pracować, jeżeli nie chcemy nadal doświadczać niedogodności syndromu wieży Babel, bo to jednak w pewnym zakresie przeszkadza w uczynieniu z dziejów judaizmu i narodu żydowskiego immanentnego i szeroko poznawanego wątku historii powszechnej. W naszym kraju kolejnym poważnym krokiem na tej drodze zapewne stanie się POLSKI SŁOWNIK JUDAISTYCZNY opracowywany obecnie przez Zofię Borzymińską i Rafała Żebrowskiego w tak kompetentnej placówce naukowo-badawczej, jaką jest Żydowski Instytut Historyczny w Warszawie.

Osoby, które wcześniej zapoznały się z treścią i przesłaniem tej książki, zaproponowały opatrzenie jej hasłem „Dzieje narodu żydowskiego dla antysemitów”. Jednak bardziej uprawnione wydaje się przekonanie, że Kuncewicz nie pisał jej przeciwko komukolwiek, a więc nie pisał jej także przeciw antysemitom, lecz przeciwko niewiedzy i wywodzącej się z niej głupocie. I zapewne jak każdy pisarz myślał o takich Czytelnikach, którzy zechcą zaznajomić się z rezultatami jego przemyśleń lub o nie się wzbogacić. Przy tym dyskretnie, ale przekonująco

przywołuje przykłady polskiej tradycji otwartego stosunku do Żydów, co od wielu lat tak wytrwale i w sposób tak powszechnie widomy przypomina Polakom i światu papież Karol Wojtyła.

Dzięki wymienionym zaletom, a nie jest to lista kompletna, książka GOJ PATRZY NA ŻYDA. DZIEJE BRATERSTWA I NIENAWIŚCI – OD ABRAHAMA PO WSPÓŁCZESNOŚĆ (jaki goj! jak patrzy!! i co postrzega!!!) jawi się jako praca literacka zjednująca sobie Czytelnika stylem i tonem proponowanego dialogu, treściowo i czytelniczo atrakcyjna, poznawczo i myślowo bogata, oczekiwana, a być może i niezbędna.

Dziękujemy, Piotrze, że opublikowanie tej książki powierzyłeś naszemu Wydawnictwu. Dotyczy ona tak rozległego i wrażliwego kompleksu spraw i problemów, że zapewne wywoła spory i polemiki. Bardzo na nie wspólnie z Tobą liczymy, zwłaszcza że w książce tej znajdujemy tak bliskie nam wszystkim zaproszenie do aktywnego polsko-żydowskiego dialogu, którego potrzebę tak wielu sobie uświadamia.

Warszawa, kwiecień 2000 r.

Prolog na wysokościach

Na początku wszyscy byliśmy Żydami. Ojciec naszych ojców Adam – co znaczy CZŁOWIEK – rozmawiał z Panem po hebrajsku, a język ten był wcześniejszy niż sam człowiek, i z Panem mówiły także jego głoski: i *alef*, i *bet*, i *gimel*, i *waw*, aż po *taw*, jak święte księgi SEFER JECIRAH i ZOHAR świadczą, MISZNA zaś dodaje, że Adam był jednym z tych ośmiu, którzy narodzili się już obrzezani, ale był nim także ostatni wspólny praojciec Noe, więc nasz początek jest wspólny i jednaki. A później człowiek czynił sobie ziemię poddaną i na wschód, i na zachód od Edenu, mówił odmienionymi na wieży Babel językami, zapominał o Przymierzu, mieszał czyste z nieczystym, gromadził skarby ziemi, stawał się gojem. Tylko synowie Sema nie ustawali w niekończącej się wędrówce, idąc aż poza nieustanne horyzonty za głosem Pana. W snach widzieli słup ognisty, więc budzili się i szli przez nieskończoną pustynię. A goje dziwili się i mówili przechodzącym: Zatrzymajcie się i zamieszkajcie z nami, i bądźcie jako my, a inni krzyczeli: Idźcie precz, przekłęci, i nie wracajcie. I tak szli między pokusą a złorzeczeniem, zaproszeniem a odrzuceniem, sympatią a wrogością.

Tak mówi religia.

A nauka powiada inaczej. Przyznaje, że dziedzictwo jest wspólne, ale nie jest ono wcale żydowskie czy jakiegokolwiek inne dające się nazwać. Stąd błądzi też ksiądz Dembołęcki, który w wieku XVII dociekł, że Adam z Bogiem rozmawiał po polsku i bigos jadał, i od Boga pierwszą krzywą karabelę otrzymał, by się zmagać z niewiernymi i strzec szlacheckiego honoru. I podobnie błądzą Dembołęccy wszystkich narodów, bo bezimienny jeszcze człowiek wyłonił się z puszczy i sawanny i wędrował, i tworzył, i niszczył, i zarówno wędrowanie, jak i żywot osiadły miał we krwi. A naród żydowski wyłonił się dopiero wtedy, gdy człowiek rozeznawał już gwiazdy nad głową i kreślił znaki na skale i glinie, i doszedł do wyobrażenia o Panu, Jedynym i Wiekuistym, i trudził się bardzo, aby temu wyobrażeniu dać słowo i postać.

Być Żydem znaczyło zarazem naród i powołanie i nie ustało to do dzisiaj, ale też nie narodziło się od razu, lecz formowało przez wieki i tysiąclecia. A co się uformowało, było i jest ważne dla wszystkich ludzi, choćby nazywali się *goim*. Ale owi *goim* nie zawsze chcą o tym wiedzieć.

Polska jest klasycznym przykładem niezrozumienia, zresztą wzajemnego, i nawarstwiających się przez stulecia nieporozumień. Żydzi wprawdzie byli od stuleci nieustannie obecni w polskim życiu społecznym, ale wewnętrzne racje ich istnienia były zupełnie nieznanne. Widziało się tylko stronę zewnętrzną, ale co by ona znaczyła – dojść było niełatwo. Polska jest krajem katolickim, to zaś oznaczało prawie zupełną nieznajomość PISMA ŚWIĘTEGO. Jeszcze sprawy nowotestamentowe obecne w roku liturgicznym w niedzielnych urywkach EWANGELII były jako tako znane, ale prawdziwe oblicze „Starego Zakonu” pozostawało zakryte. Widziano, co i jak Żyd jadał, jak się ubierał, a robił to dziwnie. Modlitw żydowskich nie rozumiano, bo były przecież hebrajskie, a żydowski język codzienny, jidysz też był obcy. Wiedzano, że Żyd przestrzega wielu ograniczeń, niekiedy bardzo zawyłych. Nie bardzo było jasne, dlaczego tak robi, a jeśli nawet wiedzano, to zupełnie nie rozumiano ducha tych ograniczeń. A nawet jeśli i to rozumiano, to pozostawało jedynie poczucie obcości.

Źle, kiedy Żyd był bogaty. Jego majątek kłuł w oczy, uważano, że się wynosi, że drwi, mówiąc: *wasze ulice, nasze kamienice*, musiał też, naturalnie, mieć w pogardzie i nienawiści

„prawdziwych” gospodarzy kraju. Jeszcze gorzej, kiedy Żyd był biedny – gnieździł się w strasznych, stłoczonych przybudówkach, woniał cebulą, śledziem, był natarczywy, rudny, chciwy. Jeśli w ogóle myślał, to o tym, jakby tu goja obedrzeć ze skóry. Za bliźniego jedynie innego Żyda uznawał, więc jak sam mógł być bliźnim „zwyczajnego” człowieka?

Obie religie zgodnie wymuszały separację małżeńską, a żydowska jeszcze dodatkowo od wspólnego stołu. W oczach chrześcijanina Żydzi stanowili społeczność zamkniętą, bardzo solidarną, na dodatek już z założenia gorszą ze względów religijnych. Przecież ciążyła na nich wina za śmierć Jezusa. Nie wniano w absurd takiej odpowiedzialności zbiorowej, skoro uznawano coś wspólnego dla wszystkich, a mianowicie grzech pierworodny, czyli odpowiedzialność wszystkich potomnych za grzech pramatki. A kiedy zaakceptuje się samą możliwość jakiegokolwiek odpowiedzialności zbiorowej, to nic już nie zdaje się niedorzeczne. *Naród wybrany* nie był już naprawdę wybrany, gdyż prawdziwe sentymenty Boga dotyczyły teraz *prawdziwego Izraela*, którym stali się chrześcijanie. To określenie jest zresztą bardziej protestanckie niż katolickie. Ale samo istnienie Żydów było pomyłką: Mesjasz przecież już wyszedł, Żydzi go nie rozpoznali i teraz czekają na próżno. Żydów więc już w ogóle być nie powinno – także, naturalnie, dla ich własnego dobra. Cóż ich mogło usprawiedliwiać jak nie diabelskie zamroczenie, infernalna zaćma czy też może z gruntu zła wola? Należało więc podejrzewać jakiś układ z diabłem, jakieś tajemne świadczenia na rzecz Belzebuba. Najpewniej tak jak przelali krew Chrystusową, tak teraz tajemnie łakną krwi chrześcijańskiej, najlepiej niewinnej, więc dziecięcej. Diabła można także ucieszyć najładniej, bezczeszcząc hostię, i tu aktywność żydowska była szczególnie złowroga. Jeśli do tego dodamy okolicznościowe zatrucie studni, szerzenie trądu i zarazy, to trzeba przyznać, że czujność wobec Żyda nie wadziła nigdy.

Żyd był odmienny fizycznie. Nie tyle o rysy twarzy chodziło. Podobno podczas badań Żydów wywodzących się z Europy Wschodniej stwierdzono u nich więcej cech słowiańskich niż semickich, zatem to raczej specyficzny strój tę inność stwarzał. Ale nie tylko. Powszechnie znany obyczaj obrzezania sprawiał, że Żyda rzeczywiście można było odróżnić po znamionach cielesnych, choć jeśli pominąć kąpiących się wspólnie przecież w rzekach, gliniankach i w stawach chłopców polskich i żydowskich – na wielką skalę „rozpoznawali” tak Żydów w wątpliwych przypadkach hitlerowcy, co zastępowało im przewód sądowy i oznaczało nieuchronny wyrok. Ale odmienność mężczyzn rodziła inne domysły: jak też wyglądają te sprawy u Żydówek? Snuli je głównie młodzi chłopcy, którzy jeszcze żadnej nagiej kobiety żydowskiej czy nieżydowskiej nie widzieli, chyba że była to własna siostra. Gdybym jednak pisał tę książkę dla umysłowych prowincjuszy sprzed lat pięćdziesięciu, to musiałbym chyba zamieścić w niej fotografię nagiej Żydówki jako jedyny dowód na to, że wszystkie córy Ewy są zbudowane tak samo. Domysłów i domniemań, niby to żartobliwych, bywało w tej nieprzyzwoitej sprawie co niemiara.

To już się zatarło w pamięci, ale Niemcy przecież wszem i wobec dowodzili, że Żyd nie jest istotą ludzką. Mieli to przecież wielorako wywiedzione naukowo. Choćby przez Hannsa Horbigera w jego *Welteislehre* – nauce o lodzie światowym. Otóż wedle niego Ziemia miała już kilka kolejnych księżyców, które stopniowo zbliżały się do niej, by po dotarciu do granicy Roche’a rozsypać się w gruzy spadające lawiną na Ziemię i niszczące dotychczasowe formy biologiczne. Kiedy księżyc był jeszcze na niebie – dowodził Horbiger – ciężenie było niewielkie i życie rozkwitało ku górze, ku gwiazdom. A odmiennie, gdy musiało po katastrofie, przy znacznie większym ciężeniu, odradzać się z mozołem. Powstawały wówczas inne jego formy budzące instynktowną odrazę niedobitków niebiańskich: pająki, szczury, węże i „istoty człekopodobne” – Żydzi. Tak więc ludzie, czyli Aryjczycy, i Żydzi to naturalnie dwa zupełnie odmienne gatunki biologiczne.

Zamiast dowodzić, że Żyd jednak jest człowiekiem, warto by pytać, czy jest nim głupiec, a odpowiedź byłaby jeszcze trudniejsza. Ależ tak, jest nim, niestety, także. Takim głupcem w

pewnej mierze i ja byłem, a usiłowałem temu zaradzić, po prostu ucząc się. Historia Żydów, najstarszego narodu Zachodu, stanowi przedmiot zaskakujący dla goja swą wielkością, różnorodnością, ogromem dokumentacji, paradoksalnością i tym także, że jest to historia doprawdy nas wszystkich. A ponieważ jestem gojem, musiałem się dziwić, zdumiewać i pewnie równie często mylić się i błędzić. Nie jestem Żydem, w tym moja słabość, ale także moja siła.

Bez znajomości dziejów Żydów nie da się zrozumieć historii Zachodniego Świata, tak samo jak bez wiedzy o kulturach klasycznych. Co więcej, bez sympatii do Żydów nie da się także polubić jednoczącej się Europy, jako że to oni za sprawą swej ruchliwości naprawdę byli pierwszymi Europejczykami w dzisiejszym znaczeniu tego słowa. A w ogóle pogarda – siostra ignorancji – nie jest dobrą doradczynią w czymkolwiek.

Książka ta jest rezultatem próby zrozumienia problemu, nie wiem, czy udanej. Jest też owocem dużej, ale z pewnością za małej pracy. Mój przyjaciel, ocalony z getta Bogdan Wojdowski, zanim dopadła go śmierć, od której przez lata nie mógł się wyzwolić, mówił mi, że historia Żydów to moloch, bo przez tysiące lat nagromadziło się tyle źródeł, dokumentów i komentarzy, że przerasta to siły każdego człowieka, a nie tylko goja, który dodatkowo musi nauczyć się podstaw znanych wszystkim Żydom. Próbowałem temu sprostać.

Abraham – ojciec ojców

Cztery mniej więcej tysiące lat temu Abraham opuścił rodzinne Ur, udając się wzdłuż Eufratu na północ. Nie nazywał się wtedy jeszcze Abrahamem, lecz Abramem, i to chyba nie on podejmował decyzje, skoro żył jeszcze jego ojciec Terach. Mezopotamia nie była jeszcze pełną piasku pustynią, dokoła ciągnęły się zielone pola pszenicy i jęczmienia, przegrodzone laskami palmowymi, poprzecinane kanałami obrzeżonymi trzcina i sitowiem. Lasy zajmowały większe przestrzenie między miastami, a wioski tuliły się w sadach. Abram na osie jechał na czele długiego pochodu, na który składali się domownicy, służba, niewolnicy, dzieci, starcy i zbrojni. Wieziono domowych bogów, a szczególną czcią otaczano bóstwo księżyca, jak o tym świadczą imiona rodziny Abrahama, boginię Aszerę, która potem miała się zwać Asztartą i Anat, a była czczona w gajach. Bogów i bogiń było zresztą bardzo wiele, ich nazwy zmieniały się w różnych mijanych przez rodzinę Abrahama miastach, otoczonych wysokimi murami z ubitej gliny, a był to zapewne Babilon i Mari, i jeszcze inne, dziś zapomniane.

Ojca żydowskiego narodu poznajemy więc w trakcie wędrówki, co, jak się zdaje, ma wymowę symboliczną. Domyślamy się przy tym, że w rodzinnym Ur zostawił część rodziny albo przynajmniej zaufanego agenta, o ile rzeczywiście, jak można podejrzewać, zajmował się handlem. Ale najpewniej zajmował się wszystkim, a szczególnie wypasem bydła i owiec, chociaż w grę wchodziło również rzemiosło, a także, jeśli się dało, łupieskie napady. Rzecz u koczowników zwyczajna, a wówczas koczownikami byli właściwie wszyscy. Co prawda, często z musu, jeśli ich gliniane miasto upadło lub, co właśnie zdaje się dotyczyć rodziny Abrahama, zdarzyły się w nim jakieś trudne dziś do określenia niepokoje. Kraina Między Rzekami była tak urodzajna i bogata, że musiała przyciągać wielu przybyszów, nie zawsze nastawionych pokojowo, nie zawsze niewinnych. Jak to do dzisiaj się powtarza, ziemię trzeba było zdobywać siłą. Takim przyciągającym różne plemiona magnesem był w późniejszych wiekach Rzym i Afryka Północna, później Wyspy Brytyjskie i Hiszpania, i cała Europa, a wreszcie Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Zresztą, przejściowo, prawie wszystkie bogatsze kraje. Zawsze jest jakaś Ziemia Obiecana, zawsze jest jakieś centrum świata.

W czasach Abrahama nizina Mezopotamii tętniła życiem. Gleba nie uległa jeszcze zasoleniu, dzikie zwierzęta nie były jeszcze tak jak dziś wytrzebione. Utrapieniem rolników były dziki i gizele, dzikie osły i nie mniej dzikie wielbłądy, jeszcze nieudomowione. Polowały na nie lwy i mniejsze koty. Ludzie żywili się raczej plackami pszennymi i jęczmiennymi, do których uprawiano cebulę i pory, czosnek i sałatę, rzodkwo, ogórki i cykorię, na pewno były jakieś dynie i znana z BIBLIJ soczewica, były jabłka, gieranaty, figi i oczywiście winogrona. Obie wielkie rzeki, Tygrys i Eufrat, które w różnych czasach różnie się nazywały, nie łączyły się jeszcze ze sobą w jeden Szatt el Arab, ale osobno wpadały do Zatoki Perskiej, chociaż o Persach naturalnie nikt nawet jeszcze nie słyszał. Morza określano kolorami: na północy było Czarne, na południu – Czerwone. W ten sposób, sami o tym nie wiedząc, do dziś za centrum świata uważamy okolice Azji Mniejszej. Zatoka Perska wcinała się znacznie dalej w głąb lądu, tak że miasto Ur leżało kiedyś nad morzem, ale chyba wcześniej, nie w czasach Abrahama. Za to cały kraj miał już w nazwie dwie rzeki, co sam Abraham wymawiał pewnie jako Birit Narati albo Aram Naharaim, albo może Paddan-Aram, a trafiwszy później do Egiptu, mówił krótko po egipsku: Naharia.

Ile właściwie ludów przewaliło się przez te ziemie, dokładnie nie wiadomo. Świat był w tamtych czasach tak samo stary jak dzisiaj, a sprawiał wrażenie jeszcze starszego, bo zmieniał się wolniej. Tło cywilizacyjne Mezopotamii stanowili Sumerowie, którzy przybyli nie wiadomo skąd w szóstym tysiącleciu przed naszą erą. Znaczy to, że do czasów Abrahama minęło cztery tysiące lat, czyli tyle samo co od niego do nas. Abraham właśnie należał do tych, którzy rozpoczęli zrazu nieśmiało przyspieszenie biegu dziejów. Ale sam był nieodrodnym synem swoich czasów. A Sumerowie nie byli bynajmniej pierwszymi, ale przynajmniej wiemy, jak się nazywali. Inne ludy żyły tutaj przez dziesiątki tysięcy lat. Sumerowie na fundamentach założonych przez swoich poprzedników stworzyli cywilizację władającą pismem, ze skodyfikowanym prawem, mitologią, medycyną, literaturą. Następcy przejmowali elementy tej kultury, jej wątki religijne i tematy literackie, podobnie jak my korzystamy z kultury klasycznej. Nie było jednak w epoce sumeryjskiej jednego scentralizowanego państwa. Przeciwnie, powstało wiele miast-państw, jak tysiące lat potem w Grecji antycznej, a zjednoczenia dokonali dopiero Semici, którzy na jakieś tysiąc lat przed Abrahamem, czyli w początkach trzeciego tysiąclecia przed Chrystusem, zaczęli osiedlać się w Sumerze, który zwali najprawdopodobniej Szinearem. Założyli wielkie miasto Akkad, po którym nie został żaden odkryty do dzisiaj ślad, a najsłynniejszy władca zwał się Sargonem. Mocarstwo Sargona obejmowało zarówno Elam, czyli dzisiejszą Persję, na wschodzie, jak i Syrię na północy, czyli rejon Ziemi Świętej.

Nadzwyczaj złożone dzieje tego rejonu świata obejmują najazdy i Semitów, i Aryjczyków z północy, przeróżnych królestw Hurri, Mari, Mitanni, Asyryjczyków, Gutejczyków, Chaldejczyków, Hetytów, Murytów, Hanaitów, Kasytów i paru setek innych plemion. Wszystkie po kolei miasta zostały zdobyte i zniszczone, wszystkie narody podbite, wszyscy bogowie obaleni. Ale trwało to tysiące lat, tak że jedni zapominali o drugich.

Gdzieś w tym czasie rodzina Abrahama dotarła do Mezopotamii i tak naprawdę nie wiemy, skąd przybyła. Co prawda BIBLIA wymienia jego genealogię i wedle niej tylko kilka pokoleń dzieli go od Noego i potopu. Tak, ale jego przodkowie mieli żyć rzekomo po czterysta, pięćset lat. I tak skromniej od sumeryjskich królów przed potopem, którym przypisywano po dwadzieścia i trzydzieści tysięcy lat panowania. Więc wszystkie te genealogie są po prostu nic niewarte.

Daleko na zachód od Mezopotamii, za morzem i pustyniami Arabską i Synajską, rozkwitała w dolinie Nilu równie stara, a kto wie, czy nie starsza, cywilizacja Egiptu, zwanego także krajem Kem albo Misraimem. W linii prostej byłoby do niego bliżej, ale ta droga była zawsze, i jest aż do dzisiaj, nie do przebycia. Trzeba było mozolnie podróżować na północny zachód, omijając pustynię, a następnie już przez terytoria Syrii i Kanaanu, brzegiem Morza Śródziemnego na południe i od Gazy ponownie na zachód, aż do delty nilowej, do królestwa Dolnego Egiptu, skąd już Nilem docierało się do królestwa Egiptu Górnego. Oba państwa były zresztą od niepamiętnych czasów zjednoczone. Na północ stąd leżały państwa i państwka Azji Mniejszej i wysoce cywilizowana wyspa Kreta. To był cały cywilizowany świat epoki brązu, jeśli nie liczyć dalekich Chin i niemal równie dalekich Indii z cywilizacją Harappy i Mohendzo-Daro nad Indusem. Dzisiejsza Syria, Liban i Izrael stanowiły zwornik i rodzaj zawiasu między Mezopotamią a Egiptem. Oznaczało to, że każda armia kierująca się na wschód musiała przemaszerować przez ziemie syryjskie. To samo odnosiło się oczywiście do armii zmierzających na zachód. Słowem, było to absolutne centrum świata i wszystko, co się tu przez następne dwa tysiące lat wydarzyło, nie było i nie mogło być sprawą peryferyjną.

A więc Abram z ojcem i rodziną opuścił Ur i powędrował na północ. Tempo wyznaczały stada bydła i owiec, więc nie było ono ogromne. Na północy leżało miasto Charan, co oznacza „drogę”. I rzeczywiście był to ważny etap w wędrówce do Syrii, skąd można było przez Eufrat przepłynąć do Karkemisz, ulubionego miejsca „towarzyskich” spotkań armii egipskiej z asyryjską. Ale na razie rodzina Teracha osiadła w Charanie, mieście, w którym podobnie jak w Ur kwitł kult księżyca. Mieszkała tam chyba długo, chociaż w BIBLI są pewne nie-

ściłości. Terach został ojcem trzech synów: Harana, Abrahama i Nachora, mając siedemdziesiąt lat, a żył łącznie lat dwieście pięć. Czyli w momencie śmierci ojca Abraham musiałby mieć lat sto trzydzieści pięć, a miał dwa razy mniej. A na dodatek nie wiemy, ile lat miał podczas swojej pierwszej (?) wędrówki do Charanu. W każdym razie Terach umarł w Charanie, zostawiając Abrahama, jego żonę Sarę czy raczej Saraj, zresztą też prawdopodobnie swoją córkę z innej żony, natomiast wnuków się nie doczekał, bo Saraj była bezpłodna. Owszem, był wnuk po zmarłym wcześniej synu Haranie, Lot, ten który później zamieszka w Sodomie. Trzeci syn, Nachor, został gdzieś po drodze, może w Ur, może gdzie indziej, ale odegra jeszcze ważną rolę jako dziadek Rebeki, żony Izaaka, i pradziadek drugiej Rebeki, żony Jakuba. Wszystkie te sprawy są dość zawikłane i najprawdopodobniej nie odpowiadają rzeczywistości, gdyż chronologia nie bardzo się zgadza. Skądinąd każdy najmniejszy szczegół w tej opowieści ma ogromne znaczenie, bo albo dotyczy rzeczywistości symbolicznej o konsekwencjach sięgających tysięcy lat, albo, z innego punktu widzenia, świadczy o istnieniu zapomnianych państw i narodów. I tak na przykład imiona poprzedników Abrahama mają wedle uczonych być po prostu nazwami miast: Selech, Rehu, Sarug, Peleg, Arfachsad i inne.

A w związku z tym trzeba wreszcie postawić pytanie: czy Abraham istniał naprawdę? Nie jest to pytanie tego samego rzędu, co dotyczące istnienia Adama, Kaina, Noego – Abraham pojawia się na samym skraju prehistorii, czasów bajecznych, po których zostaje tylko uogólnione, symboliczne wspomnienie. Może oznaczać geniusz narodu żydowskiego, choć ta rola przypada raczej Mojżeszowi. Może być kimś w rodzaju Heraklesa czy Prometeusza, ale czy oni z kolei na pewno nie istnieli naprawdę? W znakomitej większości takich przypadków okazuje się, że mieliśmy do czynienia z postaciami autentycznymi. Wieść o nich dociera do nas błada i powikłana, pełna niekonsekwencji i późniejszych dodatków.

Zakładam więc, że Abraham istniał naprawdę, w każdym razie wszyscy Żydzi byli o tym głęboko przekonani. Stąd niezmiernie ważna okoliczność: skłonność do upatrywania we wszystkim głębokich odniesień do całej historii, wydarzeń symbolicznych, a więc wskazujących drogę. I ja nie jestem od tego wolny, ponieważ i Polacy, jako chrześcijanie i przynajmniej częściowo antysemitami, dopatrywali się w historii patriarchów znaków wieszczych, dla religii chwalebnych, dla narodu żydowskiego fatalnych. Oczywiście, że taka dwoistość musiała prowadzić do paranoi, której świadkami, spadkobiercami i ofiarami jesteśmy do dzisiaj.

BIBLIA idealizuje Abrahama kosztem prawdy i właśnie to przekonuje, że w zasadniczym zrębie jest prawdziwa. Otóż chce z niego zrobić pierwotnego syna, ale podaje przy tym, że jego dziadek nazywany był, tak jak jego brat, Nachorem. A pierwotny z zasady dziedziczył imię po swoim dziadku, stąd Abraham nie mógł być pierwszy, chociaż akurat jest nam to najzupełniej obojętne. Syn Izaaka, Jakub, też nie był pierwotny, ale to on walczył osobiście z Bogiem i to jemu przypadło imię Izrael. Gdyby wszystko było wymyślone, to cóż by szkodziło nazwać dziadka tak, aby pasował do reszty? Tak czy owak, to Abraham był największą postacią tej rodziny i wszystko, co się z nim wiązało, zostało otoczone legendą. Rzekomo władca Nemrod, zaniepokojony kometa, wymordował wszystkie niemowlęta płci męskiej, podczas gdy Abraham został ukryty, a do Egiptu pojechał znacznie później już jako dorosły. Tych legend jest niemało, ale jest to ten sam mniej więcej zasób, który otacza Mojżesza i innych. Nie zdajemy sobie bowiem sprawy z bogactwa kultury żydowskiej, do której należą także prastare legendy i tysiączne piętra interpretacji. To nie tylko BIBLIA, zwłaszcza w ubogiej szkolnej wersji.

Przełomowy moment w dziejach Abrahama nastąpił, gdy bezpośrednio przemówił do niego Bóg. Kiedy się to stało? Niektórzy twierdzą, że jeszcze przed śmiercią Teracha, w Ur. Pytanie jest ważne, gdyż wiąże się z innym: czy Abraham był pierwszym Żydem? Pominięcie ojca mogłoby na to wskazywać: tu oto jest cezura. Jakoś żał mi trochę Teracha, a poza tym wszyscy oni pochodzili i od Sema, i od Hebera. A może Abraham był Arabem? Przecież miał dwóch synów, Izaaka, protoplastę Żydów, i Izmaela, ojca Arabów... Żydzi zaczęli się do-

piero wyodrębnić i jeszcze wieki musiały minąć, aby stali się narodem. Abraham był po prostu jednym z nas, ludzi, bo wtedy wszyscy byliśmy koczownikami. *A była wszystka ziemia jednego języka i jednej mowy.*

Powołanie Abrama nastąpiło nie w Ur, ale w Charanie. *I rzekł Pan do Abrama: wynijdź z ziemi twej i od rodziny twojej, i z domu ojca twego, do ziemi, którąć pokażę. A uczynię cię w naród wielki i będąc błogosławił i uwielbię imię twoje, i będziesz błogosławieństwem. I będzie błogosławił błogosławiącym tobie, a przeklinające cię przeklinać będę i będą błogosławione w tobie wszystkie narody ziemi.* Potężne słowa, wielka obietnica. Ale przez kogo złożona? Do pojęcia jedynego Boga miało jeszcze upłynąć wiele czasu. Kto więc to był? W jakiej postaci się objawił? Byłże światłem księżycowym, snem, ogniem, mgłą, wiatrem, burzą?

W każdym razie, od tego tajemniczego momentu poczynając, zaczyna się proces wyodrębniania, chciałoby się rzec, choć byłoby to mocno przedwczesne, „ogradzania zakonu”. Od tej chwili nie jest już Abram człowiekiem jak wszyscy, zaczynają ciążyć na nim nowe obowiązki, ale też pojawiają się trochę inne prawa. Inne są teraz miary dobra i zła, chyba nie zawsze bardzo chwalebne. W imię Boga, na boży rozkaz będzie się odtąd postępowało. I kiedy Bóg, na przykład, zażąda złożenia syna w ofierze albo wyrżnięcia mieszkańców jakiegoś miasta, to litość właśnie będzie grzechem. Ale to na razie przyszłość. Najbliższe poczynania Abrama nie są specjalnie tajemnicze. Przekracza Eufrat i wjeżdża do Kanaanu. Zresztą legendy mówią, że robił to już parokrotnie, co byłoby całkiem naturalne. Uderza odtąd pomieszanie paru motywacji, z jednej strony wzniosłej i metafizycznej, z drugiej zaś ogromnie praktycznej. Żyd, widziany przez goja, łączy wysokie powołanie ze zwyczajnym sprytem, żeby nie powiedzieć: tupetem. Zawsze nas w Żydach zastanawiało to połączenie abstrakcji z praktycznym konkretem, być może zresztą tak zwyczajnie działa inteligencja. Ale ta jej dwoistość nie jest złudzeniem i odnajdziemy ją już w działaniach patriarchów. A być może dostrzegamy, bo po prostu dostrzec chcemy.

No więc wkroczył Abraham do Ziemi Obiecanej, gdzie znowu objawił mu się Bóg, i triumfalnie powiedział: *To właśnie tu!* Abraham nabożnie wystawił ołtarz w miejscowości Betel, rozejrzał się, a ponieważ zamiast mleka i miodu bieda była ciężka i głód straszny, natychmiast dał nura do Egiptu. Boża decyzja mogła wyglądać na złośliwy dowcip. Kraj rzeczywiście jest piękny i bardzo zróżnicowany, od śniegów góry Hermon po tropikalną dolinę Jordanu i największą na świecie depresję Morza Martwego, stąd szczególne stosunki florystyczne i najbogatsza na świecie fauna, ale mogłoby to ucieszyć przede wszystkim ekologa. Abraham nie mógł mieć zrozumienia dla tych spraw. Ziemia nie była jeszcze tak zdewastowana jak współcześnie, przed ponownym osadnictwem żydowskim, ale w BIBLIJIE raz wraz pojawiają się wzmianki o suszy, nieurodzaju i głodzie. Geopolitycznie rzecz biorąc – horror. Geograficzne zróżnicowanie nie sprzyjało kształtowaniu się realnej jedności kraju, ale równocześnie był to przecież jedyny pomost lądowy między Afryką i Azją, na którym mógłby się bezpiecznie utrzymać jedynie naród liczny i bardzo potężny. Toteż kraj Abrahama od początku był narażony na wszelkie możliwe najazdy. Akadyjski Sargon i zbrojne rajdy Babilończyków, Egipcjanie, Asyryjczycy, ludy morza z Filistynami na pierwszym miejscu, Hetyci, potem Persowie, Grecy, Rzymianie, Bizantyjczycy, Arabowie, Mamelucy, Turcy, właściwie kto tylko był aktualnie w pobliżu. W porównaniu z Ziemią Świętą geopolityczne położenie Polski, na które tak się skarżymy, to prawdziwa sielanka.

Ale jeśli się odważymy badać zamysły Boże, jest i druga strona medalu, która sprawiła, że naród żydowski poddany takim uciążliwościom po prostu musiał wybić się na wysoką inteligencję. Kto tej inteligencji nie miał, ginął albo przestawał być Żydem. Tu po prostu nie można było żyć spokojnie, tu się w ogóle żyć nie dało. Trzeba więc było szukać domu i chleba za granicą, na całym świecie, narażając się na wieczny status obcego i dobrą albo i złą wolę stałych mieszkańców. A równocześnie zarówno fakt istnienia Obiecanej Ojczyzny, jak i wybitnie niedogodne przepisy religijne uniemożliwiały albo przynajmniej bardzo utrudniały asy-

milację w jakimkolwiek kraju osiedlenia. Żydzi przecież niejednokrotnie usiłowali przestać być Żydami! Nigdy to się do końca nie udało. Tak więc fatalny dar Boga był zarazem ogromnym dobrem, zadaniem do wypełnienia. Każda tragedia żydowskiego losu owocowała niezwykłymi rezultatami. Tak więc wszyscy Żydzi zawsze żyli w ciekawych czasach...

W kraju, który my nazywamy bądź Izraelem, bądź Palestyną, a o którym Abraham mógł mówić z akadyjska Amurru, z egipska Retenu, a z hebrajska Kanaan, z dawien dawna mieszkaly bardzo liczne plemiona. Były to najczęściej plemiona semickie jakoś tam odległe z Abrahamem spokrewnione. A może i nie tak odległe, skoro niektóre z nich, na przykład Edomici czy Izmaelici, związane były bezpośrednio z jego własną rodziną. Trudno naturalnie określić, jakie plemię czy może naród (?) istniało dokładnie w czasach Abrahama, jakie się dopiero od niego poczęło, a jakie żyło tu od dawna. Byli więc przede wszystkim Fenicjanie, byli Moabici i Ammonici – rzekomo potomkowie Lota, Edomici, następcy Hurytów, bezpośredni potomkowie Abrahama – Madianici, Amalekici, wyćpieni następnie przez Symeonitów, bardzo liczni Amoryci, mieszkańcy niezliczonych miasteczek-państw aramejskich z prastarym Damaszkiem, a poza tym już tylko Anamici, Awwici, Dedanici, Girgaszyci, Geszuryci, Chiwwici, Jebusyci, Kenici – potomkowie Kaina zajmujący się kowalstwem, Kenizyci i Peryzzyci, i Kitim z Cypru, najpewniej i Refaici, co ich Ammonici Zamzummim nazywali, bliscy zresztą kuzyni Emitów... A pewnie o drugiej połowie tych wszystkich plemion nigdyśmy nawet nie słyszeli.

Z takiego właśnie plemiennego tworzywa złożył się po tysiącletniach naród żydowski. Ale podobnie formowała się Grecja, gdzie na jednej tylko Krecie było sto dwadzieścia niewielkich organizmów plemiennych. Niemcy, na przykład, jeszcze do dzisiaj zachowali ślady dawnych podziałów, a pewnie nawet coś więcej niż ślady. Zresztą, niedaleko szukając, przecież i my, Polacy, przedstawialiśmy sobą tysiąc lat temu płataninę plemion i plemionek, o których dzisiaj prawie nic nie wiemy. Sam proces jest więc całkiem naturalny.

Może więc nie była to pierwsza wizyta Terachidów w Kanaanie, może mieszkali tutaj już wcześniej jako jedno z wędrownych plemion. Przecież dopiero po uzyskaniu własnej, ciągle jeszcze niezbyt pewnej odrębności w czasach Mojżesza, Żydzi rozpoczęli proces podboju i scalania. A miał on trwać bardzo długo. Erec Israel i diaspora stanowiły konieczne bieguny historii żydowskiej.

Na razie Abraham, ponaglany koniecznością, wyjechał do Egiptu. Tu zdarzyła się dziwna historia. Trzeba jednak dodać, że wszystkie przypadki Abrahama czy też patriarchów były dziwne, bo zdarzyły się po raz pierwszy, a potem powtarzały się wielokrotnie. Dadzą się więc uznać za prefigurację przyszłych wydarzeń. W istocie jednak rzecz jest mniej tajemnicza, powtarzające się okoliczności domagały się podobnych, powtarzających się sytuacji i rozwiązań. A jedno powtarzało się najczęściej: Żydzi byli słabszą stroną. Otóż rzecz miała się tak. Faraon zakochał się w żonie Abrahama, Sarze, którą ten przedstawił jako swoją siostrę. Obdarował za nią szczerze Abrahama, po czym spadły na niego jakieś tajemnicze plagi. Dowiedziawszy się, że Sara jest nie tylko siostrą, ale i żoną, zwrócił ją mężowi, nie odbierając wszakże zapłaty za Sarę. I Abraham z Sarą, *bardzo bogaty w bydło, w srebro i w złoto* wrócił do Kanaanu, do Betel.

Byłby to pierwszy opisany przypadek podsunięcia, jak niektórzy złośliwie sugerują, Żydówki możnemu władcy, co miało stanowić w przyszłości sławną broń tajemną Żydów, znaną świetnie także innym narodom, jak o tym świadczą dzieje pani Walewskiej. Ale ta historia w takim akurat kształcie prawdziwa być nie może. Po pierwsze, między faraonem a naczelnikiem wędrownego plemienia ziała przepaść. Po drugie, Sara miała wówczas sześćdziesiąt pięć lat i choć pochodziła z długowiecznej rodziny, to stan higieny i kosmetyki nie był zbyt imponujący. Po trzecie, historia ta powtórzyła się w kilkanaście czy kilkadziesiąt lat później z Abimelekiem, królem Gerary. Chyba zbytek szczęścia.

Po powrocie do Kanaanu zaczyna się snuć sławny wątek Sodomy i Gomory, przysparzający niemałego kłopotu historykom, którzy wolą go jakoś bezpiecznie ominąć. Rzecz w tym, że Morze Martwe, które zalało ostatecznie miejsce, gdzie były owe grzeszne miasta, jest chyba starsze niż czasy patriarchów. A tymczasem w BIBLIJ zawarte są świadectwa, że z miastami tymi wojowali władcy niewątpliwie historyczni, co niełatwo w sumie zlekceważyć. Coś tu się absolutnie nie zgadza. Być może przyszłe badania sprawę rozstrzygną.

Otóż bratanek Abrahama, Lot, podróżował z nim razem, ale gospodarstwo miał własne, a szczególnie stada bydła. Właśnie o to bydło poszło, a ściślej o to, że brakowało dla niego pastwisk. Abraham i Lot rozstali się więc, a ten ostatni upodobał sobie wilgotną dolinę Jordanu w okolicach właśnie Sodomy. Miasto słynęło z niegościnnosci, ale dla Lota zrobiono wyjątek, najprawdopodobniej „wzenił” się w jakąś miejscową rodzinę. Wszystko to musiało trwać na tyle długo, że doczekał się córek, które zdążyły dorosnąć i wydać się za męża.

Tymczasem w dalekiej Mezopotamii, a nawet w jeszcze dalszym Elamie, przygotowywano wyprawę zbrojno-karno-lupieżczą na ziemi Kanaanu. Brali w niej udział królowie czterech miast, a wśród nich Amrafel z Szinear. Czyli – jak do niedawna przypuszczano – Hammurabi z Babilonu. Piękne by to było. Przede wszystkim dałoby się dokładnie oznaczyć datę, bo Hammurabi panował w latach 1728–1686 przed naszą erą. Po wtóre, pozostało po Hammurabim słynne prawo spisane na czarnej jak noc kamiennej steli, którą do dzisiaj można oglądać, a nawet dotknąć w paryskim Luwrze. Byłoby to więc poruszające, materialne świadectwo czasów Abrahama. Może i on sam, przeciągając w drodze do Charanu przez Babilon, dotykał tego kamienia? Niestety, okazało się, że Hammurabich było w tej epoce kilku, a o którego chodzi – nie wiadomo. Dość, że owym czterem królom zagroziło drogę Pentapolis, czyli Sodoma, Gomora, Adma, Seboim i Soar – pięć miast z dolnego biegu Jordanu.

Z kiepskim, niestety, skutkiem, bo podczas bitwy w otaczającej owe miasta dolinie Sidim, pełnej *iłowatych studni*, jak pisze BIBLIA, poległ Bera, król Sodomy, i Birsza, król Gomory, a ich miasta zdobyto i złupiono. Wśród niewolników znalazł się i Lot. Doniesiono o tym Abrahamowi, który pozbiierał swoich ludzi i nocą napadł na zmęczone i obciążone łupem wojska elamicko-babilońskie. Odniósł zwycięstwo i ścigał napastnika aż do Damaszku.

W drodze powrotnej doszło do dziwnego epizodu. Abraham spotkał się z jedną z najbardziej osobliwych postaci w księdze GENEZIS, z Melchizedekiem, królem-kapłanem Salemu, czyli, jak się sądzi, Jerozolimy. Melchizedek podjął go chlebem i winem, co zostało przez chrześcijan uznane za prefigurację eucharystii. Swoją drogą rzeczywiście ciekawe, dlaczego BIBLIA pisze o takim szczególe? Na dodatek Melchizedek jest określony jako *kapłan Boga najwyższego*, który przecież nikomu poza Abrahamem, a i to nie do końca, znany nie był. *I dał mu Abram dziesięcinę ze wszystkiego*. Dlaczego? Tajemnicza historia.

Po kilkunastu latach brzemiennych w wypadki, do których jeszcze wrócimy, Bóg ponownie nawiedził Abrahama w towarzystwie dwóch aniołów, został podjęty cielęcina i zwierzył się, że zamierza zniszczyć Sodomę i Gomorę z racji ich ciężkich grzechów. Zasadniczym grzechem był chyba homoseksualizm (jakie to szczęście, że Bóg nie zniszczył Aten Sokratesa i Platona), ale w nie mniejszej mierze obciążała te miasta zmaza ksenofobii. Legendy żydowskie wspominają, że sodomici znaleźli ciekawy sposób na włóczęgów i żebraków: obdarowywali ich hojnie srebrem i złotem, ale nie dawali ani kęsa jakiegokolwiek strawy. Kiedy żebrak umierał z głodu, skarby wracały do właścicieli.

Po tej fatalnej zapowiedzi Boga, który zresztą posłał tymczasem do Sodomy towarzyszących mu aniołów, żeby się dowiedzieć, jak tam jest naprawdę, doszło do słynnej i bardzo pięknej sceny targów między Bogiem a Abrahamem. Racje moralne są tu bezspornie po stronie Abrahama! Wywodził on chytrze, że przecież nie wypada, by Pan Sprawiedliwości potraktował i dobrych, i złych tak samo, czyli źle. Dlatego gdyby znalazło się pięćdziesięciu sprawiedliwych, to może dałoby się ocalić resztę? W ten sposób, obniżając ciągle stawkę, uzyskał od Boga obietnicę, że nawet dla dziesięciu dobrych wybaczy pozostałym.

Niestety, nie było okazji po temu. Aniołowie posłani do Sodomy, a przyjęci w gościnę przez Lota, wzbudzili tak gwałtowne namiętności w sodomitach, że stali się niemal przedmiotem gwałtu. Ostatecznie Lota, jego żonę i córki aniołowie siłą wyprowadzili z miasta. Lot chciał zabrać jeszcze swoich zięciów czy raczej narzeczonych córek, ale ci nie dali wiary w zbliżającą się zagładę.

Tedy Pan spuścił jako deszcz na Sodomę i Gomorę siarkę i ogień (...) Wstawszy tedy Abraham rano (...) spojrzął ku Sodomie i Gomorze i ku wszystkim ziemi onej równiny i obaczył a oto wychodził dym z onej ziemi, jako dym z pieca.

Wiemy, że tymczasem żona Lota, obejrawszy się, została zamieniona w słup soli. Przypomnijmy, że podobnie Orfeusz, obejrawszy się, stracił Eurydykę. Dlaczego jednak był ten zakaz odwracania się? Czy Bóg nie wstydził się po prostu odrobinę okropności, które spowodował? A dlaczego żona Lota jednak się odwróciła? Czy tylko z ciekawości? Egzegeci żydowscy doszli do ciekawszego i bardziej ludzkiego wniosku, że po prostu było jej żal rodzinnego miasta. Ale jej nieobecność doprowadziła do ciekawych konsekwencji, rzadko przedstawianych na lekcjach religii.

Otóż Lot schronił się ostatecznie w górach, w jaskini, razem z córkami. Te jednak doszły do wniosku, że są ostatnimi ludźmi na ziemi i że spoczywa na nich obowiązek podtrzymania gatunku. W związku z czym upiły ojca winem, po czym noc po nocy nakłaniały go do miłości, aż obie zaszyły w ciążę. A Lot podobno nawet nic nie zauważył... Nie wiem, kto pisał te słowa, kobieta czy może eunuch, czy zdeklarowany alkoholik, ale zaręczam, że rzecz jest niezwykle mało prawdopodobna. Dla porządku dodajmy, że dzieci się urodziły i jedno zostało protoplastą Moabitów, drugie zaś Ammonitów. Tą samą metodą parę pokoleń później Tamara po śmierci obu swoich mężów uczyniła ojcem własnego teścia.

Tymczasem Abraham także miał kłopoty z sukcesją. Ponieważ Sara była bezpłodna, podsunęła mężowi swoją służącą Hagar, co było zwyczajnie stosowanym w takich sytuacjach wybiegiem. I Hagar urodziła Izmaela, późniejszego praojca wszystkich Arabów. Ale obie kobiety nie umiały żyć w zgodzie. BIBLIA jest pełna ich wzajemnych oskarżeń, wyrzekań i złorzeczeń. Skończyło się tak, że po kilkunastu latach i urodzeniu Izaaka zbolewały, stuletni Abraham musiał wypędzić i Hagar, i jej syna.

Abraham parokrotnie widywał Boga, otrzymywał od niego różne obietnice i zapowiedzi, składał krwawe ofiary, starzał się, a jego żona podobnie. Oczywiście o każdym słowie w BIBLII napisano całe biblioteki, ale my przejdziemy do najważniejszego. Były to właściwie dwa, krótko po sobie następujące widzenia, kiedy Abraham miał dokładnie dziewięćdziesiąt dziewięć lat. Wtedy właśnie objawił mu się Bóg, powtórzył obietnicę Przymierza, ale pod pewnymi warunkami. Abraham miał zmienić imię, przypominam, że zwał się dotąd Abramem, a dotychczasowa Saraj stawała się Sar. Ale przede wszystkim nakazał Abrahamowi, by się sam obrzezał, a wraz z nim wszyscy mężczyźni plemienia, wszyscy domownicy, a także i zakupieni niewolnicy niezależnie od tego, skąd pochodzili. Tym samym oznaczył piętnem nie do starcia wszystkich Żydów. Żyd nie mógł odtąd przestać być Żydem, pułapka domknęła się szczelnie. Naród został za cenę nieprzeliczonych cierpień skazany na istnienie, na długowieczność, może na nieśmiertelność. Była to pułapka działająca w jedną stronę, zauważmy bowiem, że wstęp do żydostwa nie jest przed nikim zamknięty. Żydem staje się każdy obrzezany zapewne ze stosownymi intencjami. Izmael wszakże też został obrzezany i być może dlatego Arabowie tak strasznie denerwują Żydów. Są bowiem Żydami i równocześnie nie są nimi. Oczywiście są i inne bardziej bezpośrednie przyczyny. Zresztą przekonamy się jeszcze, jak świąty pokrewnych gojów, boć chrzest jest zlagodzoną formą obrzezania, odpłaciły się samym Żydom.

Bóg złożył i wielokrotnie powtórzył obietnicę rozmnożenia Abrahamowego potomstwa i to za sprawą Sary, podówczas dziewięćdziesięcioletniej, która zresztą, podobnie jak i sam Abraham, śmiała się Bogu w nos. Zresztą cała rozmowa była raczej familiarna, przy pieczeni

cielecej i pewnie przy piwie. Bóg przekomarzał się z Sarą, wyrzucając jej niedowiarstwo, i zapowiedział, że kiedy pojawi się za rok, Sara będzie już matką. Szkoda, że tę domową atmosferę zepsuła nieco zapowiedź zniszczenia Sodomy, bo był to dalszy ciąg tej samej, drugiej rozmowy.

Gdy minął rok, Sara powiła chłopca, Izaaka, co oznacza: „ten, który się śmieje”. Abraham liczył sobie wówczas dokładnie sto lat. Miał jeszcze żyć lat siedemdziesiąt pięć. Dziewięćdziesięcioletnia Sara także dożyła do pięknego wieku stu dwudziestu siedmiu lat. A po jej śmierci Abraham ożenił się z młodziutką zapewne Keturą, czyli Hagar, i zdążył mieć z nią sześcioro dzieci.

Z Izaakiem związana jest powszechnie znana mroczna historia. Zwróćmy uwagę, że Bóg kazał Abrahamowi, który wcale nie miał na to ochoty, wypędzić bezlitośnie starszego syna, toteż można sobie wyobrazić, w jakim był nastroju, kiedy Bóg polecił mu zabrać chłopca na górę Moria, być może tę samą, na której Salomon i Herod pobudowali Świątynię i na której dziś stoi meczet Omara, i zarznąć jak barana, by go złożyć w ofierze. Ale Abraham tym razem nie dyskutował z Panem. Może mu ufał, może miał wszystkiego dosyć. Po szarpającej nerwy podróży anioł w ostatniej chwili zatrzymał jego rękę i podsunął mu zwierzę ofiarne. Wszystko dobrze się skończyło, ale Leszek Kołakowski czyni tu uwagę, że odtąd Izaak zawsze patrzył na ojca nieco podejrzliwie. Ja myślę.

Co to za straszny Bóg, który kazał zdradzać i zabijać, który niszczył ludzi potopami i ogniem, nie bacząc na ich i tak codzienne cierpienia, który lubował się we krwi zwierząt ofiarnych? Zauważmy, że to Abraham był z reguły lepszy od Boga, że to on moderował go i prosił o litość, a nawet pouczał, co Istocie jakoby sprawiedliwej przystoi czynić. Jest to jeden z kamieni węgielnych antysemityzmu, ponieważ uważa się, że narody mają takiego Boga, na jakiego sobie zasłużą. Nie jestem teologiem, ale przyjmując, że kontakty z Bogiem zdarzały się patriarchom rzeczywiście, może we śnie, może w jakiejś ekstazie – nie wiem, chcę zaproponować wykładnię, którą można rozumieć równie dobrze dosłownie, jak i przenośnie.

Na początku Bóg był po prostu kolosalną siłą mogącą powoływać do istnienia i niszczyć światy. Była w nim potęga, ale nie było miłości ani ciepła, a on sam działał w otoczeniu złowrogich, szatańskich sił, które dopiero z czasem eliminował. Był Wszechświatem, ale ludzka trzcina górowała nad nim, jeśli idzie o uczucia i miłosierdzie. I jakkolwiek wyglądałoby to dziwnie, to właśnie Bóg musiał terminować u człowieka i jego małości. Człowiek był po prostu potrzebny Bogu nie dla jakiejś prymitywnej chwalby, choć i tak mogło być na początku, ale dla nauki, której nie była w stanie udzielić mu żadna wielka, nieśmiertelna siła. I w miarę, jak człowiek stawał się mądrzejszy i wstępował na czekającą nas jeszcze drogę przebóstwienia, Bóg ze swej strony wprawiał się w człowieczeństwo. W dziejach Żydów widzimy właśnie początki tego procesu, edukacji wzajemnej i isticznej zawrotnej. To Żydzi właśnie płacili rachunki za przejście od kapryśnego politeizmu, gdzie zło, dobro i zwyczajny kaprys bóstwa stanowiły jedną bezkształtną całość. Posłuszeństwo bezwzględne wobec monoteistycznego Bytu zaprowadzało tu czytelne reguły i ład konieczny do dalszego przenikania i rozumienia świata. Ale po czterech tysiącach lat Bóg tylko sprawiedliwy, i to wyłącznie wobec jednego gatunku: ludzi, przestaje nam wystarczać. Już nawet chrześcijaństwo instytucjonalne ze swoim piekłem, karami i grzesznikami zaczyna odsuwać się w przeszłość. Człowiek może być lepszy, więc i Bóg to potrafi.

Ale na razie jesteśmy u początku czasów. Abraham uczy się swej rodzinnej Ziemi Obiecanej. Przewędrował ją wzdłuż i wszerz, mieszka na północy i południu, przebywał w Sychem, Betel, Beer-Szebie, *między Kadesz i Sur i był gościem w Gerar (...) i mieszkał w Ziemi Filiestyńskiej przez wiele dni*. Ale na względnie stałą siedzibę obrał miejscowość Kiriat-Arba, czyli Hebron. Trzeba sobie uświadomić, że Abraham mieszkał całe życie w namiocie, jak przystało koczownikowi. Czy także w namiocie się narodził? Czy w Ur, w Charanie wszystko było tylko obozowiskiem? Cóż, w pełni możliwe, choć niezupełnie pewne.

Dość, że na wezwanie Boga: *wstańże, schodź tę ziemię wzdłuż i wszerz, bo ją tobie dam, Abraham, ruszywszy się z namiotem, zamieszkał w równinach Mamre, które są w Hebron*, dopowiedzmy, trzydzieści kilometrów od Jerozolimy. Mamre leży wśród wzgórz Judejskich, gdzie na tarasach dojrzewają figi, oliwki i rośnie winorośl. Oliwek w czasach Abrahama nie było, winnice były, w każdym razie w czasach Mojżesza, tysiąc lat później. W samej dolinie rósł dąb albo cała dąbrowa. Przypominam, że tak samo było w greckiej Dodonie i tak samo słyszano tam szept bogów. Ale nie inaczej było w całej Europie, także i w Polsce; dąb był drzewem transcendencji. Nic dziwnego, że najważniejsze epifanie właśnie tutaj miały miejsce.

Ciekawe, że Kiriath-Arba była wtedy zamieszkała przez Hetytów, lud indoeuropejski z Azji Mniejszej, mający znaczne wpływy w całej Syrii i Palestynie, później doszczętnie wygubiony i zapomniany. W Hebronie mogła być jedynie hetycka kolonia, ale Abraham mógłby przecież znaleźć oparcie w pobliżu jakiegoś miasta semickiego, bliższego mu obyczajem i językiem. Wybrał Hetytów i bodaj nigdy tego nie żałował, gdyż stosunki z nimi układały się lepiej niż dobrze. Po śmierci Sary kupił z zachowaniem wszystkich zwyczajów i przepisów prawnych podwójną grootę na polu Makpela, przeznaczając ją na grób Sary, a z czasem i własny. KSIĘGA RODZAJU przynosi piękną scenę targów, pełnych rewerencji, wzajemnych układów i grzeczności. Kupił tę ziemię i grootę od Efrona Hetyty za czterysta sykli srebra, stając się tym samym pełnoprawnym obywatelem Hebronu. Tu też, wśród Hetytów, po długich jeszcze latach w spokoju, szczęściu i dobrobycie dokonał żywota. Może słyszał legendę, że tutaj właśnie znajduje się jedna z bram Edenu, że tu jest pochowany Adam i Ewa? Jeśli legenda nie powstała później, właśnie za sprawą jego własnego grobowca. Po latach nie było tu już Hetytów, ale nadal przybywały groby patriarchów, Izaaka i Jakuba, Rebeki i Lei. Z czasem pobudowano tu kościoły i synagogi, i meczety. Potomkowie Abrahama, Arabowie i Żydzi, żyją tu do dzisiaj koło grobu prarodzica w bezprzykładnej, braterskiej nienawiści wzajemnej.

Ale co się stało, to się stało. A dokonały się mistyczne zaślubiny narodu z ziemią. Bieda w tym, że były to zaślubiny dwóch narodów z jedną ziemią. Nawiasem mówiąc, tu się tłumaczy zastanawiający paradoks zachowania się Żydów: w diasporze ulegli, a nawet bojaźliwi, w zetknięciu z Erec Israel stają się niezwykle walecznymi żołnierzami. Trzeba by pewnie przywołać tak ulubiony przez Stalina przykład Anteusza, zyskującego nowe siły po zetknięciu z Matką-Ziemią. Rzecz naturalnie polega na dwóch różnych strategiach nawzajem się wykluczających. W istocie Żydzi, jak wszyscy ludzie, nie są ani tacy, ani owacy, to konkretne warunki decydują o nich. Jeśli walka ma sens, to walczą. Ale chociaż tacy inteligentni i oni myślą się czasem. Obrona Jerozolimy przed Tytusem była zwyczajnym samobójstwem. Ale i odwrotnie, bierność w obliczu holocaustu prowadziła do tego samego.

Wypadałoby jeszcze powiedzieć, jak wyglądały duchowe zasoby Abrahama, jaki był świat jego wyobraźni. Szlif monoteistyczny właściwy BIBLIJ był dopiero sprawą odległej przyszłości. Abrahama uważa się za henoteistę, czyli wyznawcę jednego Boga, z czego nie wynika, że inni bogowie innych ludów nie istnieją. Owszem, są, ale Abraham poprzysiągł wierność jednemu, a może i nie do końca jednemu, który zwał się Jahwe, a kiedy indziej El. Ten Bóg był pomocny, ale i okrutny. Wypędził człowieka z Edenu, skazał na głód i śmierć, nękał potopami i plagami ognistymi.

W pamięci miał zapewne Abraham bajeczne dziedzictwo Sumeru, z pewnością znał opowieść o Gilgameszu, a może i o Utnapisztimie-Noem. Czy uważał się rzeczywiście za jego potomka – wiedzieć nie sposób. Ale z pewnością znał konstelacje i znaki zodiaku pod imionami, które i do dzisiaj noszą. Wierzył zapewne, że Ziemia jest płaska, a żeby ją przejść, trzeba wędrować po pięćset lat w każdym kierunku. Wierzył, że jest siedem niebios i siedem rozmaitych Ziemi, a także siedem piekieł, ale wiedział też, że są podawane inne liczby i inne szczegóły kosmicznej konstrukcji. O wiele pewniejsze były dane dotyczące straszliwego Rahaba, księcia morza, i potwornego Lewiatana. Na lądzie rządził się równie potworny Behe-

mot, złożony z wody, pyłu i światła. A całkiem już realny był groźny byk Reem, którego rogi sięgały nieba i całe szczęście tylko, że taki cielak rodzi się co siedemdziesiąt lat, a krowa zagryza samca podczas miłosnych igraszek. Nie mniej potwornie prezentował się ptak Ziz, któremu największa morska głębina sięga jedynie do kostek. A zawiłane dzieje matki demonów Lilith, która była pierwszą żoną Adama, podobnie jak dzieje innego demona żeńskiego, Namy, łączonej ze sławnym Asmodeuszem, zapewne były znane i wtedy, choć w jakiejś mierze mogły być także wątkiem późniejszym.

Świat to było niebezpieczne miejsce, należało się przed nim chronić; pojęcia dzisiaj już nie mamy o strasznych siłach wstrząsających każdą nocą, każdą mgłą i burzą. BIBLIA oszczędza nam strachów, które snuje legenda. Abrahamowi nic nie było oszczędzone, a pakt z okrutnym Bogiem mógł wyrastać z lęku i rozpacz.

Świat był już bardzo stary. Cienie minionych ludów, ślady ich wierzeń dobijały się do ludzkich snów, nikt nie bronił im dostępu pod wojłokowe namioty czy trzciniowe dachy glinianych lepianek. Nic nie było pewne ani ustalone. Któż tak naprawdę policzył lata Abrahama? Kto zapisał na pewno imiona jego dzieci? Kto pamiętał jego wszystkie wędrówki i przygody, skoro on sam w głębokiej starości mógł przecież przypisywać sobie wydarzenia cudze? Wszystko już było i wszystko miało się dopiero rozpocząć.

Rodzina Jakuba

Izaak w porównaniu z Abrahamem wypada nieco blado, a w najsłynniejszym wydarzeniu swego życia spełniał rolę czysto przedmiotową. Tomasz Mann w swoim wielkim pod każdym względem dziele *JÓZEF I JEGO BRACIA* dochodzi do wniosku, że Izaak nie mógł równocześnie być synem Abrahama i ojcem Jakuba i Ezawa, a tym samym jego żona Rebeka nie mogła być siostrą Labana i wnuczką Nachora, tego Nachora, który został prawdopodobnie w Charanie, w Mezopotamii północnej. Imiona, podejrzewa Mann, musiały się wielokrotnie powtarzać. Ale tak naprawdę Abraham mógł żyć w przedziale między rokiem 2000 a 1500, a może nawet trochę wcześniej albo trochę później, czyli w czasie, który w Polsce odpowiadałby na przykład tak rozległemu okresowi, jak między Jagiellą a Piłsudskim. Ale dla historii narodu żydowskiego nie bardzo liczy się, jak było w istocie, ale co o tym myślano. Oprócz prawowiernej i kanonicznej historii biblijnej istniała tu zawsze potężna tradycja legendarna, w której odbijała się pamięć o tym, że BIBLIĘ przecież wielokrotnie redagowano i nie wszystko w niej się znalazło. A my do tego wszystkiego dokładamy własne wątpliwości. Jacy „my”? Oczywiście, ludzie współcześni, ale jednocześnie goje, czyli nie-Żydzi. A to jest też bardzo istotne, bo nie mamy przecież tego nieuchwytnego przeczucia, co może być ważne i co może być prawdziwe. Nie-Żydzi nie możemy mieć snów żydowskich, tej słabej namiastki pamięci genetycznej, która być może w ogóle nie istnieje albo jest ogólniejsza, ludzka po prostu. Bo przecież, ja – Polak czy micwam jakiegokolwiek sny o Piastach, o Kraku, o chytrym Lestku, o cnotliwej Wandzie? Czy mogę mieć sny o wydarzeniach, których nigdy nie było, o ludziach, którzy nie istnieli, chociaż pojawili się w pamięci narodowej?

Nasz lud o dawnych grodziskach powiada, że to „szwedzkie okopy”, przypisując względnie niedawne nazwy i wypadki do szczątków o wiele starszych. Tak samo postępowali i Żydzi. *Głęboka jest studnia przeszłości* – powtarza Mann, pewnie jeszcze głębsza, niż przeczuwamy, a woda w niej ciemna i nieprzejrzysta. BIBLIA powiada, że Eliezer z Damaszku, sługa Abrahama, a potem Izaaka, udając się do Charanu po Rebeke, jechał na wielbłądzie. Ale wielbłąd nie był jeszcze udomowiony – stwierdzają uczeni, proces osvajania dopiero się zaczął gdzieś na pustyni, na peryferiach ówczesnego świata. W historii Abrahama wielbłąd jeszcze się nie pojawia. Czy to przypadek, czy między nim a Izaakiem, mężem Rebeki, minęło aż tyle czasu? A może ja się zwyczajnie mylę?

O Izaaku mogę rzec to, co prawdziwe w odniesieniu do każdego. Najczęściej drapał się, mrugał, jadł, wypróżniał, ziewał i spał częściej, niż zajmował się czymkolwiek innym. Nasza rzeczywistość ma po prostu charakter przede wszystkim fizjologiczny, a potem, potem, daleko, bardzo daleko potem jakikolwiek inny. Wielkie dzieła człowieka są tylko mizernym dodatkiem do jego cielesności, którą Chrystus porównał nawet do świątyni. Największe klęski i zwycięstwa, śmierć matki, zagłada własnego miasta, utrata ojczyzny porównać się nawet nie dają z długotrwałym bólem zęba czy rozległym oparzeniem. Człowiek jest zakładnikiem własnego systemu wegetatywnego, a dopiero później bywa bohaterem albo zdrajcą.

Izaaka najpierw ocalono, a potem ożeniono. Miał wtedy trzydzieści siedem lat i właśnie stracił matkę, co było dla niego ogromnym ciosem, zwłaszcza że od czasu wycieczki na wzgórze Moria co do ojca mógł mieć, a raczej nie mógł mieć żadnych wątpliwości. Zawile okoliczności prawnobyyczajowe sprawiły, że Abraham mógł szukać kandydatki na narze-

czoną dla syna jedynie w tej gałęzi rodziny, która pozostała w Aram Naharim, czyli w Mezopotamii. BIBLIA zawiera ładną scenę rodzajową przy studni, rodzaj wyroczni, kiedy Rebeka poi posłańca i jego wielbłądy, a następnie po pewnych komplikacjach wraz z całym orszakiem sług wyrusza z rodzicielskiego domu do namiotu swego „przyszłego”. Midrasze, czyli komentarze do PISMA, przeplatane legendami, opowiadają tu historię mało prawdopodobną, jak to Rebeka wpadła na ostrą gałąź, na skutek czego straciła dziewictwo, jak to Izaak miał wątpliwości i tak dalej. BIBLIA stwierdza tylko: *I wprowadził ją Izaak do namiotu Sary, matki swojej, i wziął Rebekę, i była mu żoną, i miłował ją. I ucieszył się Izaak po śmierci matki swojej.* Legendy przynoszą pogłos obyczajów dotyczących prawa pierwszej nocy. BIBLIA niemało mówi o seksie, ale dziewięć dziesiątych prawdy zostało poza nią. To bardzo ważna sprawa, chociaż ważniejsza może dla chrześcijan niż dla samych Żydów. Choć pewnie i dla jednych, i dla drugich.

Jak wiemy, Rebeka urodziła bliźnięta, starszego Ezawa i następnie Jakuba; pierwszy był ulubieńcom ojca, a drugi matki. Ale przedtem wydarzyła się historia, którą należy odnieść raczej do tego pierwszego Izaaka, jeśli rzeczywiście wedle domysłu Mannowego było ich w różnych czasach kilku. Oto znowu powtórzyła się egipska historia z Sarą, tym razem w odniesieniu do Rebeki. Znowu był w ziemi judzkiej głód, ale tym razem Bóg osobiście zakazał Izaakowi udawać się do Egiptu, więc odwiedził w Gerar filistyńskiego króla Abimeleka i tam przedstawił żonę jako siostrę. Ale Abimelek wyjrzał przez okno i zobaczył, że Izaak „żartuje” z Rebeką. Nawiasem mówiąc, szczególnie, że Izaakowie musieli wyrażać swą miłość akurat pod oknem Abimeleka. No i wszystko się powtórzyło. Komentatorzy uważają, że wszystkie te sytuacje są po prostu powtórzeniem pewnej egipskiej noweli, a BIBLIA, nie mając wiele do powiedzenia o Izaaku, tą bajeczką wypełniła lukę. Ale dalszy ciąg poświęcony sporom o studnie i ugodzie z Filistynami wygląda już znacznie bardziej autentycznie i pewnie któremuś z dawnych Hebrajczyków zdarzyło się to rzeczywiście. Zresztą o wodę i pastwiska wszyscy bohaterowie księgi GENEZIS, a nawet i późniejszych, klócą się ustawicznie. Pewnie i do dzisiaj, choć teraz chodzi o całą rzekę Jordan.

Teraz doszło do splotu przypadków, które z pewnością dotarły do nas przeinaczone. Otóż Ezaw, myśliwy, i Jakub, chyba pasterz, dokonali transakcji, polegającej na sprzedaży prawa pierworództwa w zamian za sławną miskę czerwonej (bo są i inne gatunki) soczewicy. Ezaw miał umierać z głodu, a Jakub nie chciał za darmo go nakarmić. Tymczasem na glinianych tabliczkach, stanowiących biblioteki i archiwa królów syryjskich i mezopotamskich, znaleziono ślady podobnych transakcji i to za niską cenę, skoro jest wzmianka o sprzedaży pierworództwa w zamian za jakieś dwa owoce. Tak że zwyczajowe precedensy już były. Poważniej przedstawia się sprawa wyłudzenia od ślepnącego czy całkiem już ślepego Izaaka ostatniego ojcowskiego błogosławieństwa, co było chyba równoznaczne z testamentem. Jakub dokonał tego rzekomo z pomocą i za namową matki, Rebeki, podając się za brata. Wprawdzie przedmiotem tego błogosławieństwa-testamentu były gruszki na wierzbie, bo cała Ziemia Obiecana, której wszak Izaak nie miał, ale wszystko to się odbywało za poręczeniem bożym. *Nota bene* jeszcze Abrahamowi Bóg oświadczył, że stanie się tak nieomylnie, ale po czterystu latach niewoli u Egipcjan. Ciekaw jestem, czy kogoś z nas stać by było na tak serdeczne uczucia dla potomka urodzonego za lat mniej więcej pięćset, w połowie trzeciego tysiąclecia.

W ogóle Jakub nie był, niestety, osobą wybitnie świetlaną i późniejsi redaktorzy BIBLII starali się usilnie o poprawienie mu reputacji, co pociągnęło za sobą niejasności i nonsensy. Najłagodniej można by go nazwać oszustem, ale wszak boski Odyseusz także nie cnotą i prawością zadziwił, a bogowie mu pomagali. Ale Odyseusz nie był eponimem Greków, nie on dostarczył im imienia, a Jakub ostatecznie tak. Ale Żydzi nie są tu wcale wyjątkiem, my sami, poczynając od Galla Anonima, wybielaliśmy poszczególnych władców, a następnie ubieraliśmy w brąz naszych wieszczów, co potem Boy musiał odrabiać, ale nie odrobił do końca. Przywykliśmy do postaci jednobarwnych, czarnych lub białych, i zadziwia nas, jak to

się może zdarzyć, żeby zdeklarowany łajdak został obdarzony wielkim talentem i powodzeniem, a chodząca cnota – wprost przeciwnie. Oburza nas, że Bóg wybrał sobie Jakuba, co było bardzo niepedagogiczne. Cóż jednak począć, tak było.

Po wyłudzeniu błogosławieństwa przez Jakuba oszukany brat Ezaw odgrażał się, że łotryzka zabije, i Rebeka postanowiła wysłać syna do swojego brata Labana, znanym szlakiem do Charanu, po żonę. Niech Jakub zejdzie Ezawowi z oczu, Ezaw tymczasem ochłonie. Tak się też stało. Po drodze z Ber-Szeby do Charanu Jakub miał sen. Śniła mu się drabina sięgająca do nieba, po której wchodzili i schodzili aniołowie. Usłyszał też głos Boga, który powtórzył swoje obietnice, Jakub zaś, zbudziwszy się, postanowił, że jeśli Bóg go nakarmi, odzieje i doprowadzi szczęśliwie do domu, tedy będzie mi Pan za Boga.

BIBLIA bardzo szczegółowo opowiada o przybyciu Jakuba do Charanu, o Labanie i jego dwóch córkach, starszej Lei i młodszej Racheli, o jego układzie z Labanem, że za młodszą córkę odsłuży siedem lat. Następnie o tym, że Laban pod osłoną ciemności właśnie starszą córkę Leję zaślubił Jakubowi, a potem dodał i Rachelę, ale za kolejne lata służby. Obie córki dostały służące, które w efekcie też sypiały z Jakubem, słowem, dysponował całym haremem. Niestety, ta, którą kochał najbardziej, czyli Rachel, pozostawała przez długie lata bezpłodna. Przypomnijmy, że podobne kłopoty miała Sara, a także i Rebeka.

Komentatorzy twierdzą, że to może pogłos okresu przymusowej powściągliwości kobiet-kapłanek, na przykład westalki musiały zachować niewinność do czterdziestego roku życia, ale twierdzą to niepewnie, bo coż westalki miałyby do roboty w Kanaanie w drugim tysiącleciu przed naszą erą? Coś to z pewnością znaczy, ale co – nie wiadomo.

Ale w końcu i Rachel urodziła syna i nazwała go Józefem. Tu właśnie zaczyna się najbardziej literacka opowieść STAREGO TESTAMENTU, ukochany wątek średniowiecznych opowieści, wszelakich starszych i młodszych przypowieści, wątek, któremu nie przepuścił ani Mikołaj Rej z Nagłowic, ani Tomasz Mann z Lubeki, wątek który poznajemy także na lekcjach religii katolickiej, a który stanowi także ukochanie protestantów i sympatię prawosławia. Ale właściwie cała historia Jakuba i Józefa, i jego braci stanowi spójną literacką całość i powinna być opowiadana ze szczegółami; coż, Mann poświęcił jej półtora tysiąca stron. Podobnie jak opowieści mitologiczne historia ta stała się niezbędnym wyposażeniem umysłowym całej Europy. Jak zresztą cała KSIĘGA RODZAJU historia Józefa obrosła nieskończoną liczbą legend i komentarzy. Najbardziej epizodyczne postaci mają w tych legendach własne, obszerne historie, a midrasze prześcigają się w pochwałach całej rodziny. Nie zmienia to faktu, że historia jest moralnie dwuznaczna; może stąd jej literackie powodzenie?

Natomiast historycy prześlizgują się raczej nad historią Józefa, uogólniają, zbaczają z tematu. Najwyraźniej drażni ich ona, za dużo w niej materii romansowej, za wiele po prostu literatury. W BIBLIJ jest to bodaj najobszerniejsza opowieść, w każdym razie w księdze GENESIS, którą zamyka, ale już Flawiusz, przecież imiennik Józefa!, pomieścił jego dzieje w Księdze drugiej DAWNYCH DZIEJÓW IZRAELA razem z Mojżeszem. Owszem, Tschirsnitz opowiada o nim dosyć obszernie, ale Johnson czy nawet Ricciotti traktują go bardzo po maozszemu. A przecież jest to postać ogromnej wagi dla żydowskich dziejów w diasporze. To po prostu archetyp Żyda w diasporze i na nim właśnie wzorowały się wszystkie następne pokolenia Żydów żyjących w rozproszeniu. Mocą paradoksu bohaterem stał się zarówno człowiek, który Żydów do Egiptu przyprowadził, jak i ten, który ich po stuleciach wyprowadził. Dwie przeciwstawne strategie. Jaki wzór lepszy? Myślę, że trudno być Żydem.

Na razie trwała zaciekle rywalizacja między żonami Jakuba o to, która z nich więcej urodzi. Więc najpierw byli czterej synowie Lei: Ruben, Symeon, Lewi i Juda, potem dwóch synów Balii, zastępczyni Racheli: Dan i Neftali, potem Zelfa, służąca Lei, urodziła Gada i Asera, potem Lea Issachara, Zabulona i córkę Dinę, aż wreszcie i Rachel urodziła właśnie Józefa i już w drodze do Kanaanu Beniamina, co przypłaciła życiem. Razem było więc braci dwunastu, co zresztą stanowi liczbę zwyczajową dzieci patriarchów, ale także i symboliczną. Wie-

my, że liczba dwanaście odgrywała wielką rolę, było dwanaście miesięcy, dwanaście znaków zodiaku i wiele innych dwunastek, ale to do naszego tematu nie należy. W przypadku synów Jakubowych rzecz ma historyczne znaczenie, gdyż każdy z nich został ojcem i patronem jednego z „pokoleń”, zarazem określało to geograficzny podział dawnego Izraela. Ale i tak dzieśnięć pokoleń tajemniczo przypadło po niewoli babilońskiej i dawna europejska, chrześcijańska i żydowska nauka dopatrywała się pozostałości po nich na różnych kontynentach. A w ogóle niemal każdy współczesny Żyd pytany o pochodzenie odpowiada, że jest z rodu Lewiego, co zresztą pewnie i prawda, bo wszystkie pokolenia z biegiem tysiącleci musiały się wymieszać. A pochodzenie od Lewiego, a ważniejsze jeszcze, że od Lewitów, to rodzaj nobilitacji, takiego żydowskiego szlachectwa.

Właśnie Polacy powinni to bez trudu zrozumieć. Nie mamy samoistnej, wielkiej tradycji ludowej, w związku z czym doszukujemy się w swoich rodzinach tradycji szlacheckiej, co przy dziesięciu procentach szlachty w dawnym polskim społeczeństwie nie jest rzeczą trudną. Więc i to, że prawie każdy Żyd jest Lewitą, choćby był szewcem lub synem krawca, to jednak nosi już nie buławę marszałkowską w tornistrze, ale zgoła berło Dawida – nie powinno nas właściwie zdumiewać. Ale stosunki i podobieństwa Polaków i Żydów to temat, do którego jeszcze nie raz powrócę.

Tymczasem Jakub ułożył się z Labanem, że wszystkie owce i kozy pstrokate będą należały do niego, i zastosował taki rodzaj operacji hodowlano-magicznych, że zyskał znacznie większy przychówek. Gdy minęło dwadzieścia lat, uciekł teściowi razem ze swoimi żonami i wszelkim dobytkiem. PISMO opowiada o pościgu teścia i o spotkaniu z bratem. Ezaw przyjął go bardzo serdecznie, a Jakub tej serdeczności nie podzielił, co zrozumiałe, bo nigdy nie lubimy pokrzywdzonych przez nas. Wtedy właśnie zdarzyła mu się przygoda, której nikt nigdy nie mógł zrozumieć i my dzisiaj nie rozumiemy.

Stało się to nad lewobrzeżnym dopływem Jordanu, Jabbokiem, gdzie Jakub przeprowił cały orszak przez bród, a sam został na noc na przeciwnym brzegu. Wtedy właśnie ktoś go zaatakował i walczył z nim przez całą noc, aż do wzejścia zorzy. A nie mogąc Jakuba pokonać, przetrącił mu biodro, powodując trwałe kalectwo. Siła, z którą walczył, odmówiła podania swojego imienia, ale za to nadała nowe imię Jakubowi. Brzmiało ono „Izrael”, czyli „Zwycięzca El”, tzn. pokonać anioła. I naród, i kraj zyskały nazwę żywą do dzisiaj.

Ale co to wszystko razem znaczy? Z kim właściwie walczył Jakub? Dlaczego został okaleczony? Przekonujących, pewnych odpowiedzi nie ma. Midrasze twierdzą, że przeciwnikiem Jakuba był anioł Gabriel albo Michał, ale też mógł być ciemny Samael. Sam Jakub stwierdza: *widziałem Boga twarzą w twarz, a zachowana jest dusza moja*. Ale on przecież nie dowiedział się, z kim walczył...

Zetknąłem się z takim poglądem, chrześcijańskim oczywiście, a nawet dokładnie katolickim, lecz również i żydowskim, wedle którego człowiek może wymusić coś na Bogu, a modlitwa jest rodzajem walki. Miała to nawet być wysoka postać nabożności. Nie ukrywam, że zrobiło to na mnie wrażenie. Ale nie wiedziałem, że podstawą do tego jest właśnie owa sławna walka Jakuba, a cała koncepcja tkwi głęboko w tradycji żydowskiej, zapewne talmudycznej. Sama idea, że Boga można zmusić do czegokolwiek, choćby najgłębszą pobożnością, wydawała mi się przedtem zgoła niepoczytalna.

Józef wraz z rodzeństwem mieszkał w Kanaanie, najpierw koło Sychem, potem niezbyt daleko od Sychem, potem jeszcze gdzie indziej, w Betel. Nie wszystko było sielanką. Najstarszy syn Ruben uwiódł jedną z kobiet ojca, Balię. To znów księżę Sychemu porwał Dinę i bracia, szczególnie Symeon i Lewi, dokonali podstępem krwawej wendety przypominającej wojnę trojańską o piękną Helenę. Dużej sensacji przysporzył Juda, zostając nieświadomie kochankiem swojej synowej Tamary, stając się tym samym protoplastą Dawida i Salomona. Ezaw i Jakub pochowali starego Izaaka, a legenda głosi, że Ezaw zginął z ręki Jakuba.

Ale nauka mówi coś innego. Że te wszystkie imiona to symbole plemion. Lea – to bogini dzika krowa, a Rachel – bogini owca. Że zdobyte przez Symeonitów Sychem stało się następnie pierwszym izraelskim miastem, ponieważ nie wszyscy Żydzi wyruszyli do Egiptu. Że Ezaw jest symbolem wrogiego Żydom Edomu, utożsamionego później, po wiekach, z Rzymem. Coś tak, jak Sienkiewicz pisał o „septentrionach”, mając na myśli oczywiście Rosjan. Lecz naturalnie te wszystkie uczone ustalenia nie interesowały ani Żydów, ani później chrześcijan.

Józef nie był przyjemnym chłopcem, a prawdę powiedziawszy, był nawet pyszałkiem i donosicielem. Trudno się też dziwić jego braciom, że ich w końcu szlag trafił. Ale już tu mamy do czynienia z oczywistą tendencją dydaktyczną, cały zresztą utwór dotyczący Józefa jest taki, że inaczej jego obecność w tym miejscu nie tłumaczyłaby się niczym. Bo skoro nie jest to ani dosłowny, ani symboliczny zapis wypadków, to jakąś przecież funkcję pełnić musi. Więc kiedy Józef pochwalił się swoimi snami, w których kłaniały mu się gwiazdy, to znów snopy na polu, i kiedy on sam przyszedł do Dotain, koło Sychem, a mieszkał w tym czasie w Hebronie, żeby zobaczyć, jak braciom idzie wypas trzody, miarka się przebrała. Józef został przez braci skazany na śmierć i wrzucony do starej studni, a następnie sprzedany karawanie zmierzającej do Egiptu.

Chrześcijanie widzą w tym prefigurację Chrystusa i zmartwychwstania, natomiast prawowierny Żyd może znaleźć morał na miarę bajeczek pana Jachowicza: nie wynos się ponad własnych braci, bo cię kara spotka. A jeśli to jest archetyp Żyda w diasporze, to jest tu sprawa ważniejsza: Józef nie wybrał się do Egiptu z własnej woli, on został po prostu do tego zmuszony. I mniejsza już o to przez co, przez jakie okoliczności, ekonomiczne czy z przymusu bezpośredniego, ale ta okoliczność daje Żydowi, podobnie jak jakimkolwiek emigrantowi, pewne prawa moralne.

W całej sprawie Józefa jest pewna trudność nieoczekiwana. Trzeba się bardzo pilnować, żeby nie powędrować duktem Mannowskim, bo jest to najsugestywniejsza i zarazem najobszerniejsza wykładnia tej opowieści. Ale nawet sam Mann mówi, że był to protest wobec hitleryzmu, ponieważ powieść *JÓZEF I JEGO BRACIA* powstawała w latach drugiej wojny światowej, na emigracji amerykańskiej. Czy więc Mann nie myślał i o sobie samym? Chyba nie myśleć po prostu nie mógł. Ale Ameryka była dla niego przyjazna, czy da się to samo powiedzieć o Egipcie wobec Józefa?

Trudno powiedzieć, ponieważ Józef liczy się jedynie z „decydentami”, co ma oczywiście historyczne uzasadnienie, ale jest i pewną wskazówką na przyszłość, wskazówką bardzo ryzykowną. Gdyż równocześnie można w tym wszystkim odczytać i zakaz, jakby tu rzecz, fraternizacji: Józef odrzuca zaloty żony Putyfara. BIBLIA nie mówi wyraźnie, dlaczego Józef odmawia. Na ogół uważa się, że albo z lojalności wobec swego pana, albo z niechęci do grzechu, ale to wszystko trochę dziwaczne: żona Putyfara była żoną ceremonialną, bo on sam był eunuchem. Jest jednak i taka interpretacja: Józef nie dał się uwieść, bo nie chciał mieć „egipskich” dzieci. Ale przecież ożenił się ostatecznie z córką kapłana On, imiennika Putyfarowego, Asenat. Midrasze jednak mają i na to odpowiedź: Asenat była w istocie żydowską sierotą, jedynie wychowaną w egipskim domu, a była to ni mniej, ni więcej tylko córka Diny, przyrodniej siostry Józefa, owej zgwałconej czy może uwiedzionej przez Sychem. A takie małżeństwo rodzinne było właśnie ze wszech miar wskazane. Oczywiście, że są to czystej wody fantazje, podobnie jak nazwanie Putyfarowej żony Zulejką, ale kierunek interpretacji jest wyraźny. Tak więc na pytanie, czy Egipt jako ogół ludności był czy nie był Józefowi przyjazny, można odpowiedzieć, że Józef po prostu nie dał mu szans...

Muszę lojalnie przyznać, że nie wiem, czy taka interpretacja nie idzie za daleko. Może zwyczajnie cała sprawa z żoną Putyfara polegała na sprawdzaniu lojalności Józefa wobec Jahwe i jedyna nauka (skoro traktujemy tę opowieść jako romans dydaktyczny), która stąd

płynie, polega na nakazie wierności Panu zawsze, odpowiedzialności w każdych okolicznościach i za każdą cenę. Tak się to na ogół interpretuje, podobną wykładnię dziejów Józefa znajdujemy i u Manna.

Zona Putyfara nie uwiodła Józefa. Nawiasem mówiąc, Józef był zarządcą całego Putyfarrowego mienia, tak jak później został wicekrólem całego Egiptu. Miał więc władzę realną, choć formalnie odpowiedzialność ponosił kto inny. Tak właśnie wyglądały kariery Żydów przez całe późniejsze dzieje, nie były to stanowiska pierwszoplanowe, ale dawały rzeczywistą władzę. Żyd miał być doradcą, szarą eminencją, polory i fasady miał pozostawić innym. Jego kariera polegała na dotarciu do władcy, decydenta, najwyżej postawionej osoby w danym kręgu społecznym. Najpierw był to Putyfar, potem faraon. Warto jednak podkreślić, że temu zaleceniowi towarzyszyło inne, o zasadniczym znaczeniu: Żyd miał być doradcą bezwzględnie uczciwym, jego działalność powinna przynosić protektorowi prawdziwe korzyści. W istocie Putyfar odwdzieczył się mu nie najgorzej, może dlatego, że oskarżenie było nieco wątpliwe, a może go po prostu lubił. Jest zresztą inna jeszcze interpretacja nie znana Mannowi, że Putyfar i zarządca więzienia to ta sama osoba, że Józef w ogóle nie został więźniem, lecz strażnikiem. Chyba to jednak ma niewielkie znaczenie.

Bardzo się Józefowi przysłużyła jego umiejętność interpretowania snów, słowem to samo, co było pierwszą przyczyną jego nieszczęścia. Zesłany do więzienia za jakieś mętne spiski pałacowe – podczaszemu i naczelnemu piekarzowi wyróżył trafnie: pierwszemu przywrócenie do urzędu, drugiemu śmierć. Następnie i sam faraon śnił i nie znalazł pośród swoich mędrców i kapłanów wiarygodnego interpretatora, więc przywrócony do dworskich godności podczaszy opowiedział faraonowi o Hebrajczyku. Ten sen faraona to sławne siedem krów tłustych i chudych i siedem analogicznych kłosów. Zauważmy, że wszystkie sny miały element liczbowy: gwiazdy i snopy, trzy winorośle podczaszego, trzy kosze piekarza, wreszcie krowy i kłosa faraona. Czy coś z tego wynika? Myślę, że dla różnych komentatorów może wynikać niejedno, ale dla nas chyba nic.

W ten sposób Józef dostał się na dwór faraona (stąd nauka: dobrze jest świadczyć ludziom przysługi), wyłożył sny i wysnuwszy prawidłowy wniosek, że po okresie pomyślności przyjdzie czas niedostatku, w związku z czym trzeba robić zapasy – został wywyższony. Tak trzydziestoletni niewolnik został wicekrólem i zaczął urzędowanie. Wiemy, jak się wszystko spełniło. Zwróćmy jednak uwagę, że w latach niedostatku Józef żywił ludność, ale nie całkiem za darmo. Na poczet długu pozabierał najpierw pieniądze, potem inwentarz, a w końcu ziemię i obrócił wszystkich w niewolników faraona. Faraona pewnie to cieszyło, jego i tak absolutna władza doznała dalszego wzmocnienia, ale czy to na dalszą metę ucieszyło ludność, można wątpić. Czy to rzeczywiście nie miało wpływu na dalsze losy Egipcjan i Żydów?

I wreszcie doszło do wydarzenia najważniejszego z punktu widzenia historii żydowskiej: sprowadzenia „synów Izraela” do Egiptu. Bardzo to romansowa historia i dokładnie opowiedziana. Więc głód był także w Kanaanie i stary Jakub wysłał synów do Egiptu po zboże. Józef, nie poznany przez braci, czynił pozorne trudności, wypuszczał ich i chwycił, oskarżał i rozgrzeszał, aż w końcu uzyskał spowiedź braci, których jednak gryzło sumienie, dał się rozpoznać i wszystko wybaczył. Po czym znowu wyprawił ich do Kanaanu, żeby sprowadzić starego ojca i resztę rodziny. A gdy ci znaleźli się na miejscu, uzyskał dla nich przywilej wypasania faraonowej trzody. Było to w prowincji Goszen albo Gosen, gdzieś w północnym Egipcie, w delcie, ale gdzie, nie wiadomo dokładnie. Czyżby w tym rejonie nie było suszy? W każdym razie osiągnął to, że mieszkali względnie osobno, a przecież Egipcjanie nawet chleba nie chcieli jeść razem z obcymi. Ale zapewne tak właśnie zaczęła się ksenofobia Żydów; przecież Abraham mieszkał z Hetytami i o żadnych wstrętach wzajemnych jeszcze się nie słyszało.

Jeśli Józef ma być archetypem Żyda w diasporze, to następnym wskazaniem jest jego stosunek do współbraci. Ma być bezinteresowny (Józef nie brał od nich pieniędzy za zboże, a

raczej je ofiarował), ma służyć za przyczółek innym Żydom, ma być ich pośrednikiem w stunkach z władzami, ma im pomóc w zdobyciu pracy. Rzeczywiście, z tego, co wiemy o godnej zazdrości solidarności Żydów, przykład Józefa nie poszedł na marne.

Historia Józefa kończy się śmiercią i uroczystym pogrzebem starego Jakuba, którego ciało przewieziono do Kanaanu, do groty Makpela, którą na równinie Mamre koło Hebronu kupił od Efrona Hetyty jeszcze sam Abraham. Tam też ostatecznie, ale jeszcze nieprędko, miał spocząć sam Józef, który dożył stu dziesięciu lat. I choć na razie nie było mowy o powrocie, zobowiązał swoją rodzinę, by w odpowiednim czasie zabrała jego szczątki do ojczyzny. Czy to Kanaan po prostu stał się ojczyzną, czy też sama grota Makpela chroniąca szczątki prawie całej Józefowej rodziny?

W chwili śmierci Jakuba pozostało siedemdziesięciu jego potomków, oni właśnie mieli się rozrodzić w naród żydowski. Wygnanie było koniecznością, jeśli Żydzi mieli być monoteistami. W Kanaanie pozostało wielu ich pobratymców, tak przynajmniej zdecydowała nauka w ostatnich latach. Ale byli to politeiści, czciciele bóstw rozmaitych, a przede wszystkim Baala i Aszery, zresztą pomniejszych bóstwek i demonów było tam co niemiara. BIBLIA stara się zacierać wielorakie świadectwa, że i rodzina Teracha była politeistyczna, i zapewne sam Józef także. Wraz ze śmiercią Józefa kończy się GENEZIS, księga mitów i aluzji, nieskończonych domniemań i barwnych opowieści.

Zarówno dzieje Józefa, jak i jego przodków, są pogrążone w bezczasie. Źródła opowieści o nim są częściowo literackie, a częściowo historyczne. Siedmioletni głód rzeczywiście panował w Egipcie, ale mniej więcej tysiąc lat wcześniej. I rzeczywiście był jakiś wielki dostojnik-Semita, ale znowu kiedy indziej. W ogóle jest jeszcze inna wykładnia, że Egipt został podbity przez Hyksosów i że to na hyksoski, a nie egipski dwór trafił Józef. Wtedy przybycie Jakuba do Egiptu przypadałoby na okolice roku 1660 p.n.e. Ale znowu inni uczeni utrzymują, że Semici przybywali w wielu grupach i w różnych czasach, tak że żadnej daty podać niepodobna. Może. Ale przez następne trzy tysiące lat Józef i jego rodzina to byli całkiem realni ludzie.

Pobyt w Egipcie trwał podobno czterysta lat. Jedni twierdzą, że mniej, inni, że więcej. W każdym razie długo. Było to odcięcie od mezopotamskich źródeł, a poddanie się wpływom egipskim. Egipcjanie zaś wyróżniali się szczególną niechęcią do wszystkich obcych. Jednocześnie to właśnie w Egipcie pojawiały się pierwsze promyki monoteizmu, jak o tym świadczy historia Echnatona. Ale o całym pobycie egipskim właściwie nic nie wiadomo. PISMO ŚWIETE od Józefa prawie natychmiast przechodzi do Mojżesza. Tak jakby przez te kilkaset lat nic się nie wydarzyło. Jakby w tym czasie nie było ani jednej wybitnej jednostki. Po bardzo szczegółowym opisanu dziejów Terachidów robi to dziwne wrażenie. Czyżby liczyły się jedynie lata spędzone na Erec Israel, czyżby to była jedyna ziemia historii? To prawda, że i ostatnie dwa tysiące lat historii żydowskiej, od upadku powstania Bar Kochby, znamy niejako od zewnątrz, z wszelakich dokumentów spisanych przez gojów, prawda, że nie przez nich tylko. Prawdziwa historia Żydów to była historia intelektualna, mozolne gromadzenie TALMUDU, dzieje prawa, teologii i filozofii. A tego widocznie w Egipcie jeszcze nie było. Ale tu właśnie narodził się naród żydowski.

Co prawda, chyba również narodził się i antysemityzm. Żydzi zajmowali bardzo niską pozycję społeczną, byli po prostu niewolnikami. Wprawdzie już i wtedy błysnął pazur intelektu: BIBLIA powiada, że o ile strażnikami podczas ciężkich prac budowlanych byli Egipcjanie, to rachmistrzami byli przecież Żydzi. Ale właśnie w Egipcie pojawiła się tendencyjna i bardzo złośliwa teoria dotycząca pochodzenia Żydów. Co prawda stało się to znacznie później, kiedy Żydzi byli już prawdziwym narodem, a za to Egipt nie bardzo już był prawdziwym Egipsem. Mianowicie w epoce Aleksandryjskiej, pod rządami Ptolemeusza, kiedy Żydzi istotnie stanowili wielką część ludności miejskiej Egiptu. Otóż wedle historyka Manetona (około 250 r. p.n.e.), znanego nam dzięki Flawiuszowi, faraon Amenofis zesłał 80 tysięcy trędowatych do kopalń i kamieniołomów. Ci zaś pod wodzą kapłana Osarsifa przyzwali na pomoc Hyksosów,

spustoszyli Egipt i potem, przyjąwszy monoteizm, wywędrowali do Kanaanu. Osarsif to naturalnie Mojżesz. Zaś Hyksosi zbudowali Jerozolimę.

Ta złośliwa bajeczka, w której nic nie trzyma się kupy, została już w starożytności skrytykowana i wyśmiana, jednak do dzisiaj bywa przez naiwnych przytaczana. No i strasznie de-nerwuje Żydów, chociaż przecież wystarczy wskazać na mezopotamskie, a nie egipskie pochodzenie plemion semickich, żeby dalsza dyskusja nie była potrzebna. Mnie tu raczej zastanawia coś innego.

Po kilku, a już na pewno po kilkunastu pokoleniach nie zostaje w nas ani jeden gen po określonym przodku. Chyba już dojrzeliliśmy do tego, aby rozumieć, że na swoją godność sami musimy zapracować. Australijczycy na przykład są potomkami osadzonych tu przestępców i chyba nikt nie sądzi, że to ich jakoś deprecjonuje czy że ma w ogóle jakiegokolwiek znaczenie. Wszyscy ludzie są dziedzicami i królów, i niewolników, i mędrców, i głuptaków, i świętych, i zbrodniarzy. O cóż się więc tak bardzo obrażać?

Mojżesz

Mojżesz nie jest mniej uniwersalnym bohaterem niż inne postacie rodem ze STAREGO TESTAMENTU, ale dla samych Żydów ma znaczenie szczególne – przecież mówimy o religii Mojżeszowej, czyli o mozaizmie. Co więcej, istotne tu jest poręczenie Mojżeszowe, bo przecież był ostatnim, który widział Boga twarzą w twarz. Przypomnijmy, że nawet Chrystus nie widział Pana za życia. Mojżesz jest ze wszystkich bohaterów PISMA najbardziej monumentalny i nie bez przyczyny Michał Anioł wyrzeźbił go tak, jak wyrzeźbił. A przecież omal nie stał się bezpośrednią ofiarą Boga w niezrozumiałym dla kogokolwiek ustępie BIBLI:

I stało się w drodze, w господzie, że zabiegał Pan Mojżeszowi i chciał go zabić. Uratowała go ostatecznie żona, Sefora, równie tajemniczą dla nas czynnością, a mianowicie odcięciem napletka ich dziecka i dotknięciem nim nóg Mojżesza.

A było to jeszcze przed wyjściem Żydów z Egiptu, nawet przed pierwszą rozmową z faraonem. Dlaczego Bóg chciał zabić Mojżesza? Chyba dlatego, że chciał odwołać bądź zawiesić dalszy bieg wypadków. Bo co by się stało czy raczej co by się nie stało: Żydzi nie wyszliby z Egiptu, a tym samym nie staliby się narodem. Nie byłoby monoteizmu, Bóg byłby czczony pod wieloma postaciami jak w hinduizmie. Tym samym nie byłoby ani chrześcijaństwa, ani islamu. Coś by oczywiście było innego na ich miejsce, ale co – nie wiemy. W każdym razie ta decyzja Boga miała znaczenie rozstrzygające. Nie próbuję sobie nawet wyobrazić tego momentu wahania potężnego Ducha, w którym wąż się całe tysiąclecia zła i dobra. Ale wszyscy idziemy przecież pomiędzy potężnymi gmachami tego, co się nigdy nie stało, wąską i kruchą ścieżką rzeczywistości prawdziwie wydarzonej.

Podobne niebezpieczeństwo groziło kiedyś Jakubowi. A z punktu widzenia żydowskiego, myślę tu o punkcie widzenia fundamentalistycznym: co się wydarzyło patriarchom, może się wydarzyć i ich potomkom. Bóg przecież zmienia swoje decyzje i niebezpieczeństwo, w jakie popadali z nagłą ojcowie, chociaż nie dali po temu żadnego widzialnego powodu, grozi w każdej chwili także wnukom. Czy naprawdę wyrok w sprawie Izaaka był tylko testem wierności Abrahama? Czy też Bóg jeszcze raz zmienił decyzję? Czy wszystko to razem nie mogło być prefiguracją holocaustu?

Narodzinom Mojżesza towarzyszyły zwyczajne w takich wypadkach legendy. Jak przedtem Sargon i Abraham, a potem Jezus, mógł się stać ofiarą rzezi niemowląt płci męskiej. (Dziwne, że niebezpieczeństwo to nie groziło jego bratu Aaronowi.) Powierzony więc przez rodziców z plemienia Lewiego nad brzegiem Nilu wyrokowi boskiemu, a następnie ocalony za sprawą córki faraona – został przez nią po egipsku wychowany. Stąd też jego egipskie imię.

Żydzi byli w tym czasie wykorzystywani do ciężkich prac budowlanych we wznoszonych przez faraona miastach skladowych: Ramses i Pitom. Co więcej, byli poddawani licznym szykanom i ograniczeniom. Dorosły już Mojżesz, który w obronie rodaka zabił egipskiego nadzorcę, musiał uciekać. Uciekł właściwie dość daleko, bo nie tylko przeszedł przez cały Półwysep Synajski, ale dotarł na drugą stronę zatoki Akaba, gdzie były siedziby Midianitów vel Madianitów. Tam, przy studni, stanął w obronie nieznannej dziewczyny, Sefory, a właściwie Cipporah, co oznacza wdzięcznie samiczkę wróbla. Trudno nie mieć sympatii do dziewczyny o takim imieniu! A Sefora była królewną. Jej ojciec, Jetro, król-kapłan Madianitów, przyjął Mojżesza w gościnę i dał mu swoją córkę za żonę.

Kobiety i woda. *Co dzień o tej samej porze, gdy ze studni wodę noszę, widzę obok cienia mego cień chłopca nieznanego* – śpiewa się w zapomnianej już dziś MALAGENII, piosence sprzed kilkudziesięciu lat. Tam właśnie, przy studni, odbyły się zaręczyny Izaaka i Jakuba, tam, przy wodzie i praniu, królewna feacka znalazła obdartego Odyseusza, tam, przy potoku, nasłuchiwał Czechowicz odgłosu kijanek. Oczywiście, że to wynikało z obyczaju, ale przecież kobieta, podobnie jak woda, jest dawczynią życia: skojarzenie zatem nie było przypadkowe, skoro znajdujemy w nim najczystsza poezję.

Ile lat miał wówczas Mojżesz? Prawdopodobnie czterdzieści. I spędził z Seforą zapewne kolejnych czterdzieści, miejmy nadzieję, że szczęśliwych lat, pasając owce swojego teścia. Zwróćmy uwagę, że odmiennie niż Jakub nie dbał wcale, żeby mieć własne stado, BIBLIA nie darmo nazywa go najskromniejszym z ludzi. A kiedy miał lat osiemdziesiąt, zaszedł pierwszy wypadek z tych, które otaczają jego imię świętą grozą, kojarzą go z dzikimi szczytami, dymami, ogniem. Kiedy znalazł się ze swymi owcami pod górą Horeb, czyli Synaj, *ukazał mu się Anioł Pański w płomieniu ognistym, zpośrodką krza; i widział, a oto kierz gorzał ogniem, a on kierz nie zgorzał (...) i zawołał nań Bóg zpośrodką onego krza.*

Wiemy, że Bóg powierzył Mojżeszowi misję wyprowadzenia Izraela z Egiptu, kazał rozmawiać z faraonem, wyposażył go w cudowną łaskę i moc. Mojżesz nie chciał się podjąć tej misji, powoływał się zwłaszcza na brak umiejętności oratorskich. Wreszcie zapytał Boga, jak właściwie się nazywa. Pytanie, które kiedyś postawił Jakub – i nie dostał odpowiedzi. Tym razem Pan – Adonaj odpowiedział: *Ehje Aszer Ehje*, co po łacinie brzmi *Sum qui Sum*; po polsku w dawnych przekładach *Będę, który Będę*, a w BIBLI TYNIECKIEJ *Jestem, który Jestem*. Rzecz polega na tym, że w języku hebrajskim nie ma czasów, a jedynie tryby: dokonany i niedokonany, można więc przekładać i tak, i tak. Różnica jednak ma nadzwyczaj poważne konsekwencje dla całej koncepcji Boga, bądź statycznego, bądź „rozwijającego się”, co znowu znaczy albo rozwój interpretacji ludzkiej, albo przemiany samego Boga. Pisałem już o tym.

Wygląda jednak na to, że Bóg się wykręcił. Wedle „światopoglądu magicznego”, który, tak wszechobecny w Kabale, dzisiaj odżywa w New Age, a już zwłaszcza w poważnych (?) ideotwórczych powieściach fantasy, znajomość imienia czy to ducha, czy to każdej innej rzeczy daje nad nią władzę. Istnieje nawet pogląd, że cały wszechświat jest po to, by odgadnąć prawdziwe imię Boga, a wiemy, że magowie wszystkich czasów i okolic wymieniali, zaklinając demony, długie listy nazw i określeń w nadziei, że trafią na właściwe. Gdyby Bóg powiedział Mojżeszowi swoje prawdziwe imię, to po prostu wszystkie modlitwy ludzkie musiałyby być wysłuchane... To właśnie wtedy, po epifanii w krzewie ognistym i zdradzeniu własnego imienia, Bóg nieoczekiwanie postanowił Mojżesza zabić.

Ale po tym dziwnym epizodzie wszystkie obietnice zostały spełnione. Z Egipcjanami, jak wiemy, nic nie ułożyło się gładko. Wyobraźmy sobie Mojżesza, *któremu mówienie sprawiało trudność*, jak tłamsi słowa, milczy, a potem gwałtownie wybucha. Taki miał być już zawsze i nie sposób o nim myśleć jak o miódopłynnym gadule. Zresztą przed faraonem reprezentował go Aaron. Szło pozornie o wypuszczenie Izraelitów na pustynię na parę dni w celu odprawienia obrzędów. Faraon protestował, więc Bóg zsyłał na niego plagi i faraon się godził. Potem wszystko zaczynało się od początku. I tak Bóg zamienił wodę nilową w krew, potem obsypał faraona i cały kraj żabami, dalej były komary, muchy, zaraza na bydło, wrzody u zwierząt i ludzi, grad i szarańcza, a na koniec ciemności. Wszystko na darmo. Wreszcie Bóg się zdecydował na krok skuteczny. Nakazał Izraelitom skropić progi swoich domów krwią baranka, upieczone mięso zjeść *z gorzkimi ziołami* i koniecznie chlebem niekwaszonym, prototypem dzisiejszej macy, i w ten sposób ustanowił Paschę, obchodzoną już w rok po wyjściu z Egiptu. Działo się to w miesiącu *abib*, później nazwanym *nisan*, jak o tym wiemy z MISTRZA I MAŁGORZATY. *I stało się o północy, że Pan zabijał wszystkie pierworództwa w ziemi egipskiej, od pierworodnego faraonowego, siedzącego na stolicy jego, aż do pierworodnego więź-*

nia, który był w więzieniu, i wszelkie pierworodne z bydła. Zatem wstał faraon onej nocy i wszyscy słudzy jego, i wszystek Egipt i wszczął się wielki krzyk w Egipcie; bo nie było domu, w którym by nie był umarły. Niestety, każde wyzwolenie jest krwawe. Prawie. Ale tak się już składa, że krew ciemżycieli cieszy wyzwolonych i tak się dzieje zawsze i wszędzie.

Tym razem faraon miał dosyć i sam wypędził Żydów. A uciekali oni ochoczo tym bardziej, że jako kontrybucję zabrali pożyczzone od Egipcjan srebro i złoto.

Więc uciekli czy zostali wypędzeni? Egipcjanie nie byli konsekwentni, bo albo Żydzi przynosili korzyści i wtedy należało ich zatrzymać, oczywiście na zupełnie innych, opłacalnych i honorowych warunkach, albo powodowali same straty i wtedy trzeba było im pozwolić od razu, odejść, bez narażania się na te wszystkie żaby i grady. Otóż zabawne, że dwuznaczność taka utrzymuje się we wszystkich krajach nieżyciowych Żydom. Czy lepiej Żydów zatrzymać, czy wypędzić – takie niezdecydowanie widziało się i w Polsce, w marcu 1968 roku, bo jednak byli wśród nich znakomici fachowcy. Rasowy antysemita jest jak skąpiec trzymający rozpalony talar: żał wyrzucić i nie sposób go utrzymać. W końcu decyduje się na sąd iście Salomonowy: wypędzić Żydów, ale zabrać im mienie.

Wiemy, że faraon jeszcze raz się zawahał i postanowił mimo wszystko Żydów zatrzymać, i pogonił za nimi. Ale zamknięty między pustynią a Morzem Czerwonym Mojżesz *wyciągnął rękę swoją na morze (...) a rozstały się wody*. Żydzi przeszli, a ścigające ich wojska zatoneły. W ten sposób skończyły się kłopoty z Egipcjanami, a zaczęły z własnym narodem. Na razie Mojżesz dziękuje Panu, jego siostra Miriam śpiewa pieśń zwycięstwa, a naród odpoczywa.

My zaś zastanówmy się, czy to wszystko prawda, kiedy się to zdarzyło, gdzie i komu. Opuściliśmy przecież czasy bajeczne, zaczęła się historia. Wprawdzie każdy autor pisze o swoich czasach i swoich współczesnych, ja nie jestem wyjątkiem, interesuje mnie tedy, choćbym nie chciał, punkt dojścia. Ale zwyczajna uczciwość każe przypomnieć, że wtedy też był dzień – wówczas – dzisiejszy, że byli tam ludzie żywi, a nie dawno pomarli, że tak jak my nie znali swojego jutra.

Bo pojawiły się wątpliwości, czy Mojżesz istniał naprawdę. Była taka naukowa moda, aby nie wierzyć w wielkich legendarnych, negująca istnienie Mojżesza, Chrystusa, Laocy, Homera, upatrująca we wszystkim upersonifikowanej inwencji ludowej. Chyba się wszystko zaczęło w osiemnastym wieku od Fryderyka Augusta Wolfa i jego sławnej pracy PROLEGOMENA AD HOMERUM. Ale już dawno zarzucono ten pogląd. *Mojżesza nie sposób wymyślić* – powiedziano słusznie, a całą homeriadę skwitowano w końcu dowcipem: ILIADY nie napisał Homer, ale inny ślepy Grek o tym samym nazwisku.

Już bez żadnych wątpliwości istniał lud Mojżesza, chociaż z jednej strony wcale nie wszyscy Żydzi wywędrowali w swoim czasie do Egiptu, z drugiej – z pewnością do Żydów egipskich dołączyło się niemało innych niezadowolonych. Wyjście z Egiptu było datowane na czasy faraona Ramzesa II i jego następcy Merenptaha, czyli na trzynasty wiek przed naszą erą, a Ricciotti określa ją nawet ściślej na okolice roku 1240. Czyli mniej więcej na czasy wojny trojańskiej, może nieco wcześniej.

Najwięcej chyba kłopotu sprawia historykom przejście przez Morze Czerwone. BIBLIA podaje, że umożliwił je silny wiatr wschodni, więc trzeba było znaleźć takie miejsce, w którym naturalne płycizny mogły odsłonić dno. Jak dotąd znawcy nie doszli do porozumienia, być może wydarzyło się to u północnego krańca Zatoki Sueskiej. Bardzo sporna jest też późniejsza trasa wędrówki. Tradycyjnie uważa się, że Izraelici po przekroczeniu Morza Czerwonego pociągnęli na południe Półwyspu Synajskiego, tam gdzie ma się znajdować sama góra Synaj, teraz zwana górą Mojżesza. Ale to podobno nie taka stara tradycja. Rzecz jest dyskusyjna, niektórzy znawcy mówią o szlaku bardziej północnym. I tak cały Synaj ma ze dwieście kilometrów szerokości, a Żydzi mieli wędrować tędy przez lat czterdzieści. Podobno te ziemie są

nie tyle pustynią, co bardzo suchym stepem, a to dla nomadów rzecz całkowicie zwyczajna. Więc Żydzi po prostu tam mieszkali, wypasali swoje owce i wielbłądy.

Warto może zwrócić uwagę, że w starych przekładach BIBLIJ ustawicznie mówi się o „puszczy”, co w naszych czasach oznacza wielki las, a wtedy oznaczało po prostu pustynię. Literatura z lubością przeciwstawiała i łączyła oba pojęcia, na przykład „w pustyni i w puszczy”, „przez knieje i stepy” i tak dalej. W Polsce pustyni nie było, a stepy szesnastego wieku przypominały raczej łąkę, przekład BIBLIJ podsuwał tu więc fałszywe wyobrażenia. W każdym razie i pustynia, i puszcza wskazywały na bezludzie.

BIBLIA podaje, że przez czterysta trzydzieści lat pobytu w Egipcie rodzina Jakuba z siedemdziesięciu osób rozmnożyła się do sześciuset tysięcy. Wszystkie te liczby są wątpliwe. Siedemdziesiąt osób, ale bez kobiet i służby. Czterysta trzydzieści lat – ale nie wiadomo od kiedy, czy to już z Abrahamem, czy bez Abrahama. Ostatnia liczba to chyba błąd skryby – może miało być sześćdziesiąt tysięcy, a może i sześć. To ostatnie jest najprawdopodobniejsze, choć są i tacy, którzy obniżają tę liczbę aż do dwóch tysięcy. Sam zaś błąd wynika podobno ze stosowanego w Babilonii i Asyrii systemu sześćdziesiątka. Każde słowo w BIBLIJ jest zarazem niezwykle konkretne i jednocześnie nieskończenie wieloznaczne.

Natomiast cała historia wyjścia z Egiptu i wędrówki przez pustynię stała się dla Żydów i chrześcijan, a w konsekwencji dla całej kultury Europy i Bliskiego Wschodu, wielką księgą przykazań, zakazów, alegorii i przypowieści, jednym z kamieni węgielnych używanej przez nas metaforyki, także językowej. Po prostu nasz język potoczny byłby dla przybysza z innej strefy kulturowej właściwie niezrozumiały. Miałem przyjaciela Chińczyka, który choć wykształcony w Polsce, nie miał pojęcia o religii. I jak się okazało, powodowało to niekiedy kompletny brak zrozumienia. Można by zrobić długą listę określeń, znanych w Europie każdemu, np. Ziemia Obiecana, przejście przez Morze Czerwone, dziesięć przykazań, słup ognisty, manna niebieska, kult złotego cielca, Arka Przymierza, krzew ognisty, kamienne tablice i tak dalej, i tak dalej. Odnosi się to zresztą do całej BIBLIJ, ale wyjście z Egiptu to kondensacja w kondensacji.

Więc zostawiliśmy Izraelitów nad drugim brzegiem morza, gdzie zresztą nie przebywali długo, ponieważ nie było wody, i skierowali się na synajską pustynię Sur lub Szur. Odtąd zaczynają się problemy z napojeniem i nakarmieniem całego narodu, ale też nieustające pasmo cudów. A więc Mojżesz raz wydobyl uderzeniem laski źródło ze skały, drugim razem, mając do dyspozycji tylko słoną wodę, przemienił ją w słodką, wrzucając do niej jakieś kawałki drewna.

Ciekawe, że Żydzi nieraz wcale dobrze wspominali Egipt i nawet próbowali tam wrócić – widocznie, mimo wielkiej opresji opisanej w PIŚMIE pobyt w Egipcie miał i jakieś jaśniejsze punkty. Nasuwa się tu analogia współczesna: na przykład pojawiające się u nas w latach dziewięćdziesiątych tęsknoty za dobrymi stronami realnego socjalizmu, porzuconego tak niedawno z ulgą i prawdziwą zgrozą. Co prawda w Polsce nikt chyba serio nie próbował zmienić biegu historii, ale Żydom na Synaju brakowało zwyczajnie jedzenia. A i potem, gdy już otrzymali przepiórki i mannę, wzdychali za jakimś urozmaiceniem. Wspominali więc egipskie, nilowe ryby, wspominali ogórki, melony, pory, cebulę i czosnek. Na dodatek ryby były za darmo!

Ale Bóg osobiście, na prośbę Mojżesza, dbał o zaopatrzenie i niczym dobry Edward Gierk rzucał na święta drób, i to nawet nie do sklepów, ale właśnie za darmo. Wykorzystał w tym celu doroczne ciągi przepiórek. Nieco bardziej złożona jest interpretacja manny – na ogół sądzi się, że była to biała wydzielina pewnej odmiany tamaryszku o smaku placka z miodem. Zresztą wygląda na to, że sama manna była rzeczą codzienną, a przepiórki okresową, co wywoływało skargi na przejściowe trudności w zaopatrzeniu. Bóg grzmiał wtedy na niewdzięcznych, ale „ubogacal”, mówiąc nowomową niektórych komentarzy BIBLIJ TYNIECKIEJ, pulę towarową w mięso.

Jeśli idzie o kierunek marszu, to także nie brakowało cudownego przewodnictwa. Bóg wędrował przed żydowskim obozem w dzień w postaci słupa dymu, w nocy – ognia. Drogowskaz nocny o tyle miał sens, że po gorąco-pustynnych rejonach często wygodniej jest wędrować nocą. Ale to upodobanie Boga do obłoku, do mgły i chmury, poza tym, że piękne i patetyczne, ma jeszcze inne odniesienia i konsekwencje. Po pierwsze, jest świadectwem (tak przynajmniej sądzi część komentatorów), że El-Jahwe miał coś wspólnego nie tylko z bogiem księżyca, o czym świadczą imiona Terachidów (i przy okazji nazwa Synaju od Sin – bóg księżyc), ale i z bogiem burzy, jakimś Mardukiem czy Hadadem.

Po wtóre, było to zarazem świadectwo bożej obecności i zabezpieczenie. Nieco później, kiedy już zbudowano Arkę, nad namiotem-świątynią, gdzie ją przechowywano, stale unosił się obłok. Co więcej, kiedy obłok się przemieszczał, Żydzi wędrowali za nim. A obłok bywał kapryśny, czasem zatrzymywał się na długo, czasem na bardzo krótko. Cóż za wdzięczny materiał do domysłów i interpretacji! Ten obłok, nieustanna obecność ziemską Boga, stał się potem Szechiną Kabały, czymś w rodzaju naszej Opatrzności.

Obłok miał poza tym chronić postać Boga przed ludzkim okiem, gdyż – BIBLIA mówi o tym wyraźnie i wielokrotnie – kto spojrzał na Boga – umierał. Tylko Mojżesz miał ten niesłychany przywilej oglądania Boga za życia. Cóż widział? Płomień? Światło? Jakaś ludzką postać? Zwierzę symboliczne? Pustkę? Wiemy, że Bóg pojawiał się osobiście w namiocie Abrahama, a nawet z nim wieszczył; od tego czasu wzrósł niesłuchanie w potęgę, osnuł się dymami, stał się siłą śmiertelną. (Co jest zresztą konsekwentne: jeśli śmierć jest jednoznaczna z obecnością Świetlistej Istoty Moody’ego, to i odwrotnie: Świetlista Istota jest śmiercią. Co się w duchu New Age wyklada, że jest widoczna jedynie dla zmysłów ciała astralnego, czyli po naszymu dla duszy. Ciało fizyczne musi być tym samym zlikwidowane.)

Zdarzały się także cuda militarne. Izraelici napotkali plemię Amalekitów, którzy na północy Synaju, na zwykłym szlaku do Syrii i dalej, do Międzyrzecza, Asyrii i Babilonii, a może nawet Elamu, „kontrolowali” karawany, czyli zwyczajnie je łupili lub brali okup. Mojżesz wysłał przeciw nim swojego pomocnika Jozuego, a sam udał się na wzgórze:

A gdy podnosił Mojżesz rękę swoją, przemagał Izrael; a gdy opuszczał rękę swoją, przemagał Amalek. Ale ręce Mojżeszowe ociężałe były; wziąwszy tedy kamień, podłożyli podeń, i usiadł na nim; a Aaron i Hur podpierali ręce jego, jeden z jednej, drugi z drugiej strony; i nie ustały ręce jego aż do zajścia słońca. Tedy poraził Jozue Amaleka i lud jego ostrzem miecza. Co za majestatyczny obraz, a zarazem jakaż nobilitacja magicznego gestu. Cała opowieść o Mojżeszu pełna jest przecież magii, jak nie przymierzając powieści Tolkiena czy Ursuli le Guin. Węże zamienione w kije, cudowna laska Aarona, woda tryskająca ze skał, słońce zatrzymane w obiegu – odległa przyszłość literatury typu fantasy zawiera się właśnie tutaj, podobnie jak w prastarych przekazach z Indii, Chin, Mezopotamii, Grecji czy innych krajów magicznych.

Żydzi, wędrując przez pustynię, dotarli w końcu po trzech miesiącach do podnóża góry Synaj, której położenie jest mimo wszystko dyskusyjne. Tam właśnie czekało na nich ostateczne przeznaczenie. Na górze Synaj czekał Bóg, który postanowił zawrzeć Przymierze nie z pojedynczym człowiekiem, ale z całym narodem. Brit, to Przymierze było od dawna, od Abrahama poczynając, obiecywane i zapowiadane. Dotyczyło rozrodzenie się plemienia Teracha i Jakuba liczniej niż gwiazdy i piasek, dotyczyło bogactwa i stad niezliczonych, dotyczyło niezmiernych pastwisk w Ziemi Obiecanej, a wreszcie krwawej klęski wrogów Wybranego Plemienia. W momencie decydującym Bóg nie obiecuje jednak niczego takiego. Mówi, że w zamian za absolutną wierność *będziecie moją szczególną własnością (...) będziecie królestwem kapłanów i ludem świętym.* Tylko tyle i aż tyle. Zdumiewająco ogólnikowe i zdumiewająco nowoczesne. Ani słowa o pomyślności i dobrobycie, ani słowa o liczebności narodu, ani słowa o przewagach wojennych. Bóg niczego takiego Mojżeszowi nie obiecał!

Można nawet sądzić, że obiecał mu tylko owoce jego własnego wysiłku: jeśli zechcesz stać się świętym, to się nim staniesz. Bez jakichkolwiek odniesień materialnych, politycznych czy militarnych.

Mojżesz krążył między górą a obozem Izraelitów. Przekazał rodakom posłanie Boga, a oni na nie przystali. Wobec tego Bóg sformułował (pierwsze nakazy i zakazy: nie wolno się zbliżyć do góry ani jej dotknąć. Kto dotknie, niech zostanie ukamienowany; To samo odnosi się do zwierząt. Trzeba wyprać szaty i przez trzy dni nie zbliżać się do kobiet.

Stało się tedy dnia trzeciego po ranu, że byty grzmienia i błyskawice, i gęsty obłok nad górą, i głos trąby bardzo potężny, a bał się wszystek lud, który był w obozie. I wywiódł Mojżesz lud naprzeciwko Bogu z obozu, a stanęli pod samą górą. A góra Synaj kurzyła się wszystka, przeto iż zstąpił na nią Pan w ogniu i występował dym z niej jako dym z pieca, i trzęsła się wszystka góra bardzo. A gdy się głos trąby im dalej, tem bardziej rozlegał, Mojżesz mówił, a Bóg mu odpowiadał głosem.

I w takiej właśnie scenerii i w takich okolicznościach ludzkość trzymała sławne dziesięć przykazań. Ich interpretacją zajmują się od trzech tysięcy lat Żydzi, a od dwóch tysięcy jeszcze wszyscy chrześcijanie. Z pewnością nigdy i nigdzie przykazania te nie były powszechnie przestrzegane. Ale stanowiły odtąd uniwersalny system odniesienia, którego nie można było ominąć, choć udawało się go zniekształcać.

Po prawdzie DEKALOG żydowski miał bardzo liczne i o wiele starsze precedensy w egipskiej KSIĘDZE UMARŁYCH, w kodeksie Hammurabiego, w babilońskim rytuale *szurpu*, w prawach sumeryjskich i hetyckich, w kodeksach asyryjskich i nowobabilońskich. Ale przecież cała BIBLIA jest podsumowaniem pradawnych i zapomnianych kultur, które nie miały szczęścia (wątpliwego?) dotrzeć do nas bezpośrednio. Jest to więc wspólne dziedzictwo całej wczesnej ludzkości, a Żydom przypada zaszczyt, że je sformułowali i przekazali odległym miejscom i czasom.

Komentowanie DEKALOGU wydaje mi się zajęciem bezsensownym, a przynajmniej ja nie czuję się do tego powołany. Osobiście uderzyło mnie jedno. Że nie ma w nim kategorycznego zakazu kłamstwa, a jedynie zakaz fałszywego świadectwa, co nie jest to samo. W Babilonii formułowano to wyraźniej: *nie mów „jest” zamiast „nie ma”*. Ale to właśnie wydaje mi się bardzo mądre, bo cóż jest prawda jako abstrakcja? No i jeszcze rzecz bardziej szczegółowa: sam Bóg nie zrobił zastrzeżenia, że trzeba chronić życie „od chwili poczęcia”, czego się Kościół katolicki tak domaga... Bo w końcu jest szczegółowy przepis o grzywnie za uderzenie kobiety brzemiennej, *jaką mąż wyznaczy*. Czy to jednak znaczy, że samemu mężowi wolno?

Praw szczegółowych, które formułowal Mojżesz, było bardzo wiele. Czy powstały one właśnie wtedy? Pod Synajem Izraelici pozostawali przez pełny rok. Ale z pewnością sformułowanie tak skomplikowanego prawa i prawd religijnych musiało trwać o wiele dłużej. Nawet zakładając, że było to tylko przeformułowanie prawa obyczajowego, że istniały starsze wzorce w różnych kulturach. Taki czas rzeczywiście znalazł się podczas czterdziestu lat wygnania na pustynię, spędzonych głównie w Kadesz-Barnea.

Na razie Mojżesz znowu oddalił się na górę i nie było go przez dni, naturalnie, czterdzieści. Po tym czasie zstąpił z Synaju, niosąc dwie kamienne tablice, obustronnie zapisane ręką samego Boga. Tymczasem zaś Żydzi, przerażeni jego nieobecnością, widocznie nie bardzo ufając i nie bez powodów Bogu, postanowili wystawić Jahwe ołtarz, na którym stanął złoty cielec odlany z drogocennych ozdób złożonych przez kobiety. Co to jest ten „cielec”: krowa, byk czy cielątko – tego nie wiem. Komentarz do BIBLI TYSIĄCLECIA zapewnia, że nie był to posąg na wzór egipski, że nie wyobrażał Hathor czy Apisa, ale że poświęcony był chwale Jahwe. Może. Nie zmniejszyło to jednak gniewu bożego ani furii samego Mojżesza. Rzecz tym dziwniejsza, że później na pustyniach na południe od góry Hor, żeby zapobiec pladze jadowitych węży, sam Bóg nakazał Mojżeszowi zrobić miedzianego węża i podnieść go na drzewcu. Miał to być rodzaj szczepionki. Ten wąż miedziany służył w późniejszych wiekach

jako wyobrażenie kultowe, a zwał się Nechusztan. Okadzano go jeszcze w pięć stuleci później. Zresztą i cielec odlany ze złota został po wiekach odtworzony przez Jeroboama. Czym gorszy cielec od węża?

Na razie Mojżesz, pieniąc się z gniewu, rozbił kamienne tablice, stopił cielca, obsobaczył brata, który na to wszystko zezwolił, i sprawił krwawą łaźnię nieposłusznym. Ostatecznie i Mojżesz poniósł karę, bo musiał własnoręcznie wykonać kopię tablic przez siebie potłuczonych. Potem te tablice spoczęły w Arce, to jest w skrzyni z akacjowego drzewa okutej złotem, niesionej na drągach – opis Arki jest zresztą bardzo szczegółowy. Arka służyła także do komunikacji z Bogiem i unosił się nad nią obłok. Potem towarzyszyła pochodom wojennym Izraelitów, wpadła w ręce Filistynów, król Dawid tańczył przed nią, a Salomon umieścił w swojej Świątyni. A potem gdzieś zniknęła, nie wiadomo gdzie i kiedy. Są pogłoski, że istnieje do dzisiaj, że jest w Etiopii czy może gdzieś indziej.

Czym właściwie była? Jedni utrzymywali, że maszyną do produkowania manny, inni, że nadajnikiem do komunikacji kosmicznej, jeszcze inni, że generatorem atomowym. Z pewnością była jednym z najbardziej tajemniczych przedmiotów w dziejach, ale chyba ani maszynką do manny, ani jakimś generatorem.

Flawiusz uważa, że zarówno cały Przybytek, jak i jego części składowe, i szaty liturgiczne, bardzo szczegółowo zaprojektowane, były symbolicznym obrazem wszechświata. A szczegółowe instrukcje i arcyściśle przestrzeganie rytuału nie były od rzeczy, skoro za każde niemal uchybienie płaciło się życiem, jak doświadczyli tego synowie Aarona. Kary spadały, chociaż i intencje były bez zarzutu, i formy, aż do nieoczekiwanej zmiany, właściwe. Ale skoro i zwierzęta bywały karane...

Otóż Flawiusz pisze o przedmiotach kultu, że *każdy z nich zamierzony został jako naśladownictwo i wyobrażenie wszechświata. Weźmy najpierw sam Przybytek: dzieląc jego trzydziestołokciową długość na trzy części i przeznaczając dwie części dla kapłanów, jako dostępne dla wszystkich, Mojżesz ma na myśli obraz ziemi i morza, gdyż i ziemia, i morze są dla ludzi dostępne; natomiast trzecią część zachował dla samego Boga, jako że do nieba ludzie nie mają dostępu. Następnie – umieszczając na stole dwanaście bochenków, chce on dać do zrozumienia, iż na tyle właśnie miesiące dzieli się rok (...) siedem lamp kandelabru wyobraża ruch samych planet, których jest siedem. Tkaniny uplecione z czterech rodzajów nici są symbolem czterech żywiołów: byssos zapewne wyobraża ziemię, albowiem z niej wyrasta len; purpura przedstawia morze, jako że zaczerwienione jest ono krwią ryb; błękit musi wyobrażać niebo, a szkarłat jest chyba symbolem ognia. Suknia arcykapłana, utkana z lnu, także oznacza ziemię, a wpleciony w nią błękit – sklepienie niebieskie; owoce granatu wyobrażają na niej błyskawice, a dźwięk dzwonek przedstawia gromy.* I tak dalej, i dalej. Można zwrócić uwagę, że w tych mniej więcej czasach powstawał i TALMUD (jakieś dwa tysiące lat temu), ale przecież tego rodzaju bardzo dowolne interpretacje stosuje się do dzisiaj – na przykład interpretacja symboliczna krzyża harcerskiego. Co prawda, można by też powiedzieć, że każda rzecz stworzona przez człowieka symbolizuje wszechświat. Zresztą nie tylko stworzona, także pomyślana, czyli zinterpretowana.

Zapewne największym darem Boga dla Żydów było odebranie im Arki i zburzenie Świątyni.

Ale na razie nie ma jeszcze Świątyni, jest Przybytek przenośny, co umożliwia kontakt z Bogiem bez konieczności wspinaczki. Toteż całe plemię opuściło wreszcie podnóża Synaju, czyli Horebu, udając się mniej więcej na wschód. Po drodze Bóg kaprysił, czyli okazywał swą moc. Raz trzęsienie ziemi spustoszyło obóz, drugim razem Bóg zaopatrzył wprawdzie narzekających Żydów w przepiórki, ale ich mięso okazało się zatrute. Adonaj skarżył się Mojżeszowi na „twarde karki” ludzi, a ludzie przekonywali się ze swej strony, że Przymierze nie będzie łatwe.

Wędrując rzemiennym dyszlem, dotarli do Chazerot, gdzie rodzeństwo Mojżesza zbuntowało się przeciw niemu, a ostatecznie zapuścili korzenie na dłużej w Kadesz-Barnea, w okolicy dobrze zaopatrzonej w wodę, obecnie na pustyni Negew, tuż za granicą egipską. Tu znowu rozgniewał się na nich Pan, skazując ich na czterdziestoletnią tułaczkę. Powód gniewu jest już dzisiaj nieznany, ale w systemie tego Przymierza człowiek zawsze grzeszył, zawsze postępował źle, zawsze był winny. Już w czasach chrześcijańskich orzeczono, o ile to nie jest jeszcze jedna mądrość żydowska, że nawet największy święty grzeszy siedemdziesiąt siedem razy dziennie. Znane z New Age w różnych formach zalecenie myślenia pozytywnego nie ma tu żadnego zastosowania. Człowiek ma pokutować i strzec się, zresztą bezskutecznie, grzechu. Człowiek jest bowiem z natury nieczysty. *Inter feces et urinam na-scimur* – rodzimy się między łajnem i moczem, potem jest jeszcze gorzej.

Niewiele wiemy o tym, co Izraelici robili przez czterdzieści, a dokładniej trzydzieści osiem lat wygnania, podczas którego wszyscy, co wyszli z Egiptu, poza Jozuem, mieli wymrzeć. Nie wiemy nawet, czy rzeczywiście spędzili ten czas w Kadesz-Barnea, to są raczej domysły. Wiemy, że podjęli próbę podbicia Kanaanu, bardzo nieudaną. Przedtem wysłali zwiadowców, którzy przynieśli dziwną wieść, że w Kanaanie napotkali olbrzymów. Właściwie o olbrzymach mówią legendy wszystkich ludów, i wszystkie podkreślają, że nie wywodzimy się od nich. Ale archeologia nigdy żadnych szczątków olbrzymów nie wykryła – z wyjątkiem Indonezji, ale i to sprawa dyskusyjna. Żydzi wprawdzie jednego prawie olbrzyma spotkali. Był nim Og, władca Basanu. Kiedy po czterdziestu latach Izraelici ruszyli znowu w stronę Kanaanu, król Og zagroził im drogę. A kiedy go pokonali i zdobyli stolicę Baszanu, Rabbat-Ammon (późniejsza Filadelfia, obecnie Amman, stolica Jordanii) – znaleźli w pałacu łóżko króla szerokie na cztery, a długie na dziewięć łokci. Ale przecież nie wiadomo, czy król Og sypiał samotnie. To tyle o olbrzymach.

Nie można rzec, aby Żydzi bezwolnie poddali się Przymierzu. Całe dzieje Mojżesza wstrząsane są skierowanymi przeciw niemu buntami. W Kadesz-Barnea zbuntował się przeciw niemu jego kuzyn Korach. Dowodził, że jest z tej samej rodziny, a znacznie od Mojżesza bogatszy, co było zresztą prawdą. Legendy mówią o nim, że przed wyjściem z Egiptu odkrył i zabrał ze sobą legendarne skarby Józefa. Ale Koracha poraził Adonaj ogniem od jego własnego kadzidła, a z nim razem dwustu pięćdziesięciu stronników, po czym spuścił na obóz zarazę, którą ledwo Mojżesz uśmierzył, ale i tak czternaście tysięcy siedmiuset ludzi umarło. Zaś Aarona utwierdził na kapłaństwie, sprawiając, że jego laska z migdałowego drzewa rozkwitła i równocześnie wydała owoce. Tak się ten bunt zakończył, ale zapewne nie był jedyny. Przyjmuje się, że całe plemię mogło pójść w rozsypkę, że Mojżesz izolowany został z niewielką grupą. Z drugiej strony również przyjmuje się, że Mojżesz wykorzystał ten czas do zintegrowania i pozbierania przeróżnych grup. A na pewno przez cały ten czas zajęty był spisywaniem praw i organizowaniem kultu.

Mojżesz pozostał w tradycji Zachodu nie tylko właściwym twórcą narodu żydowskiego, ale także archetypem prawodawcy. Co zresztą na jedno wychodzi, bo naród żydowski do dzisiaj bywa identyfikowany z religią i zachowaniem praw, przeciwko czemu ostro protestują Żydzi świeccy. Ale właściwie jaką mają sensowną alternatywę? Coś takiego jak „Żyd etniczny” istnieje wyłącznie w wyobraźni antysemitów, co się zresztą do wszystkich rasizmów odnosi. Na przykład serdeczne rozbawienie wzbudziła formuła, w zamyśle pogardliwa, odnosząca się do generała Jaruzelskiego, „etniczny Polak”, zresztą autorstwa innego Polaka, chyba też „etnicznego”. Sens tego był taki, że „etniczny” to jednak za mało. A więc Żyd to tyle co potomek innych, „prawdziwych” Żydów czy też następcą „ideologiczny”? W tym sensie wszyscy chrześcijanie są przecież „nowym Izraelem”, czyli spadkobiercami Mojżesza.

Religia Mojżeszowa formowała się przez długie wieki, a nawet tysiąclecia. W starym państwie żydowskim jeszcze przez długi czas trwało kształtowanie się monoteizmu i prawodawstwa, bo przecież wbrew prawowiernej, żydowskiej tradycji PENTATEUCH, czyli KSIĘGI

RODZAJU, WYJŚCIA, KAPLAŃSKIEJ, LICZB I POWTÓRZONEGO PRAWA bynajmniej nie po-wstały w czasach historycznego Mojżesza ani nie były jego autorstwa. Przecież i Mojżesz musiał coś napisać i być może jakieś fragmenty tego zachowały się w BIBLI. Można przypuszczać, że Mojżesz był raczej natchnionym redaktorem praw, które w przeważającej części istniały na długo przed nim. Co się zresztą odnosi do wszystkich prawodawców świata.

Większość świąt judaizmu współczesnego odnosi się do Wyjścia z Egiptu, do wędrówki na pustyni, przed przyjściem do właściwej, obranej i obiecanej ojczyzny. Nie potrafię powiedzieć, czy ma to jakąś analogię na świecie, bo chociaż wszyscy byliśmy kiedyś wędrowcami i musieliśmy zdobyć swoją ojczyznę, od Sumerów po Węgrów, to przecież po okresie wędrówki żaden uchwytny ślad już nie został. Słowianie na przykład też są przybyszami, ale czy zostało po tym jakiegokolwiek wyraźne wspomnienie? Może polski kult konia i konnicy. Ale cała reszta to już tylko świadectwo narodu osiadłego. Otóż Żydzi są tym niezwykłym wyjątkiem, który dzięki temu, że przechował w pamięci swoją wcześniejszą historię i że późniejsze jego dzieje były, jakie były, jest do dzisiaj narodem koczowników przez swoją tradycję, swoje święta, swoją strategię przetrwania. Obraz ten komplikuje Ziemia Obiecana, ale nie zmienia go zasadniczo. To jest właśnie Obietnica, podobnie jak Obietnicą jest późniejsza zapowiedź Mesjasza. Coś, co się wiekuiście ma stać dopiero nazajutrz.

Religia to dogmaty dotyczące istoty bóstwa i zespół praw, zarówno w sensie *ius* jak i *lex*, czyli przywileju i obowiązku. Punktem wyjścia dogmatyki żydowskiej była koncepcja jednego Boga. Czy od razu już jedyne, to kwestia dyskusyjna (jest tu iście przerażający gąszcz interpretacji). Boga należy kochać – komentarze BIBLI TYNIECKIEJ mówią, że chodziło tutaj jedynie o spełnianie obowiązków religijnych, a nie miłość uczuciową. Czyżby? Chyba można było kochać poszczególnych bogów, kiedy było ich wielu, a za to byli konkretniejsi. Kochać abstrakcyjnego Boga, to bardzo trudne, ale nie niemożliwe.

Dla istnienia narodu i jego przetrwania najistotniejsze było jednak prawo. To, co Żyd musiał robić, jeśli chciał być Żydem. System był teokratyczny, to znaczy, że Jahwe był królem. I wszystko do niego należało, a człowiek był tylko użytkownikiem. Znaczący to, że wszystko było religią, a każdą czynność regulowały religijne przepisy. Z czasem liczba zakazów i nakazów religijnych stała się wręcz ogromna, a dla postronnych wręcz zaskakująca, zwłaszcza, że niektóre z nich wymuszały na wyznawcach lawirowanie między nimi i tworzenie rozmaitych substytutów. Choć był to zarazem kapitalny trening intelektualny.

Przepis religijny regulował nie tylko stosunek do wróżb i czarów, ale także właściwy ubiór, stosowne uczesanie, obyczaje seksualne, a nawet dietę. Ta ostatnia sprawa miała chyba największe znaczenie, bo wszyscy musimy jeść codziennie. Zresztą sami doświadczamy przemożnej siły już uformowanego obyczaju kulinarnego. Nie jadamy przecież psów ani kotów, co na przykład robią Chińczycy, ani w ogóle zwierząt mięsożernych. Z pewnością znaczna część tych ograniczeń ma proveniencję żydowską. Wiele innych przepisów szczęśliwie odrzuciliśmy, a na przykład Arabowie pomnożyli je o zakaz picia wina. Żydom nie wolno było jeść wieprzowiny, co ma mniejsze znaczenie. Nie wolno też było jeść mięsa określonych zwierząt, przeważnie i tak niezbyt jadalnych. Ale ta „niejadalność” to może tylko mój zachodni punkt widzenia.

W ogóle sprawa czystości i nieczystości, nie tylko kulinarnej, miały dla Żydów wyjątkowe wprost znaczenie i przysporzyły im w dziejach wielu nieszczęść. Skąd się biorą, bo nie są tylko specjalnością żydowską? Wydaje się przecież, że stosowanie moralnego czy obyczajowego zróżnicowania do twórców natury nie ma najmniejszego sensu. A przecież wszystkie narody rozróżniają między tym, co „pożyteczne” a „szkodliwe” (no, to już bardziej zrozumiałe, choć równie absurdalne), przyjemne i nieprzyjemne, ładne i brzydkie, dobre i złe. Szczur jest szkodliwy, nieprzyjemny, brzydki i zły, a gęś odwrotnie. Dzisiaj wiemy (?), że jest to krańcowo antropocentryczne, zaś Bóg kocha jednakowo gęsi, ludzi i szczury. Ale dobre i złe nie ogranicza się przecież do samych istot biologicznych. W starym kunszcie chińskim

Feng shui, co oznacza wodę i wiatr, liczy się kompozycja przestrzeni mieszkalnej, która może być korzystna lub nie, z powodów trudno dla nas uchwytnych. Jakościowe traktowanie świata uniemożliwiło powstanie nauki poza Zachodem. Ale dziś zaczynamy do tego powracać.

Żydowskie czyste i nieczyste odpowiada siedlisku duchów dobrych i złych, obszarom harmonii *in* i *jang* lub strefom nieharmonicznym, pokarmom zasadowym lub kwasowym i tak dalej w innych kulturach. Absolutyzacja tego podziału, jego ścisłe przestrzeganie i postępująca rygorystyka stała się cywilizacyjnym znamiem Żydów.

Innym niezmiernie ważnym prawem zapoczątkowanym przez Mojżesza był obowiązek przestrzegania odpoczynku każdego siódmego dnia tygodnia, czyli szabat. Norma, którą przyjął cały świat. Z czego to mogło wynikać? Badania archeologiczne wykazały, że siódemka miała ważne znaczenie już w paleolicie jako ćwiartka miesiąca księżycowego liczącego dwadzieścia osiem dni, a pamiętamy, że Terachidzi, czyli rodzina Abrahama, wyznawali prawdopodobnie kult księżyca. Czy to ma jakiś związek, po prostu nie wiem. Ale rzecz jest możliwa. Rzymianie dzielili czas na dekady, w samej Mezopotamii wielkie znaczenie miała dwunastka.

Nie wiem, czy szabat był pierwszym w dziejach regularnym okresowym dniem wypoczynku. Bardzo możliwe. Ale miał on i inne znaczenie – w regularny sposób dzielił czas na święty i świecki. Kazimierz Żygulski dowiódł, że taki podział czasu jest wszechobecny i dotyczy nawet „realnego socjalizmu”, natomiast prawdziwym problemem staje się w naszej epoce „czas wolny” – ani pracy, ani święta, do czego ludzkość po prostu nie przywykła i nie wiadomo, czy przywyknie. Otóż szabat był czasem regulowanym wieloma przepisami, czas wolny zaś jest właśnie dowolny. Chrześcijańska niedziela wyrasta wprost z przetworzonego i przesuniętego szabat. Kary za naruszanie zasady siódmego dnia poświęconego Bogu zawsze były bardzo surowe. BIBLIA opowiada, jak to Mojżesz pewnego razu przyłapał człowieka zbierającego w szabat chrust na opał i kazał go za to ukamienować.

I znowu minęło czterdzieści lat. Skończył się czas pokuty, Izraelici ruszyli ku skrajowi Kanaanu.

Mieli do przejścia mniej więcej tyle, co z Warszawy do Radomia, licząc od Kadesz-Barnea do Hebronu. Ale musieli iść drogą okrężną. Na wschód od doliny Jordanu leżały krainy, licząc od południa: Edom, Moab, Ammon, Gilead, znany bardziej jako Galaad, i Baszan. W Edomie mieszkali potomkowie Ezawa, którzy kiedyś w przyszłości mieli dać Jerozolimie dynastię królów hasmonejskich z Herodem, a ich kraj miał się w rzymskich czasach zwać Idumeją. Nie przepuścił przez swoje terytoria potomków Jakuba, trzeba było obejść je od południa, od brzegów zatoki Akaba. W Moabie i Ammonie żyli potomkowie Lota, czyli właściwie była to podróż rodzinna, ale jak to w rodzinie, wszyscy nienawidzili się serdecznie. Król Moabu, Balak, próbował odpędzić nacierające szyki Mojżeszowe za pomocą magii. W tym celu posłał po wielkiego maga Balaama, aby przeklął Izraelitów. Bóg jednak sprzeciwił się temu, a samemu Balaamowi zagroził drogę anioł widziany tylko przez Balaamową oślicę. I kiedy jeździec bił wierzchowca, który nie chciał iść dalej, doszło do sławnego dialogu między oślicą i czarnoksiężnikiem. Oślica ofuknęła Balaama, a następnie on sam zobaczył anioła. Gdy jednak miało dojść do uroczystego wyklinania, Balaam zamiast przeklinać – błogosławił Izraela. I tak było trzykrotnie. Wydarzenie bardzo tajemnicze, nie wiemy, skąd był Balaam, choć podobno znad Eufratu, ani dlaczego BIBLIA temu epizodowi poświęca tyle miejsca. Na dodatek Balaam został zabity przez samych Izraelitów w jakiejś potyczce z Madianitami.

Izrael jeszcze nie miało wojować, a to z królem Aradu, a to z Sychonem, królem Amorytów, a to z Ogiem, ostatnim olbrzymem z Refaitów. Były to wojny święte, gdzie przeciwnika okładano klątwą – *cheremem*. Polegało to na tym, że wszystkich, poza małymi dziećmi, zabijano, a zdobycz palono. W efekcie zdobyto cały wschodni brzeg Jordanu, od góry Hermon

na północy po rzekę Arnon wpadającą do Morza Martwego. Obóz założono w Szittim, na nadjordańskiej równinie Moabu, naprzeciwko Jerycha.

Tam właśnie dopełnił się los Mojżesza. Miał lat sto dwadzieścia i dawno już przekazał sprawy wojenne Jozuemu. Aaron zmarł już wcześniej na górze Hor. Siostra Miriam nie żyła także. Bóg zaprowadził Mojżesza na górę Nebo (szczyt Pisga), tę samą, na której Balaam tak, bardzo zawiódł Balaka, i pokazał mu całą Ziemię Obiecaną, aż po Morze Śródziemne. Wejść do niej nie było mu wolno. *Następnie* – mówią uczeni rabini – *ucałował go i zabrał jego duszę do nieba*.

Góra Nebo leży na wysokości północnego krańca Morza Martwego, o parę kilometrów od dzisiejszej granicy Izraela. O śmierci Mojżesza niektórzy autorzy formułują najrozmaitsze hipotezy, między innymi taką, że został zamordowany. Podobno przez Moabitów, ale przecież najczęściej wojował z własnym ludem. Gdzie jest jego grób, nie wiadomo i nie wiadomo tego już w czasach najdawniejszych. Bardzo to dziwne, ponieważ znane są poza tym wszystkie groby patriarchów, a tutaj i BIBLIA, i tradycja przyznają się do niewiedzy.

Nasze wyobrażenia o Mojżeszu ukształtował posąg Michała Anioła przedstawiający ogromnego, brodatego mężczyznę z rogami. Podobno papież Juliusz II, zamawiając posąg, określił go zamiast *coronatus* – ukoronowany, mianem *cornutus* – rogaty. W BIBLII natomiast znajdujemy passus, w którym Mojżesz wracający z jednego ze spotkań z Bogiem ma twarz *qaran*, czyli „promieniującą” albo „rogatą”. W BIBLII jest także porównanie Boga do rogów bawołu (w prorocत्वach Balaama). Ale i Aleksander Wielki bywał przedstawiany z rogami. Być może przez przypadek. Tak więc trwały rogate znaki zodiaku – najpierw byk, potem baran; zamiast Mojżesza, który przepadł na Synaju, wystawiono ludowi – cielca. Zapewne też rogatego. Czy te zbieżności cokolwiek znaczą, nie wiem. Ale tak właśnie przedstawiano pół-bogów.

Ziemia Obiecana

Przejście Jordanu to coś w rodzaju późniejszego Cezarowego przejścia Rubikonu. Po jednej i po drugiej stronie były krainy podobne jedna do drugiej, oba brzegi Jordanu tak samo żyzne, góry Judei z przodu i góry Jordanii z tyłu tak samo ponure, nagie i bezwodne. Zresztą nawet i tutaj, na wschodnim brzegu Jordanu, kilka plemion izraelskich wykroiło sobie stałe siedziby i teraz trzeba je było specjalnie przywoływać na wojenne wyprawy.

Od czasów Jakuba minęło pięćset lat. Co się właściwie zmieniło w Kanaanie, jak odmieniło się oblicze Ziemi Obiecanej? Może przybyło miast, ale akurat na tym terenie ludzie mieszkali od tysiącleci. Na pewno ubyło lasów, bo ich ubywa zawsze, ale wiemy, że na przykład pokolenie Józefa skarżyło się, przy okazji wytyczania terytoriów plemiennych, na konieczność trzebieży. Do dewastacji gruntów rolnych jeszcze nie doszło. Na przykład w Mezopotamii, bardzo przecież intensywnie eksploatowanej, ziemia obróciła się w pustynię dopiero w średniowieczu.

Nie było zresztą tak, by widok Kanaanu stanowił dla Żydów całkowite zaskoczenie. Wiemy dzisiaj, że wielu z nich nigdy z Kanaanu nie wyjechało i jakieś kontakty z pewnością były, chociaż raporty zwiadowców Mojżesza zdają się świadczyć o czymś innym. Ale przyjmuje się współcześnie, że pochód Jozuego był w istocie zapisem długiego procesu osadnictwa, które pewnie i zaczęło się wcześniej, i skończyło później. Proces integracji plemion kananejskich trwał całe stulecia, a w BIBLII są tego liczne, choć raczej pośrednie, świadectwa.

My, Polacy, mieliśmy w dwudziestym wieku swoje ziemie odzyskane i utracone, na których mieszkały pokrewne nam, bo indoeuropejskie plemiona germańskie lub słowiańskie, więc mamy jakieś wyobrażenia o tym, jak taki proces militarnego zasiedlania przebiega, jak się dorabia do faktów słuszną ideologię, jakie jest okrucieństwo tego wszystkiego. A obyczaje łagodniejsze nie były. Ale to zabawne pomyśleć, że już Izraelczycy śpiewali coś w rodzaju *Spoza gór i rzek, wyszliśmy na brzeg... na zachód marsz!* A BIBLIA dowodzi, że śpiewali wiele.

Podbój Kanaanu, jak zresztą następujący po nim okres sędziów, podobnie jak wędrówka Mojżesza, pełen jest legendarnych postaci i znaków dla późniejszych czasów w różnym sensie wieszczych i przysłowiowych. Inwazja została poprzedzona zwiadem, który znalazł schronienie u „nierządniczy” i właścicielki oberży, Rachab, za co ta zyskała zapewnienie, że wojska Jozuego ją oszczędzą. *Nota bene* trzeba zwrócić uwagę, że prostytutka na starożytnym Wschodzie nie była wcale sprawą wstydliwą, a miała najczęściej charakter sakralny, i że dzieci szczyły się takim pochodzeniem. Zresztą jeśli macierzyństwo jest, „rzeczą świętą”, to dlaczego poprzedzające je zbliżenie erotyczne ma być sprawą naganną?

Po licznych obrzędach oczyszczalnych wojska żydowskie, których miało być *czterdzieści tysięcy mężów*, przyszły nad brody Jordanu. A tu wydarzył się cud, taki sam, jak podczas przejścia przez Morze Czerwone: rzeka zatrzymała się i można było przez nią przejść suchą nogą. Na zachodnim brzegu, w Gilgal, które miało się stać pierwszą kananejską stolicą Izraela, ustawiono dwanaście pamiątkowych kamieni, wydobytych z dna Jordanu, dokonano zbiorowego obrzezania i świętowano Paschę.

Znamy przebieg oblężenia Jerycha, bo stał się legendą szczególną, wszyscy pamiętamy o trąbach jerychońskich. Przez siedem dni Żydzi okrażali miasto z połocistą Arką, grając na

rogach. Siódmego dnia okrążyli je siedmiokrotnie, trąby zagrały, wojska wrzasnęły i mury runęły. Dlaczego tak się stało, to wiekiusty kłopot interpretatorów, zapewne trzęsienie ziemi albo rezonans. Miasto zdobyto, obłożono *cheremem*, tylko Rachab z jej wątpliwą w naszym rozumieniu rodziną (pewnie była tam i niewielka agencja towarzyska) została ocalona i przyjęta przez Izrael z honorami. Miała teraz do dyspozycji owe czterdzieści tysięcy mężów.

Tak zaczęła się kampania toczona przez wiele lat ze zmiennym szczęściem. Zawiązywały się koalicje wrogie Izraelitom, to znów zyskiwali oni sojuszników i poddanych. Pewnego razu słońce stanęło w miejscu, przedłużając dzień, aby Izraelici mogli dopełnić zwycięstwa. To znów przyszło niepowodzenie, gdyż jeden z wojowników przywłaszczył sobie kosztowności i płaszcz przynależne Bogu z miasta objętego *cheremem*. No i trzeba było go ukamienować, po czym karta znowu się odwróciła.

Zawojowano łącznie trzydzieści jeden królestw. Tak się to szumnie nazywało. Nie trzeba jednak mierzyć rzeczy miarą dzisiejszego państwa. Były to przecież królestwa złożone z jednego miasta, z reguły bardzo małego, o wielkości dobrego boiska szkolnego. Ludność mieszkała w przeważającej mierze na zewnątrz, chroniąc się w razie niebezpieczeństwa za murami. W środku znajdował się pałac władcy, świątynia i targ. Było tych miast-państw więcej niż trzydzieści jeden. Nie wszystkie zdobywano – Sychem na przykład było zapewne miastem żydowskim od bardzo dawna, od czasu zdobycia go przez synów Jakuba, mszczących się za gwałt czy uwiedzenie swojej siostry Diny. Równina nadmorska od Tyru po Gazę była w rękach Fenicjan i Filistynów. W ogóle morze nie było nigdy żydowską specjalnością, podobnie jak do ostatnich czasów i polską. W środku ziem opanowanych przez Żydów leżała niezdobytą przez wieki, aż do czasów króla Dawida, Jerozolima Jebusytów. Była to więc, mimo żydowskich triumfów, mozaika miast, ludzi i bogów.

Twierdzi się, że Kananejczycy, lud semicki, mieli wyższą kulturę od Żydów. Zapewne była to normalna przewaga narodu osiadłego nad nomadami. Wyrażała się w budownictwie, dziełach sztuki, uprawie roli – nie jestem pewien, czy także w kulturze duchowej. Ale właśnie pod wpływem autochtonów Żydzi popadali w politeizm, do którego i sami mieli skłonność. Wszystko to jednak zintegrowało się mniej więcej pod ciśnieniem monoteistycznym, co trwało wieki.

Na razie dokonano podziału zdobyczy. Pierwszy podział nastąpił jeszcze w Gilgal, kolejny w Szilo. Józef miał dwóch synów. Podzielono wszystko na części dwanaście. Lewici nie dostali ziemi, tylko miasta i jedną dziesiątą przychodu narodowego brutto na swoje utrzymanie. Odtąd następuje częściowe rozluźnienie więzi plemiennej, „pokolenia” jednoczą się tylko w niektórych przypadkach.

Sędziwy Jozue – miał wtedy sto dziesięć lat – zwołał do Sychem wielki zjazd wszystkich pokoleń Izraela i potwierdził Przymierze, które właściwie zawsze kruszyło się po odrobinie, a nietknięte trwało tylko w diasporze. El Kanna – Bóg Zazdrosny wyciągał z tego stosowne wnioski. Starzec powiedział pięknie: *a oto, ja idę dziś w drogę wszystkim ziem* i został pochowany w Timnat-Serach, w górach Efraima, na północ od góry Gaasz. Nawiasem mówiąc, Jozue to po prostu Jezus, Flawiusz tak właśnie go nazywa.

Ziemia Obiecana była może najstarszym obszarem cywilizowanym świata. W każdym razie to tutaj właśnie odkopano najstarsze miasta – Jerycho, Ugarit, Byblos, sięgające siódmego, a nawet dziewiątego tysiąclecia przed naszą erą. Sama ludność zmieniała się wprawdzie niejednokrotnie, w trzecim tysiącleciu przybyły tu plemiona semickie, ale przecież poszczególne ludy przekazywały sobie nie tylko samą ziemię, lecz także bogów, obyczaje i rzemiosła. Nawiasem mówiąc, z Ugarit pochodzi najstarszy alfabet świata, z czternastego wieku p.n.e., a od nazwy Byblos pochodzi także nasza biblioteka i nazwa PISMA ŚWIĘTEGO – BIBLIA. Żydzi przeszli więc przez szkołę pisma klinowego, potem zetknęli się z hieroglifami, aż wreszcie skończyli na alfabecie. A w ogóle starożytna Syria, której Kanaan był częścią południową, stanowiła obszar, gdzie krzyżowały się przeróżne wpływy kulturalne. Najściślejsze

związki łączyły ten pas ziemi nad Morzem Śródziemnym z Mezopotamią i jej rozlicznymi cywilizacjami, ale na południu był Egipt, na północy Hetyci, na morzu leżała Kreta i cała cywilizacja minojsko-egejska, a z czasem pojawiła się i Grecja. Toteż zabytki tego okresu, szczątki mebli, wyposażenia świątyń i pałaców, garnki, wazy i amfory, posągi bogów i wizerunki władców, noszą znamiona najróżniejszych wpływów. Żydzi byli ubogimi nomadami, którzy pewnie więcej niszczyli, niż rabowali, ale przecież i oni, chcąc nie chcąc, podlegali przemożnej sile wyższej, a w każdym razie bardziej złożonej kultury.

Miasta były, jako się rzekło, niewielkie. Otoczone wysokimi murami, miały także mury wewnętrzne. Domy budowano od tysiącleci podobne, z tym że początkowo okrągłe, a później prostokątne. Właśnie te prostokątne konstrukcje zlepiano ze sobą tak, że ostatecznie tworzyły labirynt zaułków i ślepych uliczek. W jakiejś mierze owa architektura dobudówek przetrwała aż po żydowskie miasteczka wschodniej Polski. Pośrednim etapem było getto ze swoją niezmierną szczupłością miejsca. Ponad tym labiryntem zaułków, za osobnym murem wznosił się, jeśli się dało, na pagórku, pałac władcy i świątynia. Król najczęściej był głównym kapłanem, a do personelu świątynnego zaliczały się także kapłanki-prostytutki, zresztą prostytutki męskie także.

Bogów było bardzo wielu. Na czele panteonu stał prastary El, twórca kosmosu i jego żona Aszarte – Aszera, bogini miłości i wojny, pani urodzaju. Ich synem był młodzieńczy Baal, a córką dziewicza Anat. Baal stale wojował z ojcem i w istocie to on stał się bogiem najwyższym, bogiem życia. Jego największym przeciwnikiem był inny syn Ela, Mot, bóg podziemia i śmierci. Był tam jeszcze bóg morza Jamm i bóg wszelakich kunsztów technicznych – Kozsar. Bogowie to wojowali ze sobą, to się godzili i hucznie ucztowali. Mieli wiele rozmaitych imion, otoczeni byli czeredą bogów pomniejszych – znamy tę sytuację z mitologii greckiej, *nota bene* silnie spokrewnionej z syryjską i mezopotamską.

Bogowie niekoniecznie przebywali w miejskich świątyniach, można ich było spotkać przede wszystkim w górach, nad źródłami i wśród drzew. Składano im krwawe ofiary, niekiedy z ludzi, ale podejrzewam, że najpopularniejsza była ofiara z seksu – bardzo przyjemny sposób modlitwy. Religia kananejska, podobnie jak inne wczesne religie, miała bardzo silny wątek seksualny. Były to przecież kultury płodności, od najdawniejszych czasów eksponowały nagą kobietę-boginię i nic dziwnego, że STARY TESTAMENT był wielokrotnie redagowany i poprawiany w myśl założeń monoteizmu, tak że został ostatecznie uformowany właśnie przeciw tym malowniczym bogom i związanym z nimi kultom i obyczajom. Zaciekłość nie była bez przyczyny. Naród żydowski mógł się łatwo roztopić we wszystkich napotykanym w historii diasporach, a przez długi czas nawet w swojej własnej Ziemi Świętej. W każdym razie monogamia to pieśń dalekiej przyszłości, a monoteizm podobnie. Jeszcze Salomon wystawił świątynię dla Astarte. Podobnie istnego kręcka mieli Izraelici na temat małżeństw mieszanych, dzięki czemu, nawiasem mówiąc, stali się arcywzorem nacjonalizmu i nietolerancji. Co prawda KSIĘGA RUT uprawnia i nobilituje także i takie małżeństwo – król Dawid wedle niej miał prababkę Filistynkę, ale przecież w tak mieszanym otoczeniu musiało bywać ogromnie rozmaicie. Norma musiała zabraniać, ale i dopuszczać.

KSIĘGA SĘDZIÓW przyznaje, że nie udało się opanować całej Ziemi Obiecanej, ale *ze względu na dobro pokoleń izraelskich, aby je nauczyć sztuki wojennej*, Pan pozostawił przy życiu różne narody. Było to pięć królestw filistyńskich, poza tym Kananejczycy, Hetyci, Amoryci, Peryzzyci, Chiwwici i Jebusyci, wśród których mieszkali, *żenili się z ich córkami i własne swoje córki dawali ich synom za żony*. Proces unifikacji trwał długie stulecia, a dziedzictwo kulturalne wszystkich tych plemion miało, podobnie jak wcześniejsze narody Mezopotamii, kształtować także świat dzisiejszy, i to nie tylko Żydów czy nawet chrześcijan.

Na razie przez dwa stulecia, aż po wiek jedenasty p.n.e., miała trwać półlegendarna epoka sędziów – *sof(e)tim*. Kto to byli sędziowie? Niezupełnie formalni przywódcy, którym udało się dla wspólnych, militarnych na ogół, celów zjednoczyć kilka plemion izraelskich. Pełnili

oni zarazem rolę rozjemczą między poszczególnymi pokoleniami, ale swoje znaczenie zawdzięczali nie tylko zaletom charakteru, lecz i zwyczajnie sile fizycznej. Z drugiej jednak strony owi sędziowie zawsze byli uważani za przykład siły moralnej, stanowili dla Żydów, jak i dla protestantów, wzorzec postępowania i wdzięczny temat pouczeń. Jak się zdaje, protestanci pozostawili Żydów pod tym względem daleko w tyle.

Sędziów było prawdopodobnie dwunastu, sześciu większych i sześciu mniejszych. Do „większych” należeli: Otniel, Ehud, Barak, Gedeon, Jefte i Samson, a do „mniejszych”: Szamgar, Tola, Jair, Ibsan, Elon i Abdon. BIBLIA poświęca im niejednaką ilość miejsca. Na pierwszy plan wybijają się trzy opowieści: o Baraku, Gedeonie i Samsonie, przy czym i Jefte jest na miejscu prawie poczesnym, ale to dla szczególnego ślubu, jaki uczynił, a mianowicie, że poświęci Bogu, po ewentualnym zwycięstwie nad Ammonitami, pierwszą osobę, która wyjdzie mu na spotkanie. Pierwsza wyszła jego ukochana córka. Motyw znany z tylu baśni, że i ta historia wygląda na zmyślenie, ale komentatorzy twierdzą, że zdarzyła się rzeczywiście. Cóż, prawo Mojżeszowe zabraniało składania ofiar z ludzi, ale coś tam przecież było z Izaakiem... Tu żaden anioł nie wstrzymał ręki ojca, Jefte córkę zabił i spalił na ołtarzu.

Ale wcześniej jeszcze był Barak. Właściwym sędzią była jednak Debora, wielce rzadki przypadek wśród kobiet, a Barak jedynie wykonawcą jej koncepcji strategicznych. Pobili oni we dwójkę Jabina, króla kananejskiego z Chazoru, a ściślej rzecz biorąc, jego wodza Sisere, co nastąpiło na górze Tabor. Samego zaś Sisere zabiła zdradziecko niejaka Jael, żona Chebera. Sisera szukał schronienia w jej namiocie, gdzie usnął wyczerpany, a Jael przybiła mu skronie do ziemi za pomocą palika od namiotu i młota. Tak więc w tej opowieści występują aż dwie kobiety. Nas mogłoby zainteresować zestawienie Debory z naszą Joanną d'Arc, bo pełniły analogiczne funkcje. Ale Debora nie była dziewicą, dziewictwo bowiem w Izraelu hańbiło. Była prorokinią i sędzią, ale zarazem żoną niejakiego Lappidota. Poza tym obie miały widzenia, obie walczyły w wojnie wyzwoleniczej i obie były właściwymi inspiratorkami wydarzeń. Deborze jest przypisywany poemat-pieśń o zwycięstwie. Nie tylko Ho Szi Min i Mao Tse-tung byli poetami. Zdarzało się to i władcom Izraela z Dawidem na pierwszym miejscu.

Potem zagrozili Izraelowi Madianicy, szczególnie przez ustawiczny rabunek plonów. I wtedy na sędziego wybił się Gedeon, syn Joasza z Ofry, co prawda zachęcony i przez jakiegoś anonimowego proroka, i przez anioła. Miało to najpierw ten skutek, że Gedeon zniszczył ołtarz Baala, *nota bene* wystawiony przez jego własnego ojca, za co otrzymał nowe imię Jerubbaal, natomiast sam zbudował Jahwe inny ołtarz o nazwie Jahwe Szalom, czyli Pan Pokoju, po czym oczywiście Bóg zaczął skłaniać go do wojny. Potem doszło do swoistego kuszenia Boga przez Gedeona i wystawiania go na różne próby związane z osiadaniem rosy to na owczym runie, to na samej ziemi. Pan przychylnie zniósł te próby, ale ze swojej strony zrewanżował się próbą dla Gedeona: tylko ci wojownicy otrzymali prawo walki, którzy nad rzeką pili wodę z garści, a nie wprost z nurtu *modo bestiarum*. Ciekawe, że podobną anegdotę opowiadano także o Aleksandrze Wielkim. PISMO podaje, że ołtarz Gedeona stoi w Ofrze „do dzisiaj”, tylko kiedyż minęło owo „dzisiaj” i gdzie podziła się sama Ofra?

W każdym razie Madianitów pokonano i ścigano aż za Jordan. Po czym znowu odstąpiono od Jahwe na rzecz Baala, a tyniecki komentator boleściwie dodaje, że poszło o *nierząd sakralny*. W każdym razie po śmierci Gedeona jego syn Abimelek koronował się na króla, co było ważną, acz nietrwałą nowością. Przy okazji wyrznął siedemdziesięciu przyrodnich braci, co stało się w przyszłości naturalnym prawem rodzinnym w Wysokiej Porcie Otomańskiej. Panował tylko trzy lata, bo zbuntowali się możni z Sychem, które wówczas było centrum Izraela, między górami Ebal i Garizim, mniej więcej tam, gdzie była później Samaria, a dzisiaj jest arabski Nablus. Zbuntowanych możnych spalił w podziemiach świątyni Baala, ale z kolei zbuntowało się Tebes. A tam jakaś kobieta rozbiła mu głowę kamieniem od żaren. Abi-

melek, uważając śmierć z ręki kobiety za hańbę, kazał się dobić własnemu giermkowi, o czym donosi PISMO z niejakim zdziwieniem.

Najsłynniejsze, a zarazem najbardziej literackie były dzieje Samsona z pokolenia Dań, mieszkańca pobrzeża Morza Śródziemnego, na którym rozłożyły się państwa-miasta Filistynów. Jest to mit tak powszechnie znany, że właściwie nie ma sensu go relacjonować – czyny Samsona, zbliżone do tego, co robili Wyrwidąb i Waligóra, są kreacją anegdotyczno-pedagogiczną dającą się literacko i w ogóle kulturowo wyzyskać na wszelkie możliwe sposoby, poważne i niepoważne. Od tragedii po humoreskę. Samson był przecież playboyem, jego związki z kobietami były liczne i to właśnie przez kobietę nastąpił jego upadek. Zresztą już poprzednio popadał przez inne partnerki w różne tarapaty. Oczywiście, płynie stąd także nauka moralna, żeby się nie zadawać z cudzoziemkami albo żeby słuchać rodziców, albo jedno i drugie. Cóż, Samson to inne wcielenie Herkulesa, który był wprawdzie mocarzem, ale nie intelektem. Wyrwał drzewa, rozwałił bramy miejskie, ale zaufał kobiecie i to nie po raz pierwszy. Co się zawsze fatalnie kończyło. Kobiecie wierzyć nie wolno! – mówi PISMO. Współcześnie trzeba dodać, że nie wolno ufać i mężczyźnie.

Można historię Samsona interpretować także inaczej. Przypomnijmy, że narodzony z matki początkowo bezpłodnej i zapewne starszej, co jak wiemy, zdarzało się w STARYM TESTAMENCIE niejednokrotnie, został obiecany przez anioła, ale pod warunkiem, że zostanie nazirejczykiem. Nazireat, szczególne poświęcenie człowieka Bogu, czasowe bądź dożywotnie, ustanowiony jeszcze na Synaju (a może i wcześniej), narzucał pewne ograniczenia. Nie wolno było pić wina ani octu winnego, nie wolno było w ogóle jeść winogron, zbliżać się do trupa ani ścinać włosów. Stąd sekret Samsona wyłudzony od niego przez Dalilę może nie dotyczył samych włosów jako takich, ale złamania ślubowań nazirejskich. Z drugiej strony jednak, pomijając już to, że Samson nie ostrzygł się świadomie, odrośnięcie włosów spowodowało powrót mocy. Po czym, jak wiemy, obalił całą świątynię, grzebiąc pod gruzami i siebie samego, i Filistynów. Stał się tym samym prototypem literackim takich postaci, jak Ordon czy Wołodyjowski, bo rzecz stała się wykonalna po wynalezieniu środków wybuchowych. Wydarzyło się to w Gazie, archetyp dla współczesnego Izraela raczej fatalny, bo stąd właśnie wywodzą się fundamentalistyczni arabscy terroryści-samobójcy. Dwuznaczny patronat Samsona może służyć wszystkim, bo rzekomo dzieło zniszczenia w dobrej sprawie jest święte jak dzieło stworzenia – powiada Mickiewicz. Hm...

W tym właśnie mniej więcej czasie zaczyna się proces integracji politycznej dawnego Izraela. Ale tu się rodzą mnogie wątpliwości. Integracja narodowa jest ideałem (?) z naszego, nowożytnego punktu widzenia. Niekoniecznie musiała być ideałem dla samych zainteresowanych. Było chyba ogólnoswiatową regułą, że ludzie żyli we względnym rozproszeniu, podzieleni na drobne wioski czy plemiona, z dala od danin czy podatków. Dzisiaj specjalizacja jest tak ogromna, że nawet wielomilionowe państwo nie może liczyć na to, że będzie miało fachowców w każdej dziedzinie. Ale też ogólnoswiatowy obieg informacji umożliwia cywilizowanym i bogatym krajom udział w postępie społeczności ludzkiej. Wczesnohistoryczne społeczności były w daleko większym stopniu samowystarczalne. Łączyły się, raczej rzadko, w wypadku zagrożenia.

Izrael nie był ogromnym krajem, nawet jeśli doliczyć zajordańskie terytoria dzisiejszej Syrii i Jordanii. Ale łączna populacja razem z dawnymi Kananejczykami też nie była ogromna. Więcej było pól, a nade wszystko pastwisk, zresztą i lasy nie były taką rzadkością, miasta tkwiły w tym wszystkim jak maleńkie rodzynki w cieście. Trochę wojowały ze sobą, ale ogólnie układało się mniej więcej znośnie. Prawdziwe niebezpieczeństwo zagrażało od strony morza, gdzie rozciągały się miasta-państwa Filistynów, ale z BIBLIJ wynika, że i z nimi stosunki bywały raczej sąsiedzkie, albo od wschodu, ze strony plemion pustyni. Jeśli idzie o trochę dalszych i rzeczywiście potężnych sąsiadów: Egipcjan, Asyryjczyków, Chaldejczyków, to i tak największa integracja polityczna Izraela byłaby wobec nich bezradna. Co się zresztą w przyszłości nieraz okazało.

Ale jedność jest postrzegana jako wielki atut polityczny i ideowy, a twórcy i redaktorzy BIBLIJ podzielali ten pogląd. Jest paradoksem, że Żydzi w Izraelu zawsze byli skłóceni (podobnie jak inne narody na swojej ziemi), a prawdziwą jedność osiągnęli dopiero w diasporze. Dopiero tam zaczęli stanowić monolit, przede wszystkim ideologiczny i obyczajowy, a w pewnej mierze i polityczny, jeśli wziąć pod uwagę komunizm czy syjonizm. A kiedy wrócili do Ziemi Obiecanej, wzięli się ponownie za łby. W każdym jednak razie towarzyszył im świetlany przykład scentralizowanej monarchii Dawida i Salomona.

Ale to właśnie Filistyni stali u początku impulsu zjednoczeniowego i bez ich presji pewnie nic takiego by się nie zdarzyło. W tym właśnie sensie Niemcy z Rosjanami pospołu byłiby dobroczyńcami narodu polskiego. Filistyni byli zamorskimi przybyszami, być może z greckiej Achai, którzy na wybrzeżu Morza Śródziemnego założyli swoje ufortyfikowane miasta, jak Gaza czy Aszdod. Otóż stosunki między nimi a Żydami były istotnie sąsiedzkie. Żydzi nie mieszkali nad samym morzem, zajmowali wyżyny, ale to sąsiedztwo układało się rozmaicie. Z jednej strony nie tylko Samson figlował z Filistynkami, rozliczne związki z Filistynami łączyły samego Dawida i wielu innych. Konflikt miał naturę technologiczną – Filistyni strzeżli swego monopolu na żelazo i nie pozwalali żydowskim kowalom robić z niego narzędzi, a przede wszystkim broni. Żelazo było bowiem u schyłku drugiego tysiąclecia przed naszą erą nowinką techniczną i surowcem strategicznym.

Poza tym Filistyni nie poprzestawali na swoich nadmorskich siedzibach, lecz powoli, a stanowczo przenikali w głąb kraju. Parę stuleci trwała ta presja, zmuszając żydowskie plemiona do współdziałania i obrony. Wojna toczyła się ze zmiennym szczęściem, przegradzana okresami pokoju i porozumień. Bohaterowie izraelscy, Samuel, Saul i Dawid na zmianę przegrywali i wygrywali. Były sławne bitwy i kampanie. W ostatecznym niebezpieczeństwie Żydzi sprowadzili z Szilo, gdzie rezydowała, samą Arkę Przymierza, spodziewając się, że zapewni im zwycięstwo. Niestety, ponieśli kolejną, tym razem druzgoczącą porażkę, a sama Arka dostała się w ręce Filistynów. A wtedy zaczęły na zwycięzców spadać tajemnicze klęski, epidemie i pomory, więc po niedługim czasie Arkę zwrócili, nie ośmielając się jej zniszczyć.

Wojny filistyńskie skończyły się zdecydowaną klęską tego „ludu morza”, zasileniem żydowskiej puli genetycznej pierwiastkiem protogreckim i całkowitą asymilacją. Wzory z ceramiki filistyńskiej, bo ceramika była specjalnością Filistynów, przeniknęły do wyrobów żydowskich, a pamięć o nich pozostała jedynie w słowie „Palestyna”. A jeśli do dzisiaj Żydzi chlubią się Dawidowym pochodzeniem, to nikt z nich nie szczydzi się pochodzeniem od Goliata, a przecież i to nieomylnie tkwi w genach tego narodu.

Historia, która stała się udziałem twórców izraelskiej monarchii, jest niemal tak słynna, jak dzieje Abrahama czy Mojżesza, a znacznie bardziej historyczna w sensie jasności i sprawdzalności. Choć też nie do końca: BIBLIA opowiada o tych sprawach raz tak, raz owak, mieszają się źródła wysławiające poszczególnych bohaterów z ganiącymi ich srodze. Ale to już normalna ludzka przypadłość czy może przywilej. Pełno w tych dziejach wzniosłości, ale też i nikczemności, bohaterstwa, ale i zdrady, słowem, dobra i zła. Stały się one podstawą niezliczonych legend i anegdot, przysłów, przypowieści, przykładów dobrych i złych. Nie ma przecież narodu – może poza Chińczykami – tak blisko i serdecznie zżytego ze swoją historią. My, dzieci stosunkowo młodego narodu, możemy jedynie patrzeć na to w niemym podziwieniu.

Otóż gdzieś na przełomie dwunastego i jedenastego stulecia p.n.e. żył w Szilo, ówczesnej stolicy duchowej Izraela i miejscu pobytu Arki, dobry i pobożny arcykapłan Heli, który miał dwóch złych synów, a był przedostatnim sędzią. I była sobie niewiasta pobożna, żona niejakiego Elkany, do czasu bezpłodna – jak każda niemal matka żydowskiego bohatera, która uczyniła ślubowanie, że ewentualnego potomka zrobi nazirejczykiem. Kiedy więc w wyniku stosownej pielgrzymki urodziła syna, nazwawszy go Samuelem, oddała na wychowanie do świątyni w Szilo właśnie Helemu. Samuel miał się stać ostatnim sędzią, arcykapłanem, twór-

cą królów i prorokiem. I jak to wszyscy prorocy wieścił przeważnie klęski i nieszczęścia. Zadebiutował na osobie Helego, swego wychowawcy, któremu przepowiedział rychłą karę bożą. Co się rzeczywiście sprawdziło, bo synowie Helego, o wdzięcznych imionach Murzyn i Kijanka, czyli Pinchas i Chofni, uczestniczący w tej nieszczęsnej bitwie, w której Żydzi stracili Arkę, zostali zabici, a Helego na wieść o tym trafiła apopleksja. Samuel został jedynym następcą i autorytetem.

Przez dwadzieścia lat Samuel władał Izraelem. Potem chciał przekazać swym dwu synom funkcję sędziów, ale ci synowie, jak poprzednio synowie Helego, nie dorosli do sprawowanego urzędu. Wobec tego lud izraelski zaczął się domagać namaszczenia króla. W Samuele nie wzbudziło to entuzjazmu: Izrael miał przecież króla! Był nim sam Jahwe, który zresztą osobiście sarkał wobec Samuela na niewdzięczność ludu, ale jednak przychylił się do jego prośby. Można to zrozumieć tak, że po prostu były dwa stronnictwa: monarchistyczne i kapłańskie, bo przecież właśnie kapłani wyjaśniali i prezentowali wolę Boga. Wzięty w dwa ognie, opinii publicznej i samego Jahwe, Samuel ustąpił.

Jego wybranym został Saul, syn Kisza z maleńkiego „pokolenia” Beniamina, co miało sens o tyle, że drobniejsze plemiona Izraelskie były wolne od oczywistej pokusy dominacji. Saul mógł zwracać się do wszystkich. Samuel namaścił go jakoś pokątnie i półtajnie, wśród małowniczych okoliczności. Z BIBLIJ wynika, że nie popierał go całkiem szczerze i właściwie czyhał na okazję, by pozbawić go tronu. Na okazję zaś nie trzeba było czekać bardzo długo. Saul cały swój czas musiał poświęcić na działania wojenne przede wszystkim przeciw Filistynom, ale i też przeciw wielu innym wrogom Izraela, którzy otaczali go przecież ze wszystkich stron. Otóż zdarzyło się, że przeciwnikiem był Agag, król Amalekitów. Samuel przekazał Saulowi następujące przesłanie Pana Zastępów: *pobijesz Amaleka i obłożysz klątwą wszystko, co jest jego własnością; nie lituj się nad nim, lecz zabijaj tak mężczyzn, jak i kobiety, młodzież i dzieci, woły i owce, wielbłądy i osy.*

Saul pokonał Agaga, ale ulitował się nad nim i nad zwierzętami, co sprowokowało Samuela do rzucenia na niego klątwy. Saul próbował zatrzeć grzech miłosierdzia (!) i zabił Agaga, który podszedł do niego *chwiejnym krokiem* i wyszeptał *zaprawdę gorzka jest śmierć*, a ściślej mówiąc, stracił go Samuel. Ale już było za późno, zabiwszy Agaga, Samuel porzucił Saula. Ten zaś do końca życia nie wyzbył się ciężaru klątwy, popadł w depresję i prawdę powiedziawszy, w szaleństwo. Z Samuelem już nigdy się nie spotkał, ale jeszcze po Samuelowej śmierci wywoływał jego ducha za sprawą sławnej czarownicy z Endor i prosił o pomoc w opresji. Ale duch Samuela także go przeklął.

Wcześniej jeszcze Samuel namaścił na królowanie Dawida, najmłodszego syna Jessego. Zrobił to również ukradkiem, pod jakimiś skomplikowanymi pozorami i także w szczególnych okolicznościach. Dawid był młodzieńcem rudym o pięknych oczach i obdarzonym wielorakimi talentami, szczególnie zaś muzycznym i literackim. Wprawdzie sam PSALTERZ DAWIDA zawiera głównie utwory napisane w późniejszych czasach, ale utrzymuje się uparcie tradycja, wedle której są tam i jego własne wiersze bądź też ich fragmenty. I to dzieło, jak cała BIBLIA, było wielokrotnie redagowane i poprawiane.

Dawid udał się na dwór Saula, oczywiście skrupulatnie zatajając swoje monarsze namaszczenie. A może wcale go nie miał, może Samuel nie namaścił go aż tak wcześnie i BIBLIA tylko odmienia kolejność wypadków? W każdym razie znalazł się tam w samą porę, bo królewscy doktorzy zdecydowali się zastosować popadłemu w ponurą depresję Saulowi terapię muzyczną. Wystarczyło to, aby zwrócić królewską uwagę na utalentowanego muzyka, jakim był Dawid. Chociaż istnieje i inna wersja: Dawid miał być tym wojownikiem, który stawiał czoło filistyńskiemu rycerzowi, ogromnemu Goliatowi z Gat. Posłużył się w tym celu procą, czyli bronią dalszego zasięgu. Zresztą cała ta historia jest powszechnie znana. Mniej znane są wątpliwości, czy to rzeczywiście Dawid zabił Goliata, a nie inny żołnierz; uważa się jednak, że to sam Dawid występował pod innym imieniem.

W każdym razie Dawid został ulubionym giermkim Saula, który wręcz go pokochał. *A kiedy zły duch zesłany przez Boga napadał na Saula, brał Dawid cytrę i grat. Wtedy Saul doznawał ulgi, czuł się lepiej, a zły duch odstępował od niego.* Ta dramatyczna historia nie kończy się dobrze, ale jak ma się skończyć przy takim Bogu, który zsyła złe duchy? Na razie Dawid zaprzyjaźnił się z królewiczem Jonatanem i rozkochał w sobie królową Mikal, którą Saul oddał mu za żonę, wszakże z warunkiem, że Dawid da mu za nią sto napletków filistyńskich. Dawid jednak zabił aż dwustu Filistynów.

Dawidowi bardzo sprzyjało szczęście wojenne, a Saul zazdrościł mu i próbował go zabić. Chociaż tylko podczas napadów szał. W końcu, kiedy Saul rzucił w niego włócznią, Dawid ratował się ucieczką. Odtąd już stale musiał uciekać, od Nob do Gat, od Adullam do Mispie i do lasów Cheret, od Keili na pustynię Zif. Chronił się u Filistynów i Moabitów, udawał szaleńca. A Saul ścigał go niezmordowanie. Zdarzyło się i tak w tym kontredansie miłości i nienawiści, że to Saul wpadł w ręce Dawida i jego ludzi i – został żywy i wypuszczony wolno. Ciekawe: po wielu miastach i wioskach nie został ślad, a pamięć o tym miejscu na pustyni Engaddi przetrwała, jest tam teraz rezerwat, nazywa się En Gedi.

Dawid jednak nie był osamotniony, miał coraz liczniejszych zwolenników, szeregi jego oddziału rosły, znalazł nawet czas na kolejne małżeństwa, ponieważ w tamtych czasach w Izraelu praktykowano wielożeństwo. Być może były to małżeństwa polityczne. Dawid jest ulubieńcem BIBLI, o nikim innym nie ma tak szczegółowej opowieści, można jednak odnieść wrażenie, że PISMO jedno ujawnia, a drugie ukrywa. Szczególnie w sprawach męskodamskich. Dawid nie był tu nieskalany, wygląda nawet na to, że był dziwkarzem i to bezwzględny dla rywali. Półgębkiem mówi się też o tym, że został w końcu sługą i najemnikiem filistyńskim. PISMO dość naiwnie wywodzi, że Dawid nigdy nie skierował oręża przeciw Żydom, ale opis wybiegów Dawidowych jest nieprawdopodobny. Ale być może nie było go istotnie, kiedy Filistyni ostatecznie rozgromili oddział opuszczonego i osamotnionego, a chyba i zdradzonego Saula; najpierw zginęli jego synowie, potem on sam został ranny, wreszcie rzucił się na swój miecz. Stało się to na wzgórzu Gilboa.

Dawida czekała jeszcze ciężka walka o władzę z domem Saula. Sam Dawid władał w Hebronie nad pokoleniem Judy, reszta pokoleń Izraela uznawała syna Saul owego Iszbaala, a w praktyce jego krewnego Abnera, dowódcę, bo Iszbaal był tylko figurantem. Ale i tak i Abner, i Iszbaal zostali zamordowani, rzekomo bez wiedzy i woli samego Dawida. Tyle, że po siedmioletnich rządach w Hebronie stał się niekwestionowanym królem całego Izraela. Ale teraz właśnie dokonał rzeczy epokowej: zdobył Jerozolimę, dotąd domenę Jebusytów. Stało się to krótko przed rokiem tysięcznym.

Zważmy. W dotychczasowej historii Żydów brak było miejsca centralnego, miejsca, które by przetrwało. BIBLIA wymienia bezlik miejscowości: Szilo, Nob, Keila, Mispie, Adullam, Betuel, Arara, Rama, Jattir, Sifemot, Esztemoa – i tak prawie w nieskończoność. Ale gdzie by te miejscowości były po największej mierze nie wiadomo, a jeśli nawet wiadomo, to przetrwały tylko skromne pagóreczki popiołów. *Nec locus, ubi Troia fuit.* (Zginął nawet ślad, gdzie była Troja.) Prastarym miejscem był Hebron, gdzie spoczywa Abraham i jego rodzina, gdzie potem i Dawid rezydował. Ale Jerozolima położona na wzgórzu Ofel była miejscem, w którym krzyżowały się szlaki z północy na południe i ze wschodu na zachód. Była także niezdobyta twierdza, miastem, w którym królował na wpół legendarny Melchizedek uczczony przez Abrahama ofiarą. Nosila wtedy nazwę Salem, co prawdopodobnie oznacza szalom – pokój. Ale inni uczeni utrzymują, że nazwa pochodziła od Sala. To właśnie tutaj wędrował Abraham z odległego o czterdzieści kilometrów Hebronu, aby na górze Moria złożyć ofiarę z Izaaka. Zapewne więc już wtedy była miastem szczególnym.

Jerozolima uniknęła podboju w czasach Jozuego, a była wedle egipskich zapisków i złoczyńców, w których nazywa się Urusalim, miastem buntowniczym i niepokornym. Sami Jebusyci, o których nic bliższego nie wiadomo, drwili ze zbliżających się wojsk Dawida, jak się

okazało, bardzo niesłusznie. Nie wiemy, jak zostali potraktowani przez zwycięzców, pewnie niedobrze. Ale matka Salomona była Jebusytką. W każdym razie to Jerozolima odąd stała się symbolem Ziemi Świętej, jej punktem centralnym i dla nieprzeliczonych narodów osią świata. Sami Żydzi w diasporze składali sobie na Paschę życzenia: *leszana habaa bijruszalajim* (przyszłego roku w Jerozolimie). Ale historia znowu się powtórzyła: tak jak w epoce Jozuego prowizoryczną stolicą było Szilo czy Gilgal, tak początkowo stolicą odrodzonego Izraela był Tel-Awiw, Jerozolimę trzeba było podbijać od nowa. Może matką jednego z przyszłych prezydentów Izraela będzie Arabka?

Dawid rozpoczął w Jerozolimie wielkie prace budowlane, rozbudował mury, zbudował pałac i przygotowywał się do budowy Świątyni, ale z trochę niejasnych powodów odstąpił od tego zamierzenia. Może po prostu zabrakło mu czasu? Toczył przecież prawie nieustanne wojny i poszerzył swoje państwo we wszystkich kierunkach, ale tymi podbojami BIBLIA nie bardzo się interesuje, ważniejsze są dla niej sprawy, by tak rzec, wewnętrzne. Więc przede wszystkim sprowadzenie Arki Przymierza, co się zawsze wiązało z niebezpieczeństwem – zabijała ludzi, a powtarzało się to tak ustawicznie, że usprawiedliwione po części są dzisiejsze podejrzenia, że kryła w sobie coś bardzo niebezpiecznego, może radioaktywnego. Największe jednak zagrożenie kryła dla przyszłości, a polegało to na koncepcji Boga niebezpiecznego, nieobliczalnego, mściwego. Koncepcja ta po części przeszła na chrześcijaństwo. W każdym razie Dawid podjął środki ostrożności. Po kolejnym śmiertelnym wypadku, kiedy Arka zabiła człowieka chcącego ją podtrzymać, Dawid skierował ją na próbę i kwarantannę w inne miejsce i dopiero kiedy wykazała, że sprawuje się dobrze, przewiózł ją do Jerozolimy, uroczyście, przy dźwiękach muzyki, osobiście tańcząc przed nią, co zresztą wywołało konflikt z jego najstarszą z żon imieniem Mikal.

W swoim haremie miał żon i nałożnic bez liku, wprowadzie mniej niż jego syn Salomon, ale wystarczająco wiele, aby wśród licznych synów wybuchły spory o sukcesję. Pierworodny Dawida Amnon został zabity przez swojego brata Absaloma za gwałt na siostrze Tamar. A nie tyle za gwałt, ile za jej przepędzenie po całym akcie. Absalom uciekł, Dawid szalał, ale po trzech latach wybaczył synowi. Absalom jednak zbuntował się przeciw ojcu i sam ogłosił się królem, zmuszając Dawida do ucieczki. Doszło w końcu do walnej rozprawy militarnej między ojcem i synem, Dawid zwyciężył, Absalom natomiast podczas ucieczki na mule zaczepił włosami o konary *dębu i zawisł między niebem a ziemią*. Wódz Dawidowy Joab przeszył go oszczepem; był to, nawiasem mówiąc, ten sam Joab, który niegdyś bez pozwolenia Dawida zabił Abnera. Tragiczny żal Dawida przeszedł do historii: *Synu mój, Absalomie! Absalomie, synu mój, synu mój! Kto by dał, bym ja umarł zamiast ciebie? Absalomie, mój synu, mój synu!*

Po czym były i inne spiski, na przykład Szeby i Adoniasza. Po części wyrażały się w nich tendencje odśrodkowe. Przypomnijmy, że Dawid był z pokolenia Judy, a żyli jeszcze „przyszyci” następcy Saula, Beniaminity. Z kolei miały też swoje ambicje pokolenia z północy, co z czasem miało zaowocować rozłamem na dwa królestwa. Nie darmo gwardia przyboczna Dawida nie składała się z Żydów, ale z jakichś Keretytów i Peletytów. Nawiasem mówiąc, rodzinę Saula wytrzebił Dawid prawie do szczytu pod jakimiś dziwnymi pretekstami i to tak, że odium nie spadło na niego. Zresztą zwycięzców się nie sądzi, a właśnie zwycięzcy redagowali kroniki, które do nas dotarły. I tak trzeba podziwiać Żydów, że mieli odwagę powiedzieć o swoim narodzie i swoich bohaterach tyle okrutnej prawdy.

Ale w sumie postać Dawida musi budzić sympatię i nie na darmo Żydzi wszystkich czasów odwołują się i powołują na niego. Skromny pastuszek, który stał się ojcem narodu i królestwa, wykazał się niebywałymi talentami: militarnym, organizacyjnym, poetyckim. A także – *last but not least* – talentem do kobiet. Podbił serce Mikal, córki Saula, i Abigail, wdowy po Nabal, i najbardziej legendarnej z nich, Batszeby, której męża, Uriasza Hetytę, polecił zgładzić, co nawet BIBLIA uznała za grzech. Nawiasem mówiąc, ostatnią chyba dziewczyną w

życiu Dawida była piękna Szunemitka Abiszag, która kładła się z sędziwym królem do łóżka, aby go rozgrzać. Ale *król się do niej nie zbliżył*. Był niezwykle sprytny, chociaż, chcemy wierzyć, i wspaniałomyślny, wykazał się też ogromną odpornością na trudy i niebezpieczeństwa. A w sprawie z Saulem czy Absalomem okazał też człowieczeństwo wysokiej próby. Czy to jako młodzieniec, czy jako starzec rysuje się w naszej wyobraźni postać bardzo ludzka, ale i monumentalna.

Po czterdziestu latach panowania Dawida na tronie zasiadł jego syn Salomon. Przede wszystkim zauważmy, że w myśl współczesnych żydowskich zasad Salomon w ogóle nie był Żydem, ponieważ nie był synem Żydówki, lecz Jebusytki Batszeby. Ale państwo Dawida, a także Salomona, było przecież wielonarodowościowe i „obce” pochodzenie wybaczone mu łatwiej niż na przykład Herodowi Wielkiemu. Co nie znaczy, że nie miał z tego tytułu trudności. Królowanie Dawida i Salomona można by porównać do losów Łokietka i Kazimierza Wielkiego. Pierwszy wojował, zbierał ziemie polskie po okresie rozbitcia dzielnicowego, drugi korzystał z jego dzieła, nie prowadził wojen, za to wstawił się budownictwem, rozwojem handlu, no i tym, że musiał zrezygnować z części terytorium. Salomon podobnie, oddał Damaszek, stracił Edom i musiał przekazać Hiramowi z Tyru okazałą część Galilei za długi budowlane. Ale ogólnie był – *nomen omen* – rzeczywiście *Szelomoh*, co znaczy szczęśliwy. Co prawda, jako pół-Żyd miał kłopoty z sukcesją, musiał też zabić swego przyrodniego brata Adoniasza i jego stronników, wśród nich ojcowskiego dowódcę wojsk, krwawego Joaba, który nadaremnie w świętym przybytku szukał schronienia i azylu. Adoniasz podobno spiskował, ale też był jego starszym bratem. Zresztą takie postępowanie na orientalnych dworach stanowiło uznaną normę, bodaj do czasów najnowszych.

Nie wiem, czy poddani Salomona byli rzeczywiście zadowoleni z jego rządów, bo ich uciskał srodze podatkami i pracami przymusowymi. Mogli być jednak dumni z jego prac budowlanych, ze sprawnej armii, złożonej z rydwanów bojowych, z kontaktów z tajemniczym Ofirem, który może leżał w Indiach, może w Afryce, a może w Arabii. Ale wszystkie następne pokolenia Żydów przez całe trzy tysiące lat powoływały się na niego z dumą, więc choć to może legenda, zrobił dla swojego narodu niezmiernie wiele. Można by się zapytać, co w istocie ważniejsze, nieco zgrzebna rzeczywistość aktualna, czy złota legenda rozciągająca się na tysiąclecia? Legenda o mądrości i bogactwie Salomona znana jest w całym świecie zachodnim, ale dla Żydów stanowi ważny element składowy tradycji narodowej, jeden z tych elementów, które wręcz ukształtowały naród żydowski, podobnie jak legenda Abrahama, Jakuba, Józefa, Mojżesza, Jozuego, sędziów czy Dawida. Zresztą w tym punkcie historii kończy się właśnie epoka legendarna, wielkich wzorów i przykładów z przeszłości, jeśli idzie o władców. Im bliżej naszych czasów, tym lepiej znane są grzechy i słabości przywódców politycznych. Wielki autorytet będzie teraz prorokiem.

Był więc wedle legendy Salomon sędzią czy rozjemcą doskonałym, o czym świadczy sąd wydany w sprawie dwóch matek i dziecka. Był też wspaniałym mężem i kochankiem – siedmiuset żon głównych, trzystu drugiego stopnia (na czym to polegało?), chociaż inne źródła wymieniają liczby nieco mniejsze. No i etiopska królowa Saby wizytująca Salomona i wracająca od niego także w ciąży. Był utalentowanym handlowcem, występującym w roli pośrednika, bo sama ziemia izraelska wytwarzała niewiele dóbr liczących się w eksporcie, był znawcą zwierząt i roślin, i zresztą w ogóle wszystkiego, poetą tysiąca i pięciu pieśni i autorem trzech tysięcy przysłów. W przyszłości miał jeszcze zostać rozmówcą Marchołta grubego a sprośnego i bohaterem prześlicznej bajki Kiplinga, jak to naszykował ucztę dla wszystkich zwierząt świata, a tymczasem wychynął z morza potwór zwany Małym Wałkoniem i sam wszystko pożarł... Ale nade wszystko był budowniczym.

Ponad wszelkie pałace, stajnie, fortyfikacje, a było tego niemało, wznosi się sławna Świątynia Salomona, symbol tak ważny, że trzeba o niej opowiedzieć obszerniej – po dziś dzień każda loża masońska stanowi jej przybliżoną kopię. Ale można powiedzieć, że najważniejsze

było samo miejsce, które sprawiło, że Świątynia w pewnym sensie istnieje i dzisiaj w postaci fragmentu muru, sławnej Ściany Płaczu i Meczetu na Skale, którego powstanie wiąże się przecież z tymi odległymi w czasie wypadkami. Pamiętamy, że góra Moria, fragment wzgórza Ofel, była zapewne miejscem ofiary Izaaka, stąd domniemanie, że i przedtem było to miejsce jakoś święte. Ale historia budowy samej Świątyni wiąże się z „grzechem” Dawida. Grzech polegał na tym, że zarządził on spis ludności, co było zastrzeżone dla samego Jahwe, który też zesłał zarazę, ale po trzech dniach zawiesił karę, polecając aniołowi obwieścić to ludziom. Anioł zjawił się właśnie na górze Moria, która w tym czasie była własnością Jebusyty Ornana – widać zresztą stąd i z przypadków Batszeby, że Jebusyci znaleźli jakieś miejsce w mieście Dawida. Dawid pobudował w tym miejscu ołtarz, a Salomon Świątynię. Od ofiary Abrahama minęło mniej więcej tysiąc lat.

Żydzi nie mieli tradycji budowlanych ani stosownego budulca, zwrócił się więc Salomon o pomoc do fenickiego króla Hirama z Tyru, przyjaciela swojego ojca, tego samego zresztą, z którym wysyłał statki do Ofiru. Hiram przysłał specjalistów, między innymi mistrza brązownika Hirama vel Hurama Abi. Przysłał też drewno cedrowe i cyprysowe. Budowanie trwało dwadzieścia lat, z czego siedem przypadło na Świątynię, a reszta na kompleks pałacowy. Teren, na którym ją zbudowano, miał prawie pięćset metrów na trzysta. Sam korpus Świątyni miał jedenaście metrów szerokości, a czterdzieści długości i składał się z trzech pomieszczeń. Licząc od wschodu był *Ulam* – przedsionek, *Kodesz* – Miejsce Święte i *Kodesz ha-Kodaszim*, czyli Święte Świętych, gdzie w absolutnej ciemności i samotności przebywała Arka. Zasadniczą część otaczały przybudówki z licznymi pomieszczeniami pomocniczymi. Przed wejściem stały sławne kolumny: *Jachin* – trwałość i *Boaz* – siła. Oprócz tego dziedzińce, ołtarz ofiarny, mury, bramy, złote świeczniki, złote cheruby i tak dalej.

W porównaniu do świątyń egipskich i mezopotamskich, na których ją wzorowano, Świątynia była względnie niewielka. Miała dzieje bardzo burzliwe. Pustoszo ją, grabiono, stała się kościołem innych bogów, ale też wielokrotnie odbudowywano, wyświęcano od nowa i odbierano „niewiernym”. Na jej miejscu Herod Wielki zbudował nową. Istniały też konkurencyjne miejsca kultu, zresztą sam Salomon wystawiał świątynie różnym Baalom i Aszartom, rzekomo na żądanie swych obcoplemiennych żon. Wielobóstwo to po prostu owoczesna forma demokracji, a naród żydowski był podówczas politeistyczny. Jahwe miał konkurentów, a walka z nimi trwała długie wieki.

Skłócone królestwa

Paul Johnson zamyka część pierwszą swojej HISTORII ŻYDÓW apostrofą do proroka Jeremiasza, „pierwszego Żyda”. Działał on na przełomie siódmego i szóstego wieku przed Chrystusem, czterysta lat po rządach Dawida i Salomona, który zmarł około 930 roku p.n.e. Od czasów Abrahama minęło już tysiąc kilkaset lat historii narodu, przecież żydowskiego. Co prawda polemiki na temat, kto jest Żydem, trwają i współcześnie, ale takie stwierdzenie mimo wszystko szokuje. Żydem, powiadają duchowi przywódcy Izraela i potwierdzi to każdy rabin, jest wierny wyznawca jedyne Boga, Adonaj-Jahwe. Oponenci przedstawiają poważne kontrargumenty: hitlerowcom wyznanie wiary było doskonale obojętne, naród żydowski był dla nich całością etniczną.

Oba punkty widzenia są uprawnione, jeśli oczywiście warto brać serio racje katowskie. Johnson miał właśnie na myśli duchowość narodu, a nie skład jego genów, ale i tak nie miał racji. Swoją duchowość Żydzi zawdzięczają diasporze, a już jedną, egipską, mieli za sobą. A właściwie, mieszkając w Kanaanie, mieli i tak problemy podobne, i nawet we własnym kraju musieli zachowywać coś ze statusu cudzoziemców; przecież co dnia właściwie natykali się na Kananejczyków, Filistynów, Edomitów, Aramejczyków i Bóg raczy wiedzieć na kogo jeszcze. Jako jednostka etniczna wchłaniali, mimo jahwistycznych protestów, całą tę mieszankę, podobnie jak każdy inny naród świata. Bóg ściśle plemienny zyskiwał na znaczeniu wraz z zagrożeniem i diasporą.

Nie zrozumiemy historii żydowskiej, jeśli nie uświadomimy sobie, że przez większą część swojej historii starożytnej Żydzi byli politeistami. Zarówno w czasach Abrahama, jak i Mojżesza, Dawida czy Salomona, przez ogromnie długi przeciąg czasu. Jahwizm był najprawdopodobniej religią możliwych, a i to nie wszystkich. Ale w pierwszej połowie pierwszego tysiąclecia przed naszą erą jahwizm dokonał gigantycznego wysiłku duchowego, do którego należało też zredagowanie pism, z których czerpiemy dzisiaj swoje informacje. Ponieważ zaś ludzie zawsze czerpią wzory z przeszłości (*Historia est magistra vitae*), więc obraz starych, dobrych czasów uformowano w ten sposób, że wszyscy ojcowie narodu zdawali się być szczerymi monoteistami. A tymczasem tak zwane „odrodzenie kananejskie” nie wzięło się stąd, że Salomon sypiał z cudzoziemkami i że Achab ożenił się z królową fenicką, podczas gdy epoka sędziów i Dawidowa była nieskalanie jahwistyczna; nie ma powodu mniemać, że co było obyczajem w wieku ósmym, tego nie było we wcześniejszych czasach.

Jak wynika z BIBLI, sam Mojżesz kazał uczynić węża nazwanego Nahusztanem, który przetrwał setki lat, a poślacane posągi byków bywały w różnych jahwistycznych sanktuariach, bo początkowo nie było jeszcze monopolu Świątyni i oczywiście wysławiano w świątyniach i na słynnych i bardzo licznych „wyżynach” Baala, Asztarte, Melqarta, Molocha i całą ciżbę przeróżnych bogów kananejskich, fenickich, asyryjskich i chaldejskich. Były to na ogół kultury pogodne i wesołe, może w niektórych przypadkach orgiastyczne, kultury płodności i urodzaju, być może przypominające nasze nabożeństwa majowe. Wiązały się niekiedy z prostytucją sakralną, bo seks nie był w nich wstydliwym tabu, ale radosną pochwałą Boga. Ale chyba z tego rodzaju liturgii nie był wykluczony i sam Jahwe?

Ten synkretyzm religijny micwał i ciemniejsze strony. Składano mianowicie w ofierze i dzieci, nie tylko chyba Molochowi. Wiemy, że w obliczu niebezpieczeństwa czynili tak kró-

lowie – Mesza, Achaz i inni; prawdopodobnie nie inaczej postępowali w podobnych okolicznościach zwyczajni ojcowie rodzin. Wiązało się to także z przekonaniem, że pierwociny wszystkiego należą się Bogu. Taki był prawdopodobnie sens odtrącenia Ezawa, ofiary córki Jeftego i wielu innych podobnych przypadków. A przecież cień takiego obyczaju przetrwał i do naszych czasów, w Polsce każdą nowalijkę należało uczcić pociąganiem współbiedniaka za nos lub ucho: przecież to klasyczna ofiara zastępcza.

Z tradycji kananejskich wyrastało też coś bardzo wielkiego, co wywiera wpływ i na nas po tysiącleciach: ruch profetyczny. Prorocy byli wówczas na całym Bliskim Wschodzie, jeżeli nie na całym świecie. Proroka określa BIBLIA mianem *roeh, ho eh albo nabi*. Dwa pierwsze określenia odnoszą się do zdolności „widzenia”, *nabi* natomiast wywodzi się od wrzenia lub wylewania – i odnosi się do roli społecznej. A podobno i delficka Pytia po skończonym transie była zwyczajnie zaśliniona, czyli by tak rzec „wylana”. Każde bóstwo miało swoich proroków, ale jeśli pozostały po prorokach, na przykład Baala, jakieś pisma, to naturalnie nikt ich nie przechował. Prorocy zbierali się w osobne gildie lub bractwa skupione przy kimś wybitniejszym, a pełnili także rozliczne funkcje dworskie. Nie wiem, czy proroka można nazwać szamanem, oczywiście nie w sensie wyzwiska, ale powiernika nadnaturalnych tajemnic, wydaje się jednak, że były to funkcje pokrewne.

Pierwsza połowa pierwszego tysiąclecia p.n.e. to właśnie czas proroków. I literatów – dodajmy. Imiona królów i wodzów nie mają w tym czasie zasadniczego znaczenia, ale imiona proroków zostaną w kulturze ludzkiej, o ile ona sama przetrwa, na zawsze. W Polsce Ludowej mawiano „dłużej pisarza niż sekretarza”, ale mawiano pokątnie i szeptem, bo to jednak sekretarze rządzą. Także kasą.

Z trudem wypracowana jedność państwa rozpadła się prawie natychmiast po śmierci Salomona. Jego syn i następca, Roboam, obraził podobno osiadłe na północy plemiona, zapowiadając głupio zwiększenie podatków i poddaństwa. Ale najpewniej oczekiwały one tylko pretekstu, by się oderwać, bo nie słyhać o jakichś późniejszych próbach zjednoczenia, separatyzm poszczególnych plemion był bardzo potężny. Na południu, w stołecznej Jerozolimie, panowała dynastia Dawidowa, panowała aż do końca, to znaczy do roku 586 p.n.e. Państwo to zwało się Juda, bo składało się nań właśnie pokolenie Judy, tudzież maleńkie władania Beniaminitów. Pozostałe dziesięć pokoleń żydowskich nazwało się Izraelem i sformowało na północy cztery razy większe od Judy państwo rządzone przez „dom Omriego”. Ale to określenie zrodziło się dopiero pięćdziesiąt lat później, aż do tego czasu królowie zmieniają się jak w kalejdoskopie.

Pierwszym był Jeroboam, sługa Salomonowy, ale i buntownik, i uciekinier do Egiptu. Potem Nadab, Basza, Ela, Zimri – nie bardzo godni wspomnienia i pamięci. Ale to błąd perspektywy, bo gdybyśmy w tamtych czasach spędzali owe pięćdziesiąt lat, to zdumiewalibyśmy się, że Basza, morderca Nadaba, umarł śmiercią naturalną, co podówczas rzadko zdarzało się królom, i że zabójca Eli – Zimri spalił się z własnym pałacem, i czas wydawałby się nam ogromnie gęsty.

Wraz z Omrim rozpoczęła się już czwarta dynastia w Izraelu. Żadna nie miała więcej niż ojca i syna. Ale Omri zapisał się w dziejach jako ten, który ufundował nową stolicę północy, Samarię, na ufortyfikowanym wzgórzu z widokiem na morze – co prawda w odległości trzydziestu pięciu kilometrów, ale niemal w połowie drogi od Jordanu. Nie zdajemy sobie sprawy, jaki to wąski kraj. Co prawda, wtedy właśnie należały do Izraela ziemie za Jordanem, kraina Gilead. Syn Omriego, Achab, zważy się tak jak mroczny kapitan z powieści Melville’a, wybudował w Samarii pałac na wzór jerozolimski i wyłożył wszystkie ściany i meble płytkami z kości słoniowej, co było może trochę podobne do petersburskiej Bursztynowej Komnaty. Resztki tych płytek odkryła współczesna misja archeologiczna.

Dynastia Omriego dawno się już skończyła, ale w kronikach sąsiadów Izraelem nadal wadał „dom Omriego”, podobnie jak Judą „dom Dawida”. Najgłośniejszym królem z tego domu

był Achab ożeniony z Fenicjanką Izebel vel Jezabel, dla której BIBLIA nie ma dość słów oburzenia, a która też, głównie w tradycji protestanckiej, jest zwana „wszeteczną”, ponieważ wyznawała inną religię. Parę królewską dotknęło nieszczęście w postaci kontaktu z Eliaszem.

Eliasz jest wielką postacią w tradycji żydowskiej. Podczas Paschy stawia się dla niego specjalny kielich, jest prototypem proroka mającego bezpośredni kontakt z Bogiem i szczególnym opiekunem narodu żydowskiego. Jan Chrzciciel i nawet Jezus byli uważani za reinkarnacje Eliaszowe, a ostatnie słowa Jezusa *Eli, Eli, lema sabachthani* zostały skomentowane: „Eliasz wzywa”. Jest równie groźny i tajemniczy, jak Samuel i tak jak tamten był twórcą królów.

Wywodził się z Tiszbe, z zajordańskiego Gileadu vel Galaadu i był najprawdopodobniej Rekabitą. Rekab to twórca sekty, zakonu czy jak to zwać, fanatycznych jahwistów-fundamentalistów. Takich, którzy za grzech śmiertelny uważali na przykład uprawę ziemi, bo Mojżesz słowem nie wspominał o takim zajęciu. Mieli też za złe Salomonowi wybudowanie Świątyni z tych samych powodów, a wszystkim panującym zawieranie sojuszy, bo to rzekomo uwłaczało Jahwe. Rekabici byli prawdopodobnie następcami nazirejczyków, a poprzednikami esseńczyków i w ogóle zelotów. W czasach Eliasz i Elizeusza wodzem Rekabitów był fanatyczny syn Rekaba, Jonadab.

Eliasz gromił poczynania królewskie i czynił liczne cuda, rozmnażał pokarm, wskrzeszał zmarłych. Zwyciężył w słynnym sądzie bożym proroków Baala i Asztarty, którzy nie potrafili przywołać deszczu, zaś Eliaszowi to się udało. Ale po takiej demonstracji siły wracał za Jordan, na pustynię. W PIERWSZEJ KSIĘDZE KRÓLEWSKIEJ czytamy przedziwny, a bardzo piękny ustęp opisujący, jak mu się pojawiał Bóg: *A oto Pan przechodził. Gwałtowna wichura rozwalająca góry i druzgocąca skały szła przed Panem; ale Pan nie był w wichurze. A po wichurze – trzęsienie ziemi: Pan nie był w trzęsieniu ziemi. Po trzęsieniu ziemi powstał ogień: Pan nie był w ogniu. A po tym ogniu – szmer łagodnego powiewu.* Jest to jedno ze świadectw, jak Jahwe zaczyna się przekształcać z Boga wojny i burzy w bóstwo indywidualne, a zarazem uniwersalne. Ale nawet dzisiaj, po tysiącach lat, to bóstwo nie do końca jeszcze zrezygnowało ze straszenia piekłem.

W końcu Achab ukorzył się przed Eliaszem, zupełnie jak Henryk IV przed papieżem Grzegorzem VII w Canossie. A Bóg zapowiedział, że wprawdzie Achaba oszczędzi, ale swoją pomstę przeniesie na jego potomstwo. Rzeczywiście, Achab, który wojował z aramejskim Damaszkiem, został trafiony przypadkową strzałą, po nim królowali jego synowie Joram i Ochozjasz. A tymczasem Eliasz został porwany na wozie ognistym do nieba, a rząd dusz przejął jego uczeń Elizeusz.

Elizeusz, w przeciwieństwie do Eliasz, nie krył się na pustyni, ale chętnie brał udział w polityce i też czynił liczne cuda. Jeden z nich dotyczył pedagogiki: wyśmiewające się z jego łysiny dzieci zostały poszczone srogimi niedźwiedziami, które rozszarpały czterdzieści dwoje wrzaskliwych bachorów. (Starania Związku Nauczycielstwa, aby uznać Elizeusza za swojego patrona, nie zostały, nie wiedzieć czemu, uwieńczone powodzeniem. Ale mój ksiądz prefekt, opowiadając nam o cudach Elizeusza, zamyślał się w tym miejscu bardzo znacząco.) Elizeusz pomagał Joramowi w wojnach z Aramejczykami, ale w tajemnicy namaścił jednego z dowódców, Jehu, na króla. Jehu zaś zabił Jorama i Ochozjasza, królewską matkę Jezabel stratował końmi i wytrzebił doszczętnie cały „dom Omriego”.

Piąta już dynastia panowała dosyć długo ze zmiennym szczęściem, tocząc wojny z Damaszkiem, i co ważniejsze i groźniejsze – z asyryjską Niniwą, prawdziwym i bardzo okrutnym mocarstwem tego czasu. Szczególnym szczęściem cieszył się północny Izrael podczas długich, czterdziestoletnich rządów Jeroboama II (782–753 p.n.e.), którego historycy zestawiają z Salomonem. Ale kiedy te rządy się kończyły, kres królestwa północnego był już bardzo niedaleki.

A zanim to się stało, pojawili się następni prorocy. Oczywiście, wszyscy zgodnie wieścili karę bożą, upadek królestwa, zniszczenie i pożogę. O ile, naturalnie, ludzie się „nie poprawią”. A ponieważ ludzie nigdy się nie poprawiają, a państwa i królestwa upadają zawsze, prędzej czy później, więc proroctwo z reguły się sprawdza. Zresztą najsłynniejsza chyba przepowiednia udzielona przez Delfy królowi Krezusowi po prostu nie sprawdzić się nie mogła. Brzmiała ona: jeśli Krezus rozpocznie wojnę, wielkie państwo zniweczy. Oczywiście, mógł zniweczyć Persję, mógł i swoje własne, w każdym wypadku Pytia miała rację.

Najsłynniejszymi prorokami z północy byli Amos i Ozeasz. Amos był hodowcą fig i owiec. Zapowiadał koniec świata, ale jeśli dla zdecydowanej większości dzień sądu będzie fatalny, to pozostała „reszta” doczeka się odrodzenia i szczęśliwości. Owa „reszta” to bardzo ważne pojęcie obecne u wszystkich apokaliptycznych proroków. Chyba najważniejsza w tym jest pewność, że jakaś „reszta” tak czy owak zostanie. Ale jest jeszcze coś istotnego: oto i u Amosa trwa proces uniwersalizacji Boga. Kiedy on się rozpoczął naprawę, nie wiemy. Ale w tzw. modlitwie Salomona przy okazji poświęcenia Świątyni znalazł się zastanawiający passus poświęcony cudzoziemcom: *Również i cudzoziemca, który nie jest z twego ludu, Izraela, a jednak przyjdzie z dalekiego kraju przez wzgląd na Twoje imię (...), gdy przyjdzie i będzie się modlić w tej Świątyni, Ty w niebie, miejscu Twego przebywania, wysłuchaj i uczyni to wszystko, o co ten cudzoziemiec będzie do Ciebie wołać.* Nawet jeśli to jest późniejsza redakcja czy interpretacja, a wiele późniejsza być nie może – modlitwa tego rodzaju czyni zaszczyt każdemu człowiekowi.

Amos, podobnie jak późniejszy Ozeasz, działał w wieku ósmym p.n.e., za panowania Jeroboama II. Obie księgi, Amosa i Ozeasza, to w istocie poematy, ale to można powiedzieć o wszystkich proroctwach. OZEASZ to wedle zgodnej opinii najbardziej zawiła księga w STARYM TESTAMENCIE. Już sam punkt wyjścia jest nader osobliwy: Ozeasz na polecenie Boga żeni się z prostytutką Gomer, córką Diblaima, i ma z nią dzieci, które nazywa przedziwnie, na przykład córka to Lo-Ruchama, co oznacza „Dla której nie ma miłosierdzia”. A potem na zmianę obrzuca żonę wyzwiskami i obsypuje obietnicami. Może to być alegoria Boga i narodu, ale nie wygląda na to. Podejrzałem, że Gomer to może prostytutka-kapłanka, ale w sumie jest to taki groch z kapustą, że nic nie wiadomo. Alegoria, ale i Hassliebe. Były sławne małżeństwa z prostytutkami (a także legion mniej sławnych), na przykład Justyniana Wielkiego z Teodorą. Rozumiem rozterki Ozeasza, ale wnioski, które wysnuwa, a które komentatorzy smakowicie rozwadniają, nie wydają mi się bardzo sensowne. Reszta KSIĘGI OZEASZA jest chyba jeszcze bardziej poplątana.

Królestwo Północne było z natury rzeczy wystawione na sztych asyryjski. Przez długi czas wspierało aramejski Damaszek w walce z asyryjską lawiną, ale w pewnym momencie odwróciło sojusze. I to był początek końca. Po okresie bezgranicznego zamętu król asyryjski Tiglat-Pilezar III w 732 roku p.n.e. podbił Izrael i przesiedlił jego ludność w głąb własnego królestwa. Ostało się tylko miasto-twierdza Samaria i dookolne góry. W Samarii królował imiennik proroka Ozeasz, pokorny wasal Asyrii, pokorny, ale nielojalny, którego ostatecznie uwięziono i wywieziono. Sama końcówka przypominała późniejszy, ostateczny upadek Jerozolimy. Do władzy doszło w Samarii stronnictwo fanatycznie antyasyryjskie, które broniło miasta przez trzy lata. Samaria padła w 721 roku p.n.e. Część ludności wymordowano, pozostałych deportowano.

Deportacja nie objęła zresztą wszystkich, dotyczyła możniejszych i jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, inteligencji. Prości rolnicy, o ile nie zginęli, pozostali na miejscu. Wywieziono w kilku turach około sześćdziesięciu tysięcy mężczyzn, nie licząc kobiet, służby i dzieci, tak że tę liczbę trzeba pomnożyć przynajmniej przez cztery. Na ich miejsce, zgodnie z asyryjską, lecz nie tylko, polityką mieszania narodów, sprowadzono przedziwną mieszaninę plemion arabskich i mezopotamskich. Byli to Tamudowie, Ibadidowie, Marsimani, Hajapa, Kuta, Chamat, Awwa i inne. Ta straszliwa mieszanka, zachowując swoje rodzime bóstwa, była tak-

że uczona jahwizmu, a skutki były dziwne. To dlatego później prawowierni Żydzi nie uznawali Samarytan za swoich, a spotkanie Jezusa z Samarytanką było czymś wyjątkowym.

Deportowani Żydzi zostali zesłani w różne miejsca i prawdopodobnie z czasem asymilowali się. A było to dziesięć „pokoleń”, czyli plemion, znaczna większość narodu, ściśle pięć szóstych! Rzeczywiście, sprawa niewiarygodna, nie spotykana u Żydów ani przedtem, ani potem. Więc właściwie do dzisiaj jest to zagadka, a uczeni wszystkich czasów zachodzą w głowę, co też to się wydarzyło. Dopatrywano się owych dziesięciu zagubionych „pokoleń” bodaj na wszystkich kontynentach, między innymi przypisywano im, że są przodkami Polinezyjczyków, Karaibów, Inków i Bóg wie kogo. Najprawdopodobniej utratę własnej tożsamości zawdzięczają Żydzi z północy silnej tradycji politeistycznej. Ale żeby do tego stopnia...

Dłużej opierało się złym losom Królestwo Południowe, Juda. Co prawda już w dwadzieścia lat po ukończeniu Świątyni jerozolimskiej najechał Judę faraon Szeszonk i złupił całe złoto Salomonowe, które następnie zastąpiono miedzią, może chwilowo, bo następne wcale liczne najazdy i grabieże wywoziły z niej także bogate łupy. Nieszczęsny winowajca rozłamu Roboam wprowadził politykę niechętną części północnej i musiało minąć kilkadziesiąt lat, by się ociepliły stosunki wzajemne. Nie było w Judzie takiej karuzeli uzurpatorów i dynastii, aż do końca trwał niewzruszony „dom Dawida”. Co nie oznacza, że zawsze panowała tam siełanka. Ważnym i kontrowersyjnym problemem była religia i to się zmieniało ustawicznie. Jeden król był jahwistą, a następny popierał politeizm. W Świątyni to gromadziły się rozliczne bóstwa, to znów usuwano je stamtąd.

Po Roboamie na tron jerozolimski wstąpił jego syn Abiasz, a po jego krótkim, trzyletnim królowaniu nastąpiły długie, czterdziestoletnie z okładem rządy Asy, nie wiadomo, jego brata czy syna. Ten wojował ze swoją matką Maaką, pozbawiając ją nawet tytułu *gebirah*, czyli królowej-matki, ponieważ Maaka wstawiła do Świątyni żeński posąg. Rozpoczął też likwidowanie konkurencyjnych wobec Świątyni jerozolimskiej miejsc kultu, co było zrozumiałe politycznie, ale nie religijnie. Na przykład w królestwie Izraela Jahwe miał zasadnicze dwie świątynie: w Betel, tuż za granicą judzką, i w Dan, na samej północy kraju. Oczywiście w żadnej nie było Arki, ale Arki nie było już i w Świątyni Salomona, chociaż kiedy i gdzie zniknęła, nie wiemy do dzisiaj. Nie można całkiem wykluczyć, że ocalała i jeszcze się znajduje. Wskazuje się różne możliwe miejsca, między innymi jerozolimskie wzgórze świątynne i Etiopię.

W każdym razie proces centralizacji religii miał w przyszłości ważne konsekwencje i sprzyjał powrotowi Żydów do dawnej ojczyzny. Tymczasem stosunki izraelsko-judzkie znormalizowały się podczas również bardzo długiego panowania Jozafata, czyli Jehoszafata, tak że wziął on nawet dla swojego syna, Jorama, księżniczkę z „domu Omriego”, Atalię. Oczywiście pokój z Północą nie przeszkadzał Judzie w prowadzeniu ze zmiennym szczęściem wojen z Moabitami, Ammonitami i wszystkimi możliwymi sąsiadami. Jak Izrael musiał się liczyć z Asyrią, tak Juda z Egiptem.

BIBLIA bardzo nieprzychylnie opisuje poczynania Atalii, bo podobno pod jej wpływem król Joram nie tylko dokonał rzezi wśród swych braci przyrodnych, co było normalnym obyczajem, ale i odstąpił od ścisłego jahwizmu. Takie poglądy żywił także jego syn Ochozjasz, którego panowanie trwało bardzo krótko. A po śmierci syna Atalia sprawiła krwawą łaźnię rodzinie męża i sama objęła władzę jako jedyna królowa żydowska na przestrzeni dziejów. Ale z pogromu ocalał jej wnuk, Joasz, uratowany przez swoją ciotkę, żonę najwyższego kapłana Jahwe, Jojady. I po kilku latach, gdy chłopczyk podrośł, zorganizowano przewrót pałacowy: nieletniego Joasza obwołano królem, zaś Atalię i konkurencyjnych kapłanów zabito. Joasz panował znowu lat czterdzieści – zadziwiające, jak często się to zdarzało – przywrócił jahwizm, odrestaurował Świątynię, ale później oddawał cześć i innym bogom; po prawdzie robili tak wszyscy królowie i pewnie całe społeczeństwo.

W każdym razie po długim panowaniu został zamordowany, najpewniej przez jahwistów, podobnie jak jego syn i następca Amazjasz, ale już nie wiadomo przez kogo. Jahwistą był pono pobożnym, ale mszcząc śmierć ojca, nie wymordował też rodzin i dzieci, co było w owych czasach dziwnym wyjątkiem. Za to wplątał kraj w bratobójczą wojnę z Izraelem. Z kolei jego syn Azariasz-Ozajasz ojca nie mścił, bo sam go obalił, a możliwe, że potem i zabił, ale rządy miał pomyślne, ulepszał rolnictwo, fortyfikował Jerozolimę, rozwijał handel. Mniej pomyślny był jego los osobisty, ponieważ zapadł na trąd, podobno za karę, bo ośmielił się kadzić przed ołtarzem, a kadzić mogą, jak wiadomo, tylko kapłani. Po nim nastąpił Jotam, a po Jotamie jego syn Achaz. To właśnie za jego życia upadła Samaria, a królestwo miało przed sobą jeszcze sto trzydzieści pięć lat niepodległego istnienia. Ale ta niepodległość była ograniczona, Achaz musiał płacić wysoką daninę i wprowadził do Świątyni asyryjskich bogów. A po nim na tron wstąpił Ezechiasz.

Jego panowanie, jedno z nielicznych, jakie zapamiętała historia, to nieustannie obecny cień Asyrii, ale i próba przywrócenia niezależności. I zupełna zmiana tendencji politycznych i religijnych. Ezechiasz próbował wzmocnić swoją władzę na różne sposoby. Przede wszystkim centralizował kult, skupiając go w jednej jedynej Świątyni i niszcząc pozostałe przybytki i ołtarze. To między innymi wtedy padł ofiarą Nehusztan, jeszcze Mojżeszowy miedziany wąż na drągu. Po raz pierwszy od czasów Salomona pielgrzymi, także z zajętego przez Asyrię Izraela, przybyli do Świątyni na Paschę. Nawiasem mówiąc, to prawdopodobnie Ezechiasz pierwszy zaczął się tytułować królem izraelskim. Jemu też należy przypisać najtrwalszy chyba zabytek jerozolimski: wykuty w skale tunel łączący źródło Gichon z sadzawką Siloe, jedyne zaopatrzenie Jerozolimy w wodę na wypadek oblężenia. Ezechiasz prowadził także prace fortyfikacyjne, między innymi wybudował drugi mur miejski od północy, gdzie obrona była najsłabsza.

Dla nas największe może znaczenie ma specjalna komisja królewska redagująca książki, historię i prawa. Prawdopodobnie w Judzie znaleźli też schronienie intelektualiści ze zburzonej Samarii; takim właśnie impulsem dla rozwoju renesansu na zachodzie Europy był upadek Bizancjum i przeprowadzka uczonych greckich do krain łaciny. Ale i w samej Jerozolimie nie brakowało proroków: w tych właśnie czasach żyli Micheasz i przede wszystkim Izajasz.

Ezechiasz płacił daninę Niniwie, ale tymczasem przystąpił do ligi antyasyryjskiej, gromadzącej w oparciu o Egipt drobne państewka palestyńskie, fenickie i filistyńskie. Ale król Asyrii Sennaheryb okazał się znakomitym dowódcą: pobił ligę, pokonał Egipcjan i zaczął oblegać Jerozolimę. Miasta nie zdobył, bo w jego obozie wybuchła zaraza i zadowolając się ogromnym okupem Ezechiasza, wycofał się do Niniwy. Co zostało ocenione i opisane jako ogromny cud.

Wraz z synem i następcą Ezechiasza, Manassesem, zupełnie nowa odsłona. Jahwizm w rozsypce, w Świątyni posągi boga słońca Szamasza i bogini księżyca Isztar, rozwija się prostytucja sakralna, król Manas-ses składa w ofierze Molochowi własnego syna. Ale to na początku. Potem krótka, ale dotkliwa niewola asyryjska, i oto król nawraca się na jahwizm. Prawdopodobnie za jego właśnie czasów powstała duża kolonia żydowska na wyspie Elefantynie w Egipcie. Była to emigracja dobrowolna i chętna, bo od czasów, gdy Egipt był dla Żydów synonimem niewoli, minęły całe wieki, a Egipt miał się stać w przyszłości jednym z największych centrów żydowskich na świecie.

Po Manassesie nastąpiły krótkie rządy jego syna Amona, a po zamordowaniu tegoż tron objął ośmioletni syn Amona Jozjasz. Jozjasz sprzeniewierzył się przesłaniu ojca i dziadka, wracając na kurs swego pradziadka Ezechiasza i przywracając prawowierny jahwizm. I znowu powtórzyło się wszystko, posągi obcych bogów wyrzucono ze Świątyni etc., etc. Król korzystał tu z duchowego wsparcia proroków Nahuma i Sofoniasza, a później zjawiał się sam wielki Jeremiasz.

Najgłośniejszym chyba wydarzeniem z czasów Jozjasza było odnalezienie oryginalnego tekstu KSIĘGI POWTÓRZONEGO PRAWA, która zapewne powstała w czasach Ezechiasza – o ile nie była wręcz dziełem współczesnym. Została znaleziona przez kapłana Chilkiasza podczas remontu Świątyni i posłużyła do tym skwapliwszego usuwania wielobóstwa. A w każdym razie do reformowania jahwizmu, który – jak twierdzą niektórzy historycy – był już poważnie zagrożony. Za czasów Jozjasza proces oczyszczania i centralizacji kultu bardzo poważnie się rozwinął.

Tymczasem na świecie zmieniło się wiele. Assyria, która zdawała się być u szczytu potęgi za niedawnych czasów Assurbanipala, nagle czy prawie nagle znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Najpierw runęła nawała Scytów, która przeszła przez cały Bliski Wschód, docierając do Egiptu. Sama stolica Asyrii, Niniwa, ocalała, ale imperium zostało śmiertelnie osłabione, z czego skorzystały podbite przez nie krainy, gwałtownie zrywając więzy zależności. Skorzystał na tym i Jozjasz, przejmując Królestwo Północne Izraela. W 612 roku p.n.e. pod ciosami Babilonu i sprzymierzonych z nim Medów pada Niniwa. Ale zapowiada się pomoc, z którą spieszy faraon Neko. Oczywiście, Egipt był odwiecznym przeciwnikiem Asyrii, ale teraz Assyria stała się czynnikiem geopolitycznej równowagi. I oto Jozjasz, żeby ostatecznie pognać Asyryjczyków, próbuje przeszkodzić Egipcjanom i ponosi straszną klęskę pod Megiddo, sam przy tym ginąc. Asyrii zresztą i tak to już nie mogło pomóc, bo i faraon przegrał z Babilonem pod Karkemisz (605 r. p.n.e.) i wycofał się do Egiptu. Ale jeszcze zdążył zdetronizować jednego króla Judy, osadzić innego i deportować do Egiptu nieposłusznych Żydów. Odtąd główną rolę odgrywało państwo nowobabilońskie i jego król Nabuchodonozor, którego inni autorzy nazywają Nebukadnezarem. Teraz on zajmuje miejsce Asyrii, a jest jeszcze potężniejszy. Juda zostaje najechna i złupiona, kolejny król Jehojakin kapituluje i zostaje więźniem w Babilonie. Jerozolima, pałac królewski i Świątynia kolejny raz stają się przedmiotem grabieży, a na tronie jerozolimskim zostaje osadzony babiloński wasal, Sedecjasz. Jest już rok 597 p.n.e., ale ostatni akt dramatu dopiero nastąpi.

Bo Sedecjasz, licząc na pomoc Egiptu, buntuje się także. W ogóle były wtedy dwa stronnictwa w Jerozolimie. Proegipskie, które *Ricciotti* nazywa „synkretycznym”, czyli politeistycznym, i probabilońskie, podobno jahwistyczne. Dlaczego właśnie jahwiści wybierali Babilonię, pojąc niełatwo, bo przecież i tam panował politeizm. Zresztą obie możliwości były niewygodne i desperackie, a jaka potęga ostatecznie zwycięży, nikt nie wiedział. Ale ostatnie lata judzkiej niepodległości kształtuje, co prawda nie bardzo skutecznie, wielka osobowość: prorok Jeremiasz. A Jeremiasz był zdecydowanym zwolennikiem Babilonu, które to stanowisko bynajmniej nie wszyscy obecni wówczas w Jerozolimie prorocy podzielali. Jeremiasz był szykanowany i więziony, jego rękopisy palono, a on sam został wrzucony do mulistej cysternej i tak dalej. Był przy tym szczególnym dziwakiem, nie stroniącym od drastycznych demonstracji. A w ogóle to nie był żonaty, co było w Izraelu absolutnym wyjątkiem i to wyjątkiem bynajmniej niechwalebny. Oskarżany, chyba słusznie, o defetyzm, był nawet w więzieniu nawiedzany przez króla, który jednak nie słuchał jego rad do końca. A rada była jedna: podać się natychmiast Babilończykom.

Po upadku Jerozolimy został przez najeżdżcę z honorami uwolniony, ale nie przyjął zaproszenia do Babilonu. Los postąpił z nim paradoksalnie: grupa uchodźców wprowadziła go do zniechęconego Egiptu, gdzie mieszkał wygodnie aż do śmierci. Kiedy się opowiada historię, nie sposób zakończyć czyichkolwiek losów formułką: żył długo i szczęśliwie, bo wszak opowiadamy o umarłych, a to stan wiekuiście już dokonany.

Otóż Sedecjasz ostatecznie przystąpił do ligi antybabilońskiej, spadkobierczyni wcześniejszej, takiej samej ligi antyaszyryjskiej. I historia się powtórzyła. Nabuchodonozor rozpoczął oblężenie Jerozolimy, zdobywszy uprzednio wszystkie inne ośrodki oporu. Zachowały się pod gruzami Lakisz odkryte w naszych czasach raporty oficera łączności, dokument szczególnie posępny. Łączność między rozmieszczonymi co kilka kilometrów judzkimi fortecami

polegała na nocnych sygnałach świetlnych. Teraz gasły, jedno światło po drugim. Jeszcze wczoraj świeciła Azeka, dziś już nie, stąd wniosek, że Chaldejczycy zdobyli ją i ciągną na Lakisz. A potem raportu już nie było. Wyobraźnia podsuwa mi raczej brytyjski obraz tego oficera, pełnego dystansu do własnej śmierci i determinacji zarazem. Ale pewnie wyglądał zupełnie inaczej.

Jerozolima była przygotowana do długiego oblężenia. Ale w starożytności bywały oblężenia bardzo długie: podczas tej samej babilońskiej kampanii Tyr był oblegany przez pełne trzynaście lat, aż wreszcie padł; Troja lat dziesięć, Samaria – trzy. Jeśli napastnik miał czas i siłę, to prędzej czy później wdzierał się do oblężonego miasta. Jerozolima przetrwała osiemnaście miesięcy. Oblężeni mieli swój moment przelotnego triumfu: faraon Hofra ruszył z pomocą i Chaldejczycy odступili. Ale radość trwała krótko, bo faraon poniósł klęskę i najeźdźcy ponownie podjęli oblężenie. Teraz już głodne i zrozpaczone miasto czekało tylko na okrutną śmierć.

Wreszcie Babilończycy zrobili wyłom w murach. Król Sedecjasz próbował ucieczki, ale został schwytany. Po kolei na jego oczach zabito mu wszystkie dzieci, a potem te oczy wykłuto. Zmarł w babilońskim więzieniu jako ostatni król z dynastii Dawida. Był to rok 586 p.n.e., od czasów Dawidowych minęło czterysta lat, skończyła się epoka Pierwszej Świątyni.

Święto także przywódców partii antybabilońskiej, a ludność deportowano wedle wzorca asyryjskiego. Znaczy to, że deportacji podlegali bogatsi i znaczniejsi z jakichkolwiek innych względów. Natomiast prostych rolników, pasterzy i winniczników zostawiono w spokoju. Przydano im nawet miejscowego namiestnika, przyjaciela Babilonu, rezydującego w Mispah Godoliasza, którego jednak powstańcy antybabilońscy, a konkretnie niejaki Izmael, rychło zabili. A potem przyszła nowa fala deportacji.

Nie było już Judy, ale nie było i miasta. Jerozolima okazała się zbyt buntownicza, żeby mogła dalej istnieć. Miasto doszczętnie złupiono, następnie podpalono, a wreszcie zburzono mury i umocnienia. Po raz pierwszy, ale nie ostatni, było to kompletne bezludzie. Taka jest zresztą dola wszystkich świętych miast: giną, ale niektórym zdarza się zmartwychwstać. Z Jerozolimy pozostała kupa gruzów nie nadających się do zamieszkania. Ale prorocy mówili, że prędzej czy później nadejdzie dzień odrodzenia i powrotu. Z pomocą Żydom przyszła literatura.

Chyba od samego początku byli narodem piśmiennym, wyszli przecież z kulturalnej Mezopotamii, terminowali u Egipcjan, a w końcu i Kanaan nie był jakąś zabitą deskami prowincją świata, i to tu właśnie na długo przed Dawidem i Salomonem narodził się alfabet. Naturalnie nie wszyscy władali sztuką pisania, była to początkowo umiejętność dworska i świątynna. A może nade wszystko handlowa. Co prawda książki owoczesne składały się z ciężkich, glinianych tabliczek, niełatwych w transporcie. Mojżesz musiał nawet zamiast drewna, gliny czy papirusów użyć do pisania innego materiału: po prostu kamiennych tablic. Ale najważniejsze było właśnie to, że zapisał – byli więc tacy, którzy to mogli przeczytać! A swoją drogą ciekawe, w jakim to było alfabecie? Czy DEKALOG został spisany pismem klinowym, czy może hieroglifami?

Pierwsze utwory literackie to chyba pieśni i formuły zaklęć, przechowywane w pamięci. Zresztą wiemy, że dzieła Homera też początkowo istniały tylko w pamięci słuchaczy. Ale pismo hebrajskie było o wiele wcześniejsze od alfabetu greckiego. Co prawda i w kręgu kultury egejsko-minojskiej były pisma tzw. linearne „A” i „B”, a przedtem jeszcze hieroglify kretańskiego dysku z Fajstos. Żydzi mieli swoje pieśni i podania, między innymi do najstarszych należy PIEŚŃ DEBORY. Ale prawdziwy rozwój literatury nastąpił dopiero na stabilnym już dworze Dawida i Salomona, tak przynajmniej nam się wydaje.

Krzyżowały się tam wielorakie wpływy, szczególnie fenickie, a scentralizowane państwo wymagało wykształconych urzędników. Dawidowi przypisuje się autorstwo niektórych przynajmniej psalmów, a Salomonowi przysłów wynikających z prastarej egipskiej i mezopotam-

skiej literatury „mądrościowej”. Z pewnością jednak był o wiele szerszy krąg autorów. Wiadomo z BIBLI, że były jakieś książki, do których ona się odwołuje, książki o charakterze historycznym. Ale właśnie przystąpiono i do spisywania samej BIBLI. Wedle mającej już parę stuleci krytyki Biblijnej najstarsze księgi BIBLI łączą w sobie kilka tradycji. Autorem czy raczej redaktorem najstarszej części miałby być tak zwany „Jahwista” – „J”, prawdopodobnie dworzanin Salomona. Redaktorem nieco późniejszym byłby „Elohista”, wywodzący się zapewne z Północnego Królestwa. Poza tym był też kapłański „P” (od niemieckiego *Priester* – kapłan) i późniejszy „D” – deuteronomiczny, powtórzony, wtórny. Każdy coś od siebie dołożył, a może też coś i skreślił.

Przypuszcza się, że najwcześniejsze partie KSIĘGI RODZAJU powstały stosunkowo późno, już w trakcie niewoli babilońskiej, bo tam właśnie można się było zapoznać z najstarszymi mitami, takimi jak stworzenie człowieka czy potop. Przy tym zależność księgi GENEZIS od starszego o tysiące lat poematu genezyjskiego ENUMA ELISZ jest powszechnie znana. Mam wątpliwości. Przecież Abraham wyruszył właśnie z sumeryjskiego Ur i najprawdopodobniej stare legendy były przez Żydów już od tysiąca lat znane i przekształcane. Wersja ENUMA ELISZ mogła co najwyżej pomóc w ostatecznej redakcji.

Nie było też chyba tak, by informacje historyczne bytowały sobie niejako luzem, we fragmentach. Każda musiała być częścią jakiegoś zamkniętego utworu, pieśni czy legendy i redaktorzy odrzucali to, co ich zdaniem było zbyt czyste, a tym zapewne był stosowny morał w guście politeistycznym. Jahwistyczny upór Józefa przystoi raczej epoce Ezechiasza, a nie czasom o tysiąc lat dawniejszym.

Okres Pierwszej Świątyni to czasy proroków, jeszcze można do tego dopisać okres babiloński. Później już niewiele takich ksiąg powstało. Ale ja mam na tę sprawę, z natury rzeczy, punkt widzenia chrześcijański, a nie żydowski. Otóż godzi się dodać, że potrzeby chrześcijan były inne niż Żydów. Żydzi za księgi prorockie uznali więcej swoich zapisów, tych właśnie, które odnoszą się do czasów wcześniejszych. Więc KSIĘGI JOZUEGO, SĘDZIÓW, SAMUELOWE, KRÓLEWSKIE – istotnie, ich bohaterami bywają prorocy, jak choćby sam Samuel czy Natan na dworze Dawida, ale moim zdaniem to wynikało z uznania przez nich przewagi tradycji prorockiej nad polityczną, stąd właśnie chcieli ugruntować ją jak najmocniej. A może po prostu poświadczali jedność obu inspiracji.

Proroków było bardzo, bardzo wielu, do nas dotarły jedynie księgi tych najwybitniejszych, spisane na ogół przez ich uczniów i sekretarzy. Wiemy na przykład, że sekretarzem Jeremiasza był pomniejszy prorok Baruch. Dziwna to była rola. Prorok był ni to dygnitarzem, ni to kapłanem, ni to anachoretą. Powołany był do wszystkich tych ról naraz, a jeszcze miał być sumieniem swojego czasu i króla, co nieraz przyplącał śmiercią. Zazwyczaj prorok gromi swoich współczesnych. Czytałem niegdyś księgi prorockie w staropolskim przekładzie księdza Wujka i wydawały mi się bardzo wzniosłe. Ale po jakimś czasie przeczytałem je jeszcze raz w nowoczesnym przekładzie tynieckim – i teraz wydały mi się raczej monotonne i czepliwe. Na przykład tak poetycki Izajasz gromi po kolei głupotę swojego narodu, obłudę religijną, Judeę, święte drzewa, pysznych, nieład, mieszkanki Jerozolimy, Asyrię, Achaza, najeźdźców, królestwo Izraela i znowu Asyrię, Sargona, Babilon, Filistynów, Moab, Damaszek i Samarię, Kusz, Egipt, Aszdod, Arabię, przygotowania wojenne, Sydon i Tyr, i tak w koło Macieju jeszcze kilkadziesiąt stron. Zaczyna się rozumieć, że i judaizm, i wyrastające z niego religie muszą być jednym nie kończącym się złorzeczeniem pod adresem człowieka, jego postępów i doli. Dopiero na tle tych gromów pojawiają się nieśmiałe gałązki oliwne pokoju i nadziei. Ocalała z pożogi „reszta”, nieprawdopodobna na tle ogólnego fresku szczypta „sprawiedliwych”, powróci po kłęsce, odniesie zwycięstwo i będzie żyć w pokoju. Ale kto tu naprawdę może być sprawiedliwy?

Nadzieja może zaświtać z zupełnie innej strony. Oto panna pocznie i porodzi syna i nazwie imię jego Emmanuel – to się odnosiło do Jachazowego syna Ezechiasza. Ale tak też rodziła

się myśl o wybawicielu i odkupicielu, który niewiadomą mocą, raczej bożą niż własną, będzie kimś innym, a potężnym, kto ocali naród, a potem – ludzkość. U proroków rodziło się spodziewanie Mesjasza, Bóg mówił do człowieka niezależnie od liturgicznego rytuału, a stawał się powoli jedynym Bogiem wszystkich ludzi. Szczególnie u tzw. Trito-Izajasza można znaleźć przesłanki rozwoju chrześcijaństwa i Kabały. A u wszystkich proroków Jerozolima staje się ojczyzną nadziei i ludzkiego odrodzenia.

Żydzi, z jednej strony związani straszliwymi klątwami i pętami, z drugiej byli już duchowo gotowi do niesienia swojej misji innym narodom. *Zawieszysz naród, którego nie znasz, i ci, którzy cię nie znają, przybiegną do ciebie.* Paradoks, którego niemal nie sposób rozwiązać, to brzemień wygnańców, którzy porzucając zburzone Miasto i Świątynię, zmierzali ku krajowi praprzodków, na niewolę babilońską.

Druga Świątynia

Szczęśliwe kraje nie mają historii, ale kraje, których nie ma – także jej nie mają. Królestwa żydowskie, najpierw Izrael, a potem Juda, stały się zarządzanymi z dalekich stolic peryferyjnymi prowincjami, podobnie jak swego czasu Poznań, Kraków czy Warszawa. I podobnie jak w Kongresówce wywożono z nich ludność czy raczej pędzono piechotą. Droga była długa, ponieważ wygnańców wiązano ze sobą: w dziewiętnastym, postępowym stuleciu kajdany bywały już indywidualne. Drogi Polaków były zresztą o wiele dłuższe, bo prowadziły na inny kontynent, na Syberię. Żydzi mieli wrócić do Mezopotamii, choć ten „powrót” dzieliło od Abrahamowego wyjścia tysiąc kilkaset lat i, naturalnie, Mezopotamia była już dla nich doskonale obca. Może jednak jest choć cień analogii w przymusowym przecież zasiedleniu „ziem odzyskanych” przez wygnańców „zza Buga”? W każdym razie właśnie Polak jest w stanie ten fragment dziejów żydowskich zrozumieć bez trudu.

Miasto Nippur leży w południowej Chaldei, nie tak znowu daleko od Ur, z którego wyszedł niegdyś Abraham. Leży na południe od Babilonu, nad rzeką, a właściwie kanałem eufratowym Chebar. Ziemia była tu żyzna i bogata, miasta zamożne i gęsto położone, możliwości handlowe ogromne, takie USA tamtych czasów. Już Jeremiasz radził wygnańcom, by się tam osiedlili na stałe, budowali domy, zakładali sady i ogrody. I tak się rzeczywiście stało. Z tym, że Żydzi dla nowej ziemi nie mieli dobrego słowa, w ich księgach z owego czasu są same skargi i płacz za ościstą i postną Jerozolimą. Zupełnie tak, jakby ktoś z pięknej Szampanii wzdychał za mrozami Litwy czy piaskami Mazowsza. *Jeśli zapomnę ciebie, Jeruzalem, niech uschnie prawica moja.*

Oddzielony górami i przepaściami czasu poeta pisał przy innej okazji: *ta kartka wieki tu będzie płakała i też jej stanie.* Skargi spisane na wygnaniu babilońskim stały się własnością wszystkich czasów i wszystkich ludów, a samym Żydom miały towarzyszyć i określać ich poczynania już na zawsze.

Nad rzekami Babilonu jesteśmy siedzieli i jesteśmy płakali. W praktyce jednak Żydzi nie mieli czasu na kontemplowanie bieżącej wody i płacze, bo wszystko świadczy o tym, że wzięli się ostro do pracy i wkrótce już doszli do dużej zamożności. Zachowały się dane o wysokich wpłatach na rzecz Świątyni – naturalnie trochę później, o stadach koni, wołów i baranów, o tysiącach niewolników będących w ich posiadaniu. Przecież deportacji podlegała tylko ludność najbogatsza, najznaczniejsza, a więc najbardziej inteligentna i wykształcona. Nie znamy szczegółów ich bytowania, ale najwidoczniej warunki były sprzyjające. W Nippur odkryto tabliczki żydowskiego domu handlowego rodziny Muraszu, skąd widać, jak rozwinięte były stosunki Żydów z tuziemcami, widać też rozmach operacji finansowych i rozmiar sieci handlowej. A nie była to najprawdopodobniej firma jedyna i osamotniona.

Niewola babilońska to okres o ogromnym znaczeniu w dziejach żydowskich, chociaż trwała stosunkowo krótko, bo mniej więcej pięćdziesiąt lat: od 586 do 536 roku p.n.e. Ale przecież Żydzi pozostali w Babilonii, już dobrowolnie, na całe tysiąc lat, a może i dłużej. Właściwa niewola trwała jednak pół wieku. Napisałem, że „krótko”. Ale to przecież czas dłuższy niż trwanie w Polsce „realnego socjalizmu”, a nikt by nie rzekł, że to trwało krótko. Inaczej: to był czas dłuższy niż w XIX wieku trwała nasza Wielka Emigracja, a przecież zmiany w charakterze narodowym były ogromne; w tym czasie pisał Mickiewicz, Słowacki,

Krasiński, Norwid, Fredro, a na peryferiach tego okresu powstała TRYLOGIA, POPIOŁY, WESELE, malował Matejko, komponowali Chopin i Moniuszko. Był to więc czas tak płodny, że nie sposób sobie wyobrazić Polaka bez odniesień do twórczości tego okresu. Podobnie było i z Żydami.

Fundamentalną sprawą było wykończenie i uzupełnienie TORY. W tym właśnie mniej więcej czasie działali autorzy zwani „D” i „P”. Pierwszy z nich tak przeredagował dawne źródła, że dzieje żydowskie zostały ukazane jako konsekwentne i ustawiczne dochodzenie do mono-teizmu. Głównym bohaterem BIBLI „deuteronomisty” staje się Jahwe, nic, co się dzieje bez niego, nie dzieje się. Historia Żydów staje się definitywnie historią świętą, a naród żydowski narodem wybranym. Historyk kapłański, znany jako „P”, działa w tym samym duchu, szczególnie nacisk kładąc na zobowiązania Boga wobec człowieka i człowieka wobec Boga. To właśnie jego autorstwa ma być pierwsze Przymierze, odnoszące się do wszystkich ludzi, tak zwane noachickie, bo z Noem przy okazji potopu zawarte. Ciekawe jednak, że tutaj właśnie potężny fundament ma także ekologia, bo przecież Bóg zawiera Przymierze z *wszelką istotą żywą (...), z wszelkim zwierzęciem na ziemi*, co prawda z warunkiem, że towarzyszą człowiekowi, ale to przecież można poszerzyć bezgranicznie. I to właśnie „P” miał sformułować zasadę z KSIĘGI KAPŁAŃSKIEJ uznaną przez Hillela za esencję judaizmu: *Będziesz miłował (...) bliźniego swego jak siebie samego*. Ta fundamentalna odtąd zasada BIBLI była interpretowana niezliczoną ilość razy, bo zakres pojęcia bliźniego, hebrajskiego „re’a”, stanowi chyba o wymiarze naszego człowieczeństwa. Dla jednych był to tylko członek rodziny, dla drugich rodak, dla jeszcze innych każdy człowiek, a dla interpretatorów współczesnych – każda istota żywa.

Nie wiemy, czy autorzy BIBLI, owi „J”, „E”, „D”, „P”, a może jeszcze jacyś inni, byli pojedynczymi ludźmi czy przedstawicielami jakichś kolegiów autorskich, przecież jeszcze długie wieki, o których nie mamy informacji, trwało redagowanie i porządkowanie całości. Ilu ludzi naprawdę tworzyło PISMO – nie wiadomo, trudno się dziwić, że stojący za tym wszystkim geniusz narodu mógł być identyfikowany z Bogiem. Ale właśnie w okresie babilońskim zostały sformułowane wszystkie istotne elementy judaizmu, a tym samym i cywilizacji zachodniej.

Ale to jest przecież złoty wiek literatury starożydowskiej. Gdzieś tych czasach powstaje KSIĘGA HIOBA i DEUTERO-IZAJASZ i PIEŚŃ NAD PIEŚNIAMI i PROROCTWO EZECHIELA. O tym ostatnim, podobnie jak o pozostałych prorokach „większych”, Izajaszu i Jeremiaszu, mamy trochę konkretnych informacji – w każdym razie wiadomo, że pisał na wygnaniu, w miejscowości Tel Awiw nad kanałem Chebar, której nie należy mylić ze współczesnym miastem izraelskim o tej samej nazwie. Nawiasem mówiąc, ten kanał? starorzeczce? odnoga? – jest w tradycji żydowskiej niemal równie często wspominany jak Jordan i aż do Arnolda Słuckiego kojarzy się z prorokami. To przecież jest najprawdziwsza żydowska „rzeka Babilonu”. Ezechiel, tak jak i inni prorocy, wieści zagładę wielu ludom, w tym tajemniczemu „Gogowi i Magogowi”, co się później stało symbolem wroga, oskarża Jerozolimę i Judę o wszelakie wszeteczeństwa, co już było tradycją od czasów Ozeasa, i zapowiada zniszczenie. Ale też tradycyjnie – późniejsze odrodzenie. Dzieło jest bardzo konkretne, podaje dokładne daty i szczegóły osobiste, nawet w sensie fizjologii. Uważa się nawet, że to po prostu zapis niezwykle kolorowych halucynacji, a metaforyka „mineralna” tu właśnie święci triumfy. Jednocześnie KSIĘGA EZECHIELA stanowi ulubiony przedmiot spekulacji technologicznych. Odnosi się to do wizji niebiańskiego wozu, i także do Świątyni, co do której Däniken sądził, że jest to opis konkretnego budynku położonego w Ameryce Południowej! Rzeczywiście, jej opis nie wygląda na wizję, są na przykład podane bardzo konkretne wymiary. Chyba to pierwsza utopia w dziejach? Bo do opisu samej Świątyni dołączył Ezechiel plany podziału kraju i zobowiązań poszczególnych grup społecznych, i propozycje obrzędów. Naturalnie, wszystko *sub*

specie religii. Prorok zrobił wiele, aby skonkretyzować etos Żyda, a jest to etos bezwzględnej wierności i służby Bogu. Etos mocno ksenofobiczny.

KSIĘGA EZECHIELA przysporzyła wiele kłopotu późniejszym żydowskim komentatorom, znalazła się nawet na czymś w rodzaju indeksu – szło o niezgodności z przepisami TORY, ale ostatecznie została uznana za kanoniczną. Na pewno jest najbardziej wielostronną i kontrowersyjną księgą prorocką.

Okres babiloński i później perski zapłodnił wyobraźnię Żydów jeszcze innymi księgami, bardziej może literackimi. Bo już nie o rzeczywistych ludziach opowiadają księgi DANIELA, TOBIASZA, JUDYTY, ESTERY. To oczywista literatura, ale nie dla samej rozrywki spisywana, choć kto wie, co uważali za rozrywkę starożytni Żydzi? Są tam liczne opowieści umoralniające, o bohaterce Judycie, która ścina głowę dowódcy wrogich wojsk Holofernesowi, o Zuzannie niesłusznie pomówionej przez starców o niewierność, a nade wszystko o Danielu dokumentującym Jahwe swą wierność – rzuconym a to do pieca ognistego, a to wygłodniałym lwom na pożarcie, a to tłumaczącym sny jak Józef, a także wizje, w rodzaju sławnej ręki piszącej Baltazarowi na ścianie: mane, tekem, fares, co ma być zapowiedzią zagłady. Jest tu i fantastyka o Tobiaszu, Sarze i demonach, i wiele innych rzeczy. A prawdopodobnie była i literatura czysto ustna, jak wice i szmoncesy, były mnogie plotki towarzyskie i bajdy przeróżne – Żydzi mieli bowiem przebogata tradycję opowieści o dziwach, czarach i cudach, chociaż oficjalnie uprawianie wszelkiej wiedzy tajemnej było najsurowiej zakazane. Ale cały świat był tak pełen cudów...

Ważnym wydarzeniem w życiu diaspory babilońskiej była śmierć pogromcy Jerozolimy, króla Nabuchodonozora. Jego następcą, Amel-Marduk, uwolnił z więzienia, w którym przebywał trzydzieści kilka lat, uprowadzonego w 598 roku p.n.e. króla Judy Jehojakina. Nie tylko uwolnił, ale zaszczytnie posadził przy królewskim stole i wyposażył jego rodzinę. A Jehojakin był przecież potomkiem Dawida, stał się więc naturalnym przywódcą. Ale jeszcze ważniejszym wydarzeniem, zmieniającym zupełnie los wygnańców, był upadek samego Babilonu. Cyrus Wielki, Pers, Achemenida, podbił Medię, Lidę ze sławnym królem Rrezusem i w ogóle całą Azję Mniejszą, a w roku 539 p.n.e. zdobył Babilon. Królestwo chaldejskie przestało istnieć na zawsze.

W rok później wydał słynny edykt zezwalający Żydom na powrót do ojczyzny. Zakończyła się niewola babilońska, a zaczął długi okres współżycia Żydów najpierw z Persami, potem z Grekami, wreszcie z innymi ludami, współżycia dobrowolnego, a zwieńczonego gigantycznym dziełem prawnym i obyczajowym – TALMUDEM babilońskim.

W następstwie edyktu Cyrusa wielka część Żydów wróciła do Palestyny. KSIĘGA EZDRASZA określa ich liczbę na czterdzieści dwa tysiące trzysta sześćdziesiąt osób – oprócz niewolników, śpiewaków i śpiewaczek. Dowiadujemy się, ile było koni, wielbłądów, mułów i osłów. Wynika z tego, że podróżowano na osłach, ale największa część wędrowała pieszo. Nasuwa się porównanie z prawędrówką Abrahama, mniej więcej tym samym szlakiem. Czy wędrowcy mieli świadomość tego? A może to właśnie wędrówka Abrahama została wystylizowana na wzór tego poruszenia narodu? Skoro repatrianci mieli przywieźć ze sobą początek księgi GENEZIS... Ale trudno mi w to wierzyć.

Wędrowcy roku 538 p.n.e. pod wodzą Szeszbassara i Zorobabela, który może był tym samym człowiekiem znanym nam pod dwoma imionami, w każdym razie też potomkiem Dawida, mieli konkretnie określone zadanie: odbudowę Świątyni Salomona. Byli wspierani datkami diaspory babilońskiej, ale dzieło toczyło się niemrawo: w zburzonym raju reemigranci nie mieli gdzie mieszkać. Na dodatek popadli w konflikt z ludnością miejscową, przede wszystkim, jak można podejrzewać, z Samarytanami. Konflikt na tle dość osobliwym: miejscowi chcieli pomóc w odbudowie Świątyni, a przybysze im tego odmówili. Przez lata diaspory żydowski ekskluzywizm urósł niepomiernie i choć nie nam z perspektywy całych tysięcy lat oceniać tę sytuację, ich zachowanie nie budzi w nas entuzjazmu. A na dodatek kon-

flikt z Samarią miał trwać całe stulecia i nie przyniósł Żydom, chyba, żadnego pożytku. A poza tym był zdumiewająco niekonsekwentny jak na naród, jak na religię otwartą na prozelitów. W każdym razie zaczęły się wzajemne waśnie i donosy do władz perskich, które umęczone tym wszystkim wydały w końcu zakaz odbudowy, szczęściem nie ostateczny. Po dwudziestu latach, w roku 516 p.n.e., Świątynię wreszcie odbudowano, co prawda już na samym początku Zorobabel ustawił ołtarz, na którym składano ofiary.

Teraz zaczyna się długi okres, w którym w Palestynie niewiele się dzieje, a w każdym razie my niewiele o tym wiemy. Od schyłku szóstego do połowy drugiego wieku. W tym czasie imperium perskie przeżyta apogeum swej chwały i okrutny upadek pod ciosami Aleksandra Wielkiego (334 p.n.e.). Ale dwieście lat przedtem podbiło Egipt i toczyło wojny z Grekami. Kończy się Wielka Kolonizacja Greków, rozwija się demokracja ateńska, toczy wojna peloponeska, rządzi Perykles i zostaje skazany Sokrates. Wspaniale rozkwita klasyczna kultura grecka. Daleko na Zachodzie, po rozkwicie Etrurii, prowincjonalna Republika Rzymska podbija cały Półwysep Apeniński i stacza śmiertelną wojnę z dumną fenicką Kartaginą. Równocześnie po wielkich wyprawach Aleksandra Macedońskiego wschodnią część basenu Morza Śródziemnego ogarnia cywilizacja hellenistyczna z największym chyba ośrodkiem w egipskiej Aleksandrii Ptolemeusza, ale też z bezlikiem ośrodków pomniejszych. Izrael osnuwa milczenie, ale kiedy przemówi, będzie to już zupełnie nowy naród, naród w pełni judaistyczny.

Milczenie źródeł nie jest zresztą zupełne. W czasach Zorobabela powstały dwie, niewielkie zresztą, księgi prorockie, Aggeusza i Zachariasza, obie poświęcone odbudowie Świątyni i odnowie moralnej. A już wkrótce (?), za jakies siedemdziesiąt lat, przypadnie czas działania dwóch ważnych osobistości: Nehemiasza i Ezdrasza. Ale obaj oni występowali za zezwoleniem i z upoważnienia króla Persów, tak jak Wielopolski działał z upoważnienia cara i od cara, naturalnie, zależał. Poczynania Ezdrasza i Nehemiasza były zresztą bez porównania szczęśliwsze i skuteczniejsze. Z tym, że zupełnie nie wiadomo, który działał wcześniej, a który później. Nehemiasz był perskim dostojnikiem, prawdopodobnie podczaszym, a zarazem eunuchem, co istotne, bo nie mógł założyć własnej dynastii.

Wyposażony w perskie pełnomocnictwa odbudował mury Jerozolimy okrutnie sfatygowane i zburzone. Rzecz była konieczna, bo chociaż nad Jerozolimą rozciągnięty był perski parasol ochronny, to jednak w kraju nie było całkiem spokojnie i bezpiecznie. Z południa, z Edomu, napłynęło wielu imigrantów, a i tak było ich pełno zewsząd. Edomici zaś niby byli krewniakami, od czasów Abrahama i Ezawa, ale krewniakami nie bardzo pożądanymi i trochę pogardzanymi. Nie wędrowali jednak dla przyjemności, lecz z musu. Edom został bowiem najechany przez arabskie królestwo Dedanu-Kebiru, krótkotrwałą potęgę, które zdobyło Synaj i część osłabionego Egiptu. Po raz pierwszy pojawił się w Izraelu problem arabski, a jak już się pojawił, to nie zniknął i trwa do dzisiaj.

Nehemiasz po dramatycznych wydarzeniach i kłopotach odbudował mury Jerozolimy, ale spotkawszy silną opozycję – wrócił na dwór perski. Po czym, z kolejnym błogosławieństwem Artakserksesa, znowu zaczął robić w niej porządek. Miasto było już obwarowane, ale puste, i trzeba było je wręcz siłą zaludnić. Poza tym pojawiła się sprawa z naszego punktu widzenia właściwie dziwaczna: małżeństw mieszanych. Oczywiście, były zawsze, co nie może dziwić w kraju o tak mieszanej i zróżnicowanej ludności. Ale Jahwiści od czasów króla Salomona toczyli z nimi walkę, pomawiając je, zresztą może słusznie, że sprzyjają synkretyzmowi religijnemu. Otóż Nehemiasz wyciągnął wnioski krańcowe i zmuszał takie małżeństwa do rozvodu, a dzieci ich wykluczał w ogóle ze wspólnoty religijnej i narodowej. Wreszcie była Samaria, która ponownie zaproponowała, podobnie jak za Zorobabela, pomoc w odbudowie Jerozolimy i ponownie spotkała się ze wzgardliwym odrzuceniem. Ale to już wywołało prawdziwą schizmę religijną i skutki dość posępne.

W sukurs Nehemiaszowi przybył z dworu perskiego Ezdrasz, kapłan i skryba – sofer, kolejny dostojnik, tym razem chyba kancelaryjny. Miał bardzo rozległe uprawnienia, ale dotyczące wyłącznie sfery religijnej, co zresztą na jedno wychodziło. Persowie prowadzili po prostu zupełnie inną, wręcz zasadniczo odmienną politykę religijną niż poprzednio Babilończycy i Asyryjczycy. Tamci po prostu przywozili posągi bogów do metropolii i dołączali do wspólnego panteonu. Persowie zaczęli rzeczony posągi zwracać i reaktywować lokalne ośrodki kultów. Perska polityka w tym względzie okazała się o wiele skuteczniejsza, sądząc po autentycznej przyjaźni okazywanej im przez Żydów. A chyba nawet lojalności.

Ezdrasz nie wywodził się z królewskiego rodu Dawida, ale rzekomo od Aarona, Mojżeszowego brata, a później od Sadoka, który wraz s Abiatarem pełnił przy Dawidzie funkcje arcykapłańskie. Nic dziwnego, że jego pełnomocnictwa były właśnie tego rodzaju, ale niezależnie od tego, czy to był pomysł Persów, czy Żydów, czy samego Ezdrasza – siłą przewodnią Żydów miał być odtąd nie król, ale arcykapłan jerozolimski. Było to sprytne, bo nie zagrażało w niczym dominacji zwierzchniej Persów, a satysfakcjonowało Żydów. Był to niezmiernie ważny moment w formowaniu się narodu żydowskiego. Doszło do tego jeszcze co innego. Od tej mniej więcej pory fundamentem religii nie miały być obrzędy ani zagubiona Arka, ale sama KSIĘGA – TORA. Co prawda nikt naprawdę nie wie, kiedy TORA – PIĘCIOKSIĄG Mojżesza – została definitywnie zredagowana. Jedni wymieniają XI wiek, drudzy 622 rok p.n.e., i wierzący Żydzi utrzymują, że napisał ją sam Mojżesz w dwunastym–trzynastym wieku p.n.e. Wszelako w czasach Ezdrasza w największym zarysie i tak musiała już istnieć. Wiadomo, że sam Ezdrasz był jej gorliwym czytelnikiem. Ale ten człowiek, odnowiciel religii, zwany „drugim Mojżeszem”, jeden z najważniejszych twórców judaizmu, ył szczególnie niekonsekwentny. Z jednej strony pojęcie narodu miało wręcz całkowicie zastąpić wyznanie, z drugiej był szczególnie bezlitosny dla obcoplemiennych żon. A przecież judaizm miał być religią całej ludzkości.

Na razie Żydzi po odrobinie tracili swój własny język hebrajski na rzecz pokrewnego, co prawda, aramejskiego. Nawet pismo przyjęło kształt kwadratowej litery aramejskiej i jest takie do dzisiaj. Aramejskim mówiono na północy (już Dawid zajął królestwo Aram-Soba), a później w całej Mezopotamii. Gdy przyszli Persowie, aryjczycy przecież, aramejski pozostał językiem dyplomacji i handlu, *lingua franca* tamtych czasów. Przed nim był akadyjski, jeszcze wcześniej sumeryjski, a po aramejskim – grecki, potem łacina, potem francuski, potem angielski, potem...? Niektóre słowa przewędrowały przez wszystkie języki, wszystkie czasy. Jednym z tych słów, mających już lat pięć tysięcy albo i więcej, jest słowo „kanon”, oznaczające po sumeryjsku „trzcinę”, a teraz, po przekształceniach, także „kanon lektur na klasę piątą”. Ale po francusku to będzie „działo” i rodzaj refrenicznej piosenki i, koniecznie gruby, ksiądz kanonik.

Ezdrasz należał do *soferim* (końcówka -im tworzy w hebrajskim liczbę mnogą): pisarzy, kopistów, skrybów. Ludzie piśmienni już w Egipcie i Sumerze tworzyli osobną, godną szacunku kastę, ale po wynalezieniu alfabetu umiejętność pisania spowszedniała. W późniejszych czasach w ciemnej Europie piśmienny „kanclerz” czy „sekretarz” był widocznie znowu taką rzadkością, że zaczął oznaczać wysokiego państwowego urzędnika. Otóż w tym czasie w Izraelu pisarz zaczął zyskiwać znaczenie podobne kapłanowi czy prorokowi. Ale chodziło tym razem o kopistę, człowieka przepisyującego natchnione księgi, które miały się złożyć w ową sumeryjską trzcinę – „kanon”. Bo zwyczajnych literatów było podobno bardzo wielu, ale tylko księgi ustawicznie przepisywane miały szansę przetrwania. Przecież nie znano jeszcze druku, każdy egzemplarz czegokolwiek był owocem morderczej, nieznannej już naszym czasom pracy. W ten sposób tylko bardzo nieliczne książki, które budziły szczególne zainteresowanie, mogły mieć nadzieję na wydawniczą trwałość. Ogromny STARY TESTAMENT jest ponoć mniej niż jedną tysięczną tego, co naprawdę napisano. A nawiasem mówiąc, już KSIĘGA EZDRASZA zawiera długie cytaty aramejskie.

Ale ksenofobiczna, pogardliwa wobec cudzoziemców działalność Ezdrasza i Nehemiasza została przecież przez współczesnych mu zakwestionowana, nie mówiąc o tym, że na dalszą metę nie mogła być po prostu skuteczna. Stało się to w KSIĘDZE JONASZA. Księga opowiada o tym, jak prorok Jonasz z rozkazu bożego miał się udać do Niniwy, żeby ją nawrócić, i zwyczajnie stchórzył, wsiadł na statek i zmykał na kraj świata. A potem przysłała burza i żeglarze wrzucili Jonasa do morza, gdzie połknęła go wielka ryba (z BIBLIJ TYNIECKIEJ dowiadujemy się, że był to rekin z gatunku *Squalus carcharias*). Jonasz okazał się ciężko strawny i *carcharias* po trzech dniach się go pozbył. Pan powtórzył swój rozkaz i Jonasz udał się do Niniwy. Ale najciekawsze jest potem. Niniwa się nawróciła i Pan jej nie pokarał, zatem Jonasz obraził się na Boga. Wyszedł z miasta i czekał pełen nadziei, że może... Ale Bóg sprawił, że w nocy wyrósł rycynus dający Jonaszowi cień, a drugiej nocy rycynus zginął. I Jonasz rzekł Bogu: *Gniewam się śmiertelnie*. A Bóg na to: *Krzewu ci żal, a stu dwudziestu tysięcy ludzi, a zwierząt, które mieszkają w Niniwie, nie?*

Opowieść, bardzo sympatyczna, miała niezliczone repliki. Jonasz jest postacią autentyczną, był prorokiem, pochodził z Gat-ha-Chefer, żył w ósmym wieku p.n.e., Niniwy nie nawrócił, o jego zażyłości z rybami nic nie wiadomo. Księga jego imienia powstała kilka wieków później, właśnie w czasach Ezdrasza i pod jego rozważę. Natomiast z persko-żydowskimi dostojnikami wiąże się jeszcze jedna księga, podobno nie bardzo historyczna, KSIĘGA ESTERY.

Rzecz polega w krótkości na tym, że Haman, dostojnik króla perskiego Aswerusa, to jest Kserksesa, postanowił wygubić Żydów, poddając ich tajemniczemu (przynajmniej dla mnie) procederowi losów, *pur* (czy to nie ma czegoś wspólnego z rzymskim dziesiątkowaniem?), a żona królewska, Żydówka Estera, sprawiła, że Haman został powieszony, a do władzy doszedł Żyd Mardocheusz-Mordechaj, co było początkiem i uzasadnieniem żydowskiego święta *Purim*. Zabawne jest to, że te arcyżydowskie pozornie imiona właśnie wcale żydowskie nie są. Estera – to przecież bogini Isztar, a Mordechaj – to babiloński Marduk. Ale całość jest jakby instruktażem, podobnym nieco do historii Józefa, na temat tego, jak Żyd może się bronić w warunkach diaspory. Żyd powinien być użyteczny, ale i lojalny wobec władcy, Żydówka nie powinna z góry zdradzać, kim właściwie jest, wzorem i Estery, i niegdyś Abrahamowej Sary, podającej się za siostrę swojego męża. Żydzi przez całe tysiąclecia posługiwali się tymi przykładami. Zresztą, co mieli robić członkowie narodu, na którego straży nie stało własne państwo? Czy pani Walewska postępowała odmiennie? A diaspora już w tamtych czasach była ogromna; wiemy o osadzie żydowskiej na nilowej wyspie Elefantynie, ale podobnych osiedli i grupek mogło być bez liku. Tym jednak zagadnieniem zajmiemy się później.

W samej Palestynie Żydzi żyli względnie spokojnie, mając rodzaj autonomii rządzonej przez świątynną Radę Starszych, czyli Sanhedryn, której przewodził arcykapłan. Stanowisko to było rodzinne i dziedziczne, a konkurowały tu różne rody, na przykład Sadokidów i Tobiadów. Oczywiście, była to władza ściśle lokalna, a nieposłuszeństwo perskiemu hegemonowi bywało karane deportacją nad Morze Kaspijskie. Ale stosunki z Persami były raczej dobre, a Świątynia szanowana i bogata, i bo na jej rzecz spływały dary z całego ówczesnego świata. Ale już szykowała się zmiana, może największa z tych, jakie wydarzyły się w całej starożytności wschodniej, a było to zetknięcie się z cywilizacją grecką. Przyjmuje się na ogół, że dominacja Greków zaczęła się u schyłku czwartego wieku, wraz z błyskawicznymi kampaniami militarnymi Aleksandra Wielkiego. Ale to jest nieścisle. Już znacznie wcześniej Wielka Kolonizacja rozniosła po całym Śródziemnomorzu grecki sposób bycia i myślenia. Najemni żołnierze greccy służyli podobnie jak żydowscy w Egipcie, pełna ich była cała Persja, obrzeżona dodatkowo pierścieniem greckich miast jońskich. Wpływy helleńskie i przed Aleksandrem Wielkim dominowały w Azji Zachodniej, grunt był przygotowany, ale, naturalnie, błyskawiczna kampania Macedończyka, upadek imperium perskiego, śmierć Dariusza III Kodomana, wyprawa indyjska i egipska otworzyły przed Grekami niezmiernie możliwości politycz-

ne. Palestynę podbił Aleksander w 332 roku p.n.e. i został powitany z entuzjazmem, tak jak poprzednio przed wiekami perski Cyrus.

Imperium Aleksandra trwało tylko mgnienie, ale rozpadło się na królestwa diadochów, Aleksandrowych wodzów i dostojników. Głównych „udziałowców” i konkurentów było trzech: Antygonos wziął sobie część europejską, Seleukos – Mezopotamię z przyległościami, a Ptolemeusz – Egipt. Palestyna przypadła temu ostatniemu. Może to właśnie sprawiło, że Aleksandria, stolica Ptolemeusza, stała się największym żydowskim centrum świata, coś jak dzisiaj Nowy Jork. Ale było to jednocześnie największe centrum hellenistyczne, z największą na świecie biblioteką grecką. Zresztą później dwukrotnie skutecznie paloną, raz za czasów Juliusza Cezara, później odbudowaną, między innymi przez przewiezienie tutaj zbiorów z Pergamonu, drugi raz już za rządów kalifa Omara. Tego, który zabłysnął przy tej okazji światłym rozumowaniem: albo książki zgadzają się z KORANEM, więc są niepotrzebne, albo mu przeczą, a wtedy są szkodliwe. Nie wiadomo, czy w bibliotece aleksandryjskiej były książki żydowskie. Na pewno była tam SEPTUAGINTA, czyli grecki przekład STAREGO TESTAMENTU dokonany za czasów Ptolemeusza II przez siedemdziesięciu uczonych. I bardzo liczne prace żydowskich filozofów zainspirowanych kulturą grecką ze sławnym Filonem z Aleksandrii na pierwszym miejscu. To zresztą czasy nieco późniejsze, pierwszy wiek przed naszą erą. Ale właśnie od momentu dominacji kultury greckiej zaczynają się pojawiać pierwsze w historii pisma antysemickie. Nie tylko w Egipcie, ale grecki Egipt zrobił początek. To tu ukazała się antyżydowska praca kapłana z Heliopolis-On, Manetona, który wywodził, przy okazji dziejów swego kraju, że Żydzi byli kolonią trędowatych, wypędzonych z Egiptu wraz z odszczepieńczym kapłanem Osarsifem-Mojżeszem. Rodowici Egipcjanie już od dawna nie kochali Żydów, pytanie jednak, czy kochali Greków i innych cudzoziemców. Grecy sprowadzili przecież Egipcjan do roli obywateli już nie drugiej, a zgoła trzeciej kategorii...

Zderzenie kultury greckiej i żydowskiej było procesem bardzo zawiłym i wielostronnym. Wszyscy ponosimy tego konsekwencje, jako że najbardziej znanym owocem tego konfliktu miało być chrześcijaństwo. Ale były i inne próby budowania mostów między myślą grecką a żydowską, z tak zwaną gnozą aleksandryjską na czele, a więc ze wspomnianym już Filonem. Były i inne próby, które nie przetrwały. O ile Żydzi w swej chyba większości aprobowali entuzjastycznie Greków albo ich równie frenetycznie nienawidzili, o tyle sami Grecy nie zwracali raczej uwagi na intelektualizm żydowski. Natomiast do samych Żydów odnosili się bądź chłodno, bądź wręcz wrogo. Wszystko to przypomina zauroczenie Żydów Niemcami w czasach nowożytnych, co wiadomo jak się skończyło, a raczej nie skończyło się wcale, bo mimo holocaustu zauroczenie trwa nadal... Na korzyść Greków przemawia to, że nie urządzili szoah, choć zgromadzili argumenty, które po wiekach miały zostać skuteczniej wykorzystane.

Dlaczego tak się stało? Dla Żydów cywilizacja helleńska była chyba sposobem ucieczki od żydostwa, od ciężaru własnej historii, już wtedy dwutysiącletniej, a nie zawsze szczęśliwej. Ucieczki od mnożących się nakazów i zakazów w helleńską jasność i klarowność, w sferę dozwolonej nagości, sportowych igrzysk, dozwolonego przedstawiania świata w plastycznej, kolorowej postaci. Wiązała się z tym nadzieja, że monoteizm żydowski da się jakoś przełożyć na kategorie helleńskie. Że na przykład Jahwe można nazwać Zeusem, a istota rzeczy ujdzie cało. Po prawdzie i ja bym tak myślał, ale sami Żydzi – nie. Może wadziła im natura głosek będących prawdziwymi bytami? Ale to chyba znacznie późniejsza sprawa, czas KSIĘGI ZOAR, Kabały, o stulecia później. A może to jednak definiowało się dużo wcześniej?

Wydawać by się mogło, że akurat te dwa narody mogłyby się łatwo zrozumieć czy nawet polubić. Podobny ekspansjonizm, podobny zmysł do handlu, podobna przedsiębiorczość. A jednak nic z tego nie wyszło. Co Grecy mieli za złe Żydom? Prawdopodobnie to, że Żydzi nie chcieli stać się całkiem Grekami i nawet przyjąwszy język i obyczaje greckie, pozostawali Żydami. Bo zarzut, że byli wędrownym plemieniem bez ojczyzny, akurat w ustach Greków nie brzmiał bardzo wiarygodnie. Plemię Odyseusza nie było pod tym względem wiele lepsze

od narodu Abrahama. Ale towarzyszył temu drugi zarzut, że Żydzi są wszystkim innym narodom nieprzychylni. Już w tamtych czasach! Tak się mściła ksenofobia Ezdrasza i proroków, a czy była doprawdy konieczna? Wszak i Grecy nie mieli przez niezliczone wieki niepodległości, ale podobnie jak Żydzi przetrwali. Lecz przecież w tych antysemitycznych żartach była wyraźna zła wola i nie było chęci zrozumienia. Znamy to, znamy.

Ciekawe, że świtowi antysemityzmu towarzyszyła ówczesna księga stanowiąca chyba najbardziej pesymistyczne dzieło świata KOHELET, czyli EKLEZJASTES. W nieskończoność powraca tu jedna przesławna fraza: *marność nad marnościami – wszystko marność*. Marność – bo wszystko kończy się śmiercią, a zarazem wszystko już było. Nie ma sprawiedliwości ani sensu, wszystko jest niezrozumiałą igraszką Boga, który tu nie wygląda na sprawiedliwego i dobrego Ojca. Poza tym jest czas rzucania kamieni i czas ich zbierania, przesławna litania, której echo możemy spotkać i współcześnie, u Różewicza. Wszystko to zostało włożone w usta króla Salomona, chociaż zapewne z Salomonem nie miało nic wspólnego. Ale być może to właśnie był powód, że KOHELETA włączono do kanonu, bo z judejską tradycją nie miało to po prawdzie żadnego związku. Z grecką chyba też nie. KOHELET jest dziwny i nie sprowadzalny do niczego, nie ma nuty społecznej ani narodowej. Chyba żeby sam krytycyzm był darem Greków... *Timeo Danaos et dona ferentes* – pisał Wergiliusz (Boję się Danajów nawet gdy przynoszą dary). Czy wyszły one Żydom na zdrowie? Tak, bo idee sofistów, racjonalizm, krytycyzm i relatywizm odnalazły się ostatecznie w faryzejskiej koncepcji PRAWA USTNEGO, co umożliwiło stworzenie TALMUDU. Nie, bo hellenizacja wyzwoliła równocześnie izolacjonizm, ksenofobię, nacjonalizm i fundamentalizm, co skończyło się zburzeniem Świątyni, ruiną miasta i dwoma tysiącami lat diaspory.

Była to być może zarazem cena za utrzymanie tożsamości narodowej i wyznaniowej, chociaż jak właśnie przykład Greków wskazuje, nie jest to takie oczywiste. Żydzi nie musieli być ksenofobami, religia Jahwe stawała się przecież uniwersalistyczna i już wkrótce, w wersji chrześcijańskiej, miała objąć „wszystkie narody” Europy, a w wersji muzułmańskiej – narody Azji, co było przecież oczywistym ideałem judaizmu. Od Jeremiasza poczynając, nasilała się idea, by władzę polityczną zostawić komuś innemu, a zająć się sprawą najważniejszą, sławieniem, ale i rozważaniem natury Boga. Chrześcijaństwo i islam zrezygnowały w praktyce z motywu narodowego, nie wyznawały przecież Boga Greków, Rzymian czy Arabów, ale całego świata. I dlatego, paradoksalnie, łacina i arabski stały się na tysiące lat językiem sakralnym wielu ludów. Nie było przeszkody, aby takim językiem powszechnym mógł stać się język hebrajski.

Ale w bliższej perspektywie czekała Żydów walka o niepodległość, walka na krótką (?) metę uwieńczona sukcesem. Persowie nie pokonali Greków, Żydom to się udało.

Przyjaciele Grecy, przyjaciele Rzymianie

Królestwa greckich diadochów, małych następców Aleksandra Wielkiego, ustawicznie walczyły ze sobą. Walczyli także Ptolemeusze z Egiptu i Seleucydzi z Mezopotamii, wojny zaś między Egiptem a Babilonią tradycyjnie rozstrzygały się na pograniczu Syrii i Judei. Tak było i tym razem. Antioch III pokonał Egipt pod Paneas, dzisiejsze Banijas koło góry Hermon, źródła Jordanu, wtargnął do kraju nad Nilem i złupił go, a Palestynę zostawił sobie. Było to w 200 roku p.n.e. Orientacja egipska została zmieniona na seleucyjską. Pozornie było to samo: tu Grecy i tam Grecy, tu diaspora aleksandryjska, tam babilońska. W istocie odmie- niło się wszystko.

Diaspora aleksandryjska składała się z najbardziej hellenizowanych Żydów, mówiących i piszących prawie wyłącznie po grecku. To tutaj prawdopodobnie powstała pierwsza w dzie- jach synagoga w Szedia koło Aleksandrii: dom modlitwy, zebrań i nauczania, instytucja dbała zarazem o sprawy praktyczne, która w dziejach żydowskich miała wręcz ogromne znaczenie. A przede wszystkim rozpowszechniała się w całej Judei, nie konkurując, Boże broń, ze Świątynią, jedynym miejscem krwawych ofiar, lecz uzupełniając ją w roli akademii teolo- gicznych i prawnych. To w Aleksandrii działała szkoła gnozy, to tutaj pisał sławny Filon. To tu wreszcie dokonano przekładu KANONU na język grecki, czyli SEPTUAGINTY.

Żydzi babilońscy także byli bardzo liczni, bogaci i uczeni, ale na sposób hebrajsko- tradycyjny. I to oni mieli opracować TALMUD, obszerniejszy nawet niż palestyński. Za to metody postępowania Greków seleucyjskich były widocznie mniej subtelne niż aleksandryj- skich. Co prawda sami byli w tarapatkach: Rzym po pokonaniu Kartaginy w trzech kolejnych wojnach punickich zajął się teraz Grekami, zwyciężając Seleucydów pod Magnezją i wyzna- czając im trybut. Grecy z kolei musieli podnieść podatki, ponieważ potrzebowali pieniędzy i na ów rzymski trybut, i na własną obronę, jak się potem okazało, mało skuteczną.

Ale początkowo Żydzi przyjęli Seleucydów z zadowoleniem, niepomni przysłowia: *po złym panie jeszcze gorszy pan nastanie*. A może jeszcze tego przysłowia w ogóle nie było? W każdym razie Żydzi radośnie przyjęli klęskę Asyryjczyków, po których przyszli jeszcze srożsi Babilończycy, następnie świętowali Cyrusa Perskiego, a po klęsce Persów – Aleksandra Ma- cedońskiego i tak w koło Maciejju. Cóż, wszyscy ludzie lubią odmianę.

Żydom zostawiono autonomię, a władzę arcykapłańską objął Szymon Sprawiedliwy, syn Oniasza II z rodu Sadokidów. Wracając do podatków: podobno wynosiły aż jedną trzecią płodów rolnych. W Polsce u schyłku dwudziestego stulecia najwyższy podatek, co prawda nie rolny, wynosił 41 proc. dochodów, ale może starożytni Izraelczycy nie znali systemu ulg i odpisu kosztów uzysku. Na dodatek dobra świątynne, a i sama Świątynia, były nieustannie zagrożone. Zgodnie też z tradycją bogactwa, które spływały ze wszystkich stron do Świątyni, były wielokrotnie rozgrabiane, ale mimo tego w skarbcu ciągle leżały napływające od nowa tysiące złotych talentów. Podobne góry złota leżą może już tylko w Częstochowie, ale klasz- tor jasnogórski szczęśliwie nie został złupiony od pięciuset lat. Żydzi mieli mniej szczęścia.

W latach osiemdziesiątych drugiego wieku przed naszą erą rozgorzał konflikt między ar- cykapłanem Oniaszem III a jego bratem Jezusem-Jazonem. Oniasz był oskarżony o sprzyjanie Egiptowi, a Jazon zwyczajnie go zamordował, po czym przystąpił do radykalnej hellenizacji Jerozolimy. W mieście, koło Świątyni, wybudowano cytadelę nazwaną po grecku Akra, być

może w miejscu, w którym później stanęła twierdza Antonia, a poza tym gimnazjon, w którym młodzi chłopcy ćwiczyli nago. Jazon reprezentował sobą ludzi bogatych i skłonnych do ugody z Grekami, podczas gdy ubodzy formowali się właśnie w ruch *chasidim* – pobożnych, następców sławnych nazirejczyków i Rekabitów, z którymi ongiś trzymali Eliasza i Elizeusza. Ale Rekabici byli odległą o siedemset lat historią, odległą jak dla nas bitwa pod Legnicą. Zgorszeni mieszkańcy Jerozolimy przepędzili Jazona, a na jego miejsce powołali, czy raczej Antioch IV Epifanes powołał, Menelaosa, jeszcze gorliwszego hellenizatora, który w ogóle Akre obsadził seleucyjskim wojskiem. Od tej pory Jazon i Menelaos wypędzali się nawzajem. Druga KSIĘGA MACHABEJSKA, będąca wyimkiem z pięciotomowego dzieła również Jazona, ale z Cyreny, opisuje ostatni atak Jazona, rzeź w mieście, jego definitywną ucieczkę i tułaczkę przez Egipt do Sparty, bo Sparta stała się w tym czasie sojusznikiem Jerozolimy. Tymczasem Antioch przyszedł z pomocą Menelaosowi, ale równocześnie wprowadził ponownie swoje wojska do Akry (akra górę znaczy), zburzył mury miejskie i obrabował skarbiec świątynny, uwożąc ze sobą osiemset talentów złota, a talent w starożytności, przynajmniej tzw. eubejski, to było przeszło dwadzieścia sześć kilogramów...

Najgorsze jednak, że Świątynię poświęcił Zeusowi Sabazjosowi, pod którym to imieniem miał odtąd występować Jahwe Cewaot, czyli Pan Zastępów. Towarzyszyły temu liczne zakazy dotyczące obrzezania, świętowania szabatu i spożywania kosztownych pokarmów. Czyli w praktyce likwidacja judaizmu. Stało się to w roku 167 p.n.e. W istocie wielokrotnie tak się zdarzało, że w Świątyni czczono różne bóstwa, na przykład Baala, lecz tym razem było to już zupełnie inne społeczeństwo, ożywione ekskluzywnym duchem judaizmu. Szczególnie chasydzka prowincja trwała w biernym oporze. Działy się cuda. Wysłannika greckiego, Heliodora, który jeszcze wcześniej próbował przechwycić skarby Świątyni, przepędzili dwaj niebiańscy jeźdźcy, siekąc gęsto różgami. Mnożyły się chwalebne męczeństwa, rzecz dotąd nieznaną. Uczony Eleazar wybrał śmierć zamiast schabowego: a przecież nikt mu nie kazał aż jeść, Eleazar miał tylko udawać, że je wieprzowinę. To znowu zrzucano ze skały dwie matki, które obrzezały potomstwo, razem z rzezonymi dziećmi, oczywiście.

Nawiasem mówiąc, z obrzezanymi członkami mieli kłopoty uczestnicy zawodów w gimnazjonie, wszak po grecku nagich: zwyczajnie ich wyśmiewano. Toteż rozpowszechnił się zabieg chirurgiczny, analogiczny do sztucznego przywracania dziewictwa. Jakoś tam łatano te nieszczęsne penisy, co się po grecku zwało *epispasmos*. Tak więc ruch panował w obu kierunkach.

Najsławniejszy był przypadek pewnej matki, na której oczach zamęczono jej siedmiu synów, niechętnych wieprzowinie, a na końcu ją samą. A nie były to małe cierpienia. PISMO dokładnie je opisuje: *Rozgniewał się na to król i kazał rozpalić patelnie i kotły. Skoro tylko się rozpałyły, rozkazał temu, który przemawiał w imieniu wszystkich, obciąć język, ściągnąć skórę z głowy i obciąć końce członków na oczach innych, braci i matki. Gdy był on już całkiem bezwładny, rozkazał go sprowadzić do ognia, bo jeszcze oddychał, i smażyć na patelni.* Historię tę przerabiałem w dzieciństwie na religii, a było to w czasie okupacji niemieckiej, kiedy właśnie za jedzenie „lewej” rąbki można było pójść do obozu lub prosto pod ścianę. Historia rzadko bywa logiczna.

Oczywiście, wydarzenia były stokroć bardziej złożone i zawikłane, jak zwykle zresztą. Państwo w państwie stanowiły rozległe dobra arcykapłańskiego rodu Tobiadów, a byli to stronnicy Ptolemeuszy. Syn Tobiasza, Józef, dzierżawił przez długie lata podatki królewskie, był prototypem wielkiego bankiera i stał się wielkim dobroczyńcą swoich rodaków. A znowu jego syn, Hirkan, opierał się czynnie Seleucydom. I tak dalej. W odróżnieniu od czasów sprzed niewoli babilońskiej kłopot sprawia raczej obfitość źródeł.

Ricciotti utrzymuje, że były to pierwsze prześladowania religijne w dziejach świata. Dzieje świata są wprawdzie tak rozległe i o tylu rzeczach historia milczy, że takie twierdzenie jest chyba zanadto kategoryczne. Ale jeśli by tak rzeczywiście było, to pojawiła się rzecz fatalna,

której skutki ponosi ludzkość do dzisiaj, a trzeba ją wiązać z monoteizmem. Fanatyczne przekonanie o jedynej prawdzie stało się podłożem wojen chrześcijańsko-muzułmańskich, katolicko-protestanckich, Inkwizycji, antysemityzmu i wszelkich możliwych plag. To przecież niemożliwe, żeby Bóg sobie tego życzył, całej tej nawałnicy nieszczęść, tych wszystkich smażonych, obdzieranych ze skóry, ćwiartowanych. Męczeństwo za wiarę jest jakąś kosztowną pomyłką, nieporozumieniem, co wiedzano już od czasów Woltera, błędem rodzącym nowe prześladowania. Tyle, że wiara niemal nigdy nie występuje w postaci „czystej” i niemal wszędzie staje się formą polityki. Tak było i w Judei, przymusowa hellenizacja wzmacniała Antiochię, stolicę Seleucydów.

Powstanie przeciw greckim zakazom zaczęło się w Modin, gdzie dziś jest lotnisko w Lod. Tamtejszy kapłan Matatiasz odmówił złożenia helleńskiej ofiary, zabił królewskiego komisarza, zabił żydowskiego ofiarnika i uszedł wraz z pięcioma synami w góry. Matatiasz był z rodu Hasmona, a jeden z jego synów, Juda, miał przydomek *makabi*, czyli młot: stąd dynastia, którą w końcu założyli, nosi nazwę hasmonejska albo machabejska. Do rodziny Matatiasza dołączyli chasydzi, a kolejne wyprawy pacyfikacyjne, wysyłane z Jerozolimy, Samarii, wreszcie z samej Antiochii, nie odniosły skutku. Juda, który po śmierci ojca przejął dowództwo, okazał się znakomitym praktykiem wojny partyzanckiej. W 164 roku p.n.e. oddziały Judy wkroczyły do Jerozolimy i 25 grudnia zapalono nowe światła w sprofanowanej dokładnie trzy lata przedtem Świątyni, z czego potem poszło żydowskie święto *Chanuki*, czyli Święto Świateł.

Juda był pierwszym żydowskim przywódcą, który nawiązał kontakty z Rzymem, rosnącym podówczas błyskawicznie w potęgę. Wysłał tam pierwsze poselstwo, później były i inne, co w końcu zaowocowało przyznaniem Żydom tytułu sojusznika Rzeczypospolitej rzymskiej. Rzymianie zwalczali w tym czasie Seleucydów i wszelkie osłabienie Antiochii było im na rękę, ale w ślad za traktatem nie poszły żadne działania praktyczne. W każdym razie z Grekami trzeba było walczyć dalej. Okresy działań wojennych były przerywane rozejmami, układami, traktatami. W roku 160 p.n.e. poległ Juda i zastąpił go kolejny syn Matatiasza Jonatan, którego największym osiągnięciem było zapewnienie sobie nadmorskiego przyczółka, portu w Jafie. Tenże Jonatan został także arcykapłanem, łącząc władzę świecką i religijną. Była to zresztą sytuacja bardziej zawikłana i drażliwa.

Ród Hasmona nie miał uprawnień arcykapłańskich, na to Juda mianował Alkimosa-Eljakima z linii Aarona, co wymagało wypędzenia Sadokidy, Oniasza IV. Oniasz uciekł do Egiptu, gdzie założył konkurencyjną świątynię w Leontopolis, zburzoną później na rozkaz Wespazjana. A po śmierci Alkimosa i po jeszcze siedmiu latach kapłańskiego wakatu właśnie Jonatan przejął kapłaństwo. „Pobożni” chasydowie zawsze mieli to za złe Hasmonejczykom i uważali tę decyzję za bezprawną i świętokradczą.

A z kolei i Jonatan, nazwany Przebiegłym, nie okazał się dostatecznie przebiegły, zaufał fałszywemu przyjacielowi, dostał się do niewoli i został zamordowany. Następcą został jego brat Szymon, który opanował wreszcie jerozolimską Akrę. On też przyjął tytuł etnarchy, czyli wielkorządcy i arcykapłana. Mniej więcej około 140 roku p.n.e. państwo żydowskie odzyskało pełną suwerenność i cieszyło się wolnością przez lat osiemdziesiąt. Sam Szymon natomiast został zamordowany przez własnego zięcia Ptolemeusza, a przy okazji zginęło i dwóch synów Szymona. Został jedynie trzeci, Jan Hirkan. On to objął władzę, ale musiał jeszcze przeżyć kolejne oblężenie Jerozolimy przez Antiocha VII, które skończyło się ostatecznie ugodą. Jan Hirkan I rządził długo (134–104 p.n.e.) i bardzo owocnie, bo poszerzył granice swego państwa zarówno na północy, jak i na południu. Faryzeusze zresztą mieli mu za złe, jak i jego następcom, sprawowanie funkcji arcykapłańskiej, w związku z czym zaczął ich prześladować. Poza tym był gorliwym jahwistą, zmuszającym siłą ludność podbitych terytoriów do obrzezania i przestrzegania zasad judaizmu. Tak się stało na północy, w Galilei, tak

na południu, w Idumei, zaludnionej Edomitami, skąd miała wyjść w przyszłości ostatnia już dynastia państwa żydowskiego, Antypatrydów ze sławnym Herodem Wielkim.

Na razie władzę objął po ojcu Juda – Arystobulos I, *Filhellen*, czyli Przyjaciel Greków, po nim zaś jego brat Jonatan, czyli Aleksander Janneusz (103–76 p.n.e.), za którego panowania Izrael osiągnął szczyty ekspansji terytorialnej, a po Janneuszu rządziła wdowa po nim – Aleksandra Salome, pierwsza królowa od czasów Atalii z okresu Pierwszej Świątyni, a wreszcie jej syn, Jan Hirkan II, za którego rządów właściwą władzę sprawował Antypater, formalnie jego minister, właśnie ów Idumejczyk.

Hasmonejczycy rozpoczęli od buntu przeciw Grekom w imię ścisłej ortodoksji i pod pewnymi względami była ona rzeczywiście dochowywana. Ale mimo tych oporów przeważająca potęga hellenizacji robiła swoje. Grecki był językiem powszechnie używanym, greckie były imiona królów, greckie monety, które bili w mennicach, i obyczaj dworu także grecki, co zresztą odnosiło się do całego Śródziemnomorza. Hannibal stylizował się na Aleksandra Wielkiego, a Kato Starszy zżymał się na zalew greczyzny, lecz niewiele mógł na to poradzić. Cały ówczesny świat musiał być w jakimś stopniu grecki i już chyba na zawsze takim pozostanie, skoro i w dzisiejszej Jerozolimie egzystuje teatr, a nikt już nie uważa, że to coś bardzo niestosownego. Teatru nauczyliśmy się przecież od Greków, podobnie jak sportu.

Idee greckie przenikały do społeczeństwa judejskiego i niekoniecznie musiały się wydawać obelżywe – na przykład idea nieśmiertelności duszy. W istocie wszyscy Żydzi, tak jak i cały świat współczesny, zostali naznaczeni piętnem greckim, mniej lub bardziej subtelnym. Myślę nawet, że ten wpływ na społeczeństwo tak bardzo zaprzątnięte myślami o Bogu musiał być przemożny, chociaż bardzo wysublimowany. Przecież wiele rzeczy było podobnych lub wręcz takich samych. Idea indywidualnej kary czy nagrody, i to nie od razu, staje się wśród Żydów ideą dominującą.

Krajem rządzi król stojący na czele Rady Starszych. Ale stopniowo największą rolę zaczyna odgrywać Wielki Sanhedryn, Rada, w której dominującą rolę odgrywają *soferim* – pisarze, znawcy i interpretatorzy tradycji i prawa, których w Sanhedrynie było siedemdziesięciu albo siedemdziesięciu jeden. Uczeni różnią się między sobą: jedni twierdzą, że Rada Starszych i Sanhedryn to dwie odrębne instytucje, drudzy, że po prostu Rada przemieniała się pomaleńku w Sanhedryn.

W kraju tak rozteoretyzowanym poglądów było naturalnie co niemiara. Ale na plan pierwszy wybijały się trzy orientacje. Najbogatsi i najpotężniejsi do czasu to saduceusze, konserwatywni, respektujący jedynie TORĘ, przeciwni tradycji ustnej. Józef Flawiusz powiada o nich, że nie uznawali żadnej formy przeznaczenia, wierząc w ludzką wolność, w winę lub zasługę. Drugą byli faryzeusze wywodzący się z *chasideim*, żarliwi, skrupulatnie spełniający przepisy, otwarci na nowe prądy, zwolennicy tradycji ustnej. Wreszcie najszczególniejsi ze wszystkich – esseńczycy, rezygnujący z indywidualnego posiadania majątku, właściwie zakonnicy, przestrzegający ściśle nauk TORY. Było ich zresztą kilka odmian, bardziej lub mniej radykalnych, z nich wywodzili się późniejsi zeloci.

Ale być może i Jezus Chrystus. Esseńczycy wyznawali przekonania apokaliptyczne, snuła się wśród nich myśl o rychłym końcu świata, a także o nadejściu Mesjasza. Pojmowanego początkowo jako wyzwoliciela politycznego, obrońcę przed Grekami, później Rzymianami. Świat rysował się im jako pole wielkiej bitwy między „synami światłości” a „synami ciemności”. Rękopisy z Qumran, odkryte współcześnie, należące do jednej z gmin esseńczyków, jeszcze nie do końca zostały odczytane i mogą przynieść wiele niespodzianek. Jedną z gmin esseńskich, Brit Chadasza – Nowe Przymierze – Nowy Testament, uważana jest za pierwotny wzór chrześcijaństwa, tak wiele je łączy. Esseńczycy zaistnieli, jak się sądzi, około 140 roku p.n.e.

Tak stały sprawy, kiedy Pompejusz Wielki zdobył Syrię, likwidując resztki helleńskiego państwa Seleucydów. Akurat wtedy trwał krwawy konflikt dwóch braci Hasmoneuszy: Ary-

stobulosa II i Jana Hirkana II – i obaj zwrócili się o pośrednictwo do Pompejusza. Ostatecznie Arystobulos zamknął się w ufortyfikowanej Świątyni, którą trzeba było przez parę miesięcy zdobywać. Kiedy w końcu padła, Pompejusz dokonał lustracji całej Świątyni, a przy okazji wszedł też do *Kodesz ha-Kodaszim*. Ricciotti tak to opisuje: *Nie trudno wyobrazić sobie Pompejusza, jak z mieczem w ręku wchodzi ostrożnie i podejrzliwie do Miejsca Świętego, podniecony podnosi zastanę, która wisiała przed pięciokątną bramą, nastawiony na to, że ujrzy głowę ośłą albo jakąś potworną figurę, a tymczasem, patrząc w ciemne wnętrze Świętego Świętych, dostrzega tylko „vacuum sedem et inania arcana”.* Czy tego czynu dokonał Pompejusz, czy też cała ludzkość?

To zresztą pewnie drobna przesada. „Ludzkość” zaglądała do tego sanktuarium już parę razy, poza uroczystym dorocznym wejściem arcykapłana ktoś tam przecież musiał sprzątać, zamiatać bodaj. Wchodzili tam przecież Grecy, Asyryjczycy, Chaldejczycy, prawda, że działo się to rzadko. No i każdy Żyd wiedział, że po zaginięciu Arki nie ma tam już niczego. Chociaż? Miejsce tak zakryte, tak ściśle chronione nie mogło być zupełnie puste, choć nie było tam przedmiotów materialnych. Była jednak Moc, która jakoś tam musiała się objawiać. Może coś grmiało, świeciło, snuło się mgłą, woniało pięknie? Żydzi byli więc krańcowo oburzeni, ale też zgorszani na Jahwe, że nie powalił świętokradcy trupem. Tajemnice żydowskie! Nawet ja wierzyłem, że takie istnieją, choć nie były to już prymitywne, antysemityczne urojeństwa. Ale z faktu Boskiego Wyboru, z Przymierza musiało wszak coś wynikać. Nie byłem na przykład pewien, czy Żydzi naprawdę umierają, chociaż było to całkiem nielogiczne, bo każde dziecko w okupowanej Polsce, a byłem wtedy dzieckiem, wiedziało, co się w gettach i obozach wyprawia. A jednak cień takiej niepewności i dzisiaj mi towarzyszy. Może tylko arcykapłan mógł widzieć to Coś, co na widok niepowołanego pierzchało bez śladu?

Nie trzeba dodawać, że Pompejusz nie tylko sprofanował Świątynię, ale dokonał też rzezi mieszkańców Jerozolimy, lecz to uznano za mniej gorszące, jako że czynili to wszyscy zdobywcy miasta. Judea została jeszcze jednym „klientem” Rzymu. Stało się to w roku 63 p.n.e. Były to burzliwe czasy upadku republiki i tworzenia się cesarstwa. Powstawały triumwiraty: pierwszy składał się z Cezara, Pompejusza i Krassusa. Krassus zginął wkrótce w wojnie z Partami, zdążywszy przedtem stłumić żydowski bunt w Galilei i złupić Świątynię, czego jednak nie zrobił wcześniej Pompejusz. Potem przyszła wojna domowa między Pompejuszem i Cezarem, egipska wyprawa Cezara, romans z Kleopatrami, oblężenie Aleksandrii, skrytobójcza śmierć Pompejusza i nie o wiele później samego Cezara.

Obróńca Świątyni przed Pompejuszem, Arystobulos, został osadzony w rzymskim więzieniu, skąd wypuścił go Cezar, ale wnet z rozkazu Pompejusza został otruty, z tych samych powodów równocześnie zabito w Syrii jego syna Aleksandra. Pozostał jeszcze jeden syn, Antygonos, w niedalekiej przyszłości ostatni Hasmonejczyk. Tymczasem brat i konkurent Arystobula – Jan Hirkan II, został uznany przez Pompejusza za arcykapłana i etnarchę, a jego pierwszy minister i główny inspirator polityczny, Antypater, został obdarzony licznymi przywilejami, wśród których było prawo poboru podatków. Po śmierci Pompejusza przeszli oni do partii cezariańskiej, a sam Cezar okazał się wielkim przyjacielem i opiekunem Żydów tak w Palestynie, jak i w diasporze. Ale Hirkan II był tylko figurantem i marionetką, prawdziwą władzę miał Antypater i jego dwaj synowie: Fazael i Herod. Sam Antypater został wkrótce, w 43 roku p.n.e., po śmierci Cezara otruty, ale i pomszczony przez swego syna Heroda. Herod i Fazael zostali natomiast mianowani tetrarchami, czyli władcami ograniczonego terytorium. Tetrarcha był dawniej „panem czwartej części”, ale to znaczenie zostało już zapomniane. Herod ożenił się z Mariamne, piękną wnuczką Hirkana, aby zapewnić sobie w przyszłości legalne prawa do tronu, a równocześnie toczył walki z Antygonosem przewodzącym Żydom skłóconym z Rzymem. Powód buntu bywał zawsze podobny: za wysokie podatki. A podatki były wysokie, ponieważ aktualny wielkorządca Syrii Marek Antoniusz zakochał się w egipskiej

królowej Kleopatrze i potrzebował pieniędzy na prezenty. Z tych samych powodów zlekceważył straszliwy najazd partyjski. *Gdyby nos Kleopatry był krótszy, dzieje świata potoczyłyby się inaczej.*

Kto to byli Partowie? Na wpół koczownicze plemię scytyjsko-irańskie z północno-wschodniej Persji. W trzecim wieku p.n.e. ich wódz Arsakes stworzył państwo graniczące z Mezopotamią greckich Seleucydów, a następnie ją opanował. Rzym toczył z Partami długie i mało skuteczne wojny, wyprawiali się na Partów Trajan, Marek Aureliusz, Septymiusz Sewer. Byli, innymi słowy, spadkobiercami chwały wojennej dawnych Persów; w trzecim wieku naszej ery partyjskich Arsakidów zastąpiła dynastia Sassanidów.

Otóż Partowie wiosną 40 roku p.n.e. najechali Syrię, Azję Mniejszą i Judeę, a część Żydów – w zgodzie z zasadą zmiany okupanta – przyjęła ich entuzjastycznie. Wśród nich był Antygonos, który spodziewał się uzyskać tron. I rzeczywiście, za cenę tysiąca talentów i pięciuset kobiet (!) Partowie wprowadzili go do Jerozolimy. Herod uciekł, pochwycono podstępem Hirkana i Fazaela. Fazael popełnił samobójstwo, bijąc głową o głaz, natomiast Hirkanowi osobiście Antygen odgryzł uszy, ponieważ okaleczony nie mógł sprawować funkcji królewskich i kapłańskich. Znacznie później, u Merowingów, wystarczyło w tym celu obciąć włosy. Przyznam, że ten epizod bardzo mnie zastanowił: spadkobierca judejskiej moralistyki i helleńskiej kultury odgryza uszy swojemu stryjowi...

Bezuchego Hirkana uprowadzili ze sobą wycofujący się Partowie, traktując go zresztą z najwyższymi honorami, zaś Antygonos wpadł ręce Rzymian i zginął. Królem został Herod. Po dynastii hasmonejskiej przysłała idumejska.

Herod ma zarówno u chrześcijan, jak u Żydów bardzo kiepskie notowania. U chrześcijan z racji sławnej rzezi niewiniałek, o której wprawdzie źródła milczą, bo Herod zmarł w 4 roku przed... Chrystusem. Ale kiedy naprawdę urodził się Jezus Chrystus, dokładnie nie wiadomo, możliwe, że w 6 roku „przed Chrystusem”, czyli rzecz mogła się zdarzyć. Herod był tak okrutny i podejrzliwy, że byłoby to coś rzeczywiście w jego stylu. Żydzi z kolei nie mogli mu wybaczyć tego, że był na poły Idumejczykiem, że okrutnie traktował rodzinę i wszelakich konkurentów zarazem i – oczywiście – że był niemal całkowicie zależny od Rzymian. Istotnie, skazał na śmierć swoją żonę Mariamne i jej synów, a całkowitej niepodległości wywalczyć po prostu nie mógł. Był tedy kolaborantem, bo nie mógł nim nie być. Wyrznął także Sanhedryn, ale oszczędził największych nauczycieli: Hillela i Szammaja. A Hillela niektórzy uczeni podejrzewają o to, że był nauczycielem Jezusa.

Określenie Wielki przydano mu nie bez podstaw, bo zasługi króla dla Żydów były naprawdę ogromne, choć podobno samo to określenie pierwotnie nie znaczyło wiele więcej niż „starszy”. Był przecież wielkim mecenasem miast, w których skądinąd była i diaspora żydowska, był odnowicielem ruchu olimpijskiego i znakomitym budowniczym. A przecież i jego stosunki z Rzymianami wymagały nie lada talentów dyplomatycznych. W rezultacie był zarówno kimś w rodzaju Salomona, jak i Iwana Groźnego swoich czasów.

Herod odbudował lub zbudował wiele miast i fortec: odbudował Samarię, Antedon, Antipatris, Fazaelis, Kypros, Hirkanion, Macheront i przedziwne Herodium, na górze Masada zbudował pałac na trzech tarasach, magazyny, nowe umocnienia. Ozdobił Jerozolimę hipodromem i teatrem, pałacem królewskim w Górnym Mieście i twierdzą Antonia w Dolnym, a właściwie między miastem a Świątynią. Ale najślawniejsza była przebudowa samej Świątyni, która od czasów Zorobabela mocno już podupadła. Przedsięwzięcie to wymagało licznych zabiegów religijno-politycznych, na przykład przeszkolenia około tysiąca kapłanów w sztuce budowlanej, ponieważ samego świętego przybytku nie mogli budować profani. Zwyczajnych robotników było prawie dziesięć tysięcy. Prace trwały około dziesięciu lat, roboty wykończeniowe przeciągnęły się jeszcze na całe dekady, a skończyły się zaledwie na osiem lat przed jej ostatecznym zburzeniem. Przypomnijmy, że pierwotnej budowli Salomona pisane było lat raptem dwadzieścia, do łupieskiego najazdu Egipcjan.

Świątynia Heroda nawiązywała do planu Salomonowego, jeśli idzie o budynek centralny i zasadniczy. Ale cały teren wzgórza poszerzono dwukrotnie, obmurowując go potężnymi blokami, które przetrwały do dzisiaj, stanowiąc największą świętość żydowską, zwaną Ścianą Płaczu bądź Ścianą Zachodnią. Na wzgórzu świątynnym były trzy, coraz świętsze i coraz trudniej dostępne dziedzińce, całość była obwiedziona kolumnowym portykiem i obfitowała w liczne przybudówki. Wyobrażam sobie, że to musiało wyglądać podobnie do świątynnego kompleksu w Mekce. Na straży całego warownego kompleksu stała twierdza Antonia.

Świątynia, tak jak przez minione już tysiąc lat, stanowiła serce miasta, całego państwa i narodu żydowskiego. Na jej rzecz zawsze płynęły bogate dary, także, a może przede wszystkim, z diaspory. Tu również deponowane były prywatne majątki bogaczy. Był to jednocześnie kompleks handlowy, a zarazem gigantyczny kantor wymiany pieniędzy. Pamiętajmy, że składano w tym miejscu ofiary krwawe, na ogół jagnięta, ale i hekatomb, czyli ofiary ze stu wołów. Na poświęcenie było ich nawet trzysta. Panowała tam atmosfera odpustu, a zarazem i politycznego salonu: portyk królewski składał się z czterech rzędów ogromnych kolumn korynckich, okalał „dziedziniec pogan” i był miejscem spacerów oraz spotkań.

Śmierć Heroda oznaczała koniec scalonej Judei. Działo się to w atmosferze spisków, rzezi, rodzinnej nienawiści – zrozumiałej, bo Herod z dziesięciu żon doczekał się licznych potomstwa, buntów w Jerozolimie i w całym kraju. Po nim tron, a w każdym razie część Izraela objął Archelaos, wypędzony przez cesarza Augusta, który jego ziemie zmienił w prowincję rzymską. Pozostałymi częściami kraju władali inni synowie Heroda Wielkiego: tetrarcha Filip i tetrarcha Galilei i Perei – Herod Antypas, sławny mąż Herodiady, ojczym Salome, zabójca świętego Jana Chrzciciela i niedoszły sędzia Jezusa. Ale i tak prawdziwa władza należała do rzymskich hegemonów – prokuratorów. Z punktu widzenia Żydów dom Heroda był równie znienawidzony, jak i Rzymianie.

Postać Jezusa Chrystusa stała się zwornikiem całych dziejów Zachodu. Ale jego historyczna osoba ledwo przeziernie przez mgłę dziejów. Nie wiadomo dokładnie, kiedy się urodził, nie wiadomo, kiedy został ukrzyżowany – stało się to w każdym razie za czasów judejskiej prokuratury Poncjusza Piłata, czyli w latach 25–36 n.e. Dla chrześcijan jest Bogiem, dla muzułmanów prorokiem, dla Żydów przede wszystkim sprawcą ich nieszczęść, a dla części uczonych-rewizjonistów zgoła mitem solarnym. Przez dwa tysiące lat napisano i wymyślono na jego temat tak wiele, że nie ma sensu tego mnożyć. Bywał już masonem i założycielem dynastii Merowingów, i kształconym w klasztorach Tybetu wyznawcą Buddy. Co tu jeszcze można wymyślić? Na pewno nie wiadomo niczego.

Najprawdopodobniej był esseńczykiem, być może także uczniem Hillela Starego, bardzo możliwe, że motywy polityczne odgrywały w jego nauce i działalności większą rolę, niż wiemy i chcemy o tym wiedzieć. Ale to tylko domniemania. Autentyczność jedynej obiektywnej wzmianki o Jezusie Józefa Flawiusza bywa podawana w wątpliwość. Natomiast niewątpliwa jest wzmianka na temat stracenia Jezusowego brata, Jakuba, w dwadzieścia lat po Ukrzyżowaniu.

Cały ten okres był w Palestynie bardzo niestabilny. Wprawdzie tak można powiedzieć o dowolnym momencie historii, który pozostawił po sobie nieco więcej danych, ale tym razem owoce owej niestabilności rozciągają się na całe tysiące lat. W środku bardzo licznej i coraz to potężniejszej diaspory śródziemnomorskiej było centrum żydowskiego świata – Izrael, Jerozolima i Świątynia, na rzecz której każdy Żyd corocznie składał ofiarę. W samej Ziemi Świętej zachodziły w tym czasie dwa pozornie przeciwstawne procesy. Z jednej strony narastała hellenizacja, z drugiej wielkie triumfy święcił prawowierny judaizm. Właściwie rozpowszechniał się na wszystkie strony – południe, wschód i północ, gdzie ostatecznie zjudaizowała się Galilea, i nawet dość odległe ziemie, jak asyryjskie czy kurdyjskie królestwo Adiabene.

Sojuznikami Rzymian były kręgi kapłańsko-saducejskie i oczywiście dwory królów – etnarchów czy tetrarchów. Buntowniczo i antyrzymsko były natomiast nastawione dominujące

kręgi faryzejskie, esseńczycy, a nade wszystko biedota, z której rekrutowali się fanatycyzeloci, także w swojej najradykałniejszej postaci sykariuszy-nożowników, zdecydowanych na wszystko morderców. Były to czasy intensywnego oczekiwania na rychłe przyjsie Mesjasza, rozumianego w sposób czysto ziemski i polityczny, jako oswobodziciela od władzy Rzymu. Klębiło się też od nawiedzonych proroków i samozwańców.

To jakiś Teudas zapowiadał, że rozstąpią się przed nim cudownie wody Jordanu, powtarzając cud Jozuego, przepuszczając wybranych. To znów inny hochsztapler prowadził tłumy na górę Garizim, by tam odnaleźć schowane święte naczynia, to inny szaleniec obiecywał pokazać na pustyni niesłychane cuda, to jakiś Egipcjanin gromadził tłumy na Górze Oliwnej, skąd miał zdalnie zburzyć mury Jerozolimy i triumfalnie wkroczyć do miasta, i tak dalej, i tak dalej. Ciekawe, że i współcześnie trafia się obłęd podobny, a Jerozolima jest nadal jego ośrodkiem. Jest to tak zwany syndrom jerozolimski, choroba psychiczna, tajemnicza i z wielkimi – jeśli tak wolno rzec – tradycjami. Chory podaje się za Mojżesza, Dawida, Samsona, Jezusa, Matkę Boską lub któregoś z apostołów. Dzisiaj osobnicy tego rodzaju trafiają do szpitala, w starożytności trafiali do rzymskiego więzienia lub na szafot.

Administracja rzymska też była dosyć skomplikowana, kompetencje prefektów, prokuratorów i legatów zachodziły na siebie, pewnie nie bez przyczyny. Ponieważ zaś Judea była prowincją cesarską, a nie senacką, gdzie władzę sprawował prokonsul, ostatnim ogniwem administracyjnym i sądowym był sam cesarz. W tej sytuacji, gdy to on decydował o wszystkim, często zdarzało się, że do Rzymu udawały się dwie delegacje z przeciwstawnymi prośbami. System sądowniczy też miał swoje zawiłości, sądenie należało do wskrzeszonego przez Rzymian Sanhedrynu, ale wyroki śmierci musiały być zatwierdzone przez Rzymian. Jeśli rzecz dotyczyła obywatela rzymskiego, można się było odwołać wprost do cesarza. Stąd czytelnik EWANGELII nie może łatwo zrozumieć, kto właściwie osądził i skazał Jezusa – Sanhedryn, tetrarcha Herod Antypas czy prokurator Piłat. Podobne łamigłówki były wówczas na porządku dziennym.

Sytuacja była zaiste malownicza, ale malowniczością złowrogą, nie obiecującą ani jasnej, ani w ogóle żadnej przyszłości. Kraj coraz to głębiej pograżał się w konflikt z Rzymianami, a nie miał najmniejszych szans na wygraną. Jeszcze przez chwilę wydawało się, że możliwe jest lepsze rozwiązanie: władzę objął brat Herodiady, potomek Hasmoneuszy, Agryppa I, który – wychowany w Rzymie – scalił na krótko wszystkie ziemie żydowskie, a był, odmiennie od Heroda, akceptowany nie tylko przez Rzymian, ale i przez rodaków. Ale panował krótko, od 41 do 44 roku n.e. Tym razem o losie państwa nie przesądził wrogi najazd ani sztylet mordercy, ale banalne zapalenie ślepej kiszki. Jego syn, Agryppa II, był już tylko rzymskim urzędnikiem, zresztą dosłownie, w randze pretora. Wsławił się położeniem białego bruku w Jerozolimie, o czym trudno myśleć bez ironii.

Szła bowiem straszliwa burza, nie oszczędzająca ani wsi, ani miast, ani pałaców, ani bruków. Nikt już nie panował nad niczym, niczego nie sposób było ocalić ani oszczędzić. Czekano cudu, ale cudu nie było. A jeśli nawet był, to okrutny i przewrotny, ciężko zapracowany i drogo okupiony cud przetrwania. *Pan dał siłę swemu ludowi* – siłę, którą lud zużył na dzieło zagłady. I dopiero ujrawszy skutki swego daru, Pan przekazał swojemu ludowi dar o wiele dyskretniejszy, ale i użyteczniejszy: mądrość.

Katastrofa

W marcu i kwietniu siedemdziesiątego roku już Pańskiego, czyli w miesiącu *nisan*, wszystkie drogi żydowskiego świata prowadziły do Jerozolimy. Na Wielkanoc, czyli Paschę, jak rokrocznie ściągali pielgrzymi ze wschodu i zachodu, z północy i południa, z krain samego Izraela, a także ze wszystkich ziem ogromnej już diaspory: z Egiptu i Babilonii, z Rzymu i Armenii, z Syrii, Idumei, królestwa Partów, z miast Grecji. Jerozolima, przygotowana na doroczny zjazd pielgrzymów, pękała w szwach, toczona wojną domową, świętująca Paschę i rozpolitykowana. A za pielgrzymami niespiesznie ciągnęły legiony Tytusa: piąty macedoński, dziesiąty zwany *Fretensis*, dwunasty – *Fulminata* i piętnasty *Apollinaris*. Zamykały miasto żelazną obrczą, rozłożyły się od północy na górze Skopos, a od południa na Górze Oliwnej, skąd podobno, jak mi opowiadał ksiądz, ale i profesor Waldemar Chrostowski, widok jest najpiękniejszy.

Niełatwo mi dzisiaj wyobrazić sobie Jerozolimę tamtych dni, zwłaszcza że nigdy nie byłem i w dzisiejszej, znam ją tylko z planów, kronik filmowych i fotografii. Z Góry Oliwnej, która tak naprawdę leży na północny wschód od miasta, ponad doliną Cedronu, widziało się naprzeciw wzgórze Świątyni, białej, obramowanej złotem i motywem złotych winorośli. Główny budynek był otoczony przybudówkami, a całość otaczały helleńskie portyki. Na prawo od niej wielka forteca Antonia, a za nią nowsza część miasta otoczona nowym murem, miękkie podbrzusze stolicy. Na lewo część najstarsza, jeszcze jebusyckie miasto Dawidowe, które być może już wówczas pogrzebane pod gruzem zapadło się w niepamięć. Tam w każdym razie było jedyne jerozolimskie źródło Gichon, kierujące swe wody tunelem przekutym przez Ezechiasza do sadzawki Siloe. Od południowego wschodu, gdzie dolina Cedron łączy się z Gehenną, tak, tą samą Gehenną sądu ostatecznego i potępienia, rozłożyło się Dolne Miasto, a za nim, za nie istniejącą już doliną Tyropeonu, na zachód arystokratyczne Miasto Górne. Z pałacem hasmonejskim, warownym pałacem Heroda z wieżami Mariamne, Fazel i Hippikus, wreszcie pałace wielkich kapłanów, bogaczy i dostojników. Na południe od tego wszystkiego wznosiła się góra Syjon, ale Syjonem zwano także górę Świątyni, czyli Morię. Miasto dzieliły wewnątrz fosy, fortyfikacje i mury, podobnie jak w kompleksie zamku malborskiego. Rozłożona na kilku wzgórzach, obwiedziona wysokimi murami Jerozolima mogła uchodzić za niezdobytą. Obrońcy ufali dodatkowo w świętą moc *Kodesz ha-Kodaszim*, niepomni, że i miasto było zdobywane wielokrotnie, i Świątynia równie często łupiona. Miasto było mroczne, podobnie jak cały ówczesny świat, skąpo oświetlone dymiącymi pochodniami i kagankami oliwnymi. Pod nim rozciągało się jeszcze ciemniejsze kretowisko lochów, tuneli, cystern, magazynów, podziemnych przejść i kazamatów. Tam dzień nie docierał nigdy. Ale początkowo miejska góra połyskiwała niezliczoną liczbą nikłych światełek. W miarę jednak oblężenia kończyły się zapasy paliwa, drewna i oliwy, światełka gasły i Jerozolimę obejmował mrok.

Historyk ma tę raczej smutną przewagę nad politykiem, że wie, czym się to wszystko skończyło. Wie też, że jego wszyscy bohaterowie dawno umarli, że ani jeden z nich nie uszedł śmierci. Ale dramatyczny finał historii niepodległego Izraela poniósł się echem przez całą historię Żydów, stał się w niej natarczywym wspomnieniem, nadającym głębszy sens dziełom wszystkich kolejnych pokoleń. Gdyby kres wolności narodu był mniej złowieszczy i

fatalny, mniej krwawy i demoniczny, Żydzi – jak wszystkie inne narody w tej sytuacji – nie mieliby poczucia powołania do wielkiego losu, a w każdym razie byłoby ono o wiele słabsze. Dobro i zło musiały tu wystąpić w całym tragicznym majestacie, żeby każdy obywatel doświadczonego narodu nosił na sobie piętno tragedii, piętno królewskiego patosu.

Ale jak doszło do konfliktu, który spopielił Świątynię, zburzył doszczętnie miasto, a samych Żydów zmusił do emigracji prawie kompletnej? Rzymianie słynęli przecież z tolerancji, starali się skutecznie zachowywać lokalne prawa i zwyczaje, oddawali cześć wszystkim cudzym bogom. I w tym wypadku nie postępowali inaczej, ba, byli nawet szczególnie ostrożni, by nie urazić sławnej już żydowskiej drażliwości. Ale nie znosili sprzeciwu: Korynt, Syrakuzy, Numantia, Kartagina musiały krwawo zapłacić za nieposłuszeństwo i ducha oporu. Był i konflikt kultur, ale on dotyczył raczej Greków i dzielił samo społeczeństwo żydowskie. A iście piekielny mechanizm społeczny sprawił, że poczynania ugodowych warstw społeczeństwa żydowskiego wyniosły do władzy żywioły nacjonalistyczne i nieprzejednane.

Rzymianie już od stuleci pełnili rolę początkowo wielce pożądanego sojusznika przeciw greckim Seleucydom, potem hegemonia osadzającego na judzkim tronie królów i tetrarchów, a wreszcie od 41 roku p.n.e. zupełnie jawnego okupanta i administratora. Stopniowo tracili na popularności, stając się ostatecznie największym i najgroźniejszym wrogiem Żydów śniących o niepodległości. Już w momencie, kiedy Judea została rzymską prowincją, wybuchły niepokoje. Rzecz poszła o zarządzony przez Rzymian spis powszechny. Ortodoksi zawsze sprzeciwiali się podobnym operacjom, argumentując, że jest to wyłączny przywilej samego Jehowy. Poza tym wiadomo było, że spis jest wstępem do podniesienia podatków. Wtedy właśnie powstał ruch oporu, korzystający z licznych w Palestynie odludzi, gór i pustyń. Przewodził mu Juda Galilejczyk, a w tym samym czasie pojawiają się zeloci i sykariusze, czyli fachowi nożownicy-mordercy. Raz zrodzeni, nie znikną aż do końca przez siebie zresztą sprowokowanego.

Jeśli idzie o prowokacje, to zawiniła potężnie i druga strona. Nie chodzi tu nawet o sławetny pomysł autorstwa Kaliguli, aby wprowadzić do Świątyni swój posąg, do czego jednak nie doszło. Ale sami rzymscy prefekci nie odznaczali się przesadną delikatnością, a nawet rozruchy bywały im na rękę, stwarzając okazję do zawłaszczeń i grabieży. Typowym przykładem był Piłat, który tak bardzo drażnił i prześladował Żydów, że w końcu przez samych Rzymian został odwołany. Ale i Wentidiusz Kumanus, rządzący na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych, nie był szczęśliwszy: nieustanne nieporozumienia i konflikty doprowadziły do masakry w Świątyni, a ostatecznie do odwołania go. Antoniusz Feliks mało skutecznie wojował z zelotami, wśród których znajdowali posłuch i popularność przeróżni okazjonalni mesjasze. Nieudolnie sprawowali władzę jego następcy: Porcjusz Festus i Luccius Albinus, który wsławił się bezgraniczną chciwością i łapownictwem. Po nim ostatnim i jak się okazało, najgorszym, prokuratorem został w 64 roku Gesjusz Florus. Do zburzenia Świątyni pozostało już tylko sześć lat, a wypadki zaczęły toczyć się szybko. Florus łupił kraj, miasta i wioski, zupełnie otwarcie i doprowadził całą Judeę do paroksyzmów wściekłości. Jediną względnie pozytywną konsekwencją jego rządów było, że mnóstwo Żydów wybrało emigrację, unikając w ten sposób zagłady. A tymczasem pewien prorok czy szaleniec, czy jedno i drugie, imieniem Jezus, syn Anana, przez siedem lat z okładem bez przerwy wykrzykiwał na całą Jerozolimę prorocstwo zagłady miasta. Aż jego krzyk przerwał pocisk z rzymskiej katapulty. Ale pewnie nic byśmy o nim nie wiedzieli, gdyby to prorocstwo się nie spełniło. Jerozolimie od tysiąca lat przy różnych okazjach grożono zagładą, ale takie miasta nie giną, więc i zagłada nie była przecież na zawsze.

Prowokacjom Florusa towarzyszyły zamieszki nie tylko w całej Judei, ale i we wszystkich miastach Bliskiego Wschodu zamieszkałych przez Żydów. Chyba trudno wskazywać na jednego tylko winowajcę, skoro obie strony miały powody do zemsty i rewanzu, obie strony walczyły w słusznej sprawie. Żydowski zeloci wyróżnili garnizon rzymski w Masadzie i opa-

nowali twierdzę, zdecydowali też, że odtąd nie będzie się w jerozolimskiej Świątyni składać ofiar za cesarza, co równało się oficjalnemu wypowiedzeniu wojny. Grecy „poganie” także szykanowali i mordowali Żydów, nade wszystko w Cezarei, ale i w innych miastach. W samej Jerozolimie wybuchła właściwie wojna domowa. Umiarkowani, wspierani przez Rzymian, zajęli Górne Miasto, zeloci Dolne i teren Świątyni, ale już w sierpniu 66 roku umiarkowani przegrali i musieli się wycofać z miasta. W pałacu Heroda zostało tylko trzystu Rzymian, którym przyobiecano życie i wolność w zamian za złożenie broni. Obietnicy nie dotrzymano i bezbronni żołnierze zostali wymordowani. Ta rzeź po prostu musiała wywołać reakcję Rzymu.

Legiony stacjonujące w Syrii, ciągnąc przez Judeę, spaliły kilka miast, a następnie obieły Jerozolimę i nawet zdobyły północną dzielnicę Bezeta. Ale następnie się wycofały i podczas odwrotu poniosły dotkliwą i hańbiącą porażkę. Wszystko to zmusiło panującego wówczas Nerona do wyznaczenia nowego i bardzo poważnego wodza – Tytusa Flawiusza Wespazjana, oraz wyposażenie go w wielką siłę militarną. Był rok 67 naszej ery.

Czasy te znamy wyśmienicie dzięki piarstwu największego chyba historyka żydowskiego Józefa Flawiusza. Postać to równie dwuznaczna, jak i malownicza. Wywodził się z arystokratycznego środowiska kapłańskiego i nazywał się pierwotnie Josef ben Matatija czy może bar Matatia, zależnie od języka – hebrajskiego bądź aramejskiego. *Ben* po hebrajsku i *bar* po aramejsku jednak oznaczają syna. Józef był jednym z dowódców żydowskiego powstania, wysłanym na północ do Galilei. Tam organizował obronę, a potem bronił przed Wespazjanem twierdzy Jotapata. Owa Jotapata leżała na północny zachód od jeziora Genezaret w lesistych górach galilejskich. Dzisiaj jest częścią najmodniejszego lotniska izraelskiego – Cwat, czyli Safed, dawniej Safad. Tenże Safad tysiąc pięćset lat po obronie Jotapaty stał się potężnym centrum Kabały i będziemy musieli jeszcze do niego wrócić.

Józef bronił twierdzy prawie do końca. Prawie... Bo ostatni obrońcy postanowili popełnić zbiorowe samobójstwo, co było antycznym żydowskim obyczajem, ale dziwnym trafem ocalał właśnie Józef, z czego w swoich pismach gęsto i nieprzekonywająco się tłumaczy. Doprowadzony do Wespazjana doznał dziwnego olśnienia i wyprorokował mu karierę cesarską, co się istotnie sprawdziło. Do tego czasu Wespazjan zachował go przy życiu, chociaż w kajdanach, ale potem został jego protektorem, obdarzył własnym nazwiskiem i po skończonej wojnie zapewnił karierę w Rzymie. Józef o tyle brał udział w dalszych wypadkach, że służył jego synowi Tytusowi jako tłumacz podczas oblężenia Jerozolimy. Próbował także mediacji, ale został przez obleżonych Żydów bardzo źle potraktowany. Kiedy wszystko się skończyło, został historykiem, autorem przede wszystkim dwóch monumentalnych dzieł: DAWNE DZIEJE IZRAELA i WOJNA ŻYDOWSKA. I bohater, i zdrajca, i genialny historyk stał się jedną z najbardziej malowniczych postaci w dziejach świata. Lion Feuchtwanger poświęcił mu swoją największą powieść WOJNĘ ŻYDOWSKĄ, która jednak w zestawieniu z pismami samego Flawiusza wygląda nieco błado. Nic dziwnego, skoro Flawiuszowi należy się miejsce w gronie Herodota, Tukidydesa, Liwiusza czy Tacyty.

Otóż Wespazjan rozpoczął oczyszczanie kraju od północy, od Galilei, i nie spiesząc się, stopniowo przenosił działania wojenne na południe, ku Jerozolimie. Zresztą w tym roku Neron został zamordowany, przyszedł słynny „rok trzech cesarów” (68/69) – Galby, Ottona i Witeliusza. Działania wojenne w Palestynie zamarły na rok, nie całkiem jednak, bo Wespazjan zajął prawie całą Judeę, oprócz Herodium, Masady i małego terytorium koło Jerozolimy. Tymczasem sam Wespazjan został obwołany cezarem i udał się w roku 70 do Rzymu. Równocześnie polecił swemu synowi Tytusowi zdobycie Jerozolimy.

W mieście panował permanentny zamęt i wojna domowa. Stronnictwo umiarkowanych przegrało z kretesem, arcykapłanem został człowiek z ludu, niejaki Pinchas, a w mieście rywalizowali ze sobą dwaj przywódcy zeloccy: Jan z Giskali z południa i Szymon bar Giora z Masady i północy. A jeszcze trzecie stronnictwo założył kapłan Eleazar. Miasto podzieliło się

na trzy części, toczące ze sobą nieprzerwanie krwawą wojnę, podczas której zniszczono i spalono wielkie zapasy żywności, głównie zboża. Ale, co szczególne, ofiary w Świątyni były składane regularnie i bez przeszkód prawie do samego końca, do zdobycia Świątyni. Do końca oblężenia toczyły się walki między rywalami, przerywane jedynie dla odparcia ataków Rzymian. Jerozolima była skazana.

Zresztą i tak miasta nic nie mogło ocalić. Nawet gdyby nie spalono zapasów żywności, które podobno były tak ogromne, że mogły służyć na całe lata, to przecież i te lata minęłyby w końcu. Rzymianie nie musieli się spieszyć, obrońcy Jerozolimy nie mogli liczyć na jakąkolwiek pomoc, cały ówczesny świat był wyłącznie rzymski. Bo ceną, jaką społeczeństwa płacą za jedność i stabilność, jest całkowita bezbronność dysydentów i buntowników czy w ogóle wszelkich nieposłusznych. Wysocy urzędnicy rzymscy, skazani przez cezara na popełnienie samobójstwa, w ogóle nie próbowali uciekać. Bo nie było dokąd. Dysydenci dwudziestego wieku mimo ogromnych trudności w przekraczaniu „żelaznej kurtyny”, dzielącej świat rosyjski i amerykański, przecież próbowali przedrzeć się na terytorium „drugiego wroga”. Teraz w świecie, w którym zostało tylko jedno supermocarstwo, ucieczka jest właściwie niemożliwa. A ludzie mimo rozwoju praw zostali ludźmi, tak samo chciwymi zemsty, którą teraz zwykło nazywać się sprawiedliwością.

Jerozolima była skazana. Ale przecież do końca wierzono w boską interwencję, do końca mogło się wydarzyć coś nieprzewidzianego. Wśród oblegających mogła wybuchnąć zaraza, mogła nastąpić zmiana na rzymskim tronie, zresztą przecież w każdej sytuacji wszystko jeszcze może się zdarzyć: to tylko kwestia czasu. Ale niszcząc zapasy żywności, Żydzi unicestwili ten jedyny czynnik nieprzewidzialny – czas, po którym ewentualnie mogliby się czegoś spodziewać. My wiemy, że po upadku Jerozolimy rozpoczęło się o wiele dłuższe oblężenie Masady, której przeogromne zapasy żywności pozostały nienaruszone. A jednak Rzymianie, wybudowawszy całe sztuczne zbocze góry, zachowane do dzisiaj, zmusili obrońców Masady do zbiorowego samobójstwa. Ale obrońcy Jerozolimy niczego z góry wiedzieć nie mogli.

Oblężenie, rozpoczęte w kwietniu i trwające do września, znamy w szczególności dzięki Flawiuszowi. Początkowo Tytus postępował oględnie, licząc na poddanie się miasta. Kanonada z katapult rozbiła mury północne Bezety, najsłabiej bronionej dzielnicy miasta. Teraz trzeba było zdobyć wewnętrzny zwornik Jerozolimy, fortecę Antonię, otwierającą drogę do Świątyni, a przez nią do Górnego i Dolnego Miasta. Tu obrona była bardzo zażarta i atakujący utknęli na dłużej. Wysadzano sobie nawzajem podkopy, palono wieże oblężnicze, aż wreszcie Tytus postanowił wziąć miasto głodem.

Głód zresztą dręczył Jerozolimę prawie od początku oblężenia, może z wyjątkiem dni Paschy. Początkowo oblężeni zbierali odpadki z rzymskiego obozu i przypadkową padlinę. Bar Giora i Jan z Giskali pogodzili się w końcu, likwidując natomiast stronnictwo Eleazara. Teraz Tytus otoczył całą Jerozolimę murem wzniesionym przez legiony, a uchodzących z miasta rozkazał krzyżować. Głód stał się w wyniku tego przerażający, zdarzały się przypadki ludożerstwa, a na ulicach wznosiły się zwąły trupów. Cywile podejrzewani o posiadanie jakiegokolwiek żywności byli torturowani, a jakieś maleńkie zapasy mieli przecież wszyscy. Można zresztą dowiedzieć się w przybliżeniu, co się tam działo, bez konieczności sięgania do Flawiusza: podobne rzeczy działy się i w warszawskim getcie.

Tymczasem Rzymianie zbudowali nowe wieże oblężnicze, co było niełatwe, bo wszystkie drzewa w bliższych i dalszych okolicach miasta zostały wycięte, i wszystkie te wieże skierowano przeciw Antonii. Siedemnastego lipca po serii nieudanych ataków i zażartej walce twierdza została zdobyta, a tydzień potem spalona i rozebrana, by nie blokowała ataku na Świątynię. Właśnie tego dnia, siedemnastego lipca – *panemos* – zaprzestano składania ofiar w Świątyni i nie wznowiono do dzisiaj.

Ale walki o Świątynię trwały jeszcze prawie miesiąc i były bardzo skomplikowane. Do właściwego budynku Świątyni trzeba się było przedzierać przez portyki, dziedzińce otoczone

murami, potężne bramy i ufortyfikowane przybudówki. Rzymianie posuwali się krok po kroku, a Żydzi nie cofali się i ginęli, a przecież ten nie taki znów wielki teren był broniony przez dziesiątki tysięcy ludzi, prawda, że ślaniających się z głodu i pragnienia. Sama Świątynia miała być oszczędzona, ale w zamęcie bitewnym jeden z żołnierzy wrzucił pochodnię przez tzw. złote okno, za którym był jakiś świątynny składzik. I wszystko pochłonął ogień: Miejsce Święte i pustą komnatę, Święte Świętych – *Kodesz ha-Kodaszim*. Na próżno Tytus chciał osobiście coś ratować – legioniści już go nie słuchali. Zresztą krwawych i okrutnych epizodów było w tej fazie szturmów bardzo dużo. Stało się to 10 miesiąca *loos*, czyli szóstego sierpnia.

Opisy oblężenia na ogół kończą się na tej dacie, na momencie kulminacyjnym i najbardziej patetycznym. Ale to jeszcze nie był koniec. Trzeba było teraz zdobyć i Dolne, i Górne Miasto z ufortyfikowanym pałacem Heroda. Walki przeciągnęły się jeszcze o miesiąc. Niezliczona liczba ludzi zginęła i poszła w niewolę, Rzymianie zdobyli ogromne skarby, podobno jeszcze większe leżą w jakimś tajemnym ukryciu do dzisiaj. W każdym razie świątynnych skarbów szukano przez całe wieki z równą pasją jak skarbów piramid czy skarbcza templariuszy. I podobnie bezskutecznie.

Podczas triumfu należnego Tytusowi niesiono ogromny siedmioramienny świecznik – *menore*, i stół na chleby ofiarne – wszystko szczerozłote. A następnie uwieczniono te sceny na łuku triumfalnym Tytusa, wystawionym już po jego śmierci, łuku, pod którym nigdy żaden Żyd nie przeszedł. W samej Palestynie zdobyto ostatnie fortece żydowskie: Macheront, Herodium i Masadę. Walki o tę ostatnią ufortyfikowaną górę ciągnęły się latami. I chociaż były niezmiernie bohaterskie, na całe tysiąclecia uległy zapomnieniu, dopiero współcześnie urosły do rangi symbolu. Bóg znowu opuścił swój naród wybrany, ale poszedł z nim na długie wygnanie – widocznie i Święte Świętych było nadmiernie materialną formą Jego obecności. Cała przyszłość miała należeć do Słowa.

Feuchtwangerowi zawdzięczamy piękny i wzniosły obraz. Oto kiedy Świątynia stała już w płomieniach, ostatni arcykapłan, wyszedłszy na dach, wznosił klucze od Świątyni, której nie zdołał upilnować i ocalić, ku niebu, a ogromna ręka wyłoniła się z nieba, wzięła klucze i zniknęła w chmurach. Obraz piękny, ale mało realny, skoro dach Świątyni był ostatnim punktem oporu Żydów i kłębiło się na nim bardzo dużo ludzi. Potem w Górnym Mieście ostatnim bastionem były wieże zamku Heroda – Fazel, Hippikus i Mariamne, oszczędzone przez Tytusa i we fragmentach ocalałe do dzisiaj. A na samym końcu pozostał obrońcom labirynt lochów, nadal jeszcze w całości nie zbadanych.

Ale Feuchtwanger nie jest tu lojalny nawet wobec legendy. Bo legenda mówi o takiej sytuacji, ale odnosi ją do czasów znacznie wcześniejszych, poprzedzających zburzenie pierwszej Świątyni, do babilońskiego króla Nebukadnezara i początku szóstego stulecia. W TALMUDZIE jerozolimskim czytamy:

Gdy Nebukadnezar zbliżał się do Jerozolimy, by wziąć w niewolę Jehojakina, stanął obozem w Dafne Antichena. Tutaj przybyli członkowie Wielkiego Sanhedrionu i rzekli doń: „Już nadszedł czas zburzenia Świątyni Pańskiej!” Lecz Nebukadnezar odrzekł: „Nie chcę ruszać waszej Świątyni, lecz żądam jeno wydania Jehojakina, którego uczyniłem królem żydowskim!” I poszli senatorowie do Jehojakina, i obwieścili mu słowa Nebukadnezara, a Jehojakin wziął klucze do świątyni, zamknął Przybytek Pański i wyszedłszy na dach, tak zawołał do Pana: „Boże! Ojczy! Dotąd zażywaliśmy Twego zaufania. Świątynia i klucze do niej były w naszym ręku, teraz, gdy już wiemy, że Twa Świętość ma się rozpaść w gruzy, zabierz klucze do niej i weź je w Swe przechowanie!” Ledwie skończył te słowa, gdy ognista ręka sięgnęła z nieba i uniosła klucze hen wysoko w górę. Gdy to ujrzeli wielcy w Judzie, wyszli również na dach i rzucili się w głęboką przepaść.

Ponieważ Feuchtwanger jest bardziej czytany niż TALMUD, więc legenda o ręce Boga przeniesie się na inne wydarzenia i jeszcze bardziej zagmatwa. Tak powstaje historia.

Jerozolima była naówczas jedynie kupą gruzów, kraj był wyludniony, ale przecież nie bezludny. Wbrew pozorom wrzenie nie uspokoiło się rychło. Po nawalnicy nieszczęść spodziewano się zmiany; oczekiwano na Mesjasza. Ale większość Żydów mieszkała teraz w diasporze. W czasach Trajana, w 116 i 117 roku, wybuchły żydowskie powstania – w Aleksandrii, Cyrenie i w odebranej na krótko Partom Mezopotamii. Na północy powstanie objęło wyspę Cypr i szereg miast greckich, a Żydzi odnieśli wielkie i krwawe zwycięstwo. Nie był to jednak odwet za Jerozolimę, ale za straszliwy pogrom aleksandryjski – główne centrum diaspory żydowskiej. Wszystko to jednak było beznadziejnie spóźnione i daremne. Ale nadzieja nie wygasła. Ożywić ją miało wstąpienie na tron Hadriana, który rzeczywiście postanowił odbudować Jerozolimę, ale jako miasto czysto grecko-rzymskie noszące nazwę Colonia Aelia Capitolina. Na miejscu Świątyni Jahwe miała powstać wielka świątynia Jowisza. Nałożył się na to zakaz obrzezania, dekret nie skierowany bezpośrednio przeciw Żydom, bo obrzezanie praktykowało wiele narodów, ale ich właśnie poruszający do żywego. W 132 roku, sześćdziesiąt dwa lata po klęsce roku 70., wybuchło w samej Palestynie ostatnie, fatalne powstanie. Wodzem był tajemniczy Szymon bar Kosiba, nazwany Bar Kochbą, co oznacza Syn Gwiazdy. Było to imię mistyczne i mesjańskie, ponieważ Bar Kochba został uznany za króla i mesjasza. A w każdym razie uznał go za takiego Akiba, największy uczyony tamtych czasów, żyjący po dziś dzień w anegdocie, zwany jednak współcześnie, nie wiem czemu, Ben Akibą. Tenże Akiba jest postacią tragiczną, bo po przegranej powstaniu został przez Rzymian żywcem obdarty ze skóry, ale żartobliwe sentencje mu przypisane o tym nie wspominają. Zresztą nie wszyscy uczeni uznali Bar Kochbę za mesjasza, a już zupełnie nie chcieli tego przyznać chrześcijanie.

Bar Kochba stosował zasadę wojny partyzanckiej, podjazdowej, w czym odniósł wielki sukces, i doszczętnie wyparł Rzymian z Judei, zdobywając przy tym ruiny Jerozolimy. Rzymianie musieli zmobilizować liczne legiony i ściągnąć najwybitniejszego wodza tamtych czasów, Juliusza Sewera. Sam cesarz Hadrian obserwował na miejscu bieg wypadków. Straszliwy rzymski militarny walec przetoczył się przez całą Palestynę. Bar Kochba zamknął się w swojej ostatniej twierdzy Betar, dwanaście kilometrów od Jerozolimy, i tam zginął w 135 roku.

Straty Rzymian były znaczne, ale Żydów wręcz tragiczne. Zburzono 50 twierdz i 985 miast, wsi i osad. Nie wiadomo, ilu ludzi zginęło, ilu pomarło, ilu poszło w niewolę. Historycy rzymscy ocenili, że kraj stał się pustynią. Tym niemniej Hadrian wybudował swoją Aelię Capitolinę na uprzątniętych już ruinach Jerozolimy. Na miejscu Świątyni stanął przybytek Jowisza. Na miejscu ukrzyżowania i grobu Chrystusa stanęła świątynia Afrodyty, a na południowej bramie miasta wyobrażono dziką, godło X legionu *Fretensis*. Żydom w ogóle zabroniono wstępu do miasta. Było ich zresztą coraz mniej w Palestynie, a grupowali się przede wszystkim na północy. Żył tam wielu uczonych i właśnie do Uszy przeniesiono szkołę rabinacką z Jawne. A szły czasy, kiedy uczeni stawali się najważniejszymi członkami społeczeństwa. Tam właśnie na północy była wioska Pequin, szczycąca się tym, że przez całe dwa tysiące lat mieszkali w niej Żydzi.

O Jerozolimie nie dałoby się tego powiedzieć. Przez całe stulecia była miastem prowincjonalnym (stolicą stała się nadmorska Cezarea), do którego Żydom wolno było przyjeżdżać wyłącznie na jeden dzień w roku. W IV wieku zmieniła się ostatecznie orientacja religijna cesarstwa: Konstantyn Wielki przyjął chrześcijaństwo, Jerozolima stała się typowym i bogatym miastem bizantyjskim. Wszakże po trzystu latach nastąpił czas Arabów i islamu, w 638 roku kalif Omar zdobył miasto, a w 691 roku na domniemanym miejscu dawnej Świątyni, na ruinach przybytku Jowisza, wzniesiono meczet Na Skale. Islam wyparł i Żydów, i chrześcijan, ale stosunki żydowsko-arabskie układały się podówczas nieźle.

W jedenastym wieku ruszyła pierwsza krucjata, Europa chciała dysponować Grobem i krajem Jezusa, a królowie i kupcy bogactwami Lewantu. W 1099 roku po miesięcznym oblężeniu

zeniu zdobyto Jerozolimę i urządzono rzeź jej mieszkańców, także i Żydów, którzy bronili miasta razem z Arabami. Krucjaty były różnie oceniane. Początkowo, przez całe stulecie, uważano, że to *Bóg tak chciał*, jeszcze Zofia Kossak-Szczucka, nie kryjąc zresztą całego okrucieństwa tych pobożno-militarnych wypraw, oceniała je bardzo wysoko, jako główną przygodę moralną chrześcijaństwa. Nie mówiąc już o takich dziełach jak JEROZOLIMA WYZWOLONA Torquata Tassa. Trzeba jednak pamiętać, że Europa we wczesnym średniowieczu była rozpaczliwie biedna, byle zwój sukna stanowił godną odnotowania zdobycz. Można więc z lekkim wahaniem powiedzieć, że gwałcona Palestyna przyczyniła się, co najmniej, do odrodzenia Zachodu.

Czasy krucjat to znowu dla Ziemi Świętej burzliwa epoka, ale właściwie co i kiedy nie było burzliwe na tym terytorium? Jerozolima była już miastem świętym z trzech kontrowersyjnych punktów widzenia. A nie liczymy przecież świętości w wymiarze kananejskim, z czasów Melchizedeka i Jebusytów. Była świętością dla Żydów, potem dla chrześcijan, a w końcu i Mahomet, którego związki z judaizmem były niezwykle silne, właśnie w Jerozolimie, na starym terenie świątynnym, wśród gruzów świątyni Jowisza, doznał ostatecznego objawienia. To właśnie tu rozpoczęła się jego słynna „nocna podróż” w zaświaty.

Ale tak silne poczucie obecności Boga wcale nie wpływa na zgodę i pojednanie wśród ludzi, lecz wręcz przeciwnie. Toteż krzyżowcy zamienili meczety na kościoły, a rychło, wraz z upadkiem Królestwa Jerozolimskiego, kościoły obróciły się w meczety. Ale arabski dwunastowieczny autor Usama ibn Munkidh w dziele KITAB ALI'TIBAR, opisując czasy krucjat, kreśli obraz mniej patetyczny, a bardziej normalny – rycerze obu stron podtrzymywali stosunki towarzyskie, muzułmanie przychodzili do zamienionego na kościół meczetu Na Skale modlić się i tak dalej. Żydzi, cóż, byli w tym czasie nieznaczną mniejszością.

Krucjaty przyczyniły się być może do powstania jeszcze jednej linii duchowej cywilizacji zachodniej – do powstania masonerii. Wolnomularstwo odwołuje się do postaci budowniczego świątyni Salomona, Hiram a vel Hurama Abi, bo księgi STAREGO TESTAMENTU różnie go nazywają, właściwie brązownika, twórcę między innymi sławnych kolumn Boaz i Jakim, które do dzisiaj stanowią konieczne wyposażenie każdej świątyni wolnomularskiej. Przeniesienie tej tradycji do Europy miałyby się dokonać za pośrednictwem templariuszy, których zakon powstał dokładnie na terenie byłej Świątyni, pozostawiając tam dziwne i nie rozszyfrowane do dzisiaj wykopaliska.

Czasy krucjat w każdym razie naniosły na oblicze dawnego Izraela jeszcze jedną warstwę archeologiczną – powstały liczne zamki i kościoły, te ostatnie czynne w wielu wypadkach do dzisiaj. Pałac Heroda przeobrażał się za każdym razem i przebudowywał, ale jednak trwał i przetrwał jako muzeum do dzisiaj. Ba, jedną z wież przechrzczono na Dawidową, chociaż Dawid tysiąc lat przedtem budował swoją fortecę akurat po przeciwnej stronie Jerozolimy, a Ryszard Lwie Serce opanował nadmorski pas Palestyny, nową stolicę ustanowiono w Akce. Ale i to terytorium po kolejnym krwawym i sławnym oblężeniu wpadło w ręce egipskich Mameluków.

Stało się to w roku 1291 i na kolejne dwieście lat Palestyna – to określenie Ziemi Świętej zawdzięczamy cesarzowi Hadrianowi – stała się senną prowincją islamską, odwiedzana i przez chrześcijan, i przez Żydów, których liczba zresztą systematycznie malała. Jerozolima zyskała nową, arabską nazwę Bajt al Mukkadas albo al Kuds, co znaczy Święty. Żył tam zresztą gmina żydowska, raz mniejsza, raz większa, gromadząca się koło największej żydowskiej świętości – ściany wokół wzgórza świątynnego, murowanej z wielkich, masywnych głazów, jedynej pozostałości ze Świątyni Heroda. Była to sławna Ściana Płaczu, dzisiaj przeważnie nazywana Ścianą Zachodnią. Mniej więcej od tego miejsca zaczynał się most łączący Świątynię z Górnym Miastem.

W roku 1516 miasto zostało zdobyte przez Turków, którzy zostali przyjęci jak wyzwolicieli. A około roku 1540 sułtan Sulejman Wspaniały odbudował mury miejskie długości czterech kilometrów i wyposażył je w siedem bram, które zresztą powstały wcześniej, niekiedy na fundamentach starożytnych. Mury te miały swoją legendę, podobnie jak niemal każdy kamień w Jerozolimie. Oto sułtana zgniewało, że nie całe Święte Miasto zostało nimi objęte, i skazał głównego architekta na śmierć. Ale był to dla miasta dobry czas, niemalże złoty okres. W tym szesnastym stuleciu rozkwitła na północy w Safedzie ważna szkoła kabalistyczna, zapatrzona na tradycję uczonych, żyjących niegdyś w tej okolicy, a stworzona przez wielkiego mistyka Izaaka Lurię. Galilea właśnie pozostała największym ośrodkiem żydowskim, podczas gdy Jerozolima podupadła całkiem: w początku dziewiętnastego wieku miała łącznie tylko jedenaście tysięcy mieszkańców, a więc Żydów, Arabów, Ormian, Syryjczyków... Jak meteor przemknął przez Palestynę Napoleon podczas egipskiej wyprawy.

Z końcem dziewiętnastego wieku narodził się ruch syjonistyczny, z czego nie należy wnosić, że nie było wcześniej prób odrodzenia dawnego Izraela. Odwrotnie, próby były ponawiane nieustannie, ale wyrastając z gleby mistycznej, nigdy nie miały najmniejszych szans urzeczywistnienia. Tym razem stało się inaczej, ale to oddzielna historia. W każdym razie w 1882 roku przybyła z Rosji pierwsza grupa osadników, w roku 1917 została wydana tak zwana deklaracja Balfoura, brytyjskiego ministra spraw zagranicznych, uznająca ideę powołania żydowskiego państwa, a w roku 1948 powstało państwo Izrael. Zauważmy mimochodem, że w tych datach występują trzy ósemki, co nie było z punktu widzenia Kabały obojętne.

Ziemia potrójnie, a może poczwórnie i popiątnie święta była złomowiskiem wszelkich możliwych kultur. Ciekawe, że właśnie najdłużej tu gospodarujący Żydzi najmniej zostawili po sobie materialnych pamiątek. Ale nigdy nie mieli wielkich talentów plastycznych ani architektonicznych. Dodatkowo zakazano im wyobrażania postaci ludzkich i zwierzęcych. Była to zresztą cecha prastara i nie tylko żydowska. H.W.F. Saggs zauważa w dziele *WIELKOŚĆ I UPADEK BABILONII*, że już ludy kultury Ubajd pięć tysięcy lat temu *eliminowały ze swej sztuki wszelkie ślady wizerunków ludzkich i zwierzęcych*.

Ale Kanaan, Izrael, Juda i Palestyna to ziemia od czasów niepamiętnych pokryta znakami i śladami minionych czasów. To przecież tu już w neolicie budowano wieże i obronne mury, które potem zakrywała ziemia, tworząc pagórki – *telle*, które mogą mieć lat sto, a mogą mieć i lat dziesięć tysięcy. Cała ziemia w stopniu wręcz nieprawdopodobnym została osnuta minioną historią, zadawnionymi pytaniami stawianymi Bogu. Tysiące lat, które się przetoczyły nad tym skrawkiem ziemi, pozostawiły jakby gęsty opar złożony ze słów, myśli i wydarzeń. Żydzi nie szukali tu wspaniałych budowli czy bodaj ich rozwalin – tu każde miejsce eksplodowało znaczeniem, każde miejsce nie było miejscem po prostu, ale miejscem określonym, poświadczonym przez przedziwną historię. Tu oto Jakub walczył z Bogiem – a może z Jego sługą, aniołem albo szatanem, tędy uciekał przed Babilończykami ostatni judzki król i nie uciekł, tu leży Abraham, w tajemniczej, połączonej z Edenem grocie Makpela, tu rósł dąb, w którego konary zaplątały się bujne włosy Absaloma. Niczego tu nie ma, a przecież wszystko jest. Jak w *Kodesz ha-Kodaszim*...

Dzieje narodu żydowskiego, największej i najdawniejszej diaspory świata, byłyby niezrozumiałe bez tego okrucha ziemi, niebogatej, suchej i kamienistej, ale wszechobecnej w żydowskiej duchowości. I jest właściwie logiczne, że nie pokrywają jej żydowskie zamki, pałace i świątynie, lecz to, co jest, zostało wzniesione przez Kananejczyków, Greków, Rzymian, krzyżowców, Arabów i Turków. Jak krzątanina praktyczna Marty, wobec której Maria lepszą część wybrała. Ziemia Święta jest święta dlatego właśnie, że jest znakiem. Ale znakiem właściwie czego? Czego?

Powstawanie TALMUDU

PISMO ŚWIĘTE STAREGO TESTAMENTU stało się dziedzictwem niezliczonych ludów, różnorodnych kultur i religii. Wiekuiste spory toczył o nie Grek, Amerykanin, Etiopczyk, Pers, Arab i Ormianin, bo wszyscy spoczywamy w cieniu oliwki ze szczepu Dawidowego. Ale poza nim powstała księga (czy raczej zespół ksiąg), skierowana wyłącznie do Żydów, bez której nie sposób sobie nawet wyobrazić narodu żydowskiego i dzięki której po prostu Żydzi pozostali Żydami. Ta księga to TALMUD. Powstał prawie tysiąc lat, formował się w Palestynie i w Babilonii, a złożyła się na niego cała starożytna diaspora żydowska. TALMUD jest dziełem gigantycznym. Na zasadniczy zrąb składa się dwa i pół miliona słów, a liczba ta nie obejmuje wszystkich dodatków i komentarzy. W Polsce nie stosujemy takiej metody liczenia. Ale przeciętna kartka maszynopisu ma około trzystu słów, więc można przyjąć, że TALMUD liczy sobie dziesięć tysięcy stron. Już sama lektura TALMUDU jest wielkim przedsięwzięciem. Nie znam go naturalnie w całości, zresztą brakuje polskiego przekładu. Ale w literaturze historycznej znalazło się tak wiele cytowanych fragmentów, że jakieś przybliżone pojęcie można było sobie wyrobić. TALMUD jest niezwykle ciekawym zapisem dyskusji rabinistycznych komentujących TORĘ, przypowieści, sentencji, modlitw, anegdot, przepisów moralnych, społecznych i zdrowotnych, nakazów i zakazów, pouczeń, wzniosłych przykładów i śmiesznych przesądów. Jest kwintesencją judaizmu, żydowskim szczęściem i przekleństwem. A nade wszystko świadectwem długiego i tragicznego tysiąclecia, które rozpoczęło się niewolą babilońską, a kończyło w czasach, kiedy chrześcijaństwo i islam podzieliły cały zachodni kraniec Eurazji. To właśnie TALMUD, bo przecież nie PISMO ŚWIĘTE, był kamieniem obrazy, bywał zakazywany, cenzurowany, znieważany, palony na stosie.

Słowo „talmud” oznacza naukę, a jest skrótem w stosunku do określenia „TALMUD-TORA”, czyli jakby nauka prawa, ale to pojęcie jest ogromnie rozciągliwe. Jest zarazem wedle sławnego i starożytnego określenia „ogrodzeniem wzniesionym wokół TORY”, właściwym sposobem interpretacji prawa Mojżeszowego. TORA w węższym znaczeniu to PIĘCIOKSIĄG Mojżesza, czyli KSIĘGA RODZAJU, WYJŚCIA, LICZB, KAPLAŃSKA i POWTÓRZONEGO PRAWA. To część zasadnicza i najświętsza, powstała pod dyktando samego Boga, zarazem preegzystująca jeszcze przed stworzeniem świata, ta część, którą Bóg osobiście każdego dnia studiuje. Ta część nazywa się z grecka PENTATEUCH, a po hebrajsku TANACH. BIBLIA żydowska składa się jeszcze z ksiąg prorockich i z pism. Nieco inny zestaw świętych ksiąg obowiązuje katolików, a jeszcze inny protestantów, ale to wręcz niezmierna dziedzina wiedzy. BIBLIA żydowska została spisana samymi spółgłoskami, nie miała też interpunkcji. Interpunkcję wprowadzono dopiero znacznie później, podobno w szkole tyberiadzkiej, a samogłoski dopiero w VIII wieku naszej ery, co się zwało tekstem masoreckim, czyli tradycyjnym. Twórcą tego systemu miał być Mojżesz ha-Nakdan Punktator z perskiej Sury. Ale i tak przezorni Żydzi, chociaż dopuścili tekst masorecki, to przecież w synagogach nadal posługiwali się przepisywanym na pergaminie tekstem pierwotnym, bez samogłosek czy interpunkcji.

Początki TALMUDU odnosi się tradycyjnie do czasów niewoli babilońskiej, do tych sześćdziesięciu-siedemdziesięciu lat w szóstym wieku przed naszą erą między zburzeniem pierwszej Świątyni a jej odbudową Zorobabela i Ezdrasza. Podobno dopiero w tym momencie Żydzi zorientowali się, że religia Mojżeszowa jest wszystkim, co im zostało. Ale przecież już i

przedtem Żydzi mieszkali w diasporze, na przykład na egipskiej wyspie Elefantynie. A od niewoli babilońskiej przybyła też potężna diaspora wschodnia, która na dobrą sprawę przetrwała do dzisiaj. Później zaś kolonie żydowskie znalazły się we wszystkich miastach greckich i łacińskich, w całej Europie i Azji Mniejszej. Wszyscy oni grawitowali ku Świątyni, póki była Świątynia, płacili na jej rzecz daniny, ale i zwracali się po konkretne wyjaśnienia w kwestiach religijnych. Wszędzie też działały synagogi, w których wykładano i interpretowano PISMO. Więc chyba nie było w dziejach Żydów takiego momentu, w którym poprzestawiliby na prawie zapisanym, bez dodatkowych, ustnych interpretacji. A przecież w każdym przypadku prawo zwyczajowe wyprzedza pisane. Ale skoro się sądzi, że TORA, czyli „prawo”, była jeszcze przed początkiem świata... A Żydzi właśnie tak uważali.

Dlaczego właśnie im się TORA dostała, dlaczego oni zostali „narodem wybranym”? W TALMUDZIE jest odpowiedź i na to. Oto Bóg proponował TORĘ wszystkim narodom, ale tylko Żydzi ją przyjęli. Zresztą i oni mieli być pośrednikami, przekazując swoje dziedzictwo pozostałym narodom.

Właśnie w czasach niewoli babilońskiej dogasały ostatnie płomienie proroków i nastawał czas *soferim*, skrybów, uczonych i komentatorów. Po odbudowie Świątyni, powrocie do ojczyzny i reformie Ezdrasza właśnie *soferim* weszli w skład Wielkiej Rady siedemdziesięciu jeden – Sanhedrynu. Pisałem już o tym, że nie wszyscy chcieli uznać TORĘ ustną – prawo mówione. Nie chcieli jej saduceusze, natomiast żywo ją popierał znacznie elastyczniejszy ruch faryzejski. I on ostatecznie przeważał. Nie znaczyło to naturalnie, by TORA ustna miała być jakoś dowolna, późniejsza czy mniej szacowna. I ją także odnoszono do czasów Mojżesza i ona także miała być osobiście przez Boga przekazana. PRAWO ustne – TORA *szebealpe* – była przez długi czas, przez setki lat, przekazywana systemem pamięciowym. Dzisiaj wierzyć się w to nie chce, ale przecież tak samo przekazywano w Grecji ILIADĘ i ODYSEJĘ aż do czasów Pizystrata, podobnie przekazywano w Indiach księgi święte, w Finlandii KALEWALĘ, a w samej Judei zapewne pierwsze księgi PISMA. Sama BIBLIA to PRAWO pisane – TORA *szebich-taw*.

Kiedy po powrocie do Jerozolimy Zorobabel, a potem Ezdrasz odbudowali Świątynię u schyłku szóstego wieku p.n.e., rozpoczynając w ten sposób okres Drugiej Świątyni (520 p.n.e. – 70 n.e.), a władzę krajową objęło Wielkie Zgromadzenie (Wielka Rada) składające się z owych siedemdziesięciu jeden członków, i sąd, w którym zasiadało dwudziestu trzech mężów – zaczęła się intensywna działalność religijno-prawna. Przy czym nacisk nie był kładziony na dogmaty teologiczne, ale raczej na wielorakie potrzeby praktyczne, których judaizm miał co niemiara. Podobnie wywodzący się z niego islam do dzisiaj nie ma na swoich uniwersytetach wydziałów teologicznych w ściślejszym znaczeniu, ale jedynie prawo koraniczne. Chyba chrześcijaństwo zachodnie jest jedyną religią, która tak niezmiernie rozbudowała teologię i dogmatykę.

W każdym razie w talmudycznym traktacie NAUKI OJCÓW czytamy: *Mojżesz otrzymał TORĘ na Synaju, przekazał ją Jozuemu. Jozue zaś przekazał ją starszym, a starsi prorokom. Prorocy przekazali ją mężom Wielkiego Zgromadzenia. Oni zaś głosili trzy sprawy: zachowajcie umiarkowanie w sądzie, zdobywajcie wielu uczniów i czyńcie odpowiednie ograniczenia przy interpretacji TORY.* (TALMUD cytuję w różnych przekładach. Zasadniczo są to przekłady Majera Bałabana, Abrahama Cohena albo Witolda Tylocha – przyp. PK.). To, co Tyloch przekłada jako odpowiednie ograniczenie, jest słynnym wezwaniem: *wnieście ogrodzenie wokół TORY*. Można by rzec, że to tajemnicze i wieloznaczne wezwanie jest odpowiedzialne za to, że Żydzi na dobre i na złe zachowali przez tysiąclecia niezmienną postać. *Reszta jest tylko interpretacją* – jakby powiedział Hillel.

Wstępne formowanie TALMUDU trwało przez cały czas Drugiej Świątyni i dobiega końca na przełomie pierwszego i drugiego wieku naszej ery. W tym bowiem czasie Akiba ben Józef dokończył wyodrębnianie kanonu PISMA ŚWIĘTEGO i zaczął zbierać i systematyzować mate-

riał prawny, który się złożył na pierwszą i zasadniczą część TALMUDU – MISZNĘ. Kontynuowali tę działalność jego uczniowie, a zwłaszcza rabbi Meir, ale zakończył i spisał MISZNĘ wielki Juda ha-Nasi o przydomku Rabbi, czyli „nauczyciel”, w sto lat po Akibie, na przełomie drugiego i trzeciego wieku. Tym samym zakończyła się epoka tannaitów, czyli nauczycieli. Ale do zakończenia prac nad TALMUDEM było jeszcze ogromnie daleko.

TALMUD składa się zasadniczo z materiałów dwojakiego rodzaju: z halachy i hagady. Halacha to sposób postępowania, przepis, prawo w ścisłym tego słowa znaczeniu. Hagada natomiast to opowieść, przypowieść, stosowny przykład. MISZNA więc mniej więcej znaczy powtórka, ponieważ właśnie przez nie kończące się powtarzanie była przekazywana, składa się, jeśli dobrze rzecz rozumiem, z halachy – przepisów będących komentarzami i uszczegółowieniami zasad TORY, czyli PISMA ŚWIĘTEGO. Ale okazało się, że jeszcze wiele zostało do dopełnienia i skomentowania. Zajęli się tym żydowscy uczeni już po sformułowaniu MISZNY, czyli od trzeciego wieku. Ci następcy tannaitów-nauczycieli zwali się amoraimitami, czyli mniej więcej mówcami. Amoraici działali w Palestynie do końca czwartego wieku, a potem w obliczu rosnącego w siłę chrześcijaństwa, które zostało uznane w 313 roku przez Konstantyna Wielkiego, a następnie za Teodozjusza I Wielkiego (379–395) stało się rzymską religią państwową – musieli wobec prześladowań zawiesić działalność i opuścić ojczyznę. Ale przedtem stworzyli GEMARĘ, czyli „zakończenie”. Był to tak zwany TALMUD jerozolimski, choć właśnie z Jerozolimą nie miał nic wspólnego. Szkoły talmudyczne były na południu w Jawne, potem na północy w Seforis, Uszy, Tyberiadzie, ale do Jerozolimy, która wówczas nazywała się Aelia Capitolina, Żydzi w ogóle nie mieli prawa wstępu. Czasem tedy nazywa się go TALMUDEM palestyńskim.

Ale diaspora żydowska miała lepsze, a nawet znakomite warunki w ówczesnej Persji. Część Żydów pozostała tam po prostu od czasów niewoli babilońskiej, dobrze się miała i rozrodziła się poważnie. W Nehardei na przykład przez kilkanaście lat utrzymywało się całkiem niezależne państewko żydowskie. Wielkie akademie żydowskie działały w Pumbedicie i Surze, miały też znaczną autonomię. I czas, którego zabrakło w Galilei. Tam jeszcze przez dwieście lat, bo do szóstego wieku, opracowywano zupełnie inną GEMARĘ, właśnie babilońską. To właśnie ta wersja TALMUDU, która liczy dwa i pół miliona słów, czyli 5894 strony *in folio*. I tam właśnie zachowała się najbogatsza hagada, czyli opowieści od czasów najdawniejszych, w sposób istotny uzupełniająca historię biblijną. Ale wielka część tych opowieści dotyczyła właśnie samych twórców TALMUDU, tych wcześniejszych, tannaitów. Były to na ogół historie budujące, ale niekiedy i zabawne. Przecież to oni naprawdę tworzyli historię żydowską, bardziej niż królowie i wodzowie.

Ale i to nie wyczerpuje otchłani TALMUDU. Mamy więc dodatek do dodatku, mnogie midrasze, mające charakter komentarzy biblijnych. Do szczególnie ważnych tekstów z tej kategorii zaliczane są: *MEKILTA DE RABBI JISZMAEL* (O KSIĘDZE WYJŚCIA), *SIFRA* (O KSIĘDZE KAPŁAŃSKIEJ), *SIFRE* (O KSIĘGACH LICZB I POWTÓRZONEGO PRAWA), *MIDRASZ RABBA DO GENESIS* i *PESIQTA DE RAW KAHANA* (O czytaniach na święta i wybrane szabaty) czy *TOSEFTA SANHEDRIN* (o cudzoziemcach, którzy otrzymają miejsce w przyszłym świecie), a ponadto jeszcze inne komentarze, które bywają bardzo wczesne albo znowu bardzo późne. Kiedy wraz z GEMARĄ wygasło zadanie amoraimitów, pojawili się na ich miejsce saboraici, którzy mieli wiele roboty przy ostatecznym porządkowaniu TALMUDU, w każdym razie na dwa stulecia. Ale TALMUD się nigdy nie kończy, a po saboraitach przyszli gaonowie, a epoka gaonidzka ciągnęła się od siódmego do jedenastego wieku... I tak to trwało, a ostatnie prace talmudyczne pisano w Lublinie, w utworzonej w 1937 roku wielkiej akademii rabinackiej, w gmachu, który ocalałszy z wojny, mieścił chyba w sobie któryś z instytutów Wydziału Medycznego Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej.

„Ogrodzenie wokół TORY”... To oznacza, że z TORY nie może być uroniona „ani jedna jota”, to znaczy także, że poza TORĘ wyjść nie można ani niepodobna, że Żyd, wychodząc poza

to ogrodzenie, przestaje być Żydem i odwrotnie, kto przekroczy to ogrodzenie z zewnątrz, Żydem się staje. Ale w TORZE można znaleźć wszystko i o wszystkim. PISMO nie jest przecież dziełem człowieka, ale Boga, który wie wszystko i wszystko w TORZE powiedział, a zadaniem człowieka jest tylko prawidłowe odczytanie obecnego tam przesłania. *Pytajcie, a otrzymacie odpowiedź* – to mogłoby, a nawet powinno znaleźć się w TALMUDZIE, choć wywodzi się oczywiście z EWANGELII. (Nie wiem zresztą, czy rzeczywiście w TALMUDZIE nie ma takiego sformułowania.) Pytajcie naturalnie właśnie TORY. Przecież: *świat opiera się na trzech rzeczach: na TORZE, na pracy i na dobrych uczynkach*. Trzeba więc TORZE poświęcić literalnie każdą chwilę: *Kto przechadzając się drogą i ucząc się TORY, przerywa nauk i mówi: „Jakie piękne jest to drzewo, jak śliczna jest ta polana!”*, PISMO wliczy mu to, jakby sam zatracił swą duszę. (...) *Każdy, kto oddaje się nauce TORY, będzie wywyższony (...) TORA jest większa od kapłaństwa i władzy królewskiej*.

TORA to jest kosmiczny porządek świata. Jest tak droga samemu Bogu, że stworzył ją najpierw, a świat dopiero potem, *wszak dziewięćset siedemdziesiąt cztery pokolenia przed stworzeniem świata TORA została spisana i położona na łonie Świętego Jedyne (niech będzie błogosławiony!)*. *Nota bene* talmudyczny i pewnie w ogóle judaistyczny zwyczaj, aby za każdym razem, kiedy jest wspomniany Bóg, dodawać w nawiasie to błogosławieństwo, wydaje się początkowo dziwaczny, a nawet irytujący. Ale można przywyknąć.

TORA jest sensem życia doczesnego i przyszłego, TORA zapewnia bezpieczeństwo, leczy dolegliwości, nie ma w niej rzeczy nieważnych ani mniej ważnych, jest jak *woda, wino, oliwa, miód i mleko*. (...) *Studiowanie TORY jest ważniejsze niż odbudowa Świątyni*. TORA jest wszystkim.

W TALMUDZIE znajdujemy taką przypowieść. *Pewien rabbi zapytał: „Skoro nauczyłem się całej TORY, czy wolno mi studiować filozofię grecką?”* W odpowiedzi zacytowano werset: *„Niechaj nie oddala się księga TORY od twoich ust, ale rozmyślaj o niej we dnie i w nocy”*. *Dodając przy tym uwagę: „Idź i poszukaj, o jakiej godzinie nie ma ni dni, ni nocy, i poświęć ją na studiowanie filozofii greckiej”*. Uff, wypowiedź godna samego kalifa Omara.

Ale tak, rzeczywiście tak było i chyba nie sposób zrozumieć Żydów i myśli żydowskiej, i żydowskiego postępowania, jeśli nie zdamy sobie sprawy z absolutyzmu fundamentu, na którym się oparli. Nie ma tu miejsca na żaden relatywizm czy historyzm. Zresztą, cóż znaczy historia, skoro TORA powstała przed początkiem wszelkiej historii i w ogóle świata? W TORZE nie ma żadnych uwarunkowań historycznych, nie ma też osobistych poglądów jakichkolwiek poszczególnych ludzi, żadnych interesów plemiennych, klasowych, geopolitycznych, koteryjnych czy ideologicznych, ponieważ przecież nie jest ludzkim dziełem. Po tej wewnętrznej stronie „ogrodzenia” jest tylko prawda absolutna.

Przeczytałem w jakimś reportażu z Izraela, że są dwa sposoby czytania PISMA: świecki, z odkrytą głową – i to wtedy jest historia. I z przykrytą głową – a wtedy jest to religia. Oba sposoby nie mają ze sobą nic wspólnego. TALMUD powiada bowiem, że TORA, jako doskonała, jest zarazem i ostateczna, stąd żadnych nowych „źródeł informacji”, czy jak to rzec, nie będzie. Nie trzeba więc palić biblioteki aleksandryjskiej, wystarczy, a i trzeba, ją zignorować. W TORZE jest wszystko.

Skąd więc w TALMUDZIE tyle rozbieżności, tyle różnych wariantów, tyle odmiennych opinii? TALMUD przytacza nie tylko oficjalną wykładnię danego problemu czy przepisu, ale i odmienne stanowisko, jeżeli takie było. Powiedzmy: większość, a to bardzo ważne kryterium w judaizmie, opowiedziała się za opinią rabiego Szemaja, ale i zdanie rabiego Awtaliona zostało przytoczone. A TALMUD ma przecież cztery tysiące autorów. Tak, nie pomyliłem się: cztery tysiące. To nam zresztą uzmysławia ogrom literackiego dzieła Żydów, bo przecież TALMUD to tylko cząsteczka żydowskiego dziedzictwa literackiego i kulturalnego. Uczy to skromności, zwłaszcza jeśli się zważy, że w Polsce analfabetyzm został zlikwidowany dopiero w połowie dwudziestego wieku...

Otóż, oczywiście, przez te tysiące lat istnienia narodu żydowskiego, po ludzku biorąc, odmieniało się powoli wszystko. Albo i nie powoli. Więc naturalnie i prawo. Trzeba było znaleźć jakieś środki zaradcze i uzasadnić je, ale w tym samym duchu. TALMUD stwierdza więc oficjalnie: *Czyż Moje słowo nie jest jak młot, który kruszy skalę? (...) podobnie jak młot, spod którego wypryskują liczne odłamki* – każdy werset PIŚMA daje pole do wielu interpretacji. I rzeczywiście, interpretacji mogło być bez liku, nawet najzupełniej sprzecznych ze sobą. Pierwszy dał temu przykład sławny Hillel, domniemany nauczyciel Chrystusa. Otóż co siedem lat przypadał święty rok szabatowy, który niósł ze sobą liczne ograniczenia i niedogodności. Między innymi następowało umorzenie długów, rzecz z punktu widzenia ekonomii rujnująca, a jednak wedle TORY obowiązkowa. Hillel wyszedł z założenia, że w PIŚMIE nie ma żadnych rzeczy zbędnych, a właśnie werset o umorzeniu był powtórzony. Z tego właśnie wywiódł Hillel zaprzeczenie reguły, czyli obowiązek zwrotu długów także w roku szabatowym. Była to oczywista sofistyka, jedni się oburzali, drudzy zapewne śmiali, ale wykładnia się przyjęła i stała się ważnym precedensem. W ten kazuistyczny sposób można było za pomocą TORY udowodnić absolutnie wszystko. Nie śmiejmy się z Żydów, taką mocą jest obdarzony każdy tekst, bezgranicznie poważnie traktowany.

Wynika to z iscie magicznej mocy języka. Dlatego najściślej nawet formułowane kodeksy i konstytucje stają się dziką igraszką prawników i parlamentarzystów. Słowa są ze sobą spokrewnione i mogą wchodzić w najdziwniejsze pokrewieństwa znaczeniowe. Ze słowa „tak” przy odpowiedniej inwencji da się wyprowadzić słowo „nie”, a wszystko może oznaczać wszystko. Można się o tym przekonać, słuchając w byle jakiej sprawie obrad sejmu; prawdy „obiektywnej” zwyczajnie nie ma, po prostu takie coś nie istnieje. Ja przekonałem się o tym, analizując poezję; zdarzało mi się zwykłemu czterowierszowi poświęcać dwie doby usilnej pracy, podczas której zrozumienie tekstu raczej wyraźnie się oddalało, niż przybliżało. Pod koniec to, co usiłowałem zrozumieć dobrze i ściśle, stawało się bezdenną przepaścią skłębionych znaczeń. Dzieje się tak, ponieważ każde słowo każdego języka jest potencjalną metaforą, a ta, wedle definicji Arystotelesa, *to przeniesienie na słowo innego znaczenia*. A więc w każdym słowie jest z natury materiał także na inne znaczenie, a nawet na bezmiar znaczeń.

Każdy twórca TALMUDU miał swoje własne, liczne metody egzegezy. Najbardziej znany ich zespół jest symbolizowany słowem *pardes*, co znaczy raj lub ogród, a składa się z czterech elementów: *peszat*, *remesz*, *derasz* i *sod*. *Peszat* oznacza interpretację dosłowną, *remesz* – aluzję, wyjaśnienie alegoryczne, *derasz* – wykład homiletyczny, a *sod* to tajemnica, znaczenie ezoteryczne. Te cztery metody egzegezy wystarczą, żeby ze wszystkiego można było zrobić literalnie wszystko. Talmudycznym mędrcom i tego było za mało. Sam Hillel stosował siedem reguł hermeneutycznych. Przytaczam je za Witoldem Tylochem:

1. rozumowanie *ad fortio*rem, pozwalające na wysnuwanie z mniejszych spraw wniosków dotyczących spraw większych (hebr. *kal wachomer*)
2. wnioskowanie przez analogię, opierające się na analogii terminów (*gezera szawa*)
3. zasady wyprowadzone z konkretnego, wyraźnego przypadku zastosowane do wszystkich przypadków ogólnych lub z jednego wersetu do wszystkich podobnych wersetów i wypowiedzi (*binjan aw mikkatuw echad*)
4. wniosek wyprowadzony ze sprzeczności pomiędzy dwoma wypowiedziami przez ich porównanie (*katuw echad uszne ketuwim*)
5. ograniczenie zasady ogólnej, wydedukowanie z przypadku szczegółowego i odwrotnie (*klal ufrat uklal*)
6. wyjaśnienie jednego wersetu przez inny o podobnej treści, czyli wyprowadzenie zasad z podobnych wypowiedzi (*kajoce bo bemakom acher*)
7. dowód wyprowadzony z kontekstu (*dawar hallamed meinjano*).

I dowiedzie, że król Herod dobroczyńcą był dla sierot – rzeczywiście biedny Polak spogląda na to wszystko z podziwem pełnym przerażenia. Sławne scholastyczne reguły sylogi-

zmów: *barbara celarent darii ferioque priore* nie dorastają do tego pod względem logicznej perfidii. Iście zawrotna egzegeza, będąca przez tysiąclecia szkołą duchową narodu, tłumaczy, czemu ten naród wydał tak wielkich mistrzów gry w szachy, na giełdzie, a może i na skrzypcach. Nie wiem, czy była w dziejach równie subtelna szkoła rozumienia i interpretowania słowa, a więc i świata. Szkoda, że nasza chrześcijańska cywilizacja poprzestała na STARYM TESTAMENCIE, a nie wzięła pod uwagę nauk TALMUDU. Co prawda metody TALMUDU nie da się stosować cząstkowo: można ją tylko przejąć albo odrzucić w całości.

Ostatecznym redaktorem podstawowej części TALMUDU, MISZNY, był rabbi Juda ha-Nasi, co znaczy prorok bądź książe, zwany też świętym nauczycielem *rabbenu ha-kadosz* albo po prostu nauczycielem, czyli rabbi. W średniowieczu filozofem nazywano Arystotelesa, a poetą – Wergiliusza. Zaś w Polsce socjalistycznej, pisząc poeta, mieliśmy na myśli Czesława Miłosza i każdy wiedział, o kogo chodzi. Rabbi Juda ha-Nasi był przełożonym Sanhedrynu, wielkim dostojnikiem i przywódcą wszystkich ówczesnych Żydów, był też ostatnim tannaitą, czyli autorem MISZNY. Urodził się podobno w roku śmierci rabiego Akiby (135) lub w roku 125, a zmarł w roku 217. Wywodził się z rodu wielkich rabinów, był synem Szymona ben Gamaliela, zresztą widocznie talenty bywały wśród rabinów dziedziczne, bo wielkie rody uczonych nie należały do rzadkości. Nie wiadomo, czy Juda zredagował MISZNĘ w pamięci czy na piśmie – dyskusje na ten temat trwają już przeszło tysiąc lat. Jakkolwiek jednak ją zredagował, MISZNA przedstawia sobą ogromne materii pomieszanie i chaos informacji o wszystkim możliwym.

MISZNA dzieli się na sześć *sedarim*, czyli porządków. Prawie każdy *sedarim* ma kilkanaście traktatów, a łącznie jest ich sześćdziesiąt trzy. Traktaty z kolei dzielą się na rozdziały, a rozdziały na paragrafy zwane lekcjami. Rozdziałów jest pięćset dwadzieścia, a w nich o daniach dla kapłanów, o świętach, postach, ślubach i rozwodach, ofiarach, czystości, nieczystości, o krowie ofiarnej, która ma być czerwona i ile białych włosków mieć może, o uprawach, owocach, cieście, chłóście, napletku i wszystkim razem. Są tam naturalnie sprawy znane i chrześcijanom, na przykład rozważania o Bogu. Jednak większa część materiałów to nadzwyczaj skrupulatne rozważanie różnic między czystym a nieczystym, między świętym a świeckim. Chociaż wedle TALMUDU absolutnie wszystko jest sakralne i podlega ocenie moralnej.

A wyższy jeszcze stopień szczegółowości osiągnęło uzupełnienie – GEMARA. W TALMUDZIE palestyńskim jest trzydzieści dziewięć traktatów, w TALMUDZIE babilońskim trzydzieści siedem. Nie pokrywają się ze sobą, a babiloński jest osiem razy większy. Wszystko to, a również midrasze, tosefty i jak się tam nazywają te wszystkie komentarze do komentarzy, trochę współczesniane, przetrwały tysiąclecia, a nie były to puste dźwięki. Nawet tak zdecydowany przeciwnik kultury żydowskiej jak Feliks Koneczny zapewnia, że pod przykryciem czynności praktycznych każdy Żyd niezmiernie się liczy z TALMUDEM i prowadzi bogate życie duchowe. To znaczy Koneczny, który Żydom ma za złe literalnie wszystko, inaczej to sformułował, ale właśnie świadectwo z takich ust jest w tym przypadku nieposzlakowane. Przeciwnicy TALMUDU, niekoniecznie antysemita, zarzucają mu, że skrupował życie ludzkie gęstą siecią ograniczeń i przykazań, zwolennicy odpowiadają, że prawowierny Żyd tych wszystkich ograniczeń nie czuje. Cóż może powiedzieć człowiek z zewnątrz? Że pokonywanie trudności jest źródłem prawdziwej satysfakcji, ale praktykowanie tego na co dzień i zawsze... Szczerze podziwiam, ale nie zazdroszczę. Każda chyba religia nakłada na wyznawcę jakieś nakazy i zakazy nie wynikające wprost z zasad moralnych, ale judaizm ma ich wstrząsająco wiele.

Po kolei. Osią wszystkiego jest... Bóg niematerialny, jedyny, wszechmocny i wszechobecny. Wyrazem boskiej obecności jest Szechina przedstawiana w postaci światła, mniej więcej odpowiednik Opatrzności. Ciekawe, że ewangeliczna obietnica *gdziekolwiek zbierze się was kilku w imię moje i ja będę z wami* ma talmudyczny odpowiednik i chyba źródło w liczbie dziesięciu mężczyzn, tak zwanym *minjanie* koniecznym, aby zjawiła się Szechina. Otóż ju-

daizm każdy szczegół próbuje określić, chrześcijaństwo tego nie wymaga. Ale z kolei z Bogiem w wersji żydowskiej można się sprzeczać, a nawet targować, co rzeczywiście przydaje judaizmowi niepowtarzalnego ciepła. Bóg codziennie podtrzymuje świat w istnieniu, co w filozofii chrześcijańskiej znamy jako *creatio continua*, a z drugiej strony już w TORZE powiedział wszystko i właściwie nie bardzo ma prawo głosu. Jest w TALMUDZIE cudna opowieść na ten temat. Trzeba tu od razu dodać, że Bóg niekiedy mówi do człowieka bezpośrednio, jest to tak zwana *bat kol*, czyli córka głosu. Wydarzyło się to na początku drugiego wieku rabbiemu Eliezerowi z akademii w Jawne podczas sporu o jakiś punkt prawa.

Rabbi Eliezer przedstawił wszelkie możliwe argumenty, ale koledzy pozostali nie przekonani. Rzekł więc: *Jeśli prawo jest zgodne z moim poglądem, niech tamto drzewo świętojańskie to udowodni*. Drzewo świętojańskie przeniosło się o sto łokci dalej, a niektórzy mówią, że o czterysta. Oni jednak odparli: *Drzewo świętojańskie nie może stanowić żadnego dowodu*. Wówczas rabbi Eliezer powiedział im: *Jeśli prawo jest zgodne z moim poglądem, niech tamten kanał wodny to udowodni*. Strumień odwrócił swój bieg. Oni jednak odparli: *Strumień niczego nie dowodzi*. Rzekł im: *Jeśli prawo jest zgodne z moim poglądem, niech wykażą to ściany tego domu*. Ściany wykrzywiły się i omal nie runęły. Rabbi Jehoszua zaczął je ganić: *Jeśli studiujący TORĘ sprzecząją się o punkt prawa, co to ma z wami wspólnego?* Przez szacunek dla rabiego Jehoszuy ściany się nie zawaliły, a przez szacunek dla rabiego Eliezera nie wyprostowały i pozostały schylone. W końcu rabbi Eliezer zawołał: *Jeśli prawo jest zgodne z moim poglądem, niech niebo to udowodni*. Wówczas dała się słyszeć *bat kol*, która oświadczyła: *Cóż macie przeciwko rabbiemu Eliezerowi? Decyzja prawna zawsze jest zgodna z jego poglądem*. Rabbi Jehoszua zerwał się na równe nogi i oświadczył: *To nie jest w niebie*. Co miał na myśli? Rabbi Jeremiasz rzekł: *Skoro TORA została dana raz na zawsze na Synaju, nie zwracamy uwagi na bat kol*.

No i rabiego Eliezera wyrzucono całkiem z akademii. Komentatorzy mówią, że jest to przyznanie racji większości bądź rozsądkowi, ale jednak z tego wynika, że TORA jest ważniejsza od Boga...

Bogato rozbudowano w TALMUDZIE angelologię i demonologię. Nie tylko przedstawiono różne kategorie duchów, ale opracowano i genealogię, wielorakie czynności, imiona – przetróżni Gabriele, Michały, Uriele, Rafaele, Metatrony i Sandalfony, a z drugiej strony Samael, który jednak również jest sługą Boga. Gorzej, że przydano tam także rozważania kosmologiczne – jest więc siedem nieb, ziemia ma także siedem wersji, jest płaska, wspiera się na słupach i zasadnicze pytanie brzmi: ile jest tych słupów? I tak dalej, i dalej. Zaskakująco mądre reguły i sentencje, bardzo przy tym piękne, mieszają się z przedziwnymi ambajami, stanowiąc wiekuisty dowód na zawodność fundamentalizmu.

Oprócz oczywistych zasad prawnych jest też wiele pouczeń i przepisów zdrowotnych, higienicznych i dotyczących życia codziennego. Można by nawet rzec, że to one stanowią zasadniczą część TALMUDU. A tuż obok pięknych pouczeń, że kłamstwo jest cięższym grzechem niż kradzież, bo *prawda jest pieczęcią Boga*, znajdujemy opinie, że mędrzec powinien być *postawny i bogaty*, albo sławną czy raczej osławioną modlitwę: *Dzięki ci, Boże, że nie stworzyłeś mnie poganinem, niewolnikiem, kobietą*. Ale najskuteczniejszym „ogrodzeniem TORY” okazał się rozbudowany system nakazów i zakazów. Jest ich, jako się rzekło, sześćset trzysta, w tym trzysta sześćdziesiąt pięć nakazów – tyle, ile dni w roku, i dwieście czterdzieści osiem zakazów – tyle, ile kości w ludzkim ciele. Tyle zliczono w BIBLIJ, ale TALMUD rozmnożył je jeszcze stokrotnie. Na przykład w szabat było zakazanych trzydzieści dziewięć kategorii czynności. A mianowicie: siew, orka, żęcie, wiązanie snopów, młócenie, wianie, sortowanie, mielenie, odcedzanie, zagniatanie ciasta, pieczenie, strzyżenie, bielnie, gęplowanie, farbowanie, przedzenie, snucie, rozdzielanie dwóch końców, tkanie dwóch nici, oddzielanie dwóch nici, wiązanie, rozwiązywanie, zszywanie dwóch końców, rozpruwanie, aby zszyć dwa końce, polowanie na jelenia, zabijanie go, obdzieranie ze skóry, solenie, wypra-

wianie skóry, usuwanie włosów, cięcie na kawałki, napisanie dwóch liter alfabetu, wymazanie w celu napisania dwóch liter, budowanie, burzenie, zapalanie ognia, gaszenie, uderzanie młotkiem, przenoszenie przedmiotu z jednego miejsca na drugie.

Abraham Cohen, przytaczając tę listę, prezentuje zarazem problemy, które się nasuwają, kłopoty z definicją, przynależność lub nie jakiejś czynności do określonej kategorii itp. Ostatnia kategoria, przenoszenie przedmiotu, doczekała się następującego komentarza:

Są dwa rodzaje przenoszenia przedmiotów z jednego miejsca na drugie, a urastają one do czterech, gdy w grę wchodzi wnętrze pomieszczeń, i do czterech w wypadku zewnątrz. Jak to jest? Na przykład żebrak stoi na dworze, a pan domu w środku. Żebrak wyciąga rękę do wnętrza i kładzie coś lub bierze z ręki gospodarza, po czym wycofuje rękę na zewnątrz. W tym wypadku żebrak winien jest złamania prawa szabatowego, a pan domu wolny jest od winy. Jeśli gospodarz wyciąga rękę i kładzie coś lub bierze z ręki żebraka, a potem wciąga ją z powrotem do domu, wtedy pan domu ponosi winę, a żebrak jest niewinny. Jeśli żebrak wkłada rękę do środka domu, a gospodarz coś z niej bierze lub na nią kładzie, obydwoj wolni są od winy. Jeśli gospodarz wyciąga rękę na zewnątrz domu, a żebrak coś z niej bierze lub coś kładzie, po czym ten pierwszy wycofuje rękę do domu, winni są obaj.

Coś podobnego można było czytać w poufnej dyspozycji dla spowiedników, dotyczącej grzechu nieczystości, a ujawnionej przez laicką prasę. Wzbudziła wtedy powszechną wesołość. Ale tak właśnie się dzieje, kiedy się bada miary świętości i grzechu, a nie chce się uznać, że zło i dobro bywają najczęściej wymieszane ze sobą. A szczególnie, kiedy są to grzechy wydumane i nie ma w nich żadnego prawdziwego zła, to jest krzywdy drugiego człowieka lub zwierzęcia. Boga i tak przecież skrzywdzić niepodobna.

Takie same metody stosowano w określaniu czystości i nieczystości rytualnej. Wiadomo, że TALMUD odbijał stan umysłów sprzed tysięcy lat i takież stan wiedzy. Z drugiej strony okazał się zdumiewająco trwały z całym swoim bagażem wyobrażeń i przepisów. To właśnie głównie z jego winy i zasługi Żydzi pozostali aż do dzisiaj Żydami. Ale wróćmy jeszcze raz do początków. Z czterech tysięcy współautorów TALMUDU najznacniejszych było coś trzydziestu, a byli to głównie tannaici, autorzy MISZNY, opisani w GEMARZE przez swoich następców amoraistów.

Tradycje TORY ustnej sięgały rzekomo czasów Mojżesza, ale pierwszy uczony-komentator wymieniony w TALMUDZIE z imienia to arcykapłan Szymon Sprawiedliwy z trzeciego wieku przed naszą erą, podobno jedyny człowiek, przed którym pokłonił się Aleksander Macedoński, uprzedzony o spotkaniu z nim przez wieszczę sen. Jego uczniem był Antygon z Socho z pierwszej połowy drugiego stulecia. Odtąd ukształtowała się tradycja, że wielcy nauczyciele łączyli się w swoiste pary, z których jeden nosił tytuł *nasi*, czyli księcia, i był przełożonym Sanhedrynu, a drugi był przewodniczącym trybunału. Tych par było do zburzenia Świątyni pięć. A więc pierwsza to uczeń Antygonosa Jose ben Joezer z Ceredy i Jose ben Jochanan z Jerozolimy, którzy wstawili się (?) uznaniem krajów nieżydowskich za „nieczyste”. Podobno miało to wówczas uzasadnienie ekonomiczne. Nieczyste były też wedle nich naczynia szklane... A w ogóle jednym z najżywiej dyskutowanych w owym czasie zagadnień było: nakładać czy nie nakładać ręce na zwierzęta ofiarne? Spór dzielił mędrców, a toczył się przez wiele pokoleń.

W owym właśnie czasie niejaki Jakum, uznawszy, że zgrzeszył, wykonał na sobie cztery wyroki śmierci: ukamienowanie, spalenie, ścięcie i uduszenie. *Cóż uczynił? Przyniósł belkę i wbił ją w ziemię i zawiązał na niej sznur, ułożył drwa w stos i otoczył go ogrodzeniem z kamieni, przed nim uczynił ognisko i w środku wbił miecz. Potem rozpalił ogień drwami poniżej kamieni, powiesił się na belce i udusił się. Następnie sznur się przerwał, on wpadł do ognia, nadział się na miecz, przewróciło się na niego ogrodzenie z kamieni i tak wyzionął ducha, a jego pokuta została przyjęta.* Myślę, że to raczej przykład talmudycznej fantazji niż rzeczywistości, ale kto wie...

Drugą parę stanowili Jehoszua ben Perachia i Nittaj z Arbeli, trzecią zaś Szymon ben Sze-
tach i Juda ben Tabbaj – był to już pierwszy wiek przed naszą erą. Każdy z nich miał jakieś
zawrotne przygody, rozwijał prawo i zostawił po sobie liczne przypowieści. Na przykład
Szymon ben Sze-
tach przyszedł kiedyś nie zmoczony w deszcz, oświadczając, że *szedł między
kroplami*, a nawiasem mówiąc, przyprowadził wtedy partnerów osiemdziesięciu czarowni-
com, którzy opuścili je *dopiero wtedy, gdy je zmęczyli*. Bardzo słuszny sposób pacyfikowa-
nia czarownic. W jego czasach żył także sławny rabbi i cudotwórca Choni Hammeagel, czyli
„zakreślający koła”. Miał on zwyczaj podczas suszy nakreślać na ziemi koło i grozić Bogu, że
z niego nie wyjdzie, póki nie spadnie deszcz. Podobno skutkowało, a nas po raz kolejny za-
dziwia familiarny, ciepły stosunek Żydów do Boga, od którego wiele da się wytargować. Na-
wiasem mówiąc, TALMUD zapewnia, że Bóg przez trzy godziny dziennie modli się do siebie
samego, a to o miłosierdzie. I jakże Go nie lubić? Fenze Choni zdrzemnął się kiedyś, przespał
siedemdziesiąt lat i błędził potem bezradny w świecie własnych wnuków, aż zrozpaczony
umarł. Komentarz TALMUDU: *Albo towarzystwo, albo śmierć*.

Czwarta sławna para rabinów to Szemaja i Awtalion, potomkowie prozelitów, czyli nie-
Żydów. Żyli w czasach Hirkana II, tego, któremu bratanek odgryzł uszy, i Heroda Wielkiego,
z którym wojowali, a który – o dziwo – nie ukarał ich śmiercią, zresztą wyciąwszy w pień
całą resztę Sanhedrynu. Natomiast ostatnia, piąta para to już mędrcy, których sława przekro-
czyła zdecydowanie kręgi świata żydowskiego, byli to bowiem Hillel z Szammajem. Obaj
stworzyli konkurujące ze sobą szkoły: „dom Hillela” (*bet Hillel*) i „dom Szammaja” (*bet
Szammaj*). Szammaj był sławnym rygorystą, który nawet własnego syna w niemowlęctwie
zmuszał do rytualnych postów, ale równocześnie nakazywał życzliwość dla każdego człowie-
ka. Hillel natomiast, domniemany nauczyciel Chrystusa, autor sławnej, cytowanej już defini-
cji judaizmu: *nie krzywdzi nikogo, reszta to komentarz*, był przedmiotem bardzo licznych i
mnożących się legend. Podobno pochodził z Babilonu i był potomkiem Dawida. Z zawodu
był drwalem, miał żyć sto dwadzieścia lat i posiadać wszechstronną wiedzę, także znajomość
języków obcych, literatury, botaniki i zoologii. Okoliczności, w których stworzył swoją sław-
ną definicję, tak zostały przedstawione w TALMUDZIE:

*Pewnego dnia przyszedł do Szammaja jakiś cudzoziemiec i rzekł mu: „Nawrócę się na ju-
daizm pod warunkiem, że nauczysz mnie całej TORY w czasie, gdy ja będę stał na jednej no-
dze”. Szammaj odepchnął go jednak murarską miarą, którą miał w ręce. Cudzoziemiec ten
zwrócił się więc do Hillela, który go tak pouczył: „Nie czyn drugiemu tego, co nie chcesz,
aby tobie samemu czyniono. To jest bowiem cała TORA. Reszta zaś jest tylko komentarzem i
tego trzeba się nauczyć”.*

W praktyce prawnej Hillel odznaczył się taką kazuistyczną interpretacją TORY, która ze-
zwoliła na ściąganie wierzytelności niezależnie od roku szabatowego, czyli prawem *prosbolu*,
którą przyszli interpretatorzy uważali słusznie za kpiny z PISMA, ale przecież z niej po-
wszechnie korzystali. Opowieści o Hillelu i Szammaju, o ich uczniach i rywalizacji, która
przeniosła się na następne pokolenia, są niezliczone. Ale jedna z nich zmroziła mnie szcze-
gólnie. *Przez dwa i pół roku uczniowie szkoły Szammaja dyskutowali z uczniami szkoły Hil-
lela kwestię, czy warto się urodzić, czy nie. Pierwsi mówili, że byłoby lepiej, gdyby człowiek
nie został stworzony. Drudzy zaś utrzymywali, że jednak lepiej, że człowiek istnieje. Skoń-
czono na tym, że zgodzono się, że lepiej by było, gdyby człowiek w ogóle nie istniał, lecz z
chwilą gdy został stworzony, powinien stale uważnie przypatrywać się swemu postępowaniu.*

Lepiej, gdyby nie istniał... Byłem w podobnej sytuacji. Zarzucałem wielkiemu uczoneму
Tadeuszowi Kotarbińskiemu zbytni optymizm, a on mi odparł: *Gdybym miał ułamek sekundy
na decyzję, czy unicestwić ten świat, tobym się nawet przez ten ułamek sekundy nie wahał...*
Nie sądzę, by Kotarbiński znał TALMUD, ale zgroza w sercach mędrców wszystkich czasów i
kultur jest taka sama.

Trudno omawiać życie i dokonania wszystkich uczniów Szammaja czy Hillela, bo sam Hillel miał ich osiemdziesięciu albo nawet stu sześćdziesięciu. Ale był wśród nich jego własny wnuk Gamaliel, zwany Pierwszym lub Starszym, nazwany *rabbanem*, czyli wielkim nauczycielem, przewodniczący Sanhedrynu w czasach Kaliguli, mistrz apostoła Pawła. Najmłodszym uczniem Hillela był Jochanan ben Zakkaj, człowiek, który w pewnym sensie ocalił całą przyszłość narodu żydowskiego.

Podczas oblężenia Jerozolimy wydostał się za pomocą fortelu z miasta, przy czym trudność polegała na oszukaniu zelotów, a nie Rzymian. Jochanan ben Zakkaj został jako nieboszczyk wyniesiony w trumnie i przyjęty przez Rzymian, którzy go znali z wcześniejszej działalności przychylniej Rzymowi. Trochę tak go potraktowali jak Babilończycy proroka Jeremiasza. Jochanan miał do Tytusa jedną, jak się zdawało, drobną prośbę: chciał gdzieś na terenach zajętych przez Rzymian założyć religijną uczelnię. Tytus zgodził się na to i zezwolił mu osiedlić się w Jawne, zwanej też Jamnią, trochę na południe od Jerozolimy, nad brzegiem morza, między Jafą a Aszdodem, wielkim ośrodkiem handlu zbożem. Tam właśnie otwarto uczelnię, która spełniała także rolę jednoczącą Żydów, określała daty świąt i rozstrzygała wątpliwości – przypomnijmy, że kultura żydowska miała charakter ściśle sakralny. A zabrakło przecież zburzonej Świątyni, jedyne miejsce na świecie, gdzie można było oczyścić się przed Bogiem. Jochanan oświadczył, że *ofiary można zastąpić miłosierdziem*, miała to być wprawdzie prowizorka, ale jak to prowizorka, trwa do dzisiaj. Jochanan ben Zakkaj przypominał z natury Hillela i to było źródłem jego politycznych sukcesów wobec Rzymian. W zakresie wykręcania znaczenia PISMA i wypracowania najdziwniejszych interpretacji (co najwybitniejszy historyk żydowski ubiegłego stulecia Heinrich Graetz nazywa po prostu „oblędem”) Jochanan ben Zakkaj i jego uczniowie też podążali za Hillelem. A poza wszystkim ten człowiek, który ocalił kulturę żydowską, był także oskarżany o zdradę narodową, ponieważ ugodził się z Rzymianami...

Kiedy Jochanan wraz z uczniami usunął się z Jawne, jego miejsce zajął Gamaliel Drugi, czyli Młodszy, i rozpoczął prace nad godzeniem rozbieżności talmudycznych, bo tymczasem powstała konkurencyjna szkoła w Liddzie, a poza tym odżyły spory hillelitów z szammaitami, dotyczące między innymi poparcia pokoju bądź wojny z poganami. Wtedy też odezwał się niebiański głos *bat kol* opowiadający się po stronie hillelitów. Ale w TALMUDZIE przetrwała i uchwała szammaitów zakazująca wszelakich stosunków z gojami... Gamaliel wsławił się także jako współtwórca najważniejszej modlitwy żydowskiej, OSIEMNASTU BŁOGOSŁAWIEŃSTW, którą każdy Żyd powinien trzy razy dziennie odmawiać. Sławnych rabinów było w tym czasie wielu, na przykład świetny negocjator Jehoszua ben Chanania, rabbi Tarfon, który już prawie przed dwoma tysiącami lat opowiedział się przeciw karze śmierci. Uczniem jego był najśłynniejszy ze wszystkich Akiba ben Józef, twórca układu MISZNY.

Jego postać została utrwalona w tysiącu legend i anegdot, od sławnego powiedzenia *wszystko już było* po palmę, na którą zaczął się wspinać, bo siedziała na niej ładna dziewczyna. Oczywiście, był to Szatan. Przypisano też Akibie niezliczone przygody i niezliczone mądrości. Rzeczywiście, zdobył wielkie bogactwo i autorytet, a w końcu długiego życia i koronę męczeńską – bowiem ogłosił Bar Kochbę mesjaszem i został przez Rzymian obdarty ze skóry. W perypetiach Akiby dużą rolę grają kobiety, a szczególnie jego własna żona. Ale to wszystko jest tematem na osobną książkę, których zresztą o Akibie, wzorze mędrca, już nie mało napisano.

Po jego śmierci i upadku powstania Bar Kochby przyszły nauczonych mężów ciężkie czasy. Akademię w Jawne zamknięto i spalono, ranni musieli się ukrywać. Przyszedł czas tanna-itów trzeciej generacji, takich jak rabbi Meir i jego mądra żona Beruria. Mędracy przenieśli się teraz na północ, do górzystej Galilei, ale też wywędrowali do Babilonu. W 140 roku zniesiono najdotkliwsze dekrety antyżydowskie cezara Hadriana i zwołano synod rabinów w Uszy,

w której następnie otworzono akademię. Spośród bezliku uczonych i legendarnych rabinów na szczególną uwagę zasługuje tajemnicza postać rabiego Szymona bar Jochaja.

Tajemnicza dlatego, że w tysiąc lat później przypisano mu autorstwo ZOHARU, głównego dzieła Kabały, a więc łącznika między judaizmem a New Age. Do sprawy tej wrócę później. Rzecz jest o tyle dziwna, że ZOHAR jest skrajnie ezoteryczny, a sam Szymon bar Jochaj był podobno, przynajmniej według Graetza, względnym racjonalistą. Tyloch jednak wspomina o nim, że cieszył się sławą cudotwórcy. Bar Jochaj był uczniem Akiby, a wykładał w wiosce Pekoa vel Pequin. To ta jedyna w Izraelu miejscowość, w której zawsze, przez dwa tysiące lat od zburzenia Świątyni, mieszkali Żydzi. Szymon był zajadłym przeciwnikiem Rzymian, stąd po upadku ostatniego żydowskiego powstania musiał się ukrywać. Razem ze swoim synem Elazarem ukrywał się w jaskini przez trzynaście lat i tam właśnie miał napisać KSIĘGĘ BLASKU. Jaskinia zachowała się, odnaleziono ją w pobliżu wioski Pekoa. Zachował się też grób Szymona w Meron, gdzie co roku odbywają się uroczystości w rocznicę jego śmierci. Racjonalista czy nie, w każdym razie mawiał: *Mogę uwolnić cały świat od sądu, od dnia, w którym zostałem stworzony, aż do teraz. I różne inne, raczej dziwne rzeczy. Na przykład: Rozkazuję temu, co jest na górze, aby zstąpiło, a temu, co jest na dole, aby się wzniosło...* Rozkazuję?

Opowiadano o nim, że mógł spojrzeniem wzniecać płomienie i zabijać, i że głos z nieba, *bat kol*, musiał wtedy interweniować. Opowiadano, że w jaskini wytrysnęło źródło i że w jedną noc wyrosło tam drzewo świętojańskie. W ogóle opowieści o nim i jego synu Elazarze, zwanym „ocet, syn wina”, są wyjątkowo malownicze.

Uczniem Szymona bar Jochaja był ostateczny twórca MISZNY, Juda ha-Nasi, o którym już mówiłem. Tu się kończy relacja GEMARY. Ale sama GEMARA powstawała jeszcze przez wieki w Judei i w Babilonii. Akademia z Uszy przeniosła się do Seforis, a stamtąd do Tyberiady. Juda ha-Nasi, przy wszystkich swych wielkich zasługach, był chimeryczny i podejrzliwy, nosił podobnie jak jego poprzednicy tytuł patriarchy. Patriarchą był także jego wnuk Juda II Nesija, a ostatnim patriarchą był jeszcze w 425 roku *rabban* Gamaliel V. Szkoły jednakże podupadły, z uczonych najgodniejszy uwagi był chyba Hillel II w IV wieku, autor reformy kalendarza. W epoce amoraistów, twórców GEMARY, MISZNA cieszyła się autorytetem prawie równym samemu PISMU ŚWIĘTEMU i była równie szczegółowo interpretowana. To podniosło komplikacje TALMUDU na jeszcze wyższe piętro, ale gros pracy wykonano w żydowskim Babilonie.

Można mówić o żydowskim Babilonie, skoro Żydzi mieszkali tam, co prawda początkowo po niewoli, już od siódmego wieku p.n.e. i w pewnych rejonach kraju stanowili po prostu większość. Było to zresztą niedaleko od samej Judei, drogi były przetarte i dobrze znane, prowadziły początkowo przez wzgórza Golanu i przełęcz Hermonu, potem docierały do Eufratu, a stąd wiodły na południe. Właśnie na południu, gdzie Eufrat zbliża się do Tygrysu, na żyznej równinie przeciętej siecią kanałów łączących obie rzeki, rozłożyły się miasta żydowskie w gajach daktylowych. Palma daktylowa jest do dzisiaj symbolem tej krainy i główną rośliną uprawną, daktyle są też tematem starożydowskich przysłów i dowcipów. Gdzieś tu niedaleko leżało Ur, skąd wyruszył Abraham, ale pewnie już wtedy było zapomnianym pagórkami przysypanym piaskiem.

O Abrahamie i Ur raczej głucho w późniejszych świętych pismach, ja w każdym razie nie natknąłem się na opinię, że to przecież najpierwotniejsza z żydowskich ojczyzn. Zresztą spotkałem się z trochę szczególną tradycją, w myśl której owo sławne biblijne „Ur Chaldejczyków” miałyby leżeć w zupełnie innym miejscu. Oto w górach na północy Mezopotamii istniały królestwa Kommagena i Osroene, ze stolicą Edessą. Ta Edessa, miasto bardzo sławne w różnych okresach dziejów, a bezsprzecznie prastare, nosi także inną nazwę, podobno starszą: Urfa. Wedle lokalnej tradycji to tu miał się urodzić Abraham, w mieście króla Nemroda, który wedle starych legend czyhał na jego głowę. Więcej, to tu pokazują grotę narodzin Abraha-

ma, cel pobożnych wycieczek, i stawy Abrahama i inne miejsca z nim związane. I do Charanu, pierwszego etapu wędrówki, jest stąd niedaleko. Cóż, siedem miast greckich spierało się, w którym z nich urodził się Homer, niech Abrahamowi bodaj dwa przypadną w udziale.

Żydzi mieszkali głównie w kilku miastach nad Eufratem, w Nehardei, Pumbedicie, Anbarze, Surze i Machuzie pod Ktezyfonem. Nigdy nie byłem w tych miastach, zresztą nie był w nich nikt ze współczesnych, bo ich po prostu w ogóle nie ma. Ale w swoim czasie miały własną indywidualność i własną odrębność. Pumbeditańczycy uchodzili za bystrych, ale przebiegłych i niebezpiecznych, natomiast w to, że mieszkali w pałacach, wolno wątpić. Było w tych czasach przysłowie: Lepiej mieszkać na gnojowiskach Sury niż w pałacach Pumbedity, co zresztą dziwnie przypomina nasze: Lepsze polskie gówno w polu niż fijołki w Neapolu. W obu przysłowiacz jest ten sam patriotyzm lokalny. Jak wiadomo, architektura nie była najmocniejszą stroną Żydów. Świątynię, podobnie zresztą jak Wawel, budowali importowani cudzoziemcy.

Spółeczność żydowska rządziła się sama, dysponując znaczną autonomią. Na jej czele stał eksilarcha, czyli księżę wygnania, a po aramejsku *resz galuta*; *galuta* znaczy diaspora. Był to wielki pan, odziany w jedwabny płaszcz i złoty pas. Południowa Babilonia była bezspornym centrum żydowskiego świata, a nawet pewnie i nie tylko żydowskiego. Oczywiście, dla nas centrum świata była zachodnia Europa... Chociaż w głębokiej, ale nie głębszej niż TALMUD przeszłości, też przywędrowaliśmy na naszą ziemię. I gdybyśmy byli Żydami, zapewne pamiętalibyśmy skąd. Dla Żydów takim centrum nie była, oczywiście, Babilonia. Wszak TALMUD powiada, że na początku została stworzona Ziemia Święta, a dokładniej ta właśnie Skala, na której potem postawiono Świątynię. Jakże się więc dziwić, że młodzi Żydzi przyjeżdżali do szkół w Palestynie nawet wtedy, kiedy u siebie, w Babilonii, mieli już lepsze?

Fundatorami GEMARY babilońskiej byli Abba Areka o przydomku Raw i Samuel, rektor szkoły w Nehardei, a była to pierwsza połowa trzeciego wieku p.n.e. Szkoła Rawa, *sidra*, liczyła sobie podobno tysiąc dwustu słuchaczy, a sam Raw był nadzorcą handlowym, więc bardzo bogatym człowiekiem. Rezydował w Surze i właśnie on założył tę sławną szkołę, a stał się autorem modlitw odmawianych przez Żydów do dzisiaj. Następcą Rawa w Surze był rabbi Huna, a gdy szkołę w Nehardei zniszczył najazd Odenata z Palmiry, konkurencyjna uczelnia powstała w Pumbedicie. Najwyższe jej triumfy przypadają na początek czwartego wieku, za czasów Rabba bar Nachmaniego. Po nim rządy objął jego bratanek, Abaja, który wraz z rabinami swojego pokolenia stworzył dialektyczną metodę TALMUDU. Odtąd właśnie można mówić o wyspecjalizowanych talmudystach. Ostatnie pokolenie amoraitów to Raw Aszi, Rabina i Joze. Jest schyłek piątego wieku i zaczynają się nie znane prawie dotąd prześladowania Żydów w Babilonii. W konsekwencji zaczyna się więc emigracja do Indii i Chin, ale tymczasem król perski Firuz umiera w roku 485 i można wreszcie ukończyć GEMARĘ. W roku 500 TALMUD jest ukończony.

Prostoduszny Polak jest znowu zaskoczony, że o tych sprawach i uczonych tak dużo wiadomo: jak wyglądali, jakie mieli charaktery i przygody, że jeden był święty, a drugi pazerny i złodziejaskowaty, jaką śmiercią pomarli i tak dalej. Ale z punktu widzenia Żydów to już czasy nieomalże współczesne. TALMUD nie był jedyną księgą powstającą w Babilonii, żyli tam przecież bardzo liczni żydowscy kronikarze i historycy. Źródeł jest wiele. A nawiasem mówiąc, Babilonia już od czasów niepamiętnych stała się po prostu Persją, chociaż niezupełnie jest nią dzisiaj, ponieważ należy do arabskiego Iraku.

Nie wiem, czy Żydzi roku pięćsetnego jakoś specjalnie świętowali zakończenie redagowania TALMUDU. Pewnie nie, bo takie dzieła nigdy definitywnie nie są ukończone i zresztą jeszcze długo miało przybywać dopełnień i midrasz. Ale właściwie prawie natychmiast, bo już w roku 553, bizantyjski basileus Justynian wydał potępiający go edykt, a był to początek prześladowań KSIĘGI, których było tak wiele, że nie ma sensu ich wyliczać. To prawda, że w TALMUDZIE, jak w każdym dziele zbiorowym, można znaleźć różności, które się przez tysiąc

lat nagromadziły. Majer Bałaban słusznie powiada: *Cytowano zeń zdania zrozpaczonych i ściganych, sentencje wypowiedane w czasie wojny i przed skonem na stosie i wysnuwano z nich zarzuty nietolerancji i niższości etycznej żydostwa.*

TALMUD był orężem intelektualnym, ale przeznaczonym wyłącznie do „użytku wewnętrznego”. Oczywiście, nie jest prawdą, że wyraża przede wszystkim jakieś ksenofobiczne tendencje. Są one raczej w zdecydowanej mniejszości, całość ma jednak wymiar uniwersalny. Ale równocześnie był skierowany wyłącznie do Żydów, określał ich powinności wobec świata, a nie świata wobec nich. I może to był błąd? Przemawiał nie do ludzi w ogóle, ale do tych szczególnych ludzi, którzy byli Żydami. To zrozumiałe: jeśli była jakaś szczególna epoka TALMUDU, to składała się w największej mierze z prześladowań. Żeby więc przetrwać, „ogrodzenie wokół TORY” musiało być szczelne. I było, może aż nadto. Wzniesione na fundamencie absolutnej wiary, nie mogło trafić ani do goja, ani do niedowiarka. Stało się zresztą obyczajem utwierdzonym sankcją grzechu, zdrady wobec Boga i gehenny.

A *goim* nie mogli przecież przyjąć, że pięć białych włosków na czerwonej jałowce nie dyskwalifikuje jej jako ofiary, ale już siedem – to tak. Że Bóg czyha na jedną zapomnianą grudkę zakwaszonego chleba podczas Paschy, zsyłając za to klątwy do entego pokolenia. Że daje się równocześnie łatwo oszukać, bo skoro napisano, iż w szabat wolno podróżować wyłącznie „na wodzie”, czyli statkiem, to wystarczy usiąść na butelce z wodą, żeby już można było jechać, gdzie się chce. A takie wykładnie TORY TALMUD umożliwił, bo zresztą musiał. A skądinąd był taką żydowską Złotą Legendą, tyle w nim cudowności i po prawdzie czarów, tyle dziwów i nieprawdopodobieństw... Wszystko to jednak mogło przemawiać wyłącznie do człowieka będącego po tej wewnętrznej stronie ogrodzenia. Więc Żyd i goj jedynie spoglądali ponad nim na siebie z ciekawością, rzadko z miłością, daleko częściej z nienawiścią. Ale chyba nigdy obojętnie.

Gaonat – żydowskie papieństwo

Mezopotamia, dzisiejszy Irak, przedstawiała sobą niesłychaną mozaikę narodów i religii. A w jakiejś mierze jest nią do dzisiaj, nie wszystko bowiem pochłonął islam. Pierwsze tysiąclecia należały do Sumerów, potem przyszli Akadowie, nie licząc drobniejszych i krótszych najazdów z zewnątrz, potem przez całe wieki toczyły się wojny między Babilonem i Asyryjczykami. A przecież pomniejszych państw, plemion, narodowości i odrębnych miast było tu zawsze co niemiara: Hetyci, Hurri, Mitanni, Mari – wielu z nich nadal nie znamy, a wielu nie poznamy już nigdy. Potem byli Persowie i Grecy, potem znowu Persowie zwani Partami, wojujący z Rzymem, potem od trzeciego wieku naszej ery Sasanidzi. Aż do czasów Mahometa panował tu w zasadzie zoroastryzm w przeróżnych sektach i odmianach, jak na przykład „komunistyczna” rewolucja Mazdaka i tak dalej, i dalej. Żydzi wkomponowali się w owo tło znakomicie, a chociaż i tam bywali gnębieni, nie stanowiło to przecież reguły. W każdym razie GEMARĘ ukończono, skończył się czas amoraistów, zastrzeżono, że do właściwego TALMUDU nic już dodawać nie wolno, ale przecież i po roku 500 naszej ery powstawały uzupełnienia – midrasze. Ci, którzy je pisali, zwali się teraz *sawuraim*, to znaczy wygłaszającymi swe zdanie. Tak trwało przez całe szóste stulecie. Tymczasem zaszły ważne wydarzenia. Kiedy król Kawadh I przyjął ideologię Mazdaka, jął prześladować innowierców. Zoroastryzm w ogóle głosił zwycięstwo dobra nad złem, a potępiał posiadanie. Tak to już jest w historii, że im szczytniejsze hasła, tym gorzej dla ludzi.

Otóż Żydzi tym razem zbuntowali się czynnie. Na ich czele stanął młody eksilarcha Mar-Sutra II, odparł wojska Kawadha I i w ogóle go przepędził z Babilonii żydowskiej. Przez siedem lat istniało niepodległe państewko żydowskie, po czym Persowie pokonali eksilarchę i stracili go z rodziną na moście w Machuzie. Machuza była nieco późniejszym ośrodkiem żydowskim, położonym nie bardzo wiadomo gdzie. Niektórzy twierdzą, że leżała na miejscu jednej ze stolic perskich, Ktezyfonu. Ale i Ktezyfon od dawna leżał w ruinie. Otóż w tej Machuzie był most służący za miejsce straceń albo krzyżowania zwłok. Akademie talmudyczne zamknięto ponownie, ale tym razem nie na długo, bo Kawadh umarł, a na tron wstąpił Chosroes Nuszyrwan (531–579), który wstrzymał prześladowania, a uczelnie w Surze i Pumbedicie otwarto ponownie. Przypomnijmy sobie, że kilkaset lat przedtem podobne żydowskie powstanie doprowadziło w pobliskiej Nehardei także do podobnego rezultatu, czyli zyskania niepodległości na niedługi okres.

Równocześnie zaszło coś bardzo istotnego: oto Justynian zlikwidował ostatnią szkołę ateńską, jej wykładowcy schronili się w Persji Nuszyrwana, a pod ich wpływem żydowscy uczeni uzupełnili alfabet zgłoskowy o samogłoski. Nieco później podobny, ale doskonalszy system opracowano w Tyberiadzie.

Po śmierci Nuszyrwana na tron wstąpił Hormuz, znowu dla Żydów niełaskawy. Nawiasem mówiąc, dla tego Hormuza czy Hormizdasa, jak głosi jeden z przekazów, jego doradca i preceptor Buzurdż-Mihir wynalazł szachy. Podobno. Ale Żydom znów pozamykano ich akademie, na co odpowiedzieli poparciem skutecznego buntu przeciw królowi. Skutecznego, ale krótkotrwałego. Zbyteczne mówić, że akademie w Surze i Pumbedicie na zmianę to zamykano, to otwierano. Tym razem zbuntował się wódz Hormizdasa, Bahram Czubin, zabijając króla i zajmując jego miejsce. Poparcie dla Bahrama Żydzi przyplacili rzezią, ale po zwycię-

stwie Chosroes II, syn Hormizdasa, nie mścił się więcej i przywrócił normalne, tolerancyjne stosunki. Były to już ostatnie lata perskiej dominacji. Mezopotamia, jak i cały Bliski Wschód, jeszcze raz zmieniała suwerena. W 622 roku nastąpiła sławna ucieczka Mahometa z Mekki do Medyny – *hidzra* – i początek ery islamu.

Żydzi w Arabii mieszkali od niepamiętnych czasów, być może od dni Jozuego, a może Dawida – tak przynajmniej mówi ich tradycja. Podczas późniejszych licznych wojen i najazdów także znalazło się ich tam wielu, połączyli się z Arabami, tworząc arabsko-żydowskie plemiona, na przykład słynnych Kurajszytów. Ośrodkiem żydowskim było miasto Jatrib, czyli Medyna, i leżące na północ od niej prawie czysto żydowskie ziemie Chajbaru. Ale i bardziej na południu Półwyspu Arabskiego, w Jemenie, Żydzi byli bardzo liczni, lecz nie tworzyli organizacji państwowej. Za to potrafili w pewnym momencie, na przełomie piątego i szóstego wieku, nawrócić na judaizm wiele plemion arabskich, a nawet jednego z królów Jemenu Abu Karibę oraz jego następców. W każdym razie tradycje żydowskie i arabskie od dawna łączyły się ze sobą. Spadkobiercą tych tradycji był właśnie Mahomet, a cały islam, podobnie zresztą jak i chrześcijaństwo, uważają Żydzi za sektę judaizmu.

Hidzra przywiodła Mahometa do Medyny, a więc żydowskiego centrum. I Mahomet zwracał się początkowo właśnie do Żydów, którzy popełnili wtedy śmiertelny błąd: po prostu go wysmiali i stanęli po stronie jego wrogów. W konsekwencji pierwsze uderzenie Mahometa dotyczyło właśnie Żydów, zarówno teoretycznie: słynna sura KORANU – KROWA, jak i militarnie: wojna z Kurajszytami, z innymi plemionami, pokonanie krainy Chajbar, a wszędzie tam Żydzi stanowili najzjadlejszych wrogów Proroka. Chociaż sam Mahomet zmarł w roku 632, islam jak ogień ogarnął w niewiele lat Azję, Afrykę i krańce Europy.

W 636 roku drugi kalif Omar zajął bizantyjską Palestynę, zdobył Jerozolimę i nazwał ją *al-Kuds* – Świętą. Postanowił tam wybudować meczet, zwany dziś nieściśle meczetem Omara albo Na Skale, i w tym celu zwrócił się do patriarchy jerozolimskiego Sofroniusza o wskazanie najświętszego miejsca. Był tam w tym czasie śmietnik. Historyk Graetz natomiast utrzymuje, że były to tylko szczątki jakichś dawnych budowli izraelskich, a biskup Sofroniusz zdrwił sobie z Omara. Ale przecież w tym właśnie miejscu zbierali się Żydzi na modlitwy, podobnie jak dzisiaj przed Ścianą Płaczu, a dokładne miejsce Świętego Świętych także i dzisiaj nie jest znane. W każdym razie Żydzi nie zaprzyjaźnili się nigdy z meczetem, a wolno mniemać, że taki sam los grozi dzisiaj krzyżowi oświęcimskiemu.

Państwo perskie runęło mniej więcej w tym samym czasie, przy walnej pomocy i chrześcijan, i Żydów. Eksilarcha Bostanaj został nagrodzony wziętą do niewoli córką króla perskiego i licznymi przywilejami. A małżeństwo z królowną miało ważne konsekwencje w przyszłości. Żydzi następnie wzięli stronę kalifa Alego, wpisując się w ten sposób w tradycję szycką. Podczas wielkiego hołdu w roku 658 rektor surański zyskał tytuł gaona, czyli dostojnika, odtąd przez kilkaset lat najwyższy tytuł w żydowskim świecie. Jeśli eksilarcha był przywódcą świeckim, to gaon był najwyższym autorytetem prawnym i religijnym, czymś w rodzaju papieża, i ten autorytet rozciągał się na cały ówczesny świat. Z pierwszym gaonem Mar-Izaakiem rozpoczyna się nowa epoka, zwana epoką gaonów, która miała trwać do jedenastego wieku.

Za gaona i eksilarchę modlili się Żydzi na całym świecie, więc nawet wówczas mieli ze sobą jakieś dość ściśle kontakty, skoro z całego świata ściągali studenci do Sury i napływały zapytania w kwestiach religijnych. Na zgromadzeniach zwanych *kalla* – złożonych z gaona, najwyższego sędziego i siedmiu profesorów, rozstrzygano przedłożone kwestie i odpowiadano na zadawane pytania. Te odpowiedzi gaonów, czyli TESZUBOT GAONIM, złożyły się przez wieki na bogaty zbiór talmudyczny. Żydzi zawsze wymykali się szczelnym strukturom społecznym, zawsze byli do nich niezupełnie dopasowani, a że byli zawołanymi podróżnikami, więc ich możliwości i kontakty były przeogromne. Przez morza i góry, przez granice państw i kultur, przez wojenne fronty przemierzali niezmiernie przestrzeń świata, uprawiając handel i przenosząc wiadomości.

Czym handlowali? Z bogatego Wschodu wieźli jedwabie, przyprawy i klejnoty, a z Zachodu, trzeba i to powiedzieć, żywy towar – niewolników; Przy okazji wymieniali informacje. Tak więc rozproszeni po świecie Żydzi mogli się doskonale orientować, gdzie były centra ich nauki i religii, jakie autorytety rozstrzygną ich ewentualne wątpliwości i gdzie sami mogą się także udać. Podróże w świecie średniowiecznym nie były łatwe, były jednak możliwe.

A przecież to w Mezopotamii–Babilonii–Persji kształtował się także modlitewnik i liturgia żydowska. Klasyczne psalmy i halachy MISZNY zostały uzupełnione przez twórczość poetycką chwalejącą Boga i oplakującą nieszczęścia narodu. Odrodzenie poezji nastąpiło pod wpływem twórczości arabskiej, ale impuls musiał być jeszcze grecki, tak jak greckie było nazwanie. *Poiesis* zwała się teraz u Żydów *pijut*, a poeci *pajtanim*. Byli wcale liczni, bo około czterystu, a pewnie i tak o większości zapomniano. Zresztą znawcy wyrażają się o tej twórczości arabsko-żydowskiej dość kwaśno. Najbardziej znanymi twórcami synagogalnymi byli Jose ben Jose Hajathom, który opisywał dawne obrzędy wierszem jeszcze nierymowanym, i pierwszy autor tekstów rymowanych Eleazar Kalir – twórca hymnów liturgicznych, pieśni żałobnych i pokutnych. Były to podobno wierszydła dziwaczne, które mimo to zrobiły światową, oczywiście w kręgach żydowskich, karierę. Sława Babilonii stawała się isticie legendarna.

Rzeczywistość widziana z bliska była odrobinę mniej budująca. Ród eksilarchy Bostanaja został podzielony. Poszło o syna owej królowy perskiej, którego przyrodni bracia nie chcieli uznać, a nawet zamierzali sprzedać w niewolę. Do tego jednak nie doszło, ale jego potomkom odmawiano pełni praw. Poza tym tytuł gaona był zastrzeżony dla rektora akademii w Surze, czego nie chciała uznać konkurencyjna Pumbedita. Rywalizacja, a po prawdzie i wojna między uczonymi rabinami, trwała całe stulecia i raz jedni, raz drudzy brali górę. Wreszcie w dziewiątym wieku zwycięstwo uśmiechnęło się do Pumbedity, być może dlatego, że leżała bliżej stołecznego Bagdadu i że kalifowie zaczęli ograniczać władzę eksilarchy związanego z Surą. Rektor Pumbedity uzyskał wreszcie tytuł gaona i to nie on jeździł do eksilarchy z Sury, ale eksilarcha przyjeżdżał z hołdem do gaona Pumbedity.

Obie akademie stały niezłomnie na straży TALMUDU. Bo stopniowo TALMUD zyskał większe znaczenie niż samo PISMO ŚWIĘTE, co oznaczało, że najdrobniejsze szczegóły obrzędowe i liturgiczne miały być literalnie zachowywane. Za ich przekroczenie groziło potępienie wieczne, a w życiu doczesnym klątwa. Była to straszna broń, godząca nie tylko w winowajcę, ale i jego rodzinę. Żydowski *cherem* był bodaj jeszcze groźniejszy niż klątwa chrześcijańska, bo powodował zupełną izolację przekłętogo, za czym szły miazdzące skutki praktyczne. Tymczasem wymagania talmudyczne rozciągały się na wszystkie dziedziny życia, decydując o każdym kroku, o każdej godzinie życia. Przy czym raczej nie chodziło o same przekonania, ale o zrytualizowaną bez reszty praktykę życia codziennego. Naukowe dociekania i uzasadnione wątpliwości zamarły całkiem – tak przynajmniej piszą żydowscy historycy. Ale przecież i przedtem, i potem także przestrzegano bardzo rygorystycznie litery prawa, stąd wnoszę, że i ta epoka historyczna nie była zupełnie pod tym względem wyjątkowa.

Autorytetu gaona ani eksilarchy nie uznawały gminy palestyńskie skupione wokół akademii w Tyberiadzie. Nie szło naturalnie o samą naukę, ale o raczej ambicjonalne. A w ogóle badania naukowe i za nimi autorytet jeły się przenosić do Kairuanu w Tunezji i do Egiptu. Ale i w samej Babilonii-Persji zaszły tymczasem wydarzenia rzutujące w daleką przyszłość. Jako przygrywkę przed burzą można potraktować wystąpienia dwóch fałszywych mesjaszy, oba pod hasłem zerwania z TALMUDEM. Pierwszym był Serene (720), który obiecywał Żydom odzyskanie Ziemi Świętej, zniósł wiele talmudycznych zakazów, między innymi pokarmowe, i zebrał licznych zwolenników, nawet z Hiszpanii. Poniósł jednak klęskę, został schwytyany przez kalifa Jezida i oddany Żydom dla ukarania. Trzydzieści lat później wystąpił Obadia Abu-Isa, czyli Ben Ishak, podając się za zwiastuna mesjaszowego, wniósł liczne zmiany do judaizmu talmudycznego i zebrał małą armię. Był to moment wielkich niepokojów w kalifa-

cie, zmiany dynastii Omajjadów na Abbasydów i bitwy pod Kerbelą (680). Abu-Isa poległ, a jego zwolennicy zostali ciężko ukarani. Sekta isawitów istniała jeszcze parę stuleci. Ale judaizm talmudyczny dopiero czekał największy chyba w całych dziejach wstrząs, narodziny karaizmu, którego wyznawców nazywamy karaimami.

Osobliwe drogi i esy-floresy kultur i narodów. Dziwnie mi trochę, kiedy wspomnę, że osobiście byłem po części uczniem głowy Kościoła karaimów, wielkiego orientalisty Ananiasza Zajączkowskiego na Uniwersytecie Warszawskim. Mówiło się, że ten kościół był już nieliczny i bardzo ubogi, że ograniczał się tylko do mieszkania profesora Zajączkowskiego. Ale przecież istniał. A profesor miał imię po twórcy karaizmu, Ananie ben Dawidzie z Basry.

Anan ben Dawid pochodził z rodu Bostanaja i miał zostać eksilarcą, ale sprzymierzyli się przeciw niemu dwaj bracia, z których jeden był gaonem w Surze, a drugi – w Pumbedicie. Oni właśnie wysunęli na stolec eksilarszy czwartego, najmłodszego brata, w rezultacie czego oba stronnictwa zaczęły szukać poparcia w Bagdadzie. Anan definitywnie przegrał i uciekł ze swoimi zwolennikami do Palestyny, słusznie nie spodziewając się po swoich braciach – jak to w rodzinie – niczego dobrego. Podobno te właśnie okoliczności sprawiły, że przeniósł uczucia rodzinne na sam TALMUD. Ale były także inne impulsy. Trwał przecież złoty okres kultury arabskiej, muzułmańskiej, w której, nawiasem mówiąc, działali także liczni uczeni i pisarze żydowscy. Otóż Arabowie prócz medycyny, matematyki i astronomii uprawiali też filozofię religii – *kallam*. Powstał ruch teozofii muzułmańskiej, tzw. muttakallaminów lub mutazilitów, racjonalistyczny i mistyczny zarazem, który miał poważnie wpłynąć na wyobrażenia karaimów.

Anan głosił powrót do PISMA ŚWIĘTEGO (co musi nam przypominać Lutra i reformację), a jego zasadą było: *Szukajcie pilnie w PIŚMIE*. Słowem, wszedł na szlaki niegdyś saducejskie, a sama nazwa pochodzi od słowa *quara* – czytanie. TALMUD był dla niego fałszowaniem TORY, wobec czego powyrzucał z obrzędów jedno, ale też przyjął drugie, proponując właściwie kolejną, własną wersję TALMUDU. Nie ma sensu wyliczać różnic, które dla Żydów mogły być bardzo istotne, a dla nas są bez najmniejszego znaczenia. Nie o poglądy wszak szło, a o rytuał, szczegóły obrzędów. Najbardziej malowniczy był zakaz zapalania jakiegokolwiek światła czy ognia w szabat, dzięki czemu karaimowie w sobotnie wieczory siedzieli całkiem po ciemku. Ale wszystko to miało ogromne konsekwencje.

Nastąpiło znaczne ożywienie prac nad samym PISMEM, prawie już zapomnianym przez talmudycznych rabbanitów. Rabbanitami, czyli czcicielami autorytetów, nazwali karaimowie ironicznie pozostałych żydów i nazwa się przyjęła. Historycy żydowscy niechętnie przyznają, że to ożywienie prac, także redakcyjnych, było wyłączną zasługą karaimów. A w ogóle Żydzi jako całość zawdzięczają karaimom ogromny impuls rozwojowy, co nie przeszkadza temu, że toczyli ze sobą ustawiczne wojny. Karaimowie też przeszli długą i trudną drogę, a w tej chwili są Kościołem zanikającym. Ale w ósmym, dziewiątym wieku mogło się wydawać, że pokonają rabbanitów, tak się nie tylko na Wschodzie, ale i w Hiszpanii karaimskie poglądy upowszechniły. Sam Anan ben Dawid wydał SEFER HA-MICWOT, czyli księgę przepisów religijnych. Ale Bnei Mikra, czyli „synowie PISMA”, jak zwano karaimów, mieli jeszcze jednego równie ważnego ojca duchowego. Był nim Beniamin ben Mose Nahawendi, który do judaizmu przeszczepił muzułmański mutazilizm. Bóg był do tego stopnia jedyne, wyłączny i duchowy, że osobiście nie mógł stworzyć świata czy objawiać się Mojżeszowi, ale musiał to czynić za pośrednictwem stworzonych wcześniej aniołów. Słowem, da się tu odnaleźć coś zbliżonego do teorii emanacyjnej Plotyna.

Wystąpienie Nahawendiego około roku 800–820 oddziało pono i na prawowiernych rabbanitów. Powstały opisy konkretyzujące Boga, mierzące go w tysiącach mil, opisujące wszystkie członki, brodę, penisa, nos i tak dalej. Wydaje się jednak, że obciążanie tym karaimów nie ma sensu, takie zapędy były już w talmudycznym dziele SZUR QOMA, czyli WYMIARY BOSKIEGO CIAŁA. Karaimowie właśnie wyśmiewali się z tego, że twarz boska ma

mieć od nosa do brody 5 tysięcy łokci. Współcześnie osądzono nawet, że nie jest to bynajmniej opis Boga, ale maszyny do robienia manny, czym miała być Arka Przymierza. Ale to jest jednak rezultat zastosowania kodu literowo-liczbowego, wysnutego z psalmu PAN NASZ JEST WIELKI. Tak samo tajemne imiona Boga, jak Achtriel, Adiriron, Zawodiel, Tazasz, Zoharariel, były hasłem otwierającym wrota rajy i jego ośmiu pałaców. Tajemnicza była postać księcia aniołów, Metatrona, niegdyś człowieka, Henocha, zamienionego przez Boga w ogień gorejący. Miał on być jakby małym Bogiem – co też znajdziemy w TALMUDZIE... Za piękne to wszystko, aby miało być prawdziwe, ale już kolejna teza gnostyków budzi naszą uwagę: każdy człowiek może być cudotwórcą, rzecz w znajomości właściwych środków. A to przecież jeden z wniosków New Age, że cud jest w zasięgu ręki każdego człowieka.

Ale i sam karaityzm rozmnożył się w bardzo liczne poglądy i sekty, związane z prawem i obowiązkiem indywidualnego badania PIĘCIOKSIĘGU. Byli więc akbaryci – wyznawcy Izmaela z Akbary, tyflisyci i baalbekici, różniący się głównie sposobem świętowania i szczegółami obrządku. Słowem, były to typowe objawy fermentu umysłowego, który panował na Wschodzie w dziewiątym wieku, właśnie wtedy, gdy Europa po mgnieniu „renesansu karolińskiego” pogrążyła się w najgłębszym mroku umysłowym i powszechnym chaosie. A był to mniej więcej czas niepiśmiennego kołodzieja Piasta. Czy często myślimy, jaki też mógł być horyzont umysłowy tego ojca pierwszej polskiej dynastii królewskiej?

A tymczasem karaita Abraham Józef Jakub Karkassani, wyjeżdżając z rodzinnego Bagdadu, zwiedził Persję, Medię, dalekie Indie i napisał po arabsku wiele różnorodnych dzieł, stając się ważnym autorytetem karaïmskim. Mojżesz i Aaron ben-Aszerowie, ojciec i syn, pisali wierszowaną gramatykę hebrajską, a także wzbogacali BIBLIĘ w samogłoski. A jeszcze był Salomon ben-Jerucham, a jeszcze chmara pośrednich. Klócili się o kalendarz, o to, czy nerki wołowe są koszerne czy też nie, czy należy świętować w sobotę, w piątek czy też w czwartek może, i o wiele innych równie ważnych kwestii. Problemom kalendarza oddał też duszę gaon palestyński Ben, który doprowadził do tego, że w Palestynie Paschę obchodzono w sobotę, ale w Babilonii, jak tradycyjnie Mezopotamię nazywano, we wtorek. Obserwując to wszystko, arabski poeta zauważył cierpko, że na świecie są tylko dwa rodzaje ludzi: *jedni mają rozum, ale nie mają wiary, drudzy wierzą, ale nie mają rozumu*.

Napisałiśmy wyżej, że w sporze akademii talmudycznych zwyciężyła Pumbedita. Tak, ale nie od razu. Przedtem jeszcze Sura przeżyła najwyższy wzlot w swej historii intelektualnej. Rektorat jej objął znakomity uczony, twórca filozofii religii, Saadia (czyli po arabsku Saaid) ben-Josef z egipskiego Fajum (892–942). Sura była już tak wynędzniała, że stanowisko gaona wakowało i nie było kogo na nie powołać. Wtedy eksilarcha Dawid ben Zakkaj, także już tylko cień niegdysiejszego dostojnika, zwrócił uwagę na młodego uczonego objeżdżającego Bliski Wschód rzemiennym dyszlem, a bawiącego właśnie w Aleppo. Saadia mimo młodego wieku był już znakomitością, gromił karaïmów i zmusił Ben Meira do rezygnacji z jego poglądów kalendarzowych. Ben Zakkaj zaproponował Saadii gaonat w Surze, który poprzednio sprawował jakiś skromny tkacz. Była to istna rewolucja, bo zajmowanie się nauką poza obrębem TALMUDU zostało przez obie akademie i sam TALMUD zgodnie zakazane. Teraz filozofię równouprawnione z TALMUDEM.

Saadia dokonał zmiany pokoleniowej na katedrach surańskich, przyciągnął studentów i natchnął nowymi ideami. Ale akademia surańska i cała babilońsko-arabska społeczność żydowska z jej eksilarcą i gaonami była już tylko gasnącym słońcem. Niezliczone intrygi sprawiły, że Saadia, skłócony z Ben Zakkajem, musiał Surę opuścić, chociaż ostatecznie do niej powrócił. Sprawie towarzyszył gąszcz intryg na dworze kalifa w Bagdadzie.

Saadia jest autorem licznych dzieł pisanych po arabsku, ale zaraz tłumaczonych na hebrajski, i tłumaczenia arabskiego BIBLI z komentarzami wykorzystującymi KORAN. Pisał też o MISZNIE i w ogóle TALMUDZIE, o prawie, o mistyce, ułożył słownik, lecz największe jego dzieło to EMUNOT W'DEOT, czyli WIARA I WIEDZA. Postawił tam tezę, że Bóg, mający trzy

przymioty: bytu, mądrości i potęgi – stworzył świat z niczego. Człowiek zaś ma poczucie zależności od Boga, co jest źródłem religii.

Saadia był ostatnim gaonem Sury, a Pumbedita miała około roku tysięcznego jeszcze gaona Szerirę, a potem jego syna Haję, pono potomków Dawida i Zorobabela, jak utrzymuje historyk Ibn Daud w dziele SEFER HAKABALA. Szerira stracił łaskę kalifa, został wzięty na tortury i powieszony za jedną rękę. Haja reprezentował ósme i ostatnie pokolenie gaonów. Po nim już tylko dwa lata gaonem i eksilarchą zarazem był Hiskja, także wkrótce uwięziony, torturowany i ścięty na krwawym moście Machuzy. Był to rok 1040.

Ale gaonat przeniósł się tymczasem gdzie indziej. Przede wszystkim najbliżej, czyli do Ziemi Świętej. Po podboju muzułmańskim chrześcijańskie zakazy, wywodzące się ze starych rzymskich czasów, straciły moc i Żydzi mogli wrócić do Jerozolimy. Zaraz też założyli w niej akademię talmudyczną. Może nie zaraz, bo zdobywca Jerozolimy, kalif Omar, wydał prawa przeciw Żydom i chrześcijanom, zakazujące wielu rzeczy, na przykład jazdy konnej czy noszenia sygnetu, a nakazujące noszenie żółtych chust i, naturalnie, płacenie wysokich podatków. Było to tak zwane „przymierze Omara”. Uczelnia powstała trochę później, z tytułem gaona i rodzajem sanhedrynu, ale nie zdobyła wielkiego autorytetu. Po roku czterdziestym, kiedy upadł ostatni gaonat babiloński, miała wprawdzie szansę rozwoju, ale niedługo to trwało – w 1072 roku Jerozolima została zdobyta przez Turków Seldżuków, academia przeniosła się do Tyru, a stamtąd na wieść o zbliżaniu się krzyżowców i ich okrucieństwach do Damaszku i Egiptu. Ostatni gaon Ebiatar zostawił dramatyczną kronikę HEGILATH EBIATAR.

A gaonat przenosił się wciąż dalej i dalej. Ibn Daud przytacza następującą legendę. Czterech uczonych płynęło pewnego razu po Morzu Śródziemnym, chociaż nie wiadomo skąd i dokąd, pewnie z Pumbedity, i statek wpadł w ręce korsarzy. Czterech uczonych sprzedano: do Kairuanu, do Aleksandrii i do Kordoby, a tam już oni założyli nowe szkoły. Miało to być w roku 960, niemal współcześnie z chrztem Polski. Legenda jest tylko legendą, tyle że szkoły w owych miejscowościach istniały już znacznie wcześniej.

Kairuan leży w Tunisie, a był wówczas stolicą samodzielnego emiratu Aghlabidów, podbitego w dziesiątym wieku przez Fatymidów, czyli potomków ukochanej córki Mahometa Fatimy. Żydzi byli tu od zawsze, a rzekomy jeniec tu sprzedany to rabbi Chusziel ben Elchanan, który podniósł szkołę kairuańską do poziomu światowego. Miejsce to miało być łącznikiem między gaonatem babilońskim a Hiszpanią. Wcześniej jeszcze wslawiło się podróżnikiem Eldadem ha Danim, który miał przekroczyć tajemniczą rzekę Sambatian i odnaleźć dziesięć zaginionych plemion Izraela, przeniesionych tu na obłoku. Ta legendarna i piekielna rzeka stanowi granicę nie do przejścia, atakując stojących nad nią ludzi. Eldad opowiadał o niej, *że pieni się kamieniami i piaskiem bez wody, a czyni to z tak okropnym hukiem i stukiem, że gdyby uderzyła nawet o górę z żelaza, rozbiłaby ją w kawały. Rzeka ta pieni się przez sześć dni powszednich kamieniami i piaskiem bez kropli wody, a w sobotę odpoczywa. W piątek z wieczora, gdy zbliża się dzień odpoczynku, pada na rzekę obłok i żaden człowiek nie może do niej przystąpić aż do wieczora sobotniego. Rzeka ta zwie się Sambatian, a my nazywamy ją Sabtinus.*

Nie wiem, czy Sambatian została wymyślona przez Eldada, czy też przejęta z jakiejś jeszcze starszej legendy, ale zrobiła ogromną karierę literacką i kulturową, jako „rzeka szabasowa”. Ciekawe niezmiernie, że jest w Polsce rzeka Szabasówka wypływająca na północ od Gór Świętokrzyskich, koło Szydłowca, a wpadająca do Radomki. Teraz to niemal rów odpływowy, przecinający spokojne łąki. Byłem tam: o ile wiem, żadnych nadzwyczajnych przymiotów Szabasówka nie posiada. Ale kto wie? Poza tym nie byłem tam w sobotę.

Drugim rzekomym jeńcem z roku dziewięćset sześćdziesiątego był rabbi Szemeryja ben Elchanan, sprzedany do Egiptu. Tak w istocie rzeczy to on po prostu z Egiptu pochodził, był synem rabina z Aleksandrii i statek oraz korsarze byli mu niepotrzebni, by dotrzeć do pobliskiego Kairu. Ale jest to zmiana wręcz symboliczna: Aleksandria przed wiekami była bodaj

największym miastem świata, a na pewno Egiptu. Teraz nowym, muzułmańskim, a zarazem żydowskim, centrum staje się Kair. Samo założenie Kairu wiąże się z Żydami. Fatymidzki kalif Almuiz miał sen, że jego gwiazda połączyła trzy inne gwiazdy. Mędracy arabscy na próżno starali się to wyłożyć i dopiero nadworny astrolog Paltiel z Orii wyjaśnił, że kalif podbije trzy kraje: Sycylię, Tunis i Egipt. Co się też sprawdziło, a Paltiel, jak przed tysiącami lat Józef, został nagidem, czyli księciem i zwierzchnikiem, a w praktyce pierwszym doradcą kalifa. Według jego rad przygotowano podbój Egiptu, a gdy zdobyto Fostatę, na miejscu odwiecznego Heliopolis, niedaleko piramid, zbudowano nowe miasto al-Kahira, czyli Kair. Władza i wpływy następców pierwszego nagida – Paltielia rozciągała się na gminy żydowskie w innych krajach, a szkoła kairska rywalizowała z jerozolimską.

W Egipcie podejmowane są właśnie próby pogodzenia rabbanitów z karaimami, zawierane są małżeństwa między nimi, a w *ketuba*, czyli umowach przedślubnych, zastrzega się, że jedno nie będzie zmuszało drugiego do jedzenia wątróbki, bo różnice w obu obrządkach do tego w praktyce się sprowadzały; karaimi byli znacznie od rabbanitów rygorystyczniejsi, jeśli idzie o koszerność potraw. Niestety, uroczyste zawarta ugoda nie była trwała.

W ogóle jednak współobecność Żydów w Egipcie nie ustała chyba nigdy. A już w czasach prawie współczesnych została udokumentowana niezwykłym odkryciem. W prastarej kairskiej synagodze odkryto *genizę*, czyli składzik świętej makulatury, której z szacunku nie wyrzucano. Prawdziwe biblioteki z biegiem czasu niszczone i palone, a tymczasem w *genizie* czas się zatrzymał. Wydobyto z niej tyle dokumentów, kronik i świadectw historii, że da się to porównać z później odkrytą biblioteką z Qumran. W tak długiej historii jak żydowska musiało się, prędzej czy później, wydarzyć wszystko i powtórzyć wszystko: przypomnijmy więc, że pierwszy zagubiony tekst, który wywarł znaczny wpływ na następne dzieje, odkryto już w VII wieku p.n.e., za czasów króla Jozjasza. Była to KSIĘGA POWTÓRZONEGO PRAWA.

A tymczasem gdy w Egipcie jedenastego i dwunastego wieku bujnie rozwijała się kultura żydowska, w Mezopotamii-Babilonii po upadku Sury i Pumbedity nie dzieje się nic. Dopiero w drugiej połowie dwunastego wieku Żydzi na tyle skonsolidowali się w Bagdadzie, że powstało aż dziesięć szkół i przywrócono nieco zatarte przez czas urzędy eksilarchy i gaonów. Eksilarcha jest tak jak niegdyś wielkim panem, ubiera się w jedwabie, jest w wielkich łaskach u kalifa, jego synagoga ma kolumny z marmuru i szczerozłote napisy. I oczywiście także tradycyjnie wojuje z gaonem. A właśnie w dwunastym wieku gaonem został Samuel ben Ali, także wielki pan i wszechstronny uczonec, który rywalizował o wpływy z największym uczonym w dziejach żydowskich – Moszem Majmonidesem z Hiszpanii, a potem z Egiptu. Ale sławniejszy od Samuela był inny człowiek mu współczesny: Dawid Al-Roi.

Dawid Al-Roi to kolejny żydowski mesjasz. Raczej legenda niż historia opowiada o nim, że pochodził z Azerbejdżanu i był przywódcą górali, to znaczy jakichś góralskich plemion żydowskich, ale też człowiekiem wykształconym, uczonym talmudystą i czarodziejem. Al-Roi ogłosił się mesjaszem i obiecał Żydom odzyskanie Ziemi Świętej, co spowodowało napływ ochotników. Uwięziony przez kalifa, wydostał się z więzienia i niewidzialny dla wszystkich poza kalifem, pojawił się w Bagdadzie. Zaniepokojeni działalnością Al-Roia szach perski i sułtan turecki uknuli spisek, w wyniku którego Al-Roi został zamordowany przez własnego teścia. Dzieje tego mesjasza wielokrotnie służyły za temat utworów literackich.

Po Samuele nie było już w Bagdadzie wielkich gaonów, chociaż jeszcze przez cały trzynasty wiek trochę o nich słyhać. Ale rok 1300 to rzeczywisty kres gaonatu. W Babilonii-Mezopotamii się zaczęło i tam się skończyło. Było nie było: gaon, czyli rektor akademii talmudycznej, był postacią centralną w całej diasporze żydowskiej od siódmego do trzynastego wieku; bagatelka, przez siedem stuleci. Gaonat trwał dłużej niż niejedno królestwo. Wprawdzie zmieniała się lokalizacja gaonatu, ale opiniotwórczy urząd, a zarazem najwyższy sąd duchowny, jednoczył Żydów aż do pełni europejskiego średniowiecza.

Oczywiście, Europejczycy nie-Żydzi pojęcia nie mieli, że powstaje jakieś centrum żydowskiego świata. To prawda, że dla *goim* mogło to mieć zgoła podrzędne znaczenie. Ba, któż w Niemczech, Czechach, Polsce lub Wielkiej Brytanii w ogóle rozeznawał się, w której stronie świata ta „Babilonia” leży! Żydzi jednak wiedzieli. Czy wszyscy? A który to z katolików nie słyszał nigdy o Rzymie i papieżu?

Beniamin z Tudeli, wielki podróżnik żydowsko-hiszpański z dwunastego wieku, opisując wciąż wielkie splendory gasnącego już bagdadzkiego gaonatu, cytuje sławne prorocstwo Jakuba z księgi GENESIS: *Nie będzie odjęte berło od Judy ani laska pasterska spośród kolan jego, aż przyjdzie Ten, do którego ono należy, i zdobędzie posłuch u narodów.*

(Nawiasem mówiąc, ten tekst jest bardzo rozmaicie tłumaczony, a i w oryginale nie jest w pełni zrozumiały.) Chrześcijanie widzą w nim prorocstwo dotyczące Chrystusa, muzułmanie – Mahometa, a Żydzi uważają, że Mesjasza jeszcze nie było. Ale dla Beniamina z Tudeli i jego współczesnych liczyła się, oczywiście, tylko część pierwsza prorocstwa, mówiąca o ciągłości władzy w rękach żydowskich. Nieco talmudycznie zapytajmy: władzy nad kim? Pewnie, że można zastosować interpretację rozszerzającą i odpowiedzieć, że nad wszystkim. Tak właśnie robili antysemita, oskarżając Żydów o wszelakie nieprawości. Ale przecież i opisywany gaon był podwładnym kalifa i w ogóle historia Żydów jest raczej historią ściganych niż ścigających. A TALMUD mówi wyraźnie: *Lepiej być ze ściganymi niż ze ścigającymi.* Dla mnie w sumie prorocstwo Jakubowe, jeśli potraktować je serio, albo odnosi się do pokoleń Izraela, albo stanowi zachętę do przodowania w jakiegokolwiek dziedzinie. Więc niczego zdrożnego w tym nie ma.

Samo istnienie gaonatu, opromienione wraz ze wzrastającą odległością coraz to piękniejszą aureolą, stanowiło dla średniowiecznych Żydów wielką pociechę. Chociaż wątpię, by dla ginących w Auschwitz ludzi wielką satysfakcję stanowiła świadomość, że amerykańscy Żydzi są bezpieczni, bogaci i wpływowi...

Chrześcijanie i Żydzi – dzieje nienawiści

Żydzi zawsze byli wędrowcami i można by rzec, że zawsze mieszkali wśród obcych, a okoliczności tak się ułożyły, że nowożytna diaspora zaczęła kształtować się bardzo wcześnie. Może nie była aż tak szacownie stara jak w Babilonii, gdzie długie wieki istniała synagoga Saf Jetiw. Jak głosi legenda, wybudowana została jeszcze na początku VI wieku przed naszą erą, w czasach uwięzionego przez Babilończyków króla Jehojakina, rzekomo z kamieni pochodzących ze zburzonej pierwszej Świątyni jerozolimskiej, które wygnańcy przynieśli ze sobą. Cóż, może to w jakiejś mierze jest i prawda. W końcu chłopcy polscy, wędrując za ocean, brali ze sobą garstkę ziemi ojczystej, mogli tak robić i Żydzi.

Równie prastare były związki z Egiptem. Mniej więcej od szóstego wieku p.n.e. istniała na południu, na wyspie Elefantynie, wojskowa osada żydowska i to z własną świątynią. Podobnie i później, w II wieku *ante Christum natum*, syn arcykapłana jerozolimskiego Oniasza III, też Oniasz, ale IV założył konkurencyjną świątynię w Leontopolis, zburzoną także przez Tytusa. Ale to już dotyczyło czasów klasycznych, a nawet hellenistycznych, dominacji kulturalnej Greków, kiedy Żydzi także byli praktycznie wszędzie. W 140 roku p.n.e. Sybilla tak się zwracała do narodu żydowskiego: *Cała ziemia jest ciebie pełna i całe morze.*

Jerozolima – jak Agrypa I konkretyzował wieszczą wizję Sybilli w liście do Kaliguli – jest metropolią nie tylko samego kraju judejskiego, lecz bardzo wielu innych krajów, a to z powodu kolonizatorów, których wysyłała przy każdej nadarzającej się okazji do krajów sąsiednich: do Egiptu, Fenicji, tak do Syrii, jak do tak zwanej Celesyrii, w dalsze okolice, do Pamfilii, Cylicji, do różnych części Azji aż do Bitynii i w najdalsze zakątki Pontu; podobnie w Europie do Tesalii, Beocji, Macedonii, Etolii, Argos, Attyki, Koryntu, a także w rozmaite najpiękniejsze zakątki Peloponezu. I nie tylko kontynenty pełne są kolonii żydowskich, lecz także ważniejsze wyspy: Eubea, Cypr, Kreta. Nie mówię już o krainach z tamtej strony Eufratu, ponieważ z wyjątkiem tylko nielicznych wszystkie satrapie, Babilonia i inne, które mają urodzajne terytoria, zamieszkane są w dużej mierze przez Żydów.

Agrypa, podobnie jak Flawiusz czy inni żydowscy pisarze starożytni, pisał to ze słuszną dumą. Przede wszystkim potwierdzało to zapowiedź Jehowy daną patriarchom o rozmnożeniu się narodu żydowskiego liczniej niż gwiazdy czy ziarnka piasku. A poza tym taka ekspansja nieźle świadczyła o zaradności, talentach i sile żywotnej Żydów. Starożytność była przyzwyczajona do kolonizacji w wielkim stylu. Rzymianie niezbyt entuzjastycznie wspominali kolonizację fenicką, bo z jej najpiękniejszym owocem, Kartaginą, musieli wszak stoczyć walkę na śmierć i życie. Ale już Wielka Kolonizacja Grecka, chociaż też rodziła gniewne poburkiwania Katonów, przyniosła całemu światu Śródziemnomorza ojkumene – trwałe podstawy cywilizacyjne i bezpieczną strefę wolnego handlu, o języku już nie mówiąc. Zauważmy, że słowa te zostały napisane, zanim doszło do upadku i zburzenia Jerozolimy, czyli przed rokiem siedemdziesiątym. Żydzi mieli jeszcze swoją ojczyznę! Mieli więc na czym się oprzeć, mieli, teoretycznie, gdzie wrócić, nie byli wygnańcami. Wraz z upadkiem wielkiego powstania roku siedemdziesiątego, a jeszcze bardziej po upadku powstania Bar Kochby w sześćdziesiąt lat później, wszystko się odmieniło. To znaczy, w samym życiu Żydów w diasporze nie zmieniło się nic i dawne przywileje pozostały w mocy, ale to, co było zwyczajną emigracją ekonomiczną, nagle stało się właśnie bezterminowym wygnaniem i całkowitą zależnością od innych. O tej

odmianie świadczy reakcja nieżydowskich mieszkańców Antiochii i Aleksandrii na upadek Świątyni jerozolimskiej: otóż zwrócili się oni do zwycięskiego Tytusa, żeby wypędził Żydów, a przynajmniej odebrał im prawa obywatelskie. Odpowiedź Tytusa przynosi mu zaszczyt: *Nie wypędza się ludzi, którzy nie mają dokąd wrócić*. Ale ta reakcja antiocheńczyków, poza tym, że rzuca smutne światło na naturę ludzką, objaśnia wiele na przyszłość. Jak mi się wydaje także, w pewnej mierze, pogrom kielecki.

Nawiasem mówiąc, Tytus zburzył także drugą, nie całkiem uznawaną w Jerozolimie świątynię w Leontopolis, w roku 73. Prawdopodobnie nie chciał powstania kolejnego ośrodka krystalizującego żydowski opór.

Zauważmy jednak rzecz interesującą. Świątynie chrześcijańskie, szczególnie katedry, budowano na ogół w miejscach kultów pogańskich. W wielu przypadkach były to miejsca aż zawrotnie stare, gdzie tradycje oddawania czci i składania ofiar sięgają w przeszłość na tysiące lat. Otóż wedle autorów New Age były to tak zwane miejsca mocy albo *vortex* (*vertex* = wir) i podobno to się nawet daje zmierzyć. Różne są wyjaśnienia tego stanu rzeczy, jedni mówią o samej dawności, o skumulowaniu ludzkich uczuć, inni o specyfice geologicznej. Chodzi o ewentualne skrzyżowania podziemnych cieków wodnych, może o linie uskoku geologicznych albo o jakąkolwiek inną szczególność elektromagnetyczną. Otóż synagogi nie mogły być, poza wyjątkami, lokowane w takich miejscach, bo chyba nie było ich już do dyspozycji. Świątynia jerozolimska – owszem, góra Moria była już za Jebusytów miejscem świętym i pewnie na długo przed Jebusytami. Ale i świątynia w Leontopolis także! Przecież Ptolemeusz VI dał Oniaszowi po prostu starą, zniszczoną świątynię egipską, więc było to odwieczne miejsce kultowe. A że do czasów Tytusa istniała jako świątynia żydowska już około trzystu lat, więc jej istnienie pod względem dawności mogło być porównywalne z Drugą Świątynią Zorobabela-Ezdrasza.

Wróćmy jednak do problemów diaspory. Uważne przyjrzenie się wyliczance Agrypy wskazuje, że Żydzi rozprzestrzerali się po prostu szlakami Greków, od Grecji kontynentalnej przez całą Jonie wyspiarską po tereny zdobyte przez wielkiego Macedończyka. Oczywiście, w Mezopotamii i Egipcie byli już wcześniej, ale chyba nie na tę skalę. Ciekawe, zważywszy, że między Grekami i Żydami panowała nieprzejezdna wrogość, co się potem z fatalnym skutkiem przeniosło na stosunki chrześcijańsko-żydowskie. Jak to się właściwie stało? Grecy i Żydzi byli podobni i o tym podobieństwie mówi się do dzisiaj. Podobna była ekspansywność, podobna ksenofobia, podobny zmysł do handlu, nawet pasja teologiczna Żydów przypominała pasję filozoficzną Greków. Oczywiście, nie może się to obyć bez komentarza.

Żydzi podobno właśnie od Greków nauczyli się handlu, co miało mieć miejsce w ptolemejskiej Aleksandrii. Trzeba to chyba między bajki włożyć. Już w KSIĘDZE RODZAJU są liczne dowody handlowych talentów żydowskich, a wiadomo także, że w jeszcze przedgreckiej Babilonii prosperowały znakomicie żydowskie domy handlowe. Pewnie, były w tradycji judaizmu nakazy ogromnie niepraktyczne dotyczące obrotu finansowego, ale te usunął Hillel, ustanawiając instytucję *prosbolu*. Może i pod wpływem Greków.

Mówiąc o wzajemnej wrogości, trzeba mieć i to na uwadze, że ogromnie liczni byli Żydzi, którzy chcieli „żyć po grecku”, a nie bardzo słyszało się o Grekach, którzy zdecydowałiby się „żyć po żydowsku”. Pewnie byli i tacy – prozelici judaizmu. Ale Grecy w świecie śródziemnomorskim byli zwycięzcami (do czasu), dlaczego mieliby przyjmować zwyczaje jakiejś mniejszości? Tym bardziej, że o wszystkich nie-Grekach mówili *hoj barbaroj*, co w efekcie przekształciło się w „barbarzyńców”, miano nie bardzo pojętne. Z punktu widzenia fundamentalistyczno-żydowskiego hellenizanci stanowili śmiertelne zagrożenie dla judaizmu. Dzień, w którym powstała SEPTUAGINTA – przekład TORY na grecki, był dniem uważanym za przeklęty, równy rocznicy spalenia Świątyni. I mieli cień racji: nie byłoby wprawdzie antysemityzmu, ale nie byłoby i Żydów. Może pozostałby „ucywilizowany” judaizm, ale nie byłoby narodu. Zresztą taki „poprawiony” judaizm istnieje naprawdę, a jest nim chrześcijań-

stwo. Zważywszy, że Żydzi mówili o niewiernych równie malowniczo *goim* – co może znaczyć „wrogowie Boga” – ja, który nie jestem ani Grekiem, ani Żydem, jestem i *ho barbaros*, i gojem za jednym zamachem... Czyli, najłagodniej, prymitywem i bezbożnikiem. *O Mater Misericordiae!*

Najprawdopodobniej o wrogości Żydów i Greków zdecydowała najzwyczajniejsza konkurencja. Głównie handlowa, skoro oba narody zajmowały się handlem, ale nie tylko. Także religijna, intelektualna, majątkowa i jeszcze Bóg raczy wiedzieć jaka. Grecy podobno nie interesowali się intelektualnymi osiągnięciami Żydów, tak samo jak Polacy, ale tak zupełna swoistość Żydów, ich odrębność, nie mogła nie być kamieniem obrazy. A jeśli Żyd częściowo przejmował obyczaje i mentalność hellenicką, to tym gorzej dla Żyda, bo jednak był Żydem. Całkiem fatalnie, gdy hellenizował się bez reszty, bo mimo wszystko jego przodkowie byli Żydami... Nasze „nie kupuj u Żyda” ma więc historię długą, a czy szacowną – to inna sprawa.

Zresztą jest i aspekt ogólniejszy. Niewielka mniejszość bywa na ogół tolerowana, a nawet uznawana za malowniczą. Duża mniejszość stanowi już konkurencję nazbyt niebezpieczną. Historia Żydów potwierdza tę regułę znakomicie: kiedy była ich w średniowiecznym mieście mała egzotyczna gromadka, wszystko było w porządku, a nawet byli przyjmowani wręcz z entuzjazmem. Kiedy tylko zaczęli praktykować miejscowe rzemiosła, zaczynało się występowanie o przywileje *de non tolerandis Judeis*, czyli o zakaz osiedlania się Żydów w danej miejscowości. W różnych czasach i miejscach podobne problemy dotyczyły Greków, Niemców, Cyganów i Ormian, ale chyba i wszystkich ewentualnych mniejszości.

Jak się zdaje, antysemityzm narodził się w Egipcie. Ale kiedy? BIBLIA mogłaby sugerować, że jeszcze w czasach Mojżesza, ale przecież w literaturze egipskiej nie przechowała się żadna wzmianka na ten temat. Po prostu całe WYJŚCIE, tak bardzo ważne dla Żydów, było z punktu widzenia państwa faraonów epizodem bez szczególniejszego znaczenia. Później Żydzi byli sąsiadami Egiptu i stosunki też były sąsiedzkie, to znaczy na ogół fatalne, ale raczej intensywne. W dawnej Babilonii nie było jednak antysemityzmu, dlaczego miałby istnieć akurat w Egipcie? Co prawda Paul Johnson pisze: *Oczywiste jest, że egipski antysemityzm pochodził z czasów poprzedzających grecki podbój Egiptu*, ale nie przytacza jakichkolwiek dowodów. Jeśli zaś dla egipskich intelektualistów biblijna wersja WYJŚCIA była, jak pisze, obraźliwa, to i cała sprawa musiała być, jeśli w ogóle była, mocno wtórna. Jacy egipscy intelektualiści mogli znać hebrajski? Znali przecież grecki.

Faktem natomiast jest, że pierwszy antyżydowski autor, Hekatajos z Abdery, był Grekiem, a żył już w czasach Aleksandra Macedońskiego. Uskarżał się właśnie na żydowski ekskluzywizm, który nazywał „niegościnnością”. Rzeczywiście, religijne prawa Żydów związane z pojęciem czystości i nieczystości rytualnej stanowiły, a w pewnej mierze stanowią i dzisiaj, fatalną przeszkodę natury towarzyskiej. Gościłem kiedyś polsko-żydowsko-amerykańską pisarkę, która mi powiedziała, że wierzący tradycyjnie Żyd nie przyszedłby do mnie na obiad, bo „zaraz by znalazł coś nie tak”. Ja osobiście nie miałem takich doświadczeń, ale moi przyjaciele Żydzi byli po prostu liberalnymi inteligentami. Ale sto lat temu to było problemem. Podobnie musiało być dwa tysiące lat temu.

Wszystkie jednak tropy prowadzą do Aleksandrii. Egipskiej, bo założonych przez Macedończyka miast o tym imieniu było znacznie więcej. To miasto, położone na półwyspie między Zatoką Abukirską a jeziorem Mareotis, wybudował jednak nie Aleksander, ale Ptolemeusz I, jeden z głównych dowódców Macedończyka, czyli diadochów, założyciel dynastii rządzącej Egiptem aż do Kleopatry, który zatrudnił architekta Deinokratesa z Macedonii, a do roboty spędził ludność z całego kraju, między innymi wielką liczbę Żydów. Z pięciu wielkich dzielnic Aleksandrii dwie były czysto żydowskie, a szczególnie dzielnica czwarta, zwana Deltą. Jej ośrodkiem była ogromna synagoga z dwoma rzędami marmurowych kolumn w stylu bazyliki. Zresztą w stylu bazylikowym budowano i synagogi, i pierwsze kościoły, a na-

wiasem mówiąc, tuż przed zburzeniem Świątyni jerozolimskiej wszystkich synagog było w świecie śródziemnomorskim trzysta dziewięćdziesiąt cztery.

Aleksandria była ogromnym ośrodkiem handlowym i kulturalnym starożytności konkurującym, jeśli idzie o liczbę mieszkańców przynajmniej, z samym Rzymem. Pod względem kulturalnym przez długie wieki była nieprześcigniona. To tu przecież mieściła się pierwsza pod względem znaczenia i największa w starożytności biblioteka. Tu działali Euklides, Demetrios z Faleronu, Eratostenes, Arystarch, Kallimach, Teokryt i cała plejada innych. Tu toczyło się nad wyraz ożywione życie religijno-filozoficzne, od Serapeum poczynając, przez Filona, Orygenesę aż po wielkiego Atanazego i złowieszczego Jerzego z Kapadocji. Przez lat siedemset była Aleksandria królową nauk, dopóki wzajemne walki różnych odłamów chrześcijaństwa, religii klasycznej i Żydów nie zniszczyły miasta i jego kultury. Kalif Omar, pałac Bibliotekę Aleksandryjską, przypieczętował tylko jego los. Stolica egipska, która przed podbojem Aleksandra była w Memfis, po podboju arabskim przeniosła się do nowego Kairu. Naturalnie sama Aleksandria już od sześciuset przeszło lat stolicą nie była; rządzono nią najpierw z Rzymu, potem z Konstantynopola. Ale przez prawie tysiąc lat była światową metropolią i – nawiasem mówiąc – najliczniejszym ośrodkiem żydowskim na świecie.

Ale to właśnie tutaj stosunki grecko-żydowskie były od początku najgorsze. Już w trzecim wieku Maneton polemizował z BIBLIĄ, przedstawiając WYJŚCIE z Egiptu jako wypędzenie kolonii trędowatych. Zarzucano także Żydom, że ich prawa nakazują liczenie się tylko ze współziomkami, a w stosunku do obcych – wrogość i nieuczciwość. Że nie mają realnych praw do Palestyny, bo są wiecznymi wędrowcami i przybłędami. Chyba szczytem wszystkiego było twierdzenie, że w Świętym Świętych czczą osłą głowę, nawet uprawiają ludożerstwo, a w każdym razie składają ofiary z ludzi, co zresztą w starożytności, ale nieco dawniejszej, nie było czymś tak bardzo nadzwyczajnym. Ifigenia miała być przecież taką ofiarą, którą zamierzał złożyć jej własny ojciec, Agamemnon. Na pewno składano ofiary z ludzi na Krecie, Kananejczycy i Fenicjanie składali ofiary z dzieci na ołtarzach Molocha, a w końcu i od Abrahama zażądał Jahwe ofiary z własnego syna. (Po prawdzie to my, Polacy, chyba jeszcze w dziesiątym wieku składaliśmy także ludzi w ofierze naszym bogom, jak o tym świadczą wykopaliska w Płocku i Mogielnicy.) Więc nieprzychylni Żydom Grecy mogli dać wiarę takim pomówieniom.

Wymyślił ten zarzut Apion, aleksandryjski gramatyk i retor z I wieku naszej ery, powtarzając to z uporem na placach Aleksandrii, a następnie publikując na piśmie, w towarzystwie już znanych opowieści antyżydowskich. Relacja o morderstwie rytualnym jest tak malownicza, że trzeba ją koniecznie zacytować. *Gdy Antioch Epifanes zajął Jerozolimę i wszedł do Świętego Świętych, zobaczył tam leżącego na kanapie Greka, przed którym stał stół zastawiony najwyszukańszymi przysmakami. Prerażony Grek opowiedział królowi, że go Żydzi schwytali i tutaj więżą, i tuczą, by go następnie zarznąć na Paschę. Nie jest on pierwszą ofiarą przewrotności żydowskiej, gdyż ta zbrodnia powtarza się każdego roku.* Wynikałoby z tego, że Żydzi są regularnymi ludożercami, skoro zależy im na utuczeniu ofiary. Zmyślenie to miało ogromnie długi żywot. W katedrze sandomierskiej po dziś dzień wisi malunek przedstawiający Żydów zabijających dziecko. Dziś jest to tylko przedmiot wesołości, ale w osiemnastym wieku traktowano chyba rzecz ogromnie serio. I to mimo tylu bulli papieskich i orzeczeń królów oczyszczających Żydów od takich podejrzeń. Bardzo antysemitowski Feliks Koneczny przyznaje wprawdzie, że Żydzi nie są ludożercami i że w TALMUDZIE i innych pismach nie ma śladu wzmianki na ten temat ale dodaje z nadzieją: *może jakaś sekta żydowska...*

Najciekawsza w tym wszystkim jest wiara, że coś takiego jest możliwe i to w odniesieniu do jednego z najbardziej subtelnych wierzeń świata. Chyba to świadczy, że krwawe ofiary, a nawet ludożerstwo, są w nas, ludziach, wciąż jeszcze obecne, my zaś tylko wierzymy, że to sprawka jakichś „innych”. Z wielkim pomieszaniem przyjmujemy informację, że społeczeń-

stwo prekolumbijskich Azteków jeszcze w szesnastym wieku uprawiało ludożerstwo na wielką skalę, więc dlaczego w takich Kielcach nie miano wierzyć, że Żydzi porwali chłopca w celach kulinarnych? Katedra sandomierska jest przecież niedaleko...

Cały stek bredni antyżydowskich powtórzył nieco później historyk rzymski Tacyt, dodając od siebie, że nazwa Judejczyków bierze się od góry Ida na Krecie, a nazwę Jerozolima nadali miastu homeryccy Solimowie. Osła zaś czczą, bo kiedy trędowatych wygnano z Egiptu, właśnie dzięki osły wskazały Mojżeszowi drogę do źródła. Natomiast na złość Amonowi zabijają barany i krowy, a świnie nie jedzą z obawy przed zagrażającym im tradycyjnie trądem... Trudno zgadnąć, dlaczego mądry przecież Tacyt opowiada takie dowcipy.

Te wszystkie ataki nie pozostały bez skutku. Podburzony tłum wielokrotnie atakował dzielnice żydowskie, niszczył i rabował synagogi. Żydzi także nie pozostawali bezczynni i tak rodziła się i trwała wojna domowa grecko-żydowska, początkowo w Aleksandrii, potem w innych miastach. Właściwie także wielką wojnę roku 66 można zinterpretować jako konflikt żydowsko-grecki. W czasach normalniejszych obie strony słały posły do cesarza, do Rzymu, który rozstrzygał spory raz tak, a raz inaczej. Na ogół były to rozstrzygnięcia przychylnie dla Żydów, ale nie zawsze. Słynne poselstwo do Kaliguli zakończyło się fiaskiem. Przeważnie jednak Żydzi mogli liczyć na opiekę Rzymu, co nie przeszkadzało, że co parę stuleci byli z niego wypędzani. Ale diaspora, jako ekonomicznie silna i pożyteczna, cieszyła się uznaniem i otrzymywała liczne przywileje, na przykład zwolnienie od pracy w sobotę czy od służby wojskowej. Co innego sama Judea, gdzie wrzenie trwało praktycznie bez przerwy.

Trzeba przyznać, że w czasach niepodległości, czyli w okresie monarchii hasmonejskiej, kiedy w skład państwa żydowskiego weszły liczne miasta półgreckie, Żydzi ze swej strony nie ułatwiali życia Grekom. Był to przecież okres odrodzenia judaizmu i wielkiej żarliwości, nie najszcześliwiej skierowanej. Jak we wszystkich sporach tego rodzaju trudno orzec, kto zawinił pierwszy, ale tak czy owak nienawiść wzajemna rosła. Od drugiego wieku ukazują się też napastliwe żydowskie pisma skierowane przeciw Grekom. Już w starożytności utworzył się z tego niemożliwy do rozwikłania kłęb zarzutów, pomówień, wzajemnych zniewag, którego tak naprawdę do dzisiaj nie udało się ani rozwiązać, ani nawet zrozumieć.

Ale na wyższych piętrach intelektualnych nie zawsze było najgorzej. Przecież żydowski monoteizm i grecka filozofia wręcz domagały się jakiegoś połączenia albo przynajmniej życzliwej konfrontacji. Idee greckie przenikały już wcześniej do pism żydowskich, jak na przykład do KSIĘGI KOHELETA czy KSIĘGI MĄDROŚCI Salomona. W Aleksandrii przełożono PISMO. W Aleksandrii działał w drugim stuleciu p.n.e. Arystobulos, filozof usiłujący łączyć hellenizm z judaizmem. Dokonał tego na wielką skalę prawie rówieśnik Chrystusa, Philo Iudaeus, zwany także Pilonem z Aleksandrii. Był twórcą tzw. teologii negatywnej, to znaczy braku wszelkich informacji o przymiotach Boga. W FILOZOFII ŻYDOWSKIEJ Heinricha i Marie Simonów czytamy: *wyszedł od jaskrawego przeciwieństwa między Bogiem a światem, Bóg jako Niepowstały i Nieprzemijający nie jest porównywalny z niczym powstałym i przemijającym. Tak wzniosły Bóg nie może mieć żadnych przymiotów i dlatego Filon twierdził, że Bóg jest bez przymiotów. Ponieważ każda nazwa oznacza jakąś właściwość, nie można Bogu nadać żadnej nazwy. To, czego nie da się określić, jest niepojęte, stąd także istoty Boga nie można pojąć. Możemy tylko wiedzieć, iż Bóg jest, lecz czym On jest, tego nikt nie zgłębi. O Bogu można powiedzieć tylko tyle, że jest On absolutnym bytem, wyniosłym ponad wszelkie doskonałości wyobrażalne przez człowieka, także ponad cnotę i mądrość.*

Pośrednikiem między Bogiem i światem jest Logos – Słowo, a z niego wypływają dwie siły, platońskie idee: Boska Moc i Boska Dobroć. A z nich niższe byty pośrednie, czyli był to system gradualistyczny, w którym najważniejsze szczeble to Bóg, Logos i świat materialny. A stąd już jeden krok do neoplatonizmu, do Plotyna (także z Aleksandrii!) i jego systemu emanacyjnego. I do systemów gnostycznych.

Filon odegrał olbrzymią rolę w rozwoju chrześcijaństwa (*Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo* – początek EWANGELII WEDŁUG ŚWIĘTEGO JANA), natomiast duchowość żydowska popłynęła innymi, bardziej pragmatycznymi drogami, a teksty Filona wydali ponownie Żydzi dopiero w szesnastym wieku. Ale przecież byli i wyznawcy Kaina – Kainici, i Ofici lub Naasyci (od greckiej lub hebrajskiej nazwy węża), którzy *wdzięczni byli wężowi, że uwiódł pierwszą parę ludzi do wypowiedzenia Bogu posłuszeństwa, albowiem dzięki temu zbudziło się poznanie dobrego i złego, wyższa świadomość gnozy* (Graetz). A to także posiew Filona. Stąd wije się nić łącząca muzułmańskich muttekalleminów, także mówiących o bezprzedmiotowości Boga, i wreszcie Kabałę z ZOHAREM i Sefirotami, aż po współczesny New Age.

Hipotekę żydowsko-grecką przejęło chrześcijaństwo, pogłębiło jeszcze przepaść wzajemnej nienawiści i przekazało nowym narodom i czasom. Można rzec, że swój stosunek do Chrystusa wyrazili Żydzi nad wyraz jednoznacznie – krzyżując go. Lecz z drugiej strony Jego zwolennicy byli Żydami i wyłącznie Żydami. Autorzy żydowscy zwracają uwagę na rozwarstwienie społeczne ludności Palestyny w owym okresie. Na przykład członkowie bardzo rygorystycznego i zamożnego zakonu *Chawerim* – Towarzysze mieli w pogardzie ubogi lud i bojąc się zbrukać rytualnie, za nic nie zasiedliby z ubogim Żydem, chłopem na przykład, do stołu. Otóż *Chawerim* to, ogólnie mówiąc, sfery kapłańskie i rabinackie, a Jezus zwracał się właśnie do pogardzanych przez nich ubogich. Ta marksowska analiza powstała na długie lata przed urodzeniem Marksa... I nie potrafię powiedzieć, w jakim właściwie stopniu jest słuszna, ale nosi wszelkie znamiona prawdopodobieństwa.

Jeszcze jedno. Jezus był Mesjaszem, ale i przedtem, i potem było mesjaszy wielu, a każdy z nich kończył niedobrze, tak właśnie jak Jezus. Otóż zwrócono uwagę, że w judaizmie liczy się tylko czekanie na Mesjasza, ale przenigdy spełnienie, przenigdy Mesjasz w czasie teraźniejszym lub przeszłym. Mesjasz na miarę wszystkich oczekiwań jest po prostu niemożliwością. Dlatego właśnie samo oczekiwanie ma walor decydujący. Z chwilą, gdy Jezus skonał na krzyżu i nie spełnił oczekiwanej po Nim misji politycznej – przywrócenia niepodległości Izraelowi – nie mógł już nigdy zostać uznany. Przynajmniej nie przez Żydów, którzy musieli nadal czekać i czekać.

Dla decydujących o wszystkim sfer rabinackich chrześcijaństwo było tylko dokuczliwą sektą, której raczej nie tolerowano. Jeszcze przed zburzeniem Świątyni pojawili się pierwsi męczennicy. Jakub, jeden z czterech braci Jezusa, przywódca jerozolimskiej gminy chrześcijańskiej, został ukamienowany w latach 61–62. Paweł był świadkiem śmierci świętego Szczepana jeszcze wcześniej, bo w 34 lub 36 roku i tak dalej. Trzeba więc uznać, że wbrew historykom żydowskim prawowierni Żydzi postanowili zdecydowanie skończyć z sektą chrześcijańską. Że to się nie udało, było wedle nich zasługą świętego Pawła. Ale już na wstępie doszło do wielkiego podziału chrześcijaństwa. Na wyznawców Pawła, którzy zrywali ze starym obyczajem; obrzezaniem, szabatem, ograniczeniami pokarmowymi i w ogóle czystością rytualną. I na chrześcijan żydowskich przestrzegających skrupulatnie praw Mojżeszowych. Żydzi zwali ich minejczykami i początkowo tylko z nimi mieli do czynienia. Dzielili się oni w zasadzie na dwa odłamy zwane nazarejczykami i ebionitami, ale to już nas nie interesuje. Otóż owi chrześcijanie, którzy przeżyli wielką wojnę żydowską, zaczęli się także pojawiać w Sanhedrynie w Jawne, bo oczywiście jako Żydzi mieli swoje problemy. A w Jawne szalał teraz dawny spór między uczniami Szammaja i Hillela. Jak pamiętamy, szammaiści byli o wiele surowsi od hillelitów i właśnie przeforsowali zakaz poprzestawania, jedzenia, picia, wchodzenia w związki rodzinne z poganami. A zasada ta ostała się w TALMUDZIE jako jedno z mocniejszych *ogrodzeń TORY*.

Stanowiło to jednak kiepski prognostyk. Rzeczywiście wkrótce odsunięto wszystkich judeochrześcijan, a były to podobno już bardzo rozmaite sekty, od udziału w posiedzeniach akademii, które normalnie odbywały się publicznie. Wywołało to atak nienawiści skierowany

przeciwko rabinom. Ze smętkiem zauważam, że słowo „nienawiść” jest w tym rozdziale najczęściej używane. Żydowski historycy uważają, że właśnie ewangelie – dla nas posłanie miłości – najbardziej stanowczo tę nienawiść wyrażają. Tak więc ów konflikt zarysował się między ewangelistami a tannaitami albo można rzec, między EWANGELIĄ a TALMUDEM.

Za swoisty pozew rozwodowy i znięciem rozbratu zupełnego uznano list apostolski DO HEBRAJCZYKÓW, który wyszedł z kręgu świętego Pawła, a który z kolei rabini jadownicie wyszydali. Sławny rabbi Tarfon z przełomu pierwszego i drugiego wieku, podobno wcielenie dobroci, ale śmiertelny wróg chrześcijan, chciał spalić chrześcijańskie ewangelie. Ale przynajmniej nie autorów – Tarfon wsławił się także jako przeciwnik kary śmierci. Ale na obłądną ironię losu wygląda jego twierdzenie, że chrześcijanie są gorsi od pogan, bo poganie przynajmniej nie znają prawdy, a chrześcijanie grzeszą przeciw prawdzie całkiem świadomie... Otóż potem, przez całe stulecia, a nawet tysiąclecia, ten sam argument, dosłownie tak samo sformułowany, służył jako główny oręż przeciwko Żydom...

W końcu za sławnego rabiego Gamaliela, czyli także na przełomie pierwszego i drugiego wieku, akademia w Jawne postanowiła raz na zawsze odciąć się od chrześcijan. Zakazano przyjmowania z rąk chrześcijańskich chleba, mięsa i wina, zakazano prowadzenia interesów z chrześcijanami i wszelkiej wymiany usług, obłożono klątwą chrześcijańskie pisma i samych chrześcijan, odmawiając im zmartwychwstania. Klątwę tę włączono do codziennej modlitwy. Autorem jej był uczeń Gamaliela, Samuel Młodszy. Wiele potem Żydzi mieli kłopotów przez tę modlitwę, a tłumaczyli się, że była rzekomo skierowana wyłącznie przeciw judeochrześcjanom... Przyjmijmy to za dobrą monetę, chociaż skutki tej formuły były widoczne przez setki lat, jeśli nie są widoczne do dzisiaj. Od tego miejsca nie było już dla obu religii odwrotu.

Chrześcijanie tymczasem mieli swoje problemy, a Żydzi swoje. Obie strony miały męczenników, choć pewnie nie tak wielu, jak o tym mówiono. Żydzi wszakże byli narodem, a chrześcijanie tylko sektą. Wynikały z tego tytułu i zyski, i straty. Żydzi jako naród byli wbrew wszelkim atakom uznani, chociaż w Palestynie doprowadzali biurokratycznych Rzymian do furii. I właśnie z Palestyny „zło” roznosiło się na wszystkie strony. Akiba ben Josef, a pewnie nie tylko on, rozjeżdżał się po różnych skupiskach żydowskich, namawiając, by zbrojnie wsparty powstanie Bar Kochby. Rzeczywiście, powstania wybuchły na Krecie i w Cyrenajce. Pamiętajmy, że liczba Żydów w starożytnej *oikumene* została oceniona na dziesięć procent, czyli pewnie więcej ich było niż samych Rzymian. Wielki hellenista, Tadeusz Zieliński (JUDAIZM A HELLENIZM), uważa, że Rzym miał powody do niepokoju, że ruchawka żydowska mogła rozsadzić całe państwo. Nie sędzę: drugie co najmniej dziesięć procent to byli przecież Grecy, wrodzy Żydom. Wprawdzie także nienawidzący na ogół Rzymu, ale skutecznie powstrzymujący Żydów. Jeśli się zważy, że podobna sytuacja była w samej Italii, gdzie Sabinowie nie cierpieli Wolsków, a Etruskowie Sabinów, to trzeba przyznać, że zasada *divide et impera* była prawdziwie rzymską racją bytu. W każdym razie w okresie cesarstwa w legionach Rzymianami byli chyba tylko oficerowie, a później i to nie. Ale wtedy właśnie rozsypało się wszystko.

Żydom najbardziej doskwierał tak zwany *fiscus iudaicus*, opłata początkowo ściągana na Świątynię jerozolimską, ale po jej zburzeniu kierowana na rzecz Jowisza Kapitolińskiego, co było ewidentną złośliwością. Żydzi unikali jej, jak tylko mogli, co doprowadziło do tego, że administracja rzymska zaczęła sprawdzać, kto jest, a kto nie jest Żydem, naturalnie, wedle obrzezania. A to z kolei spowodowało, że Żydzi, jak w czasach Seleucydów, poddawali się drobnemu chirurgicznemu zabiegowi likwidującemu „znak Przymierza”.

W samej Palestynie spokoju raczej nie było. Po upadku powstania Bar Kochby (rok 135) Hadrian zarządził poważne represje. Wielu Żydów po prostu zginęło już po zakończeniu działań wojennych. Pozostałym zakazano obchodzenia szabatu i świąt żydowskich, odprawiania modłów, noszenia szat rytualnych, obrzezania, wyświęcania rabinów i nawet zbliżania się do Jerozolimy, która teraz, całkowicie przebudowana, nazywała się Aelia Capitolina. Po-

dobnie cierpieli i Samarytanie, którym Hadrian na świętej górze Garizim wybudował świątynię Jowisza. Po śmierci Hadriana zakazy zostały zniesione, oprócz zbliżania się do Jerozolimy!, a społecznością żydowską rządził patriarcha. Ale nowe powstanie wybuchło w 161 roku za czasów Antonina Piusa, a kolejne za Marka Aurelego, i znowu kolejne w roku 193 za Septymiusza Sewera. Wreszcie w 212 roku Karakalla nadał prawa obywatelskie wszystkim mieszkańcom cesarstwa i trochę się uspokoiło. A w sto lat później, w roku 313, Konstantyn Wielki ogłosił edykt o tolerancji.

Oznaczało to wielkie honory dla żydowskiego patriarchy, ale także triumf chrześcijaństwa. I już w kilka lat potem rozpoczęły się naprawdę poważne kłopoty, ponieważ chrześcijaństwo ani myślało o wspaniałomyślności, o miłowaniu nieprzyjaciół czy o zwyczajnej tolerancji. W antyku klasycznym wszystko mogło być względne, lecz chrześcijaństwo odziedziczyło po judaizmie prawdę absolutną, a nie mogło być przecież dwóch prawd absolutnych. Poszczególne sekty, nad wyraz liczne, nienawidziły się śmiertelnie, ale pod jednym względem były rozczulająco zgodne: największym wrogiem był nie poganin, ale Żyd, na mocy sławnej zasady rabiego Tarfona. Przy czym nie wiem, czy ją naprawdę znali, czy też wymyślili ponownie. Skutek był identyczny.

Żydzi byli uważani w czasach „pogańskich” za normalnych ludzi, którym przysługiwała pełnia praw krajowych, przy czym pamiętajmy, rzecz dzieje się w starożytności, w której i niewolnictwo było sprawą normalną, więc, naturalnie, nie oczekujemy jakichś dzisiejszych praw człowieka i obywatela. Teraz z Żydów usiłuje się zrobić osobną kategorię ludzi pozbawionych przeróżnych uprawnień. Są przecież mordercami Boga! Są narodem, który zna prawdę, ale się nie nawraca, nie żałuje za swoje grzechy! Jakże nie podejrzewać tu ingerencji sił szatańskich? Przypomnijmy, że już religię klasyczną uznano za rodzaj choroby, tym bardziej dostało się Żydom. Przeciw nim występowało przede wszystkim duchowieństwo. Jan Chryzostom wygłasza w Antiochii na początku V wieku słynny cykl kazań przeciw Żydom. Święty Augustyn uważa, że powinni istnieć jako świadkowie prawdy chrześcijaństwa, ale oczywiście w stosownym poniżeniu. Święty Ambroży i inni ojcowie Kościoła aprobują nagonkę antyżydowską i burzenie synagog. Nawet twórca WULGATY, czyli łacińskiego przekładu PISMA, i praktycznie przyjaciel Żydów, święty Hieronim, mówi: *Jeśli koniecznie trzeba gardzić każdym z osobna i ogółem narodu, to pałam niewypowiedzianą nienawiścią do Żydów. Za tym wszystkim szły konsekwencje prawne.*

Zacytujmy Bałabana: *Głosząc zasadę, że tylko wierni, tj. wyznawcy religii chrześcijańskiej, mają prawo do pełni praw obywatelskich, dążyli cesarze do wyłączenia Żydów ze społeczeństwa, z którym poczęli się zżywać, i już w IV i V wieku stworzyli system prawa dla Żydów, który przetrwał do końca XVIII wieku. Odtąd stanowią Żydzi niższą klasę ludzi, są inferiores, bez czci – infames, brzydki – turpes i przewrotni – perwersi, żydostwo jest sektą niebezpieczną – secta nefaria et feralis, ich wiara jest zabobonem – superstitio, ich zebrania dla modlitw są zebraniem świętokradczymi – sacrilegi coetus, a wszelkie obcowanie z nimi jest występkiem i kalaniem się.*

Cesarstwo rzymskie zmierza w tych czasach do upadku i rozkładu. Jeszcze usiłuje odwrócić bieg wypadków Julian Apostata, który w tradycji żydowskiej zażywa wielkiej czci jako Julian Hellen – dziwny obrót losu, skoro przecież „helleński” był dotąd w ustach żydowskich rodzajem potępienia. Julian usiłuje nie tylko przywrócić antyczne wielobóstwo, ale także odbudować Świątynię jerozolimską. I tu zachodzą wypadki doprawdy dziwne, ale poświadczone z różnych stron. Otóż kiedy podjęto roboty na Morii, zaczęła się seria wybuchów, które doprowadziły do zawieszenia prac. Chrześcijanie wołali głośno, że to cud, Żydzi oskarżali chrześcijan o dywersję, ale odbudowa, mimo szybkiego zgromadzenia wszelakich środków i materiałów, stała się naprawdę niemożliwa. Co to takiego było? Ani chrześcijanie, ani zresztą nikt nie mógł przecież powodować wybuchów w czasie, kiedy jeszcze nie wynaleziono jakiegokolwiek środków wybuchowych. A przecież Jerozolima nie leży na obszarze wulkanicz-

nym, sprawa jest więc dziwna i tajemnicza. A gdyby się już odwoływać do Opatrzności, to niekoniecznie trzeba by tłumaczyć sprawę na niekorzyść Żydów, skoro i bez Świątyni przetrwali następne tysiąc lat.

Ale Julian to paroletni epizod (361–363), chociaż w historii wszystko, co minęło, jest epizodem. Już w 395 roku, po śmierci Teodozjusza I, cesarstwo rozpada się na część wschodnią i zachodnią. W części zachodniej sytuacja Żydów przedstawiała się nieco znośniej, ale część wschodnia, Bizancjum, to byli wszak przeważnie Grecy, tradycyjni nieprzyjaciele Żydów, i tam właśnie ukształtował się zdecydowany kurs antyżydowski. Tu właśnie basileus Teodozjusz II w roku 439 odsunął Żydów od wszystkich urzędów, przywilejów, odznaczeń i honorów, także uprawnień sądowych, funkcji wojskowych i w ogóle od wszystkiego. A jego śladem poszedł zachodni Honoriusz. To teraz biskup aleksandryjski Cyryl wypędza Żydów z miasta, odbiera im mienie, synagogę zamienia w kościół. Tak samo zresztą traktuje ostatnich pogan i nawet broniącego prawa cesarskiego prefekta Orestesa. Wezwani przez Cyryla mnisi z góry Nitra maltretują prefekta i linczują najsławniejszą intelektualistkę późnej starożytności, Hypatię. W drugim wielkim centrum Bliskiego Wschodu, Antiochii (dzisiejsza Antakya w południowej Turcji), synagogi także zostały odebrane właścicielom. Tu znowu szalał święty Szymon Słupnik, który ze swej kolumny słał listy do cesarza, domagając się bezkarności dla sprawców tych ekscesów. W ogóle odnosi się wrażenie, że zasadniczym, a w każdym razie niezbędnym warunkiem świętości w tych stuleciach było demonstrowanie nienawiści do pogan i Żydów. Jestem chrześcijaninem, choć pewnie marnym, i piszę to z żalem i ze wstydem.

Z drugiej strony nawet sławni z prawości i dobroci rabini byli zaciekłymi wrogami chrześcijan. Nie tylko rabbi Tarfon, nie tylko wielki Gamaliel czy Akiba, to już się stało nawykiem i tradycją. Poza uprawianą przez obie strony „świętą nienawiścią” byli to przecież, z obu stron, ludzie przeważnie mądrzy, utalentowani i nawet sympatyczni. Na przykład rabbi Tarfon zaręczył się czy nawet poślubił jednocześnie trzysta ubogich dziewcząt – judaizm dopuszczał wielożeństwo, a uczynił to podobno tylko dlatego, żeby im zapewnić udział w swoich dochodach, czyli po prostu utrzymanie. Albo świetlany przykład króla Salomona. Współczesny VIP nie musi się w tym celu aż zaręczać... Ale Tarfon to już teraz odległa przeszłość, a właśnie w tym czasie, w roku 425, zmarł ostatni żydowski patriarcha Gamaliel i wraz z nim wygasł po czterystu latach ród Hillela. Jego przykazanie *nie czyn drugiemu, co tobie niemiło* było już, formalnie rzecz biorąc, własnością całego Zachodniego Świata i nie było chyba w dziejach równie zjadliwie ironicznej sytuacji. Aż do dzisiaj zresztą.

Żydzi byli już wtedy całkowicie bezsilni. Cesarz Justynian Wielki (483–565) odebrał im pozostałą resztę praw, podobnie jak Samarytanom, i zaczął ingerować nawet w sprawy kultu. Ten sam Justynian, który dla nas jest ostatecznym kodyfikatorem prawa rzymskiego – CORPUS IURIS CIVILIS, twórcą Hagii Sofii, legendą i wcieleniem kultury bizantyjskiej, równocześnie jest likwidatorem Akademii Platońskiej w Atenach i wielkim prześladowcą judaizmu. I dopiero kiedy jego dzieło po tysiącu lat zostanie całkowicie zburzone, a chrześcijaństwo okryje się żałobą, uciemniona część ludzkości odzyska w odmienionym Bizancjum prawa bardziej człowiecze.

W Palestynie, o dziwo, są jeszcze Żydzi. Co prawda raczej nie koło Jerozolimy, raczej nie w historycznej Judei, ale w północnej i górzystej Galilei, w Liddzie, Tyberiadzie i Seforis, która teraz nazywa się Diocezareą. Właśnie w Seforis w 351 roku wybucha powstanie w odpowiedzi na szykany i podatki cezara Gallusa. Na czele powstania staje Natronaj, a powstańcy bronią się cały rok. Po czym skutki są wiadome, a Palestyna coraz bardziej pustoszeje, kto może ucieka do Persji-Babilonii. Ale nawet w przeszło 250 lat później znowu jest ich dostatecznie dużo, aby wywołać kolejne, już chyba rzeczywiście ostatnie, powstanie. Przedtem jeszcze Justynian rozprawia się definitywnie z Samarytanami, którzy dwukrotnie w szóstym wieku powstają i odnoszą znaczne sukcesy. Skończyło się to prawie zupełnym ich unicestwieniem, przymusową chrystianizacją i wybudowaniem na górze Garizim kościoła –pa-

miętamy, że przedtem stała tam świątynia Jowisza wybudowana przez Hadriana, która zastąpiła samarytańskie świętości. Samarytanie jednak istnieją do dzisiaj, ale jedyna ich gmina w Sychem, czyli dzisiejszym Nablusie, liczy podobno około stu osób lub sto rodzin.

A z tym ostatnim powstaniem żydowskim było tak. Zaczęło się w Antiochii w pierwszych latach siódmego wieku i było skierowane przeciwko cesarzowi Fokasowi uważanemu za uzurpatora. Wydawało się już, że poniosło kolejną porażkę, gdy przeciw Fokasowi wystąpił król Persów, Chosroes II. Wojska perskie zajęły całą Azję Mniejszą i Syrię. Dołączyli do nich Żydzi z Galilei i całej Palestyny, pod wodzą Beniamina z Tyberiady. Żydzi chcieli po prostu się zemścić, wyrznąć chrześcijan i zburzyć kościoły. Zaczęło się to w samej Galilei, a Jerozolima została zdobyta w lipcu 614 roku. Zginęło przy tym dziewięćdziesiąt tysięcy chrześcijan i zburzono wszystkie kościoły. Także historycy żydowscy nie zaprzeczają wyjątkowemu okrucieństwu tych wydarzeń. Oponują tylko przeciw pogłosce, jakoby Żydzi wykupywali jeńców z rąk perskich, by ich następnie zamordować. Czternaście lat trwało niepewne przymierze persko-żydowskie, potem stanął pokój między cesarzem Herakliuszem a Persami. Bizantyjczycy wrócili do Ziemi Świętej, Herakliusz zaprzysiągł Żydom bezkarność, ale pod wpływem mnichów przysięgę złamał. Mnisi obiecali, że przez specjalne posty zapewnią mu u Boga przebaczenie i bezkarność. Rzeczywiście, przez kilka następnych stuleci powtarzali co roku post na intencję cesarskiego wiarołomstwa. Na planie bardziej doczesnym po zemście żydowskiej przysła chrześcijańska. Chrześcijan i Żydów pogodził już wkrótce Omar, wypędzając i dreńcząc porówny i jednych, i drugich.

Na zachodzie kontynentu burz i niepokoju było zbyt wiele, by je tu wymieniać. Zmieniały się państwa Ostrogotów, Wizygotów i Longobardów, Hunowie podchodzili pod Rzym, rządili to katolicy, to arianie, zmierzch antycznych instytucji dotyczył każdego. Żydzi mieszkali tutaj od czasów niepamiętnych i biorą czynny udział w wypadkach. Tak po prawdzie to nie mają w tych wiekach osobnej historii, jeśli nie liczyć pospólnej doli i niedoli. Tylko w rejonach zdobytych przez sławnego wodza bizantyjskiego, Belizariusza, zaprowadzono bizantyjskie ograniczenia. Niewiele się dzieje także w krajach północy. Żydzi są akceptowani przez ówczesnych Merowingów (ba! jest nawet koncepcja, że Merowingowie byli właściwie dynastią żydowską, wywodzącą się od samego Jezusa Chrystusa...), potem są równie dobrze widziani przez Karolingów. Marsylię nazywano „miastem żydowskim”, żydowska była także prowincja narbońska, ale ona należała do Hiszpanii. Stosunki z chrześcijanami były tak dobre, że synody biskupów prowansalskich musiały duchownym zabraniać brania udziału w żydowskich ucztach i przyjęciach, zresztą z tego, istotnie prawdziwego powodu, że Żydzi nie chcieli gościć u duchownych...

Natomiast zaczynem prześladowań Żydów była ówczesna Burgundia, a w krajach frankońskich do różnych antyżydowskich niedogodności dodano zakaz wychodzenia na ulice w święta wielkanocne. Tu w VI wieku biskup Awitus z Clermont – wymuszający chrzest siłą – szczyił się pewnego razu pięciuset „nawróconymi” Żydami. Nie była to zresztą oficjalna nauka Kościoła katolickiego: Grzegorz I Wielki, papież w latach 590–604, był rzecznikiem zasady, że nie należy chrzcić siłą, lecz łagodnością i perswazją, czym stworzył precedens dla późniejszej polityki Watykanu. Łagodność nie zawsze była łagodna. W Niemczech krążyła legenda, że tamtejsi Żydzi byli zarazem potomkami tych legionistów, którzy spalili Świątynię: oto pojmanym wtedy brankom żydowskim i wywiezionym do Germanii pozwolono chować wspólne dzieci wedle ich własnej religii. Legenda przypisująca niemieckim Żydom także germańskie pochodzenie powstała bardzo grubo przed holocaustem. W każdym razie gminy żydowskie w Kolonii, Moguncji i Wormacji rzeczywiście były bardzo stare i nie wiodło im się źle do czasu ostatecznego zwycięstwa katolicyzmu.

Czy z tego wszystkiego wynika, że właśnie Kościół katolicki jest w sprawie żydowskiej największym winowajcą? W takim ujęciu byłoby to chyba niesprawiedliwe. Nienawidziły Żydów wszystkie odłamy wczesnego chrześcijaństwa, a taki Teodoryk Wielki, który był aria-

ninem, nie mniej niż pozostali. Skierowane przeciw Żydom prawa sformułowano najostrzej na Wschodzie, w greckim Bizancjum, samo właściwe papieństwo było bardziej umiarkowane. Ale w poszczególnych diecezjach działało się znacznie gorzej. Właściwie tylko okresy wewnętrznych sporów i walk w łonie chrześcijaństwa dawały Żydom jakąś szansę, a gdy tylko jakaś strona zdecydowanie wygrywała, prześladowania zaczynały się nasilać.

Z drugiej strony trzeba przyznać, że i Żydzi nie dali od samego początku chrześcijanom żadnej szansy kompromisu, nie okazali cienia przychylności. Być może nie mogli, być może nie mieli powodu. Ale w ten sposób i oni sami mają część współodpowiedzialności za to wszystko, co się potem stało. Wygląda to wręcz na jakąś złowrogą licytację oszczerstw i nienawiści. Krew i ogień znaczą na każdym kroku dzieje monoteizmu, także przecież w wersji arabskiej, chociaż może w mniejszym jednak stopniu. Cała historia człowieka jest wprawdzie przerażająca, a także w ogóle natura istot żywych, ale po ludziach wyznających tak przecież szczytne ideały moglibyśmy oczekiwać nieco względniejszego postępowania. Tymczasem zupełnie nie. Powtarzam: nie idealizuję jakiegokolwiek fragmentu, jakiegokolwiek skrawka historii. Wszystkie były okropne, wszędzie bestia ludzka zadbała, by się pokazać ze swojej najgorszej strony. Ale monoteizm dodał do tego wszystkiego bardzo silną motywację, egoistyczne przeświadczenie o niepodważalnej słuszności własnego postępowania, o wyjątkowości własnej prawdy, a sojusz z Bogiem sprawiał, że wszystkie własne zbrodnie miały być odpuszczone. Bóg okazał się dla człowieka zbyt wielkim wyzwaniem, człowiek nie sprostał mu, przynajmniej pod względem moralnym. Kuszenie Absolutu wydało przerażające owoce: człowiek może opierać się złu, ale jest bezradny wobec pokusy dobra.

Kraj, w którym mieszkam, zwie się Sefarad

Tak właśnie zaczął swój list do chana Chazarów Chisdaj ben Izaak ibn Szaprut, wielki dostojnik na dworze kalifa Abdara Rahmana III w hiszpańskiej Kordobie w momencie najświetniejszego rozkwitu kalifatu Omajjadów. Kordoba miała wtedy, w X wieku, milion mieszkańców, 600 meczetów, 900 łaźni, wielką bibliotekę, uniwersytet, liczne szpitale, szkoły, pałace. Najwspanialszy pałac kalifa pysznił się lasem czterech tysięcy trzystu dwunastu kolumn. A w całym emiracie było jeszcze czternaście miast, dwanaście tysięcy osad, siedemnaście uniwersytetów i siedemdziesiąt bibliotek. Podobno, bo we wspomnieniach wszystko pięknieje.

A wszystko to już od wieków stało się tylko wspomnieniem. Ciekawe, bo wspomnieniem nie tylko jednego narodu. Współcześni Marokańczycy także i dzisiaj wspominają Hiszpanię niby utracony ogród Edenu, a Żydzi wręcz utrzymują, że poza Ziemią Świętą to właśnie kraj za Pirenejami miał największe szansę stać się ich prawdziwą ojczyzną. Polski powieściopisarz Julian Strykowski, opisując żydowską dzielnicę w Toledo w powieści PRZYBYSZ Z NARBONY, także idealizuje Hiszpanię przedziwnie, ostro przeciwstawiając ją gettom galicyjskich miasteczek, brudnych i cuchnących. Tu całkiem inaczej. *Barrio*, dzielnica żydowska, jest jasne, czyste, białe, pachnące pomarańczami. Są tu wytworne rzemiosła, jak złotnictwo i płatnerstwo, piękne, obszerne domy, fontanny, kwitnące krzewy – słowem, także sen o Edenie.

Eden i Mesjasz lokują się na przeciwległych krańcach czasu, ale i jedno, i drugie za mgłą, w marzeniu, w niepojętej dalekości. *Bo za jedną siną dałą druga dał* – jak pisała Agnieszka Osiecka. Z bliska sprawy przedstawiają się zawsze inaczej i mniej czarownic. Także i życie mieszkańców Hiszpanii bywało raczej dramatyczne niż sielankowe. Co jednak nie przeszkodziło w rozkwicie kultur: chrześcijańskiej, arabskiej i żydowskiej.

Hiszpanii nie ominęła żadna z wielkich kolonizacji. Przybywali tu Fenicjanie, Grecy i Żydzi, później byli Rzymianie, podczas Wielkiej Wędrówki Ludów pojawili się popychani przez Hunów ariańscy Wizygoci, w ósmym wieku zmienili ich Arabowie, potem długie stulecia trwała katolicka reconquista, przewinał się Napoleon, Anglicy ustanowili przyczółek w Gibraltarze. Żydzi mieszkali tu od czasów niepamiętnych – oni sami dowodzili, że osadził ich tu w szóstym wieku p.n.e. sam Nabuchodonozor po zburzeniu pierwszej Świątyni. Niektóre rody powoływały się na pochodzenie od króla Dawida, ale dzisiaj robi to każdy szanujący się Żyd. Być może słusznie.

Jest podejrzenie, że nazywające się z hebrajska miasta Escaluna, Maqueda, Jopes, Aceca były po prostu koloniami tychże miast w Palestynie – koloniści wszystkich czasów i okolic mieli skłonność do odwoływania się do nazw macierzystych. Podobnie było chyba w Jemenie. Skołowany tym wszystkim Däniken wywiódł, że prawdziwa Ziemia Święta leżała w Arabii... A już Tarragonę i Granadę zwano po prostu miastami żydowskimi. Antysemityzmu tu nie było, tak przynajmniej głosi legenda. Ale nie było i Greków albo było ich niewiele. Stosunki między wyznawcami różnych religii stały się tak idylliczne, że ludność chrześcijańska do święcenia pól wzywała rabinów, o czym donoszą ze zgrozą dokumenty synodu w Elwirze z roku 306. W sto dziesięć lat później Hiszpanię zdobyli Wizygoci, wypierając Wandalów i Swewów.

Wizygoci, arianie przecież, stanowią mniejszość w katolickim kraju, stąd dla przeciwwagi popierają inne mniejszości, a więc Żydów. Ale po niespełna dwustu latach (587) król Reccader sam przyjmuje katolicyzm i zaczyna słuchać katolickiego duchowieństwa. Owocem tego są mnożące się zakazy i ograniczenia kumulujące się w zbiorze praw antyżydowskich LEX ROMANA VISIGOTORUM. Odtąd sytuacja się pogarsza, dochodzi do przymusowej chrystianizacji, wygnań i konfiskat majątków. Sławny był synod w Toledo (rok 653) pod przewodnictwem żydowskiego przechrzty Juliana z Toledo. Tu alternatywą chrztu było nie tylko wygnanie, ale konfiskata całego majątku i sto uderzeń biczem. Czyli alternatywy praktycznie nie było, a i tak ochrzczeni Żydzi mieli pozostawać pod nadzorem księży. A więc już w tym czasie rodzi się w Hiszpanii problem marranów, potajemnych Żydów, który przez całe stulecia będzie stanowił koszmar tego kraju.

Na razie jednak odmieniło się wszystko. W 711 roku wódz berberyjski Tarik ibn Zijad poprowadził pułki Allaha z Afryki przez morze, skoncentrował je przy skale noszącej odtąd jego imię i pokonał wizygockiego króla Roderyka pod Jerez de la Frontera, a w dwa lata zajął niemal cały Półwysep Pirenejski. Chrześcijanom zostały skrawki na północy: Leon, Asturia, Nawarra. Miała stąd w przyszłości wyjść *reconquista*. Ale przez osiem następnych stuleci losy islamu i chrześcijaństwa będą się wazyć i równoważyć. Europejska legenda jest jednoznaczna: w naszym imieniu walczyli: Cyd, Roland i Karol Siwobrody, w naszym imieniu pokonano Saracenów pod Poitiers i obrócono w *gruzy Maurów posady*.

Ale przecież islam był bardziej tolerancyjny od chrześcijaństwa, na jego ziemiach spokojnie stały nie zburzone kościoły i synagogi. Kultura żydowska raczej drzemała jeszcze do dziesiątego wieku, następnie wybuchła z właściwą sobie siłą. Mimo że Hiszpania nie była, jak na owe w sumie raczej nieszczęśliwe czasy, jakimś pustkowiec kulturalnym, a nawet doszło do skromnego odrodzenia kultury za czasów ostatniego ojca Kościoła, świętego Izydora z Sewilli (VII w.), żydowski wątek ideowy musiał poczekać, aż zbladła sława „babilońskiego” gaonatu. Wtedy właśnie żydowskim światowym centrum intelektualnym stała się Hiszpania. Trzeba chyba w tym miejscu zauważyć, że strumień kultury żydowskiej był jedynym, który podczas całych ciemnych wieków nie wysechł, nie uległ zerwaniu. Centra się zmieniały, ale pasmo myślenia pozostawało to samo. W Hiszpanii rozwinęła się filozofia, medycyna, geografia, poezja, gramatyka, ba, nawet obca (prawie) dotąd Żydom plastyka. Uczonych i twórców było tak wielu, że możemy tutaj wymienić tylko najwybitniejszych.

Arabowie upaństwowili całą ziemię i następnie ją dzierżawili chętnym, a Żydzi stawali się niekiedy wielkimi dzierżawcami. Cytowany już Chasdaj ibn Szaprut (900–970) był mecenasem w wielkim stylu i bardzo przyczynił się do rozwoju szkolnictwa talmudycznego. A na swoim dworze utrzymywał poetów i uczonych, między innymi Menachema, autora pierwszego słownika hebrajskiego. Tenże Chasdaj zbierał informacje o Chazarach i próbował, z wielkimi przygodami, skontaktować się listownie z samą Chazarią. Rzecz miała pewien wymiar polityczny, chociaż oczywiście państwo położone u ujścia Wołgi nie mogło mieć bezpośredniego wpływu na Hiszpanię. Ale szło o to, czy rzeczywiście *berło nie zostało odjęte od Judy*, bo wtedy przewagę w sporach mogliby mieć chrześcijanie. Zetknęliśmy się już z tą sprawą przy okazji omawiania blasków gaonatu. Na razie Chazaria była rzeczywiście żydowska.

Natomiast sama Hiszpania, a szczególnie południowa Andaluzja, była ustawicznie narażona na najazdy bardzo jeszcze dzikich Berberów. Po śmierci Rahmana i Chasdaja kalifat Kordoby rozpadł się na małe państewka, a Berberowie spustoszyli miasto. Żydzi i chrześcijanie zgodnie uciekli do Granady. Wśród nich znalazł się Samuel Hanagid ben Josef ibn Nagdila (993–1055), który, całkowicie zrujnowany, otworzył sobie mały sklepik, wkrótce jednak został sekretarzem wezyra, a z czasem samym wezyrem. Był nie tylko wielkim mecenasem i nagidem, czyli naczelnikiem wszystkich granadzkich Żydów, lecz także uczonym talmudystą, filozofem i poetą. Po jego śmierci urząd nagida objął jego syn, ale rządził tak niezręcznie, że nie tylko sam został zamordowany, lecz ściągnął śmierć i rabunek na wielu swoich współziomków.

Współcześnie żyło sporo innych intelektualistów, jak pierwszy gramatyk hebrajski Jona ibn Ganach, ale przede wszystkim filozof Bachia ibn Pakuda, kontynuator Saadiego, znakomity etyk. Co prawda ze znanych mi fragmentów jego podstawowego dzieła TORAT HOWOT HALEWAWOT, czyli WSTĘP DO OBOWIĄZKÓW SERCA, napisanego po arabsku i przełożonego na hebrajski, wynika, że podstawą dobroci ludzkiej jest po większej części egoizm, ale jedynym źródłem dobra pozostaje i tak wdzięczność wobec Boga. O którym zresztą nic nie wiemy. Ale można wnioskować po naturze – Jego dziele, którą dlatego należy studiować. Książkę Bachii nazwano „ludową księgą pobożności żydowskiej”, a centralnym w niej pojęciem jest obowiązek. Sam Pakuda był ponoć sędzią w Saragossie i to się czuje.

O wiele ciekawsza jest osoba i twórczość Salomona Gabirola (ok. 1020–1056/58) z Saragossy, który wszelako żył na granadzkim dworze ibn Nagdila i podobno został zamordowany przez konkurującego z nim poetę-Maura. Z malowniczej opowieści wynika, że drzewo figowe, pod którym morderca zakopał jego zwłoki, nagle bujnie rozkwitło, co pozwoliło odkryć zbrodnię. Niektórzy sądzą, że Gabirol zmarł znacznie wcześniej, nie mając nawet czterdziestu lat. Był podobno wielkim poetą. Ale nie był nim tłumacz, za którego pośrednictwem musiałem go czytać, więc nic nie potrafię o tym powiedzieć. Nieco lepiej przedstawiały się sprawy, jeśli idzie o filozoficzny poemat KETER MALCHUT, czyli KORONA KRÓLEWSKA; przełożono go na język polski prawie prozą i robi duże wrażenie. Przypomina odrobinę Kochanowskiego *Czego chcesz od nas, Panie*, ale Gabirol pisze przede wszystkim o niepoznawalności Boga. Ten hymn, jak i inne jego wiersze religijne, trafił do modlitewników żydowskich.

Natomiast jeśli chodzi o działalność filozoficzną... Znane było w średniowieczu dzieło FONS VITAE, czyli ŹRÓDŁO ŻYCIA jakiegoś tajemniczego Awicebrona czy Avicebrola, ni to Araba, ni to chrześcijanina, a w sumie nie wiadomo kogo, które wywarło znaczący wpływ na filozofię. I dopiero w ubiegłym stuleciu odkryto, że tym Avicebrolem, czy jak mu tam, był znany nam skądinąd poeta Salomon Gabirol. Tropo były o tyle prawdziwe, że ŹRÓDŁO ŻYCIA zostało napisane po arabsku, ale zachował się przekład łaciński i kawałek hebrajskiego. Zaste, *habent sua fata libelli* – książki mają swój los.

Gabirol jest neoplatonikiem, a wkracza na ścieżkę wytyczoną kiedyś przez Filona z Aleksandrii, a także filozofów arabskich. Bóg jest poza światem i jest niepojęty. Wobec tego między Nim a światem muszą być jakieś stopnie pośrednie. Gabirol wymienia trzy: rozsądek świata, dusza świata i natura. Poza tym w pojęciu Boga, jako pierwszej substancji, odnajdziemy znane tomistyczno-arystoteliczne pojęcia formy substancjalnej i materii pierwszej, z tym, że to wszystko było przed Tomaszem z Akwinu i próbowało godzić Boga ze światem, monoteizm z racjonalizmem, a Platona z Arystotelesem.

Filozofów żydowskich, piszących na ogół po arabsku, było w tych czasach w Hiszpanii wielu. Można sobie postawić pytanie, czy i w jakiej mierze była to filozofia oryginalna i o ile uczestniczyła w powszechnych dziejach myślenia, a o ile była tylko żydowską osobliwością podporządkowaną specyficznym wyobrażeniom teologii żydowskiej. Ale nie wiem, czy w ogóle jest jakaś osobna „teologia żydowska”. To, co wynika z monoteizmu, może być doskonale wspólnym dobrem wszystkich religii monoteistycznych. Bo trzeba się, niestety, zgodzić, że o Bogu tak naprawdę nic nikomu nie wiadomo. Władysław Tatarkiewicz za specyficzną żydowską uważa tylko Kabałę, hiszpańskich i „babilońskich” filozofów traktuje jak kontynuatorów filozofii arabskiej, a wyjątek robi tylko dla Majmonidesa i Gabirola właśnie. No i, oczywiście, wcześniej dla Filona. Trzeba chyba przyjąć jego twierdzenie, że filozofia arabska i żydowska wyrosły z greckiej podstawy, biegły osobnym traktem równoległym do filozofii chrześcijańskiej, po czym złąły się w całość, w jeden nurt uniwersalny.

Filozofowie żydowscy na ogół uprawiali tę dyscyplinę w formie komentarzy do TORY, ale Żydzi o wszystkim niemal pisali w relacji do PISMA. Gabirol właśnie tego nie robił i jego FONS VITAE zyskało oddźwięk powszechny. A istota rzeczy, także dla judaizmu, pozostała ta sama. Nie wydaje mi się jednak, żeby można było izolować Kabałę od rozmyślań innych filo-

zofów, w szczególności od Filona, neoplatonizmu, muzułmańskiego *kallamu*, Gabirola i licznych współczesnych mu myślicieli opierających się na systemie emanacyjnym. To w sumie ten sam nurt umysłowy, wyrastający z dysproporcji Absolutu i materialnego świata. Można by oczywiście i tę dysproporcję zignorować, bo skoro nie znamy żadnych przymiotów Absolutu, to i tego nie wiemy, jak On się właściwie ma do tego całego świata. Może paradoksy to Jego specjalność?

W każdym razie żydowskich myślicieli było w tym okresie wielu, podobnie jak i poetów, i innych intelektualistów. Bo podstawą wszystkiego była jednak uczyoność, która się wyrażała w różnych formach działalności. Taki intelektualista bywał urzędnikiem, sędzią, lekarzem, filozofem i przedsiębiorcą. Abraham bar Chija był na przykład szefem policji, Josef ibn Caddik – sędzią i tak dalej. Niezależnie od sposobu zarabkowania obierali sobie różne specjalizacje intelektualne. Pisali po hebrajsku, aramejsku bądź arabsku, ale, co ciekawe, w alfabecie hebrajskim. Przynajmniej filozofowie, bo chyba nie poeci.

Hiszpania stanowi przez wszystkie te stulecia granicę świata islamu i chrześcijaństwa z tym, że dominuje wszechwładnie kultura arabska. Druga połowa wieku jedenastego to okres wypraw krzyżowych, które głęboko przeorały całą Europę Zachodnią i w losach żydowskich zapisały się krwawymi głoskami. Największe krucjaty kierują się naturalnie ku Ziemi Świętej, ale przecież nie wyłącznie. Trochę dziwna koncepcja światów wiary i niewiary głosiła, że wszyscy niewierni są w jakimś związku ze sobą. Stąd na przykład Polacy pomagali chrześcijańskiej Palestynie, walcząc z Prusami i Jadźwingami... Później Krzyżacy z tym samym uzasadnieniem atakowali Litwę. A przez całe stulecia celem wypraw krzyżowych była właśnie muzułmańska Hiszpania. Strumień rycerskich ochotników płynął na północ półwyspu, do królestw Kastylii i Aragonii. Ponieważ jednak nie walczono na co dzień, podstawą działań ówczesnej zimnej wojny była dyplomacja, w której Żydzi odgrywali wielką rolę, i to po obu stronach.

W drugiej połowie jedenastego stulecia największym hiszpańskim przywódcą chrześcijan był król Leonu, Nawarry i Kastylii, Alfons VI. Właśnie za pośrednictwem żydowskich dyplomatów zawarł sojusz z królem Sewilli, Almutammedem Ibn Abbadem, co pozwoliło mu zdobyć w 1085 roku Toledo. Był to punkt zwrotny, bo Toledo stało się na następne stulecia stolicą chrześcijańskiej Hiszpanii. Alfons zerwał wkrótce przymierze z Almutammedem, co kolejny dyplomata żydowski, Ibn Szalbib, przypłacił okrutną śmiercią – przybiciem do szubienicy. Zaś wściekły Almutammed wezwał na pomoc z Afryki Berbera, almorawidzkiego emira Jussufa Ibn Taszfin. Wschód i Zachód stanęły do walnej rozprawy. W służbie Zachodu, ze wschodu naturalnie, bo z Francji, stanęli krzyżowcy, a Wschód reprezentowali przybyli z zachodu i południa Saraceni. Żydzi byli po obu stronach, ale zasadniczy ich korpus, pono czterdzieści tysięcy w czarno-żółtych turbanach, wspierał stronę muzułmańską. Ze strasznej bitwy pod Zallaką 23 października 1086 roku ledwo żywy uszedł Alfons z niedobitkami, ale Arabowie hiszpańscy też na tym nie wyszli dobrze, bo znaleźli się pod bezwzględными rękami Jussufa. Zamęt był zresztą powszechny, jak to zawsze w ludzkiej historii. Żydzi na ogół nie byli prześladowani przez muzułmanów, ale mieli niepewny status tzw. *dimnich*, który w każdej chwili mógł ulec zmianie. A chrześcijańskie Toledo było początkowo równie tolerancyjne, przy tym obyczaj był tam arabski. Toteż chyba nie zdziwimy się, że teraz Żydzi-rabbanicy jęli prześladować Żydów-karaimów, wypędzając ich za pośrednictwem chrześcijańskiego króla z Kastylii. Historia bywa nie tylko tragiczna, ale równocześnie wręcz wstrząsająco śmieszna.

W takich okolicznościach w Toledo w 1085 roku urodził się Jehuda ben Samuel Halewi, po arabsku Abu-l-Hassan Jehuda Halewi, uważany za największego pobiblijnego poetę żydowskiego. Był odnowicielem poetyckiego języka hebrajskiego, a też, naturalnie, znawcą TALMUDU i lekarzem, autorem wielu utworów świeckich sławiących miłość i wino, ale największą sławę zyskał tzw. *syjonidami*, czyli pieśniami o Syjonie, w których częste są także

motywy morskie. Rzeczywiście, nawet temu samemu tłumaczowi, który tak zmasakrował utwory Gabirola, nie udało się całkowicie zniszczyć, mimo częstochowskich rymów, wielkości tej poezji. Halewi ziścił swoje marzenie o Syjonie, ponieważ wybrał się do Ziemi Świętej. Dotarł do Egiptu, Tyru i Damaszku, żegnając Hiszpanię w stylu Child Harolda (a właściwie to Byron pisał w stylu Halewego!). Nie wiadomo, co się z nim później działo – podobno zginął pod Jerozolimą (1140), stratowany przez jakiegoś Araba. Przypomnijmy, że mordercą Gabirola także był Arab.

Podstawowym dziełem filozoficznym Halewego, bo pisał i takie, było KUZARI, czyli AL-CHAZARI. Jest to rozmowa rabina z władcą Chazarów o zasadach judaizmu. Halewi zwalcza filozofię na rzecz praktykowania religii, a zwłaszcza przepisów rytualnych. Ziemia Święta zostaje wyidealizowana i poeta przepowiada powrót Żydów na to terytorium – w ogóle do tej ojczyzny przywiązuje ogromną wagę.

Halewi miał wielu kolegów, mistrzów i uczniów poetyckich, filozoficznych i talmudycznych. Mojżesz ibn Ezra, Abraham ibn Ezra, Abraham ibn Daud, „pięciu uczonych Izaaków”, a wśród nich najślawniejszy rabin Izaak Fosi, czyli RIF, czyli Al-Fasi, autor uczonego komentarza do TALMUDU – HALACHOT. Po almorawidzkim wstrząsie sprawy się stabilizują i ponownie na południu Hiszpanii kwitnie uczoneść i poezja żydowsko-arabska, Almorawidzi zaś okazują się całkiem sensownymi mecenasami. Kordoba, Sewilla, Granada, Lucena zakwitają ponownie. Nie na długo. W świecie islamu pojawia się nowa sekta religijnych gorliwców założona przez Abdallacha ibn Tumarta (ale i dynastia), tak zwanych Almohadów, czyli wyznawców bezwzględnej jedności Boga. Uczeń Ibn Tumarta, fanatyk Abdulmemen, podbił najpierw Maroko w 1146 roku, a w dwa lata później Kordobę i resztę Andaluzji. Chryścijan ani Żydów nie tolerował, dawał im do wyboru nawrócenie na islam albo śmierć. Fala uchodźców przeniosła się znowu na północ, do Toleda i Hiszpanii chrześcijańskiej. Tu kultura żydowska rozkwitła znowu.

W Toledo działali Ibn Daud i Ibn Ezra, sławny obieżyświat, potem Józef ben Salomon Ibn Szoszan, Abraham Ibn Alfachar i wielu innych. Kochanką króla Alfonsa VI była Żydówka Rachel, bohaterka sławnej powieści Liona Feuchtwangera ŻYDÓWKA Z TOLEDO. Po siedmiu latach romansu została zamordowana w obecności króla, a przy tej okazji wszczęto pogrom Żydów. Ale to był niewiele znaczący epizod. Natomiast Alfons próbował zmierzyć się z Almohadami i przegrał z kretelem, a oblężone Toledo bliskie było upadku. W aragońskiej Katalonii, w Barcelonie, żyli lekarz, filozof i poeta Szeszet Benweniste i Samuel ibn Chasdaj Halewi, ojciec pięciu uczonych synów, a przede wszystkim Abrahama, autora romansu KSIĄŻĘ I DERWISZ. Z Tudeli pochodził sławny podróżnik Beniamin ben Jona, w Geronie był ród Gerundich i tak prawie bez końca. Na dodatek gminy żydowskie w Hiszpanii pozostawały w łączności z ośrodkami szkolno-talmudycznymi we Francji, Anglii, Niemczech i Włoszech, a w Afryce i Azji rozciągał się równie inkrustowany uczonymi Żydami świat islamu. Wszystkie te kraje były w łączności ze sobą, to znaczy, Żydzi wędrowali swobodnie przez cały ówczesny świat. Oczywiście była to bardzo względna swoboda, bo w Europie Zachodniej trwał akurat wiek krucjat niszczących przy okazji Żydów, a świat islamu raz po raz wstrząsany był wojnami i ruchami fundamentalistycznymi. W rezultacie Żydzi wędrowali z kraju do kraju niekoniecznie z dobrej woli. Ale inni w ogóle nie mieli gdzie uciekać.

W takim świecie urodził się człowiek uważany przez Żydów za największego w całych ich dziejach uczonego, niemal drugiego Mojżesza, prawodawcę dla całych późniejszych dziejów żydowskich, Mojżesz syn Majmona, którego sławny akronim brzmiał RaMBaM – Rabbi Mo-sze ben Majmon, znany w świecie chrześcijańskim jako Majmonides, twórca dogmatyki judaizmu, arystotelik. Majmonides urodził się w Kordobie w roku 1135, potem z rodziną przeniósł się do Fezu, gdzie przyjął pozornie mahometanizm. Następnie po odwiedzeniu Palestyny osiadł w Egipcie, w Fostacie, czyli starym Kairze. Początkowo był utrzymywany przez brata Dawida, a gdy ten zginął, zaczął praktykować medycynę. Był lekarzem dworu Salady-

na, pozyskał też tytuł nagida i wiele innych zaszczytów. Zmarł w 1204 roku, został pochowany w Tyberiadzie. Jego główne dzieła to MISZNE TORA (Druga Tora, Powtórzenie Tory, Powtórzenie nauki), znane także jako JAD CHAZAKA (Silna ręka), SIRADŻ (komentarz do MISZNY) i MORE NEWUCHIM (Przewodnik błędzących, Przewodnik zbłąkanych).

W dziełach tych pragnął uporządkować i uwspółcześić cały TALMUD, opierając go na zasadach arystotelicznych. Uczestnicy seminariów w KUL-u, prowadzonych przez Mieczysława Gogacza, poświęconych egzegezie prac A. M. Bocheńskiego, rozpoznają i kategorie, i tok rozumowania, bo to przecież kubek w kubek nauka tomistyczna. Materia i forma, gradualizm z Bogiem na szczycie bytu. Czynny duch świata, rozum działający – *Sejchel hapoejl*, zło jako brak dobra etc. Specjalnym zagadnieniem są źródła Majmonidesa, Awerroes i platonizm ukryty w Arystotelesie, a także wpływ na późniejsze pokolenia filozofów.

Dla samych Żydów najistotniejsze może było zastąpienie szczegółowego opisu praktyk religijnych syntetycznym sformułowaniem podstaw wiary. Takich artykułów wiary Majmonides wyliczył, jak sądzę, trzynaście, bezwzględnie obowiązkowych, bez których nie jest się Żydem. Jest to wiara w istnienie Boga, w Jego niepodzielną jedność, w Jego niecielesność i niezmienność, w Jego wieczność i przedwieczność, w to, że jest godzien uwielbienia, w prorokowanie wybranych, w najwyższy stopień prorocstwa Mojżesza, w boskość TORY i jej niezmienność, w to, że Bóg jest wszechwiedzący, w Opatrzność, w nagrodę i karę, w przyjście Mesjasza i w zmartwychwstanie. Zakwestionowanie choćby jednego artykułu wiary równa się herezji.

Majmonides zyskał jeszcze za życia ogromny rozgłos i poważanie w całym świecie żydowskim. Jego prace – a są jeszcze współcześnie bardzo cenione prace medyczne – zostały rychło przełożone na język hebrajski, bo w przeważającej części napisał je po arabsku, i na inne języki. Historycy żydowscy utrzymują, że wywarł on wpływ na całe przyszłe dzieje żydowskie i że jest niemal twórcą zupełnie nowego TALMUDU. Ale ten nowy TALMUD groził jeszcze większym skostnieniem, a poza tym przeciwnicy mieszania filozofii z religią podjęli z Majmonidesem bezwzględną walkę. Jego dzieła zostały przez rabinów francuskich obłożone klątwą, a z kolei sprzymierzeńcy filozofa z Prowansji zastosowali kontrklątwę. Papież Grzegorz IX razem z pismami katarów przekazał książki Majmonidesa Inkwizycji i zostały spalone na stosie. W samej Hiszpanii przeciw Majmonidesowi wystąpili najwięksi uczeni żydowscy następnego stulecia: Abulafja i Nachmanides (skrót RaMBaN). Wszystko to było odcinkiem walki między „filozofami” a „talmudystami”, mimo że istota sporu jest dla nas, jak zawsze w tych wypadkach bywa, już od bardzo dawna mało czytelna.

W każdym razie Hiszpania jeszcze przez prawie trzysta lat pozostała ogniskiem nauki i intelektu. Podróżników, uczonych prawników i lekarzy, gramatyków i językoznawców, poetów i talmudystów, i filozofów, a także dyplomatów i mężów stanu miało być po Majmonidesie jeszcze bardzo, bardzo wielu. Trzysta lat w dziejach narodów europejskich to ogromny szmat czasu, ale w historii Żydów to naprawdę nie tak wiele. Może to złudzenie, ale w porównaniu z nimi wszystkie inne narody wydają się nieco ociężałe.

Otóż Hiszpania nie była izolowana. Naturalnie, los Żydów w każdym kraju był nieco inny, jak nieco inne były prawa lokalne. Bo chrześcijaństwo w średniowieczu było takie samo w każdym kraju, przynajmniej jeśli idzie o stosunek do mniejszości, nie tyle narodowych, co wyznaniowych. Do Hiszpanii także docierały papieskie, a w każdym razie wyznaniowe gromy. Ale dopóki trwały zmagania z islamem, królowie hiszpańscy, zdając sobie sprawę z wielkiej użyteczności Żydów, po prostu nie zwracali na nie uwagi. Przy czym nie bez znaczenia były także koneksje międzynarodowe Izraela. Żyd był bankierem, lekarzem, dyplomata, informatorem. A ze szczególnego żydowskiego sojuszu interesu z intelektem wynikały ogromne korzyści dla nauki i kultury. Ale przecież to nie znaczy, że tylko intelektualści podróżowali, najwięcej, jak zawsze, było handlarzy, niestety, także handlarzy niewolników. Już w starożytności wydawano ustawy pozbawiające Żydów prawa do posiadania niewolników,

głównie chrześcijańskich. No, ale wtedy niewolników mieli wszyscy zamożniejsi ludzie, nie było to rzeczą nadzwyczajną. W średniowieczu zaczęło się to zmieniać, co rodziło liczne konflikty. W każdym razie handel był głównie w rękach żydowskich, nie tylko niewolnikami, ale także przyprawami, pachnidłami, klejnotami, leczniczymi ziołami i balsamami, a pewnie i winem. Nie licząc powiązań rodzinnych, Żydów wszystkich krajów łączyła silna więź i solidarność wyznaniowa. Niewolnik żydowski mógł liczyć na wykupienie praktycznie wszędzie, gdzie były żydowskie gminy, ponieważ wszędzie ciążył na nich taki obowiązek i to o charakterze religijnym. Równie obowiązkowy był fundusz na wspomnienie podróżnych, a także rodzaj hotelu czy schroniska przy każdej synagodze.

Żydzi więc podróżowali. Widzieliśmy, jak rodzina Majmonidesa z Hiszpanii wędrowała do Tunisu, potem do Palestyny, wreszcie do Egiptu. Ale uczony Abraham Ibn Ezra na przełomie jedenastego i dwunastego wieku wyruszył z rodzinnego Toledo do Afryki, Egiptu, Palestyny, Babilonii i Bagdadu. Stamtąd wrócił do Europy, mieszkał w Rzymie i innych miastach, zahaczył o Prowansję, w siedemdziesiątym roku życia odwiedził Londyn i znów powrócił do południowej Francji. A co powiedzieć o Beniaminie z Tudeli, który spędza w podróży dziesięć czy nawet kilkanaście lat, przemierzając Prowansję, Włochy, Palestynę, Syrię, Mezopotamię, Persję, Arabię, Jemen i przez Egipt i Sycylię wraca do Hiszpanii? I jeszcze spisuje swoje podróże, słynne MASSAOT BINJAMIN, przełożone niemal na wszystkie języki świata. Też w dwunastym wieku. Oczywiście jest, że Żydzi z innych krajów równie często odwiedzają Hiszpanię.

Ale szlaki handlowe Żydów prowadziły jeszcze dalej, a były wyjeżdżone jeszcze wcześniej. Już w dziewiątym wieku pewien pocztmistrz arabski, Ibn Kordadbeh, wymienia cztery drogi prowadzące do Indii i Chin, dwie przez Ocean Indyjski i dwie przez Azję Środkową – w tym drugim przypadku chodzi oczywiście o sławny Jedwabny Szlak. Najważniejsze, że właśnie Żydzi mieli na tych szlakach rozsiane gminy żydowskie, a więc automatycznie znaczne udogodnienia. Pamiętamy, że historycznie poświadczony wychódźstwo żydowskie do Indii odnosi się do piątego wieku, kiedy to podczas przedmuzułmańskich jeszcze prześladowań króla Persów Izdigerda III kilka tysięcy Żydów pod wodzą Józefa Rabana przybyło na Wybrzeże Malabarskie. Ale Żydzi nie byłiby Żydami, gdyby mając otwarte porty babilońskie nad Zatoką Perską, nie skorzystali ze sposobności migracji. A początek diaspory datuje się na rok 720. Cóż wobec tego wszystkiego Hiszpania? Zgoła niedzielna wycieczka...

Położona tuż za Pirenejami Septymania bywała nawet związana politycznie z Hiszpanią. Właśnie w Prowansji zachodniej, w rejonie Narbony, żywioł żydowski był wyjątkowo stary i silny. Dowodzi się nawet – ale to chyba już współcześnie – że wódz pierwszej krucjaty, Godfryd de Bouillon, wywodził się z żydowskiej rodziny. W tradycji żydowskiej protoplastą tych prowansalsko-żydowskich rodów był niejaki Machir, który Karolowi ocalił życie, a wedle innej wersji był przez niego wezwany z Bagdadu. Ale któremu Karolowi? Bałaban mówi o królu, Graetz o Karolu Wielkim, Johnson w ogóle o całej sprawie nie słyszał... A Leigh powiada, że Żydzi walczyli po stronie muzułmańskiej, i pewnie ma rację.

Prawdziwym twórcą talmudyzmu we Francji był Kalonymos, o którym uczeni podają fakty, miejsca i daty tak rozbieżne, że można zwątpić w ich uczoność. W każdym razie żył w Prowansji ród Tibbonidów, znakomitych tłumaczy, i Kimchidów, gramatyków i znawców hebrajszczyzny. Były tam akademie talmudyczne i wielu uczonych innych specjalności, a wśród nich Jakow ben Meszullam, sławny z tego, że nie pijał wina. Nawiasem mówiąc, podobnym zwyrodniałcem był także święty Józafat Kuncewicz, który także wina pić nie chciał, co mu zresztą lekarze odradzili, ponieważ mu to bardzo na zdrowie szkodzito. Poświadczam, że rodzina świętego nie podzieliła tych zgubnych zapędów. Być może nie podzielał ich także Bałaban albo Graetz, bo o autorze sławnego satyrycznego poematu TACHKEMONI twierdzą rzeczy przedziwne. Wedle Bałabana autorem jego jest Juda ben Salomo Alcharizi, a wedle Graetza Salomon Ben Sakbel, krewny rabina Józefa Ibn Sahal z Korduby. Treść poematu w obu

relacjach także niezupełnie się zgadza... Ale Bałaban przełożył fragmenty, więc przynajmniej musiał TACHKEMONI osobiście przeczytać. Z tego przekładu prześliczna jest charakterystyka pewnego lekarza z Damaszku: *Największym wśród łajdaków jest lekarz, głupi i przeklęty Baruch* (Baruch znaczy „błogosławiony”, przypis P.K.), *jego przekleństwo sięga góry Ebal, a pochodzi z rodziny Beliala. Lekarz do niczego, błazen, syn ulicznika (...), chorym daje do jedzenia mięso psie lub ośle i tym ich leczy (...)* *Znajdziesz w nim chytryść lisa, podstępność kota, bezczelność psa, pomysłowość niedźwiedzia, nieczystość kruka, brud płaza, obrzydliwość gada, upór osła, głupotę wołu, choć brodę ma kozła. Gdyby go w morzu zanurzono, zabrudziłby wodę morską...* Zauważmy, że Alcharizi oszczędził Baruchowi porównania do świni...

Na pewno Żydzi włoscy jeździli do Hiszpanii, bo Królestwo Obojga Sycylii (tą drugą Sycylią był Neapol) do Hiszpanii po prostu należało. Włochy były zresztą podzielone na bezlik małych państweczek, z dominującym Państwem Kościelnym pośrodku. Papieże wprawdzie występowali nagminnie przeciw Żydom, ale w praktyce żadnych drastycznych wydarzeń nie było. W jedenastym wieku powstała KRONIKA RODZINNA Achmaza z Orji, ściśle w duchu czasu, to znaczy encyklopedyczno-bajeczna. Można tam znaleźć dane o Aaronie z Bagdadu, który do ojcowskiego kieratu wprzągł lwa zamiast muła, a znowu przy innym kieracie w ośle wypatrzył zaginionego syna swego gospodarza etc. etc. We Włoszech powstała zresztą ciekawa sytuacja – Żydzi znaleźli w zakresie bankowości trudną do pokonania konkurencję w postaci północnowłoskich kupców i finansistów, tak zwanych „lombardów”, po których słowo „lombard” przeszło do wszystkich języków świata. Oczywiście i sami Żydzi nie byli od macochy, ale w tej sytuacji trudno było ich nie obdarzyć odium krwio pijców.

Najgłośniejszym dziełem tego czasu był anonimowy JOZIPPON, dzieło łączące historię Izraela, Rzymu oraz niezliczone legendy. JOZIPPON wszedł do kultury żydowskiej na prawach opowieści Eldada o rzece Sambation czy naszych dziewiętnastowiecznych WIECZORÓW POD LIPĄ. Zresztą działa współcześnie Sabbataj Donnolo, lekarz, botanik, astronom i kabalista, i Natan ben Jechiel, autor słownika wiedzy talmudycznej pt. ARUCH, czyli STÓŁ. Ponieważ u Żydów myślenie i pisanie było niezmiennie modne, więc ich uczeni są znacznie liczniejsi, wykładają na akademii medycznej w Salerno, a na prawniczej w Bolonii, piszą dzieła etyczne i talmudyczne. Poza tym handlują, uprawiają ziemię, zajmują się jedwabnictwem i farbiarstwem. To ostatnie było chyba wielką żydowską specjalnością, praktykowaną zarówno w krajach chrześcijańskich, jak i w rozległych domenach Proroka.

Największe sukcesy intelektualne Żydów włoskich przypadną na czasy nieco późniejsze i łączą się z wcześniejszym tam przecież niż w reszcie Europy Renesansem. Ale i w trzynastym wieku, „stuleciu summ chrześcijańskich”, nie brak ważnych postaci. Najciekawszy i najosobliwszy jest Abraham ben Samuel Abulafja. Urodzony w 1240 roku, jakżeby, w Hiszpanii, w Saragossie, uczony filozof, talmudysta i mistyk, twórca odrębnego systemu mistyki, uznał się za proroka i przyjął imię Razel, odpowiednio też ponazywał swoich uczniów. Podobnie jak Sokrates głosu Daimoniona, słuchał Abulafja głosu Ducha Bożego. A ten głos powołał go właśnie do odnalezienia rzeki Sambation, tej, która bez wody toczy kamienie i piasek. Ale nie była mu pisana kariera Livingstone’a trzynastego wieku. W trakcie podróży Duch Boży zmienił zdanie: za najpilniejsze uznał nawrócenie papieża na judaizm... Więc Abulafja przez Grecję i Włochy zmierza pospiesznie do Rzymu, a tam, nie zwlekając ani chwili, wkracza ze swoją misją do Watykanu. Pech chciał, że właśnie zmarł Mikołaj III, a konklawe jeszcze się nie odbyło (1280), nie było więc kogo nawracać. Ale kardynałowie porażeni bądź to osobą samego Abulafji, bądź też jego zamiarami, bezzwłocznie wydali go w ręce Świętej Inkwizycji, która, także bezzwłocznie, skazała go na stos. Ale Abulafja do tego stopnia opętał swoich sędziów, że nie tylko po niespełna miesiącu wypuścili go na wolność, lecz uzyskał prawo do bezkarnego głoszenia swoich mistycznych poglądów, miał licznych uczniów i napisał dwa dzieła, w których prze-

powiedział przyjscie Mesjasza na rok 1290. Po czym wrócił do Hiszpanii, może nie mogąc swoim uczniom spojrzeć w oczy? I nic już o nim więcej nie wiadomo, a bardzo szkoda.

Ale bardziej znaczącą na losach żydowskich postacią był papież Innocenty III, ten sam, za którego pontyfikatu (1198–1216) przeżyło papiestwo szczyt potęgi: pogromca albigensów, organizator czwartej krucjaty, bezsporny pan całej Europy. Innocenty III nie zaniedbał i Żydów: na soborze laterańskim (1215 r.) przeprowadził ustawę o Żydach, która zobowiązuje ich do płacenia dziesięciny plebanom, zabrania piastowania jakichkolwiek stanowisk i zmusza do noszenia specjalnych oznak od dwunastego roku życia. Te „znaki hańby”, Schandflecken, błazeńskie kapelusze albo żółte szmaty przypięte do ubrania, były wprawdzie pomysłem znacznie starszym, bizantyjskim, stosowanym także przez Almohadów, ale od tej pory stały się chrześcijańską normą obowiązującą w całej Europie. Tylko w Polsce, piszę to nie bez ulgi, nie przyjęły się nigdy. Ale i u nas ważniejsze od tego, co się mówi i robi, jest to, pod jakim znakiem i zawołaniem się występuje. Ciemny „duchowny” czy „politik” nawołujący, aby „Żyd przemawiał jako Żyd”, jest nieodrodnym potomkiem największej hańby chrześcijaństwa. Innocenty rzucił długi, bardzo długi cień – odnajdziemy go przecież także w opaskach epoki holocaustu.

W północnej Francji i zachodnich Niemczech Żydów odziedziczono po imperium Karolingów, a mieszkali tam oni od czasów niepamiętnych. Ich los był w zasadzie podobny, tyle że w Niemczech procesy historyczne w stosunku do Francji były opóźnione o całe stulecie. I tak, Żydzi mają monopol na handel i są mile widziani, dopóki rozwój miast nie spowodował powstania rodzimej konkurencji. We Francji nastąpiło to w wieku dziesiątym, w Niemczech – w jedenastym. W tym czasie zaszły okoliczności, zresztą w całej Europie, które z jednej strony oddały w ręce żydowskie bardzo ważny monopol, a z drugiej obciążyły ich wielkimi zarzutami. Otóż papież Grzegorz VII, czyli Hildebrand, ten, który upokorzył cesarza Henryka IV, rozkazując mu stawić się w worze pokutnym u bram Canossy (1077), przedsięwziął wielką reformę kościoła, zakazał definitywnie małżeństwa duchowieństwu i zabronił chrześcijanom uprawiania lichwy. Była to tak zwana reforma kluniacka, która przypadła u nas na czasy Bolesława Śmiałego, zwanego do dzisiaj w konkurującym z Krakowem Gnieźnie – Szczodrym. (Nawiasem mówiąc, do dzisiaj kanonicy kurii gnieźnieńskiej pozwalają sobie na delikatnie kąśliwe uwagi pod adresem tego świętego Stanisława i osobisty dar Szczodrego – złocisty ewangeliarz – pokazują ze szczególnym nabożeństwem.) A ponieważ bez kredytu nie ma życia gospodarczego, pobożny papież oddał w żydowskie ręce prawdziwą potęgę. Dzięki temu stanął obok Hillela z jego prawem *prosbolu*, choć zapewne obaj święci ojcowie, żydowski i chrześcijański, odnieśliby się do swojego towarzystwa z równie świętą zgrozą.

Ale Żydzi w państwach chrześcijańskich byli pozbawieni opieki prawnej i od czasu KODEKSU JUSTYNIANA traktowano ich jak cudzoziemców, a niekiedy i znacznie gorzej. Cóż więc im zostawało? Tylko bezpośrednia opieka suzerena terytorium, na którym mieszkali. Króla to króla, cesarza to cesarza, biskupa to biskupa. Była to bardzo niepewna, bardzo zmienna opieka, co zresztą zależało od konkretnego człowieka, miejsca i okoliczności. Mogło być całkiem znośnie, a nawet dobrze, mogło być kiepsko, a nawet fatalnie. Zawsze było niepewnie. Ten system bezpośredniej zależności Żydów od władcy był powszechny, ale najpełniej rozwinął się w Niemczech jako tzw. *Kammerknechtschaft*. W podstawowym kanonie prawnym Niemiec, czyli ZWIERCIADLE SASKIM, Żyd określany jest jako *vogelfrei*, czyli „wyjęty spod prawa”. Naprawdę Żyd, jego rodzina i majątek stawały się osobistą własnością suzerena. A roztaczana przez niego opieka nie zawsze bywała skuteczna. Ale to odnosiło się już do wszystkich mieszkańców.

Największym autorytetem wśród rabinów jedenastego stulecia był Gerszom ben Jehuda (965–1028) wykształcony w Narbonie, mistrz wszystkich późniejszych talmudystów we Francji i Niemczech – wtedy nazywano to „szkołą lotaryńską”. Zwano go „światłem diaspory”, choć niektórzy znawcy judaizmu są zdania, że talmudystą był raczej przeciętnym, ale

cieszył się ogromnym autorytetem, który pozwolił mu wydać prawo obowiązujące Żydów do dzisiaj. Był to zakaz wielożeństwa, bo aż do jego czasów wielożeństwo było wśród Żydów prawnie możliwe, chociaż podobno rzadko spotykane. Podobno. Gerszom miał dla równoprawnienia żydowskich kobiet jeszcze jedną ważną zasługę: zakazał zmuszania kobiet do rozwodu; była to tak zwana klątwa rabina Gerszoma – *cherem deRabbejnu Gerszom*. Ciekaw jestem swoją drogą, czy starania Gerszoma i reformatorów kluniackich pozostają w jakimkolwiek związku ze sobą. Bo chyba wynikają ze wspólnego ducha czasu.

Autorytetu Gerszoma nie zniszczył nawet jego własny syn, który przyjął chrześcijaństwo. I nawet to, że syna ani wyklął, ani przeklął, a po jego przedwczesnej śmierci odprawił po nim żałobę. Absalomie, Absalomie...

Ale największym talmudystą wczesnego średniowiecza był rabbi Szelomo Icchaki, czyli Raszi (1040–1105), twórca komentarzy do BIBLIJ i TALMUDU nawet współcześnie używanych w judaizmie. Chyba zachowała się także, jeżeli przetrwała nazizm i wojnę, synagoga w Wormacji, w której wykładał. Ta synagoga została wybudowana na modłę bizantyjską w 1034 roku przez pewne bezdzietne małżeństwo, a do drugiej wojny światowej zachowało się w niej nawet krzesło Rasziego. Nabożeństwo do Rasziego uzasadnia się nie tylko jego uczonością, ale i tym, że był ideałem rabina. Poza tym otwiera nową epokę twórców TALMUDU, tak zwanych tosafistów, od słowa *tosafot* – dodatek. Tak, można powiedzieć, że byli to twórcy TALMUDU, bo stworzyli następne piętro interpretacji, złożone ze zwięzłych uwag na marginesie, włączonych potem do kolejnych wydań TALMUDU. Zważmy, po tannaitach, amoraitach, sawuraitach, którzy budowali kolejne piętra interpretacji, przyszła kolej na tosafistów, wkład europejski, a przecież organicznie wynikający z nauk i epok poprzednich. TALMUD Jest prawdziwie nieskończony: może i dzisiaj gdzieś na świecie powstaje jego kolejne piętro?

Tosafiści byli w pewnym sensie kręgiem rodzinnym. Raszi miał trzy córki, bardzo uczone, które naturalnie wyszły także za uczonych. Była z tego gromadka wnuków, których zdążył jeszcze wyedukować sam znakomity dziadek na wybitnych rabinów-talmudystów. Ale największy po Raszim tosafista, rabbi Jakub ben Meir, zwany Rabejnu Tam (1110–1171), dziadka z natury rzeczy nie znał, bo się urodził pięć lat po jego śmierci. Rabbi Tam interesuje się także filozofią i koresponduje z uczonymi hiszpańskimi. A na ich wzór organizuje synody rabinów francuskich. Sławne też były kłopoty Tama podczas drugiej wyprawy krzyżowej.

Tymczasem bowiem zaszły wydarzenia, które miały przeorać całą Europę, a na dzieje żydowskie miały wpływ fatalny. Pierwsza ponadpaństwowa unia europejska miała charakter ideologiczny, militarny i agresywny. Jej celem było odebranie grobu Chrystusa z rąk niewiernych i temu celowi zostało podporządkowane działanie wszystkich instytucji wieku jedenastego. Ocena krucjat zmieniała się z biegiem czasu, od aprobaty do zgrozy. Z punktu widzenia Żydów wyprawy krzyżowe zawsze były koszmarem. Bo całkiem logicznym wnioskiem, skoro przyjęło się zasadę „zabić niewiernego”, było wytepienie bądź nawrócenie innowierców przede wszystkim na terytorium chrześcijańskim. Już pierwsza krucjata skierowana do Hiszpanii w roku 1065 niejako przy okazji tępiła Żydów. Nierównie potężniejsze efekty przyniosła pierwsza wyprawa do Ziemi Świętej w roku 1096. Burza rozpułała się we Francji, ale tu skończyło się na błyskawicach. Prawdziwy grom spadł na miasta nadreńskie, a potem na Czechy.

Cesarz, jedyny opiekun Żydów, był we Włoszech. Co prawda jeszcze u schyłku jedenastego wieku ludność niemiecka, a nawet i duchowieństwo były przychylnie Żydom, ale krzyżowcy stanowili przecież przemożną potęgę. W miastach nadreńskich ukrywa się Żydów, chroni na zamkach, w siedzibach biskupich. Na ogół nie bardzo skutecznie, toteż powtarzają się ustawicznie sceny przeniesione żywcem z Masady czy Jotapaty – zbiorowe samobójstwa. Krzyżowcy dają wybór: śmierć albo chrzest. W efekcie woda święcona staje się dla Żydów synonimem hańby i skalania. W Moguncji pewien „neofita” z obrzydzenia do siebie zarzyna swoje córki, podpala swój dom i synagogę i ginie w płomieniach. A pożar ogarnia miasto.

Krzyżowcy ciągną przez Trewir, Wormację, Spire, Moguncję do Kolonii, a potem do Pragi. Wszędzie powtarzają się złowrogie i krwawe sceny. Biskupi i mieszczanie nadaremnie starają się chronić Żydów, prędzej czy później leje się krew, płoną domy, depta się święte księgi i narzuca chrzest siłą. Każde miasto ma swoją osobną tragiczną historię, swoich odstępców, katów, męczenników. W Wormacji na przykład osiemset trupów, w Moguncji tysiąc trzysta, łącznie około dwunastu tysięcy. A ukoronowaniem wszystkiego była rzeź Żydów jerozolimskich, kiedy wreszcie 15 lipca 1099 roku zdobyto miasto. Ale tam krzyżowcy mordowali sprawiedliwie wszystkich – Żydów i muzułmanów.

Ironia losu sprawiła, że wedle mistycznych obliczeń przy końcu dwieście pięćdziesiątego szóstego cyklu księżycowego spodziewano się Mesjasza. Przypadało to akurat na lata 1096–1104, więc Żydzi gotowali się na przyjęcie niezwykłego szczęścia. Niespodzianka była zatem iście diabelska. A tak, nawiasem mówiąc, kiedy można spodziewać się Mesjasza, jak nie w momencie najstraszniejszym, najbardziej beznadziejnym, najpotworniejszym i najkrwawszym? Mądrość ludowa wszystkich czasów i krain upewnia, że noc jest najciemniejsza właśnie przed świtem. I można sobie wyobrazić, jak spodziewano się cudu, kiedy zamykały się drzwi komór gazowych...

Druga wyprawa krzyżowa (1147–1149) napotkała Żydów lepiej przygotowanych. Wprawdzie byli mnisi, którzy nawoływali do prześladowań, ale zarówno cesarz, jak król Francji, papież i sam Bernard z Clairvaux stanęli w ich obronie. Nie przeszkodziło to jednak całkiem rozlewowi krwi i prześladowaniom. W tym mniej więcej czasie obradował synod 150 rabinów, głównie z Francji, ale też powrócił prastary wymysł, że Żydzi przy okazji Paschy używają krwi chrześcijańskiej. Był to sławny proces w Blois w roku 1171, gdzie w wyniku intryg lokalnych wzięto na tortury, a następnie spalono trzydziestu czterech mężczyzn i siedemnaście kobiet. Oskarżenie i proces iście wariacki, który jednak wracał w dziejach niejednokrotnie, aż po wiek dwudziesty. A już przecież zbliżały się czasy Innocentego III i krucjaty przeciw katarom, w jakiejś mierze zwróconej i przeciw Żydom. Toteż w roku 1211 trzystu rabinów z Anglii i Francji przenosi się do Jerozolimy, przeszczepiając tam metody tosafristów. Trzystu rabinów, przecież z rodzinami, to bardzo poważne pokrzepienie żywiołu żydowskiego w Ziemi Świętej. Wprawdzie i tak mieszkają tam Żydzi, ale już w mniejszości. Przybysze budują nowe synagogi i ożywiają działalność naukową. A przypomnijmy, że sto lat wcześniej doszło do rzezi wszystkich Żydów jerozolimskich podczas pierwszej krucjaty. Ale teraz Jerozolima jest znowu muzułmańska. Nie na długo wszakże. Kraj zdobywają Mongołowie i wkrótce nie ma już śladu po trzystu rabinach i ich synagogach. W Jerozolimie roku 1260 mieszka dwa tysiące mahometan, trzystu chrześcijan i dwie rodziny żydowskie.

Wiek trzynasty w ogóle nie był dla Żydów wiekiem szczęśliwym. Ustawy o Żydach soboru laterańskiego z 1215 roku powoli zaczynają obejmować całe chrześcijaństwo zachodnie. A wśród nich chyba ta najfatalniejsza o specjalnym oznakowaniu żydowskich ubrań. Wydawałoby się, że to nic takiego, a jednak wywołało znamienne uczulenie wśród Żydów. Historycy żydowscy niejednokrotnie podkreślają, że na przykład gaonowie byli wspaniale ubrani, eksilarchowie nosili jedwabne płaszcze, a znów wojska żydowskie w Hiszpanii miały takie to a takie turbany. Otóż dla Żydów stało się to naprawdę istotne po gorzkiej lekcji „żydowskiego piętna”. A czy nie dałoby się nosić takich strojów jako rodzaj wyróżniającego munduru? W mundurach chadza każde wojsko świata i nie uznaje swego wyróżniającego przecież stroju za haniebny. Ale w epoce, kiedy każdy nosi, co chce i kiedy chce, już nie pamiętamy, że strój mógł ludzi wywyższać bądź upokarzać. Nie tylko Żydów. Zakazy noszenia pewnych szat bądź ozdób dotyczyły wielokrotnie na przykład mieszczan wielu krajów i też były przedmiotem ustawicznych skarg. Rzecz jest względna i wynika z nastawienia społecznego. „Być Żydem” w hitlerowskich Niemczech to nie to samo, co „być Żydem” we współczesnym Izraelu. Ta sama oznaka może być w pierwszym wypadku tytułem do poniżenia, a w drugim tytułem do dumy. Ale w pewnym sensie można by tak rzec o statusie Żyda w ogóle.

Wiek trzynasty to także czas rozłamu wśród samych Żydów. Poszło, jak pamiętamy, o Majmonidesa. Ale w istocie chodziło o racjonalizację judaizmu. Majmonides uważał wizje proroków za coś w rodzaju sennych marzeń, nie wierzył też w zło substancjalne, czyli w zaślępy demonów. Diabeł jest tylko pustką, ludzką słabością. A tego prawowierny monoteizm nie mógł strawić i nie trawi zresztą do dzisiaj. Można chyba uznać, że Majmonides to był rodzaj reformacji żydowskiej. Nie wyniknęły z tego wojny religijne chyba tylko dlatego, że Żydzi nie mieli warunków po temu. Ale niewiele brakowało, bo przemoc fizyczna, chociaż sporadycznie, także była stosowana. Poszczególne gminy żydowskie obrzucały się nawzajem klątwami, rabiniczne dyskusje zamieniały się w bójki, a szczytem wszystkiego było przyzywanie na pomoc przez antymajmonistów chrześcijańskiej Inkwizycji.

Równocześnie doszło do wydarzeń dla wszystkich Żydów złowrogich. Neofita Mikołaj, czyli Donin z północnej Francji, talmudysta wyklęty uprzednio przez rabinów, wystąpił z oskarżeniem, że TALMUD lży Jezusa. Trudno tu dociec prawdy, bo Żydzi mówią o tym niechętnie, natomiast ataki antysemitów są mało wiarygodne. Ale rzeczywiście jest tam plotka, że Jezus był synem rzymskiego legionisty, niejakiego Pantery – pamiętajmy, że TALMUD notuje wiele kontrowersyjnych opinii. Przy tym Donin dowodził, że wystarczy Żydom odebrać TALMUD, by przestali być Żydami – w czym, mimo przesady, było sporo racji.

Wszystko to doprowadziło do wielkiej dyskusji między Doninem a rabinami, z rabbim Jechielem na czele, w Paryżu w czerwcu 1240 roku. Kościół ostatecznie potępił TALMUD, przeprowadził konfiskatę tych ksiąg i w 1242 roku spalił je na stosie. Było tego dwadzieścia cztery wozy pełne egzemplarzy TALMUDU, a pamiętajmy, że zdarzyło się to jeszcze przed wynalezieniem druku, czyli szło o dwadzieścia cztery wozy rękopisów pochodzących z samej Francji, bo w innych krajach książkę tylko ocenzurowano, usuwając z niej pewne fragmenty. Rezultat był nieoczekiwany – Żydzi się zjednoczyli, rezygnując ze sporu o Majmonidesa.

Mieli zresztą jednocześnie inne kłopoty. Pojawiło się oskarżenie, że byli „piątą kolumną” Mongołów, ponieważ wśród nich znajdowali się wojownicy żydowscy, podobno jakiegoś żydowskiego plemiona z Chorasanu czy też potomkowie legendarnych „dziesięciu zaginionych pokoleń”. Ciekawe, że współcześnie znakomity uczony Lew Gumilow (radziecki? rosyjski?) przypomniał, iż wśród Mongołów byli i chrześcijanie, i to wcale liczni. Przecież polityka papieska widziała w nich w pewnym momencie przeciwwagę do mahometan i potencjalnych wyzwolicieli Ziemi Świętej... Mongołowie rzeczywiście mieli rozbudowany wywiad, ale z kogo on się składał, do dziś nie wiadomo. Mogły to być sponiewierane przez chrześcijan mniejszości religijne – czemu nie, jakież mieliby powód do obrony wrogiej im Europy? Ale najprawdopodobniej była to potwarz, ponieważ Żyd był i tak uosobieniem złego.

Tymczasem wojna o TALMUD przeniosła się na teren Hiszpanii, która po dawnemu była centrum cywilizacji żydowskiej. Chociaż teraz rozwinęła się poważna akcja chrystianizacyjna, unikano na razie przemocy fizycznej. Odbędzie się natomiast wielka dyskusja w Barcelonie w 1263 roku, gdzie judaizmu bronił sławny kabalista Mojżesz ben Nachman, czyli RaMBaN – Nachmanides, a jego przeciwnikiem był spowiednik królewski, Rajmund de Pennaforte. W tych czasach Kastylią rządził Alfons X Mądry, Aragonią zaś Jaime I. Nachmanides wziął już poprzednio udział w wojnie o Majmonidesa jako jego przeciwnik. Sławna dysputa, której celem było stwierdzenie, czy Mesjasz już przyszedł, czy też przyjdzie w przyszłości, nie dała naturalnie żadnych rezultatów, a skończyła się ostatecznie ocenzurowaniem TALMUDU i wygnaniem Nachmanidesa, który wyjechał do Ziemi Świętej. To z jego relacji wiadomo, że Jerozolima była w tym czasie miastem pustym i wymarłym: *Wielkie pustkowię i można powiedzieć, że im świętsze miejsce, tym bardziej opuszczone. Najbardziej jest spustoszona Jerozolima, Judea zaś bardziej niż Galilea. (...) Żydów prawie wcale tu nie ma, uciekli przed napadem Tatarów lub padli od tatarskiego miecza. W Jerozolimie mieszka stale tylko dwóch braci farbiarzy...*

Tymczasem w Hiszpanii wojna o filozofię i Majmonidesa trwała dalej. Następcą Nachmanidesa został Salomo ibn Adret, czyli Raszba – Rabbi Szelomo ben Adret (1235–1310), sławny talmudysta, autor sześciu tysięcy responsów, czyli odpowiedzi na zapytania dotyczące kwestii talmudycznych. Każdy wielki rabin odpowiadał na pytania kierowane do niego z całej diaspory i wedle tego historycy obliczają realne wpływy danej wspólnoty żydowskiej. Ale właśnie Ibn Adret zadał śmiertelny cios nauce żydowskiej w Hiszpanii, a pośrednio i na całym świecie.

Podobno bardzo niechętnie, pod wieloma naciskami, rzucił klątwę na wszystkich Żydów, którzy przed dwudziestym piątym rokiem życia zajmują się jakąkolwiek nauką poza BIBLIĄ, TALMUDEM i medycyną. Stało się to 25 lipca 1305 roku w Barcelonie.

Klątwa napotkała wprawdzie na opór. Miała być ważna tylko na lat pięćdziesiąt (tylko!), ale że została ogłoszona w kraju żydowskiej uczonej – Hiszpanii, wpływ jej rozciągnął się bardzo szeroko. A ponieważ kolejne stulecia miały być czasem krwawych prześladowań i pogromów, więc i miejsca do liberalnych roztrząsań nie stało. Czas filozofii i reformy skończył się. Na jego miejsce przyszła najbardziej tajemnicza nauka żydowska – Kabała.

Kabała

Kabała jest najbardziej tajemniczą i najbardziej kontrowersyjną częścią żydowskiego dorobku intelektualnego. Nie wiemy, kiedy powstała, sporne są jej źródła i początki, a poczynając od trzynastego wieku, kiedy to rozwinęła się i stała poważną siłą społeczną, ataki na nią nie ustają. Była – i jest nadal – dziedziną trudną, ciemną, ezoteryczną, słowem, klasyczną wiedzą tajemną. Nic więc dziwnego, że od początku bywała odrzucana zdecydowanie w imię racjonalizmu, a także tradycyjnego porządku wiary. Wiek osiemnasty i dziewiętnasty przyniosły próby praktycznej realizacji jej założeń, a równocześnie lawinę wszelakich oskarżeń. Dziewiętnastowieczny historyk Graetz nie znajduje dość mocnych słów, by ją potępić, po prostu prawdziwie pieni się od nienawiści. Dwudziestowieczny Bałaban jest już ostrożniejszy i nie uważa wszystkich twórców Kabały za wydrwigroszy i oszustów. Ale poświęca Kabale tak mało miejsca, jak tylko może, i uważa ją raczej za przykrą dewiację żydowskiej społeczności.

Ale tymczasem Kabała przestała już być wewnętrzną sprawą żydowską. Intelektualne bodźce w niej zawarte obudziły powszechne zainteresowanie i można je chyba porównywać z chrześcijaństwem, które też przecież poczęło się w środowisku żydowskim. Nowożytna i pozażydowska fascynacja Kabałą rozpoczęła się od wydanej na samym początku XX wieku książki austriackiego pisarza Gustava Meyrinka GOLEM. Powieść, usytuowana w realiach starej dzielnicy żydowskiej w Pradze, nie była, jak uważają specjaliści, ani prawowiernie kabalistyczna, ani prawowiernie żydowska, przeciwnie, odwoływała się do myśli dalekowschodniej. To połączenie, modne od schyłku dziewiętnastego wieku, przetrwało zamęt dwóch wojen światowych i znalazło ogromne uznanie w sto lat potem, w ruchu New Age, dla którego Kabała jest jednym z kamieni węgielnych.

Kabała w potocznej polszczyźnie oznacza wróżenie z kart albo jakieś kłopoty i tarapaty. Ale w języku hebrajskim znaczy „tradycja” i jest jednym z wielu określeń tego pojęcia. W tym wypadku chodzi o tradycję przekazywaną ustnie przez nauczyciela uczniowi. Bynajmniej nie wszystkim uczniom, ale tym skrupulatnie wybranym i zaufanym. A tych uczniów nie mogło być więcej niż trzech. Naturalnie, pośrednictwo pisma było wykluczone, czy jednak odnosiło się to i do jakichś notatek – nie wiem. W każdym razie Kabała rozwijała się przez stulecia w tajemnicy, a co najmniej w zaufaniu. Od jak dawna – też nie wiadomo. Najprawdopodobniej sięga czasów Filona z Aleksandrii, a może i znacznie wcześniejszych. Były źródła żydowskie, chrześcijańskie, arabskie, może też jeszcze inne, na przykład dalekowschodnie.

Wszystko jednak zaczęło się od monoteizmu, od takiego wyniesienia pozycji Boga ponad stworzenie, świat, że w końcu pomiędzy Bogiem i światem zabrakło właściwie jakiegokolwiek związku. Bóg, En Sof, był nieskończony i niepojęty, bez atrybutów, nie można było o Nim powiedzieć po prostu nic. W teologii islamu, w filozofii żydowsko-hispańskiej wielokrotnie powracał ten wątek. Przestrzeń między Bogiem a światem trzeba było czymś zapęłnić. W centrum świadomości żydowskiej było coś takiego – a było to Boskie PISMO, TORA. O Bogu wprawdzie nic nie można było wiedzieć i powiedzieć, ale o TORZE bardzo dużo. A przede wszystkim to, że składa się z liter. O potędze TORY mówiłem już w rozdziale o TALMUDZIE. Powszechne było przekonanie, zresztą także wśród chrześcijan, że PISMO jest dziełem bardzo bogatym w treść, bogatszym, niż się komukolwiek wydaje, że jest także księ-

gą magiczną, za pomocą której można czynić cuda, że głębia jej sensu jest praktycznie niezmierną. Zresztą także i współcześnie odkryto tzw. kod biblijny, zawierający wszelkie, przeszłe i przyszłe, wydarzenia. Już kazuistyka Hillela, która doprowadziła do prawa *prosbulu*, wynikała z takiej interpretacji BIBLIJ, w której liczyła się i każda litera, i każdy zwrot stylistyczny, i kombinacje najróżniejsze między słowami i literami, i wartość liczbowa poszczególnych słów – bo litery hebrajskie były zarazem cyframi. Wszystko to miało być z góry zamierzone, niczego nie oddano przypadkowi.

W sławnym, wielokrotnie cytowanym kabalistycznym ustępie czytamy: *Czy jest możliwe, by Bóg nie miał ważniejszych rzeczy do podania swemu narodowi, jak opowiadania o Ezawie i Hagarze, o Labanie i Jakubie, o oślicy Balaama i złości Balaka? Czyż zasługuje zbiór tego rodzaju na nazwę TORY? Wszak taką księgę moglibyśmy i dzisiaj napisać, jeśli nie lepszą? Nie! Wyższe, mistyczne znaczenie każdego słowa stanowi prawdę TORY, każde słowo wskazuje na coś wyższego, ogólniejszego. TORA codzienna jest jak piękna suknia; suknia okrywa ciało i to są przepisy religijne, ale ciało okrywa duszę. Głupcami są ci, którzy patrzą tylko na szatę, a szczęśliwymi są pobożni, którzy szukają istotnego znaczenia TORY. O wino chodzi, nie o dzban, tak samo chodzi o głębokie znaczenie TORY, a nie o historyczne opowiadania.*

W ten sposób TORA stała się przedmiotem interpretacji iście zawrotnych, zresztą już od bardzo dawna. Ich owocem był TALMUD, a następnie Kabała, która stała się kolejnym kanonem ksiąg świętych lub prawie świętych. Sama TORA miała istnieć już przed stworzeniem świata i sam Bóg miał do niej sięgać, ponieważ było to Prawo Boże, spisane ciemnym ogniem na ogniu białym, składała się zaś z imion Boskich albo nawet cała była jednym wielkim Imieniem. Ale, naturalnie, właściwy sposób czytania jej był skrupulatnie ukryty, ponieważ znając go, człowiek stałby się równy Bogu.

Pierwsze dzieło kabalistyczne, KSIĘGA STWORZENIA, czyli SEFER JECIRAH podaje właśnie zasady „boskiego alfabetu”. Nie wiadomo, kiedy i gdzie została napisana. Jeszcze na początku tego stulecia datowano ją na wiek ósmy. Nowsze badania wykazały, że jest o wiele starsza i pochodzi prawdopodobnie z trzeciego wieku. Ale średniowieczni kabaliści uważali, że jest znacznie starsza, że już nawet sam Abraham miał ją w swoich rękach! Że być może jej autorem był Adam! W każdym razie pewne fragmenty mogą być wielkiej dawności. W ogromnie wieloznacznych sentencjach przynosi ona koncepcję dziesięciu Sefirot (Sefir), własności duchowe dwudziestu dwu liter hebrajskiego alfabetu i kolejność tworzenia. Z ducha powstało powietrze, z powietrza woda, a z wody ogień. Celowo niejasne formuły wyglądają na przykład tak:

Dwanaście jest na dole i siedem na górze, na ich tyle, a trzy są na tyłach siedmiu. I z trzech jest Fundament Jego mieszkania. I one wszystkie zależą od Jednego. Znakiem jest Jeden, nie ma w Nim dwóch. Król jest jeden w świecie i jego imię jest jedno.

Każde słowo jest tak wieloznaczne, zwłaszcza w hebrajskim systemie zapisu, że może odnosić się praktycznie do wszystkiego. Wieloznaczna jest sama TORA, ale wieloznaczność komentarza podnosi tę cechę do wręcz niewyobrażalnej potęgi. W każdym razie sens ogólny jest taki, że TORA jest przedwieczna, że słowo jest równoznaczne z rzeczą lub działaniem i wypełnia przestrzeń między niepojętym Stworzycielem a stworzonym.

Czy ja, goj przecież, muszę to wszystko potraktować jako sprawę wewnątrz żydowską, w którą mogę po prostu wierzyć lub nie wierzyć, czy też mogę przetransponować ten pogląd na inny, bardziej uniwersalny grunt? Czego więc jako nie-Żyd mogę nauczyć się od Żydów?

Ksiąg świętych jest wiele, tak samo jak wiele jest religii. Co prawda, Żydzi odpowiadają na to, że to oni są narodem wybranym, a ich język ocalał z ogólnego pomieszania mowy na wieży Babel. Wobec tego on właśnie jest pierwotny i święty, a więc i TORA jest wyjątkowa. Ale inne religie też wierzą w wyjątkowość swoich świętych ksiąg. Oczywiście, można by argumentować, że było wiele przesłań skierowanych do różnych ludów, ale nie to mam na myśli. Można przecież przyjąć, że cały język jako *langue* (według terminologii de Saussure'a)

był tą emanacją, nie wnikał już, jaką i którą, co wypełniła przestrzeń między Bogiem a światem. Natomiast *parole* to konkretne księgi święte czy po prostu praktyka językowa.

Bo język rzeczywiście jest czymś wieloznacznym i magicznym. On może mówić o wszystkim jednocześnie i w kombinacjach swoich znaków nazywać cały świat dostępnym ludzkiemu pojmowaniu. Za jego pośrednictwem można dokonywać bezmiaru rzeczy i małych, i wielkich, przekazując polecenia lub prośby istocie rozumiejącej je, człowiekowi i jego zwierzętom, Bogu i duchom, jeśli istnieją, a teraz także nieożywionym przedmiotom – komputerom. Współczesny New Age podejrzewa, że język mógłby docierać do każdej rzeczy bezpośrednio, ale nie potrafi określić warunków, w jakich to się dzieje. W każdym razie przypisuje językowi nie mniejszą moc i świętość niż sama Kabała. Bo też Kabała jest jednym z jego istotnych źródeł. Można by co prawda pójść odrobinę dalej i powiedzieć, że przestrzeń między Nieskończonym a światem wypełnia po prostu świadomość, i byłoby to mniej więcej tym samym. Ale język jest bardziej mierzalny i przeliczalny.

Mistyka języka hebrajskiego rozwinęła się prawdopodobnie wtedy, gdy już zapomniano o historycznym powstawaniu i redagowaniu samej TORY. Język hebrajski złożony z dwudziestu dwóch spółgłosek, będących zarazem liczbami, stwarzał wręcz nieskończone pole do przekształceń. Ten sam rdzeń spółgłoskowy można było czytać na różne sposoby, które tym samym były sobie powinowate. Można było obliczyć ich wartość liczbową i wyrazy o takiej samej wartości też były pokrewne. Zwano ten aspekt języka *gematrią*. Można było zamiast pierwszej litery alfabetu podstawić jedenastą, zamiast drugiej – dwunastą i tak dalej, a również stosować przeróżne przestawki – i była to *temura*. Można też było poszczególne imiona uważać za inicjały – co było zasadą *notarikonu*. Nic dziwnego, że wszystko kojarzyło się tu ze wszystkim, co zresztą może zachodzić równie dobrze w samej świadomości. Liczne reguły przekształceń znane Kabale wymagały długich studiów, a dla niepoinformowanych – czyli niewtajemniczonych – stanowiły absolutnie ciemną zagadkę.

Krytyka literacka, którą zajmowałem się długie lata, może prowadzić do wniosków nader podobnych, acz nie odnoszących się do TORY. Analiza semantyczna dowolnego tekstu prowadzi w takie same gąszcze jak Kabała, w maceczniki stokrotnych komplikacji, w pokrewieństwo wszystkich możliwych znaczeń, doprowadzając do tego, że twierdzenie staje się równoznaczne z przeczeniem. Dlatego skądinąd pasjonujące dociekania językowe Kabały wydają mi się trochę sztuką dla sztuki. O języku można powiedzieć wszystko dokładnie tak jak o wszechświecie, Bogu, duszy, świadomości. Wszystko będzie równie prawdziwe, co nieprawdziwe, i twórcy Kabały zasługują na szacunek, że odważyli się próbować coś zrozumieć. Dociekania językowe przynosiły raczej nadmiar informacji wysoce niepewnej, którą można było prawie zupełnie dowolnie sterować, ale stanowiły też fundament działań magicznych. Nie były czystą teorią. Sławna była legenda o dwóch rabinach, którzy na drodze magii kabalistycznej stworzyli niewielkie ciele – i następnie zjedli je na kolację. Do tego kręgu należy legenda o Golemie, ożywionej istocie z gliny, której na czole wypisano słowo *emeth* – prawda, a następnie wymazano literę „e”, przez co powstało słowo *meth* – śmierć i Golem przemieniał się ponownie w glinę. Twórcą Golema miał być siedemnastowieczny rabin praski, rabbi Liwa (Löw) Ben Becalel, ale motyw jest znacznie starszy. Przy okazji wypowiedziano na ten temat mnóstwo subtelnych i głębokich komentarzy. Ale był to już bardzo późny etap rozwoju Kabały.

Samych początków, jako się rzekło, nie znamy. Zapewne jest tak stara jak TALMUD, stanowiąc część nie spisanych nauk. Zakwitła dopiero w kręgu filozofii hiszpańsko-żydowskiej, w pierwszych stuleciach kończącego się właśnie tysiąclecia. Ten krąg, przypomnijmy, nie ogranicza się do samej Hiszpanii, obejmował także Prowansję, Włochy, a w jakiejś mierze i pozostałe kraje Europy Zachodniej. A pamiętajmy przy tym, że świat, podzielony na chrześcijaństwo wschodnie i zachodnie i na islam, z punktu widzenia Żydów i ich nauki nadal stanowił całość. Nie da się zatem Kabały, majmunistów i antymajmunistów ogra-

niczyć do jednej tylko okolicy. Była więc niezliczona liczba małych ojczyzn Kabały, chociaż za główne jej centrum uznawano w średniowieczu Geronę. Niezliczona też była liczba uprawiających ją uczonych i dzieł jej poświęconych.

Na szczególną uwagę zasługuje SEFER HA BAHIR, czyli KSIĘGA JASNOŚCI, dwunastowieczne anonimowe dzieło, przedmiot ogromnego gniewu późniejszych uczonych, bo była to podobno księga nad wyraz nieporządna. Ale naprawdę nieśmiertelne dzieło ukazało się o stulecie później i nosiło tytuł SEFER HA-ZOHAR, czyli po prostu ZOHAR, KSIĘGA BLASKU, KSIĘGA JASNOŚCI, której fragmenty weszły do żydowskich modlitewników, dzieło tysiące razy wznawiane, tłumaczone na wszystkie języki, odpowiedzialne za wielką część historii Żydów i tego, co teraz w kulturze światowej nazywamy posmodernizmem.

Przez siedemset lat trwają dyskusje, kto i kiedy był jej autorem. Została napisana w języku aramejskim, a za jej odkrywcę i wydawcę (ale to było znacznie bardziej skomplikowane) podawał się Mojżesz z Leonu (1250–1305). Samą księgę napisał rzekomo Szymon bar Jochaj, ten, który po upadku powstania Bar Kochby w II wieku naszej ery spędził, ukrywając się przed Rzymianami, długie lata w jaskini koło wioski Peki'in, jeden z twórców TALMUDU, otoczony legendami cudotwórcy. Właśnie podczas pobytu w jaskini, w ciemnościach, anioł Metatron miał go wprowadzić w sekrety tajemnego znaczenia PISMA. W każdym razie to właśnie rabbi Szymon jest jednym z rozmówców – inni to wielcy tannaici jego czasów. Księga spisana przez niego i jego syna Elazara miała w ukryciu przeleżeć przeszło tysiąc lat.

Mojżeszowi z Leonu zarzucono oszustwo, a księgę uznano za heretycką. Jednak sprawy nie układają się tak prosto. Najprawdopodobniej Mojżesz rzeczywiście zredagował jedynie albo w większości bardzo stare opowieści, a z jakich źródeł korzystał, odpowiedzieć trudno. Bo jeśli był do końca kłamcą, to tym samym musiał być i geniuszem. *Tertium non datur*. Dzieło ma charakter komentarza do TORY, jakżeby inaczej. Ale dodaje do niej wiele konkretów, wiele nieznanych z kanonu BIBLIJ szczegółów historycznych. Nie to wszakże jest najważniejsze. Kodyfikuje mianowicie ezoteryczną wykładnię PISMA, przedstawia tajemny ciąg wydarzeń i jego ukryte znaczenie.

Trudno byłoby natomiast wyliczyć wszystkich uczonych kabalistów tym bardziej, że historie żydowskie nie wydzielają ich na ogół z grona talmudystów, zresztą słusznie, ponieważ kabaliści rekrutują się wyłącznie spośród uczonych talmudystów. Kabalistą był w każdym razie Abulafja, o którym już opowiadałem, ten, który chciał nawrócić na judaizm papieża. Był nim także jeden z najwybitniejszych rabinów owej doby, Mojżesz ben Nachman, czyli Nachmanides (1195–1270), uczestnik słynnej dysputy między chrześcijanami i Żydami w Barcelonie w 1263 roku, później wygnany z Hiszpanii do Ziemi Świętej. I bardzo wielu innych. Jeśli wierzyć temu, co pisze największy znawca Kabały, Gerszom Szolem, to niektóre, a ważne teksty do dzisiaj nie zostały w ogóle wydane. Nie zawsze też można poszczególne poglądy umiejscowić w czasie, bo kształtowały się w różnych miejscach i stuleciach. Na przykład fundamentalna koncepcja *cimcum* ma być dziełem Izaaka Lurii z późnego, palestyńskiego okresu. Ale Bałaban przypisuje *cimcum* samemu ZOHAROWI, trzysta lat wcześniej! Ktoś więc musi się mylić albo poszczególne idee przez stulecia żyły własnym, niedoprecyzowanym i nienazwanym życiem. Zresztą to, co później wymyślił Luria w Safedzie, nakładało się logicznie na Kabałę wcześniejszą, hiszpańską, „klasyczną”. Cóż więc było w niej tak fundamentalnego poza wspólnym z TALMUDEM kultem TORY i wiarą w omnipotencję jej słowa?

Pamiętamy, że o Bogu nic nie można było powiedzieć poza tym, że był En Sof – Bez Końca. Ale potem wyłaniały się eony-emanacje zwane Sefirotami, których było dziesięć. Można dyskutować w nieskończoność, jaki był w tym udział Platona i Plotyna, gnozy aleksandryjskiej z Filonem i bezliku innych wpływów. Jakiś był na pewno, ale trudno określić jego rzeczywiste granice. Najwyższą Sefirą była *Keter*, czyli Korona, z niej wyłoniła się *Chochma* – Mądrość, a ta z kolei powołała Sefirę trzecią – *Binę*, czyli Intelpekt. Intelpekt powołał *Daat* – Wiedzę, ale jej pozycja jest pośrednia i właściwie nie jest Sefirą. Poprzez Wiedzę Intelpekt

wyłonił Sefirę czwartą – *Chesed*, czyli Miłość albo Miłosierdzie, zaś Miłosierdzie powołało *Gewurę*, czyli Sąd, Potęgę, a w efekcie karę. Z piątki wyłoniła się szóstka – *Tiferet*, czyli Piękno. A z Piękna – Zwycięstwo, siódme – *Nocach*. Z tego z kolei powstał *Hod*, czyli Majestat, a z Majestatu – Fundament. Ta dziewiąta Sefirą, *Jesod*, pośredniczy między duchem a materią, a zarazem kojarzy się z seksem. Na koniec zaś wynika z niej Sefira dziesiąta – *Malchut*, czyli Królestwo. Ale zarazem jest to właśnie słynna Szechina, czyli jakoby Opatrzność, obecność Boga w materii. Wszystko to jest zresztą znacznie, znacznie bardziej skomplikowane. Jak chyba wszystkie systemy teologiczne – sam TALMUD przecież nie jest mniej złożony.

Tu grają rolę nie tylko same Sefiry, ale i połączenia między nimi, których jest dwadzieścia dwa. Razem z Sefirami czyni to trzydzieści dwie „tajemne ścieżki tworzenia”. Ale to jeszcze nie wszystko. Każda książka poświęcona Kabale prezentuje dziwny schemat, trzy rzędy punktów połączonych liniami. W środkowym są cztery punkty, w bocznych po trzy. Te punkty to Sefiry. Po prawej tworzą Filar Ekspansji, po lewej Filar Ograniczenia, co odpowiada męskiej i żeńskiej części dalekowschodniego schematu *in-jang*. Ale między nimi jest środkowy Filar Równowagi. Tym wzorcem można opisać wszystko, zarówno wszechświat, jak człowieka pod względem fizycznym i duchowym i w ogóle każdą rzecz na niebie i na ziemi. Są tu trzy zasadnicze poziomy: intelektu, uczuć i działania. To wszystko przecież to uniwersalne Drzewo Życia, odwrócone korzeniami do góry, sen i jawa wszystkich mitologii świata. A w ogóle wspomniany Gerszom Szolem uważa, że Kabała wprowadza do judaizmu mit, którego tam rzekomo poprzednio nie było. Czy może to sprawiło, że stała się tak bliska wszelakim odmianom gojów?

Ale to jeszcze dalece nie wszystko. Pośrodku Drzewa Sefirot jest Sefira *Tiferet*, Piękno, na samej górze *Keter* – Korona, na samym dole *Malchut*. Otóż wedle formuły wziętej z Ezechiela są cztery strefy istnienia, cztery światy zgromadzone jeden nad drugim, które zająbiają się w ten sposób, że *Tiferet* świata górnego jest zarazem *Keter* świata pod spodem. Powstaje z tego olbrzymia konstrukcja, pełne Drzewo Życia sięgające od Boga przez aniołów do świata materii i zmysłów. Poszczególne światy to Korzenie, Pień, Gałęzie i Owoce, oczywiście, od góry licząc. A inaczej: najwyższy świat nazywa się Bliskość, czyli *Acilut*. Jest to oczywiście bliskość od (?) do (?) Boga, do nieodgadnionego En Sof. Jahwe-Elohim jest tu aspektem Najwyższego, demiurgiem-stworzycielem. A skądinąd ten najwyższy ze światów nosi imię Adama Kadmona, Boskiego zamysłu człowieka, ponieważ właśnie człowiekowi przypada w tej strukturze ogromnie ważna rola.

Niższe światy to Kreacja – *Beri'a*, Formowanie – *Jecira* i Działanie – *Asija*. Szczególnie, że zbuntowany anioł – Samael zajmuje tu bardzo wysoką pozycję, ponieważ Szatan jest także sługą Boga, a jego bunt był koniecznym elementem świata. Natomiast rola człowieka jest naprawdę wysoce szczególna. Przypominamy, że świat jest zwierciadłem Boga rozpościerającym się po najgłębsze otchłanie. I oto od człowieka rozpocznie się proces powrotu, wstępowania aż do początkowej jedności. Wygnany ongiś z raju człowiek dysponuje świadomością i elementami boskości i jako taki jest w stanie z powrotem „zwinąć” łańcuch emanacji. Równocześnie działa w ten sposób na rzecz własnego, osobistego zbawienia. Od świata Działania, przez Formowanie do Kreacji, aż do progu świata Bliskości, czyli od ciała przez duszę i ducha podąża człowiek ku Bogu przez niezliczone trudności i przeszkody. Do pomocy ma PISMO, które w tajnej mowie podsuwa mu wskazówki niezbędne. Prowadzi go więc niezawodna Kabała. I to prowadzi od momentu poczęcia, jeszcze przed urodzeniem: pierwsze elementy wiedzy tajemnej otrzymuje człowiek jeszcze przed urodzeniem. Potem trzeba je kultywować, budzić się ustawicznie ku nowemu i wyższemu. Na ogół każdy człowiek ma bodaj jeden moment gnostycznego olśnienia. Przypomina to zdanie malarza i filozofa, himalaisty Roericha, że do każdego człowieka raz w życiu przychodzi posłaniec, rzecz w tym, aby go rozpoznać. Podobną drogą postępują narody – a szczególnie naród wybrany. Ale trzeba się podnieść bardzo wysoko, aby w wyniku powszechnej dojrzałości moralnej u kresu dziejów mógł się pojawić Mesjasz.

Tu jest zresztą cały problemat. Kabała przyjmuje wędrówkę dusz, czyli reinkarnację, co do czego ortodoksyjny judaizm nie miał ostatecznego zdania. W każdym razie muszą wędrować dusze grzeszników – a na wcielenie się Mesjasza nie ma w tej sytuacji po prostu miejsca. Ale tu opinie się różnią i konkretne tezy zmieniają. Na razie fundamentem świata jest „trzydziestu sześciu sprawiedliwych” – *Lamed Waw*, którzy pozostają nieznani i nie znają się nawzajem. Mogą się wywodzić z różnych narodów i religii, a są elementem najwyższego ładu, tymi dziesięciu sprawiedliwymi, dla których Bóg miał nie zniszczyć Sodomy. Jest to zapewne jedno z najbardziej tajemniczych miejsc ZOHARU. Ale to tylko zarys zarysu poglądów kabalistycznych, które są naprawdę stokroć bardziej złożone.

Widzę jednak, że postępuję jak prawy chrześcijanin: chcę obedrzyć Żydów z ich własności intelektualnej, nie dając nic w zamian. Może więc mniejsza z tym, jakie to wszystko robi wrażenie na mnie i na innych mieszkańcach postmodernistycznej krainy, zawróćmy do średniowiecza, które przeżywało swój zenit i pomału chyliło się ku schyłkowi. Dla Żydów szły kolejne złe chwile.

Przede wszystkim sami Żydzi byli podzieleni na stronników Majmonidesa i jego przeciwników, co w końcu doprowadziło do interwencji katolickiej Inkwizycji i spalenia TALMUDU. Po wtóre, w całej zachodniej Europie zaczęły narastać ruchy antysemickie, które w końcu doprowadziły do niemal powszechnego wypędzenia Żydów, co musiało być jednym z najważniejszych wydarzeń w całej historii żydowskiej. Ale właśnie mistyka i Kabała, które bardzo się rozpowszechniły wśród całego narodu, stały mu się pokrzepieniem i pociechą. Także i to, że zapowiadała rychłe pojawienie się Mesjasza – przynajmniej w dużej części wersji, a było ich przecież niemało. Zauważmy analogię w dziejach Polski – nadzieje na szybkie odzyskanie niepodległości prowadziły do krwawych i nieudanych powstań, ale w dłuższej perspektywie historycznej ułatwiło to Polakom zachowanie własnej tożsamości. Zawiedzione nadzieje wpisują się w historię całkiem inaczej, niżby się to w pierwszej chwili wydawało. Widocznie działanie, choćby nieskuteczne, stanowi równie nieodzowny element ludzkiego losu, co nawet najmądrzejsze planowanie i projektowanie nie prowadzące jednak do niczego.

Zabawne bywa oburzenie historyków na Kabałę, na jej mistycyzm i rzekomy panteizm. Racjonalistyczne szufladkowanie dziejów nie sprzyja widocznie rozumieniu innych sposobów zachowania. Johnson ubolewa: *Gnostycyzm – sztuka sekretnych systemów wiedzy – jest niezmiernie szkodliwą pasożytniczą naroślą, wyrastającą niczym trujący bluszcz na zdrowym pniu wielkich religii*. A Bałaban: *Jak cień za samym przedmiotem, tak wlecze się kabała obok i za nauką TALMUDU przez epokę tanaitów, amorejów i gaonów, raz kryjąc się w cieniu, to znów wysuwając się naprzód. Jej rola rosła i malała w stosunku odwrotnym do powodzenia narodu. W chwilach powodzenia, gdy wystarczał rozum dla wyjaśnienia zagadek życia, nie widzimy mistyki, skoro jednak nieszczęście nawiedzi naród, wówczas szukają nieszczęśliwi ukojenia i ratunku w objawieniach nadprzyrodzonych i oto występuje mistyka*.

Można jednak wątpić, czy kiedykolwiek człowiek, a Żyd w szczególności, przeżywa okresy absolutnego powodzenia; choćby dlatego, że każdy umiera i nie może o tym zapomnieć. A Żydzi mieli dodatkowe powody, by pamiętać, że wszystko przemija.

W każdym razie na kolejnym etapie prześladowań i tułaczki Żydzi zostali wyposażeni w nowy, bardzo skuteczny oręż w walce o utrzymanie swojej tożsamości narodowej. Muszę tu wtrącić pytanie: a cóż mi tak bardzo zależy na tożsamości narodowej Żydów? Otóż przed laty rozmawiałem z pewnym politykiem, który ubolewał nad żydowską tożsamością, ponieważ ona bardzo przeszkadza w asymilacji. A cóż mi z „asymilowanego Żyda”? Oczywiście, to samo, co z jakiegokolwiek człowieka, to prawda. Ale właśnie utrzymanie inności tego kogoś sprawia, że będzie miał mi coś do dania, czego nie znam i nie potrafię. Po prostu zwyczajne mnożenie podobnych do mnie – ludzi i narodów – wcale nie jest w moim interesie moralnym i intelektualnym. Moje stanowisko opiera się, oczywiście, na przekonaniu, że wszystkie prawdy i wartości, w tym także moje własne, są względne. Przyznaję jednak, że i ten pogląd tak samo.

Żydzi, generalnie rzecz biorąc, przesunęli się na wschód. Z Anglii, Francji, Hiszpanii, Niemiec przenieśli się do potężnej i wielkiej w owym czasie Polski i do Turcji, pod opiekę przyjaźniejszego im islamu. Nie znaczy to zresztą, żeby w reszcie Europy, poza Anglią, już zupełnie Żydów nie było. Ale było ich mniej, po prostu tak mało, że nie mogli tworzyć jakichś znaczących centrów intelektualnych. Te odrodziły się w Polsce i, przynajmniej na pewien czas, w tureckiej wówczas Palestynie, czyli w samej Ziemi Świętej. Tu rzeka obecności żydowskiej z biegiem stuleci zmalała do wąskiego strumyka, potem wręcz nitki, ale ta nitka nigdy się nie urwała. Była to ówczesnie prawdziwa prowincja i raczej odludzie, po którym podróżowali przybysze z innych krajów, przywożąc niepokojące czy wręcz alarmujące wieści, dotyczące żydowskiej obecności czy nieobecności raczej. Jehuda Halewi, Beniamin z Tudeli, Nachmanides, Obadia z Bertinoro i wielu innych. Ale przecież Żydzi zawsze tęsknili do tej ziemi, zawsze doroczne życzenia paschalne brzmiały: *Przyszłego roku w Jerozolimie* – i zawsze też znalazło się paru takich, którzy decydowali się na powrót.

Tymczasem Jerozolimę otoczyły nowe mury ustawione w znacznej mierze na starych fundamentach, ustalił się podział miasta na dzielnice żydowską, arabską, chrześcijańską i ormiańską i utrwaliła się renoma świętego miejsca trzech religii. Ale ponowne osadnictwo żydowskie kierowało się w inną okolice, na północ, do Galilei. Tam właśnie żywił żydowski trzymał się w starożytności najdłużej, a pewnie i w czasach tureckich, w szesnastym wieku, było tu stosunkowo najwięcej Żydów. I właśnie tam, wśród lesistych wzgórz i gór, w pobliżu miejsca, gdzie tak zaciekle broniła się przed Rzymianami Jotapata, niezbyt daleko od Jeziora Tyberiadzkiego, leżało miasto Safed, dziś ośrodek turystyczno-klimatyczny, a w szesnastym i siedemnastym wieku centrum nauk talmudycznych i kabalistycznych. Na stoku wzgórza, gdzie było miasto starożytne, w plątaninie kolistych uliczek, wznoszą się do dzisiaj synagogi fundowane i stawiane przez wybitnych rabinów, którzy tu ściągali z różnych stron świata. Nie byłem nigdy w Safedzie (zwanym także Cfatem lub Safetem), ale myślę, że jest odrobinę podobny do Kazimierza Dolnego nad Wisłą. W każdym razie i Safed, i Kazimierz mają zabytki z innych czasów, powstawały w obecnym kształcie w szesnastym i siedemnastym wieku, a są dzisiaj miastami malarzy.

W Safedzie z dawien dawna mieszkało trzysta rodzin żydowskich, ale wygnanie Żydów z Hiszpanii zmieniło sytuację. Zmieniło ją zresztą w całej Turcji, Palestyna była odpryskiem ogólnego położenia. Do Safedu także ściągali wygnańcy, a przywódcą ich był Józef Saragossi, znakomity uczyony i mediator, podobno uznawany i przez mahometan. To właśnie on zapoczątkował w Safedzie studia talmudyczne i kabalistyczne. Miasto liczyło już tysiąc żydowskich rodzin, stało się większym ośrodkiem od Jerozolimy czy Damaszku, a nade wszystko zapragnęło powołania najwyższego sądu – Sanhedrynu, nie istniejącego już od tysiąca lat. Były po temu ważne powody. Przede wszystkim mógł w ten sposób powstać załazek własnego państwa; Sanhedryn stałby się ogniskiem Żydów na całym świecie, a Safed mógłby stać się centrum o powszechnym znaczeniu. Zapewne był jakiś rozsądek w tym, że to właśnie prowincjonalny, nie zwracający na siebie uwagi Safed, a nie po trzykroć święta Jerozolima, miał się stać miejscem narodzin nowego państwa żydowskiego. Ale duch konkurencji i zawiść Jerozolimy pokrzyżowały te plany.

Był jeszcze jeden powód, o znacznie większej wówczas doniosłości: warunkiem pojawienia się Mesjasza miała być właśnie uprzednia restytucja Sanhedrynu. Kłopot polegał na tym, że święcenia (?) sędziowskie uzyskiwało się w drodze sukcesji, a żadnego takiego sędziego od czasów niepamiętnych przecież nie było. Ale w bogatej prawnej tradycji talmudycznej znalazły się skuteczne sposoby obejścia tej trudności: wszyscy rabini Safedu, w liczbie dwudziestu pięciu, wybrali starego, uczonego i bogatego Jakuba Beraba na ordynowanego rabina-sędziego Izraela. A on z kolei ordynował następnych, między innymi sławnego potem uczonego Józefa Karo (1488–1575). Pozostawał jednak problem Jerozolimy. Berab próbował rozwiązać tę sprawę, wyświęcając przywódcę kolegium rabinackiego Jerozolimy, Lewiego

Ben Jakuba Chabiba, na sędziego i swego zastępcę. Ale ten nominację odrzucił i doszło między nimi do gwałtownego konfliktu. Przez małoduszność obu nie podjęto już próby wskrzeszenia państwa żydowskiego, a cały niedoszły Sanhedryn skończył się wraz ze śmiercią Beraba w 1541 roku. Ale centrum nauki pozostało.

Był więc Józef Karo, talmudysta tak sławny, że jego wersja normatywnego TALMUDU, SZULCHAN ARUCH, czyli NAKRYTY STÓŁ, stanowiła epokę, aż do dzisiaj zgłębianą i komentowaną. Szczególną sławę zyskała ta księga w Polsce. W Safedzie ostała się do dzisiaj synagoga, w której nauczał. W Safedzie Karo był przybyszem. SZULCHAN ARUCH, nad którym pracował dziesiątki lat, napisał jeszcze w okresie, kiedy nie był kabalistą, chociaż mistyczne natchnienia, o których krążyły legendy, i jemu nie były obce.

Ale powstało też w Safedzie prawdziwie kabalistyczne środowisko. Było to tajemne bractwo zwące się *Sukat Szalom*, czyli Szalas Pokoju. Z kabalistycznych praktyk, o których wiemy, poza studium ZOHARU i innych ksiąg, uprawiano tam sypianie na ziemi, specjalne modły, wstawanie o północy, posty i pielgrzymki do grobu Szymona bar Jochaja, bohatera, a może autora ZOHARU. Klębiły się tam idee gnostyczne i mesjańskie, pewnie i magii próbowa-

no. Spośród wielu uczniów wybijało się trzech mistrzów. Był to przede wszystkim Salomon Alkabez, którego pieśń LECHA DODI weszła do żydowskiego modlitewnika, jego szwagier, a także uczeń Mojżesz Kordowero, autor zbioru kabalistycznych wykładów SEFER GIRUSZIN i szesnastotomowego komentarza do ZOHARU, dotąd, a w każdym razie do lat trzydziestych naszego stulecia, jeszcze nie wydanego (!). W jakiej bibliotece przechowano to dziwo? Kordowero był przełożonym bractwa.

I wreszcie trzeci, najgłośniejszy, Chaim Vital Calabreze, specjalista od wypędzania diabłów i dybuków, autor sławnej autobiografii, najpierw ni to mistrz, potem uczeń największego kabalisty szesnastego wieku – Izaaka Lurii (1534–1572). Luria był i jest otoczony legendą, a pogłosy jej dochodzą do dzisiaj. Ireneusz Kania, tłumacz i edytor OPOWIEŚCI ZOHARU podaje, że odległym potomkiem Lurii miał być poeta Aleksander Wat. Ja słyszałem i czytałem, że tym potomkiem był może poeta Adam Ważyk. Cóż, znałem przelotnie jednego i drugiego, mogłem spytać, ale wtedy nie wiedziałem o całej sprawie. Dziś już spytać nie bardzo jest kogo. Pisze o tym m.in. Jerzy Putrament w swoich wspomnieniach pt. PÓŁ WIEKU. Ale na tym sprawa się nie kończy, bo o którego Lurię chodzi? W Polsce, prawie współcześnie do Izaaka, żył sławny rabbi Salomon Luria. Zresztą może byli rodziną, któż wie?

Sam Izaak nawet i był synem Salomona, ale przecież nie tego polskiego. Ojca zresztą stracił stosunkowo szybko i z matką przeniósł się z Jerozolimy do Egiptu. Tu młody Luria ożenił się, studiował przede wszystkim ZOHAR, a kiedy już miał trzydzieści i coś lat, głos z nieba powołał go do Safedu, na ostatnie lata nauczania. Przedtem objawił się jego rodzinie Elias, całe zaś życie Lurii trwało trzydzieści osiem lat, z krótkim okresem publicznym włącznie. Każdy chrześcijanin łatwo odczyta wiadomą analogię.

Luria dotarł do Safedu w roku 1570, akurat w momencie, kiedy umarł Kordowero, mistrz *Sukat Szalom*'u. Luria zajął jego miejsce i rozpoczęły się dwa lata nauczania i cudów. A w każdym razie cudów interpretacji... W pewnym momencie Luria postanowił udać się do odległej o kilkaset kilometrów Jerozolimy i jeszcze tego wieczoru odbudować Świątynię i złożyć ofiarę. Uczniowie przyjęli propozycję i tylko chcieli zawiadomić rodziny. Ale kiedy wrócili po kilku minutach, zastali Lurię załamanego, który oświadczył im, że na skutek tego opóźnienia właściwa chwila minęła, Szatan oczernił Izrael przed Bogiem i na Mesjasza przyjdzie jeszcze długo poczekać. *Świadczę się niebem i ziemią, że od czasów Szymona bar Jochaja nie było tak odpowiedniej chwili jak obecna dla zbawienia narodu naszego!* Uczniowie wpadli w rozpacz, a współczesny autor woli o tym wszystkim niczego mniemać albo i nie mniemać.

Luria wkrótce zmarł na zarazę, 15 lipca 1572 roku, zapowiadawszy swój rychły powrót... W każdym razie uczniowie Lurii rozproszyli się po całym świecie, nauczając praktycznej Kabały.

Dzieło Lurii zwanego *ha-Ari*, czyli „Lew”, było w zasadzie kontynuacją Kabały klasycznej, ale znalazły się w nim i nowe elementy. Przede wszystkim najbardziej imponującą koncepcją była immanacja – *cimcum*, niejako skurczenie się Boga. Było to bardzo logiczne, bo skoro na początku był tylko nieskończony w czasie i przestrzeni En Sof, to gdzie właściwie miał powstać świat? Bóg musiał się wycofać z siebie do siebie, aby powstało jakieś miejsce. Ten patetyczny obraz dominuje nad wszystkim. Pierwsze Sefiroty były wypełnione praświatłem – *Or Kadmon*, ale pod jego ciśnieniem popękały, zasypując świat „skorupami” – *kelippot*. Człowiek ma podjąć restytucję światła i dobra w procesie dzieła naprawy – *tikkun*. Wygnaniec musi powrócić do swojej ojczyzny, co zarazem wyjaśnia i los człowieka, i konkretnie narodu wybranego. To dokonuje się w drodze reinkarnacji – *gilgul* i w osobliwym procesie *ibbur* – zdwojenia duszy. (Tłumacz Meyrinka powiada znacznie piękniej: *ibbur* – brzemień duszy.) Po prostu niektóre dusze dołączają do podstawowej duszy i ciała ludzkiego, aby się oczyścić bądź mu pomóc. Z tego właśnie procesu wywodzą się dybuki – osoby opętane przez dodatkową duszę.

Wszystko to jest zresztą znacznie bardziej skomplikowane i rozpisane na bardzo liczne szczegóły. Sam Luria uważał się za mesjasza niejako wstępnego, zapowiadającego, „po Józefie”. Miał potem przyjść Mesjasz prawdziwy i właściwy – „po Dawidzie”. Koncepcje teologiczne Lurii wywarły wręcz piorunujące wrażenie, a historycy nie mogą uzgodnić między sobą, czy było to rozwinięcie judaizmu, czy może zaprzeczenie. Koncepcjom tym towarzyszyło wielkie wzbogacenie liturgii żydowskiej, częściowa zmiana obyczajów i obrzędów, rozszerzenie postów i pokuty, zmiana koncepcji modlitwy, która miała się stać (i rzeczywiście się stała) o wiele bardziej uduchowiona. Ale posty i pokuty zdecydowanie nie miały się odnosić do świętego dnia – soboty, kiedy to panował wręcz obowiązek radości. To właśnie zespolenie ascezy i radości, ze wszelkimi konkretnymi konsekwencjami, miało się później najpełniej wyrazić w praktykach i koncepcjach chasydów, ale to było znacznie później i dalej od Safedu.

Sam Safed przechodził różne koleje losu, upadki i wzloty. Tu w szesnastym wieku otworzono pierwszą drukarnię w Azji, w 1578 roku wyprodukowano pierwszą hebrajską książkę. W osiemnastym wieku miasto przeżyło epidemię i trzęsienie ziemi, ale wkrótce przybyli chasydzi i rozpoczął się drugi złoty okres miasta. Było w nim 69 synagog. W dziewiętnastym wieku miało miejsce straszliwe trzęsienie ziemi z tysiącami ofiar, potem następowały kolejne upadki i wzloty. Aż do dzisiaj. Jeśli się nie mylę, tradycje Kabały są tam nadal żywotne.

Impuls luriański nałożył się tymczasem na fakt wydania drukiem ZO HARU (rok 1558). Najmocniej rozwinęła się Kabała w Polsce. Głównym kabalistą był Matijahu Delakrut, a później Jezajasz Horowitz, zwany Szluhem. Dzieło Lurii i Horowitza kontynuował uznany za świętego rabin krakowski Natan Szpira, zmarły młodo w 1633 roku. Potem sławny Samson z Ostropola, zabity przez żołnierzy Chmielnickiego. A potem był Sabbataj Cwi, Frank, Baal Szem Tow, chasydzi, ale do tej dalszej części nurtu wrócimy później. W każdym razie Kabała nigdy nie zanikła, a dzisiaj ożywił ją potężnie New Age. I nawet takie książki jak WAHADŁO FOUCAULTA Umberto Eco są oparte na schemacie Sefirotów.

Idea, by z języka sądzić o Bogu i świecie, była niewątpliwie szalona. Ale niewątpliwie było to wielkie szaleństwo.

Wielkie wypędzanie

Wybiegliśmy daleko naprzód, już do dwudziestego wieku. Dalej posunąć się ze zrozumiałych względów nie mogłem, chociaż i dzieje Kabały, i samych Żydów, i całego świata nie są bynajmniej skończone. W dziejach żydowskich będzie to tylko kolejnym epizodem i może już rychło, za trzysta, czterysta lat, sprawy będą się przedstawiały jakoś tam zupełnie inaczej, a jakiś inny goj będzie po raz kolejny wyjaśniał, dlaczego to Żydzi są tak osobliwym plemieniem. Na razie to Polska właśnie jako ostatnia wzięła się do wypędzania Żydów w 1968 roku. Było to tym szczególniejsze, że po wielkim holocauście Żydów pozostało już bardzo niewiele i nie mogli dla kogokolwiek stanowić zagrożenia. Toteż względy praktyczne odegrały tu rolę bardzo niewielką, garstka ludzi pozbyła się konkurencji. Wszystko to miało charakter egzorcyzmów, gdzie trzeba się pozbyć nawet nieznacznego śladu złego ducha, a następnie nie dopuścić, aby się znów zagnieździł. W sumie jest to proces głęboko irracjonalny i chyba zawsze był taki; konkretne uzasadnienia wygnania były z reguły powierzchowne i zgoła pozorne. Przyjdzie chyba uwierzyć w osobistą interwencję Boga, który dbał o to, żeby Żydzi nigdy nie mogli przestać być Żydami, narodem wybranym.

Wielki odwrót Żydów z Zachodu zakończył się w roku 1492, roku wyprawy Kolumba, granicy okresu nowożytnego i zarazem wypędzenia Żydów z Hiszpanii. W innych krajach Europy Zachodniej przetrwali o kilkanaście czy kilkadziesiąt lat dłużej. Ale zaczęło się to od Anglii, bo już w trzynastym wieku. Zapewne, można przypomnieć, że właściwie cała historia Żydów stoi pod znakiem wędrówki, od wyjścia Abrahama z Ur poczynając. I że zawsze czynniki ideologiczne, religijne odgrywały tu wielką rolę. Ale przypadek angielski był szczególnie radykalny.

Żydzi przybyli tam stosunkowo późno, bo podobno dopiero z Wilhelmem Zdobywcą w 1066 roku. Początkowo zostali przyjęci dobrze, było ich zresztą niewiele, ale po stu latach stosunki zaczęły się bardzo psuć. Pierwsze wystąpienia antyżydowskie kojarzą się z koronacją Ryszarda Lwie Serce, kiedy to za namową biskupa Canterbury król odmówił przyjęcia gratulacji i podarków od londyńskiej gminy żydowskiej. Nie wpuszczonych do pałacu Żydów zaatakował tłum, który następnie ruszył na żydowskie domy, rabując i mordując. Pogrom Żydów londyńskich rozszerzył się na inne miasta i to mimo prawie natychmiastowej reakcji wojsk królewskich. Od bitwy pod Hastings minęło ledwie ponad sto lat, a już ludność Wyspy była zdecydowanie antysemitcka. Prawda, ale był to przecież okres wypraw krzyżowych skierowanych wszak przeciw niewiernym, a skoro niewierni byli całkiem blisko, w domu, to rozprawę rozpoczynano od nich. I tak Żydzi przetrwali jakoś okres pierwszej i drugiej wyprawy, fatalny dla nich na kontynencie; masakry rozpoczęły się dopiero podczas trzeciej krucjaty, kiedy króla i jego wojsk nie było w kraju. Do historii przeszła obrona Yorku, gdzie w końcu żydowscy obrońcy popełnili zbiorowe samobójstwo. Ryszard po powrocie z krucjaty ukarał gubernatora Yorku, który opuścił Żydów, ale im samym nic to już nie pomogło.

Wszyscy Żydzi zostali zresztą dokładnie zewidencjonowani, a ich dochody przede wszystkim; nie wolno im było nie tylko opuścić Anglii, ale nawet się... ochrzcić. Kolejne rządy były dla nich jeszcze gorsze. Magna Charta Libertatum spowodowała, że Żydzi zostali uzależnieni nie tylko od króla, ale od bardzo antyżydowsko nastawionej Wielkiej Rady. Ucisk ekonomiczny był niesłychany; ponieważ zaś źródłem dochodów była dla Żydów lichwa, więc pro-

centy ogromnie rosły, budząc z kolei oburzenie ludności. A już Jan bez Ziemi stosował szczególne metody pozyskiwania pieniędzy. Na przykład, chcąc wymusić na bogatym Izaaku z Norwich kontrybucję, kazał mu kolejno wyrwać ząb po zębie...

Henryk III powołał nawet specjalny „parlament żydowski” zajmujący się ściąganiem gotówki, co w końcu doprowadziło do kompletnej pauperyzacji Żydów angielskich, którzy i sami dwukrotnie prosili króla o pozwolenie opuszczenia wyspy. Naturalnie, nie dostali go. W końcu właściwie wszelkie możliwe władze zaczęły Żydów prześladować, wytaczać im procesy, odbierać prawa i pieniądze. Doszło do tego, że przy okazji jakiegoś wydumanego „mordu rytualnego” wszyscy Żydzi brytyjscy zostali uwięzieni i za wielkim okupem uwolnieni. Wkrótce potem Edward I rozkazał zrujnowanym, a i tak już nielicznym Żydom w ogóle opuścić Anglię. Było to w roku 1290 i nie miało już znaczenia praktycznego, bo Żydów było ledwo dwa–trzy tysiące, a gmin żydowskich dwadzieścia. Za to było egzorcyzmem ogromnie skutecznym, bo Żydzi wrócili do Anglii dopiero za czterysta lat, w siedemnastym stuleciu. Do tego czasu stali się dziwną, a posępną legendą, krwiożerczym plemieniem, jak utrwała to Szekspir w KUPCU WENECKIM.

Mimo królewskiego zakazu żydowskie niedobitki zostały na statkach złupione, a częściowo wymordowane. To się zresztą stało i w przyszłości regułą. Resztki ich zostały przyjęte przez Francję Filipa Pięknego, ale już po roku zostali ponownie wypędzeni, tym razem do Niemiec lub Hiszpanii.

Po prawdzie nie można uwięzienia Żydów i uwolnienia ich za okupem, a następnie wypędzenia, nazwać wynalazkiem angielskim, bo już wcześniej został zastosowany właśnie we Francji. Użył tego sposobu Filip August w roku 1180, aresztując wszystkich Żydów swego państwa i zwalniając ich następnie po otrzymaniu piętnastu tysięcy grzywien srebra. Po czym, zwolniwszy swoich poddanych od obowiązku zwrotu żydowskich długów, wypędził Żydów w 1181 roku. Ale Żydzi odeszli niedaleko, bo w licznych księstwach i baroniach, z których składała się feudalna Francja, prawo królewskie nie obowiązywało. A kiedy z kolei ludność owych baronii zbuntowała się przeciw żydowskim lichwiarzom, król przyjął ich z powrotem. Ale początek został już zrobiony. Wobec Żydów nie obowiązywały żadne prawa, mogli mieszkać, dopóki płacili. To z kolei podnosiło lichwiarskie procenty i kółko się zamykało. Konfiskaty żydowskiego mienia powtarzały się z monotonną regularnością. I tak to trwało.

Dopiero Filip IV, zwany Pięknym, sławny „król z żelaza”, postanowił rzecz rozwiązać kompleksowo. Ten sam, który wytoczył proces templariuszom, konfiskując im cały ogromny majątek, a planował podobną operację zastosować do bankierów lombardzkich. Przygrywką do tego wszystkiego miało być wypędzenie Żydów. Król planował swoje poczynania precyzyjnie i dalekowzrocznie. Zgromadził wszystkich Żydów pod swoim berłem, płacąc wysokie odstępné – pamiętajmy, że w tym okresie Żydzi byli własnością osobistą panującego, a następnie wszystkich uwięził, skonfiskował im całe mienie i wypędził z kraju. A zrobił to pod pretekstem „zwrotu” cesarzowi Albrechtowi I, który rościł sobie pretensje do Żydów całego świata. Był rok 1306. Ciekawe, że cała operacja dała mizerny rezultat finansowy, jak zresztą w przypadku procesu templariuszy. Zapewne większość mienia zwyczajnie rozkradziono.

Żydów odwołano z wygnania już w roku 1315, udzielając im rozlicznych gwarancji też nie bardzo dotrzymany. Dał im się w pięć lat potem we znaki sławetny ruch „pastuszków” – *Pasteuroux*, a potem oskarżenia, że razem z trędowatymi zatrują studnie, co się kończyło na stosie. Ostatecznie obłożono Żydów grzywną i w 1322 roku znowu wypędzono. Ta kołomyjka trwała bez końca, Żydzi mieszkali już tylko w ziemiach lennych, ale i tam dosięgały ich przeróżne oskarżenia i prześladowania. Ostatecznie i bezpowrotnie usunął ich z całej Francji Karol VI Szalony 17 września 1394 roku. Także i to wypędzenie nie miało wiele wspólnego z czymkolwiek konkretnym, a było przede wszystkim egzorcyzmem.

Można postawić sobie naiwne pytanie: dlaczego Żydzi upierali się przy mieszkaniu tam, gdzie ich tak zdecydowanie nie chciano? Bo wypędzani wracali wielokrotnie i za wszelką

cenę, a jeśli na przykład idzie o Anglię, ponawiali swoje bezskuteczne wysiłki przez całe stulecia. I na ogół mimo generalnego wypędzenia poszczególnym jednostkom to się udawało. Prawo do osiedlenia się uzyskiwali przede wszystkim – nawet w Anglii – lekarze. Ostawały się poszczególne gminy, jak we Frankfurcie, Wiedniu czy Pradze, chociaż dookoła Żydów już dawno nie było. Ale pytanie jest naprawdę naiwne, chociaż powracało i powraca wielokrotnie.

Któż, nie Żyd jedynie, chce być wypędzony z kraju, w którym się urodził? Emigracja dla każdego człowieka jest wstrząsem. A dla Żydów szczególnie, bo gdzie właściwie był kraj im przychylny? Owszem, były rejony pustawe, na ogół opóźnione gospodarczo, gdzie Żydzi nie stanowili dla nikogo konkurencji, a przynosili same korzyści. Taka była właśnie Europa we wczesnym średniowieczu. I jeszcze, trzeba to ze smutkiem dodać, nie do końca chrześcijańska. Ponieważ właśnie chrześcijaństwo było dla Żydów bezlitosne. Przecież to Żydzi wyparli się założyciela chrześcijaństwa, zabili Boga! Pobożny chrześcijanin powinien wręcz nienawidzić Żydów, choć teoretycznie właśnie wszelka nienawiść miała być z chrześcijaństwa wykluczona. A tymczasem ciemnota i zła wola szły ze sobą w parze. Sami Żydzi, co prawda, nie ułatwiali sytuacji, „ogradzając TORĘ” tyłoma zakazami, że współzycie z innymi, nawet wspólny posiłek (!), stawało się niemożliwe. Ale jeśli utrzymanie swojej tożsamości narodowej i wyznaniowej za wszelką cenę jest wartością nadrzędną, to postępowali dobrze... Co do mnie, to zaczynam w to odrobinę wątpić, ale charakterystyczne, dopiero od kiedy moja ojczyzna uzyskała pełną suwerenność możliwą w tej epoce. Przedtem takich wątpliwości nie miałem, zagrożenie wywoływało określoną sytuację psychiczną, zacieśniało związek z własną zbiorowością. A wedle Junga świadomość zbiorowa jest zawsze na niższym poziomie niż indywidualna. Trudniej może jest o bohaterstwo samotne niż wśród innych, ale też tłum łatwo morduje i grabi, czego by poszczególny człowiek, nie tylko ze strachu, w większości wypadków nie uczynił. Chrześcijaństwo jest społecznym, grupowym przeżywaniem *sacrum* (*kiedy zbierzecie się w kilku w imię moje i ja będę z wami*), a więc niesie ze sobą i wszelkie moralne zagrożenia zbiorowej wyobraźni. Tak my, monoteistyczni goje, zostaliśmy ukształtowani.

Wracając do sprawy osadnictwa. Wszystkie narody mają skłonność do ekspansji. Może trzeba dodać, że w określonych momentach i określonych okolicznościach, przeważnie wtedy, kiedy im źle. Purytanie angielscy szukali za oceanem swobody praktyk religijnych, chłopci galicyjscy zostali wypędzeni przez przysłowiową nędzę. Zresztą, są to oczywistości. Ale dla Żydów sytuacja szczególna, dodajmy, szczególnie niekorzystna, trwała właściwie zawsze. Prawda to, ale jeszcze trzeba do tego dodać szczególny zmysł koczownictwa przeniesiony w epokę narodów osiadłych. Zmysł, który skądinąd tkwi we wszystkich ludziach, a stał się kamieniem węgielnym wszelkich pielgrzymek i dzisiejszej turystyki.

I może coś jeszcze. Podstawowym zajęciem Żydów był od wieków handel, podobno spałek po Grekach, w co ja zresztą w tej książce już powątpiewałem. Otóż niezbędnym warunkiem handlu są rozbudowane kontakty. Widzieliśmy, jak żydowski handel z Chinami korzystał ze skupisk pobratymców na Jedwabnym Szlaku, jak mu to ułatwiała konkurencję. Nie była to tylko osobliwość azjatycka, taki stan rzeczy był po prostu wszędzie. Żywotnym interesem żydowskim było mieć wszędzie, we wszystkich krajach, zaczepienie, pomoc i informację. A przecież ten handel był w zasadzie międzynarodowy, dopiero w sposób sztuczny przeszkodzono mu i zepchnięto Żydów do obrotu kapitałowego, a praktycznie do uprawiania lichwy. Owszem, była korzystna, ale powodowała wrogość otoczenia. Ale wyboru i tak nie było. Żydzi musieli być wszędzie także ze względów bezpieczeństwa, ponieważ w ich sytuacji wczesna informacja była sprawą życia i śmierci. Aż nadto często zdarzało się, że śmierć zjawiała się pierwsza.

Wypędzanie z chrześcijańskiego Zachodu odbywało się etapami, obejmowało wiele nawrotów i prawie nigdy nie było kompletne. Regułą było uprzednie obdarcie Żydów z majątku. Chciwość szła o lepsze z nienawiścią, bo wypędzenie Żydów działo się z reguły z wielką

szkodą dla finansów państwa. A kiedy już się im wszystko odebrało, można było bezpiecznie spełnić obowiązek dobrego chrześcijanina. Z Anglii wypędzono definitywnie Żydów w roku 1280, z Francji sto lat później, w roku 1394. Cóż pozostawało? Były do wyboru Niemcy, Włochy bądź Hiszpania. W każdym z tych krajów Żydzi mieszkali już od setek lat. Wygnancy mogli w zasadzie liczyć na cieplejsze przyjęcie. W zasadzie, bo bywało i inaczej. Osiadli od dawna Żydzi też obawiali się konkurencji przybyszów i nawet występowali przeciw swoim pobratymcom, domagając się od władz krajowych zakazu dalszej żydowskiej imigracji. Cytowane są tego rodzaju przypadki z terenu Italii.

Co prawda Włochy były wyjątkiem, gdzie nigdy nie doszło do ostateczności, a kultura żydowska mogła się rozwijać przez całe stulecia. Przecież, co by nie powiedzieć, Włochy były zawsze spadkobiercą imperium rzymskiego i Żydzi mieszkali tu już od tysiący lat, ze zmiennym co prawda szczęściem i powodzeniem. Ale uraz, wywołany zburzeniem Jerozolimy i likwidacją państwa żydowskiego, chyba już minął, o ile takie rzeczy w ogóle mijać mogą, skoro i potęga samego Rzymu przeminęła. Rzym został ukarany, można było mieć satysfakcję, a może i współczuć. Żydzi tradycyjnie nie przechodzili pod łukiem Tytusa, chyba nie przechodzą do dzisiaj, i to wszystko.

Teoretycznie sytuacja powinna ulec pogorszeniu od soboru laterańskiego z roku 1215, kiedy to Innocenty III przeprowadził ustawę o Żydach, wielce dla nich kłopotliwą. Ale akurat we Włoszech nie była specjalnie srogo przestrzegana. Papieże na wiele rzeczy patrzyli przez palce, sami posługując się żydowskimi bankierami i lekarzami. Swoje robiła także sytuacja polityczna Włoch, które składały się nie tylko z państwa papieskiego i hiszpańskiego Królestwa Obojga Sycylii, ale i z czterdziestu innych drobnych organizmów państwowych. Zbyt duży nacisk na Żydów powodował automatyczną, a niedaleką emigrację zarówno ich samych, jak i ich kapitałów.

Zresztą już w roku 1247 Innocenty IV wydaje bullę w obronie Żydów, poświęconą absurdalnym oskarżeniom o używanie krwi chrześcijańskiej do wypieku pieczywa paschalnego. Miał ich w sumie na ten temat wystawić łącznie cztery, co wprawdzie znalazło oddźwięk w prawodawstwie europejskim, ale samych wiernych chrześcijan nie bardzo przekonało. Na ogół zresztą polityka papieska była wobec Żydów całkiem przyzwoita.

A poza Rzymem też się wiodło Żydom nie najgorzej. Pewnie, różnie bywało, a napęd nadawali przede wszystkim bankierzy i lekarze, podobno popierani przez ludność. Co do lekarzy, to nie dziwota, ale bankierzy, czyli po prostu lichwiarze? A jednak, bo kredyt był potrzebny, a bankierzy żydowscy cieszyli się większym uznaniem niż rodzimi „lombardowie”. *Nota bene* tamtym miejscom i czasom zawdzięczamy sam termin „bank”. Ponieważ operacji rozliczeniowych dokonywano na dużej ławie, a ta ława nazywała się *banca*. I jeszcze jedno słowo wywodzi się z północnych Włoch, z Wenecji. Mianowicie: *ghetto*, co oznacza odlewnię żelaza znajdującą się na jednej z weneckich wysepek, na której miasto ustanowiło dzielnicę żydowską.

Żydzi byli na północy i na południu, w Padwie, Wenecji, Florencji, Neapolu, Sycylii. Włochy właśnie były terenem, gdzie nastąpiło znaczne zelżenie fundamentalizmu talmudycznego, a Żydzi właściwie niczym się nie wyróżniali spośród ogółu mieszkańców. Zresztą właśnie z tego powodu – do czego to podobne, żeby Żyd wyglądał jak chrześcijanin? – wymuszano na nich noszenie specjalnych oznak i strojów, zgodnie z dekretem Innocentego III. Zwolnienia od tego obowiązku były indywidualne i dotyczyły szczególnie uprzywilejowanych rodzin. Tak czy inaczej życie kulturalne kwitło, na hebrajski tłumaczono filozofów chrześcijańskich, pisywano wiersze po włosku, pełno było żydowskich muzyków i śpiewaków, na uniwersytetach wykładali Żydzi. Prawdę powiedziawszy, ten stan rzeczy trwa do dzisiaj.

Trudno byłoby wyliczyć choćby najwybitniejszych, bo jest ich legion. Na przełomie trzynastego i czternastego wieku działał Immanuel ben Salomo z rzymskiej świetnej rodziny Cifroni, uczony, poeta i prozaik włoski i hebrajski, autor wzorowanego na Dantem poematu HA

TOFET W HA EDEN, czyli PIEKŁO I NIEBO. Równocześnie na dworze w Neapolu zgromadzili się tacy uczeni, jak Juda di Roma i Kalonymos, i Szemaria Cretensis. A znów w XV wieku w Mantui doszło do konfliktu rabinów Jehudy ben Jehiela, także znawcy tradycji łacińskiej, i fundamentalisty Józefa Kolona. Ich prywatny spór tak skłócił całe miasto, że w końcu książę Mantui musiał wypędzić obu... Nawet żydowscy autorzy piszą o tym z uśmiechem. Zresztą podobne wydarzenia nie należą wówczas we Włoszech do rzadkości, taki konflikt rozegrał się też między rabinem z Florencji, Elią di Medigo, i rabinem z Padwy – Judą Mencem. Ale nie jest to obyczaj specyficznie żydowski.

Spory we Włoszech często wywoływali uczeni wygnańcy z Niemiec. Ale chyba jeszcze mniej byli pożądanymi, jak o tym wspominałem, uchodźcy z Hiszpanii, zdarzyło się nawet, że żydowscy tubylcy chcieli wręczyć papieżowi tysiąc dukatów, byle tylko ich nie wpuszczał do Rzymu. Jak z tego wynika, upadek Żydów niemieckich i hiszpańskich nastąpił mniej więcej w tym samym czasie, a było to w sto lat po wypędzeniu Żydów z Francji.

We wszystkich tych krajach Żydzi mieszkali od bardzo dawna. W Niemczech, jak chce legenda, od starożytności. A wraz ze średniowiecznym rozwojem miast zasiedlali nowe miejscowości, chętnie tam początkowo witani, czując się pełnoprawnymi obywatelami kraju. Można by rzec, że Żydzi spośród wszystkich krajów diaspory najbardziej przywiązali się do Hiszpanii, może z racji klimatu, może pejzażu, bo sami ludzie stanowili przecież doskonałą mieszaninę ras, plemion i wyznań. W Niemczech natomiast przedmiotem sympatii stał się sam naród niemiecki, do tego stopnia, że niemiecki stał się niejako drugim językiem narodowym Żydów. Nawiasem mówiąc, podobnie stało się i w Hiszpanii. Żydzi podzielili się na dwie wielkie grupy, rozróżnialne do dzisiaj: *Sephardhim* i *Aszkenazim*, to znaczy hiszpańscy i niemieccy. Podział ten dotyczył także innych krajów świata. Język Hiszpanów nazywa się *ladino*, Niemców – *jüdischdeutsch*.

Straszne klęski padły na niemieckich Żydów wraz z wyprawami krzyżowymi. Krzyżowcy po prostu mordowali gminy w poszczególnych miastach, a dodatkowo jeszcze rozwinęła się tam od dwunastego wieku rdzennie niemiecka konkurencja handlowa. Żydzi zaczynają więc przesuwać się na wschód i w trzynastym stuleciu trafiają do Austrii i na Węgry. W tym czasie dochodzi w Niemczech do pierwszego procesu o rzekome zabójstwo rytualne. W 1235 roku za wypiek macy na krwi chrześcijańskiej ginie na stosie w Fuldzie trzydziestu czterech Żydów, a za kilka dni – koło Strasburga – osiemnastu. Pamiętamy, że pierwszy taki proces odbył się w Blois we Francji w roku 1171. Tym razem stosy niemieckie wywołały bulle Innocentego, o czym już pisałem. Cesarzem był wówczas Fryderyk II, który nie wierzył w takie oskarżenia i w ogóle wydał zakaz wytaczania podobnych procesów, co jednak niewiele pomogło. Prócz tego weszły teraz w życie uchwały soboru laterańskiego o przymusowym stroju żydowskim, które w Niemczech były stosowane z lubością. Był to na ogół stożkowaty kapelusz czerwony lub żółty z czymś w rodzaju sterczącego pionowo pomponu. Pompon ów miał obrażać róg, symbol diabła. Niekiedy też noszono na ubraniu łatę w tych kolorach. Przedmiot straszliwej nienawiści Żydów, skąd się może wzięło żydowskie uczulenie na stroje, które minęło bez śladu wraz z powstaniem państwa Izrael. O ile poprzednio czytaliśmy o jedwabnych strojach eksilarców czy nagidów, o tyle dziś nie ma w prasie słowa o tym, jakiego kroju garnitury i z czego nosił Ben Gurion, i czy Golda Meir ubierała się w lycrę czy raczej w elanobawelnę.

Heinrich Graetz pisał: *Gdyby dzieje żydowskie chciały pójść śladem kronik, zapisków i martyrologii, musiałyby wypełnić swe karty opisami krwi, przelewanej strumieniami, i trupów, zalegających ulice pokotem, musiałyby wystąpić z oskarżeniem przeciw nauce, która monarchów i ludy wychowywała formalnie na katów i oprawców. Albowiem od trzynastego do szesnastego stulecia prześladowania i rzezie żydowskie rosły z przerażającą szybkością i luzowały się jedynie z nieludzkimi ustawami władz duchownych i świeckich, które jedno tylko miały na*

celu: upokorzyć Żydów, napiętnować i popchnąć do samobójstwa. Nauka wspomniana przez Graetza to oczywiście chrześcijaństwo. Rzeczywiście karty jego historii są przerażające.

Podczas walk gwelfów i gibellinów mordowano Żydów w Weissenburgu, Magdeburgu, Darmsztadt, Koblenz, Erfurcie i dziesiątku innych miejscowości. Całe rodziny przyjmowały tytuły *Judenbrater* albo *Judenmörder* i chlubiły się nimi. Na Wielkanoc 1283 roku w Moguncji zabito dziesięciu Żydów, w Bacharach dwudziestu sześciu. W Monachium Żydzi schronili się do synagogi: *wtedy wyznawcy religii miłości naznosili materiału palnego i podłożywszy ogień pod dom modlitwy, spalili w nim sto osiemdziesiąt osób, dorosłych i dzieci.* Potem zamordowano czterdziestu w Oberwesel, a innych w Boppardzie. W kilka lat potem puszczone plotkę, że Żydzi ukradli hostię i potłukli ją w móżdżerzu. Mścicielem hostii ogłosił się niejaki Rindfleisch, który najpierw spalił Żydów z Röttingen, potem w Würzburgu, potem w Norymberdze i w całej Bawarii. W przeciągu roku w stu czterdziestu gminach żydowskich wymordowano około sto tysięcy ludzi. W innych krajach nie było wiele lepiej. Chrześcijanin, który to czyta, nie wie, gdzie oczy podziać. Krwawe kalendarium formalnie nie ma końca.

W tej sytuacji Żydzi postanowili w końcu pójść, gdzie oczy poniosą. Jedyłą szansą wydawało się być porzucenie chrześcijańskiej Europy, ale okazało się to ogromnie trudne: Turków nie było jeszcze ani w Stambule, ani w Adrianopolu, byli natomiast w Persji Tatarzy, na których dworze – jak głosiła wieść – Żydzi mieli wielkie zachowanie. Krażyła także pogłoska o mesjaszu w Palestynie, ale takie pogłoski słyszało się zawsze. Dość, że bogaci Żydzi niemieccy postanowili emigrować i w roku 1286 zebrali się w Lombardii, by potem udać się dalej. Przewodził im bardzo czczony i szanowany, najznakomitszy rabin niemiecki, Meir z Rothenburga, uczony i poeta, już pod siedemdziesiątkę. Ale cały ten ruch emigracyjny bardzo nie spodobał się cesarzowi Rudolfowi, bo chociaż Żydzi pozostawiali nieruchomości, to przecież zabrali kapitały. Meir został rozpoznany, uwięziony i osadzony w Alzacji. Emigranci, pozbawieni wodza, nie wyjechali za morze. Sam Meir został osadzony w stosunkowo lekkim więzieniu, gdzie mógł pisać i nauczać. Jego to właśnie uczniem był Aszer Ben Jechiel, słynny talmudysta, który potem wyemigrował do Hiszpanii i stał się wrogiem filozofii i całej świeckiej wiedzy i oświaty poza medycyną, z czego wyniknęła słynna klątwa roku 1305. Jeśli idzie o Meira, to cesarz spodziewał się, że Żydzi wykupią go z więzienia. Rzeczywiście podjęto takie próby, ale sam Meir na to się nie zgodził, nie chcąc stwarzać precedensu. I został w więzieniu do śmierci, do 1293 roku. Ale historia na tym się nie skończyła, bo cesarz nie chciał wydać zwłok. I dopiero po czternastu latach wykupił je za bardzo wysoką cenę Süskind Wimpfen z Frankfurtu i pochował w Wormacji.

Cała ta sprawa jest poświadczeniem dobrze już nam znanej ambiwalencji: z jednej strony starano się Żydów pozbyć, z drugiej zaś przeszkadzano im w wyjeździe. Chyba nie tylko praktyczne, fiskalne względy o tym decydowały, sprawy były o wiele bardziej subtelne. Odpowiedzialność za wyjazd Żydów starano się zazwyczaj przerzucić na nich samych: w 1968 roku w Polsce przybrało to postać sloganu, że „każdy człowiek powinien mieć jedną ojczyznę”. Żyd, oczywiście, był winien zawsze, czy wyjeżdżał, czy zostawał, ale poprawiało się samopoczucie goja. Żyd musiał być jak to przysłowiowe ciastko, które chcemy jednocześnie zjeść i zachować, jak uwierający w bucie kamyk: cenimy sobie ulgę, kiedyśmy się go pozbyli, a jednocześnie sprawia nam ona przyjemność tylko dotąd, dopóki pamiętamy o minionej niewygodzie. Etniczna czy wyznaniowa czystość raduje nas dotąd, dopóki są jacyś nieczyści i niewierni. To bardzo ludzkie: kiedy wszystkie góry zostaną zdobyte, co zrobią ze sobą, dokąd wyruszą alpiniści?

W epoce wypraw krzyżowych istnienie niewiernych, a więc także Żydów, pomagało zachować żar chrześcijańskiej wiary. Nawet zwycięstwo jerozolimskie Saladyna w roku 1187, a więc utrata przez chrześcijan grobu Jezusa, długo wywoływało pogromy Żydów, jako rzekomo odpowiedzialnych. Hasłem do nich było słynne HEP, HEP, HEP, czyli *Hierozolinza est per-dita* – Jerozolima jest stracona. Bądźmy jednak sprawiedliwi: jeśli samo istnienie Żydów

przyczyniło się do trwałości chrześcijaństwa, to i na odwrót – chrześcijanie przyczynili się do przetrwania judaizmu... Paradoxy dziejów rzadko nie bywają okrutne.

Barbara Wertheim Tuchman dowodzi w *ODLEGLYM ZWIERCIADLE*, że *wiara w to, że Żydzi dokonują rytualnych mordów na chrześcijanach, powstała w XII wieku prawdopodobnie z potrzeby odtworzenia na nowo sceny ukrzyżowania i rozwinęła się w przekonanie, że znają oni sekretny obrzęd, za pomocą którego pozbawiają hostię jej świętej mocy*. Ale przecież opinia, że Żydzi są krwiopicjami, ma bardzo stary rodowód, pisałem już o tym. Wszak jeszcze w czasach przedchrześcijańskich ogłaszano, że w jerozolimskiej Świątyni przechowywano Greka tuczonego na Paschę... Także pogląd, że Żydzi po prostu nie przypominają ludzi i w celu upodobnienia się do nich muszą pić krew chrześcijańską, ma za sobą prawdopodobnie równie szacowną (?) tradycję. A misterium Chrystusa jest przecież powtarzane w każdej mszy, czego chyba nie sposób było nie wiedzieć.

Ale nawet najzacieklejsze „normalne” prześladowania Żydów, ich uporczywość i powszechność zostały zdystansowane przez wypadki, do których doszło, gdy do Europy zawitała Czarna Śmierć, ta śmierć, która – jak pisano współcześnie – przenika nas do samego wnętrza jak czarny dym. Była to straszliwa zaraza roku 1348, największa, jaka nawiedziła ludzkość w trakcie całych pamiętanych dziejów. Dzisiaj słabo zdajemy sobie sprawę z jej grozy, a przecież poczyniła spustoszenia większe niż jakkolwiek wojna, powódź czy pożoga. To przed nią uciekają młodzi bohaterowie Boccaccia na wiejskie odludzie, snując dla rozrywki opowieści, które złożyły się na słynny DEKAMERON. To ona zmniejszyła ludność Europy do połowy, niektórych miast do jednej trzeciej, a całe okolice zamieniła w bezludzie. Ona sprawiła, że ziemia znowu porosła lasami, a gospodarka załamała się, zaś ład duchowy średniowiecznej, chrześcijańskiej Europy runął. Być może był to nawet początek nowożytności. Ale czarne wrzody, straszliwy smród i stopy trupów, których nie miał kto chować, przesłoniły wszystko. Bóg został uznany za wroga; a jeśli nawet nie zawsze posuwano się tak daleko, to kara, jaką wymierzył, musiała być proporcjonalna do ogromu ludzkiej winy, winą zaś mogła być w średniowieczu prawie każda odrobinę niesforna myśl, na przykład o seksie. Zaraza objęła także zwierzęta domowe, psy, koty, bydło, owce, kury. Przenosiły ją bowiem szczury i wszechobecne pchły. A nawiasem mówiąc, już zupełnie współcześnie pojawiły się podejrzenia, że zagłada mogła mieć genezę kosmiczną, bo inaczej nie byłaby tak potworną pandemią.

Na mnie samego największe wrażenie wywarł obraz Jeana Giono z *HUZARA NA DACHU*, na którym bohater płoszy wyrrywające się z wymarłego osiedla nieprzeliczone stada śpiewających ptaków: słowików, skowronków i sikorek żerujących na trupach. O ich owado- a więc mięsożerności na ogół nie pamiętamy na co dzień. Zresztą odnosiło się to do innej zarazy, ale obraz musiał być identyczny.

Dżuma wybuchła gdzieś w Azji, a do Europy trafiła na dwóch statkach płynących z Krymu do sycylijskiej Messyny jesienią 1347 roku. Od nich zaraziła się cała Europa – oprócz krajów słowiańskich: Czech, Polski i Rusi. Co do tej ostatniej tym dziwniejsze jest, że „powietrze” zagrażało jej także ze wschodu, od strony tatarskiej. I jeszcze jeden naród – podobno – nie uległ zarazie, na swoje, okazało się, nieszczęście: Żydzi. Czy w grę wchodziła jakaś odporność genetyczna, czy tryb życia, czy co innego – nie wiem. Nie wiadomo nawet na pewno, czy to prawda, w każdym razie tak mówiono. Kraje słowiańskie dżuma oszczędziła, Bóg wie dlaczego.

Ale to już wystarczyło, żeby się zrodziło podejrzenie, że właśnie Żydzi sprowadzili zarazę. Mieli to zrobić, zatruwając wodę: nie tylko studnie, ale także jeziora i rzeki. Ten wątek przewijał się od dawna w dziejach i niekoniecznie stosował się do Żydów. W 430 roku przed Chrystusem zaraza wybuchła w Atenach, zapewne tyfus. Ponieważ działo się to w czasach wojny peloponeńskiej, podejrzenie padło na Spartan, że to oni zatruli studnie. A względnie niedawno, w 1322 roku, we Francji o podobną zbrodnię posądzono trędowatych, którzy mieli gubić chrześcijan na

rozkaz muzułmański i żydowski. I w całej Francji rozniecono stopy, a że trędowatych były setki, a może nawet tysiące, budowano specjalne zagrody z drewna, żeby wszystkich palić hurtem.

Teraz oskarżenie dotknęło Żydów. Trucicielem miał być żydowski przybysz z Hiszpanii, a rzecz się działa w Chambery, w Sabaudii. Trucizna miała być przywieziona w skórzanych woreczkach, a składała się z mięsa bazyliuszka, z pajaków, żab, jaszczurek, serc chrześcijańskich i ciasta przeznaczonego na hostię. Już wiosną 1318 roku doszło do samosądów, ale we wrześniu tegoż roku książę Amadeusz zarządził śledztwo w rejonie Jeziora Genewskiego, jak to wtedy było w powszechnym zwyczaju, z użyciem tortur. I Żydzi się przyznali! Jak się okazało, był cały żydowski spisek, truciznę rozsypywano we Włoszech, we Francji, w Niemczech. Zatruto rzeki, źródła, pola i łąki, Ren i Dunaj, nie mówiąc o studniach. Nieszczęśnik, który tego dokonał, zwał się Aket.

Szwajcarzy zawyli z oburzenia. Wytracili Żydów do ostatniego mężczyzny, kobiety i dziecka, w ogniu oczywiście. A nadto rozesłali wszędzie kopie śledztwa i sprawiedliwego wyroku i rozpoczęło się pandemonium. Palono Żydów setkami i tysiącami w Bazylei, Fryburgu, Kolonii, w całych Niemczech, ale i w innych krajach. Zamurowano studnie, do dyspozycji była tylko deszczówka, bo na szczęście Żydzi zapomnieli o chmurach. W Strasburgu rada miejska nie wierzyła w te oskarżenia – wobec tego zmieniono radę, a dwa tysiące strasburskich Żydów spalono na kirkucie. W Wormacji Żydzi woleli sami się spalić we własnych domach, podobne wypadki powtórzyły się i w innych miastach. Dodatkowo miasta uchwały, że żaden Żyd nie ma prawa pojawić się w nich przez sto albo i dwieście lat. W całym państwie niemieckim od południa po północ, ze wschodu na zachód, w Bawarii, Szwabii, Frankfurcie, Moguncji było tak samo. Ostatecznie między Renem a Odrą nie ocalał choćby jeden Żyd. Owszem, ocalono Żydów w Ratyzbonie, ale to był wyjątek.

Nie wszyscy uwierzyli w oskarżenie. Papiież Klemens VI wydał bullę zakazującą mordować Żydów, ale nikt nie posłuchał zakazu. Pamiętajmy jednak o koszarze zarazy, która równocześnie przez cały czas zbierała obfite żniwo. W Paryżu na przykład i tak umierało po osiemset ludzi dziennie, całe miasta i okolice pustoszały. Wedle ówczesnych szacunków zmarła brudną, cuchnącą śmiercią jedna trzecia ludności, ale naprawdę jeszcze więcej, prawdopodobnie pół Europy. Każdą żydowską była okrutna, ale stanowiła i tak niewielki procent. W dodatku nikt nie znał przyczyny powszechnej zagłady, a po prawdzie i dzisiaj są to tylko domysły. Przecież nie znali jej i sami Żydzi, no bo skąd? Być może też wierzyli w zatrutą wodę, tyle, że mogli posądzać jeszcze kogoś innego. Ponieważ jednak i oni umierali na zarazę, to pewnie mieli poczucie winy, bo w karę bożą wierzyli wszyscy, a mając 613 aktualnych zakazów, nie sposób któregoś nie złamać. Dante, który względnie niedawno napisał PIEKŁO, dał trafną diagnozę męki: potępińcy dręczyli potępińców.

Ale zaraza minęła. Co prawda nie tak zaraz. Mór trwał cztery lata, a potem przez kilka dziesiątków lat były nawroty. Żydzi po trosze wrócili. Poszły w niepamięć surowe zakazy broniące im wstępu na kilkaset lat, po prostu wszędzie brakowało ludzi. Nawiasem mówiąc, wypędzony Żyd jest tylko Żydem, natomiast z rzadka zapraszany staje się automatycznie „człowiekiem”. Co brzmi dumnie, ale trwa niedługo. Żydzi wprawdzie wrócili, ale na gorszych warunkach niż poprzednio; może należałoby napisać: na jeszcze gorszych warunkach, bo przecież przeszłość też nie była sielankowa. Po wielkiej zarazie wchodzi w życie różne ograniczenia i powstają getta. Najstraszniejsze było getto frankfurckie, które projektowano od lat, żeby nie rzec od stuleci, ale wprowadzono w czyn dopiero w roku 1460 – wysiedlono wszystkich Żydów za mury miejskie i tam wyznaczono im miejsce osiedlenia. Było to zarazem jedno z tych miejsc, gdzie Żydzi przetrwali aż do holocaustu. A nie było ich w Niemczech aż tak wielu. Do końca piętnastego wieku przetrwały poza Frankfurtem tylko gminy w Wormacji, Ratyzbonie i Pradze czeskiej. Tymczasem przez te sto pięćdziesiąt lat zdarzyło się wiele, ale przeważnie nic dobrego. Gminy żydowskie wprawdzie odrodziły się częściowo, gnębione były jednak podatkami i redukcjami długów. Dochodziło też, jak poprzednio, do

wielu pogromów, procesów o morderstwa rytualne i wszelakich prześladowań. Z nich najsłynniejsze jest spalenie 210 Żydów i Żydówek wiedeńskich w 1421 roku. Szczególnie, że spalono tylko bogatych – biednych zwyczajnie wypędzono. Od początku piętnastego wieku trwa wielkie wypędzanie: w roku 1426 z Kolonii, w 1435 – ze Spiry, w 1438 – z Moguncji, w 1450 – z Bawarii, a w latach 1496 i 1498 w ogóle z reszty Austrii i Niemiec, a niedługo potem i z całych Czech – za wyjątkiem Pragi.

Zadziwialiśmy się zawsze, jak to możliwe, że po okropnościach holocaustu możliwe było takie zdarzenie jak pogrom kielecki. Nie wiem tego, byłoby to może przedmiotem książki nie o naturze Żyda, ale goja, a może po prostu człowieka. W każdym razie tak było i w przeszłości. Po wielkiej zarazie bynajmniej nie rekompensowano Żydom krzywd, które wycierpieli, ale dokładano im nowe. Słabość, starość, choroba i kalectwo najwyraźniej w oczach ludzkich jest winą, a im większe spotyka nas nieszczęście, tym bardziej jesteśmy winni.

Żydzi niemieccy i w ogóle środkowoeuropejscy wędrowali do Polski; jeden już tylko bastion żydowski był na Zachodzie – Hiszpania. Tam, na Półwyspie Pirenejskim, upadek miał być najsroższy i najbardziej nieodwołalny, chociaż najpóźniejszy. Z „drugiej ojczyzny Żydów” nie ocalało nic, nie pozostał kamień na kamieniu. Ale zanim do tego doszło, miały upłynąć stulecia. Zostawiliśmy Żydów w pełni intelektualnego, gospodarczego, a i politycznego rozkwitu u progu wieku czternastego. Hiszpania była nadal podzielona na część katolicką i mauretańską, a jeszcze i katolicy zorganizowali się w kilka konkurujących ze sobą królestw, przede wszystkim Aragonię i Kastylię. Żydzi byli co prawda skłóceni, dzielili się mniej więcej na talmudystów i filozofów, pamiętamy, że kres filozoficznej uczoneości położyła klątwa ben Adreta z roku 1305. Odtąd Półwysep Pirenejski stał się rzekomo „gniazdem posępnej dewocji”, a największym dziełem był talmudyczny traktat ARBA TURIM Jakuba ben Aszera. Ale z drugiej strony w tym właśnie czternastym wieku działał astronom Gersonides, jakoś łącząc naukę z TALMUDEM.

Szczególnie w królestwie Kastylii Żydzi brali wyraźny udział w polityce, co stało się jednym z powodów ich późniejszego upadku. Na dworach Alfonsa XI i jego syna don Pedra pełnili funkcję almoxarifów, czyli podskarbich. Historia zanotowała imiona Józefa de Eciji i Samuela ibn Wakara, ulubieńców Alfonsa, wielkich i wpływowych panów na jego dworze, bohaterów malowniczych intryg i przygód. Ale najfatalniejszą osobą był ochrzczony Żyd, Abner z Burgos, zwany później Alfonsem de Valladolid, wielki znawca TALMUDU i jego zaciekle przeciwnik. Przypomniawszy on zarzut świętego Hieronima, że TALMUD zawiera klątwy przeciw chrześcijaństwu. Pisałem już o tym. Istnieją one rzeczywiście, a zwracają się przeciw nawróconym na chrześcijaństwo Żydom, tzw. nazareńczykom, czyli minejczykom. Cała sprawa miała więc wymiar historyczny, odnosząc się do pierwszego, drugiego stulecia po Chrystusie. Ale...

Ale przecież sam Abner, jako świeżo ochrzczony, mógł odnosić te klątwy do siebie. A z kolei wolno wątpić, czy Żydzi po przeszło tysiącu lat odnosili to wszystko do jakichś dawno minionych i zapomnianych minejczyków, czy raczej nadawali im aktualne znaczenie i ostrze... Abner miał więc solidne argumenty i w końcu doprowadził w 1336 roku do zakazu stosowania tej formuły, czyli klątwy przeciw chrześcijaństwu.

Tymczasem Kastylia don Pedra wpadła w wir wojny domowej. Konkurentem Pedra był jego przyrodni brat Henryk, który po niezwykłych perypetiach w końcu zwyciężył w 1369 roku, zabijając własnoręcznie Pedra. Jak to zwykle w wojnach domowych, powikłania polityczne były ogromne, ale generalnie rzecz biorąc, Żydzi i Saraceni popierali króla, a papież rzucił nań klątwę. Po przegranej don Pedra Żydzi ponieśli konsekwencje. Kortezy zgromadzone w Toro w roku 1371 zażądały, aby Żydzi odtąd nie używali imion hiszpańskich, nosili oznakę hańby, nie mieli prawa do stanowisk dworskich i mieszkali w getcie. Król Henryk zgodził się na pierwsze dwa nakazy, co odebrało Żydom hiszpańskim status równoprawnych obywateli i stanowiło dla nich przerażający stres moralny. Pozostałe nakazy były raczej nie-

wykonalne, bo i Henryk, i jego następcy sami posługiwali się dostojnikami i bankierami żydowskimi. Na przykład głównym poborcą podatków Henryka był Józef Pichon, w stosunku do którego współwyznawcy zachowali się głupio i zbrodniczo – skazany na śmierć przez sąd rabiniczny został bez wiedzy a wbrew woli królewskiej stracony, co obruszyło na Żydów lawinę kar i potępień, a co gorsze projektów rozwiązania „kwestii żydowskiej” w bardzo restrykcyjnym duchu. Ostatecznie doszło do wielkiej rzezi w Sewilli w 1391 roku, skąd się to rozniosło na całą Hiszpanię. Data ta stanowi zarazem granicę, od której liczy się upadek Żydów hiszpańskich. Ale do tego momentu miało upłynąć jeszcze sto lat.

Przez ten czas sytuacja Żydów ulegała niemal nieustannemu pogorszeniu, ale poszczególne etapy sytuacji były bardzo złożone – Graetz poświęca im cały tom, siódmy, swojego dzieła. Nie można lekceważyć międzynarodowych nacisków, zwłaszcza Kościoła. Hiszpania była wtedy już chyba ostatnim krajem w Europie, gdzie traktowano Żydów jak normalnych ludzi. Ale decydujące chyba były przyczyny wewnętrzne. Otóż wielka część Żydów uległa wielorakim naciskom i przyjęła chrześcijaństwo. Sami Żydzi zwali ich *anusim*, czyli „zmuszonymi”, ale chrześcijanie mówili dobitniej *marranos* – „nieczyści” lub „przekleci”. Marrani dochodzili do wielkich dostojnictw i bogactwa, łącząc się z najlepszymi rodami hiszpańskimi. Ba, sama arcykatolicka królowa Izabela była pono z pochodzenia Żydówką. Skądinąd właśnie owi nowi chrześcijanie byli najzacieklejszymi prześladowcami starej wiary. Wśród nich na pierwszym miejscu trzeba wymienić Pawła de Santa Maria, rabina Burgos, który został później biskupem w tym mieście, a zarazem wychowawcą infanta i największym chyba dostojnikiem w Hiszpanii. Powoływał się przy tym na pokrewieństwo z Matką Boską – co w końcu niewykluczone, jako że oboje byli Lewi.

Ale tych prześladowców Żydów było wśród marranów bardzo wielu, a byli to prześladowcy wyjątkowo niebezpieczni. Jeśli ktoś dobrowolnie przechodził na chrześcijaństwo, niemal natychmiast odcinał się od swoich korzeni. Ciekawe, że i tak w oczach innych pozostawał Żydem. Nie wiem, czy polskie pogardliwe określenie „wychrzczony” było rzeczywiście polskie czy może żydowskie? Początkowo myślałem, że wywodzi się ono z repertuaru antysemitckiego, ale okazało się, że najcięższą pogardą otaczali ochrzczonych sami Żydzi.

Otóż właśnie na marranach skupiła się cała nienawiść Hiszpanów, a na Żydach raczej pośrednio. Przecież ostatecznie właśnie dlatego zostali wygnani, by nie deprawowali nowych chrześcijan. Nie wiadomo wszakże, czyj los okazał się ostatecznie naprawdę gorszy.

Nie przeszkodziło to wcale Hiszpanom jeszcze intensywniej nawracać Żydów. Celował w tym zwłaszcza święty Vicente Ferrer, namiętny dominikanin, święty naprawę, ale zajadły prześladowca Żydów, który wskrzesił dawne praktyki biczowników. To pod jego wpływem ogłoszono w Kastylji w roku 1412 dwadzieścia cztery artykuły antyżydowskie. Były tam liczne zakazy i nakazy. Żydzi mieli odtąd obowiązek mieszkać w wydzielonej dzielnicy; getto hiszpańskie nazywa się *juderia*. Zapisano w nich zakaz przenoszenia się z miasta do miasta, noszenia ładnych strojów, a za to nakaz wkładania żydowskiego piętna. I ciekawe, kompletny zakaz strzyżenia i golenia, nawet przystrzygania. I tak dalej, i tak dalej. Dopatrywano się w tych zakazach złośliwej inwencji Pawła de Santa Marii, zmierzającej do ośmieszenia i oszpecenia Żydów. Zresztą – skutecznego.

W tym samym czasie, to znaczy w latach 1413–1414, doszło w Tortozie do słynnej dysputy, czy z TALMUDU nie wynika przypadkiem boskość Jezusa. Przewodniczył sam papież, a po prawdzie antypapież, Benedykt, bo papieży było w owym czasie aż trzech. Ze strony żydowskiej stawili się najwybitniejsi rabini (niezupełnie dobrowolnie), a wśród nich sławny Józef Albo, wielki teolog żydowski, który także serio traktował pewne elementy chrześcijańskiej teologii. Był on uczniem najsłynniejszego mędrca owych czasów, Chasdaja Kreskasa. Ze strony chrześcijańskiej byli też Żydzi, ale już ochrzczeni. Dysputa ciągnąca się dwa lata nie przyniosła żadnych efektów, ale tymczasem tysiące Żydów przymuszono do przyjęcia chrześcijaństwa. Rozkazano też po prostu zniszczyć TALMUD.

Potem sytuacja zmieniała się wielokrotnie. Za czasów kastylijskiego Juana II (lata trzydzieste czternastego wieku) znowu przyznano Żydom prawa i otworzono szkoły talmudyczne uprzednio zamknięte. A przez cały czas szalała między chrześcijanami a Żydami prawdziwa wojna publicystyczno-literacka, autorów można by wymieniać na kopy. Tymczasem sobór bazylejski (1431–1445) próbował rozprawić się z husytami i Żydami. Równolegle z tym synowie biskupa Pawła de Santa Marii (z czasów, kiedy był jeszcze rabinem) zwalczali kanclerza Alvara da Luna opiekującego się Żydami, aż doprowadzili go do stryczka (1453), po czym sytuacja Żydów znów zmieniła się na gorsze. Zanim jednak to się stało, Alvaro za zgodą papieża Mikołaja V w 1451 roku powołał pierwszy trybunał inkwizycyjny skierowany przeciw marranom. Jednak do praktycznej działalności tej dominikańskiej instytucji miało dojść dopiero za trzydzieści lat. Na razie w trójkącie: chrześcijanie, Żydzi i marranie nieustannie panował zamęt i tumult. I to właśnie marranów dotyczyła teraz nienawiść obu stron. Przeciw nim w 1480 roku uformowano w Sewilli pierwszy praktycznie działający trybunał inkwizycyjny. I już w styczniu odbyły się pierwsze egzekucje, w listopadzie zaś spalono 260 marranów. A w roku 1485 Wielkim Inkwizytorem został Tomasz Torquemada, który spalił dwa tysiące ludzi, a dziesięć razy tyle publicznie upokorzył.

Tymczasem w roku 1469 Ferdynand, król Aragonii, ożenił się z Izabelą kastylijską, które to małżeństwo zjednoczyło Hiszpanię, wypędziło definitywnie Maurów z Półwyspu Pirenejskiego, wysłało Kolumba za ocean i wypędziło Żydów. Wszystko było połączone ze sobą.

Na ich arcykatolickim dworze ścierały się ze sobą dwa wpływy. Z jednej strony byli wielcy finansiści żydowscy, Abraham Sennor i Izaak ben Abarbanel, uczonec i fundator synagog, z drugiej Torquemada z klerem. Otóż gdy 2 stycznia 1492 roku padła Granada, jako *votum* do Boga za klęskę niewiernych Ferdynand i Izabela przysięgli wypędzić Żydów, a przysięgę trzymali w tajemnicy. Trzeba było następnie zdobyć pieniądze na wyprawę Kolumba (być może potomka marranów), co przy pustym skarbie nie było łatwe. W końcu pieniądze wyłożył bogaty marran i dopiero wtedy, 31 marca, Ferdynand i Izabela wydali rozkaz, by do 31 lipca wszyscy Żydzi, bez wyjątku, opuścili Hiszpanię. Dramatyczne starania Abarbanela na nic się nie przydały. Uzasadniono to tak, że Żydzi przeszkadzają Inkwizycji. I rzeczywiście, między Żydami a prześladowanymi marranami doszło do pewnego zbliżenia. Alternatywą było przyjęcie chrześcijaństwa.

Do końca lipca doliczono jeszcze trzy dni. Ale drugiego sierpnia 1492 roku, w rocznicę zburzenia Świątyni, ruszyli Żydzi na wędrówkę. Do Portugalii, Nawarry, Włoch, Afryki, a ostatecznie do Turcji. Była to istna droga krzyżowa – z Portugalii wkrótce wygnano ich także, podobnie z innych krajów. Wygodny przytułek znaleźli dopiero w Turcji, która wzbogaciła się bardzo za ich przyczyną.

Nazajutrz, 3 sierpnia, Kolumb wypłynął na morze.

W Hiszpanii pozostali marrani. Po Torquemadzie Wielkim Inkwizytorem został również wielki prześladowca marranów i przez całe wieki płonęły stosy w Hiszpanii i Portugalii. Inkwizycję zniósł dopiero Napoleon w 1808 roku.

Judeopolonia

Powszechnym złudzeniem autora piszącego o przeszłości jest przekonanie, że właśnie w chwili, kiedy to pisze, przypada moment szczególny i wyjątkowy. Pewnie, dla autora rzeczywiście jest wyjątkowy, skoro o tym pisze, ale dla historii bynajmniej, a nawet nie dla jego własnych czytelników. Przekonanie to jednak zawsze daje się czymś uzasadnić. A przyjmując koncepcję „szczególnego momentu”, musi się uważać omawiane dzieje za spójną i logiczną całość. Coś się kiedyś zaczęło i oto do jakiego kresu dziś dobiegło. W moim przypadku Żydzi kiedyś do Polski przywędrowali, a po wiekach ją opuścili. W ciągu tysiąca lat świat dokonał obrotu i wszystko właściwie wróciło do punktu wyjścia. Początkowo nie było jeszcze w Polsce Żydów, a teraz już ich nie ma.

Ale to nieprawda. Historia w swoich odmianach i śmiesznych, i strasznych chowa tyle niespodzianek, że i Żydzi może odrodzą się, a może wrócą, może nas definitywnie przeklną, a może i pokochają. A dzisiaj stanowią niezmiernie ważną część naszej rzeczywistości duchowej, chociaż jest to część wyjątkowo kontrowersyjna, niezgodna i splątana. Tak naprawdę nic się jeszcze nie zakończyło, nie minęło i raczej jest – choć o tym nie zawsze wiemy i chcemy wiedzieć – *in statu nascendi*. Prawdopodobnie i ja nie uniknę wielorakich pułapek tematu.

Przede wszystkim: kiedy naprawdę Żydzi przywędrowali do Polski? Na pewno ogromna fala osadnictwa żydowskiego wiązała się z prześladowaniami w krajach zachodnich. Nawet z odległej Hiszpanii przywędrowało trochę Sefardyjczyków, ale przecież przedtem trafiali tu Żydzi niemieccy, uciekinierzy z okolic roku Czarnej Śmierci (1348), a także wiele pokoleń ich poprzedników. Ktoś przecież bił te brakteaty Mieszkowi Staremu w trzynastym wieku, wyposażając je w hebrajskie napisy! A wśród żydowskich historyków snuła się koncepcja, że to Żydzi właśnie byli elementem organizującym państwo polskie. Więcej jeszcze. Choćby z przymrużeniem oka warto przytoczyć, co żydowskie, całkiem nie znane Polakom, legendy mówią na ten temat.

Otóż po upadku Popiela wcale nie kołodziej Piast był kandydatem na księcia i pana; był nim Żyd Abraham Prochownik. I to właśnie on wzdragał się i żądał trzech dni czasu do namysłu. A po tym terminie Polanie pod wodzą Piasta wtargnęli do niego siłą i zażądali decyzji. Abraham wskazał wtedy na przywódcę, którym był Piast. Niedorzeczna legenda? Ale przecież rzeczywiście w tym samym mniej więcej czasie żydowscy mędrcy nawrócili na judaizm Chazarów nie mniej dzikich od Słowian. A próbowali także szczęścia w Kijowie i podobno byli bliscy sukcesu. Może więc jest to legenda mniej szalona, niż nam się wydaje. Podobnie inna, która powiada, że w jedenastym wieku Mieszkowego naddziada Lestka prosili Żydzi o prawo osadnictwa, on zaś – oceniwszy życzliwie zasady judaizmu – wydał przywilej datowany na 905 rok.

Kto wie. Nić monarchiczna snuje się przez stulecia. Ponoż może rody założyli potomkowie Kazimierza i Esterki, ponoż jeszcze później Saul Katzenellenbogen był przez jedną noc królem Polski, o czym pamięta dzisiaj już tylko pozostała po nim rodzina Wahłów. A co to naprawdę było z tym tańcem w papierowej koronie Jakuba Mortkowicza, wołającego, że jest królem? Czy rzeczywiście religią poprzedzającą w Polsce nawrócenie na katolicyzm było chrześcijaństwo słowiańskie Cyryla i Metodego? Jednym z pierwszych dokumentów dotyczących Polski jest zachowany w odpisie watykańskim *Dagome iudex*, co zwykło się interpreto-

wać jako zniekształcenie *ego Mescó*. Nie wszyscy się na to godzą, widząc w tym skandynawskiego Dagona. A co, jeśli słowem zniekształconym było swojskie imię Dawid?

O Żydach mówiono w Polsce i czule, i ironicznie „nasi”. Ale „nasi” jest w polszczyźnie zaimkiem, w hebrajskim natomiast nasi oznacza księcia. Uczeni Żydzi bawili się zapewne tą rozbieżnością znaczeń. A może i nie bawili się, lecz przyjmowali jako mimowolne potwierdzenie legendy?

Słowianie, jak początkowo wszystkie narody, byli wędrowcami, przybyli w dorzecze Łaby, Odry i Wisły w pierwszych wiekach naszej ery i mieszczał się z zamieszkałą tu ludnością. Ale Polacy nie bardzo chcą być Słowianami, wolą genealogię sarmacką i intronizację nadwiślańską w orszaku Attyli syna Mundzukowego. Cóż stoi na przeszkodzie, aby pierwsi Żydzi przybyli w tym samym towarzystwie?

Jak długo trwa niespisana pamięć narodu? Tadeusz Sulimirski opowiada, że przekaz o tym, w którym kurhanie został pochowany książę, przetrwał w jakiejś wiosce ponad tysiąc lat. Ale na ogół nie trwa to tak długo. Grodziska słowiańskie nazywane są nagminnie „szwedzkimi okopami”, a więc tysiącletnią tradycję wyparła wersja sprzed lat trzystu. Po czym dodajmy, że była to ludowa mądrość wbrew tradycji spisanej. Więc z lat wielkiej wędrówki mogło nie zostać ani śladu, ani śladu po śladzie. Podobne problemy Żydów odnoszą się do czasów o tysiące lat wcześniejszych i choć bardzo mnie kuszą formuły o splataniu się losu wędrowców, nie mogę nic o tym powiedzieć, chyba tylko żartem.

Ale rzeczywiście osadnictwo Żydów na ziemiach polskich mogło się zacząć bardzo wcześnie, a to za sprawą Chazarów. Jest to także bardzo tajemnicza historia, jak wszystko, co wiąże się z Chazarami. Było to takie plemię wędrowne, nawet nie bardzo dobrze wiadomo, czy ugrofińskie, czy tureckie, które w szóstym mniej więcej stuleciu osiadło u ujścia Wołgi i Donu, na kiepsko określonym terytorium, i na parę stuleci założyło wcale potężne państwo. Historia jego jest bardzo mglista, ale za to malownicza: pierwszy chagan, czyli władca Chazarów, był ożeniony z księżniczką bizantyjską. Chazarowie to ten właśnie lud, z którym wojował *wieszczij Oleg* i którego ostatecznie dopadła wywróżona mu śmierć za przyczyną własnego konia. Otóż Puszkiniowska ballada zaczyna się wyruszeniem Olega na wyprawę, aby *otomstit' nierazum – Chazaram*. Chazarowie rzeczywiście cieszyli się złą sławą permanentnych napastników, ale dlaczego mieli być nierozumni?

W monumentalnej, ale jeszcze stalinowskiej, pracy Borysa Grekowa OCZERKI HISTORII SSSR IX–XV w. są o Chazarach jedynie nieznaczące wzmianki. Kie lichó? Oczywiście pewności nie mam, ale mogę sobie wyobrazić przyczyny dyzgustu Rosjan: Chazarowie po prostu przyjęli judaizm. Nie byli pierwszym krajem w dziejach, który to zrobił, w starożytności była Adiabene, były też liczne przedmuzułmańskie emiraty arabskie czy też półdzikie plemiona żydowskie z Assurbejdżanu, które wydały w dwunastym wieku „fałszywego mesjasza” Dawida al-Roi. Ale Chazaria była prawdziwą potęgą, na miarę swoich czasów.

Chazarowie zostali zwerbowani przez Bizantyjczyków przeciw Persom, a następnie wojowali z muzułmańskimi Arabami, którzy tymczasem opanowali Iran. Można się domyślić, że zarówno chrześcijanie, jak i muzułmanie starali się przeciągnąć Chazarów na swoją stronę. Ci tymczasem wybrali, pewnie z racji politycznych, doktrynę tolerancji, a za religię władcy czy dworu wybrali neutralny judaizm – jak wiemy, religie te są wręcz identyczne. Dawało to niezależność tak wobec Bagdadu, jak i Konstantynopola. Wedle malowniczej opowieści chazar-skim władcom objawiały się to anioły, to sam Jehowa, który dawał rady, jak i kogo złupić, by Jemu wybudować okazałą świątynię. Powstało coś w rodzaju kosztownej arki, o świątyni natomiast nie słyhać. Żeby zyskać polityczne alibi, zapytano muzułmańskiego imama, czy lepszy jest judaizm czy chrześcijaństwo, a księdzka równocześnie, ale chyłkiem, czy wybrałby raczej judaizm czy islam? Obaj zgodnie wybrali religię żydowską, taką też radę wprowadzili Chazarowie w życie. Rabin, który to wszystko wymyślił, zwał się pono Izaak Sangari vel Singari. Może był dalekim protoplastą Isaaka Bashevisa Singera?

Nie wiadomo, jak szerokie kręgi zatoczył judaizm poza samym dworem. Państwo chazar-
skie było wprawdzie ulotne, ale ta ulotność trwała blisko czterysta lat, czyli tak mniej więcej
od Jagiełły do Napoleona. Był nie tylko czas, aby judaizm się utrwalił, ale by ściągnęła do
Chazarii niemąla grupa etnicznie autentycznych Żydów, która w tym przychylnym politycz-
nie i wyznaniowe otoczeniu powinna się wzmocnić wręcz imponująco. Niewiele jednak o
tym wiemy. Hiszpańscy Żydzi usiłowali skontaktować się z Chazarią, pisałem już o liście
wystosowanym przez dostojnika i uczonego Chisdaję ben Izaaka ibn Szapruta do króla Cha-
zarów i o odpowiedzi chagana Józefa. Oba listy wędrowały długo i dziwnymi drogami. Wie-
my też, że poeta Juda Halewi napisał dzieło KUZARI (CHAZARI), ale jest to abstrakcyjny dia-
log filozoficzny.

Natomiast po autentycznych Chazarach niewiele pozostało. Nie ma żadnych zabytków
materialnych, nawet nie wiemy, gdzie dokładnie leżała ich stolica, Itil. Zapewne w delcie
Wołgi, ale czy była po prostu zbiorowiskiem namiotów, czy były tam także budowle trwalsze
– któż wiedzieć może. Po wiekach zbudowano w tej mniej więcej okolicy miasto Astrachań
kawiołem sławne, ale to tak, jakby rzec, że Paryż leży w pobliżu Hamburga. Zresztą państwo
światopoglądowo neutralne nie mogło oprzeć się atakom islamu z jednej, a chrześcijaństwa z
drugiej strony. Tym bardziej, że tymczasem na chrześcijaństwo nawróciło się potężne księ-
stwo kijowskie. Mamy świadectwa, że Chazarowie usiłowali je nawrócić na judaizm (jakie
jeszcze księstwa słowiańskie odwiedzić mogli?), ale potęga bizantyjska przeważała.

Dość, że Chazaria rozsypała się gdzieś w dziesiątym wieku, resztki jej przetrwały jeszcze
parę stuleci na Krymie, ale już chrześcijańskie. Co się stało z wyznawcami judaizmu? Uczony
petersburski Abraham Harkawi sformułował w dziewiętnastym wieku teorię, że wywędrowali
na Zachód, do krajów słowiańskich, w tym i do Polski. Mieli być głównie rolnikami i stano-
wić pierwszą fazę osadnictwa żydowskiego w Polsce, pozostały po nich nazwy osad, jak Ko-
zary, Kawiry, Żydowo. Jak naprawdę było, nigdy się nie dowiemy, a poza tym wszystko
dawno zostało zapomniane. W każdym razie, jeśli tak było rzeczywiście, a to już przecież nie
legendy, to ludność chazarско-żydowska dawno się spolonizowała i może tak być, że zwy-
czajne polskie nazwiska jak Rydzyk czy Jankowski mają genealogię sięgającą gwiazdy Da-
wida. W powszechnej świadomości teoria ta nie istnieje, bo jest po prostu dla niektórych nie-
wymownie kłopotliwa. Zacytujmy za Eliotem ŻYDA MALTAŃSKIEGO: *Przespałem się z nią, ale
to było w dalekim kraju, a zresztą dziewczyna umarła.*

Zasadnicza fala żydowska nadchodziła jednak z Zachodu, chociaż nie umiemy jej ściśle
datować. O obecności Żydów świadczą rozsiane tu i ówdzie wzmianki, monety polskie z he-
brajskimi tłoczeniami, wreszcie przywileje, jak ten Bolesława kaliskiego z 1264 roku, powta-
rzający tekst Fryderyka Bitnego z 1244. W roku 1334 potwierdził go Kazimierz Wielki, ale
ponieważ przyznawał on Żydom znaczne uprawnienia, stał się przez całe wieki przedmiotem
targów. Był stale kwestionowany, ale prawie każdy król polski zatwierdzał go na nowo.

Żydzi ściągali do Polski w miarę, jak nasilały się prześladowania na Zachodzie. A więc po
każdej wyprawie krzyżowej, po każdym wypędzeniu czy przy okazji Czarnej Śmierci. Po-
czątkowo Żydzi przyjeżdżali jako kupcy, wywożąc z Polski cenionych w krajach arabskich
niewolników. Słowianie byli w tym czasie definiowani jako lud, *który własne dzieci sprze-
daje w niewolę*. Analogiczne interesy robili zapewne kupcy arabscy. Ale Żydzi stopniowo
zaczęli się osiedlać, spełniając ważną rolę miastotwórczą, jak wcześniej na Zachodzie. Ścią-
gali tutaj razem z Niemcami, których języka używali i mieli, nawet kiedy miasta się spoloni-
zowały, używać w przyszłości. Natomiast z ludnością rodzimą związki Żydów były zapewne
minimalne, do tego stopnia, że aż utrwaliło się przekonanie, jakoby Żydzi przybyli do Polski
dopiero za Kazimierza Wielkiego.

W istocie za czasów Kazimierza przypadł rok Czarnej Śmierci 1348, upamiętniony oskar-
żeniem Żydów o zatrucie wody, a więc rok migracji do Polski, gdzie i zaraza, i wiadome
oskarżenia nie w pełni się zaznaczyły. Kazimierz był po prostu świadom gospodarczej warto-

ści Żydów. Jego najcenniejszym bankierem był Lewko, syn Jordana i Kaszycy, wielki bogacz i dostojnik, później również bankier Ludwika Węgierskiego i Władysława Jagiełły. Ale legenda więcej niż o Lewce opowiada o Esterce z Opoczna, królewskiej kochance. Miało z tego romasu zostać czworo dzieci, synowie Pełka i Niemira, wychowani jako katolicy, i dwie córki, które zostały przy religii matki. Potomkowie ich żyją podobno do dzisiaj. Bałaban w każdym razie myli się, przypisując Esterce związek z zamkiem w Kazimierzu Dolnym – miejscowe legendy mówią to o zamku w pobliskiej zresztą Bochofnicy. Mówią i to, że dzieci królewskie przychodziły na świat w wiosce Wylągi, późniejszej własności Ignacego Dzierżyńskiego, brata Feliksa. Ale to już wyłącznie rdzennie polski temat.

Nawet w tych wczesnych wiekach pobyt Żydów w Polsce nie był ustawiczną sielanką. Toczyła się i przez całe wieki miała się toczyć wojna prawna o przywileje żydowskie, czyli o surogat praw obywatelskich. Zdecydowanym wrogiem Żydów był tradycyjnie Kościół, mający w piętnastym wieku tak znaczące postacie, jak biskup Mikołaj Trąba czy kardynał Zbigniew Oleśnicki. Co parę lat mają miejsce tumulty i pogromy, są też procesy o rytualne znieważenie hostii, najwcześniejszy w Poznaniu w 1399 roku. A w roku 1407, jak to ogłosił z ambony jakiś ksiądz, a magister Budek, Żydzi umęczyli dziecię chrześcijańskie, przeznaczając je na paschalne wypieki. Mieszkali wtedy blisko krakowskiego rynku, na ulicy, która wtedy zwała się Żydowską, a teraz Świętej Anny. W kościele jej imienia szukali ratunku, ale kościół podpalono. W efekcie ujął się za nimi sam król Jagiełło. Nota bene w miarę rozrastania się uniwersytetu w tym właśnie miejscu wykupywano kolejne żydowskie domy, a ich samych eksmitowano na Kazimierz. Przyznam, że bardzo mnie zaskoczyła informacja, jakoby stary budynek Biblioteki Jagiellońskiej mieścił się po części w gmachu jeszcze starszej synagogi. Smętnie także, że najświetlejsze umysły piętnastowiecznej Polski, Paweł z Brudzewa, Stanisław Zaborowski, Jan Łaski i Jan Ostroróg byli zdecydowanymi antysemitami. Niestety, można to sprawdzić, tylko my na tę odwrotną stronę medalu nigdy nie zwracaliśmy uwagi. Może po prostu uważaliśmy antysemityzm za coś w pełni normalnego?

A jednak właśnie Polska miała coś specyficznego, co przyciągało Żydów z całej Europy, a w każdym razie z krajów ościennych, co im pozwoliło żyć w tym miejscu w miarę bezpiecznie i swobodnie, a także rozwijać swoistą kulturę. To nie było tak, że tutaj cieszyli się większym zrozumieniem, wprost przeciwnie. I wbrew temu, co z upodobaniem twierdzimy o sobie, nie byliśmy nigdy „z natury” bardziej tolerancyjni od innych narodów; ksenofobia polska jest i dzisiaj wyraźnie odczuwalna. Synody kościelne z równą siłą, co w innych krajach, powstawały przeciw Żydom, domagały się ograniczania ich praw i napiętnowania osobnym strojem i znakiem hańby, miasta spychały ich do gett i ustawicznie wytaczano im procesy o morderstwa rytualne. Do połowy siedemnastego wieku było takich procesów sześćdziesiąt i siedemnaście oskarżeń o profanowanie hostii. Torturowano ludzi, lała się krew, płonęły stopy. To nie były żarty, nic tu nie działo się na niby. U progu czasów nowożytnych, w roku 1495, wypędzono definitywnie Żydów z Krakowa, a co więcej, dekretem Jana Olbrachta i z całej Litwy. Prawda, że po niespełna dziesięciu latach przywołano ich ponownie. Miasta niemal z reguły dysponowały *przywilejem de non tolerandis Iudeis*, co na ogół objawiało się tak, że za rogatkami budowano specjalną dzielnicę żydowską. Miał taki przywilej i Lublin, uznawany przecież za centrum żydowskie na skalę światową, i Bydgoszcz, i całkiem małe miejscowości. Prześladowań, przykrości i kłopotów nie brakowało i w Polsce.

A jednak... A jednak podróżni odwiedzający Polskę oceniali, że dla chłopów jest to piekło, ale dla Żydów – raj. Co spowodowało taką sytuację?

Jak sądzę, specyficzny rozwój społeczny i gospodarczy. Przede wszystkim systematyczne osłabianie władzy monarszej, ale nie na rzecz miast, czyli „trzeciego stanu”, ale na korzyść szlachty. Żydzi byli w całej Europie osobistą własnością króla i królewskiego skarbu, ale mogli też uzależnić się od osób prywatnych: były przecież obok miast królewskich również magnackie, a nawet zwyczajnie szlacheckie i miasta i, oczywiście, wioski. Najważniejsze jest to,

że mieszczenie, bardzo w Polsce słabi, nie decydowali o sprawach żydowskich. Szlachta zaś była partnerem ekonomicznym Żydów, zwyczajnie ich potrzebowała, dlatego lekceważyła monotonne lamente synodów. I to Żydzi po prostu stanowili mieszczaństwo Polski, zwłaszcza wschodniej, będąc w ten sposób u siebie. Nie musieli w tej sytuacji zmieniać języka, rozumieć Polaków i samemu osiągać zrozumienie. Dwa narody mieszkały obok siebie, nie bardzo się nawzajem znając i rozumiejąc, ale też nie bardzo sobie przeszkadzając. Polska była ich ojczyzną, ale Polacy nie stali się ich ziomkami. Judeopolonia mogła istnieć do pierwszego poważnego wstrząsu bez wzajemnego zrozumienia, ale bez sympatii nie mogła być formacją trwałą.

Na razie były potężne gminy w Krakowie, czy raczej na krakowskim Kazimierzu, we Lwowie, Wilnie, Lublinie. I w bezmiernej liczbie małych miasteczek, szczególnie ukraińskich, rozsianych po Wołyniu, Podolu i dalej na wschodzie, aż po granicę z Moskwą; takie miasteczko nazywało się po żydowsku *sztetł*. Było świetnie zorganizowane, ale o tym będziemy mówić osobno. I nie granica z Moskwą była istotna – prawosławie odnosiło się do Żydów jeszcze gorzej niż chrześcijaństwo zachodnie, ale sąsiedztwo z Turkami. Ta przez stulecia płonąca granica między chrześcijaństwem a islamem nie była żadną przeszkodą dla Żydów. Odwrotnie, wiemy że Sefardyjczycy po wygnaniu z Hiszpanii zostali przez Turków przyjęci z wielkim aplauzem i znośnie się urządzili. Żydzi w tej sytuacji stanowili naturalny łącznik między krajami, co zresztą w Polsce miano im za złe i pomawiano o działania na szkodę chrześcijan. Trudno mi powiedzieć, czy podobne oskarżenia pojawiały się i po stronie tureckiej.

Stosunki polsko-tureckie to bardzo złożona dziedzina, na zmianę toczyły się wojny przegradzane okresami pokoju, a nawet przyjaźni. Moda polska tamtych czasów nie na Paryż spogląda, ale na Istantbul i tatarski Krym. Szable są krzywe, nosi się kontusze, pasy słuckie, czyli orientalne, a domy wyściela się wschodnimi dywanami. Namiętnie pijany węgrzyn też dojrzewa w prowincjach wówczas tureckich. Właśnie z winem wiąże się malowniczy epizod z połowy szesnastego wieku. W Istantbulu jest wtedy wielką postacią Żyd Józef ha-Nasi, czyli książe, z którym przyjazne stosunki nawiązuje Zygmunt August, ofiarując mu przywilej handlowania w Polsce małmazją, zapewne właśnie węgierską. Ha-Nasi wysyła przedstawicieli handlowych, którzy swoją kwaterę główną otwierają we Lwowie i Zamościu. I wtedy rozlega się lament chrześcijańskich mieszczan, ale i miejscowych Żydów, na nieoczekiwaną konkurencję. Dochodzi do wojny handlowej, w której zwyciężają „nasi”, to jest i Żydzi, i mieszczenie, natomiast Nasi – przegrywa. Rzadki to przykład współdziałania chrześcijan i Żydów. Pospolicie toczyły się bezlitosne wojny, niezbyt na ogół krwawe, ale ekonomiczne.

Szło właśnie o handel i tu Żydzi powoli, ale skutecznie wypierali chrześcijańskich mieszczan, i około połowy siedemnastego wieku mieli już praktycznie wyłączność w hurcie i detalu. Magistraty, chcące mieć jakiegokolwiek zyski, muszą w tej sytuacji z Żydami zawierać bardzo szczegółowe umowy o handel właśnie – pierwszą taką spisał magistrat lwowski w roku 1581, za Lwowem podobne pakta spisały inne miasta. Nie można właściwie dziwić się antysemityzmowi mieszczan, Żyd był trudnym i bezwzględny konkurentem.

A po stronie Żydów stał i król, i magnaci, i szlachta, wszyscy powiązani siecią interesów. W 1539 roku król zrezygnował ze swojego wyłącznego prawa własności wobec Żydów, ograniczając je do miast królewskich. I prawa własności, i obowiązek opieki przejęli poszczególni magnaci i szlachta, na której gruntach Żydzi się osiedlali. To zresztą naprawdę od nich zależało, na dobre i na złe. Ale miasta królewskie były przeludnione, a w prywatnych miastach czy wioskach czekała na nich praca, chleb i wolna przestrzeń. Nadużycia zdarzały się, ale raczej rzadko, bo nie były w niczyim interesie. Tyle, że nienawiść wobec szlachty na wschodnich terytoriach otoczyła również żydowskich karczmarzy, handlarzy i gorzelników. Ale właśnie stan szlachecki pozwolił Żydom wygrać bitwę o miasta.

Większość miast miała stosunkowo wcześniej wyrobiony przywilej *de non tolerandis Iudeis*. Znaczyło to, że nie wolno było Żydom mieszkać w obrębie murów miejskich. Zawsze jednak znaleźli się tacy, którzy umieli to prawo ominąć, przeważnie byli to protegowani króla, wojewody bądź – i tak bywało – biskupa. Bogata szlachta odgrywała tu szczególną rolę: jej pałace miejskie cieszyły się eksterytorialnością i Żydzi mogli w nich swobodnie wynajmować lokale. Co się zresztą równało niekończącym się procesom.

Zabawne, że z kolei Żydzi w swoich własnych gettach i ulicach starali się o przywilej odwrotny: *de non tolerandis Christianis*. Rzeczywiście, przestrzeń getta była określona, napływało do niej coraz więcej imigrantów z Niemiec bądź Czech, a magistrat nie zawsze się godził na sprzedaż nowych gruntów. W każdym razie taki przywilej otrzymała gmina krakowska w roku 1568, poznańska w 1633, a cała Litwa w roku 1645. Nie udało się to ani Lwowowi, ani Lublinowi. Sądzę jednak, że Żydzi robili to po trosze z przekory. No i kwestia, czy w tych przypadkach to chrześcijanie musieli dawać *kozubalec*? *Kozubalec*, słowo o nieznanym genealogii, oznacza podarek bądź zwyczajnie łapówkę dawaną przez Żydów przy różnych okazjach, na przykład szkołom, by uniknąć szykan uczniowskich. A jak to wyglądało od drugiej strony? I dlaczego właściwie chrześcijanom zależało na mieszkaniu między Żydami? A wiemy, że w dzielnicach żydowskich szczególnie chętnie wznoszono kościoły i klasztory. Czy upatrywano w tym usytuowaniu okazję do ewangelizacji? Bo przecież wojna ideologiczna toczyła się bez wytchnienia.

Było wiele druków antysemickich, tłumaczonych i rodzimych. Przeclaw Mojecki wydał dziełko ŻYDOWSKIE OKRUCIEŃSTWO, MORDY I ZABOBONY, a Jakub Górski broszurę POKORA WILCZA, KTÓRA, CHOCIA JEST SAMA CHYTRA, JESZCZE NAM WIĘKSZĄ I ZDRADLIWSZĄ CHYTROŚĆ POKAZUJE W TYM OBLUDNYM, A NISZCZĄCYM NARODZIE ŻYDOWSKIM. Wszystkie zarzuty przeciw Żydom, łącznie ze zdradą turecką, powtarza Sebastian Miczyński w ZWIERCADLE KORONY POLSKIEJ i tak dalej. I nie tylko synody starały się nękać Żydów, ale wracały do tego często i sejmy, mnożąc przepisy i zakazy, domagając się między innymi specjalnego znaku dla Żydów – ten postulat nie został nigdy zrealizowany. Ale przecież odstępstwa się zdarzały; w obliczu niektórych zagrożeń, na przykład śmierci na stosie, przyjmowano chrzest. Słynne było nawrócenie się Stefana Fiszla z możnego rodu bankierów i później pierwszych hebrajskich drukarzy – braci Haliców. I Fiszel, i Halicowie stają się wrogami Żydów.

I magnaci, i zwykła szlachta ma żydowskich pomocników, agentów handlowych, karczmarzy, gorzelników i piwowarów. Tym bardziej i na o wiele większą skalę mają ich królowie. Są to przede wszystkim lekarze, często bogato nagradzani i wielce wpływowi, dalej dzierżawcy różnych myt i ceł, salin i innych dziedzin ówczesnego przemysłu i kopalnictwa. Działają też Żydzi w dyplomacji. Jak Kazimierz Wielki miał swojego Lewka, tak Jagiełło Ślomykiewicza, i nade wszystko Wołczka z Drohobycza, skąd mamy po wiekach Bruno Schulza. W piętnastym i szesnastym wieku prym wiodła można rodzina Fiszlów: Efraim, Mojżesz, Raszka i Franček. Córkę z tej rodziny wziął na żonę sławny Jakub Polak. Jest też krewny Wołczka, Josko Szachnowicz z Lublina, jest w czasach Zygmunta Starego bankier Abraham z Czech i inni. Na Litwie jest można rodzina Ezofowiczów, a jeden z nich, Michał, został nobilitowany i obdarzony herbem Leliwa przy okazji hołdu pruskiego w Krakowie w 1525 roku. Jest to, podobno, jedyna w historii Polski nobilitacja nieochrzczonego Żyda. A w czasach Batorego wybija się lekarz Salomon Kalahora i Izaak Nachmanowicz ze Lwowa. I przede wszystkim rzekomy „król Polski” z rodziny padewskich rabinów Katzenellenbogenów, dzierżawca Wieliczki, salin litewskich i starostwa brzeskiego Saul Judycz vel Wahi. Arcykatolicki Zygmunt III Waza odnosi się już chłodno do Żydów i nie korzysta z ich pomocy. Ale za czasów następnego króla wszystko jest po staremu.

Żydzi żyją w zorganizowanych gminach – kahałach. Te kahały są początkowo w większych miastach, a potem pączkują z nich filie, przykahałki, przemieniające się w samodzielne

kahały, czemu gmina pierwotna starała się na ogół przeszkodzić. Każdy Żyd musiał być członkiem jakiegoś kahału, bo gmina jako całość płaciła podatki, następnie rozdzielane na poszczególnych uczestników. Sam kahał był wzorowany na prawie magdeburskim, co dzisiaj już nic dla nas nie znaczy. Miał dość złożoną strukturę, wszechstronną i giętką zarazem, wybieraną co roku od nowa. Na czele stała rada seniorów, tzw. *parnassim*, składająca się z trzech do pięciu przedstawicieli najbogatszych i najznakomitszych rodzin. Z tych seniorów wyłaniano na miesiąc burmistrza kahalnego, czyli *parnas hakodesz*, obdarzonego w swoim miesiącu wielką władzą. Następnie jest też kilku ławników-zastępców, a wreszcie idą kahalnicy, czyli członkowie rozlicznych komisji kahalnych. Tych komisji jest bez liku, a zajmują się sądami, porządkiem, szkolnictwem, dobroczynnością, podatkami itp., ale skończmy już tę pasjonującą jak wszelkie tajniki biurokracji wyliczankę. Urzędników w każdym razie było co niemiara.

Najwyższym jest rabin konkurujący z seniorami (*parnassim*), obok niego stoi rektor talmudycznej uczelni – *jesziwy*, do kontaktu z chrześcijanami żydowski marszałek Waadu *sztadlan* i syndycy, a poza tym wszyscy wykonawcy różnych stopni nazywają się sługami szkolnymi, czyli szkolnikami, a oprócz tego jest cała armia niższych funkcjonariuszy. Wszystkie biurokracje są w zarysie takie same, polecam dowolną instytucję polską, chińską czy peruwiańską. Możliwe jednak, że w żydowskiej kahalnej można było rzeczywiście coś od czasu do czasu załatwić, oczywiście na miarę ówczesnych obyczajów. A ówczesny urząd święcie wierzył, że jego zadaniem jest ingerowanie w życie prywatne. Żydzi mieli wprawdzie powody, by nie narażać się otoczeniu, psychoza obłożonej twierdzy dawała znać o sobie, stąd zapewne regulacje dotyczące noszenia ozdób, liczby gości na weselu itp. Ale po prawdzie chrześcijańskie przepisy miały taki sam charakter. Urząd chce być poważany, a dwóch ludzi zawsze będzie chciało trzeciego człowieka do czegoś nakłonić bądź zmusić.

Jako się rzekło, kahały rozmnażały się, a wszystkie razem w danej ziemi stanowiły ziemstwo. Początkowo było ich kilka, ale u schyłku Rzeczypospolitej już znacznie więcej. A ziemstwa z kolei wysyłały delegatów na sejm żydowski – Waad, który stanowił dumę polskich Żydów. Takie żydowskie sejmy już się zdarzały w dziejach – na przykład angielski w trzynastym wieku, ale tamten parlament był bez reszty zależny od woli króla. Autonomia polskiego Waadu była natomiast imponująca.

Wszystko także się zaczęło od poboru podatków. Zygmunt Stary próbował rozstrzygnąć tę sprawę centralnie w 1512 roku i stąd mianował tzw. egzaktorów, Żydów zresztą, Abrahama Czecha i Franczka Fiszla, a dla Litwy Michała Ezofowicza. Ale gminy żydowskie nie chciały ich słuchać. Nie pomogły klątwy i dekryty, kahały tak piętrzyły trudności, że w końcu trzeba było z koncepcji generalnego egzaktora zrezygnować. Cóż, prawdziwe *signum loci* – jakaż to gmina żydowska w ówczesnej Europie ośmieliłaby się zbojkotować taką decyzję władcy?

Równocześnie król mianował generalnych rabinów krajowych, chyba celnie, skoro pierwszym rabinem krakowskim został Jakub Polak i ten rabinat został już w rodzinie Fiszlów, ale koło połowy stulecia i tych nominacji zaniechano. Podatki rozpisywano na sejmikach poszczególnych ziemstw, ale z czasem, w 1581 roku, doszło do tak zwanego Zjazdu czterech ziem – *Waad arba aracot*, czyli Wielkopolski, Małopolski, Rusi i Litwy. Od roku 1623 Litwa organizuje sejm osobny, a całość przetrwała do 1764 roku, kiedy państwo polskie postanowiło zbierać podatki bezpośrednio. Waad był już wtedy cieniem siebie samego z epoki świetności, a główną przyczyną był kryzys ekonomiczny.

Ale w szesnastym i siedemnastym wieku zbierał się dwa razy w roku, wiosną w Lublinie, jesienią w Jarosławiu, kiedy odbywały się doroczne jarmarki. A kiedy Litwa oddzieliła się, odbywały się wspólne zjazdy w Łęcznej koło Lublina. Na sejmach omawiano wszystkie sprawy żydowskiej społeczności, funkcjonował tam także sąd, najwyższy żydowski sąd krajowy. Marszałek sejmowy był najwyższym żydowskim dygnitarzem w Polsce (jak to zwyczajnie minister finansów), a godność posła na Waad, nie mówiąc już o dietach poselskich, była wysoko ceniona. Ale normalne życie toczyło się w kahałach.

W piętnastym wieku epokę rozkwitu przeżywała Akademia Krakowska, ale uczoność żydowska pozostawała nieco w tyle. A prawdę powiedziawszy, Żydzi polscy cieszyli się (?) opinią nieuków. Zmieniło się to całkiem w stuleciu następnym. Właśnie Polska stała się europejskim centrum talmudycznym i kabalistycznym. Właśnie Saul Wahl przyjechał na naukę z Padwy do Brześcia (!) i tu się ożenił, a założony przez niego ród przetrwał w Polsce do dzisiaj, chociaż po części od wieków nie jest już żydowski. Początek temu wszystkiemu dał Jakub Polak, chociaż dziwnie tak mówić o kimś, kto urodził się w Bawarii, wykształcił w Regensburgu i Pradze, a zmarł w Palestynie. Ale w Krakowie ożenił się z córką Mojżesza Fiszla i doszedł do wielkich godności. Bo był taki szczególny i szczęśliwy zwyczaj żydowski, że początkujący uczonec żenił się bogato i zajmował wyłącznie nauką. Polak ożenił się z arcybogą Fiszlówną.

Jest on twórcą pierwszej akademii talmudycznej w Polsce, a poza tym sławnej metody egzegetycznej zwanej się *pilpul*, czyli pieprz. Było to wyjaśnianie niejasności PISMA i TALMUDU za pomocą przeciwstawnych przesłanek, co się zresztą przerodziło w dziwną sofistykę. „Z jednej strony” i „z drugiej strony” Tewe-Mleczarza ze SKRZYPKA NA DACHU jest właśnie pokazem tej metody. Bo opanowała ona uczoność żydowską aż do Szoah. Jakub Polak, *nomen omen*, rozzuchwiał się tak, że jego wyroki sądowe budziły oburzenie innych uczonych i drwiące piosenki krakowskiej ulicy i w sumie – skłócony ze wszystkimi – emigrował ostatecznie do Palestyny. Ale przedtem zdążył wykształcić uczniów.

Spśród całej wielkiej ich czeredy sławę zyskali Mojżesz Fiszel i syn bogatego kupca lubelskiego, a w przyszłości sam rabin w Lublinie, Salomon Szachna. Ale najślynniejszy uczonec talmudysta w Polsce, Mojżesz Isserles, czyli RMU (1533–1572), był już uczniem Salomona Szachny. To właśnie ojciec Isserlesa ufundował na Kazimierzu słynną synagogę Remu (1553), ale syna kształcił w Lublinie. RMU, czyli Remuh, był uczonym wszechstronnym i sam z kolei wykształcił wielu następców. Zajmował się Majmonidesem, Kabałą, historią i zaopatrzył SZULCHAN ARUCH (NAKRYTY STÓŁ) Józefa Karo w uwagi, które doń weszły na stałe.

Ale współcześnie z nim nauczał w Lublinie jego wielki przeciwnik Salomon Luria z Wornacji i Poznania – wróg filozofii i *pilpulu*, rabin w Ostrogu, które to miasteczko zyskało sławę wielkiego centrum żydowskiej uczoności. Także pisał komentarze do dzieła Józefa Karo. A po nich znakomitych uczonych było już bez miary, jak Gedalia, Eideles, Sabbataj Kohen, Halewi, Heller i wielu, wielu innych. Ale był to już wiek siedemnasty. Równocześnie kwitła Kabała, szczególnie tzw. Kabała „praktyczna”, wzorowana na ośrodku w Safedzie, o którym już pisałem. Podobnie wspominałem już o Matijahu Delakrucie, Jezajaszu Horowitzu, autorze dzieła SZLUCH, Natanie Szpiro czy tragicznie zmarłym Samsonie z Ostropola. Bo to właśnie Polsce przypadło w udziale stać się po Galilei światowym centrum Kabały, tej właśnie „praktycznej”, w odróżnieniu od „teoretycznej”, hiszpańskiej. Może słuszniej byłoby powiedzieć: „praktykowanej”, bo teoretycznym spekulacjom towarzyszyły tu modlitwy, posty i różne obrzędy. Kabała „praktyczna” czy „praktykowana” chciała po prostu zmienić świat, czyli przyspieszyć przyjście Mesjasza. Niestety, efekty były bardzo dwuznaczne, jeśli za efekt poczytamy historię Sabbataja Cwi, ale o tym opowiem osobno.

W każdym razie to właśnie Polska stała się na jakiś czas intelektualną stolicą Izraela. Polegało to nie tylko na obecności znakomitych, słynnych uczonych, ale na działających wówczas uczelniach – *jesziwach*, na ruchu wydawniczym, na fermentie intelektualnym, ale tylko w zakresie TALMUDU i Kabały. Nawet w tym czasie literatura żydowska rozwijała się gdzie indziej, na przykład w Niemczech czy Włoszech.

W samej Polsce nie powstało ani jedno dzieło literackie, co o tyle zdumiewa, że po kilku stuleciach udział Żydów w literaturze, prawda że głównie polskiej, stał się równie zdumiewająco bogaty.

Ale w ogóle problem Polacy a Żydzi wydaje mi się dziwniejszy i bardziej skomplikowany, niż się zazwyczaj sądzi. Nie mam tutaj na myśli ani antysemityzmu, ani filosemityzmu, ale – podobieństwa. Wiemy, że swojego czasu można było mówić o podobieństwie Greków i Żydów, wiemy też, że nie skończyło się to dobrze. Jest także znana rzecz podobieństwo, pod pewnym względem, Żydów i Niemców. Ale podobieństwo do Polaków? A jednak. Trzeba przecież wyjaśnić, że i do Greków, i do Niemców Żydzi byli podobni ze względu na zupełnie odmienne cechy. W ogóle byłoby dziwne, gdyby nie potrafili się upodobnić do kogokolwiek przy tak zawiłym szlaku dziejowym. W Polsce jednak to nie tylko Żydzi upodobniali się do Polaków, ale i Polacy do Żydów. Pewnie tak się działo i gdzie indziej, ale w Polsce Żydzi byli wyjątkowo liczni, chociaż nie potrafimy ściśle powiedzieć, ilu ich właściwie było. Czy można zaryzykować tezę, że to upodobnienie wzajemne odnosi się przede wszystkim do szlachty i pochodzącej od niej inteligencji? Przy czym zdaję sobie dobrze sprawę, że mówię raczej o tzw. „starej inteligencji”, ponieważ po drugiej wojnie światowej inteligencja odtworzyła się z innego źródła. W jakiej mierze „nowa” dziedziczyła po „starej”, to już inna sprawa. A w ogóle rozprawianie o „charakterach narodowych” to rzecz wielce wątpliwa i ryzykowna, tu jednak chyba nie da się pominąć.

Sto pięćdziesiąt lat temu, w połowie dziewiętnastego wieku, Graetz chwalił polskich Żydów przy okazji organizacji Waadu za to, że przełamali podwójnie anarchicznego ducha swych rodaków, jako Żydów i Polaków, i skłonili ich do podporządkowania się wielkiej całości. Tak więc wedle tego wrocławskiego obserwatora to „anarchiczny duch” byłby tym łącznikiem obu nacji... Co nie jest chyba największym komplementem, ale w określonych warunkach historycznych może być i pochwałą. Następne uwagi Graetza już zdecydowanie komplementem nie są. Chodzi o piniactwo, podobno pospolite wśród polskich Żydów, a wiemy, jak dominujące w „narodzie szlacheckim”, ale w nie mniejszym stopniu obecne wśród chłopów. Te wszystkie spory o miedzę, o byle co – zresztą odsyłam do Myśliwskiego KAMIENIA NA KAMIENIU, ale i do całej „literatury chłopskiej”. Lecz czy PAN TADEUSZ i ZEMSTA nie wystarczą?

Podobieństwo określonych narodów niekoniecznie służy przyjaźni i porozumieniu, co z dziejów żydowskich dokładnie wynika. Wyobraźmy sobie choćby nacje tak samo agresywne – przecież nieomylnie będą sobie wrogie. Polacy i Żydzi mieli poczucie misji, ale naturalnie zupełnie innej. Nie byli jednak w stosunku do siebie konkurencyjni ekonomicznie, poza mieszczaństwem naturalnie. Religie, właśnie dlatego, że tak podobne, odpychały się nawzajem i tępiły. Skoro każdy sobie był *semper fidelis*, to nie tolerował nikogo wiernego inaczej. *Semper* znaczy przecież: zawsze... Ale właśnie w szesnastym wieku ta wieczna wierność uległa i w całej Europie, i w Polsce poważnemu zachwianiu. Reformacja była przecież próbą powrotu do źródeł biblijnych, a tym samym powodem nieskończonych dyskusji. Dyskutowano i w Polsce, a szczególnie czynili to arianie odrzucający Trójcę Świętą. Otóż tradycyjnym zarzutem judaizmu pod adresem chrześcijaństwa był politeizm czy coś bardzo do niego podobnego. Chrześcijanie naturalnie reagowali oburzeniem, a cała dyskusja była beznadziejnie głupia, choć intelektualnie wyrafinowana. Teraz przemówili się arianin Marcin Czechowicz i rabin Jakub z Bełżyc. Cóż. W naszych czasach wyśmiano pytanie „o wyższości świąt Bożego Narodzenia nad świętami Wielkiejnocy”, czy możemy więc poważniej potraktować pytanie o wyższość soboty nad niedzielą albo niedzielą nad sobotą?

Poważniejsze było dzieło karaima, czyli karaity, Izaaka z Trok (1533–1594) CHIZUK EMUNA (Utwierdzenie wiary) wyliczające wewnętrzne sprzeczności chrześcijaństwa i podobno nawet Wolter cenił je wysoko. Ale duch wolteriański nie był w tych czasach polską specjalnością.

Żydowską może bardziej. W każdym razie sławny *pilpul* uosabia chyba ducha przekory. A on właśnie stał się tendencją wszechwładnie dominującą, bo pozwalał każde zagadnienie rozważać w nieskończoność i w szczegółach także nieskończonych. Bałaban znajduje jeszcze

dla *piłpulu* słowa pobłażania: *była to metoda w dwudziestoleciu całkiem jeszcze żywa i stosowana, ale Graetz jest bezlitosny: w tym kraju każdy, kto miał głowę jako tako otwartą, zajmował się TALMUDEM. Zagłębianie się w nim stanowiło tu większą potrzebę niż w całej reszcie Europy. Rabini mieli własną jurysdykcję i ferowali wyroki według praw talmudyczno-rabinicznych. Tłumność Żydów w Polsce i ich pieniactwo nastroczały trudne do rozwikłania przypadki prawne, zaledwie poruszone w kodeksie SZULCHAN ARUCH. Sędziowie-rabini musieli tedy wracać do samego źródła prawa, do TALMUDU (...), a ponieważ same strony były po większej części dobrze świadome rzeczy, musieli swoje dedukcje i analogie ściśle uzasadniać. (...) dlatego w Polsce nie pojawiło się ani jedno dzieło literackie, które by zasługiwało na miano poezji. (...) Krętać, sztuczki adwokackie, przemądrzałość i pochopność do odsądzania od wartości wszystkiego, co leżało poza horyzontem ich myśli, oto cechy charakteru ówczesnych Żydów polskich. A potem było jeszcze gorzej: Talmudyści polscy uzyskiwali główne krzesła rabinackie w Pradze, Nikolsburgu, Frankfurcie, Amsterdamie i Hamburgu, a nawet we Włoszech, gdyż znajomością TALMUDU znacznie przewyższali wszystkich innych Żydów. A każdy wychodźca polski był rabinem lub kaznodzieją (...), za ich to sprawą pograżało się żydostwo w coraz to większe zdziczenie. I tak dalej, strona za stroną. Chyba leciuteńka przesada...*

Obok studiów talmudystycznych kwitła demonologia kabalistyczna. Autorów było wielu, ale najbardziej znanymi okazali się Józef z Dubna i Hirsz Kiejdanower. Ezoteryczna koncepcja świata zawsze w tym kierunku prowadzi, tylko że dzisiaj nie mówimy „anioł” czy „demon”, ale siła, dobra czy zła energia, *chi*, *prana*, wibracje, *vortex*, promieniowanie, ciekły wodny, kosmiczny przesłania i posłania, strona feniksa czy cały leksykon terminów *feng shui*. Co nie wszystkim śmieszy, a oznacza dokładnie to samo, co demony „praktycznej” Kabały.

Potęga i świetność dawnej Polski załamały się w połowie siedemnastego wieku, poczynając od 1648 roku, od wielkiego powstania Ukrainy pod wodzą Bohdana Chmielnickiego. Polski czytelnik zna to wszystko w zarysie z TRYLOGII Sienkiewicza. Nieprzerwanym szeregiem szły od tego momentu najazdy Kozaków, Tatarów, Rosjan, Szwedów, Niemców, Węgrów, Turków, aż z bogatego do niedawna kraju nie pozostał lachman, który za sto pięćdziesiąt lat w ogóle stracił niepodległość. Szczególnie potop szwedzki był podobno najbardziej niszczącym wydarzeniem w dziejach Polski, proporcjonalnie cięższym niż spustoszenia drugiej wojny światowej. To wszystko znakomicie znamy. Ale w całej TRYLOGII nie ma słowa o Żydach i bardzo się zdziwiłem, przeczytawszy, że był to punkt zwrotny także w ich dziejach. I to z kilku względów. Przede wszystkim uderzenie Chmielnickiego było nade wszystko i zupełnie świadomie skierowane właśnie przeciw Żydom i miało pewne cechy holocaustu. Oczywiście, że rżnięto wszystkich Polaków-katolików, a najzjadlejsi księża i szlachtę, ale to wydanie wszystkich Żydów przez obłożone miasta było warunkiem ich ocalenia. Miasta na ogół nie godziły się na to, ale doszło do takiego wydarzenia w Niemirowie, gdzie mieszczaństwo zdradziło Żydów, ale później i Kozacy mieszczaństwo. Naprawdę trudno rzec, kto wycierpiał najwięcej, w sytuacji kiedy kroniki i źródła liczą przede wszystkim swoich. Cierpieli wszyscy. Jeśli Żydzi wpadli w ręce tatarskie, to wprawdzie ocalili, ale stali się niewolnikami. Ale znowu później w Konstantynopolu mogli liczyć na wykupienie przez współbraci, co znacznie rzadziej zdarzało się Polakom.

Chmielnicki najechał przede wszystkim Polskę południowo-wschodnią, gdzie osadnictwo żydowskie było najintensywniejsze. Niezliczone miasteczka wołyńskie i podolskie spłynęły krwią, a Kozacy oblegali także Lwów, Zamość i Lublin. A jak nie Kozacy, to Tatarzy bądź Rosjanie, którzy do Żydów mieli stosunek wyjątkowo negatywny – przecież w całej Moskwie obowiązywał zakaz osiedlania się, przecież to właśnie prawosławie było bodaj sroższym przeciwnikiem starozakonnych niż sam katolicyzm. Żydzi uciekali więc do Wielkopolski, a tu obruszył się na nich najazd szwedzki. Przypomnijmy, że analogiczny do rosyjskiego zakaz osiedlania się Żydów obowiązywał w całej Skandynawii, więc i tutaj Żydzi byli bezlitośnie

zabijani. Nie przeszkodziło to oskarżeniom o zdradę. Szwedzi rzeczywiście wspierali innowierców, ale chyba raczej protestantów niż Żydów. W każdym razie „rekonkwista” Jana Kazimierza odnosiła się nie tylko do Polski, ale i do Kościoła – przecież zaczęła się w ogóle od obrony Częstochowy! W rezultacie Żydzi zostali i przez samych Polaków pokarani, a wyróżnił się podobno szczególnie hetman Stefan Czarniecki: nasuwa się tu daleka analogia z dwudziestowiecznym generałem Józefem Hallerem, który też, jak Czarniecki, do Poznania wrócił i także Żydów nie cierpiał...

Szkoda czasu na szukanie kozła ofiarnego. Natomiast sami żydowscy historycy zgodnym chórem składają odpowiedzialność na Żydów, jeśli idzie o zachowanie się wojsk Chmielnickiego. Podobno drażnili swoimi bogactwami, podobno brali udział w dręczeniu ludności ukraińskiej, podobno szli w tym ręką w rękę ze szlachtą Rzeczypospolitej. Bardzo być może, ale całe zachowanie strony polskiej na Ukrainie zostało już wielokrotnie surowo osądzone i potępione, nie widzę więc powodu, żebym musiał tutaj kogokolwiek szczególnie jeszcze raz piętnować. Dobrze pamiętam przekaz, jak to pewien katolicki wielmoża dwóch popów nawrócił, a trzeciego nie zdążył, bo ten pod knutami skonał. Nie mam nawet pewności, czy nie odnosiło się to do mojej własnej rodziny... Katolicka Judeopolonia naprawdę się nie popisała.

Żydzi w Polsce naturalnie pozostali i nawet nadal stanowili centrum świata żydowskiego. Ale razem z całym krajem załamali się ekonomicznie. Na przykład nie byli już w stanie wspierać Jerozolimy, co czynili dotąd, a co miało ważne konsekwencje w dziejach Sabbataja Cwi, który z braku polskiego wsparcia szukał ratunku dla jerozolimskiej gminy w Egipcie, co znów miało dalsze skutki. Teraz sami polscy Żydzi muszą szukać pomocy u innych, Waad traci znaczenie, *jesziwy* podupadają, a przede wszystkim dochodzi do masowej emigracji. Od roku 1648 rozpoczyna się powrót Żydów na Zachód, nowa epoka w ich dziejach.

Lew Tołstoj w WOJNIE I POKOJU widział w epopei napoleońskiej próbę ruchu na Wschód, a gdy ten zakończył się fiaskiem, ludy ruszyły znowu w odwrotnym kierunku, na Zachód. Tołstoj mówi to chyba w sensie symbolicznym, niczym sam Mikołaj Roerich. Takie poruszenia narodów następują w dziejach nieustannie. Ale właśnie na przykładzie historii żydowskiej można najlepiej i najdłużej ten kolejno się zmieniający *Drang nach Osten*, to znów *nach Westen* prześledzić. O ile cała ta sprawa odpowiada rzeczywistości i nie jest tylko literackim urojeniem.

Co nieśli ze sobą Żydzi polscy? Wedle historyków zachodnich nic dobrego, zgubne i przesądne nawyki wyhodowane w polskim mateczniku. Wiek następny miał rzekomo być pod ich wpływem stuleciem skostnienia i upadku. Oświecenie nie miało ich tknąć, bo sami sobie tego nie życzyli. A Wschód generował wciąż nowe dziwactwa, po Kabale przyszli „fałszywi mešjasze”, Sabbataj Cwi i Jakub Lejbowicz Frank, a wreszcie Baal Szem Tow i chasydzi. Musieli długo czekać na intelektualne zbawienie, na Martina Bubera. Ale wielkość i tragizm tego narodu nie leży tylko po stronie rozumu, jakby sobie tego Graetz życzył, lecz sprawdza się w uporczywym trwaniu, które nie zawsze jest korzystne i rozumne. I w tym także, a może przede wszystkim w tym, leży podobieństwo Żydów i Polaków i uzasadnia się określenie Judeopolonia.

Na Zachodzie bez zmian (prawie)

Nic lepiej nie oddaje żydowskiego losu w Europie niż osiemnastowieczne orzeczenie Najwyższej Rady Alzackiej: *Żyd nie ma miejsca stałego pobytu, lecz jest skazany na wieczną tułaczkę, ten los prześladowuje go stale i powiada mu, że nie może sobie nigdzie pozwolić na stałe mieszkanie. Jest więc bezczelnością, jeśli członek tego skazanego narodu chce zmusić pana do dania mu prawa pobytu tylko z tej przyczyny, że ten tolerował na swej ziemi ojca petenta i że ten petent miał szczęście na jego ziemi się urodzić... Żyd nie jest ani obywatelem, ani mieszczaninem, prawo jego pobytu w każdym poszczególnym wypadku zależy od łaski pana, który może mu jej użyczyć lub ją cofnąć.*

Tu konkretnie szło o to, że prawo pobytu rodziców nie dotyczyło ich dzieci, ale podobne ograniczenia w przeróżnych formach stanowiły przecież żydowski chleb powszedni. Żyd nie mógł być pewien przyszłości, niespodziewany grom mógł spaść na niego albo na jego potomstwo, trzeba było wędrować, wędrować, wędrować. Najazd Chmielnickiego na Polskę w 1648 roku pchnął Żydów z powrotem na Zachód, a ściślej mówiąc, Żydów aszkenazyjskich, o specyficznej, bardzo jeszcze średniowiecznej i konserwatywnej kulturze. Naprzeciw nim z Półwyspu Pirenejskiego wyruszała o wiele mniej liczna fala sefardyjska, na ogół bogata i na swoje czasy bardzo nowoczesna. Zgody między nimi być nie mogło, a nawet dochodziło do sytuacji gorszących. Sefardyjczycy nie chcieli mieszkać razem z Aszkenazyjczykami, a nawet występowali przeciwko nim publicznie. Żyd portugalski Izaak Pinto wystosował przeciwko Aszkenazyjczykom specjalną książkę, w której dowodzi, że Sefardyjczycy i Aszkenazyjczycy nie mają ze sobą nic wspólnego: Sefardyjczycy to pany, a Aszkenazyjczycy to Żydy, chamy, lichwiarze i w ogóle hołota.

W pewnej mierze istotnie tak było. Jak pamiętamy, żydowskich Żydów (?) usunięto z Hiszpanii w roku 1492, a z Portugalii w 1497 roku. Zostali jednak „przeklęci” – marrani, nowi, na ogół niedobrowolni chrześcijanie. Nic dziwnego, że byli „niepewni w wierze”, a w Portugalii w ogóle chrześcijaństwo było przykrywką, bo prywatnie Żydzi praktykowali judaizm, o czym nie tylko powszechnie wiedzano, ale i król Manuel oficjalnie na to zezwolił. Mieli więc Żydzi praktykować równocześnie dwie wiary... Trudno się nawet dziwić, że ta sytuacja oburzała „prawdziwych” chrześcijan, wiernych i kler. Co prawda i dzisiaj w Afryce chrześcijanie praktykują zarazem animizm, na szczęście nie ma już Świętej Inkwizycji... W Hiszpanii od dawna, ale w Portugalii od roku 1531 była i paliła marranów na stosach. Z drugiej strony marranom – Sefardyjczykom nie przeszkadzano się bogacić i kształcić nie tylko w szkołach talmudycznych, a więc zyskiwać perspektywy społeczeństwa renesansowego. Nic więc dziwnego, że Sefardyjczycy byli w porównaniu z Aszkenazyjczykami bogaci, wykształceni i o wiele bardziej liberalni. Ale z drugiej strony o wiele szybciej w ogóle przestawali być Żydami.

Do czasu powrotu Żydów z Polski sytuacja w Europie przedstawiała się tak, że nie było, i to od bardzo dawna, Żydów w Anglii, nie było ich we Francji, w Skandynawii, Szwajcarii i Rosji. Byli natomiast we Włoszech. Nieliczne, ale bogate i rozwinięte kulturalnie gminy istniały także w Niemczech i w krajach cesarstwa Habsburgów. Do Francji, Włoch i Holandii przenikali także marrani z Hiszpanii i Portugalii, którzy w nowych warunkach wracali często do judaizmu. Ale były to procesy patetycznie długotrwałe. Na przykład z Francji Żydzi zo-

stali prawie bez wyjątku wypędzeni w 1392 roku. Marrani pojawili się około roku 1550, czyli po stu pięćdziesięciu latach, a udawali katolików jeszcze przez dwa stulecia, mniej więcej do roku 1750. Napisałem: „udawali”. Ale czy można rzeczywiście „udawać” coś przez dwa stulecia? Sprawa marranów została zniekształcona przez gwałt i przemoc, przez brak tolerancji, roszczenia do wyłączności i brak zrozumienia, ale przecież można sobie zadać pytanie, jak to było być równocześnie Żydem i chrześcijaninem? Czy istotnie jest to rzecz zupełnie niemożliwa? Nie mam na myśli strony „zewnątrznej”, ale „wewnętrznej”, duchową. Wiem, co powiedziałby na to ksiądz, domyślam się, jakby to ocenił rabin. Ale w końcu nie jestem ani księdzem, ani rabinem. I z mojego punktu widzenia rzecz jest zupełnie możliwa – przy odrobienie poczucia względności. Myślę, że taka odrobina musiała być także znamieniem marranów. I to pewnie ta sama drobina poczucia względności, która pozwalała Sefardyjczykom wywyższać się ponad Aszkenazyjczyków...

Ciekawe, że kiedy Sefardyjczycy z Hiszpanii przybyli do Włoch, większe zrozumienie znaleźli u chrześcijan niż u miejscowych Żydów. W ogóle jednak aż do połowy szesnastego wieku mniej więcej Żydzi cieszą się we Włoszech wolnością i dobrobytem. Stare zarządzenia soboru laterańskiego z 1215 roku mimo swojej surowości nie są wykonywane i Żydzi, tak samo jak Włosi, cieszą się światłem Renesansu – o ile rzeczywiście wśród nieustannych zamieszek i wojen domowych podzielonego na niezliczone państewka Półwyspu Apenińskiego było się czym cieszyć. W każdym razie wielkie i bogate gminy Rzymu, Wenecji, Padwy, Ferrary, Florencji, Mediolanu, Mantui czy Ankony wydają w tym czasie nie tylko lekarzy, bankierów i kupców, ale także artystów, poetów, muzyków i uczonych. W każdym razie kiedy Michał Anioł wyrzeźbił Mojżesza, poruszyło to Żydów tak, że każdej soboty ciągnęły całe pielgrzymki, aby go oglądać.

Od 1475 roku rozwija się hebrajskie drukarstwo, które oprócz TALMUDU i ZOHARU wydaje różnego rodzaju książek bez liku. Są nawet poetki: Debora Ascarelli i Sara Copia Sullim. Żydzi piszą teraz nie tylko po hebrajsku, ale i po włosku, i po łacinie. Nie brak i dramaturgów: Leon Modena czy także Leon de Sommi Portaleone, uczone dzieła piszą lekarze, ogromnie słynni w tym czasie, jak Dawid de Pomis, autor poświęconego papieżowi słownika hebrajsko-łacińsko-włoskiego. Najznakomitszym historykiem szesnastego wieku jest Józef ha Kohen, autor dzieł z zakresu historii powszechnej, a także kroniki żydowskiej EMEK HABACHA (Dolina płaczu). Obok niego rodzina Ibn Vergów, trzech historyków, którzy w różnych miejscach i czasach stworzyli dzieło SZEWEK JEHUDA (Berło Jehudy) i Samuel Usque, i Ibn Jachja, Abraham Masaran i Farrisol, i inni.

Wielką rolę odegrał Leon Medigo, syn Izaaka Abrabanela z Hiszpanii, autor pochwały miłości będącej osią wszechświata, spisanej po włosku jako DIALOGHI D'AMORE, dzieła, które w szesnastym wieku zyskało światową sławę. Znakomitym lingwistą jest Elia Lewita, zarazem autor pierwszej żydowskiej powieści BOWO BUCH, naśladowanej z angielskiego. Jest także Azaria dei Rossi, autor krytycznego wobec BIBLI i TALMUDU dzieła MEOR EINAİM (Zwierciadło dla oczu) – co chyba znaczy okulary? – wyklętego przez rabinów na całe stulecia. Największą jednak rolę odegrali nieco późniejsi, siedemnastowieczni, uczeni talmudyści i kabaliści: Leon de Modena i jego uczeń Józef Salomon del Medigo. A wszyscy oni mieli całe plejady uczniów i kontynuatorów.

W pierwszej połowie szesnastego wieku wydarzyła się dziwna i znamienna historia. Pojawił się ktoś na kształt mesjasza, co zresztą nie byłoby tak bardzo osobliwe, bo dzieje żydowskie znają wielu pozornych mesjaszów. Ale Dawid Rubeni opowiadał, że gdzieś w rejonie Etiopii natknął się na zaginione „dziesięć pokoleń”, czyli „synów Mojżesza” – Beni Mosze, i przywozi od nich posłanie. Ściślej mówiąc, posłanie miało być od jego brata, rzekomego króla rzekomego Taboru, i dotyczyło walki z islamem. Co prawda i to już było: „dziesięć pokoleń”, a przy okazji Sambation, rzekę Sabatową, odkrywał już w Kajruanie Eldad Ha-Dani, chrześcijanie królestwo księdza Jana, a Marco Polo psiogłowców. Cudowne krainy były na

czasie. Dawid przewędrował z Damaszku do Jerozolimy, a potem z Wenecji do Watykanu, wszędzie budząc entuzjazm nie tylko Żydów, ale i chrześcijan. Stąd po roku wyjechał ze swoją misją do Portugalii, do króla Jana III, prosić o wysłanie broni i amunicji do Nubii.

Tu zyskał charyzmatycznego ucznia. Bogaty i wykształcony marran Diego Firez uwierzył w misję Rubeniego i chcąc pozyskać jego zaufanie, dokonał samoobrzezania, po czym jako jego poseł pod nazwiskiem Salomon Molcho wyjechał do Włoch. Tu historia robi się coraz bardziej zawiślana i obłądna. Molcho prorokuje i proroctwa się spełniają, mieszka wśród nędzarzy, ma wizje, podróżuje po Europie. W końcu jako marran, który odrzucił chrześcijaństwo, zostaje skazany na stos. Ale na stosie płonie ktoś podstawiony. Molcho, ocalony przez papieża (!) Klemensa VII, wyjeżdża z Rzymu. Połączywszy się nareszcie z Rubenim, udali się obaj do cesarza Karola V do Ratyzbony i mimo ostrzeżeń uzyskali audiencję. Co dało ten efekt, że obaj zostali zakuci w kajdany i wrzuceni do lochu. Z Ratyzbony, a był rok 1532, wywiózł ich Karol V do Mantui, gdzie Molchę ponownie skazano na spalenie. Powieziono go z zakneblowanymi ustami, ale jeszcze w ostatniej chwili przybył cesarski posłaniec, pytając, czy Molcho nie wróci do chrześcijaństwa. Ale Molcho odmówił i został spalony. Rubeni zaś został wywieziony do Hiszpanii i tam w lochach, prawdopodobnie, stracony.

Cóż sądzić o tej historii? Salomon Molcho nie był hochsztaplerem, uwierzył tylko w fałszywe świadectwo Rubeniego. Ale przecież, jako człowiek bardzo inteligentny, chyba zorientował się, że z tym królestwem Taboru to mistyfikacja. A przecież wybrał stos. Ale Rubeni wiedział doskonale, że żadnego królestwa nie ma, że nie ma i „dziesięciu pokoleń”. Czy więc był zwyczajnym hochsztaplerem? Czy tak uwierzył w swoje kłamstwa, że oddał za nie życie? Chyba i on miał poczucie misji, nie tak znowu bagatelnej. Wiele znaczyło dla Żydów, że jakieś państwo żydowskie istnieje, obojętnie jak daleko. Nie tylko z racji proroctwa, że *nie będzie odjęte berło od Judy*. Po prostu możliwość, że ktoś ujmie się za skądinąd bezbronnymi Żydami, oddziaływała na ich prześladowców moderująco. Tak na przykład, kiedy Paweł IV uderzył mocno marranów w Ankonie, sułtan interweniował na prośbę żydowskiego wezyra Józefa Nasi i ogłosił bojkot tego portu. Nie był to wypadek całkiem odosobniony. Więc i fantazje Rubeniego swoją rolę spełniały. Przynajmniej do czasu.

Kres normalności nastąpił wraz ze śmiercią Klemensa VII w 1534 roku, ale jeszcze wcześniej nastąpiło słynne złupienie Rzymu – *sacco di Roma* w 1527 roku przez wojska Karola V. Sam Klemens VII bronił się skutecznie w zamku Świętego Anioła i doczekał odwrotu najeźdźców. A to był ostatni, na długo, papież przychylny Żydom. Jeszcze przed jego pontyfikatem powstało getto w Wenecji, w 1516 roku, a za przykładem Wenecji i pod tą samą nazwą wysepki, na której była odlewnia żelaza, poszły inne miasta, chociaż nie od razu. Natomiast jeszcze za czasów Juliusza III (1550–1555), cenzura kościelna, świeżo wówczas wprowadzona, skazała TALMUD na spalenie, co wykonano w całym Państwie Kościelnym w 1553 roku. Wraz z TALMUDEM spalono wszystkie inne księgi hebrajskie. Ale największe nieszczęścia zwały się na Żydów, kiedy na tron Piotrowy wstąpił Paweł IV Carafa. Już na początku swego pontyfikatu, w tym samym roku 1555, wydał krańcowo antysemityczną bullę wprowadzającą między innymi „znak hańby” i wypędzającą Żydów z całego Rzymu, poza ciasnym gettem na Zatybrzu, co natychmiast wprowadzono w życie. Po krótkim pontyfikacie Pawła IV nastąpiło względne złagodzenie stosunków Kościoła z Żydami za Piusa IV, a na dokończonym wówczas soborze trydenckim zezwolono na drukowanie „oczyszczonego” TALMUDU, ale bez właściwego tytułu. Zamiast niego widniało słowo SZAS, co było skrótem określenia *szisza sidrei*, czyli sześć traktatów. Na sześć porządków-traktatów, jak wiadomo, dzieliła się MISZNA drukowana razem z GEMARĄ, a od czasów Trydentu nazwa SZAS przyjęła się w piśmiennictwie żydowskim.

Tymczasem za przykładem Rzymu poszły inne miasta Włoch, początkowo kościelne, potem świeckie, i wszystkie już pod koniec szesnastego, a najdalej na początku siedemnastego wieku pozamykały swoich Żydów w gettach. W nich w warunkach to gorszych, to lepszych,

to wypędzani, to przyzywani z powrotem, doczekali Żydzi schyłku osiemnastego wieku i zwolicielskich reform rewolucji francuskiej.

Jeśli jednak nie sposób opisać wszystkich włoskich państewek, to w wypadku Niemiec sprawa robi się najzupełniej beznadziejna. Było przecież w Niemczech osiem państw elektorskich, sześćdziesiąt dziewięć księstw duchownych, szesnaście świeckich, sześćdziesiąt jeden miast i niezliczona ilość wolnych miast, a nawet wsi – razem tysiąc siedemset osobnych jednostek administracyjnych. Tysiąc siedemset, a każda miała własną, trochę inną historię. I własny stosunek do mniejszości narodowych. Bo poza kilkoma większymi gminami-kahałami Żydzi „rozpuścili się” w Rzeszy niemieckiej, zajmując się głównie obnośnym handlem. Czyli i byli, i nie było ich. Zresztą nic tu nie trwało dłużej. Większe skupiska żydowskie, jak Frankfurt, Wormacja, Ratyzbona, raz wraz były rozpędzane i likwidowane, a obowiązywały w nich surowe i dziwne przepisy tzw. *Städtigkeit*. Nie wolno było Żydom w ogóle opuszczać getta w pewne dni i w określonych okolicznościach, nie wolno było im wykonywać wielu zawodów, nie wolno było kręcić się koło ratusza, przyjmować gości z innych miast, mieli chodzić wyłącznie jezdnią, a nie po chodniku, w specjalnych szatach oczywiście, nie wolno było się im żenić bez specjalnego pozwolenia i tak dalej, i tak dalej. Dzieje każdego miasta to cała epopeja, a raczej gehenna.

Na przykład we Frankfurcie nad Menem w roku 1421 wysiedlono Żydów z miasta i kazano im zamieszkać w osobnej dzielnicy, której potem już nie poszerzono, chociaż liczba mieszkańców wzrosła dziesięciokrotnie. W getcie panowały straszliwe warunki, brak było miejsca i powietrza, unosił się zwyczajny smród, osławiony *fetor judaicus*. Tak było zresztą we wszystkich miastach bez wyjątku. Getto nawiedzały z reguły straszne epidemie i pożary, gęsta zabudowa, przybudówki do przybudówek, nadbudówki, przepierzenia, liche ścianki w całości stanowiły tworzywo dla każdego ognia.

W 1612 roku podburza mieszczan przeciw Żydom piernikarz Wincenty Fettmilch. W dwa lata później dochodzi do oblężenia getta i straszliwego pogromu i rabunku, a Fettmilch wypędza z miasta wszystkich ocalałych. Cóż, że w 1616 roku cesarz kazał ćwiartować Fettmilcha i jego współników, a getto odbudowano. Podczas wojny trzydziestoletniej łupili Frankfurt na zmianę protestanci i katolicy, a w 1649 roku sam cesarz. Zresztą w tym czasie getto zapełniają znowu uciekinierzy z Polski i to zapełniają tak szczelnie, że dochodzi do straszliwego pożaru w 1711 roku. Pożar spowodował zresztą rabin Naftali Kohen z Lublina, za co był potem sądzony. I znów mieszkańcy getta poszli na tułaczkę.

To samo dzieje się we wszystkich innych miastach, w Wiedniu, Pradze, Budapeszcie, Wormacji. W Wiedniu spalono wszystkich Żydów już wcześniej, a odrodzoną gminę wypędzono w roku 1544. W 1571 roku wszyscy Żydzi mieszkali w jednym domu, w 1625 zapędzono ich do getta, a w 1670 roku wygnano w ogóle, co zresztą nie było bez związku z imigracją z Polski. Nawet w niewielkiej Oławie, która zresztą była żydowskim centrum na Śląsku z własną hebrajską drukarnią, wypędza się Żydów z miasta w 1535 roku za spowodowanie huraganu. Huragan był rzeczywiście potężny, zburzył sześćdziesiąt domów w samej Oławie i trudno się dziwić mieszczanom, że wymierzili sprawcom słuszną karę. (*Nota bene*, kto właściwie wywołał wielką powódź 1997 roku w tym samym regionie? Moim zdaniem też Żydzi: wypędzeni w 1968 roku tak właśnie się zemścili.) I tak bez końca na całym terenie Rzeszy, cesarstwa Habsburgów, w Austrii, na Węgrzech, w Czechach, na Morawach, w Brandenburgii i na Śląsku. Jakby się rozpętał jakiś diabelski kołowrót niosący procesy o mordy rytualne, pogromy, stosy, rabunki, pożary i wygnania. Taki sam schemat powtarza się z monotonną uporczywością we wszystkich krajach i miastach.

Dramatyczne były dzieje Żydów praskich, a Praga przecież to duchowa stolica Żydów środkowoeuropejskich. Po burzliwych stuleciach średniowiecza, po rzeziach wypraw krzyżowych, po wypędzeniu prawie z całych Czech ostała się w szesnastym wieku jedyna gmina praska. Jedyna, ale za to wielka, bogata i we wszystko wyposażona: w ratusz, synagogi i inne

budowle publiczne, piękne i zasobne. Tu była wyższa szkoła talmudyczna, tu pracowała pierwsza w Europie Środkowej drukarnia hebrajska, założona w 1513 roku. Praga właśnie wspomagała intelektualnie i finansowo Morawy, Wielkopolskę i Kraków.

Ale kiedy zaczęły się wojny tureckie, Żydów posądzono o szpiegostwo i zdradę, co się zresztą poczęło od Wiednia, i w 1542 roku wypędzono ich z Pragi. Ale po wielu interwencjach i łapówkach pozwolono wrócić piętnastu rodzinom, dla likwidacji żydowskich interesów zresztą. Początek jednak został zrobiony i niedługo wszyscy wrócili. Ale spokoju nie było, bo wkrótce skonfiskowano wszystkie książki hebrajskie. A po paru latach cesarz Ferdynand I ślubował, że jeśli Turka pokona, Żyda na zawsze przepędzi. Pokonał. I czy chciał, czy nie chciał, śluby musiał spełnić. Ale i tym razem znalazła się rada: praski Żyd, Mordechaj Cenach, udał się do papieża Piusa IV i uzyskał u niego dyspensę dla cesarza Ferdynanda...

Następny konflikt dotyczył spadku po wielkim bankierze i dobroczyńcy Żydów praskich, krakowskich, jerozolimskich i poznańskich, Mordechaju Majzlu, ale to było później, w roku 1601. Trochę jeszcze później, podczas wojny trzydziestoletniej, łupili Żydów Francuzi, Duńczycy, Szwedzi, ale nie było w tym nic nadzwyczajnego, bo łupili sprawiedliwie wszystkich. Cała Europa Środkowa była niszczone, a do uchodźców z Polski dołączyli uchodźcy z Wiednia.

Tymczasem całe praskie getto zostało zniszczone przez pożar w roku 1689. Potem przyszły szykany ze strony Karola VI, ograniczenie prawa do zawierania małżeństw, wydzielenie w osobne gminy (co przetrwało aż do roku 1919), no i edykt wydany przez cesarzową Marię Teresę w 1744 roku, wypędzający – któryż to już raz? – Żydów z Pragi. Słusznie, bo Żydzi sprzyjali protestantom czy może katolikom? Zapewne głównie Francuzom, ale może i Prusakom? Mimo licznych interwencji międzynarodowych rozkaz cesarski wykonano. Ale już w roku 1748 Żydzi wrócili. Szczęście ich byłoby zapewne pełne, tylko że poza bardzo wysokimi podatkami ograniczono ich prawo do małżeństwa i ponumerowano: dopiero po śmierci dziadka wnuk mógł się ożenić. Zapewne miało to jakiś wpływ na atmosferę i szczęście rodzinne...

W takich to okolicznościach pojawiło się kilku mężów prawdziwie opatrnościowych, przy czym pamiętamy tylko tych najślynniejszych, bo musieli być i lokalni negocjatorzy, i lokalni dobroczyńcy. Może najślynniejszy ze wszystkich był Joselman von Rossheim (1478–1556), senior Żydów alzackich, który wślawił się wieloma trudnymi i pomyślnymi interwencjami. Interweniował u cesarza Maksymiliana i cieszył się zaufaniem nieprzychylnego przecież Żydom Karola V. To on wygrał w Augsburgu ważną dyskusję z odstępca Antoniuszem Margaritą, opracował regulamin dla pożyczek żydowskich, chronił Żydów przed wygnaniem z Pragi i świadczył swoim rodakom niezliczone usługi. Przyjaciel władców, znieawidzony przez mieszczan i szlachtę.

W Brandenburgii był Michał Juda i mistrz Lippold, który zresztą skończył śmiercią na torturach, bo rola powiernika władców i mediatora nie była bezpieczna. Był w Pradze Bassewi von Treuenberg, finansista Wallensteina, który upadł z nim razem, był w Wiedniu wierzyciel cesarza Samuel Oppenheimer, bankier i dostawca dworu przez Habsburgów zrujnowany, i jego siostrzeniec Samson Wertheimer, który na stare lata został rabinem, i wielu, wielu innych.

Ale na początku tego okresu zdarzyła się głośna historia, kiedy Żydzi znaleźli obrońcę chrześcijańskiego w osobie uczonego humanisty Jana Reuchlina (1455–1522). Jego sprawa poruszyła całą humanistyczną Europę. Rzeczą przedstawiała się następująco. Rzeźnik żydowski, podobno posądzony o kradzież, Jan Pfefferkorn przyjął wraz z rodziną chrzest i został pomocnikiem dominikańskiej Inkwizycji w odbieraniu Żydom TALMUDU. Sprawa oparła się o mogunckiego arcybiskupa, a cesarz Maksymilian I zalecił zasięgnięcie opinii Reuchlina, czy TALMUD jest szkodliwy. Nieoczekiwanie Reuchlin zaczął bronić Żydów. Poczynając od 1510 roku, spór rozrósł się na całą Europę i miał przeróżne fazy, włączył się weń i cesarz, i papież,

i świat uczonych. Przy tej okazji pojawiło się anonimowe kapitalne dzieło w listach wyszydzające Inkwizycję: DIALOGI CIEMNYCH MĘŻÓW. Jeszcze do dzisiaj potrafi śmieszyć, co jest wielką rzadkością, bo humor starzeje się najwcześniej.

Spór nie został ostatecznie nigdy rozstrzygnięty, bo Reuchlin zmarł, a na widownię wstąpił Marcin Luter i dokonał rozłamu w chrześcijaństwie. Luter początkowo bronił Żydów, ale z czasem zajął stanowisko zdecydowanie antysemityczne, podobnie jak cały protestantyzm, a także współcześni chłopi podnoszący bunty pod hasłem wypędzenia Żydów. Powstała tragicomiczna sytuacja, bo jedyne, na co wszyscy się zgadzali, było potępienie Żydów... Podczas wojny trzydziestoletniej, która z tego wszystkiego wyniknęła, Żydzi byli pomawiani o sprzyjanie przeciwnikom i przez wszystkie strony łupieni. Zresztą te miłe czasy najlepiej opisał Brecht w MATCE COURAGE.

Czy w takiej sytuacji dało się w ogóle żyć, tworzyć, uprawiać kulturę? A jednak tak. Skoro i w getcie warszawskim działały podczas okupacji hitlerowskiej kabarety, to nie zdziwimy się, że we Frankfurcie wystawiał pierwszy żydowski teatr, półreligijny wprawdzie, ale i tak potępiony przez rabinów. A poza tym niech nie myli nas perspektywa: wszyscy Żydzi, niezależnie od granic politycznych, stanowili jednak jedno społeczeństwo. Chłopcy z Niemiec jeździli na studia do Polski, wszyscy w miarę możliwości wspierali Jerozolimę i w ogóle naród żydowski był bardzo mobilny. Książki napisane we Włoszech czytano w Polsce, a Żydzi niemieccy mogli korzystać ze wszystkich zasobów intelektualnych całej Europy, jeśli nie świata.

Matka żydowskich gmin, Praga, świadczy o tym dowodnie. Dynastia wielkich rabinów, która w niej panowała, nie składała się bynajmniej z prażan. Najsłynniejszy rabin od czasów starożytnych, twórca Golema, Liwa ben Becalel, zwany *der hohe* Rabbi Löw (1512–1609), urodził się w Wormacji, był rabinem morawskim, potem poznańskim i wielkopolskim, aż w końcu trafił do Pragi. A były to czasy cesarza-czarnoksiężnika Rudolfa II i największego rozkwitu Czech. Równocześnie wywoływał duchy Twardowski, działał Sędziwój, a na dworze Batorego gościli alchemicy. Alchemicy, astrologowie i astronomowie gościli także na Hradczanach i Löw, kabalista, alchemik i matematyk, był z nimi także na dworze Rudolfa. Czy rzeczywiście stworzył Golema? Golem w tradycji kabalistycznej to surowy, bezduszny kształt, w który Bóg tchnął ducha. Rabbi Löw podobnie czynił, kładąc Golemowi do ust Imię Boże, co go ożywiało. Dalszy ciąg opowieści idzie tradycyjnym śladem. Ale czy Golem w ogóle istniał? Postawienie takiego pytania sto lat temu określiłoby pytającego jako nieuleczalnego wariata, ale u schyłku drugiego tysiąclecia – niezupełnie. Wszak fenomen materializacji został wielokrotnie potwierdzony, a nie ma dymu bez ognia. Może *der hohe* Rabbi próbował, wszak Kabała dopuszcza takie praktyki. A może, i najpewniej, wszystko było symbolem.

Po Becalelu urząd rabina Pragi objął Salomon Efraim z Łęczycy, a po nim równie słynni kabaliści Jezajasz Halewi Horowitz i Jomtob Heller... A równocześnie Dawid Gans, uczeń krakowskiego Isserlesa, pisze kronikę swego narodu i świata GEMACH DAWID. A jeszcze przed Becalelem, praskim rabinem, był Jakub Polak, wynalazca *pilpulu*... Widać stąd, że kłopoty polityczne nie musiały iść w parze z upadkiem intelektualnym i że Praga radziła sobie znakomicie. Ale tymczasem powstawało nowe centrum żydowskie, o wiele nowocześniejsze. Znalazło się i odpowiednie miejsce, i odpowiedni ludzie.

Miejscem tym okazała się Holandia, a ściślej Niderlandy, gdzie w drugiej połowie szesnastego wieku wybuchło powstanie skierowane przeciw katolickim Habsburgom, co zostało uwiecznione w DYLU SOWIZDRZALE Karola de Costera. Do wyzwolonej w ten sposób północnej części kraju zaczęli ścinać protestanci różnego autoramentu, a także Żydzi. Nie byli to jednak Żydzi polscy lub niemieccy, ale sefardyjscy i portugalscy marranie, nie różniący się niczym od chrześcijan. Było to istotne, bo okazało się, że protestanczy duchowni są równie nietolerancyjni, jak katolicy księża. Marrani osiedlili się w Amsterdamie i wzięli walny

udział w ekonomicznej ekspansji Holandii, a była ona przez cały wiek siedemnasty ogromna. Już przed końcem szesnastego wieku Żydzi mają własne instytucje i synagogi, w 1615 roku przyznaje im się oficjalnie swobodę wyznania, a w roku 1658 Stany Generalne Holandii uznają ich prawa obywatelskie. Mniej więcej w tym samym czasie Sefardyjczycy osiadają także w Hamburgu i również tam zaczynają odgrywać wielką rolę w rozwoju kompanii handlowych. Ale już próba osiedlenia się Aszkenazyjczyków skończyła się niepowodzeniem, koloniści zostali przepędzeni do Danii. Co prawda Dania była całkiem niedaleko – bo do niej należało już hamburskie przedmieście Altona. I tam właśnie schronili się Aszkenazyjczycy, by wrócić, gdy okaże się to możliwe.

Jak widać, podział na Sefardyjczyków i *Aszkenazim* był w owym czasie niezmiernie poważny. Sefardyjczycy odżegnywali się od Żydów wschodnich. Aszkenazyjczycy zaś nie byli zbudowani prawowiernością Pirenejczyków. Nie wiemy, czy można po prostu powiedzieć, że była to różnica między liberalizmem a fundamentalizmem, ale istotnie gmina amsterdamska miała kłopoty ze swoją tożsamością, co przeszło do historii. Pierwsza sprawa, która wypłynęła jeszcze u schyłku szesnastego wieku, dotyczyła diety. Po prostu marrani nie bardzo chcieli przestrzegać koszerności pokarmów. Kiedy byli jeszcze marranami, którzy nie wrócili oficjalnie do judaizmu, bo po prostu nie mogli, jeśli kamuflaż katolicki miał kogokolwiek zmylić. Ale i po przyjeździe do Holandii obracali się przecież w kręgach protestanckich i nie mogło im zależeć na wywołaniu poczucia obcości, które musi powodować każdy gardzący poczęstunkiem. Na tym tle doszło w pierwszej połowie siedemnastego wieku do rozłamu w gminie amsterdamskiej i do podziału na dwie synagogi. Strony jakoś się pojednały, ale to trwało całe lata.

W każdym razie poza talmudyczną szkołą, nowoczesną jak na owe lata, młodzi marrani studiowali na chrześcijańskich uniwersytetach i oddawali się przeróżnym badaniom naukowym, dzięki czemu Amsterdam stał się żydowskim ośrodkiem intelektualnym na skalę całego świata. Ale też i odstępstwa miały skalę światową, a najslynniejsza była sprawa Uriela d'Acosta. Acosta, potępiony za swoje nieprawowierne poglądy w Hamburgu, przeniósł się do Amsterdamu, ale i tu został wyklęty i uwięziony. Przez dziesięć lat borykał się z klątwą, opuszczony przez wszystkich poza matką, po czym zmęczony tym wszystkim odwołał swoje twierdzenia. Zdjęto zeń klątwę, ale po niedługim czasie rzucono ją ponownie. I to z posępną surowością. Acosta był biczowany w synagodze, po czym ułożono go na progu, a wszyscy obecni deptali po nim. Tego już nie przeżył. Spisawszy swoją autobiografię, znaną i w Polsce, zabił się z pistoletu, a jego historia stała się symbolem nietolerancji. Fundamentalisci z Amsterdamu wyświadczyli swemu narodowi niepowetowaną szkodę.

Sytuacja powtórzyła się wobec wielkiego Barucha Spinozy, także amsterdamczyka, równie uroczyście wyklętego, który jednak, jeśli wierzyć relacjom, nie bardzo się tą klątwą przejął, był bowiem optykiem zarabiającym na swoje utrzymanie i nie szukającym wcale towarzystwa rodaków. Spinoza wprawdzie wyjechał z Amsterdamu, ale oparł się na chrześcijańskich przyjaciółach. Co prawda, byłby heretykiem także w oczach samych chrześcijan, ale tym by się już w ogóle nie przejął. Zmarł w Hadze, w wieku czterdziestu pięciu lat, w 1677 roku. Jego system panteistyczny, zawsze różnie interpretowany i bardzo kontrowersyjny, doczekał się ogromnej sławy i uznania. W modyfikacji Teiharda de Chardin jest jednym z fundamentów New Age. Ale do tej ogromnej zasługi pewnie już by się Żydzi nie kwapili przyznac.

Z biegiem czasu i w Amsterdamie, i w Hamburgu powstały obok portugalskiej także gminy żydowsko-niemieckie, a nawet zdobyły przewagę, przynajmniej jeśli idzie o Holandię, ale to było już w XVIII wieku. Zanim do tego doszło zdarzyły się dwie niezmiernie ważne sprawy, a mianowicie powrót Żydów do Anglii i początek emigracji amerykańskiej.

Żydzi zostali doszczętnie wypędzeni z Anglii już w 1290 roku, a więc przed stuleciami. Wielokrotnie starali się do Anglii powrócić, ale bezskutecznie; udało się to tylko odosobnionym jednostkom, a głównie lekarzom. Żyd stał się tam legendarną i groźną postacią, podob-

nie jak nieco później katolik. W każdym razie i katolików, i Żydów pomawiano o czary, całkiem niesłusznie, bo jak wiadomo, czary uprawiają wszyscy Finowie, właśnie protestanci. Podobno KUPIEC WENECKI powstał w oparciu o jakiś dramat włoski, w którym jednakże nie Żyd, ale Żydowi chce chrześcijanin wyciąć ów sławny „funt ciała”. Ale w czasach Cromwella historia i wzór biblijny miały wzięcie niesłychane, ukazały się więc nawet apologie Żydów. Po drugiej stronie Kanału była kolonia żydowska, a składali się na nią Żydzi wykształceni, zasobni i obcy. Łącznikiem między oboma krajami był uczony marran Manasse ben Izrael, który na zaproszenie Cromwella odwiedził Anglię. Tak się zaczął powrót na wyspę, a w sto lat później, w roku 1735, parlament brytyjski przyznał Żydom angielskie obywatelstwo.

Tymczasem Amsterdam przeżył wielką sensację: Antonio de Montesino jeszcze raz odnalazł „dziesięć pokoleń”, tym razem w Ameryce. Ale do Ameryki tymczasem zaczęli podróżować przedstawiciele tych dwóch pokoleń, które nie zaginęły. Początkowo chodziło o Amerykę Południową. Ale za to była to emigracja bardzo wczesna, bo zaczęła się wraz z wyprawą Kolumba.

O tym, że Kolumb mógłby być Żydem, a ściślej marranem, słyszałem naturalnie już od bardzo dawna, ale uważałem to za nieistotne. Sprawa żydowskiej emigracji do Nowego Świata stawia jednak problem w nowym świetle. W końcu pieniądze na wyprawę wyłożył bogaty marran Louis Santangel i pierwszy biały, który wstąpił na amerykański brzeg, też był marranem. Ale już w tym samym roku 1492 marrani osiadają na Wyspie Świętego Tomasza, uprawiają trzcinę cukrową i zatrudniają trzy tysiące niewolników. Po czym emigracja marranów przybiera na sile tak potężnie, że królowie hiszpańscy jej zakazują i ustępują dopiero w zamian za kwotę dwudziestu tysięcy dukatów. Drugim razem jest to suma wręcz astronomiczna, prawie dwóch milionów dukatów! To już nie przypadek i nie czyjkolwiek kaprys. Najwidoczniej gra była warta takiej stawki i wyraźnie była to jakaś gra, jakiś przemyślany plan. I rzeczywiście, Żydom wypędzonym z Hiszpanii rozpaczliwie wręcz trzeba było jakiegogo azylu, jakiegogo miejsca na ziemi. A wedle ówczesnych wyobrażeń Turcja, do której kierowała się główna żydowska emigracja, leżała całkiem niedaleko od Indii... Mógł to więc być przemyślany łączny plan, ale trudno dzisiaj powiedzieć na ten temat coś sensownego. Gdyby takie podejrzenia mogły się potwierdzić, to cała wyprawa Kolumba w ogóle byłaby przedsięwzięciem ze względu na potrzeby żydowskie. Cóż, znakomity materiał na powieść, ale nic więcej.

Nie znaczyło to jednak wcale, że Żydzi-emigranci uszli spod opieki Inkwizycji. Przeciwnie, byli uważnie śledzeni, sądzeni, skazywani. Ale było to jednak trudniejsze niż w Europie. A kiedy w roku 1624 Holendrzy odbierają Brazylię Portugalczykom, wielu marranów wraca do judaizmu i pakuje się przez to w pułapkę, bo za trzydzieści lat Brazylię wraca do Portugalii, a do Brazylii wraca Inkwizycja, która jeszcze po stu latach będzie ściagała potomków odstępców od wiary.

Przesunięcie się Żydów na Zachód po Chmielnickim, po 1648 roku, nie wygląda na pozór szczególnie imponująco. Żydzi i tak przed tą datą mieszkali w wielu krajach europejskich i azjatyckich, enklawa polska była w tej sytuacji czymś na kształt azylu dla studiów talmudycznych przede wszystkim, dla Kabały w mniejszym, nie tak wyłącznym, stopniu, bo Kabałą zajmowali się i chrześcijanie. Trzeba by się lepiej ode mnie znać na TALMUDZIE, by orzec, czy rzeczywiście *pilpul* tak zupełnie nic nie wnosił nowego. Bo przecież panował przez parę stuleci, a niewykluczone, że żyje do dzisiaj. Może po prostu trzeba dłuższej perspektywy?

Migracja na Zachód przyniosła jej uczestnikom wiele cierpień: powodowała przesadne już zagęszczenie gett, stąd wzrastała niechęć do Żydów, a i zwyczajnie było przyczyną licznych pożarów. I doszło pod tym właśnie wpływem do konfrontacji Sefardyjczyków z Aszkenazyjczykami, jak widzieliśmy, nie najszcześniejszej. Co prawda, taka konfrontacja miała miejsce i w samej Polsce, gdzie też przybyło trochę emigrantów z Hiszpanii, i przede wszystkim w

Turcji, ale tu oba odłamy żydowskiego narodu nie czuły się całkiem u siebie. W ogóle całe to spotkanie mogłoby stanowić osobny, a bardzo interesujący temat, ale to samo można by przecież powiedzieć o całych dziejach żydowskich.

Dawni historycy widzą w wieku osiemnastym i znacznej części dziewiętnastego znamiona upadku cywilizacji żydowskiej i wychodzi im, że Żydzi polscy przynieśli ze sobą niewiele, a to, co przynieśli, było nawet szkodliwe, bo opóźniało cywilizacyjne przemiany dokonujące się na Zachodzie. Ale dzisiaj doceniamy już i Kabałę, i zrywy mistyczne. Nie tylko dyskusyjny *piłpul* wędrował na Zachód. W posagu Żydów wschodnich liczy się Kabała i rzekomy mesjasz Sabbataj Cwi, i jego następca Frank, i powstanie ruchu chasydzkiego. Nic tak oryginalnego w tym czasie na Zachodzie nie powstało.

Ex oriente lux

Historia Żydów skłania do ostrożnego wypowiadania ocen, ponieważ już wiele razy zdarzyło się, że wypadki i osoby, napiętnowane i w ogóle źle ocenione wczoraj, nabierają zupełnie innego znaczenia dzisiaj, a jutro, być może, jeszcze inny werdykt im przypadnie. W dziewiętnastym wieku bardzo surowo oceniono „falszywego mesjasza” Sabbataja Cwi, ale oczywiście dalszy rozwój wypadków musiał być nieznany. Tymczasem okazało się, że odzyskanie przez Żydów własnej państwowości dokonało się na zupełnie innej drodze, bynajmniej nie mesjańskiej, a holocaust zamykający może nie całe dzieje Żydów europejskich, ale w każdym razie epokę, też od Żydów bynajmniej nie zależał. Wystąpienie Sabbataja zatem musi być dzisiaj, na przełomie tysiącleci, oceniane w najzupełniej odmienny sposób, jako kolejny etap w dziejach idei. Doprowadziło zaś ono do wielkiego fermentu i obalenia, a w każdym razie osłabienia, czystego talmudyzmu. Sabataiści, powołani czy niepowołani, Chajon, Juda Chasid, Eibenschütz, Malach i Jakub Frank stworzyli ostatecznie atmosferę, w której stało się możliwe wystąpienie Izraela Baal Szem Towa i powstanie chasydyzmu. Możliwe, że to także jest już rozdział zamknięty. Ale przecież Martin Buber zrehabilitował tymczasem chasydyzm i dowiódł, że był to ruch o ogromnej doniosłości duchowej. Wystarczy zresztą przypomnieć, że Żydzi Stanisława Vincenza, a także i Juliana Strykowski, to byli chasydzi.

Wystąpienie Sabbataja Cwi przypadło na czasy wojny trzydziestoletniej, powstania Chmielnickiego, a skądinąd był on niemal rówieśnikiem Spinozy. Dzisiaj nie zdajemy sobie z tego sprawy, ale bliższym celem Spinozy było właśnie zupełne zreformowanie judaizmu czy też monoteizmu w ogóle. W istocie rzeczy o to także szło Sabbatajowi, a konsekwencje ich działalności po stuleciach spotkały się w New Age.

Sabbataj Cwi urodził się w 1626 roku w Smyrnie, w rodzinie bogatego kupca, i kształcił się w TALMUDZIE i Kabale praktycznej, luriańskiej. Był osobowością charyzmatyczną, a ponadto dysponował wielką męską urodą, podobno, bo ze sztychów portretowych, które widziałem, to niekoniecznie wynika. Czas wielkich klęsk jest z reguły czasem mistycznych wystąpień, a dodatkowo chrześcijańscy mistycy, na podstawie APOKALIPSY ŚWIĘTEGO JANA wywiedli, że rok 1666 będzie rokiem przełomu, rokiem mesjańskim. Przypomnijmy, że podobne spodziewania odnosiły się także do okolic roku 1100, kiedy to na Żydów nadreńskich zwała się wyprawa krzyżowa. Zresztą takich lat „mesjańskich” było bardzo, bardzo wiele. Otóż o młodości Sabbataja krążyło wiele opowieści, ale do mnie dotarły wyłącznie we wrogim dla niego ujęciu. Podobno unikał kobiet, gorliwie modlił się i pościł, dosyć, że w wieku dwudziestu lat miał już grono adherentów. Z księgi ZOHAR mogło wynikać, że rok 1648 (czyli wedle kalendarza żydowskiego 5408) będzie „początkiem zbawienia”. I w tym właśnie roku Sabbataj objawił się jako zbawiciel, wymawiając publicznie, co było najsurowiej zakazane, Imię Boskie, czyli JHWH, za co rzucono na niego w Smyrnie kłatwę i wypędzono z miasta. Ruszył więc z uczniami do Konstantynopola. Tutaj jego zwolennik Abraham Jachini odkrył rzekomo starą przepowiednię, że duchowy syn Abrahama urodzi się w roku 1626 i będzie się nazywał Sabbataj, a stoczy bezoręzną wojnę z „wielkim smokiem”.

Sabbataj przeniósł się do Salonik i tu zawarł mistyczne małżeństwo z TORĄ. I z Salonik go wygnano, udał się więc do Kairu, a stamtąd do Jerozolimy. Tu zaś powstała dla gminy jerozolimskiej kłopotliwa sytuacja: basza jerozolimski obłożył ją kontrybucją niemożliwą do

spłacenia, ponieważ ustały zupełnie zasiłki z Polski. Jediną radą było znalezienie bogatego dobroczyńcy. Mógł nim być kairski dzierżawca ceł Rafael Chelebi i do niego właśnie Żydzi jerozolimscy wysłali Sabbataja Cwi. Sabbataj pieniądze przywiózł, a poza tym zdobył w Kairze równie charyzmatyczną żonę.

Była z tym także przedziwna historia. Śliczna Sara została w Polsce sierotą, a następnie wychowywały ją zakonnice. Po czym uciekła z klasztoru, trafiła do brata w Amsterdamie, uwierzyła, że jest przeznaczona na żonę dla Mesjasza. Ponieważ Sabbataj miał sen podobny, więc posłał do Europy po dziewczynę i ożenił się z nią. Przy okazji pewna refleksja. Zarówno sam Sabbataj Cwi, jak i jego żona, i uczniowie, i następcy pomawiani byli o niemoralne prowadzenie się. Jest to zarzut tak automatycznie i monotonicznie odnoszony do wszystkich „herezyków” tego czasu (nie tylko zresztą tego i nie tylko do herezyków, ale wszystkich przeciwników), że można spokojnie przejść nad nim do porządku. Zresztą „niemoralne zachowanie” to na ogół nieprzestrzeżenie tego lub owego przepisu. A poza tym ludzie są ludźmi.

Apostołem Cwiego został młodszy od niego Natan z Gazy, a liczba jego zwolenników wciąż rosła. To już nie była mała grupka. Wysłannicy Sabbataja docierali nie tylko na Bliski Wschód, ale do całej Europy. On sam tymczasem jesienią roku 1665 w Smyrnie ogłosił się mesjaszem – i można przyjąć, że z małymi wyjątkami wszyscy Żydzi w niego uwierzyli. Nie dość tego. Podobno w krajach protestanckich chrześcijanie przeżyli moment wahania: Jezus czy Sabbataj? W chrześcijańskiej Polsce takich wahań nie było, a przynajmniej żadne ich ślady do nas nie doszły. W każdym razie sprawa Sabbataja miała w siedemnastym wieku zasięg prawdziwie światowy, a i w sto lat potem nie była rzeczą całkiem obojętną.

Tymczasem Sabbataj udał się w 1666 roku do Konstantynopola i został tam przez władze tureckie aresztowany. Znamienny szczegół: spoliczkowany przez jakiegoś paszę nadstawił drugi policzek. Bo jest oczywiste, czy Cwi miał się za mesjasza, czy też nie, że przecież w znacznej mierze wzorował się na Chrystusie i chrześcijaństwie, co bardzo zaważyło na jego poglądach, a także na losach całego ruchu. Od chrześcijaństwa przejął pogląd, że Mesjasz musi cierpieć, że musi być prześladowany. Ten motyw towarzyszył mu od początku, od wygnania ze Smyrny. A teraz został właśnie osadzony w lekkim co prawda, ale jednak więzieniu. Skąd wyszedł, lecz po przyjęciu islamu, podobno na skutek prowokacji. I teraz zaczyna się sprawa najbardziej zdumiewająca: Żydzi w większości nie odstępili od niego! Uwierzyli w określenie popularne wówczas: *wszystko musiało się stać tak, jak się stało*.

Sam Sabbataj tymczasem wahał się, czy jest muzułmańskim neofitą, czy żydowskim mesjaszem. W końcu sułtan skazał go na wygnanie do miasteczka Dulcigno w Albanii, gdzie umarł w święto Jom Kipur, czyli Sądny Dzień, w 1676 roku. Trzeba dodać, że urodził się również w dniu świątecznym, 9 ab, dniu zburzenia jerozolimskiej Świątyni. Sabbataj odszedł, zaczął się sabataizm.

Nie tak łatwo dzisiaj dotrzeć do rdzenia jego poglądów czy też poglądów jego „apostolów”. Był to judaizm przefermentowany przez Kabałę, szczególnie w wersji luriańskiej, skoncentrowanej na przyspieszeniu przyścia Mesjasza. Można by się spytać, czy Mesjaszem zostawało się na mocy szczególnego objawienia, czy też, jeśli tak można rzec, „objawowo”? Czy Mesjasz był, czy się stawał? W tym drugim wypadku zarówno sam Sabbataj, jak i wszyscy mesjasze wcześniejsi i późniejsi byłiby duchowo usprawiedliwieni zarówno w swoich roszczeniach, jak i załamaniach. Jest też oczywiste, że każdy mesjasz musiał wprowadzać zmiany, „stary testament” zastępować „nowym”, z czego nie wynikała żadna specjalna złośliwość wobec judaizmu.

Judaizm chlubi się zresztą brakiem posiadania dogmatów, chociaż za dogmaty można by uznać trzynaście warunków judaizmu Majmonidesa. Jest wśród nich jedyność Boga, jest i wiara w boskiego Mesjasza. Wystarczy to połączyć, żeby napotkać sprzeczność, czy może rzekomą sprzeczność. Nie uniknęli tego chrześcijanie, nie uniknęli i sabataiści. Mieli ostatecznie trójcę, na którą składali się: 1 – Prastary dni, 2 – święty Król i 3 – Szechina. Król był

naturalnie identyfikowany z samym Sabbatajem. To zresztą było największą przeszkodą dla talmudycznego judaizmu. Najgłębsze jednak zmiany spowodował obowiązek cieszenia się, logiczny, skoro oczekiwanie się skończyło i Mesjasz się pojawił. Judaizm upamiętniał smutne rocznice historyczne rytualnymi postami, otóż Sabbataj zmienił te posty w dni radości i wesela. Co więcej, nakazał Boga czcić tańcem. Miał po temu sławny wzorzec Dawida tańczącego przed Arką.

Graetz pisze o tym ze świętym oburzeniem: *Kto wszedłszy do synagogi, widział podrygi, skoki i płasy, z rodalami na ramieniu, mężów poważnych i czcigodnych, pełnych dystynkcji i grandezzy hiszpańskiej, musiał ich wziąć za obłąkańców*. Daremny trud po stu pięćdziesięciu latach polemizować z Graetzem. Ale... ale... Jak pamiętamy, sławny taniec Dawida nie wszystkim się podobał, zgorszyła się Dawidowa żona Mikal i tak samo oskarżyła męża o brak powagi! Taki sam brak powagi, demonstrowanie i przeżywanie radości odnajdziemy później w ruchu chasydzkim, naturalnie z innym uzasadnieniem dogmatycznym.

Być może najbardziej prawowiernymi sabataistami była sekta muzułmańsko-żydowska, zwana przez Turków *dönmöh*, czyli odszczepieńcami, a przez siebie samych *maminim*, czyli prawdziwymi wiernymi. Sekta ta była kierowana przez wdowę po Sabbataju, a potem przez ich przybranego syna czy też może brata Sary, Jakuba Cwi, zwanego „ulubieńcem”, czyli Querido. Synem tegoż Querida był kolejny przywódca i prawodawca dönmejczyków, Berachia, który namaścił polskiego proroka i mesjasza, sławnego Jakuba Lejbowicza Franka, o czym za chwilę. Sekta dönmejczyków istnieje także i współcześnie.

W gmatwaniu personalnej sabataizmu niełatwo zresztą się połąpać, co mimo jednoznacznie wrogich i wzgardliwych źródeł świadczy wymownie o tym, że sprawa była nad wyraz poważna, zaś analogia z samym chrześcijaństwem – uzasadniona. Sabataistów było po prostu bardzo wielu, w pewnym momencie chyba większość. Ich powikłane losy, wędrówki, cierpienia przypominają dzieje apostołskie, a szczególnie świętego Pawła. Ale chyba w tym jednym zgadzają się i Żydzi, i chrześcijanie, aby takiej analogii za wszelką cenę unikać. Po trzystu latach to naprawdę szczególne. Tak czy owak, jestem w stanie opisać, a i to ogromnie zdawkowo, tylko tych najwybitniejszych – i najbardziej prześladowanych. Bo w obronie (?) judaizmu nie wahają się rabinaty sięgać po klątwy, wygnania, a także pomoc władz chrześcijańskich, dysponujących i więzieniem, i mieczem. Wprawdzie już wcześniej tak bywało, bo w sporze majmunistów, i antymajmunistów strony sięgnęły po wsparcie Świętej Inkwizycji. W osiemnastym wieku nie było lepiej.

Zanim w Polsce pojawił się Frank, trafili do Kamieńca przedstawiciele donmejczyków i założyli potężną gminę sabatiańską. Ale największy wpływ mieli dwaj prorocy Cwiego: Juda Chasid, czyli „pobożny”, z Siedlec, i Chaim Malach, czyli „anioł”, który nawet podróżował do Sabbataja, a może do Natana z Gazy. Kiedy rabinat polski zagroził im klątwą, wyruszyli w 1500 osób do Jerozolimy. To byli pierwsi *chassidim* – pobożni. Ich mistrz Juda zmarł natychmiast po przyjeździe do Jerozolimy w roku 1700, pozostali zginęli także – ale z głodu. Malach wrócił do Polski i nadal nauczał. Obok niego działają liczni „mężowie dobrej sławy”, czyli „baalszemowie”, jak Mojżesz z Wodzisławia, Izaak z Kiejdan, Elisza Szor z Rohatyna i wielu, wielu innych. Nic dziwnego, że Iwaszkiewicz prowadzi swego księdza Suryna z MATKI JOANNY OD ANIOŁÓW do żydowskiego egzorcysty, bo istotnie, w tych czasach wielu było kabalistycznych specjalistów od demonologii. Wielu jest także lekarzy-cudotwórców, jawny znak, że bioenergoterapia i wówczas była stosowana. Ponieważ dzisiaj dalecy już jesteśmy od tego, aby wszelkie cuda uważać za oszustwo, szczególnie cudowne uzdrowienia, choć nie tylko.

Szczególne atmosfera czasów może sprzyjać cudotwórstwu. Przypuszczam, że w szczególnych czasach po prostu próbowano mocy cudotwórczej, co w innych momentach dziejowych nikomu rozsądnemu nie przyszłoby nawet na myśl: i niekiedy udawało się. Wcześni chrześcijanie zasłynęli cudami, o czym nawet TALMUD zaświadcza, zresztą widząc w tym siłę

nieczystą. Sabataiści także byli cudotwórcami, a świadectwa są tak liczne, że trudno widzieć w tym tylko zmyślenia. Ich wrogowie oczywiście mówili o szalbierstwie, przydając tu jeszcze „rozpuszczenie”. W tym duchu Waad zebrany w Jarosławiu w 1722 roku rzucił na sabataistów wielką klątwę, potem jeszcze powtarzaną. Ale coś się już stało.

W tym zresztą czasie, na początku osiemnastego wieku, działa w Europie generacja sabataistów, którzy już osobiście nie stykali się z samym Sabbatajem, ale z jego bardzo wpływowymi uczniami. Największy i najwcześniejszy chyba był Nehemiasz Chija Chajon z Bośni, autor wielu dzieł i apostoł działający w ukryciu. Chajon przewędrował całą Europę, a w Amsterdamie walczył ze słynnym talmudystą Chachamem Cwi. Chociaż wygrał, musiał uchościć, ścigany wszędzie klątwami, bo teraz sabataiści mieli swoich męczenników. Do nich trzeba zaliczyć odnowiciela języka hebrajskiego, poetę Mojżesza Chaima Luzzatto, parokrotnie wyklinanego i z powrotem wybierającego sabataizm. Bo teraz już trzeba było się ukrywać – doświadczył tego wielki uczoney Jonatan Eibenschütz, urodzony w Krakowie w roku 1690, który wprawdzie w Pradze wyklął sabataizm i Chajona, ale w Hamburgu, gdzie ostatecznie się oparł, w rozdawanych przez niego kobietom ciężarnym amuletach (a właśnie pośród ciężarnych panowała epidemia jakiejś choroby zabijającej i matkę, i noworodka) wyczytano odwołania do Trójcy i Sabbataja. Z pomocą przyszedł mu przypadek: pewien teolog wywiódł, że to chodzi o Chrystusa i Trójcę chrześcijańską... Co zapewne było pomyłką, ale sama możliwość takiej pomyłki była znamienita.

Właśnie wtedy w Polsce na widownię wstąpił Frank. Sprawa ta nie rozegrała się wyłącznie w Polsce, sięgała od Bałkanów po Frankfurt nad Menem, ale ma swoje znaczenie przede wszystkim dla Polski, i zupełnie inaczej wygląda od strony żydowskiej, a inaczej ze strony polskiej. Dla Żydów był to awanturniczy epizod tradycji sabatiańskiej, dla Polaków pierwsza poważna, dobrowolna i zaakceptowana próba asymilacji polskiej Żydów. Żydzi przekroczyli barierę chrztu, a ponieważ automatycznie uzyskiwali indygenat, czyli szlachectwo, więc uniknęli losu hiszpańskich marranów i ich późniejsze związki z polskością były z reguły bardzo mocne. Zresztą ruch ten nie był tak bardzo masowy, a frankiści po okresie dobrowolnej izolacji wtopili się bez reszty w naród polski. Chyba nawet pamięć rodzinna zaginęła, bo zapewne zainteresowani bardzo chcieli, aby tak się stało. Z polskiego punktu widzenia nie tyle sam Frank był istotny, co frankiści.

Jakub Lejbowicz Frank (1720–1791) urodził się na pograniczu rumuńsko-podolskim i wyjechał jako młody chłopak do Salonik, gdzie zetknął się z dönmejszczykarni. Tam został dostrzeżony przez umierającego Berachię, namaszczony i wysłany do Polski. Sam Frank był już wtedy wybitnym znawcą ZO HARU i całej Kabały luriańskiej. Wedle jego koncepcji ta sama dusza mesjańska, ta sama osobowość była Dawidem, Eliaszem, Jezusem, Mahometem, Sabbatajem, Berachią i na koniec nim samym; pamiętajmy, że Kabała zakładała wędrówkę dusz, ich zdwojenia – *ibbur* itd. Jako spadkobierca i następca Berachii przybył Frank do Lwowa, gdzie zebrał wokół siebie sabataistów, wśród których byli tak wybitni, jak Lejb Krysa czy Elisza Szor z Rohatyna. Był rok 1756, zaczęły się gorące lata. Sabataiści nie byli ani prawowiernymi Żydami, ani prawowiernymi muzułmanami, prawdopodobnie zauważyli, że to po prostu wszystko jedno. W tym stanie ducha mogli równie dobrze flirtować z chrześcijaństwem. Do czego też zostali po prostu zmuszeni. Frank z całą swoją grupą, która nosiła miano bądź to zoharytów, bądź też kontratalmudystów, postanowił udać się na grób Berachii do Salonik. Prawdopodobnie był bystro śledzony przez władze rabinackie i w Lanckoronie cała grupa licząca około dwudziestu osób została aresztowana. Zadbano o malownicze okoliczności, zrobiono z tego widowisko, oskarżono o orgie. Orgia polegała prawdopodobnie na tym, że tańczono i to z kobietami. Najprawdopodobniej jednak były tam zwyczajne śpiewy i nic więcej. Ale zrobiono z tego wielkie oskarżenie i proces przed rabinackim sądem w Sata-nowie. W grę weszło cudzołóstwo, kazirodztwo i jeszcze inne cudeńka. Zoharytów skazano na obcięcie bród, przepadek mienia i inne wielkie dolegliwości. Nie był to jeszcze koniec

nagonki, inkwizycyjne metody miały dotyczyć także sabataistów tajnych, a żydowskie autorytety, na przykład Jakub Emden, orzekły, że prześladowanie sabataistów jest miłe Bogu. W konsekwencji frankistów wydano w ręce katolickiej Inkwizycji z nadzieją, że skończą na stosie.

Frank, jako obywatel turecki, został na wolności i zaczął szukać ratunku u biskupa kamienieckiego, Dembowskiego. Łącznikiem z chrześcijaństwem stała się wspólna obu społecznościom koncepcja Trójcy. Biskup zorganizował dysputę między talmudystami i kontratalmudystami, a prawdę powiedziawszy, zmusił do niej prawowiernych Żydów w bardzo niewygodnych dla nich okolicznościach. Rabini uznali, że kilka tez frankistów jest do przyjęcia, reszta nie. Trudno się dziwić, jako że była tam także teza o szkodliwości TALMUDU. Biskup Dembowski uznał wygraną frankistów, skazał napastników z Lanckorony na chłostę i wielkie grzywny, a TALMUD polecił spalić. Zaczęto więc na Podolu konfiskować hebrajskie dzieła, po czym spalono je w Kamieńcu. Obie strony nie bardzo się popisały.

Ale to był dopiero początek walki. Po nagłej śmierci biskupa Dembowskiego karta się odwróciła: sądy rabinackie zaczęły teraz gnębić frankistów. Frank zwrócił się więc do samego króla i jego ministra Brühla o opiekę – działo się to u schyłku dynastii saskiej w Polsce. August III zabronił krzywdzić frankistów i w archidiecezji lwowskiej doszło do drugiej dysputy teologicznej w roku 1759. Wśród różnych tez teologicznych wysuniętych przez frankistów znalazło się też zadziwiające i wredne siódme stwierdzenie: *TALMUD uczy używania krwi chrześcijańskiej, a kto wierzy w TALMUD, musi jej używać*. Kontratalmudyści musieli chyba wiedzieć, że jest to kompletna bzdura, zła wola była więc oczywista. Ale procesy rytualne wciąż jednak się odbywały i kolejny papież po raz kolejny musiał tłumaczyć, że Żydzi nie tylko ludzkiej, ale jakiegokolwiek krwi nie używają.

Historia frankistów, tak jak i dzieje wszystkich możliwych waśni ideologicznych, ukazuje, jak bardzo w takich okolicznościach meritum sporu staje się nieistotne. Obie strony zaczęły po prostu sięgać do wszystkich możliwych sposobów pognębienia przeciwnika, zupełnie bez żadnych względów dla prawdy. Eskalacja wzajemnych oskarżeń nie dotyczy jedynie tego momentu historycznego i tych przeciwników, ale powtarza się z monotonna i zabójczą konsekwencją we wszystkich czasach i wśród wszystkich ludzi. Prawda, o jaką się walczy, staje się z reguły ostatecznie kłamstwem i cudzą krzywdą. I nie ma na to rady – chyba że z góry uznamy, iż pojęcie samej prawdy jest względne. Bo nie ma takiego ludzkiego stanowiska, którego nie dałoby się podzielić, a w konsekwencji uzasadnić. Każdy może być każdym, kat ofiarą, a ofiara katem, zależy to tylko od okoliczności. Człowiek, chcący być przyzwoitym, musi brać stronę ofiary, ale w tym konkretnym sporze, jak zresztą w wielu innych, role kata i ofiary zmieniały się przecież przez kilka lat i miesięcy wielokrotnie. Któż miał mieć rację, talmudyści czy zoharyci? Kto tu był krzywdzicielem, a kto krzywdzonym? Tu samo pojęcie bezstronnego sędziego zaczyna wyglądać na kpinę i rodzi się myśl, czy to nie sam sędzia staje się w końcu winowajcą?

Po dyspucie, która naturalnie nie doprowadziła do niczego, kilkuset, a może nawet tysięcy frankistów przyjęło chrzest. Przyjął go i sam Frank, ale nie tu, nie we Lwowie. Jego ojcem chrzestnym miał być sam król, w stolicy, w Warszawie. Dokonało się to z ogromną pompą w warszawskiej katedrze. A ochrzczony już Frank prawie natychmiast popadł w tarapaty. Rzecz była podobna do kłopotów partyjnych w Polsce Ludowej: bezpartyjny nie mógł być rewizjonistą, a partyjny mógł! I można go było za to ukarać. Frank jako Żyd mógł sobie wyznawać cokolwiek, ale ochrzczony Frank podlegał już Inkwizycji, a jego prawomyślność chrześcijańska była, łagodnie mówiąc, dyskusyjna. Jako chrześniaka królewskiego potraktowano go łagodnie: skazany został na dożywotnie osadzenie w klasztorze-twierdzy jasnogórskiej. Tak się też stało, a – jak powiada Bałaban – tysiące wiernych ciągnęło ze wszystkich stron, by bodaj przez okno zobaczyć oblicze mistrza. Tysiące... Więc jednak aż tylu ich było?

W tolerancyjnej Polsce spędził Frank trzynaście lat w więzieniu. Nieszczęście kraju było jego wyzwoleniem, bo wypuścili go z Częstochowy dopiero Rosjanie, którzy wkroczyli do Polski podczas pierwszego rozbioru. Wraz ze swoim otoczeniem wyjechał do Brna na Morawach, potem do Wiednia, a wreszcie pod Frankfurt nad Menem, kupił tam zamek książąt Isenburg-Offenbach z tytułem barona i jako baron von Offenbach dożył 1791 roku. Otoczony szacunkiem ludności, wraz z sędziwymi towarzyszami Kryśką-Krygowskim i Eliszą Szor-Wołoskim, odwiedzany często przez wyznawców z Polski. Po śmierci Franka centrum frankizmu prowadziła jego córka Ewa, a jej gośćmi byli i Napoleon, i Aleksander I.

Zadziwiający człowiek, zadziwiająca historia. Ale ten wątek sabataizmu nie ma właściwie dalszego ciągu w dłuższej perspektywie historycznej, rozplywa się w chrześcijaństwie, a przesłanie duchowe Sabbataja robi się całkiem niewidoczne. Przyszłość miała należeć do kogoś zupełnie innego, do ubogiego wozaka z Międzyboża, starszego od Franka o całych dwadzieścia lat. To on właśnie wyciągnął z sabataizmu wnioski doktrynalnie możliwe do zniesienia przez judaizm, które w perspektywie dziejowej miały po stuleciach zapłodnić i chrześcijaństwo, i w bardzo wielkim stopniu kształtować współcześnie ideologię postmodernistyczną – New Age.

Ten wielki i może mimowolny reformator to Izrael z Międzyboża, czyli Baal Szem Tow, zwany w skrócie Besztem (1700–1761). Urodził się na Podolu w Okopach Świętej Trójcy, tych samych co w Krasińskiego NIE-BOSKIEJ KOMEDII, w widłach Zbrucza i Dniestru. Miejsce legendarne i dzieciństwo osnute legendą. Przede wszystkim była to dusza, która nie popełniła grzechu pierworodnego. Jak wiemy, wedle Kabały wszystkie dusze jeszcze nie narodzone były w duszy Adama, a właśnie ta uciekła przed zjedzeniem fatalnego jabłka i służyła Henochowi, Dawidowi i Salomonowi. Ojciec Beszta, Eliezer, spłodził go w starości, podobnie jak Abraham Izaaka, i wcześniej osierocił. Chłopak spędzał czas w lesie i nad rzeką, a nauczycielem był mu Achija z Sylo, ten sam, który z Mojżeszem wyszedł z Egiptu, a potem uczył Eliasza itd., itd. Izrael został furmanem w Brodach, a potem karczmarzem. W trzydziestym szóstym roku życia objawił się jako uzdrowiciel, cudotwórca i Baalszemtow, a po okresie wędrówek osiadł w Międzybożu Podlaskim z rodziną, uczniami i w ogóle z dworem. Był pierwszym cadykiem sprawiedliwym, a jego wyznawcy zwali się chasydami – pobożnymi. Już w pierwszym dziesięcioleciu działalności Baalszemtowa było ich przeszło dziesięć tysięcy, a działało się to jeszcze przed wystąpieniem Franka.

Czas był szczególny, żądny wiary i cudów, ale i sam Baalszemtow musiał być osobowością niezwykłą i charyzmatyczną. Jego przeciwnicy, a miał ich wielu, po zetknięciu się z nim osobiście – stawali się jego zwolennikami. Beszt nigdy niczego nie pisał, nauczał przypowieściami, a jego nauka została spisana przez uczniów. Najważniejszych było dwóch, każdy z nich na początku wyśmiewał Beszta. Spisał jego wykłady Jakub Józef, rabin z Szarogrodu. Jego książka, zwąca się TOLEDOT JAKUB JÓZEF, ukazała się po śmierci Beszta, a w 1781 roku została wyklęta i spalona na stosie. Nie przez Inkwizycję, ale przez samych rabinów.

Drugim był uczonego talmudysta i kabalista Dow Beer z Międzyrzecza, nazwany Wielkim Magidem, czyli kaznodzieją, który po śmierci Beszta został jego następcą i cadykiem. Był kimś w rodzaju świętego Pawła chasydyzmu. Jego nazwisko znaczy „niedźwiedź” – *dow* po hebrajsku, a *beer* w jidysz. Podobne złożenia były wśród chasydów w modzie; znamy przecież jeszcze Ari Loew – lew, Zeew Wolf – wilk, Cwi Hirsch – jeleń i innych. Chasydyzm szerzył się ostro, jak płomień, i ostatecznie przyszedł moment, kiedy większość Żydów, szczególnie wschodnioeuropejskich, została chasydami. To chasyd posłużył za wizerunek typowego Żyda, to on właśnie nosił chałat, pejsy, białe pończochy i czarny kapelusz, to on był głównie ośmieszany i to nie tylko przez antysemitów. Podobno w dziewiętnastym, a zwłaszcza w dwudziestym wieku ruch zwyrodniał i obrządek, forma wzięła w nim górę nad treścią. Ale nawet szyderycy nie kwestionowali głębokiej mądrości i sprytu samych cadyków, aż do AUSTERII Juliana Strykowski, gdzie został nad tą sprawą postawiony wielki znak zapyta-

nia. Z drugiej strony, dzisiaj, na przełomie stuleci, patrzymy na chasydyzm oczami Martina Bubera, wyidealizowany i oczyszczony, jako jeden z najważniejszych filarów New Age. Nie ma już samych chasydów, którzy mogliby zakłócić piękno tej wizji, zginęli bez reszty w szoah, a niewielkie grupy w Stanach Zjednoczonych i Izraelu, słynące z fundamentalizmu, są po prostu daleko. Podziwiamy chasydów, nie zdając sobie sprawy, że jesteśmy jak marrani portugalscy wybierający się do Amsterdamu z tęsknoty za judaizmem, który w praktyce ze swoją plejadą sześciuset trzynastu nakazów i zakazów okazał się dla nich po prostu przerażający. Czytałem jakąś fantastyczną opowieść japońską o człowieku, który tęsknił do siedemnastego wieku samurajów i został przeniesiony w przeszłość: z tęsknoty rychło pozostał niesmak i groza. I kiedy wybitny polski pisarz i intelektualista publicznie deklaruje, że chce być Żydem, to bardzo wątpię, czy mógłby choć przez chwilę znieść żydowskie ograniczenia.

Sama istota chasydyzmu wygląda bardzo pociągająco. Substancją decydującą o wszystkim jest radość, radość z powodu Boga, radość z powodu świata. Boga można i należy czcić po prostu pracą i każdą czynnością, bez oglądania się na sformalizowane obrzędy – w tym zawierała się szpilka przeciw TALMUDOWI. Ta radość – powiada Buber – *staje się naszym udziałem, jeżeli staramy się „uradować Boga”*. Nie powinniśmy chcieć niczego poza samą radością. Czy można sobie wyobrazić potężniejsze od tego myślenie pozytywne?

Kolejnym filarem chasydyzmu jest wiara w nieograniczoną moc i znaczenie cadyka, przerastająca nawet stosunek buddystów Zen do swojego guru. Cadyk jest doradcą, reprezentantem i ośrodkiem społeczności chasydów, jest jej światłem. Jest także cudotwórcą, bo ma bezpośredni związek z Bogiem. Cadyk – jak pisał Buber – jest orędownikiem, bierze na siebie cudze cierpienia, podnosi modlitwy, które nie dotarły do Boga.

Natomiast Paweł Hertz w znakomitym pod każdym względem wstępie do polskich wydań OPOWIEŚCI CHASYDÓW przedstawia tę kwestię następująco: *Cadyk doprowadza wszystkie zmysły chasyda do stanu doskonałości, a sprawia to nie tylko swoim świadomym działaniem, lecz także swoją cielesną obecnością: patrząc na cadyka, doskonalimy zmysł wzroku, a słuchając go – zmysł słuchu. Nie nauka cadyka, lecz jego istnienie wywiera wpływ rozstrzygający, i nie tyle nawet istnienie w jakichś wyjątkowych czasach, co niczym nie podkreślone, bezwiedne, nieświadome, codzienne istnienie; w dodatku nie chodzi tu o jego istnienie jako człowieka uduchowionego, lecz jako pełnego człowieka, o całą egzystencję cielesną, w której przejawia się jego człowiecza pełnia. „TORY, nauki Bożej – powiedział jeden z cadyków – uczyłem się ze wszystkich członków ciała mojego mistrza”*.

Wygląda na to, że w osobie cadyka odrodziła się rola „świętego króla” tak szczegółowo opisana przez Frazera. A i Lew Tołstoj opisuje, jak Aleksandrowi I wypada na kremlowskim ganku kawałek biskopota, a tłum rzuca się na okruchy – tak właśnie karmili wyznawców cadykowie. Czy przypadkiem koncepcja unanimitu Duhamela nie ma chasydzkich korzeni? Chasydzi rewanżują się bezwzględną wiarą, przede wszystkim w moc modlitwy cadyka. A modlitwa jest ekstatyczna, jest w niej taniec, śpiew, alkohol – bo to wszystko budzi radość.

Bałaban z kolei pisze o pokrewieństwie koncepcji Baalszemtowa z myślą Spinozy i cytuje TOLEDOT JAKUB JÓZEF: *Bóg jest wszędzie obecny, istnieje On i objawia się we wszystkich tworcach. Nie ma niczego na świecie, w czym by nie było Boga lub co by było od Niego odezwane. I jako Bóg kryje się we wszystkich poszczególnych swych tworcach, tak też istnieje w wielkim tworze, który zwiemy światem. Nazwa każdej rzeczy cielesnej jest tylko określeniem istoty duchowej w niej zawartej. (...) Cadyk jest ostoją świata, jego ośrodkiem, jego duszą i jego życiem. Reszta ludzi to tylko ciało, które czerpie swe soki żywotne, swe warunki życiowe, właśnie z tej duszy. Cadyk jest pośrednikiem między ludźmi a Bogiem, a nawet między Majestatem Bożym (Szechiną) a samym Stwórcą. (...) Ilekroć jesteś złączony z cadykiem, który zwie się światem, tylekroć jesteś złączony z życiem, to jest z Bogiem. (...) Dusza cadyka kroczy przez bramy piekielne i podnosi dusze ze sobą związane, które złu już były przypały. (...) Tylko zwykli ludzie myślą, że Bogu można służyć jeno TORĄ i modlitwą. To jest*

nieprawda, gdyż Bogu można służyć czynnościami najzwyczajniejszymi, jedzeniem, pićm lub wykonywaniem jakiegokolwiek pracy ręcznej. Podniesienie pracy zwyczajnej ku wyżynom niebieskim, oto prawdziwa służba Boża, służba bez zmartwień, służba w radości.

Naprawdę imponujące. Ale, niestety, nie wierzę, aby poza momentami ekstazy dało się osiągnąć tak ogromną bezinteresowność zarówno samych cadyków, jak i wiernych... A ten system wręcz zaprasza do wszystkich możliwych wynaturzeń, przesady i nadużyć. I to chyba nie tylko „z biegiem czasu”...

Ekstacyjny chasydyzm znalazł swoją podbudowę w nauczaniu Zamana Sznejura, ucznia Mendla z Witebska, który to Mendel asystował jeszcze Besztowi, choć w zasadzie był uczniem Wielkiego Magida, czyli Dow Beera. Otóż Sznejur nie chciał zrywać z TALMUDEM i wykładał, że *źródłem cnoty jest mądrość, istotą duszy jest rozsądek, a podstawą wiary jest poznanie*. W tym celu sięgnął do pierwszych Sefirot, czyli Mądrości, Intelaktu i Wiedzy, co po hebrajsku brzmi *Chochma, Bina i Daat*, a więc wszystko razem nazwał w skrócie *chabadem*. I *chabad* właśnie to racjonalistyczna strona chasydyzmu, багаż intelektualny chasydzkiej elity. Sznejur to trzecie pokolenie cadyków, którzy zresztą używali tytułu rebbe albo rabbi.

Potem się to wszystko skomplikowało. Martin Buber wymienia osiemdziesięciu dwóch wielkich cadyków, a kończy ledwo na Chanochu z Aleksandrowa, który zmarł w roku 1870. A co się działo przez następne sto trzydzieści lat, powiedzieć nie potrafię. Owszem, był sam Martin Buber, znakomity filozof i prekursor New Age, ale przecież chyba nie cadyk? O ile mi wiadomo, Żydzi krzywili się na niego, że apeluje bardziej do chrześcijan niż do prawdziwych Żydów. Jego najpopularniejsza książka *DIE ERZÄHLUNGEN DER CHASSIDIM*, czyli *OPowieści chasydów*, ukazała się w Zurichu w 1949 roku. Już mówiłem, że portret to trochę wyidealizowany, a skądinąd podobny do portretów tannaitów w TALMUDZIE. Sam Buber pisze, że są to relacje o atmosferze i cudach przedstawione przez ludzi *w stanie zachwycenia*. Buber żył w latach 1878–1965 i naturalnie w żadne cuda i niezwykle uzdrowienia nie wierzył, a my z epoki postmodernistycznej nie widzimy w nich niczego nieprawdopodobnego. Może też jesteśmy w stanie zachwycenia?

Po pierwszych latach w Międzybożu Beszta i Magida powstały nowe centra chasydyzmu, nowe, niekiedy wspaniałe dwory i dynastie cadyków. Równe, Karolin, Sadogóra, Czarnobyl, Kutry, Wiśnica, Kock, Rużany, Lublin, Opatów, Przysucha, Góra Kalwaria... I wiele innych. Dawna literatura polska pełna jest opisów charakterystycznych postaci, dziwnych i śmiesznych zachowań, opisów mądrości cadyków i wspaniałości ich dworów. Bo to, co się tak subtelnie pod piórem Martina Bubera rysowało, miało przecież swoją stronę obyczajową, dość jednak osobliwą. Buber podnosi elementy uniwersalne, rzeczywiście niezwykle, ale poza nimi stała codzienność, bardzo zamknięta w sobie, konserwatywna, nie dopuszczająca żadnej myśli racjonalistycznej i nowatorskiej. To nie było tak ekumeniczne, jak Buber przedstawia, i boję się, czy rozmowa z chasydem w ogóle mogła być możliwa. Zapewne już nigdy tego się nie dowiem.

Chasydyzm napotkał na bardzo ostrą reakcję ze strony oficjalnej synagogi. Jego wrogowie nazwali się misnagdami, czyli po prostu przeciwnikami. I właściwie nie można się specjalnie dziwić misnagdom. Nie tak dawno temu przewaliły się złudzenia sabatańskie, a i w osiemnastym wieku działali przecież potajemnie sabataiści. Równoległe z chasydami rozwijał się frankizm, oskarżający Żydów nawet o morderstwa rytualne. A sami chasydzi przypominali trochę sabataistów, nie głosząc wprawdzie Trójcy, ale praktykując takie samo wesele, tyle że z innym uzasadnieniem. Jednym słowem, chasydzi zostali uznani za takich samych sekciarzy, ich świętą księgę TOLEDOT JAKUB JÓZEF... spalono, a skargi systematycznie oddalano.

Na czele misnagdów stał Elias z Wilna (1720–1797), zwany Gaonem, czyli Doskonałym, postać na skalę światową, osobistość rzeczywiście godna uwagi. Nawet dzisiaj powołują się na niego badacze Kabały, na przykład Gershom Szolem, nawiasem mówiąc, przeciwnik Mar-

tina Bubera. Eliaasz z Wilna słynął z ogromnej wiedzy. Podobno zasłaniał okna, dzień i noc siedząc przy lampie i studiując święte dzieła. Żadnych funkcji nie sprawował, ale był niemal wszechwładny. On to, nie wnikając w poglądy sekciarzy, rzucił na nich klątwę, którą u schyłku stulecia jeszcze parę razy powtórzył. Klątwa była średnio skuteczna, powtórzyli ją rabini zebrani w Brodach, chasydzi nadaremnie odwoływali się do Gaona, wygnano ich z miast litewskich. Gaon nigdy nie zmienił zdania, ale liczba chasydów rosła. Pod koniec osiemnastego wieku było ich przeszło sto tysięcy. W następnym stuleciu prawie wszyscy ubodzy Żydzi byli już chasydami, misnagdzi należeli do sfer lepiej sytuowanych.

Wszystkich jednak Żydów dotyczyła jednako bariera, którą skutecznie postawiło od wschodu państwo carów. Była to daleko wstecz sięgająca historia; podobno Żydzi w piętnastym wieku tak dalece zagrozili prawosławiu, że Rosjanie już nigdy potem nie chcieli ich wpuszczać. W piętnastym wieku? Gdyby to się działo bliżej czasów chazarskich, kiedy Słowiańszczyzna w ogóle musiała wybrać jakąś wersję monoteizmu, to rzecz byłaby prawdopodobna. W pięć stuleci potem żadnej takiej poważnej możliwości nie było, ewentualne elementy judaizujące musiały się wpisać w chrześcijaństwo. Ale tradycja bizantyjska, prawosławna, z którą związała się Rosja, była aż nieprawdopodobnie antysemitcka i to właśnie zaważyło na stosunku Rosjan do Żydów.

Ale w trwającym stuleciu pojedynku Polski z Rosją ta ostatnia zaczynała wygrywać, zyskiwać wciąż nowe terytoria za zachodzie, a na nich osiadła tu ludność żydowską. Oczywiście, że i sami Żydzi starali się uzyskać jakieś prawa w Rosji, kraj był przecież ogromny, pełen rozlicznych bogactw, ale nigdy właściwie nie odnieśli sukcesu. W czasach Katarzyny II Żydom w Rosji zapewniono wprawdzie swobody religijne i handlowe, ale zabroniono im osiedlania się na rdzennie rosyjskich ziemiach. Ostatecznie po drugim rozbiorze, w 1793 roku, powstała tak zwana „strefa zasiedlenia”, *czerta osiedłosti*, obejmująca dawne polskie ziemie: mińską, zasławską, braclawską, połocką, mohylewską, kijowską, czernihowsko-siewierską, jekaterynosławską oraz Krym, a także województwo wileńskie i grodzieńskie. W późniejszych latach jeszcze ją ograniczono, wypychając Żydów na zachód. Spowodowało to sztuczne zagęszczenie i wzmogło konflikty. Wedle szacunku THE JEWISH WORLD w dziewiętnastym wieku mieszkała w Polsce połowa wszystkich Żydów świata. Żydów przybywających ze wschodu i północy Żydzi Królestwa Polskiego zwali Litwakami. Strefa zasiedlenia przetrwała do roku 1917.

Był to ogromny skansen dawnego żydowskiego obyczaju, zresztą to samo można powiedzieć o Galicji, która przypadła Austrii. W zaborze pruskim Żydów niemal nie było, natomiast w samym Berlinie rozpoczęło się coś nowego. Po raz pierwszy nawiązała się autentyczna więź porozumienia żydowsko-niemieckiego, a w każdym razie sami Żydzi mieli takie złudzenia. Przypomnijmy, że dzieje Żydów niemieckich były wyjątkowo tragiczne, a w dwudziestym stuleciu zyskały pointę przerażającą. Ale w dziewiętnastym to tu właśnie było żydowskie centrum intelektualne, już nie w guście talmudycznym. A jeszcze sto lat wcześniej powstało tu i rozkwitło żydowskie Oświecenie – Haskala. Było w równej mierze skierowane przeciw chasydom, co i wyznawcom tradycyjnej synagogi – misnagdom.

Wiązało się początkowo z jednym człowiekiem, Mojżeszem Mendelssohnem (1729–1786), mniej więcej współczesnym Eliaaszowi z Wilna, Frankowi i Baalszementowowi. Ten biedny garbusek z Dessau przybył do Berlina na naukę, a uczył się równocześnie spraw żydowskich i mądrości świeckich. Zaprzyjaźnił się serdecznie ze znakomitym pisarzem niemieckiego Oświecenia Gottholdem Ephraimem Lessingiem, który pomógł mu wejść na berlińskie salony intelektualne. Mendelssohn został autorem licznych książek i nowego przekładu BIBLI, pozyskał sławę europejską, jego twórczość uznawana jest za punkt zwrotny dziejów żydowskich, ponieważ dopiero teraz zaczęło się unowocześnianie.

Żydzi znajdowali się w sytuacji szczególnej. Posiadali wielką tradycję literacką i intelektualną, subtelną mądrość i głębokie przemyślenia, ale przecież bardzo specyficzne, oparte na

twierdzeniach i kategoriach sprzed tysięcy lat. A tymczasem świat się odmienił, poszedł dalej, przemówił innym, nowym językiem, czego kręgi TALMUDU i Kabały zupełnie nie chciały i nie potrafiły uznać. Podobno już w dyskusjach piętnastowiecznych zarysował się ten rozdział, a cóż mówić o stuleciu osiemnastym, wieku Oświecenia! Podobnie zresztą konserwatywne i zacofane było chrześcijaństwo, a Kościół katolicki w szczególności. Ale odkrywcami nowych horyzontów zostali jednak chrześcijanie i jakiś wspólny język bywał możliwy. Żydzi natomiast całkowicie pozostawali poza wspólnotą oświeconych.

Z punktu widzenia gojów Żydzi nie mieli ani jakiegokolwiek wiedzy, ani intelektualnego dorobku, ani nawet kultury. Co więcej, nie mieli nawet własnego języka, ponieważ jidysz uważano po prostu za kaleki żargon, a do odnowienia hebrajskiego jeszcze nie doszło. Z tego punktu widzenia obyczaj żydowski wydawał się przesądny, a nawet śmieszny, śmieszne były żydowskie modlitwy, głośnie i chałaśliwe, śmieszne gesty, ustawiczne kiwanie się, śmieszne stroje – jakieś płachty, sznurki, rzemyki, torebki, rzekomo Bogu niezbędne. A już przedmiot dyskusji, sławnego *pilpulu*, rysował się wręcz karykaturalnie. Nie można przecież opierać się na twierdzeniach, które już w cywilizowanej antycznej Grecji zostały odrzucone i skompromitowane. Nawet sami Żydzi, którzy zetknęli się z nauką zachodnią, czuli śmieszność sytuacji.

Rysował się dylemat, czy być Żydem, czy człowiekiem cywilizowanym, bo obu rzeczy nie dało się pogodzić. Otóż właśnie Mendelssohn nie przyjął tego do wiadomości i działalnością swą pokazał, że to w pełni możliwe. Pewnie, że straszliwie naraził się ortodoksom. Ale nie tylko sam jakoś tę burzę przetrwał, powołał bowiem do istnienia całą szkołę swoich następców – Wessely, Friedländer, Naphtali Herz Homberg, Lazarus Bendawid i inni. Na idee tego kręgu składały się odwrót od TALMUDU na rzecz BIBLI, odrodzenie języka hebrajskiego, szkolnictwo. W Królewcu powstało towarzystwo hebrajskie wydające pismo HA MASEF (Zbieracz) przeniesione później do Berlina. Dawid Friedländer otworzył pierwszą nowoczesną szkołę żydowską, która stała się następnie wzorem dla innych szkół, zakładanych głównie w Galicji, co spotkało się zresztą z gwałtownym protestem tradycyjnych Żydów. Maskile (tak nazywali się oświeceni) utrzymywali bliskie kontakty z gojami z kręgów intelektualnych, otwierali salony, jak słynny berliński salon Henrietty Herz. Haskala zaczęła kształtować zamknięte sfery żydowskie nie tylko w samym Berlinie, ale także w Wiedniu, Pradze, Warszawie czy Lwowie. Zatoczyła wielkie kręgi, ale ogół żydowski był jej zdecydowanie obcy i wrogi.

Kto miał rację? Wątpię, czy tu w ogóle jakaś arbitralna racja jest możliwa, a cały spór dotyczy przecież wszystkich czasów i wszystkich ludzi. Nie da się pogodzić całkowitej wierności całej tradycji i bezwzględnej unowocześniania. I zresztą prawie nigdy tak nie bywa. „Nowe” bezwzględnie musi zwyciężyć, może dlatego, że jest młodsze i silniejsze, ale to nie powód, żeby odrzucać całą historię i tradycję. Toteż zwykle dochodzi do jakiegoś kompromisu.

Ale właśnie w sprawach żydowskich o kompromis było szczególnie trudno. Prastare doświadczenie dowodziło, że naruszenie tradycji kończy się zawsze apostazją. Człowiek zostaje, ale Żyd umiera. Krąg berlińskich nowatorów także poszedł tą samą drogą: ich potomkowie przyjęli chrześcijaństwo. A potomkowie potomków całkiem przestali być częścią narodu żydowskiego. Adam Michnik protestował kiedyś przeciw sprowadzaniu żydowskości do religii. Czy Żyd świecki, Żyd laicki, dodajmy, Żyd chrześcijański lub buddyjski, nie jest możliwy? Zapewne jest: w pierwszym, może w drugim pokoleniu. Później już nie. Rabinini mają rację.

Argument, że hitlerowcy traktowali to inaczej, że w ich oczach liczyło się kryterium rasowe, a nie wyznaniowe, nie świadczy o niczym. Jest to argument sztuczny i nieprawdziwy, ponieważ rasa jako kategoria naukowo możliwa została już dawno odrzucona i skompromitowana. Można sobie wyobrazić liczbę włosów na głowie jako kryterium czegoś tam: parzy-

sta – źle, nieparzysta – dobrze. Gdyby ktoś potrafił to policzyć, może byśmy się i czegoś takiego doczekali. Ale o czym by to świadczyło? O niczym!

Narody przekształcają się, zmieniają, zyskują nową tożsamość i przewidzieć tego nie można, prawie nie można. Nie wiem więc, co narodowi żydowskiemu jest pisane, mogę mówić tylko o tym, co stało się dotąd. Liczba Żydów, którzy zasymilowali się, czy to z Polakami, czy z jakimkolwiek innym narodem, jest ogromna, a w ostatnich stuleciach jeszcze bardziej wzrosła. Z punktu widzenia człowieka jako człowieka to jest zupełnie obojętne, ale z punktu widzenia narodu jest to ogromny upust krwi, którego nawet można nie przeżyć. Abstrahuję tu zupełnie od tego, czy istnienie narodów w ogóle jest korzystne, czy też nie, i co z narodami stanie się w przyszłości. Ale gdyby naród żydowski w całości poddał się Haskali, to prawdopodobnie zostałyby z niego do dzisiaj żałosne szczątki. Oczywiście, sytuacja zmieniła się kompletnie od chwili, kiedy Żydzi odzyskali własne terytorium, ponieważ pojawił się inny, realny łącznik tego narodu. Żydzi na swoim terytorium mogą nawet odmienić całkowicie swoją tożsamość, ci sami Żydzi w diasporze – nie.

Zrozumiały jest więc żydowski konserwatyzm, ponieważ to on właśnie zdecydował o zachowaniu tożsamości całego narodu. I to fundamentalistycznym chasydom i zapyziałym miśnagdom trzeba przypisać tę zasługę. Na progu epoki nowoczesnej za cenę nieruchomego trwania zwieńczonego niebywałą w dziejach świata hekatombą własnej krwi osłonili i umożliwili proces wielkiej odmiany i odnowienia.

Żydzi u siebie

Wszyscy historycy zgodnie uznają, że średniowiecze żydowskie trwało do wieku osiemnastego, do Haskali. Ale Oświecenie – Haskala, objęło przecież część wyznawców judaizmu, a przeważająca większość Żydów nie zmieniła się wiele. Laicyzacja i modernizacja społeczności żydowskiej przeciągnęła się na wiek dziewiętnasty i dwudziesty, a i teraz są na świecie środowiska żyjące wedle dawnych przeświadczeń i obyczaju. Narody tak bardzo związane z własną religią jak żydowski z reguły są bardzo konserwatywne. Zresztą to, co wyznaniowe, i to, co racjonalne, musi współżyć ze sobą. Żydzi powiadają, że TORA czytana z nakrytą głową jest religią, a z odkrytą – historią. Oba sposoby lektury muszą się splatać, zważywszy, że wszystkie święta żydowskie, cały rok liturgiczny jest wspomnianiem wypadków historycznych czy rzekomo historycznych. W rezultacie przez tysiące lat obyczaje zmieniły się niewiele, stąd wrażenie swoistej beczasowości czy może ponadczasowości. Ale właściwie wszystkie stare religie są takie. Tyle, że nie zawsze z tak przemożną siłą odciskają się na organizacji całego życia.

Żydzi przez większą część swojej historii żyli w diasporze, właściwie zawsze stanowili mniejszość i mogli się spodziewać, że pozostali współobywatele czy władza może ich skrzywdzić. Stąd od wieków kultywowana była mentalność „obleżonej twierdzy”, najczęściej najzupełniej słusznie. Każdy naród musi prowadzić jakąś politykę „zewnątrzną”, pilnować granic i interesów ekonomicznych, tożsamości narodowej,łożyć na obronę, czyli na wojsko, i tak dalej. Nawet gdyby był jak najszczerzej usposobiony pokojowo i przyjazny wszystkim. *Si vis pacem, para bellum*. A naród w diasporze tym bardziej, chociaż formy tego oporu muszą być odrobinę inne. Naród w diasporze musi być znakomicie poinformowany i próbować przewidzieć niebezpieczeństwa, zanim one nastąpią. Powinien mieć znakomite stosunki z władzą, a nawet potajemny udział w tej władzy. Musi mieć jakieś środki presji – raczej ekonomiczne niż militarne. Musi zachowywać pozory szacunku dla praw obowiązujących czy też może szacunek rzeczywisty – co nie zawsze jest możliwe. Powinien nade wszystko być znakomicie zorganizowany i gotów na wszelką ewentualność, nie licząc nadmiernie na jakąś pomoc zewnętrzną. Wiemy jednak, że i to wszystko bywało w historii Żydów daremne.

Żydzi najczęściej trzymali się razem. Oczywiście, były jednostki mieszkające osobno, przeważnie uprzywilejowane, ale ogół grupował się w osobną dzielnicę czy „ulicę żydowską”, podobnie jak to czynią Polacy w Brooklynie albo w Chicago, podobnie jak wszystkie mniejszości zawsze i wszędzie. Był to obyczaj dawny, jeszcze starożytny; wiemy, że na przykład w Aleksandrii Grecy i Żydzi mieszkali w osobnych dzielnicach. Pewnie było tak jeszcze wcześniej, w latach niewoli babilońskiej, a może i egipskiej. W średniowieczu Żydzi starali się mieszkać w rejonie centrum, z biegiem czasu bywali przesiedlani na obrzeża. Getto przy-musowe powstało na początku szesnastego wieku w Wenecji, biorąc swą nazwę podobno od huty żelaza, ale są i inne teorie. Początkowo bywało to nawet dla jego mieszkańców korzystne, bo chroniło ich przed napaściami. Ale z czasem liczba mieszkańców getta rosła, a terytorium się nie powiększało i zaczynała panować w nim straszliwa ciasnota. Domy obrastały w przybudówki i dodatkowe piętra, ulice robiły się coraz ciaśniejsze – główna micwała niewiele więcej niż trzy metry, brakowało wody i kanalizacji, o wolnych przestrzeniach i zieleni nie mówiąc.

Getto zaczynało cuchnąć, a z biegiem lat brud i niechlujstwo stały się rzeczą zwyczajową i przyjętą. Tak przynajmniej wywodzą żydowscy historycy, ale przecież w Polsce wschodniej ściśle zamkniętych dzielnic żydowskich, szczególnie w małych miasteczkach, nie było. Kto chciał, mógł się napawać przyrodą (czynił to chociażby Baalszemtow) czy myć się do woli. Więc przyczyny były inne, jakiś rodzaj agorafobii, który Sokratesowi wyciąganemu na zamiejską wycieczkę podyktował pogardliwe słowa: *Czego nauczę się od drzew?*

Getto, czy w ogóle dzielnica żydowska, było najczęściej murowane, a w Anglii mówiono nawet o szczególnym instynkcie żydowskim wyrażającym się w murach. Ciekawe, tak na ogół było też w żydowskich miasteczkach Polski, ceniących sobie raczej zabudowę drewnianą. Zresztą, może to zależało od warunków lokalnych, pod Warszawą na przykład o kamień było trudno. A podobno polsko-żydowską specjalnością były właśnie synagogi drewniane. W każdym razie murowany dom zapewniał większe bezpieczeństwo.

Sercem dzielnicy żydowskiej zawsze była synagoga, podobnie jak kościół stojąca w centrum osiedla. I spełniała funkcje podobne, ale chyba jeszcze znacznie rozleglejsze, a nazywała się *bet ha-kneset*, czyli domem zgromadzeń. Żydzi gromadzili się w niej nie tylko na modły; w synagodze studiowano *TORĘ*, ogłaszano przetargi i inne nowiny, także wymierzano kary – na przykład biczowania, tu odbywały się zjazdy i podawano do wiadomości zarządzenia rady miejskiej, tu także toczyły się obrady we wszelkich możliwych sprawach. Słowem, odbywało się to wszystko, co niegdyś działo się na rozległych dziedzińcach i pod kolumnadami Świątyni jerozolimskiej. Jej rolę właśnie przejęła synagoga, a stało się to już w czasach machabejskich, a może nawet babilońskich. Słowem, była czymś na kształt greckiej agory, prawdziwego ośrodka życia społeczności. Ale tu, w synagodze, w mniejszym stopniu dochodziły do głosu sprawy polityczne. Oczywiście, najważniejsze były modlitwy – obowiązkowe! – i obrzędy, jak *bar micwa*, czyli „dorosłość” chłopców (odpowiednik konfirmacji), która przypadała na trzynasty rok życia, święta i śluby. Tam też w przeciągu roku odczytywano, fragment po fragmencie, całą *TORĘ*. Czynił to *chazan*, czyli kantor-lektor, codziennie na nowo wyznaczany. Poza tym studiowano święte księgi, rozmawiano i w ogóle atmosfera bywała familiarna. Żydzi nie mieli przecież wydzielonej kasty kapłańskiej, rabinem mógł być każdy, zależało to od jego osobistego autorytetu i uczoności.

Funkcje dydaktyczne synagogi były tak rozwinięte, że od bardzo dawna zwano ją szkołą – *schul* (school), a urzędnik synagogałny zwany był *schulklopfere*m, w Polsce zaś i po polsku – szkolnikiem. Jednak prawdziwą władzę, wynikającą z dobrej znajomości wszystkich wierzchnich gminy, miał woźny – *szames* (rodzaj kościelnego): to w pierwszym rzędzie on szacował majątki do wymiaru podatków. Nawiasem mówiąc, tytuł *szamesa* znałem z literatury, ale kiedy zetknąłem się z wersją *szamasz*, coś we mnie drgnęło: przecież tak właśnie nazywał się babiloński bóg słońca, sprawiedliwości i wróżbiarstwa. Babiloński był też językiem semickim, a ta zbieżność z pewnością nie jest przypadkowa.

Bóżnica mogła mieć rozmaite kształty, mogła być prostokątna, kwadratowa, a nawet okrągła czy ośmiokątna, powinna za to być najwyższym budynkiem w mieście. Podobno na Wschodzie bywały synagogi całkiem bez dachu, co mi się wydaje trochę mało prawdopodobne. Synagoga naśladowała na ogół styl panujący współcześnie, co rozumiało. Powinna jednak mieć dwanaście okien i być orientowana na wschód, podobnie jak średniowieczne kościoły czy meczety. Dzieliła się na część męską i galerię dla kobiet – podobnie na żydowskich przyjęciach mężczyźni i kobiety bawili się osobno.

Najważniejszym miejscem w synagodze jest *Aron ha-Kodesz*, szafka zawierająca zwoje *TORY*. Przed nią pali się zawsze *menora*, czyli siedmioramienny świecznik, a w środku sali stoi *bima* – kazalnica. Wnętrze i całe otoczenie *TORY* jest bogato zdobione, ale jedynym motywem zwierzęcym jest lew, strażnik i opiekun, co ma swoje uzasadnienie w *BIBLI*. Obyczaje synagogałne były niby i w zasadzie jednakowe, bo się wywodziły z jednego źródła, w praktyce jednak inny był rytuał aszkenazyjski, a inny sefardyjski i w ogóle doliczono się czterdzie-

stu rodzajów *minhagin*, czyli pomniejszych obyczajów synagogałnych. Symbolika była bardzo rozbudowana i rozległa. Flawiusz, opisując Świątynię, mówi o całym kosmosie, synagoga była skromniejsza i przecież nie była Świątynią, ale wszystko, co się z modlitwą wiązało, musiało mieć symboliczne drugie dno. Chrześcijanie zupełnie się na tym nie wyznawali, zresztą w synagodze bywali rzadko.

Maria Kuncewiczowa opisuje w DWÓCH KSIĘŻYCACH wizytę w kazimierskiej synagodze; otóż panowała tam tak „śmiertelna” atmosfera, że bohaterowie, chcąc się zwrócić ku życiu, czym prędzej odwiedzają kościół. Żydzi oceniają to inaczej: w synagodze można się było zwrócić do Boga z pewną poufałością; literatura talmudyczna i późniejsza raczej to potwierdzają. Można było na przykład w bóżnicy zorganizować przyjęcie z okazji Dnia Radości TORY. I w ogóle, podobno, atmosfera powinna mieć wiele wspólnego z domową.

Bóżnica spełniała różne funkcje, z obronnymi włącznie, w razie potrzeby mogły się w niej mieścić wszystkie instytucje niezbędne społeczności gminy, ale zazwyczaj były w jej pobliżu i inne budynki. Więc sąd – *bet din*, szkoła, gminna sala zebrań i na ogół osobny *tanzhaus*, gdzie urządzano wesela. Ważny, z oczywistych względów, był cmentarz, zwany paradoksalnie „domem życia”, a przez gojów „ogrodem żydowskim” (*hortus judeorum*). Ten cmentarz bywał poza granicą miasta, a w średniowiecznej Anglii na przykład jeden jedyny cmentarz był w Londynie i inne gminy, nawet z odległych miast, musiały tu transportować swoich zmarłych. Nie wiem, jak sobie z tym radzono, bo prawo wymagało, żydowskie prawo, naturalnie, żeby pogrzeb odbył się przed upływem trzech dni. Nawiasem mówiąc, był to przepis, który właściwie zawsze wywoływał liczne wątpliwości, ponieważ groziło pogrzebanie żywego człowieka w letargu. Pogrzebem zajmowało się specjalne towarzystwo – *chewra kadisza*, a grzebano początkowo bez trumny, w samym całunie. W pogrzebie musiał brać udział *minjan*, czyli dziesięciu Żydów, podobnie jak i w innych obrzędach. Pogłos tego słyszy się w ewangelich: *kiedykolwiek kilku zejdzie się razem w imię moje...*

Grobowiec żydowski nazywa się *macewa* i w starożytności nie było na nim żadnego napisu ani symbolu. Potem pojawiły się przeróżne znaki, głównie świecznik siedmioramienny, ale także owoc, gałązka palmowa, naczynie na oliwę i wiele innych. Potomkowie Aarona, koheNOWIE, mieli na grobach dwie błogosławiące dłonie, a lewicy – dzban na wodę. Na starych grobach świętych tannaitów na górze Meron (tam leży Hillel), o ile to widać na fotografii – nie ma niczego. Symbole i napisy pojawiły się później pod wpływem rzymskim i chrześcijańskim.

Ale pogrzeb to już, naturalnie, ostateczność. Życie chłopca zaczynało się od obrzezania ósmego dnia i od inicjacji w dorosły świat w trzynastym roku życia, co się zwało *bar micwa*. Tymczasem zaś młody człowiek musiał się uczyć, szkoła zaś była wyłącznie religijna, a nauka polegała na studiowaniu TORY, TALMUDU, a w późniejszych stuleciach jeszcze Kabały. Bycie Żydem oznaczało przecież zarówno narodowość, jak i wyznanie równocześnie. Nie ma chyba na świecie narodu, który by z racji swojego wyznania podlegał tak wielu restrykcjom obyczajowym. Zaczynało się to już od spraw intymnych. Żyd miał obowiązek małżeństwa i to nie tylko formalnego, ale praktykowanego w każdy szabat, ponieważ obowiązek dotyczył posiadania potomstwa. Jeśli go nie było, pozostawała adopcja. Troska społeczności obejmowała także kobiety – szło o to, aby każda wyszła za mąż. W związku z tym funkcjonowały specjalne towarzystwa dobroczynne, dbające o zebranie posagu dla każdej dziewczyny, a działały one bodaj jeszcze w wieku dwudziestym.

Historia obyczaju dlatego właśnie jest czymś ogromnie frapującym, że niesie ze sobą już nie całkiem zrozumiałe skamieliny przeszłości, a zarazem odbijają się w nim całe dzieje narodu, czasem będąc z nim w ostrej zwadzie. To obyczaj odbija w sobie trwogi i spodziewania, wiarę i zwątpienia; bywa niezwykle pomocny w zachowaniu tożsamości narodowej, która jest z nim prawie identyczna, bywa też niesłychanie wymagającym i męczącym dyktatorem, którego warto oszukać i przechytryć. Zdarzało się to Żydom wielokrotnie, ale opowiadają o tym

raczej w żartach, tak że trudno określić, co jest prawdą, a co zmyśleniem. Ale nie piszę dziejów obyczaju, bo po prostu nie potrafię, a moje uwagi na ten temat mogą co najwyżej posłużyć komuś, kto wie i rozumie jeszcze mniej ode mnie. Tak naprawdę obyczaj żydowski interesuje mnie w dwóch wypadkach: kiedy jest taki sam jak mój własny, i po wtóre, gdy jest mi całkowicie obcy.

Oczywiście, wszyscy ludzie są jakoś podobni do siebie, a jeśli idzie o Żydów i chrześcijan, to mamy prawie identyczną wiarę i wszyscy wywodzimy się ze wspólnego Śródziemnomorza, podobieństw więc jest zdecydowana większość. Ale w ramach tych podobieństw różnice nas dzielące także są wielkie. Niektóre z nich stworzyła nasza wspólna i, co tu dużo gadać, fatalna historia. Na przykład żydowski dom często usiłował nie rzucić się w oczy, był niekształtny, przypominał byle jakie zwalisko kamieni, za to wewnątrz imponował bogactwem i wręcz przepychem. Nie było tu mowy o bogatej, wspaniale zdobionej fasadzie tak typowej dla miejskich pałaców chrześcijańskich. Taki pałac miał imponować, ale trochę i przerażać ewentualnych napastników. Żyd niczym przerażać nie mógł, jego racją bytu była mimikra, nadzieja, że napastnik po prostu go ominie.

Jest taki opis bogatego żydowskiego domu w Regensburgu z piętnastego wieku, cytowany przez dosłownie wszystkie książki poświęcone Żydom. Więc i ja poddam się tej tradycji historiograficznej. Píše skryba chrześcijański: *Dom był obrzydliwą, ciemnoszarą, porośniętą mchem kupą kamieni, zaopatrzoną w gęsto zakratowane okna o różnych wymiarach i nieregularnie rozmieszczone. Wydawało się, że niemal nie nadaje się do zamieszkania. Korytarz o długości ponad 80 stóp, słabo oświetlony w szabat, prowadził do ciemnych, częściowo rozpadających się krętych schodów, z których niemal po omacku, macając wzdłuż ścian, dochodziło się do budowli w tyłu. Otwierały się dobrze zabezpieczone drzwi, ukazując mieszkanie wesoło udekorowane kwiatami, z kosztownymi, pięknymi meblami, bogato i wspaniale urządzone. Ściany były tu pokryte rzeźbioną boazerią z polerowanego drewna, z różnorodnymi, powiewającymi i skomplikowanymi upiętymi zasłonami i artystycznymi rzeźbami. Była to domowa świątynia właściciela, w której obchodzono szabat, na zmianę rozważając kwestie religijne i delektując się luksusowymi ucztami. Kosztowny dywan o bogatej kolorystyce i rysunku pokrywał wyszorowaną podłogę. Na okrągłym stole o złożonych nogach leżała płomiennie czerwona narzuta z najcieńszej wełny, a nad stołem, na błyszczącym metalowym łańcuchu, wisiała siedmioramienna lampa, błyszcząca, jakby dopiero co odlana, z której siedmiu punktów rozchodziło się światło. Wokół świątecznego stołu, zastawionego ciężkimi srebrnymi kubkami, które wyszły spod ręki mistrza, stały zdobione złoceniami krzesła o wysokich oparciach, z poduszkami pokrytymi aksamitem. Masywny, srebrny dzban ze złotym kurkiem, stojący w niszy, zapraszał do obrzędowego mycia rąk, które następnie wycierało się w cienutkie płótno lniane, przetykane kosztownym jedwabiem. Na kunsztownie intarsjowanym dębowym stole, zdobionym girlandami kwiatów, stały świąteczne potrawy i błyszczący dzban wina. Kanapa w orientalnym typie z wypchanymi bocznymi poduszkami i srebrna szafka wypełniona klejnotami, złotymi łańcuchami i wisiorami, złożone i srebrne naczynia, rzadkie i cenne antyki tworzyły bogate ramy, które w godny sposób obejmowały ten obraz bogactwa i wspaniałości – domową świątynię Hochmeistra.*

Słowem, pańska rezydencja ulokowana w ruderze. Ten opis nie był przenośnią, ale mógłby nią być. Żydowskie życie pełne blasku, dostojne, rozumne i bogate mogło być widziane wyłącznie od wewnątrz, z zewnątrz nie widziało się niczego. Podobnie sam judaizm prezentował się na zewnątrz w sposób mało zrozumiały, a nawet śmieszny. Pewnie, gdyby ktoś chciał zgłębiać otchłanie TALMUDU i Kabały, dziwne przeznaczenie żydowskiego narodu, mądrość tego wszystkiego... Ale nie chciał nikt albo mało kto. W oczy natomiast rzucały się przeróżne przesady albo owych 613 nakazów i zakazów, niewiele lepszych od samych przesądów. Zresztą różnica między przesądem a religijnym dogmatem bywa bardzo niewielka – dla niewierzącego. A przesady wielorakie też się przecież w obfitości łączyły z judaizmem. Jak

twierdzą znawcy przedmiotu, narastały one w sposób wręcz lawinowy, od schyłku średnio-wieczna poczynając. Wskazuje się w ten sposób, jawnie lub skrycie, na Kabałę i to szczególnie praktyczną, luriańską. Nie bardzo chce mi się w to wierzyć: czy rzeczywiście poprzednio przesądów nie było? A to niby dlaczego, skoro cały świat w nich tonął, z Kabałą czy bez, równie dobrze żydowski, co chrześcijański, muzułmański czy buddyjski. A ktoś, kto poczuwa się do New Age, ma doprawdy najmniejsze prawo dworować sobie z tego. Nie wiem, co jest przesądem, nie wiem, co jest prawdą wiary, a dziś nie wiem także, co jest prawdą nauki.

Fundamentem codziennego obrządku była naturalnie modlitwa, w czym nie ma niczego osobliwego, bo wszyscy mieszkańcy świata, z ateistami włącznie, się modlą. Ale każda religia chce jakoś specjalnie naznaczyć czas i miejsce modlitwy. Żyd mógł się modlić w synagodze, mógł i w domu, a powinien to robić trzy razy dziennie. Rzecz w tym, jak chrześcijanie zegnają się i klęczą, muzułmanie obmywają się i padają na twarz, a Żydzi wkładają specjalne szaty i kiwają się, czyli biją pokłony. Wszyscy oni uważają obyczaje pozostałych za śmieszne. Chrześcijanie też stosują kąpiel rytualną, ale raz w życiu – jest to chrzest. Żyd obmywa się częściej, a służy do tego łaźnia rytualna – *mykwa*. Najbardziej charakterystyczny jest jednak strój modlitewny – składają się nań skórzane pudełeczka, zawierające cytaty z TORY, przytwierdzone rzemieniami do czoła i lewego ramienia, zwane *filakteriami* albo *tefilim*, oraz biała chusta, czyli *tallit* z czterema frędzlami, zwany także *cicis*. Polacy *tallit* zwał tałesem, a *cicis* – cycele, co zresztą wywodzi się z jidysz. Genezy modlitewnego kiwania się nie znają nawet żydowscy uczeni. Chrześcijanie też mają swoje modlitewne ubiory, ale noszą je tylko duchowni. Żydzi nie mają kasty kapłanów, każdy musi być sobie duchownym, a więc w stosownych momentach nosić specjalne szaty.

Natomiast strój codzienny nie był wyraźnie przepisany. Właśnie dlatego, że Żydzi ubierali się zgodnie z modą swego czasu, wymyślono piętno żydowskie – w Polsce mimo ustawicznych apeli Kościoła nigdy nie stosowane. Ale rzecz nie jest tak prosta – dla ludzi, którzy stworzyli TALMUD, nic nie może być proste. TORA w powodzi innych przepisów zakazuje łączenia ze sobą w jednej szacie wełny i lnu, ale od tego czasu wynaleziono i zastosowano tyle innych tworzyw, choćby jedwab i bawełnę, że obejście tego przepisu nie było trudne.

W ogóle przepisy trzeba było obchodzić, bo ściśle stosowane uczyniłyby niemożliwą wszelką egzystencję. Warunki zmieniły się przecież zasadniczo. Żydzi opuścili ciepłe i suche rejony, a poza tym przestali być ludem wyłącznie rolniczym, modyfikacji PRAWA poświęcono przecież ogromną część myśli żydowskiej, ale nie wszystko dało się zmodyfikować. Żyd musiał się nauczyć, jak przechytryć i oszukać Boga, *zdażyć przed Panem Bogiem*. Na przykład wobec zakazu podróżowania w szabat ogradzano całe getto albo żydowskie miasteczko – sztetl sznurkiem czy drutem, tworząc w ten sposób fikcję jednego obejścia. Albo, skoro nie było wolno zapalać ognia ani światła, zlecano to umyślnemu, zwanemu szabesgojem. Mój żydowski przyjaciel półzartem prosił mnie o zapalenie mu papierosa w sobotę. Co więksi skrupulanci zabraniali i tego. Nikt oczywiście nie wierzył, że Pan Bóg jest tak naiwny i da się wziąć na plewy, ale słusznie sądzono, że na te występki przymknie oko. Stąd właśnie ciepły i familiarny stosunek do Niego, możliwość targowania się, zapoczątkowana przez ojca ojców – samego Abrahama. Bardzo to sympatyczna cecha. Skądinąd Żydzi traktowali naturalnie Boga z najwyższym szacunkiem, dodając każdej wzmiance o Nim zwrot: *Niech będzie błogosławiony – Kadosz Baruch Hu*. „Baruch” – to nasz Bogusław, Bogumił, Bogdan, Teofil, Benedykt, jak na przykład Spinoza używający obu wersji imienia, hebrajskiej i łacińskiej.

W ikonografii i w naszej pamięci utrwalił się jednak określony wizerunek Żyda: brodaty, z pejsami, w czarnym chałacie i wełnianych pończochach, w czarnym kapeluszu. To naturalnie wizerunek chasyda, znany nam i z telewizji, bo groby świętych cadyków wizytują tak właśnie ubrani chasydzi ze Stanów Zjednoczonych i Izraela. Taki również był Żyd z katolickiej, polskiej szopki śpiewający: *a starego Pana Boga to ja dobrze umiem, ale tego maleńkiego to ja*

nie rozumiem, po którym to wyznaniu zaczyna się go ewangelizować: *Żydu, Żydu, ja cię wnet nauczę, jak cię z tyłu, jak cię z przodu tą pałą wymłóć*. Nasz naród dla innych łaskawy.

Szczególną uwagę przyciągały zawsze pejsy, które widocznie nie zawsze noszono, bo wystarczyłyby przecież za wyróżniające Żyda znamię. Pochodzenie pejsów jest różnie interpretowane. Znam interpretację, zresztą antysemicką, że to jest znamię faraonów i że Żydzi w ten sposób demonstrują swoje pragnienie władzy. Ale, o ile się nie mylę, Egipcjanie, w tym i faraonowie, skrupulatnie golili głowy, więc twórca tej hipotezy musiał ich pomylić z Merowingami... Sami Żydzi mówią o pejsach „rogi” i jest to zapewne aluzja do Mojżesza, jak wiadomo, rogatego. Nie jedyny to przypadek, gdy o prawowierności decyduje krawiec i fryzjer. A propos krawca, Israel Abrahams w *ŻYCIU CODZIENNYM ŻYDÓW W ŚREDNIOWIECZU* notuje, że w niektórych gminach zakazywano farbowania wełny na czerwono z racji żałoby po upadku Świątyni. (Nie odnosiło się to jednak, o dziwo, do jedwabiu.) Także z tego powodu preferowana była czerń.

Wróćmy wreszcie do modlitwy. Była poranna – szachrit (szacharit), ustanowiona pono przez Abrahama, kiedy odmawiało się słynne SZEMA ISRAEL: *Słuchaj, Izraelu, Pan, Bóg nasz, Pan jest jedyny!* – a powtarzano to także wieczorem. Modlitwę tę odmawiano na czczo. Na przedwieczorną *minchę*, której ustanowienie przypisywano Izaakowi, odmawiano osiemnaście błogosławieństw, których było naprawdę dziewiętnaście, czyli *Szemone Eszere (Esre)*. I wreszcie w modlitwie wieczornej – *mariw* ustanowionej przez Jakuba, wracano do SZEMA ISRAEL. A jeśli idzie o posty, to było ich więcej niż w chrześcijaństwie, bo do ogólnohistorycznych dochodziły jeszcze rodzinne. Inna rzecz, że bywały to posty kilkugodzinne, tak jak nasz wigilijny.

Zacytowany nieco wyżej opis żydowskiego domu koncentruje się na jednym tylko pomieszczeniu, „świątyni domowej”, czyli połączeniu salonu z jadalnią świąteczną. Poza do rocznymi świętami była ona używana co tydzień, w szabat. Z tym szabatem sprawa jest skomplikowana. Sama idea została zapożyczona w Babilonii, czyli była może wynalazkiem Sumerów, a może innych ludów. Ale Żydzi przejęli ją, wyposażyli w nową motywację, a następnie ofiarowali całemu światu. Nawiasem mówiąc, Rzymianie na tym właśnie opierali argument o lenistwie żydowskim: że za często odpoczywają.

O szabacie powstała cała przeogromna literatura już w czasach, kiedy odpoczynek w siódmym dniu zaczynał stawać się regułą. Dominowała chrześcijańska niedziela, wobec czego trzeba było dowieść wyższości soboty. W książce dwudziestowiecznego judaistycznego myśliciela Abrahama Joshui Heschela pt. SZABAT znajdujemy głęboką interpretację tego święta, ważniejszego i dostojniejszego od wszystkich pozostałych świąt żydowskich. Heschel uważa świat rzeczy za domenę przestrzeni, a świat ducha przypisuje czasowi. Zabawne, że mniej więcej w tym samym okresie inny Żyd, Einstein, relatywizował w ogóle to pojęcie, wiążąc je mocno z wymiarami przestrzeni.

Heschel uważa judaizm za religię czasu, dążącą do uświęcenia czasu, a sam szabat jest po prostu „pałacem w czasie”. Nie jest on bynajmniej czasem odpoczynku, ale elementem wieczności, jej zapowiedzią i przedsmakiem. *Nota bene* przy tej okazji Heschel mówi bardzo słusznie, że *splendor tego dnia wyrażany jest w terminach powstrzymywania się, podobnie jak tajemnicę Boga lepiej wyraża się via negationis, w kategoriach teologii negatywnej, która twierdzi, że nigdy nie możemy powiedzieć, czym On jest – możemy tylko powiedzieć, czym On nie jest*. Przy czym ostatni człon tego twierdzenia też wydaje mi się wątpliwy.

Szabat zostaje wyniesiony do najwyższych kręgów – samo słowo ma być na przykład jednym z imion Boga, nie jest w ogóle datą, ale raczej nastrojem, w ten dzień ludzie odmieniają się, wszystko zaczyna biec odwrotnie i znaczy co innego. Autor cytuje midrasz BERESZIT RABBA, w którym czytamy: *Co zostało stworzone w siódmym dniu? Cisza, pogoda, pokój i wytchnienie*. Szabat to oblubienica, królowa, ulubiony anioł Boga, bez niego świat nie byłby kompletny. Co więcej, ma on znaczenie nie tylko dla człowieka, ale i dla samego Boga. W ten

dzień Bóg zsyła światło, ale także na ten czas obdarza człowieka *neszama jetera*, czyli „datkową duszą”. Koncept zdaje się rodem z Kabały luriańskiej, ale wywiódł go rabbi Szymon ben Lakisz w trzecim wieku naszej ery. Jednym słowem, szabat jest wydarzeniem miary najwyższej.

Ma on także aspekt eschatologiczny. Na czas szabatu zostają zawieszane męki piekielne i potępięcy mają dobę wytchnienia, aż do zgaszenia szabasowych świec, do ceremoniału *hawdali*. Stąd szła wieść o pobożnym rabinie, który zgaszenie ostatniej szabasowej świeczki oddalał prawie do niedzieli rano, litując się nad skazanymi. I Bóg pokornie go słuchał! Ponieważ zaś piekło nie groziło, naturalnie, pobożnym Żydom, więc rabin ten ochraniał zbrodniarzy, pogan i innych różnowierców, wystawiając wysokie świadectwo prawdziwej miłości bliźniego. Ale szabat to trudna sprawa – jak znieść obowiązek radości i dobrego samopoczucia? A były i inne, konkretniejsze obowiązki.

W zasadzie polegały na zakazie wszystkich właściwie czynności. Wedle księgi ZOHAR starożytna tradycja zakazywała tych wszystkich czynności, które służyły Arce na pustyni, ale to się wkrótce rozrosło niebywale. Nie wolno było pracować, zapalać ognia, podróżować, gotować, lista obejmowała trzydzieści dziewięć pozycji głównych, a pochodnych nikt zliczyć nie mógł. Trzeba więc było w przeddzień przygotować wszystko. Dwadzieścia minut przed zachodem słońca kobieta zapalała świece, Boże ochroń, żeby wcześniej czy później, każda miejscowość miała własne terminy i wyliczenia. Na przykład w Przemyślu zapalano świece o siedem minut wcześniej niż w Warszawie, a w Gliwicach znowu o dziewięć minut później...

Po odmówieniu po hebrajsku stosownych modlitw mężczyzna błogosławi wino, co się nazywa *kidusz*, a następnie dwa pszenne chleby, po czym pan domu pije duży haust i puszcza kielich obiegami. Napić się muszą wszyscy. Do legendy przeszedł sposób, w jaki pewien Żyd przymuszał dziecko do picia wódki: zrobił w jabłku dziurkę i zapełnił ją alkoholem. Na ogół jednak Żydzi piją mało, raczej za mało i niedostatecznie. Co prawda nie dałoby się postawić tego zarzutu moim przyjaciom literackim... Posiłki szabatowe są łącznie trzy, jeden w piątek, a dwa w sobotę, i wtedy też powtarza się *kidusz*. Wreszcie na zakończenie odmawia się *hawdałę* i gasi światła.

W szabat wszystko ma ulec zawieszeniu i odmianie. Jest opowieść o pewnym rabinie, który podczas spaceru w szabat zobaczył, że ma dziurę w płocie. Ale jej następnie nie załatał, ponieważ myśl o tym pojawiła się w sobotę! A więc, odwrotnie niż w dzień powszedni, była grzeszna. Judaizm nie jest – podobno – zespołem dogmatów, ale wyłącznie prawem, a znać to jeszcze bardziej w wersji muzułmańskiej. Skoro to jest prawo, to można i trzeba przemykać się między jego paragrafami, z czego wyrósł TALMUD i *pilpul*, a także umysłowość żydowska, zaprawiona od dziecka w grach intelektualnych. Jak wiadomo, prawdziwy Żyd umie grać na skrzypcach, w szachy i na giełdzie.

Szabat był świętem bardzo ważnym, bo ustanowionym na pamiątkę i wzór działania samego Boga, który przez sześć dni stwarzał, a siódmego odpoczął. Co zresztą też przyniosło komplikacje w postaci duchów niekompletnie stworzonych, przeważnie złych. Ale do borykania się z nimi jeszcze wrócimy. W każdym razie liturgiczny rok judaizmu przynosił także wiele innych świąt, półświąt i postów. Właściwie każdy Żyd musiał bardzo bystro liczyć się z kalendarzem, podobnie jak chrześcijańscy duchowni. Nic dziwnego, skoro on sam, i to w każdym przypadku od trzynastego roku życia, był duchownym. O prawo do ustalania kalendarza jeszcze w starożytności rywalizowały różne intelektualne ośrodki żydowskie.

Także sama rachuba czasu podlegała różnym zmianom i reformom, ale to jest bardzo rozległy i osobny temat. Dość, że ostatecznie (co zresztą w dziejach jest ostatecznego?) liczono czas od stworzenia świata, co nastąpiło w roku 3759 przed narodzeniem Chrystusa. Czyli w roku 2000, wedle chrześcijańskiej rachuby, przypada rok 5760 wedle rachuby żydowskiej. Miesiące w roku było trzynaście z tym, że trzynasty przypadał co trzy lata, a ponieważ były też lata księżycowe, zaczynały się i kończyły niezgodnie z naszą rachubą. Zresztą najmędrzy

goj nie wyzna się w tym wszystkim, bo komplikacje są iście niezmierzone. Na przykład święto *Purim* obchodzi się do dziś w Jerozolimie 15 miesiąca adar, ale w Tel Awiwie o dzień wcześniej, ponieważ w czasach biblijnych Jerozolima była warowna, a Tel Awiw – nie. Związek między obwałowaniem a datą jest dla goja raczej niejasny.

Nowy Rok żydowski zaczyna się dwudziestego siódmego września po południu, ponieważ i żydowska, i chrześcijańska średniowieczna mądrość orzekła, że o tej właśnie porze świat został stworzony, co odpowiada pierwszemu pierwszemu miesiąca: *tiszri*. Drugi miesiąc: *cheszwan* – zaczyna się w październiku, trzeci: *kislew* – w listopadzie, czwarty: *tewet* – w grudniu, piąty: *szwat* – w styczniu, szósty: *adar* – w lutym, siódmy: *nisan* – w marcu (czytelniczcy Bułhakowa dobrze znają tę nazwę), ósmy: *ijar* – w kwietniu, dziewiąty: *siwan* – w maju, dziesiąty: *tamuz* – w czerwcu, jedenasty: *ab (aw)* – w lipcu; dziewiątego tegoż miesiąca została spalona Świątynia i to zarówno pierwsza Salomona, jak i druga Zorobabela-Heroda, data centralna dla historii Żydów, wreszcie dwunasty: *elul* – w sierpniu. Nazwy te zresztą nie są hebrajskie, lecz babilońskie, podobnie jak my współcześnie używamy rzymskich – w Polsce tylko częściowo. Ale sama ich liczba nie zależy ani od Żydów, ani od gojów, jeno od księżycyca. A jak to się naprawdę wymawia, sam Robert Stiller raczy wiedzieć.

Największe święta żydowskie były początkowo związane z naturą, historia nawarstwiła się na nich z biegiem czasu. Tak się zresztą działo we wszystkich religiach świata. I tak *Pesach* było świętem wiosny, a potem wyjścia z Egiptu, Święto Tygodni: *Szawuot* oznaczało dożynki pszeniczne i wręczenie Mojżeszowi TORY na Synaju. Święto Szałasów: *Sukot*, Kuczki po polsku, przypadało na czas winobrania. Ciekawe, że nie ma tu największego święta ludów północy, dnia zimowego przesilenia, chyba że temu właśnie odpowiada *Chanuka*, od dwiętnastego do dwudziestego szóstego grudnia, ale *Chanuka* to święto względnie niestare, może także przejęte od – północnych przecież – Greków? W Egipcie i Mezopotamii, krainach bardziej południowych, zimowe przesilenie mogło nie mieć takiego znaczenia jak na północy.

Drugiego dnia Nowego Roku przypada święto *Rosz ha-Szana*, w którym Bóg decyduje o zbawieniu lub potępieniu, znane w Polsce jako Święto Trąbek i wymalowane przez Gierymskiego. Obyczaje i rytuały żydowskie są zawsze bardzo skomplikowane i bogate w znaczenia, nie próbuję tu opisać ani jednej setnej. Tego dnia dmie się w róg barani – to jest ta polska „trąbka” – *szofar*, na pamiątkę barana ofiarowanego zamiast Izaaka. Róg zresztą może być byle jaki, byleby był koszerne, czyli rytualnie czysty. Ale nie krowi, z racji Złotego Cielca. Wszystko to jest głęboko zanurzone w historię. Tegoż dnia rytualnie oczyszcza się kieszenie z paprochów i zabija białego koguta, kobiety zabijają białą kurę; pamiętamy tego chłopca Strykowskiego, który postanowił uratować życie hodowanemu przez siebie kogutkowi.

To ciekawy zwyczaj, choć Żydzi nie bardzo się nim chwają, i można przeczytać, że jest to obyczaj raczej ludowy. W każdym razie nasuwają się tu dwa skojarzenia. Kogut jest ofiarą zastępczą, wobec tego jest spadkobiercą sławnego kozła ofiarnego, wypędzanego za grzechy całego ludu na pustynię. Ale koguta się nie wypędza, lecz zabija. I wobec tego staje się jedyną krwawą ofiarą współczesnej synagogi. Nawiasem mówiąc, gdyby Żydzi zdecydowali się na odbudowę Świątyni, to chyba musieliby składać w niej krwawe ofiary z jagniąt, a to byłoby zapewne bardzo, bardzo źle przyjęte przez cały świat.

Po *Rosz ha-Szana* następują pokutne Straszne Dni, a po nich nadchodzi bardzo ważne święto, *Jom Kippur*, czyli Sądny Dzień albo inaczej Dzień Jednania (Pojednania), w którym obowiązują takie same zakazy jak w szabat, tyle że się pości i publicznie, w synagodze, wyznaje grzechy. A już za cztery dni, także w miesiącu *tiszri*, rozpoczyna się Święto Namiotów, *Sukot*, czy też Szałasów na pamiątkę czterdziestoletniej wędrówki przez pustynię, kiedy przez tydzień mieszkano w szałasach *suka*, gdzie przez dach musiały być widoczne gwiazdy. Jest to jeden z bardzo nielicznych motywów w mej pamięci wiążących się z Żydami; w pierwszym okresie okupacji swoje szałas budowali Żydzi na balkonach. W tym czasie przychodzili do synagogi z *lulawem* i *etrogiem*. *Lulaw* to był liść palmy, pęczek mirtu i gałązki wierzby, a

etrog, czyli *cedrat*, to krewny cytryny, do jedzenia jednak niezdatny, chyba że skórkę przerebiło się na cykatę. Ale nikt tego nie jadał, tylko nim potrzasał w cztery strony świata. Siódmego dnia w dzień *Hoszana Raba* siedmiokrotnie procesja okrążyła synagogę. Ostatniego dnia przypada radosne święto *Simchat TORA* – Radość z Otrzymanej TORY.

Sławne święto *Chanuka* obchodzone jest przez osiem dni od 25 *kislew* poczynając, co mniej więcej przypada na grudzień i przypomina oczyszczenie Świątyni po jej profanacji przez Antiocha IV Epifanesa w roku 164 *ante Christum natum*. Wtedy została tylko jedna amfora oliwy do lampek, ale jakimś cudem wystarczyła na osiem dni. Dlatego odtąd zapala się osiem świec w ośmioramiennym świeczniku (z dziewiątym świecą pomocniczym), który się zwie *chanukija* albo *menorat chanuka*. Co dnia o jedno światło więcej – mogłoby to symbolizować powrót dnia i światła. *Chanuka* jest świętem radosnym, nie wolno pościć, smuć się i wygłaszać mów pogrzebowych.

Równie sławne jest *Purim*, Święto Losów, upamiętniające zwycięstwo Estery nad wrogiem Żydów Hamanem i powieszenie tegoż. Estera była rzekomo żoną perskiego króla Kserksesa, zwanego w BIBLIACHASZWEROSZEM, najpewniej jednak i sytuacja, i cała KSIĘGA ESTERY są niehistoryczne. W każdym razie w *Purim* świętowano uniknięcie wielkiego niebezpieczeństwa, 14 *adar*, czyli w marcu, następował karnawał, odgrywano sceny z Esterą i Hamanem i panował prawie obowiązek upicia się. Naturalnie nie było to miejsce jakichś smętków, były to właściwie rzymskie *lupercalia* i odpowiednik szaleństwa.

Najbardziej uroczyste było jednak święto *Pesach*, czyli Pascha. To właśnie w tym czasie w starożytnym Izraelu wszyscy mieli obowiązek pielgrzymowania do Jerozolimy, do Świątyni. Chrystus został ukrzyżowany czternastego dnia miesiąca *nisan*, a w roku siedemdziesiątym to właśnie w Paschę Rzymianie zamknęli krąg oblężenia. Jeśli idzie o skazanie Chrystusa: członkowie starożytnego Sanhedrynu musieli pościć w dniu, w którym skazali kogoś na śmierć. Nic dziwnego, że woleli w tę decyzję oprawić Piłata, który pościć nie musiał. Wiem, wiem, że to niezupełnie tak, ale o procesie Jezusa wypowiedziano już tyle najzupełniej ze sobą sprzecznych hipotez, że i tę można zapisać.

Pesach ciągnęła się przez osiem dni, z których pierwszy i ostatni były najbardziej uroczyste. Na nie właśnie przypadła uroczysta Hagada. Ale najpierw trwały przygotowania polegające na uprzątnięciu z domu wszelkich okruszków zakwaszonego, czyli mówiąc po ludzku, drożdżowego chleba, czyli *chamecu*. Świetny sposób na wielkie sprzątanie! Podczas Paschy wolno było jeść wyłącznie podpłomyki, czyli macę. Wieczere paschalną nazywano *sederem*. Miała przepisany porządek dań, o których Kazimierz Koźniewski po powrocie z Izraela ze smutkiem powiedział, że nie są tak dobre, jak codzienne jedzenie. Czy ja wiem – *seder* oglądałem wyłącznie na fotografiach, które nic nie mówią o smaku. W każdym razie była specjalna zastawa, używana raz w roku, a przy stole zostawiano jedno wolne krzesło i nakrycie dla proroka Eliasza, specjalnego patrona i opiekuna narodu żydowskiego.

Wedle wydanej w 1927 roku polsko-hebrajskiej HAGADY. OPOWIADANIA O WYJŚCIU IZRAELITÓW Z EGIPTU NA DWA PIERWSZE WIECZORY ŚWIĘTA PESACH, czegoś w rodzaju modlitewnika, wieczorem, po modlitwie na dużym talerzu lub na tacy układa się trzy prząsniki: 1. *Kohen*, 2. *Lewi*, 3. *Israel*, wyobrażające trzy stany ludu izraelskiego, przegradzając je serwetką, a na wierzchu umieszcza się potrawy, które służą do ceremonii w następującym porządku: jajko pieczone, mięso pieczone, gorzkie zioła, pietruszka, *charošet*, chrzan tarty. Pietruszkę moczy się w solance. *Charošet* to potrawa z jabłek, orzechów, migdałów, wina i cynamonu. Co to są te gorzkie zioła *maror*, nie mogłem się dowiedzieć. Musztarda, chrzan, piołun? Macza się je w *charosecie*, który ma niby być symbolem zaprawy murarskiej. Zresztą, jak to przy żydowskim święcie, wszystko jest jakimś symbolem.

Pesach łączy ofiarę z baranka ze świętem niekwaszonego chleba, czyli ofiarę rolników z pasterską. W synagodze czyta się PIEŚŃ NAD PIEŚNIAMI, a w domu opowiada się o wyjściu z Egiptu. Rozpoczyna się to od pytania najmłodszego dziecka: *Dlaczego ta noc jest najważniej-*

sza w roku? – na co ojciec, głowa rodziny, rozpoczyna opowiadanie: *Byliśmy niewolnikami faraona w Egipcie, ale wywiódł nas Wiekuisty Bóg nasz ręką silną...* – po czym następuje długa i dygresyjna opowieść, przerywana przez jedzenie i picie. Składa się z reminiscencji historycznych i moralnych, modlitw i pouczeń, a kończy się wyliczankami. Ostatni człon pierwszej brzmi tak:

Trzyście czego jest? Trzyście jest przymiotów boskich, dwanaście jest szczepów Izraela, jedenaście gwiazd widział Józef we śnie, dziesięć jest przykazań, dziewięć miesięcy trwa ciąża, osiem dni licząc do przymierza obrządku (chyba chodzi o obrzezanie – przyp. P.K.), siedem dni trwa tydzień, z sześciu ksiąg składa się MISZNA, pięć ksiąg ma TORA, cztery są pramatki naszego pokolenia, trzech byli nasi patriarchowie, dwie są tablice z przykazaniami, jeden jedyny jest Bóg we wszechświecie.

Druga jest piosneczką na motywie *Wpadł pies do jatki...*, a kończy się odwróceniem jej: *wtedy sędzia najwyższy, który tronuje w niebiesiech, zniweczył anioła za karę, że zabił rzeźnika, który bez prawa zarznął wołu za to, że wychlipał wodę, co zgasiła płomień ognia, dlatego że spalił kij, który obił psa za to, że gryzł kota, co pożarł jagniątko, które ojciec mój za dwa zużył sobie kupił.* Zacytowałem te utwory, bo byłem nieco zdziwiony, znajdując je w HAGADZIE.

Seder paschalny ma niejaki podobieństwo z jednej strony do śniadania wielkanocnego, z drugiej do wigilii. Jajka, pieczeń, chrzan, jakieś gorzkie zioła – prawie święcone w wersji koszernej. Ale ciekawsze są zbieżności z wigilią, najważniejszym polsko-chrześcijańskim świętem. Wigilia jest jedynym posiłkiem chrześcijańskim podawanym o zmroku, w porze szabasowej wieczerzy i *sederu*. Prawie dokładnie przy pierwszej gwiazdce. Ale jest coś ciekawszego, to wolne miejsce dla Eliasza. Zajmowałem się polskim wolnym miejscem wigilijnym i pisałem o tym wielokrotnie. To miejsce rzekomo czeka na zgłodniałego wędrowca, ale liczne penetracje dziennikarzy dowiodły, że uczestnicy wigilii stanowią właśnie wyjątkowo ekskluzywną grupę i nie ma mowy, by zaproszono kogokolwiek przypadkowego. Jest to tradycja bardzo stara: przed stuleciem czekali „na powracających z Sybiru”, a przedtem jeszcze na jeńców uwolnionych z tureckiego czy tatarskiego jasyru. Nieprawda. To miejsce nie czekało nigdy na nikogo żywego, było najpewniej przeznaczone dla duchów przodków, może i dla bogów. Po wiekach usiłowano ten obyczaj zracjonalizować, ale doprawdy jest pokrewny Zaduszkom czy „dziadom”, gdzie też składano duchom jadalne ofiary. Sądzę, że zwyczaj ten jest niezależny od judejskiego Eliasza, chociaż Eliaz mógł trochę ukierunkować polską formę obrzędu. Chyba że żydowskie legendy o osadnictwie w Polsce są zupełnie nieoczekiwane prawdziwsze, niż sądzimy...

W siedem tygodni po Wielkiej nocy, szóstego dnia miesiąca *siwan*, Żydzi obchodzą Zielone Świątki, które nazywają się u nich *Szawuot* i były świętem pierwocin rolnych, jęczmienia i pszenicy, tudzież pierwszych dojrzałych owoców. Domy zdobiono kolorowymi wycinankami i zielenią. Oprócz tych głównych świąt były liczne półświęta i posty upamiętniające wielkie rocznice historyczne. Pogotowie liturgiczne trwało właściwie bez przerwy. Poza synagogą dotyczyło ono głównie własnego mieszkania i wiązało się nierozłącznie z biesiadowaniem. A co właściwie jadano? Temat jest bardzo istotny, bo właśnie kuchnia stanowiła tę zasadniczą barierę, przeszkadzającą w towarzyskich stosunkach Żydów i gojów. Ona też bywała tym talmudycznym „ogrodzeniem wokół TORY”. Czy przynajmniej była dobra?

Zbudowano ją na biblijnych ograniczeniach produktów rytualnie czystych, czyli koszernych. Zakaz dotyczył spożywania krwi, jakiegokolwiek, i wieprzowiny. Próby złamania tego zakazu przez Greków doprowadziły niegdyś do heroicznego oporu Żydów i ostatecznie stały się zarzewiem odzyskania wolności w czasach machabejskich. Bardziej liberalnie traktowano zakaz łączenia pokarmów mięsnych i mlecznych. Rzecz w tym, że biblijny zakaz: *Nie będziesz gotował koźlęcia w mleku matki jego*, można rozumieć dosłownie bądź stosować interpretację rozszerzającą. Rozumienie dosłowne nie wykluczało użycia mleka jakiegokolwiek

innej kozy nie będącej matką tego akurat koźlecia. Dopiero po upadku Jerozolimy, w czasach Jawne, rozszerzono to na wszelkie mięso i każde mleko. Trzeba więc było mieć osobne zestawy naczyń i sprzętów kuchennych do pokarmów mięsnych i mlecznych. A skądinąd zarówno ubój, jak i oczyszczanie mięsa z krwi, czyli koszerowanie, było przedmiotem skomplikowanych zabiegów, poczynając od specjalnego rzeźnika, *szocheta*, i metody uboju, po wielokrotne płukanie, opalenie i tak dalej. Zajmował się tym inny specjalista – *menaker*, a wszystko było o wiele bardziej skomplikowane, niż nam się wydaje. Popularność ryb przypisywano w jakiejś mierze możliwości uniknięcia tego całego kramu.

Z drugiej strony ograniczenia zawsze wywołują specjalizację i dodatkową inwencję kulinarną, co widzieliśmy na przykładzie średniowiecznych klasztorów, gdzie zakaz jedzenia mięsa spowodował rozwój produkcji serów, ogrodnictwa i winiarstwa. A Żydzi, wędrując przez wiele krajów i współżycząc z różnymi kulturami, wręcz musieli przejąć wiele technik kuchennych.

Na szabat najchętniej jadano ryby, zwłaszcza karpia na słodko i zarazem ostro, siekaną wątróbkę z jajkiem, nóżki w galarecie, a nade wszystko *czulent*. *Czulent* to połączenie szpondra, pęczaku i kartofli albo fasoli, co przez całą dobę dojrzewa w gorącym piekarniku. Podawano także *cymes*, potrawę, na ogół, z marchwi, miodu i tłuszczu, przypominająca brytyjski pudding, i jeszcze babkę kartoflaną – *kugiel*. Oczywiście trzeba sobie uświadomić, że kartofle pojawiły się u schyłku osiemnastego wieku. Niektóre zalecenia biblijne nie były w Europie stosowalne – na przykład zezwolenie jedzenia czterech rodzajów szarańczy. A z kolei *czulent* nie oznaczał we wczesnym średniowieczu konkretnej potrawy, ale ogół produktów, które trzeba było przygotować w przeddzień i trzymać w ciepłe. Nazywało się to inaczej: *szaletem*. Ale nade wszystko Żydzi czy to przy święcie, czy to w dzień powszedni byli wielkimi amatorami śledzi i – wedle opinii gojów – cebuli.

W przeddzień Nowego Roku jedzono głowę baranią, na wzór ludów Wschodu. W *Chanukę* jedzono ser, a w *Szawuot* – sernik. *Purim*, wedle czternastowiecznego autora Kalonymosa, był czczony ciastem, kasztanami, turkawkami, naleśnikami, małymi plackami, piernikiem, ragout, dziczyzną, kurczakiem, faszerowanymi gołębiami, kaczka, bażantem, perliczką, kuropatwą, makaronem i sałatą. Mam nadzieję, że nie wszystkim tym na raz. Poza tym były różne wypieki, specjalne ciasteczka, strucle, makagigi i różne różności. Trzeba także wspomnieć o sławnej pejsachówce, czyli bardzo mocnej śliwownicy, i pijanym w Polsce miodzie syconym.

Lista obrzędów synagogałnych i domowych, obyczajów i upodobań, a także ich uzasadnień żydowskich jest jeszcze przepastnie długa, podobnie zresztą jak w jakiegokolwiek innej kulturze, tylko że się tego od środka nie widzi. Ale pewnie u Żydów przez te tysiące lat, podobnie jak u Chińczyków, nagromadziło się więcej wszystkiego.

Ważną dziedziną było dla Żydów kojarzenie par małżeńskich, ponieważ naród był, mimo bożych obietnic, ciągle nieliczny. Dziewczynki i chłopcy chowali się i dorastali osobno, jeśli w niewielkiej społeczności to cokolwiek znaczy. Śluby zawierano więc bardzo wcześnie, chłopiec po *bar micwie* uważany był za zdatnego do małżeństwa, dziewczyna micwała lat dziesięć i mniej. Pary kojarzył *szadhen*, a młodzi do dnia ślubu mogli się w ogóle nie widzieć. Ślub odbywał się bardzo uroczyście w synagodze, pod baldachimem – *chuppą*, były stosowne obrzędy, tłuczenie kielicha, post jak w prawosławiu itd.

Zdaniem autorytetów rola rytuału niezmiernie wzrosła od piętnastego wieku poczynając, a właściwie rosła przez cały czas już przedtem. W czasach Lurii rozwój Kabały spowodował ożywienie ducha mistycznego, co wyowocowało zabobonem. Abrahams wylicza: *błogosławienie księżycy, całowanie mezuzy, wypisywanie diabelskich i anielskich zaklęć w sypialni, w której właśnie rodziło się dziecko, noszenie zwoju TORY w obecności matki, odmawianie PSALMU 91 przed snem w sobotnie popołudnie, odmowa mówienia językiem innym niż hebrajski w szabat, infantylna drobiazgowość co do liczby bochenków, chwytanie chleba wszystkimi dziesięcioma palcami, przykrywanie chleba podczas błogosławieństwa wina i*

przykrywanie noży podczas modlitwy dziękczynnej, wybór potraw, powstrzymywanie się od jedzenia mięsa z powodu wiary w wędrówkę dusz, zachowywanie obyczaju zabijania białego koguta w przeddzień wielkiego postu w dziesiąty dzień miesiąca tiszri – i wiele, wiele, bardzo wiele innych. W innych miejscach są o wiele bogatsze wyliczanki.

Im głębiej się wnika w życie żydowskiej wspólnoty, tym więcej związków można zobaczyć, tym większa komplikacja wszystkiego. Społeczność żydowska była rzeczywiście niby jedna, dbała o wzajemny interes rodzin i dawała tego wielorakie wyrazy. Ktoś z zewnątrz mógł sobie nie zdawać sprawy z siły takiego zespolenia, z żywości, z jaką Żydzi reagowali na smutki i radości innych. Naród nie był wprawdzie wybrany na niezmiennie szczęśliwe losy, ale sam fakt wyboru wystarczał za wszystko. Gojów zdumiewało zawsze chasydzkie powiedzenie: *Jakaż rozkosz być Żydem*, bo goje widzieli w Żydach nację upośledzoną i nie mogli zrozumieć owej rozkoszy. A tymczasem Żydzi zawsze czuli swoją wyższość! W tej sytuacji ich pożycie z innymi nie mogło się układać zbyt dobrze, chociaż wychowanie żydowskie kładło zawsze ogromny nacisk na grzeczność wobec wszystkich i swoistą ogładę. A w każdym razie na solidarność grupową, która sprawiała, że *Żyd dla drugiego Żyda był zawsze poręczycielem*.

Tak samo układał się stosunek do przybyszów z innych wspólnot żydowskich, a ruch panował tam nieustanny. Do tego stopnia, że Żydzi nie stworzyli nigdy jakiejś organizacji pocztowej, bo po prostu była im niepotrzebna. Obieg informacji, bankowych papierów, towarów i ludzi i tak był zapewniony. Dlatego też chyba nie było tak wiele związków tajemnych między Żydami, bo i tak wszystko było tam tajemne, i paradoksalnie nie wymagało specjalnej tajemnicy. Czy wszystko tam było idealne, nie wiadomo, pewnie nie, jak w każdym ludzkim społeczeństwie. Nie tylko przekleństwem, także i błogosławieństwem byli „inni”, na których zawsze trzeba było uważać. Żyd był Żydem tylko w diasporze; wśród swoich, a jeszcze bardziej w swoim kraju, stawał się normalnym człowiekiem, czyli najczęściej złym i egoistycznym.

Żydokomuna

Strasznie, mroczno i niebezpiecznie było być Żydem. Ale zarazem było też pięknie i wzniosie należeć do elity wybranej przez samego Boga, do mniejszości, której zaszczytny i nadziemski wręcz los był znany i rozumiały wyłącznie dla samych współbraci. Rozkosz być Żydem, księciem na wygnaniu, rozkosz nieznaną i niepojętą dla goja, który w najważniejszych sprawach pozostawał zwyczajnym ignorantem, jeżeli nie głupcem. Ale żadnemu człowiekowi nie wystarczyła prawdy uparcie ignorowane przez pozostałych. A ludzka, codzienna rzeczywistość była niewesoła, darzyła Żyda prawie wyłącznie niebezpieczeństwem i pogardą. Stanowiła pokusę i wyzwanie, aby ją odmienić.

Myśli takie były może obce chasydom albo nawet i ogółowi Aszkenazyjczyków, gdyż dla nich wszystkie wartości, o które warto się było ubiegać, zawierała ich własna wiara. Ale bogaci Sefardyjczycy, którzy już zakosztowali ludzkiego uznania, potrafili docenić możliwości, w które obfitowała epoka nowożytna. To oni właśnie stanowili żydowską kulturalną większość w Holandii, Francji i Anglii. To oni pierwsi odkrywali Amerykę Południową i cieszyli się szacunkiem i równością w Północnej. We wszystkich tych krajach Żyd był, czy zaczynał być, po prostu normalnym człowiekiem, darzonym szacunkiem za własny dorobek, a nie wyklinanym za wiarę i pochodzenie. Zresztą wiara w osiemnastym wieku bardzo straciła na znaczeniu, właściwie została cieniem tego, czym była niegdyś. Bóg stawał się Wielkim Budowniczym, którego można było czcić na różne sposoby, niekoniecznie oparte na jakichkolwiek dogmatach.

Wielka Rewolucja Francuska upomniała się wprost o prawa człowieka, a nie Boga, wypisując na swoich sztandarach hasło *Wolność, Równość, Braterstwo*. Nie było to jednak skierowane przeciw Bogu, bo któż przy zdrowych zmysłach walczyłby z Absolutem, ale przeciw Kościołowi jako ostoi dogmatu. I chociaż sama rewolucja stała się ostatecznie krwawym szaleństwem, to jej hasła, raz głośno powiedziane, już na zawsze zyskały prawo obywatelstwa w ludzkich umysłach. Rewolucja się skończyła, ale doba napoleońska rozniosła na całą Europę wieść, że *wszyscy ludzie wolni są braćmi*. Idee oświeceniowe, laickie, postrewolucyjne na przełomie osiemnastego i dziewiętnastego wieku zaczęły się rozszerzać w całej zachodniej Europie, czyniąc swoimi beneficjentami także Żydów. Nie był to wprawdzie żadną miarą proces automatyczny i równomierny, ale raz wprowadzone w ruch równouprawnienie nigdy już nie dało się na trwałe zatrzymać. Żyd stawał się, podobnie jak ludzie z innych warstw i stanów, obywatelem.

Co innego jednak oficjalne założenia prawne, a co innego pozycja towarzyska. Zresztą proces prawdziwego równouprawnienia postępował powoli i ciągle jeszcze były stanowiska niedostępne dla innowierców, na przykład katedry uniwersyteckie, członkostwo przeróżnych klubów i gremiów czy stanowiska rządowe. Pod tym względem wyróżniała się i wyróżnia do dzisiaj frankfurcka z pochodzenia dynastia Rotschildów, która zakorzeniła się w różnych krajach europejskich i wszędzie zyskała pozycję dominującą. Nie musiała liczyć się z barierą chrztu, do bajecznych bogactw dołączyła arystokratyczną tytulaturę, pałace, zamki, parki i winnice rozsiane po całym kontynencie, a nade wszystko wielką legendę. Samo nazwisko Rotschild stało się synonimem powodzenia i bogactwa, znają je nawet ci, którzy nie wiedzą, że taka konkretna rodzina istnieje. Ale nie każdy był Rotschildem.

Zarówno potomkowie Mendelssohna, jak i innych twórców niemieckiej Haskali, przeszli ostatecznie na chrześcijaństwo i przestali być Żydami. Chrześcijanami zostali także poeta Henryk Heine i Karol Marks, a Heine wyraził się nawet, że *chrzest jest przepustką do kultury zachodniej*. Ci, którzy tego rodzaju poczynania uważali za apostazję, doprowadzili do reformy judaizmu. Już Mendelssohn uważał, że trzeba się zwrócić do samej BIBLI, pomijając TALMUD, a inni poszli jeszcze dalej. Tacy reformatorzy jak Joseph Wolf, Abraham Geiger czy Samuel Holdheim prowadzili do całkowitej zmiany obrządku liturgicznego, aż do rezygnacji z obrzezania.

Już w 1818 roku otworzono w Hamburgu pierwszą zreformowaną synagogę, którą nazwano *Tempel*, i wydano stosowny modlitewnik. Odtąd temple zaczęły powstawać obok synagog w innych miastach, choćby w Warszawie i Krakowie, służąc *maskilom*, ludziom z reguły bogatszym i bardziej oświeconym. Podział ten utrzymał się do dzisiaj, oczywiście nie w Polsce. W ogóle zresztą laik powinien wiedzieć, że inne były obrządki aszkenazyjskie, inne sefardyjskie, a pośrednich odmian także niemało. Sama reforma wzorowała się na kościołach protestanckich, bardziej nowoczesnych od katolickiego, który nieco zreformował się dopiero w dwudziestym wieku, po drugim soborze watykańskim, i też nie bez oporów. Reforma synagogi dotyczyła szat liturgicznych, śpiewów, kazań i ogólnie odwracała się od TALMUDU. Całego judaizmu w każdym razie nie objęła, nawet w Niemczech, ale stała się poważną siłą w Anglii i Stanach Zjednoczonych. Różnie to w różnych miejscach wyglądało, ale zmiany dotyczyły także rezygnacji z oczekiwania na Mesjasza i powrotu do Ziemi Obiecanej. A to już dotyczyło istoty wiary.

Same Niemcy stały się w dziewiętnastym stuleciu ośrodkiem intelektualnym Żydów na skalę całego świata. Przy czym nie chodziło o studia talmudyczne, a o refleksję historyczną. Zwykło się bowiem przyjmować, że historiografia żydowska umarła na całe tysiąclecia wraz z Józefem Flawiuszem. Nie jest to zupełnie ściśle. Każda epoka miała swoich kronikarzy, pojawiały się też opracowania syntetyczne na różnym poziomie, od JOZIPPONU po Józefa Ha-Kohena. Ale w dziewiętnastym wieku towarzyszyła takim pracom rozległa refleksja metodologiczna. Tacy uczeni jak Izaak Markus Jost, wielki, niezmiernie pracowity i zasłużony Leopold Zunz, Samson Raphael Hirsch czy najbardziej znany, a tak często tu przywoływany Heinrich Graetz z Wrocławia – przeorali całe dzieje żydowskie i oparli je na całkiem nowych podstawach. Monumentalne, jedenastotomowe dzieło Graetza świadczy o wielkim talencie po prostu literackim i zyskało sławę światową. Może trudno się zgodzić z jego poszczególnymi twierdzeniami, na przykład dotyczącymi Kabały czy odpowiedzialności Polaków za rok 1648, ale równie znakomitego dzieła już po nim nie napisano. Równocześnie kwitły przeróżne badania szczegółowe, wydawano też masę starych tekstów i materiałów. Szczególnie Berlin był potężnym ośrodkiem judaistycznych studiów.

Historia bywa wielką przeciwniczką wiary, o czym nie tylko Żydzi mieli okazję się przekonać, a stulecie dziewiętnaste słusznie bywa nazywane „wiekiem pary i historii”.

Znaną powszechnie cechą neofitów wszelkiego autoramentu jest ich nadgorliwość, zarazem dziwna i śmieszna. W dziejach żydowskich zjawisko to wyglądało szczególnie groźnie, ponieważ nowi chrześcijanie, dobrze znający problematykę żydowską, stawali się najgroźniejszymi wrogami swoich byłych współwyznawców. Powtórzyło się to niezliczoną liczbę razy, także i ja pisałem o tym wielokrotnie. Prawda, że od nowych chrześcijan oczekiwano takiego stanowiska, a często wręcz do niego zmuszano. Ale bardzo często gorliwość neofitów przekraczała rzeczywistą potrzebę. Co było białe, odmieniało się w czarne, co dobre – w złe, co wzniosłe i piękne, obracało się w szpetne i śmieszne.

Epoka nowożytna stała się świadkiem takiego zjawiska na skalę dotąd niespotykaną. Bo przypadki konwersji były dotąd względnie nieliczne, raczej indywidualne niż masowe. Trzeba było wielkiego wysiłku wewnętrznego, by zakwestionować prawdy wyznawanej dotąd wiary, zresztą tym większego, im mniejszych rzeczy dotyczyły; przecież prawdę powiedziawszy,

liczne odłamy chrześcijaństwa, islam i judaizm nie różnią się niczym istotnym. Istotna była natomiast przynależność do określonej wspólnoty wyznaniowej. Tu sprawy stawały się rzeczywiście dramatyczne, ponieważ trzeba było *ukochać, co się nienawidziło dotąd*, wedle formuły sławnej, a odnoszącej się do nieco innej sytuacji, i radykalnie zmienić otoczenie i środowisko, ludzi i obyczaje. Otóż tu odmieniło się wiele. Cywilizowany na modłę europejską Żyd nie musiał zmieniać niczego, bo jego środowisku było to obojętne. Mnie i tak zupełnie nie interesuje, kto z moich przyjaciół jest katolikiem, a kto protestantem czy prawosławnym, kto Żydem, a kto muzułmaninem, i podobnie musieli zachowywać się przedstawiciele innych środowisk wielkomiejskich.

Żyd, który nie chciał być Żydem, mógł nim nie być i wcale nie musiał nienawidzić czy wstydzić się swojego pochodzenia. A jednak najczęściej to robił. Odium dotyczące Żydów było tak często i przy tylu okazjach wyrażane czy po prostu nie ukrywane, że musiało działać wprost na podświadomość. Nie dotyczyło już religii, w której zresztą najwidoczniejszy był zabobon czy to, co się zabobonem wydawało. Ale krytyce podlegał język – „żargon”, jak powszechnie mówiono, bo jidysz doczekał się nobilitacji dopiero współcześnie, kult pieniądza i tchórzostwo, brud i nieporządek żydowski. Ponieważ te argumenty funkcjonują i dzisiaj, należy im się jakieś omówienie.

O nieporządku zresztą pisać nie mogę, bo nie wiem, w czym jest lepszy nieporządek polski od żydowskiego. Co do brudu – to nikt go w starożytności Żydom nie zarzucał, była to cecha powstała w warunkach ciasnego getta. Podobnie tchórzostwo i lękliwość zrodziły się dopiero w diasporze, ponieważ na tym między innymi polegała strategia przetrwania. Nieco inaczej mają się sprawy z kultem pieniądza, o którym piszą sami historycy żydowscy. Pamiętamy, że w sytuacji, kiedy pożyczanie na procent zostało w średniowieczu chrześcijanom wzbronione, a Żydom z kolei zamknięto dostęp do handlu, roli i rzemiosła, jedynym środkiem utrzymania stały się dla nich operacje finansowe. I jeszcze coś – Abrahams, opisując drabinę prestiżu w środowiskach żydowskich, ujawnia, jak powoli najwyższy szacunek zaczął otaczać nie tych najbardziej uczonych, ale najbogatszych. Powód był prosty: to oni właśnie w największym stopniu finansowali potrzeby gminy, to oni płacili najwyższe podatki. Podobno zresztą ów „kult pieniądza” powstawał dopiero od XV wieku poczynając.

Ale w sumie środowiska rdzennie żydowskie, aszkenazyjskie raczej niż sefardyjskie, nie miały w sobie niczego, czym mogłyby imponować niewierzącym, czy to gojom, czy Żydom. Prezentowały się raczej przerażająco, zwłaszcza w dziewiętnastym racjonalnym i pozytywistycznym stuleciu. Stąd pewnie pojawiło się przedziwne zjawisko żydowskiego antysemityzmu dość powszechnego w dziewiętnastym wieku. Antysemitą bywał Heine, nawet blisko z nim związane osoby, mówi się o żonie, nie wiedziały, że jest on Żydem! Ale nie była to tylko sprawa obojętności. Paul Johnson pisze wręcz o nienawiści, jaką żywili do siebie samych Żydzi-apostaci. Najmocniej odnosiło się to do Karola Marksa.

Antysemityzm Marksa był znany od dawna, chociaż w latach realnego socjalizmu niewiele i z zażenowaniem o tym mówiono. A już zupełnie nie wspomniano, że był to antysemityzm całej formacji kulturowej, że podobne poglądy miała Róża Luksemburg, Trocki, a zapewne i dziesiątki czy setki innych działaczy lewicowych. Za Marksem utożsamiali oni cechy żydowskiego charakteru z kapitalizmem i pieniądzem: *pieniądz jest zazdrosnym Bogiem Izraela... Wyzwalając świat od targowania i pieniądza, a tym samym od rzeczywistego i praktycznego judaizmu, nasz wiek wyzwoli sam siebie* – w ten sposób Marks uogólnił swój antysemityzm na cały ustrój kapitalistyczny.

Co podobno nie przeszkadzało temu, że rozumował i postępował zupełnie jak typowy Żyd. Trochę śmiesznie brzmi konstatacja Johnsona o „rabinicznej metodologii” Marksa, że wszystkie wnioski wyciągał tylko i wyłącznie z książek. Podejrzewam, że i sam Johnson, i ja, i każdy parający się historią pisarz także będzie miał „metodologię rabiniczną”, bo każdy jest więźniem swojej biblioteki. Marksowi bliski był także „religijny temperament”, a kontrolę

nad przyszłą rewolucją miała sprawować elita intelektualna, co podobno również jest żydowskie. W takim razie Żydem był widocznie także Platon, który przewiduje podobną dyktaturę filozofów...

Doprawdy nie wiem, czy komunizm wynikał z połączonej żydowskości i antysemityzmu Marksa, wydaje mi się, że raczej ze starych marzeń ludzkości i pewnie także z nauk Jezusa Chrystusa, choćby o bogaczu i uchu igielnym. Jest wszakże pewne, że Żydzi wywarli na jego teorię i praktykę wpływ przemożny i potężny. Chociaż przecież sam Marks, acz najdobitniejszy, nie był bynajmniej pierwszym utopistą, który wpadł na pomysł opracowania lepszego ustroju społecznego, a ci, którzy go potężnie wyprzedzili, wcale nie byli Żydami: Morus, Bacon, Campanella i wielu innych. Wiek dziewiętnasty też miał swojego Fouriera, Proudhona i licznych kontynuatorów. Ale dlaczego właśnie Żydzi znaleźli się na lewicy?

Johnson buduje jakieś wymyślne konstrukcje, chyba zupełnie niepotrzebnie, przydatne może Anglikowi, lecz nie przedstawicielom podobnie jak Żydzi znękanym narodów. Polacy na przykład też zostali pozbawieni własnego państwa i możliwości decydowania o swoim terytorium, i także znaleźli się w większości na lewicy, a w każdym razie nasz udział we wszystkich rewolucyjnych ruchach i spiskach był olbrzymi. A równocześnie podobnie jak Żydzi wierzyli w swoje posłannictwo. U Żydów był to co prawda raczej kryzys takiej wiary w mistyczne rozwiązanie, w Mesjasza, w sprawiedliwość ostateczną. Zrozumiałe, bo Polacy cierpieli sto lat, a Żydzi – tysiące. Dawne ustroje trzeszczały w posadach, trzeba było znaleźć jakiś nowy, w każdym razie inny etos Żyda. Poza sferą religijną wyłoniły się dwa: jeden – bojownika o własne państwo i terytorium, drugi – etos rewolucjonisty. Oba były w ostrym konflikcie ze sobą.

Żyd-syjonista miał na względzie narodowy interes partykularny, Żyd-rewolucjonista przeciwnie, chciał stworzyć społeczeństwo uniwersalne, zapewniające równe prawa wszystkim, bez względu na przynależność narodową, która tym samym była czymś nieistotnym, a tak naprawdę szkodliwym. Komunista przyszłości miał być „tylko” i „aż” człowiekiem, co nie było tylko żydowską obietnicą, ale marzeniem wszystkich świątłych umysłów. Gorki zapewniał, że *człowiek to brzmi dumnie*, a Kipling pouczał syna wierszem, że jeśli spełni niełatwe warunki, m.in. jeśli potrafi *nikomu panem, nikomu sługą być*, to zyska ogromnie wiele, *a co więcej, człowiekiem będziesz, synku mój*. Takich przykładów w literaturze dziewiętnasto- i dwudziestowiecznej jest bardzo dużo. No więc Żyd także chciał być człowiekiem, a nie mógł tego osiągnąć w aktualnych warunkach. Do czegoś podobnego dążył i dziewiętnastowieczny Polak, co prawda z mniejszą stanowczością, ale kiedy warunki mu na to pozwoliły, został człowiekiem określonym, to znaczy Polakiem. A Żydzi, przeżywszy przygodę z komunizmem, wybrali także status człowieka określonego, czyli Żyda-syjonisty. Ale o tym pomówimy później.

Gwoli sprawiedliwości trzeba powiedzieć, że była jeszcze inna, najkorzystniejsza dla świata alternatywa: Żyd mógł się spełnić jako intelektualista bądź artysta. Intelektualizm leżał w żydowskiej tradycji, ale ograniczał się raczej do TORY, TALMUDU bądź Kabały, a wycieczki do innych dziedzin, poza medycyną, były przez ortodoksów surowo tępione i obrzucane klątwami, by przypomnieć tylko sławny zakaz z roku 1232. Teraz, w czasach nowożytnych, klątwy utraciły już swoją moc i naród żydowski wydał z siebie naprawdę niebywałą liczbę twórców wszelakiego autoramentu, nawet w dziedzinach, które tradycyjnie były dla Żydów surowo zakazane, jak na przykład plastyka. Wzbudziło to nawet w Paryżu i Berlinie obawy, zabawne, śmieszne i niepotrzebne, o autentyczność kultury narodowej. Wszystkie narody składają się na kulturę świata, a jeśli idzie o kultury narodowe, pochodzenie etniczne ich twórców jest zupełnie bez znaczenia. Trudno byłoby wykreślić z kultury polskiej Kopernika, Słowackiego czy Lindego, choć jeden miał w swoich żyłach krew niemiecką, drugi ormiańską, a trzeci szwedzką. Nie inaczej jest i w innych krajach.

Cały potencjał czterech czy pięciu tysiącleci historii żydowskiej nagle uwolniony od religijnych serwitutów wyowocował w kulturze i nauce doprawdy imponująco. Biorąc rzecz procentowo, to Żydzi chyba w stosunku do liczebności swojego narodu zajmują pierwsze miejsce w dziele budowania kultury światowej. Nie sposób nawet wyliczyć najważniejszych. Mendelssohn, Offenbach, Meyerbeer, Strauss, Mahler, Schönberg, Rubinstein, Menuhin, Soutine, Chagall, Zadkin, Pissarro, Kisling, Bergson, Proust, Freud, Marks, Einstein, Charlie Chaplin – to tylko cząstka, bez której trudno by sobie nawet wyobrazić kulturę europejską. Nie ma sensu przeciwstawiać ich komukolwiek i czemukolwiek, bo działali w ścisłej łączności z innymi. Nie ma też żadnej „cechy żydowskiej”, która by łączyła i wyróżniała tak odmiennych od siebie twórców. Można by wprowadzić rzec, że wszyscy oni byli nowatorami, ale przecież każdy wielki uczoney czy twórca jest nowatorem niezależnie od rasy, kasty, języka czy narodu. Tuwim-Żyd był nowatorem, ale Przyboś, polski chłop, jeszcze większym. Wszelka gadanina na ten temat jest po prostu jałowa.

Wróćmy jednak do etosu rewolucjonisty. Historycy wymieniają różne powody, które przyczyniły się do radykalizacji żydowskiego stanowiska. Na pierwszym miejscu widnieje tak zwana sprawa damasceńska z roku 1840, czyli oskarżenie o mord rytualny popełniony na zakonniku dominikańskim, z całym repertuarem skierowanych przeciw Żydom tortur i egzekucji. Damaszek należał w tym czasie do Turcji, ale sprawa odbiła się szerokim echem na całym świecie i wywołała międzynarodowe interwencje. To znów jakiegoś żydowskiego chłopca porwano rodzicom w Rzymie i siłą ochrzczono. Ale niewątpliwie najgłośniejszy był proces Alfreda Dreyfusa, oficera sztabu armii francuskiej, oskarżonego o szpiegostwo na rzecz Niemiec. Działo się to w latach 1894/5, a niedługo przedtem Francuzi przegrali z Niemcami wojnę i utracili Alzację i Lotaryngię. Cała Francja podzieliła się na dwa stronnictwa i musiało minąć kilka lat, zanim niewinność Dreyfusa została udowodniona. Zresztą znamy całą sprawę z WYSPI PINGWINÓW Anatola France’a.

Wszystko to prawda, ale fałszywe oskarżenia nie były dla Żydów nowością, a jednak nie wywoływały chęci czynnego buntu. Co prawda w tym czasie liczba Żydów wzrosła od mniej więcej dwóch milionów do siedmiu, ale wzrosła też liczba mieszkańców Europy w ogóle. Teraz jednak powstają żydowskie organizacje międzynarodowe; Lassalle kładzie podwaliny pod niemiecką socjaldemokrację, a we Francji powstaje Alliance Israelite Universelle i tak dalej.

Większość europejskich Żydów mieszkała w Niemczech, Austrii i na tych terenach Rzeczypospolitej, które w wyniku rozbiorów zostały włączone do państwa carów. Warunki bytowania na tych terenach rażąco różniły się od ówczesnych zachodnioeuropejskich. Rosja nigdy nie chciała i nie miała Żydów, ale po rozbiorach Polski musiała zaakceptować ich obecność wraz z ludnością zaanektowanych terenów. Zaaceptowała – ale z nienawiścią. Stworzyła dla nich specjalne prawa i bardzo restrykcyjne przepisy wykonawcze, które dodatkowo zmieniały się ustawicznie. Przede wszystkim obowiązywała wspomniana już *czerta osiedłości*, poza którą osiedlanie się Żydów było wzbronione. Niewiele to pomagało, bo i pomoc nie mogło, skoro właśnie w głównych ośrodkach imperium skupiło się szkolnictwo i wykształciły wielkie centra handlowe, nęcące szansą awansu życiowego i znacznych korzyści materialnych. Przez całe stulecie z hakiem trwała głucha walka Żydów o dostęp do rosyjskich terenów, a towarzyszyły jej nieustające rugi i pogromy, niezliczone grzywny i ograniczenia neutralizowane bujnie rozwiniętym systemem łapówek. Żydom nie wolno było uprawiać różnych zajęć i zawodów, nie wolno było leczyć się w uzdrowiskach, uczyć się w określonych szkołach, podróżować, zatrzymywać się w pewnych hotelach, posiadać ziemi, a w niektórych przypadkach i akcji kapitałowych, i tak dalej, i tak dalej. Naturalnie, zmieniało się to w różnych okresach, bywało raz lepiej, a raz gorzej.

Rosja była jedynym europejskim państwem oficjalnie antysemickim, a była nim od zawsze. Nigdy nie tała, że Żydów nie chce, a jeśli są, to powinni jak najszybciej gdziekolwiek

wyjechać. Władze nie tylko prześladowały, lecz zozydzały i ośmieszały Żydów, nastawiając przeciw nim nie tylko rdzenną ludność, lecz także wielkie przecieź w Rosji mniejszości narodowe. Zarzucano Żydom wszystko i zazdrozczono im wszystkiego. Bo nawet tego, że każdy zakaz potrafią przekroczyć za łapówkę. Żydzi, mało troszcząc się o sprawowanie oficjalnych urzędów, stali się jednak potęgą finansową. Sytuacja stawała się niemożliwa i absurdalna.

Jakby tego było jeszcze mało, władze w cichym porozumieniu z ludnością urządzały pogromy. Pogrom to słowo rosyjskie, które przyjęło się we wszystkich językach świata, chociaż sama praktyka była bardzo stara. Pogrom nie miał na celu mordowania, ale zniszczenie i rabunek, chociaż przy okazji dochodziło i do zabójstw, wcale nawet licznych. Pierwszy współczesny pogrom rosyjski nastąpił w 1871 roku w Odessie, co się potem stało tradycją tych rejonów. Ukrainy po prostu. Ale największa seria pogromów nastąpiła dziesięć lat później, w roku 1881. Poczynając zresztą od tego momentu, na przelomie stuleci rokrocznie dochodziło do jakichś krwawych ekscesów, którym towarzyszyło wydawanie nowych praw przeciw Żydom.

Szczytem wszystkiego była sławna do dzisiaj prowokacja znana jako PROTOKOŁY MĘDRCÓW SYJONU. Ten stary pamflet Maurice'a Joly z roku 1864, skierowany przeciwko Napoleonowi III, w ogóle nie odnosił się do Żydów. Przerobiony w carskiej Ochronie i przedstawiony Mikołajowi II, został opublikowany w roku 1905. Stosunkowo szybko zrobił kolo-salną karierę, służąc antysemitom wszystkich krajów, i do dzisiaj jest najpoważniej wznawiany w krajach arabskich. Czytałem ten tekst w opracowaniu Janusza Tazbira i przede wszystkim poraziła mnie jego naiwność. Trudno poważnie traktować na przykład tezę, że metro bu-duje się po to, aby wysadzać w powietrze nieposłuszne miasta... Ale nawet gdyby to nie był fałszyfikat, nie widziałbym w nim niczego nadzwyczajnego. Przeróżne kraje i narody sięgały po władzę nad światem, Rzymianie, Tatarzy, Anglicy, Niemcy... A nawet w możliwym swe-go czasu zakresie i Polacy. Dlaczego miałoby to być wzbronione akurat Żydom? Ale tu oczywiście chodziło o to, by wykazać, że jest spisek, że Żydzi knują...

Polityka nieustannego szykanowania Żydów odnosiła skutek – Żydzi rzeczywiście wyjeź-dzali, gdzie się dało. Zwłaszcza rok 1881 zapisał się ogromną falą wyjazdów. Johnson posu-wa się do tego, że uważa tę datę za najważniejszą w historii Żydów od roku 1648, czyli od powstania Chmielnickiego, a może nawet od wypędzenia z Hiszpanii w roku 1492. W Rosji w roku 1914 nadal pozostawało pięć i pół miliona Żydów. Ale dwa miliony emigrantów udało się do Stanów Zjednoczonych, tworząc z czasem najliczniejsze skupisko Żydów na świecie, co miało stać się głównym zapleczem odrodzonego państwa Izrael. Na razie na histo-rię świata o wiele większy wpływ mieli ci, którzy w Rosji mimo wszystko zostali. Z nich wła-śnie rekrutowały się kadry rewolucji bolszewickiej.

Zabawne są usiłowania tych autorów, którzy i Żydom sprzyjają, i o rewolucji chcą powie-dzieć jak najgorzej. Wywodzą tedy, że ogół żydowski bał się rewolucji i jej nie sprzyjał, a jedynie „nieżydowscy Żydzi” byli jej zwolennikami. Jest to pokraczny, a najzupełniej zby-teczny wykręt. Żydzi byli rewolucjonistami, bo nie mieli innego wyjścia, a podobnie zwolen-nikami fermentu byli Polacy i Irlandczycy, bo tylko wymodlona „wojna ludów” mogła ich wyzwolić. Po odzyskaniu niepodległości przez te kraje duch rewolucyjny opadał, dokładnie tak samo jak utworzenie państwa Izrael oznaczało koniec „żydokomuny” wedle dawnej dia-gnozy Cata Mackiewicza. Wedle Chestertona zamach na cara był straszliwą zbrodnią, wedle Mickiewicza – wprost przeciwnie. Ci cudacznici „nieżydowscy Żydzi” byli chyba po prostu ateistami (a w każdym razie nie mogli być fundamentalistami), a jeśli nie byli, to przeżywali wewnętrzne konflikty i problemy. Mogło być i tak, jak w DWUNASTU Błoka. Łączenie Boga z rewolucją ma ogromną tradycję, od *ducha bożego w bluzach paryskiego ludu po Jezusa z ka-rabinem na ramieniu*.

Róża Luksemburg z Zamościa, z tradycyjnie rabinicznego domu od dwunastego pono wie-ku, nie tylko nie uważała się za Żydówkę, ale w ogóle lekceważyła sprawy narodowe,

wszystkie i wszystkich. W następstwie czego morze atramentu wylano na niszczenie sławnych „błędów luksemburgizmu”. To właśnie jej dzieła były fundamentem poglądu, że „Związek Radziecki jest ojczyzną wszystkich komunistów świata” (choć, formalnie rzecz biorąc, Związek Radziecki jeszcze nie istniał, kiedy w 1919 roku została zamordowana), ale ów pogląd nie oparł się próbie czasu.

W każdym razie nawet z książek samych żydowskich autorów, choćby Erenburga czy Strykowskiego, wynika, że komunizm cieszył się wśród Żydów ogromnym poparciem. W Polsce przynajmniej KPP, czyli Komunistyczna Partia Polski, była niemal wyłącznie żydowska, ale także SDKPiL została założona czy współzałożona właśnie przez samą Różę Luksemburg, a jej działacze także w znaczym stopniu byli Żydami. Nie inaczej wyglądała sytuacja – pisze w swoich *ŻYDACH* Andrzej Żbikowski – kiedy na Kresy 17 września wkroczyły wojska radzieckie. *Większość tutejszych Żydów – około 1 500 000 stałych mieszkańców i co najmniej 300 000 uchodźców z głębi Polski, w przeciwieństwie do Polaków odniosła się do Rosjan bardzo pozytywnie. Wkraczające wojska witano owacjami, budowano bramy powitalne udekorowane kwiatami, spontanicznie powstawały komitety i straż obywatelska czy też milicja ludowa. Komunizująca młodzież żydowska brała dosłownie sowieckie hasła: uciskanym przez sanację mniejszościom narodowym żołnierze Kraju Rad mieli wszak przynieść wolność, równość i sprawiedliwość.* Cała bieda w tym, że kiedy historia zaczyna zbliżać się do współczesności, koniecznie chcemy kogoś to usprawiedliwiać, to potępiać. Ja na przykład jestem srodze rozczarowany stanowiskiem Żydów wobec Rosjan, chociaż przecież nie ma to najmniejszego sensu. Żydzi mieli swoje dobre racje, czego wkrótce już dowiodły obozy zagłady.

Największą lewicową, socjalistyczną partią żydowską był powstały w 1893 roku Bund, ale nie był nią dla Trockiego, który na zjeździe w 1903 roku wystąpił przeciw niemu tak ostro, że bundowcy w ogóle opuścili londyńską salę i socjaldemokracja rosyjska mogła przyjąć odpowiednio radykalną postać. Przywódcy żydowscy byli bardzo liczni; na Węgrzech komunistyczną rewolucją 1919 roku dowodził Bela Kun, taką samą rolę pełnił rok wcześniej w Bawarii Kurt Eisner – zresztą podobnie zamordowani jak Róża Luksemburg w Berlinie. A że rewolucja, jak wiadomo, z reguły pożera swoje dzieci, więc z towarzyszy Lenina po niedługim czasie nie pozostał niemal nikt żywy. A było pośród nich Żydów bardzo wielu: Kamieniew, Bucharin, Radek, Kon i tak można by wymieniać długo, choć po prawdzie znalazło się tam miejsce szczególnie fatalne i dla Polaka. Jednak najbardziej znacząca postać to niewątpliwie Lew Trocki, czyli Lew Dawidowicz Bronstein, nie tylko wykonawca, ale i strateg, przy którym nawet Stalin mógł wyglądać na umiarkowanego. To on stworzył Armię Czerwoną i dowodził nią, on praktycznie doprowadził rewolucję bolszewicką do zwycięstwa. Mówi się o nim, że był niemal antysemitą, ale prawo do tego antysemityzmu rezerwował wyłącznie dla siebie. Rzeczywiście to biali mordowali Żydów, pono zabili ich przeszło siedemdziesiąt tysięcy. Czerwoni natomiast wydali 27 lipca 1918 roku dekret zrównujący ze sobą antysemityzm i kontrrewolucję. Określenie „żydokomuna” miało w tym czasie sens rzeczywisty.

Miało się to jednak wkrótce odmienić. Nawet na początku bolszewicy nie oszczędzali synagog i wspólnot kultowych, tak zresztą jak nie oszczędzali jakichkolwiek innych świątyń. Ale udział Żydów w organach czerezwyczajki był naprawdę olbrzymi, podobnie było z komisarzami politycznymi i ze specgrupami odbierającymi chłopom ziarno. Kiedy jednak po śmierci Lenina doszło do śmiertelnej rozgrywki między Stalinem a Trockim, Żydów potraktowano jako naturalne zaplecze tego drugiego. Jak wiadomo, Trocki przegrał, uciekł i został ostatecznie zamordowany w Meksyku w 1940 roku. Jeszcze wcześniej, od 1920 roku, przystąpiono do współpracy z socjalistycznym Bundem i z syjonistami. Przerwano Wszechrosyjski Kongres Syjonistyczny, aresztowano delegatów, zamknięto syjonistyczną gazetę, tysiące zesłano do obozów. Ale chyba nie było to objawem antysemityzmu, bo podobne środki stosowano wobec wszyst-

kich mniejszości. Sprawami żydowskimi miały zawiadywać „jewisecje” obsadzone naturalnie przez Żydów-rewolucjonistów. Ale i one zostały z czasem rozwiązane przez Stalina.

Czy Stalin był jakoś szczególnie antysemitą? Twierdzi się tak powszechnie, ale wygląda na to, że Stalin był po prostu anty-wszystkim. Nie ma narodu, z rosyjskim na pierwszym miejscu, który by obficie nie ucierpiał w roku 1937. Wygląda na to, że szczególnie mocno cierpieli Żydzi, ale po prostu byli pod ręką. Stalina nie można chyba oskarżać o szczególniejszą narodowościową idiosynkrazję, skoro równie ciężko doświadczył samych Gruzynów, a miał także obyczaj likwidowania ludzi, którym szczególnie wiele zawdzięczał. Bez względu na pochodzenie. Może właśnie Żydzi byli mu szczególnie potrzebni w roli kozłów ofiarnych?

Ostatnim akordem stosunku Stalina do Żydów było zaaranżowanie procesu lekarzy kremlo-wskich, Żydów przeważnie. Ale przecież to on sam zdecydował, kto będzie go leczył! Wido-cznie więc do czasu im ufał. A jego nagła śmierć ocaliła podobno nie tylko lekarzy, ale i Mołotowa, i samego Berię. Zresztą przez cały poprzedni okres jego polityka kierowała się nade wszystko krwawym kaprysem albo może i przezornością każącą mu usuwać wszystkich, którzy zadomowili się w jego otoczeniu. Komunistyczna Partia Polski została z jego rozkazu zniszczona, ale masy żydowskie w Polsce z entuzjazmem przyjęły sowiecką inwazję. Ich entuzjazm także został przyjęty z aplauzem; położenie Żydów w czerwonym Lwowie różniło się zdecydowanie od losu Polaków – świadectwa dostarcza literatura: pamiętniki, poezja i proza. Putrament wspomina nawet w swoich pamiętnikach, że cenzura zabroniła prasie polskoję-zycznej używać określenia „Żyd” jako rzekomo antysemitckiego; zamiast tego musiano pisać „Jewrej”, co dawało efekt iście przedziwny i odwrótne od zamierzonego. Co prawda Putrament podejrzewał prowokację. Można zatem sądzić, że wtedy Żydzi cieszyli się względnym, bo przede wszystkim deklaratywnym zaufaniem władzy radzieckiej. Jednakże te rodziny ży-dowskie, które nie ukrywały swej lojalności wobec państwa polskiego, przywiązania do de-mokratycznych wartości, były związane z PPS, miały oficerów wojska polskiego lub nie kryły sympatii do Trockiego – szybko stały się obiektem zainteresowań NKWD, stałej inwi-gilacji, a następnie jawnych prześladowań i deportacji razem z rodzinami polskimi na Syberię lub do Kazachstanu. W ogóle trzeba w tym miejscu przypomnieć, że od 1928 roku powstawał Żydowski Obwód Autonomiczny ze stolicą w Birobidżanie, nad Amurem, w Kraju Chaba-rowskim. Gdyby Stalin chciał, mógłby tam zesłać Żydów, jak zsyłał na Syberię Tatarów. Byłoby to zapewne znacznie trudniejsze, ale jednak wykonalne.

Nie zrobił tego i został nagrodzony. Kiedy Niemcy z kolei w 1941 roku napadli Związek Radziecki, to właśnie Żydzi stanowili centrum oporu. Oni organizowali przemysł zbrojenio- wy i całe zaplecze, najzjadlej walczyli na froncie i ofiarnie dźwigali ciężary wojny. Gdyby nie Żydzi, Związek Radziecki przegrałby wojnę. Píše o tym bardzo wielu autorów, a między innymi Aleksander Wat w książce MÓJ WIEK. PAMIĘTNIK MÓWIONY. Niemcy z kolei utożsa- miali nagminnie bolszewizm z Żydami, jak z tego widać nie bez pewnej racji. Stalin zaś za- wiesił swoją politykę antyżydowską i powołał nawet Żydowski Komitet Antyfaszystowski. Nie bez kozery zresztą: agenci i partyzanci rosyjscy działający na niemieckich tyłach byli bardzo często Żydami. I na odwrót, partyzantka lewicowa rzeczywiście starała się pomagać Żydom. Byłem naocznym świadkiem słynnej bitwy pod Rąblowem, w każdym razie widzia- łem pikujące za wzgórzem niemieckie samoloty. Moja matka, która ówczesnie była lekarką w Wąwolnicy, została zmuszona do wyjazdu do Rąbłowa. Opowiadała potem, że partyzantów to tam prawie nie było, a oddziały Moczara składały się w przeważającej mierze z cywilnych Żydów, z kobiet i dzieci. Opowiadam o tym gwoli sprawiedliwości, bo przecież ten sam Mo- czar wystąpił jako *spiritus movens* antyżydowskiej kampanii 1968 roku.

Czy Stalin ufał Żydom, czy nie, to jednak ufał im bardziej niż Polakom, Czechom czy Wę- grom, skoro te właśnie kraje wyposażył w żydowskie ekipy, które po wojnie sprawowały władzę. Skończyło się tak, że Żyd stał się symbolem rosyjskiej, bolszewickiej przemocy, i ta

czkawka nie mija do dzisiaj. Powszechnie też sądzono, że Żydzi zostali przez nową władzę uprzywilejowani. Po ludzku można by sądzić, że ludziom, którzy przeżyli holocaust, powinna się należeć rekompensata, ale i sami Polacy przeżyli bardzo wiele i nie byli skłonni do wyrozumienia dla tych, których uważali za nowych najeźdźców. Historia obu stronem spłatała straszliwego figła. Zresztą dobra passa Żydów nie trwała długo: zakończyły ją procesy Slansky'ego czy Rajka, a polski Berman miał szczęście. Stalin podobno wręcz wyjątkowo go nie lubił.

Tymczasem jednak Andriej Gromyko poparł na forum ONZ koncepcję stworzenia żydowskiego państwa. Jakikolwiek były spekulacje polityczne w tej sprawie, a były na pewno, ZSSR poparł w 1947 roku Izrael, a w 1948 uznał go oficjalnie. Kraje uzależnione od Rosji zrobiły to samo, a blok komunistyczny *via* Czechosłowacja zaopatrywał nowe państwo w broń przeciw Arabom. To chyba szczyt zbliżenia rosyjsko-żydowskiego, bez którego Izrael po prostu by nie powstał. Ale niemal dokładnie od tego momentu stosunki te zaczęły się psuć.

Stalin rozgraniczał politykę wewnętrzną od zagranicznej. W samym Związku Radzieckim rządził, jak chciał, i wiadomo, jak to było. Po okresie wojennym, kiedy nastąpiło złagodzenie jego polityki, wrócił do poprzednich praktyk. W tymże 1948 roku został z jego rozkazu zamordowany aktor żydowski Salomon Michaels, co stało się kanwą dramatu G. Salvatorego STALIN wstrząsająco zinterpretowanego w Teatrze Telewizji Polskiej przez Tadeusza Łomnickiego i Jerzego Trele. Zapewne tych morderstw było więcej i przedtem, i potem, ale dotyczyły mniej znanych osób. Natomiast jeśli idzie o Izrael, to Stalin być może planował włączenie go do „demokracji ludowych”. Partia komunistyczna nie była tam zanadto mocna, ale istniała, natomiast gospodarka kraju opierała się w znacznej mierze na kibucach, czyli jedynej na świecie udanej formie kolektywnej gospodarki. Zresztą na cokolwiek liczył Stalin, to mu się to w wypadku Izraela nie powiodło.

W 1952 roku do władzy w Egipcie doszedł pułkownik Abd-El Gamal Naser i nastąpiło odwrócenie sojuszy; Arabowie zaczynają korzystać z pomocy Związku Radzieckiego, początkowo przy budowie tamy na Nilu, potem także z pomocy militarnej. Polityka proarabska jest niezmiennie prowadzona przez Rosję aż do dzisiaj, mimo upadku Związku Radzieckiego. W lutym 1953 roku Stalin zerwał stosunki dyplomatyczne z Izraelem.

Demokracje ludowe nie poszły jego śladem, bo to było na miesiąc przed śmiercią Stalina. Ale ze wszystkich tych krajów Żydzi zaczynają wyjeżdżać, zresztą niekoniecznie do państwa Izrael. Wyjazd z „ojczyzny wszystkich proletariuszy” bynajmniej nie był łatwy. Ponieważ brakowało bezpośrednich połączeń z Izraelem, w grę wchodziły kraje pośrednie, buforowe. Ale w 1957 także i Polska zrywa stosunki dyplomatyczne z Izraelem i następuje pierwsza chyba po wojnie oficjalna nagonka na Żydów, jeszcze bardzo delikatna i pośrednia. Odsuwanie Żydów od stanowisk i urzędów miało po trosze trwać następne dziesięć lat, towarzyszyły temu jakieś niejasne dla postronnych walki frakcyjne w Komitecie Centralnym PZPR.

Nikt nie wspominał o antysemityzmie, natomiast monotonicznie krytykowano syjonizm. Chyba tego wówczas nie doceniałem, uważając, że chodzi o zakamuflowany antysemityzm, bo przecież każdy Żyd musi być *au fond* syjonistą. Dzisiaj byłbym ostrożniejszy. Etos syjonisty i etos rewolucjonisty były sobie przeciwstawne i komuniści mogli uważać syjonistów za zdrajców. Pewnie, można by spytać, jakich to prawdziwych komunistów można było w Polsce zobaczyć, ale chyba istniała jeszcze przedwojenna garść ideowców, jakimś cudem nie zrażona rosyjską praktyką socjalizmu. Zapewne dla ludzi pokroju Gomułki bardziej niż pochodzenie liczył się wybór, jakiego dany człowiek dokonał.

A Żydzi rzeczywiście wybrali i trudno temu się dziwić. Wprawdzie sam „syjonizm” był dążeniem do przywrócenia państwa żydowskiego i wraz z ustanowieniem Izraela stracił rację bytu, skoro rzecz się dokonała, ale na to miejsce przysłała дума ze swojego państwa i troska o jego rozwój. Rzecz zwyczajna wśród narodów żyjących w diasporze, powiedzmy, dla Polonii.

Trudno było od Żyda wymagać, aby był wrogiem żydowskiego państwa! A tego właśnie chciano. Rozłam był nieunikniony.

Nie wynika z tego, aby wszyscy Żydzi chcieli natychmiast zamieszkać w Izraelu, państwie na dorobku, nieustannie zagrożonym wojną. Ale chcieli mieć prawo do sympatii, do wspierania i pomagania. Na upadek etosu rewolucjonisty złożyły się poza tym jeszcze inne okoliczności. Przede wszystkim państwo socjalistyczne okazało się karykaturą swoich haseł i założeń. Ustrój był dyktatorski, a co najmniej autorytarny. Można się było wprawdzie za cenę kłamstw, a w polskim wypadku przemilczeń, jakoś z nim ułożyć. Ale to była nudna zwyczajność, tyle że gorsza i biedniejsza niż w kapitalizmie – a dobre cechy ustroju dały się widzieć dopiero z oddali, z dystansu czasowego. Można było wiele zwalić na prowizorkę, na stan walki i oblężenia, ale to z czasem wygasło. (Nie myślę tu w ogóle o Polakach, bo nam socjalizm kojarzył się po prostu z brakiem wolności i dominacją Rosji.) Rozwód i z tego powodu stawał się nieunikniony.

I jeszcze jedna okoliczność. Nowatorstwo w sztuce bądź nauce było zaraz po rewolucji poczytywane za wspieranie jej, co się zresztą nie odnosiło wyłącznie do Żydów. Dzieje nadrealizmu to początkowo sojusz z rewolucją, a potem zerwanie lub wybór albo – albo. W latach trzydziestych komunizm zrezygnował z popierania nowatorów na rzecz form bardziej tradycyjnych, zresztą to powszechnie znany problem. I ponownie Żydzi nowatorzy, choć nie tylko Żydzi, zostali odepchnięci. „Żydokomuna” i na tym odcinku odchodziła w przeszłość.

Nie używam tego słowa jako potępienia, nie staram się nawet oceniać tego bardzo istotnego nurtu. Z drugiej strony – nie chcąc czynić jakichś przedziwnych wygibasów – nie mogę zaprzeczyć, że to zjawisko miało miejsce, choć dziś należy już do przeszłości. Komunizm był jedną z największych żydowskich pasji dziewiętnastego i dwudziestego wieku i w znacznej mierze ich tworem. My, którzy przeżyliśmy to wielkie nieszczęście, jak powiada Aleksander Wat, nie jesteśmy chyba w stanie sprawiedliwie ocenić tego fenomenu. Zapewne oceny socjalizmu realnego zawsze będą rozbieżne i niejednoznaczne. Podobnie stało się z Rewolucją Francuską, krwawym koszmarem, bez której wszakże dalszy rozwój ludzkości byłby niemożliwy. Co zostawi światu komunizm? Byłoby tragiczne, gdyby tyle cierpień poszło zupełnie na marne. Ale tak nigdy się nie dzieje.

Ocena uczestnictwa Żydów w ruchu rewolucyjnym zależy od przyszłej ogólnej oceny eksperymentu komunistycznego, na którą, jak mówiłem, jeszcze grubo za wcześnie. A naród żydowski miał przeżyć coś jeszcze bardziej przerażającego: holocaust.

Szoah

W roku bodaj 1941 jechałem furmanką od stacji Nałęczów do małej osady Wąwolnica, która leżała na szlaku między koleją a ukrytą w lasach Poniatową, gdzie urządzono niewielki obóz koncentracyjny. Był to kolejny odcinek naszej wojennej tułaczki, od Warszawy do Zamościa, a kiedy zaczęła się germanizacja tamtego rejonu – pod Kazimierz, w okolice Nałęczowa i Puław. Na furmance mieścił się nasz skromny dobytek, a kiedy polna droga zbiegała lessowym wąwozem ku rzeczce Bystrej, na błonia, na Zarzecze, należało założyć hamulce. Były to blachy, które podkładano pod koła, żeby się nie obracały, tylko wolno ześlizgiwały. Konie raczej nie ciągną takiego wozu, ale całą siłą powstrzymują jego spadek. I oto spod ich kopyt zaczęły na nas padać grudki-pacynki rudego, sklejonego kurzu. Im niżej, tym czerwonorudy nalot pokrywający drogę robił się grubszy i bardziej wilgotny. Jego natura była oczywista: jechaliśmy przez czerwoną rzekę krwi, skamieniali ze zgrozy. Daty nie jestem całkiem pewien, miałem jakieś pięć-sześć lat.

Prowadzono w przeddzień od stacji Nałęczów do Poniatowej kolumnę Żydów. Nie wiem, co się tam wydarzyło, w każdym razie Niemcy otworzyli ogień. Ciała zabrano, a wytoczona krew ociężale spływała w dół, mieszała się z pyłem i wysychała. W samej Wąwolnicy nie było już Żydów, pergaminów TORY z rozbitej synagogi miejscowy szewc używał na wkładki do butów. Większe poruszenie wywołało czas jakiś potem płynne, zielonkawe mydło na kartki oznaczone literami RJF. Wieść poszła, że znaczyło to *Reines Jüdisches Fett* lub *Reines Judenfett*, czyli czysty żydowski tłuszcz. Mydła nikt nie chciał używać, był jednak problem, co z nim zrobić. Wylać? Pochować? Gdzie?!

Wszyscy w Polsce wiedzieli, co się działo z Żydami. Ale przewidywali także, że po rozwiązaniu „kwestii żydowskiej” przyjdzie czas na „kwestię polską” i że będzie rozwiązywana w ten sam sposób. Niewiele się mylili, były takie niemieckie plany, z tą różnicą, że po „eliminacji” większości Polaków reszta miała być zamieniona w niewolników; hitlerowcy po prostu nie zdążyli. Joanna Kulmowa opisuje, jak Żyd spogląda na Polaków idących do kościoła i zazdrości im poczucia bezpieczeństwa. Błąd. W Polsce w latach okupacji nikt nie był bezpieczny i nie liczył na to. Śmierć widziało się na każdym kroku, śmierć tkwiła w naszych umysłach jako coś oczywistego. Zapytany pewnego razu przez ojca, kim chcę zostać w przyszłości, odpowiedziałem, że piratem. A pouczony, że pirat to bandyta, tyle że morski, zachnąłem się: „Ależ ja nie chcę niczego rabować, ja będę tylko zabijał!” Ponieważ śmierć wydawała się wtedy bardziej moralna niż kradzież. Zabijali wszyscy i poczytywali to sobie za chlubę.

Mimo wszystko rozum ludzki nie może do końca pojąć, jak się to mogło wydarzyć. Holocaust nie miał przecież żadnego uzasadnienia militarnego czy gospodarczego, a nawet wprost przeciwnie, zmniejszał możliwości Niemiec. W ogóle żadne racjonalne uzasadnienie nie wchodziło w grę: jeśli nawet do wojny antysemityzm niemiecki wiązał społeczeństwo, to wraz z rozpoczęciem konfliktu światowego względ ten utracił prawie całe znaczenie. Wyjaśnienia racjonalnego po prostu nie ma, ja w każdym razie niczego przekonującego nie czytałem. Nic więc dziwnego, że sięga się po jakieś interpretacje mistyczne, spiskowe czy zgoła magiczne. I to po obu stronach, zarówno ofiar, jak i prześladowców. Trudno przecież uwierzyć, by przywódcy hitlerowscy, ludzie bądź co bądź o wysokim ilorazie inteligencji, serio

traktowali podawane przez siebie samych uzasadnienia. A na dodatek holocaust przybierał na sile, w miarę jak zwyciężali alianci, i ukrycie prawdy stawało się coraz bardziej wątpliwe. Ta największa chyba w dziejach ludzkości tragedia nie ma żadnego sensownego uzasadnienia.

Zetknąłem się z koncepcją, że masakra Żydów była w istocie rzeczy rodzajem ofiary składanej jakimś ciemnym mocom. W istocie SS stanowiła przecież rodzaj „czarnego zakonu”, któremu nieobce były elementy mistyczne i poczynania magiczne. Magiczne myślenie było rzeczywiście obecne u hitlerowskich dygnitarzy, szczególnie z kręgów SS, w Instytucie Ahnenerbe, w najwyższym stopniu u samego Himmlera, a bardzo być może, że i Hitler oddawał się takim spekulacjom. Czy jednak idea krwawej ofiary miała realny wpływ na powstanie KL Auschwitz w Oświęcimiu i Treblinki, powiedzieć nie sposób. Tego rodzaju rozmowy były zapewne prowadzone w bardzo szczupłym gronie dwóch, trzech osób, żaden zapis nie został zrobiony, głośno o niczym nie powiedziano. Jeśli coś takiego rzeczywiście było, to nigdy się o tym nie dowiemy, skazani jesteśmy na mętne domysły. Ale te domysły są jednak bardzo uzasadnione. W każdym razie jesteśmy tutaj w strefie mrocznych emocji, jakichś ciemnych porywów nienawiści; jeśli kalkulacji – to obłądnych, a jeśli myśli – to szalonych. Z tego mrocznego jądra wychodziły wszakże jasne i precyzyjne polecenia, zimna wirtuozeria śmierci. Oba okrutne eksperymenty, komunistyczny i faszystowski, przywołały do władzy żądnych krwi psychopatów, całkowicie godnych siebie przeciwników.

Kryteria przez nich przyjęte, rasowe i klasowe, w tym wszakże były podobne, że przyjmowały za godne, dopuszczalne, a nawet pożyteczne fizyczne zniszczenie i śmierć milionów.

Po drugiej stronie, po stronie ofiar, myślenie magiczne zwyciężało także. W Rosji ofiary przyjmowały wykładnię samej władzy, biły się w piersi, składały samokrytykę, przyjmowały swój los. Niezmiernie wiele mówi JEDEN DZIEŃ IWANA DENISOWICZA pióra Aleksandra Sołżenicyna, kiedy bohater rozumuje w ten sam sposób, jak jego nadzorcy i cieszy się, że plan został wykonany. Niewolnik idealny. Żydom było trudniej o akceptację, boć „wykonanie planu” oznaczało ich śmierć. Ale historia notowała i takie wypadki; pobożni Żydzi widzieli w tych wypadkach karzącą rękę Boga i poddawali się Jego wyrokom. A za co ta kara? Jak zwykłe, za grzechy...

Z pism proroków wynikało, że skoro Bóg wybrał już swój umiłowany naród, to postawił przed nim ponadprzeciętne wymagania i ponadprzeciętnie spiętrzył trudności i kary. Więc w tym samym mistycznym porządku kary musiały być straszliwe, co wcale nie wykluczało obecności Boga i przyszłej nagrody. W porządku teologicznym cierpienie wręcz musiało poprzedzać nagrodę. Tak zresztą niektórzy interpretowali minione klęski i udręczenia. W wypadku holocaustu nagroda sama się nastęrczała: mogła to być budowa własnego państwa. Co prawda pobożni nie tak sobie wyobrażali i wyobrażają nadal bieg wypadków. Faktem jednak jest, że państwo Izrael powstało i że los lub Opatrzność dziwnie nad nim czuwała. Ale to już sprawa może boskich, może międzynarodowych konsekwencji zagłady, rzecz nieco późniejsza.

Ludzie wielokrotnie unicestwiali się nawzajem, od początku dziejów, a nawet z pewnością przed zapisanym początkiem. I zawsze uzasadnieniem była inność zabijanych, raczej przerwana niż skupiana w spójną teorię. Człowiek jest jedynym gatunkiem biologicznym niszczącym siebie samego; być może na początku były to konkurencyjne ludzkie odmiany, na przykład neandertalczyk. Potem zawsze uzasadniano, że konkurenci są pod jakimś względem gorsi od nas: mają inną skórę, włosy, niezrozumiały język i złe obyczaje albo wierzą nie w tego, co należy, Boga. Innymi słowy: są niedostatecznie ludzcy. Nie inaczej było i w tym wypadku.

Jest paradoksem, że teorie najściślej antysemityczne były zakorzenione głęboko w wieku dziewiętnastym. W stuleciu historii i wiedzy racjonalnej. W tamtym czasie z jednej strony – praktycznie, acz powoli, przyznawano Żydom prawa obywatelskie, a z drugiej strony – wymyślano nowe powody, by ich pozbawić wszystkiego. Były oczywiście powody „naukowe”.

Chyba pierwszym, który zainicjował ten nurt, był francuski dyplomata i pisarz Joseph de Gobineau; w 1853 roku opublikował sławny czy raczej osławiony ESEJ O NIERÓWNOŚCI RAS LUDZKICH, w którym między innymi przedstawił degenerację Semitów. A skądinąd przeczytałem w jakiejś powieści Gobineau zdanie, które mnie bardzo zastanowiło, a które brzmiało mniej więcej tak: „Król to jest nic, ważny jest dopiero syn królewski”. Gobineau miał wielki i nie zawsze negatywny tylko wpływ na całą ówczesną Europę. Ale pamięta mu się – właściwie niemal wyłącznie – tezy antysemityczne. Na odwrót zupełnie zapomniano, że Ernest Renan, ten od ŻYWOTA JEZUSA, był także ogromnie wpływowym antysemitą, że byli we Francji jeszcze Alphonse Toussenel i Eduard Drumont – założyciel Ligi Antysemitycznej.

Ale jak historia pokazała, najgroźniejszy był antysemityzm niemiecki. Zresztą historia pokazała to całe stulecie przedtem, bo właśnie Niemcy byli najzacieklejszymi wrogami Żydów przez całe średniowiecze, a i później. To tu szalały najdziksze pogromy, specjalne formacje mordujące Żydów i przechwalające się okrucieństwem, przeróżne „Żydomordy”, „Żydopieki” i hep-hepy, tu było najwięcej procesów o mordy rytualne, najwięcej wypędzeń i wszelakich okropności. Tradycja gnębienia Żydów była bogata, prastara i zachęcała do kontynuacji. I właściwie dość nieoczekiwanie Niemcy, poczynając od osiemnastego wieku, stały się czymś w rodzaju żydowskiego matecznika, a zarazem centrum oświaty, nauki i reformy żydowskiej. Z największym też entuzjazmem Żydzi albo wręcz stawali się Niemcami, albo pracowali na chwałę, pożytek i bogactwo Niemiec. Zdawało się, że te dwa narody dobrały się idealnie i zgodnie wspierają się i pracują razem.

Ale były to pozory. Antynapoleoński ruch przerodził się w odrzucenie wszystkiego, co nie było niemieckie i rodzime. Na rzecz owej rodzimości, ucieleśnionej w przyrodzie, pejzażu i uroku małych miejscowości działali tacy ludzie, jak Wilhelm Heinrich Riehl, Wilhelm von Polenz czy Hermann Löns – pisarze i intelektualiści, formujący obiegowe wartości i wzorce osobowe. Występowali oni przeciw wielkim miastom, „siedzibom zepsucia”, którego uosobieniem byli właśnie Żydzi. Wrogami ludzkości nazywał ich wręcz Richard Wagner, Paul de Lagarde domagał się wytepienia ich, to samo twierdził Eugen Dühring, a Wilhelm Marr wymyślił samo słowo „antysemityzm” i w roku 1879 założył niemiecką Ligę Antysemityczną. Ruch antyżydowski potężniał, a naukową oprawę dał mu Anglik z pochodzenia, Houston Stewart Chamberlain, filozof kultury, w walce ras upatrujący czynnik przemian historycznych. On to był bezpośrednim ojcem hitleryzmu.

Jego naukowym następcą okazał się kurlandzki Niemiec, Alfred Rosenberg, ale liczba „uczonych” rasistów dwudziestowiecznych była poza tym ogromna. Z niezliczonej mnogości argumentów wysuwanych przeciw Żydom, a takie pisma jak sławetny VOLKISCHER BEOBACHTER czerpały chyżo z przebogatej skarbnicy ludowego antysemityzmu, na pierwszy plan wysuwają się następujące. Przede wszystkim naturalny sojusz między Żydami i bolszewikami, poszerzony przez żydowskie grupy działające w krajach zachodnich. Hitler chyba naprawdę uwierzył, że to właśnie Żydzi wypowiedzieli mu wojnę. Po wtóre, niebezpieczeństwo płynące z fizycznej obecności Żyda: psuje on dobrą aryjską, niemiecką krew. Nieco mniej mówiono o Żydówkach, ale oczywiście one były szkodliwe w dwójnasób, wodząc na pokuszenie aryjskich nadludzi i ewentualnie rodząc „mieszkańców”. Nawet mleko żydowskich mamek nie nadawało się dla niemieckich dzieci. Bycie Żydem nie polegało na wyznaniu, ale na biologii; była to inna, niższa rasa, właściwie niezupełnie ludzka. Pisano o tym bez końca. Na przykład wedle Horbigera, twórcy „nauki o światowym lodzie” – jak pisałem już o tym na wstępie – Ziemia miała kilka kolejnych księżyców, które przekraczając granicę Roche’a, rozpadały się w pył i spadały na Ziemię; po jakimś czasie Ziemia łąpała następnego satelitę. Otóż w owych okresach ciemności, kiedy niebo było puste, wzrastało ciśnienie i rodziły się wtedy istoty budzące wstręt i grozę: stonogi, pająki, węże, szczury i „istoty człekopodobne” – Żydzi. Naprawdę nie zmyślam. Inne nazistowskie teorie, na przykład wydrążonej Ziemi albo czysto

aryjskiego symbolu – swastyki, też przy okazji mówiły o Żydach to i owo. Grunt był wszechstronnie przygotowany, a Niemcy przekonani, że coś z tymi Żydami koniecznie trzeba zrobić.

Hitler już bardzo wcześniej ujawniał, przede wszystkim zaufanym, swoje krwawe plany. Uporczywa plotka głosi, że sam był Żydem, bo pewne niejasności odnaleziono w jego rodowodzie. Moim zdaniem to zupełnie nieistotne, czy miał w swoich żyłach krew żydowską, czy nie. Istotne byłoby wiedzieć, co sam o tym myślał. Ale tego nigdy się nie dowiemy. Skądinąd dobrze wiadomo, że renegaci bywają najokrutniejszymi prześladowcami, i Żydzi dobrze tę regułę poznali. Wszystko wskazuje, że to on osobiście jest bezpośrednio odpowiedzialny za największą w historii krwawą jatkę.

Hitler doszedł do władzy w 1933 roku i właściwie od razu zaczął nakładać na Żydów rónące ograniczenia, mające początkowo na celu wygnanie ich z Niemiec. Koroną licznych pomniejszych dekretów były ustawy norymberskie z 15 września 1935 roku, które pozbawiały Żydów praw cywilnych i państwowych, tudzież orzekały, kto jest Żydem. Nie była to prosta sprawa, pracowano nad nią długo i usilnie. Najważniejsze było kryterium wyznaniowe. W zasadzie wolni od żydowskiego odium okazali się tylko ci, którzy od 1750 roku nie mieli w rodzinie wyznawców judaizmu. Żydem zostawał współmałżonek Żyda bądź Żydówki i ktoś mający pół krwi żydowskiej. Poza tym ustalono kategorie „mieszkańców”, tzw. *Mischlingów*, oraz całą drabinę podkategorii, co z kolei tworzyło drabinę uprawnień i zaufania. Poza tym słynne było zdanie Hermanna Goeringa: *O tym, kto jest Żydem, decyduję ja!* Mniej znany jest fakt, że w kancelarii Hitlera też pracował *Mischling* i cieszył się sympatią wodza. Tak naprawdę Żydów mogło być znacznie więcej, przywołajmy bodaj sławnego Reinharda Heydricha. Trudno się jednak doszukać sensu w domu wariatów.

Żydom stopniowo zakazywano wszystkiego. Pobytu w uzdrowiskach, zbliżania się do niemieckich rzek i strumieni, spacerów w lesie, opalania się na plaży i korzystania z niemieckiego słońca, wychodzenia po ósmej wieczorem – pewnie z troski o niemiecki księżyc, posiadania telefonu, a i samego telefonowania, prawa jazdy, nie mówiąc o prawie do pracy, o opiece prawa, o małżeństwie czy romansie z gojem i tak dalej. Pozbawiano równocześnie Żydów prawa własności na mocy ustaw o półdarmowym wykupie. Nic dziwnego, że do wojny uciekło z Niemiec 200 tysięcy Żydów. Ale na ich miejsce zjawili się Żydzi austriaccy.

Kulminacyjnym punktem prześladowań była tak zwana „Noc kryształowa” (*Kristallnacht*) z 9 na 10 listopada 1938 roku. Pretekstem było morderstwo na niemieckim dyplomacie. Tej nocy zniszczono żydowskie sklepy, podpalono synagogi, mordowano i gwałcono, a oprócz tego aresztowano i wywieziono dwadzieścia tysięcy ludzi do obozów koncentracyjnych. Ponieważ pogłos tych wypadków rozszedł się po całym świecie, od tego momentu postanowiono walczyć z Żydami w majestacie prawa, co właśnie spowodowało w następstwie tak wielką skalę i powszechność prześladowań, z czasem także mordów. Wszelkie wpływy żydowskie w samych Niemczech zostały unicestwione, a sami Żydzi wyczuci z majątków, uwięzieni lub wypędzeni. Teraz przyszła kolej na inne kraje; wojna stwarzała pod tym względem ogromne możliwości. Sceną największej w dziejach masakry została okupowana Polska.

Zagraniczni komentatorzy popełniają nagminny błąd: uważają, że okrucieństwa Niemców odnosiły się jedynie do Żydów, natomiast stosunek wojsk okupacyjnych do Polaków był cywilizowany. Niestety, nie było tak. Od samego początku wcielano w życie plan zagłady polskiej inteligencji i w rejonie większych miast powstawały miejsca egzekucji – jak w podwarszawskim Wawrze i w Palmirach. W miastach zaś były ustawiczne łapanki, wywożono ludzi do obozów koncentracyjnych i na roboty do Niemiec. Gama represji była przeogromna i nie ma chyba w Polsce rodziny, w której by ktoś nie zginął. Wiele wyroków śmierci, publicznych egzekucji było odwetem za konspirację i działania partyzanckie, za zamachy, za ukrywanie Żydów; mordowano pod przeróżnymi pretekstami. Ale przemoc i śmierć występowały także zupełnie bez powodu. Na ogół nie wie się także o tym, że w Warszawie były dwa powstania: żydowskie w getcie, w 1943 roku, gdzie zginęło kilkadziesiąt tysięcy, i ogólnowarszawskie w

roku 1944, kosztujące Polskę życie dwustu tysięcy cywilów. Ale na świecie pamiętano wyłącznie o gehennie Żydów. A Golgoty były naprawdę dwie. W KULTURZE Jerzego Giedroycia odbyła się przed laty dyskusja, w której ktoś zarzucił Polakom, że gdyby to były transporty kolejowe z ich rodakami, to *rwaliby gołymi rękami szyny*. Otóż takie transporty były i to liczne, nie było dnia bez takich transportów, a jednak szyn nie zrywano, bo to było zwyczajnie niemożliwe.

Niemcy mordowali Żydów, ale mordowali w Polsce, do Polski właśnie zwożono skazańców z całej Europy. Dlaczego? Oczywiście szło o ukrycie całego procederu, ukrycie dość względne, skoro mordowano ludzi wprost na ulicach, w czym brała udział nieomalże cała armia niemiecka, jeśli nie w samych egzekucjach, to w czynnościach pomocniczych. Przypomnijmy, że i sami Polacy mieli być w większej części zlikwidowani, co ograniczało liczbę świadków. Ale – i to może było najistotniejsze – Polska była głównym na globie matecznikiem żydowskim, tu po prostu najwięcej ich mieszało i nie było trudności z dalekim transportem. Ale właśnie w tej sytuacji stosunek Polaków do Żydów stawał się kwestią zasadniczą, ponieważ jeśli Żydzi mogli liczyć na jakąkolwiek pomoc, to musiałaby to być pomoc polska. Wprawdzie wymagałaby ona aż bohaterstwa, bo za pomoc Żydom groziła i to nieomyślnie śmierć, sytuacja nieznaną w jakimkolwiek innym kraju europejskim.

Ale stosunki z Polakami układały się źle, wyjątkowo źle i to już od dość dawna.

Było jednak niezmiernie trudno poznać prawdę. Hitlerizm dał przykład takiego antysemityzmu, wobec którego wszystko inne mogło się wydawać drobiazgiem. Świadkowie wydarzeń sprzed wojny, na ogół zaufani członkowie rodziny, żadną miarą nie chcieli i nie mogli mówić prawdy o polskim antysemityzmie, tym bardziej że dwudziestolecie międzywojenne stopniowo coraz bardziej stawało się złotym snem o wolności i suwerenności. Szczególnie dla pokolenia, którego dzieciństwo przypadło na czas wojny, a młodość na lata stalinowskiego terroru. Tak więc zachowywano głucho milczenie w sprawie żydowskiej, która, jak się okazało, była szpetną plamą na naszej młodej, w wielkiej męce odzyskanej niepodległości. Tym bardziej że sprawa żydowska w latach po drugiej wojnie światowej znowu przedstawiała się nienormalnie, o czym już pisałem, ale ponownie do tego wrócę. Otóż w latach Polski Ludowej prawdę można było poznać tylko od samych Żydów, wyrażaną nad wyraz oględnie.

Jak się zdaje, wytworzył się jakiś diabelski kołowrót, jakieś obłądne sprzężenie zwrotne niosące Żydów i Polaków od konfliktu do konfliktu.

I naprawdę trudno kogoś obciążyć winą, oskarżyć o złą wolę, racje obu narodów były po prostu bardzo odmienne i prowadziły w całkiem różne strony. W osiemnastym wieku Polska straciła niepodległość i została podzielona między Austrię, Rosję i Prusy. Odwieczną racją żydowską było utrzymywanie dobrych stosunków z władzą, ale Polacy już jej nie sprawowali. Oczywiście, byli i tacy Żydzi, którzy się asymilowali, a nawet po bohatersku stawali w powstaniach narodowych. Nie było ich jednak wielu, a w każdym razie nie była to żadna znacząca częśćka walczących. Trudno jest mieć im to za złe, skoro taki właśnie był ich narodowy interes. Ale narodowy interes Polaków był przecież inny, a ta rozbieżność nie budziła do Żydów zaufania.

W czasie pierwszej wojny światowej Żydzi liczyli na zupełną autonomię na ziemiach polskich, nic z tego nie wyszło, ale nie przysporzyło to im sympatii. W nieznacznym też stopniu brali udział w militarnych zmaganiach o Polskę, legionowych, a później w wojnie polsko-bolszewickiej: myślę o zaciągu ochotniczym. Sympatie Żydów nader często były po zupełnie innej stronie – nie można się dziwić, można nawet wybaczyć, ale nie sposób takich współobywateli obdarzać nieograniczonym zaufaniem. Oczywiście, nie o wszystkich Żydach tu mowa, ich zasługi równoczesne dla kultury polskiej były naprawdę olbrzymie. Nie wszyscy też Żydzi zezowali na Moskwę, choć takich było bardzo wielu.

Z drugiej strony trwała nagonka prawicy na niemal wszystko, co żydowskie. Negatywna kampania prasowa od zamordowania prezydenta Narutowicza, jako wybrańca mniejszości

narodowych, aż do uniwersyteckiego getta ławkowego tworzy jeden wielki i monotony ciąg oskarżeń, pomówień, wyzwisk. W rezultacie nawet nie sposób się dziwić, że wkroczenie Rosjan na wschodnie obszary Polski 17 września 1939 roku zostało przez miejscowych Żydów przyjęte z zapalem. Ale konsekwencje tego były groźne. Polska przeżyła dwie wrześniowe agresje i było zupełnie oczywiste, że miała „dwóch wrogów” – wykluwano tym oczy pamięci Armii Krajowej. Ten drugi wróg, Rosja, nie do końca przestał być wrogiem, chociaż w obliczu napaści niemieckiej na ZSRR sklecono jakieś koślawe porozumienie, na które wszakże zawsze kładł się cień łagrów i Katynia. Jeśli więc Żydzi zdecydowanie wybierali lewicę, co oznaczało w tym czasie ZSRR, to chcąc nie chcąc, stawali się sojusznikami jednego z wrogów. Polak mógł co najwyżej skorzystać na tym, jak jeden wróg fizycznie likwidował drugiego... Sarkastyczny grymas losu sprawił, że Żydzi nie mieli w Polakach takiego oparcia, jakie mieć powinni i mogli.

Czyż jakiegokolwiek kalkulacje polityczne nie powinny ustąpić w obliczu nieludzkiej wprost masakry urządzonej przez hitlerowców? I tak się rzeczywiście częściowo stało. Deklaracje solidarystyczne, wyrazy współczucia padały nawet z ust (a i spod piór) chrześcijańskiej prawicy. Wielu ludzi uratowano, wielu wspomóżono. Współczucie było, ale nie było żarliwości i serca, nie było też zaufania. Współpraca polskiego podziemia z podziemiem żydowskim była bardzo wątpliwa, łączność między gettem a „stroną aryjską” niewielka, jeśli nie liczyć handlu. Oczywiście, były postawy rozmaite, istnieli przecież tak zwani szmalcownicy, czyli zawodowi niejako denuncjatorzy. Ale na szczęście było to zajęcie otoczone powszechną pogardą, a ze strony sił podziemnych bezwzględnie karane wyrokami śmierci. Nie było jednak braterstwa, nie było wielkiej, spontanicznej akcji pomocy. Wprawdzie sami Niemcy starali się, i to bardzo usilnie, o rozdzielenie Żydów od gojów, ale przecież nie zdołaliby tego zrobić, gdyby nie uprzednie głębokie antagonizmy między nimi. W rezultacie znaleźli się ludzie, którzy naprawdę mówili: *Sami nigdy byśmy tego nie zrobili, ale Hitler bardzo nam pomógł* – zawsze z naciskiem na pierwszą i cieniem zażenowania przy drugiej części zdania. Piszę to ze smutkiem, ale przemilczeć nie mogę.

Wreszcie sprawa bodaj najtrudniejsza do opisanie i zrozumienia: postawa samych ofiar. Niezrozumiała dla wszystkich pozostałych uczestników tragedii, niepojęta i dla świadków, i dla prześladowców – zupełna bierność, brak jakiegokolwiek odruchu oporu i obrony. Podziwia się postawę Korczaka, a przecież były to działania chybione: zamiast posłusznie prowadzić dzieci do wagonu, trzeba je było rozpędzić na cztery wiatry, bo tylko wtedy miałyby jakąś niewielką szansę ocalenia. W Treblince nie miały żadnej.

To się jednak łatwo mówi po czasie. Pokazywałem pewnemu Amerykaninowi Palmiry i wysłuchałem tyrady, jak to więźniowie przywiezieni na rozwałkę powinni się opierać, buntować, rozbiegać na wszystkie strony. Mieliby wtedy jakąkolwiek szansę, a jakąkolwiek lepszą od żadnej.

Dlaczego ludzie poddają się przemocy, dlaczego nie opierają się, nie biją, nie protestują? Lakonicznie odpowiedział na to Tadeusz Borowski: *Nie nauczono nas wyzbywać się nadziei i dlatego ginimy od gazu*. W tym zawiera się wszystko.

Tysiące lat trwająca w diasporze strategia uległości i poszanowania nawet najbardziej niekorzystnego i absurdalnego prawa wydała swoje owoce. Historia żydowska mówiła, że korzystniej jest wroga przekupić, przebłagać posłuszeństwem, wejść z nim w układy, niż próbować zbrojnego oporu. I ten wielowiekowy nawyk posłuszeństwa został przeniesiony na sytuację zupełnie odmienną od dotychczas spotykanych, bo tu jakąkolwiek ugoda była niemożliwa. Szansę przetrwania dawał tylko opór czynny lub bierny, a do tego właśnie Żydzi nie byli zdolni. Pomocy oczekiwali tylko od Boga, a skoro nie nadchodziła, uznawali, że takie są widocznie wyroki boskie. Żeby spróbować walki, trzeba ją sobie najpierw móc wyobrazić. Cóż mogli począć ludzie, którzy wierzyli, że na ich mękę i śmierć sam Bóg wyraził zgodę?

Rozmyślając o holocauście, dochodziłem wielokrotnie do wniosku, że wolałbym być ofiarą, a nawet katem, niż świadkiem. Może jestem w błędzie, ale wydaje mi się, że jednego i drugiego łączy jakoś ze sobą koncepcja ofiary, pewnie zupełnie różna w konkretach, ale identyczna co do zasady. Żyd był ofiarą, Niemiec ofiarnikiem, cóż z tego, że składali ją na zupełnie innych ołtarzach dwóch absolutnie odmiennych bogów? Ich związek musiał w każdym wypadku być potężny. Może właśnie dlatego Żydzi mają do Polaków znacznie większą i pozalogiczną pretensję niż do Niemców, a Polaków irytuje poczucie winy, której przecież nie popełnili. Rząd Rzeczypospolitej Polskiej w Londynie pod kierownictwem gen. Władysława Sikorskiego zrobił wszystko, co należało, aby najwyższe władze Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych otrzymały solidnie udokumentowane i przekonujące świadectwa niemieckich zbrodni popełnianych na żydowskiej części polskiego społeczeństwa, ale rządy obu tych mocarstw ani nie zechciały w te świadectwa uwierzyć, ani nie zechciały na nie zareagować. Wielka i ryzykowna misja Jana Karskiego bardzo długo pozostawała bez żadnego echa. Sytuacje metafizyczne są jednak takie, że wplątują wszystkich obecnych, ale także i nieobecnych. Za holocaust odpowiadamy wszyscy, ale szczególnie Żydzi amerykańscy. Czy naprawdę zrobili wszystko, żeby mu zapobiec?

Konkretny przebieg zagłady był już opisywany wielokrotnie, znacznie lepiej i szczegółowiej, niż ja mógłbym to uczynić. Wprawdzie przytaczane dane różnią się od siebie dość znacznie, chyba często wedle aktualnej koniunktury politycznej, podstawowe fakty są jednak te same. Po wkroczeniu wojsk niemieckich do Polski zapanował okres doraźnych egzekucji, w których ginęło równie wielu Polaków, co Żydów. Już jednak w tym czasie usiłowano rozdzielić i różnicować Polaków i Żydów, prowadzono też gwałtowną propagandę antysemicką. Sam przypominam sobie plakaty: „Żyd = wszy = tyfus”, moje pokolenie uczyło się na nich czytać. I czego sobie już nie przypominam, była to podobno propaganda skuteczna. Żydzi byli postrzegani nie tylko jako inni i obcy, ale także jako zagrożenie. Ponure to, ale w czasie okupacji antysemityzm polski nasilił się jeszcze. Dziwowałem się, jak Feliks Koneczny, pisząc w tym czasie *CYWILIZACJĘ ŻYDOWSKĄ*, mógł się zastanawiać, co po wojnie zrobić z Żydami, a tymczasem był to ton i temat zwyczajny w prasie podziemnej. Nigdy nie pisano o tym w sposób bezstronny i obiektywny, pierwszy był – już współcześnie – Andrzej Żbikowski w monografii *ŻYDZI*. Diabelskie sprzężenie zwrotne, wzajemnie potęgująca się wrogość, działała i w czasach okupacji.

Już w 1939 roku założono Żydom opaski z gwiazdą Dawida, skonfiskowano pieniądze i kosztowności, oznaczono żydowskie sklepy, zmuszono do niewolniczej pracy, przydzielano mniejsze niż Polakom kartkowe racje żywnościowe. Stopniowo zaczęto przesiedlać Żydów do gett, wielkich i całkiem małych. Było ich w szczytowym okresie niespełna siedemset, do tego dochodziło około pięćset obozów pracy przymusowej. Te szacunki są zresztą nieścisłe i niepewne, z wielu miejsc nie ocalał nikt, kto mógłby o nich zaświadczyć. Krążyły zresztą różne fantastyczne pomysły na temat tego, co Niemcy zamierzają zrobić z Żydami; miał rzekomo powstać specjalny rejon żydowski gdzieś na Lubelszczyźnie, a może nad Sanem, to znów mieli być wysłani na Madagaskar, a nawet wypędzeni z granic niemieckiej Europy, czego znów panicznie bali się alianci. Wybrano jednak zagładę – szoah.

Na razie zamknięto Żydów w gettach, co zmuszało do wielkich przesiedleń. Największe getta zostały obwiedzione murami. Kolosalne było getto warszawskie – liczyło prawie pół miliona ludzi, drugie pod względem wielkości – łódzkie miało połowę tego. Już samo getto było formą powolnego mordy, zważywszy nieprawdopodobne stłoczenie na niewielkiej przestrzeni i wszechobecny, nieustanny głód prowadzący do śmierci. Wstrząsające opisy z getta warszawskiego zostawił Bogdan Wojdowski w znakomitej powieści *CHLEB RZUCONY UMARŁYM*. Niezwykły obraz warszawskiego getta znajdujemy w pełnometrażowym filmie dokumentalnym Jerzego Bossaka i Wacława Kaźmierczaka pt. *REQUIEM DLA 500 TYSIĘCY* (1963), zmontowanym z materiałów nakręconych przez niemieckich operatorów dla niemiec-

kich kronik filmowych i władz Trzeciej Rzeszy złąknionych wiedzy o sukcesach w dziele „ostatecznego rozwiązania” kwestii żydowskiej. Na chodnikach leżały ludzkie szkielety umierające powoli z głodu, odór śmierci spowijał całe getto. Zresztą i tam było wielkie różnicowanie majątkowe, powstawały krótkotrwałe fortuny handlarzy żywnością i walutami, restauratorów i wszelakich kombinatorów robiących interesy ze „stroną aryjską”, a nawet z Niemcami.

Getto, szczególnie warszawskie, mogło się także poszczycić własnymi poetami, kabaretami i prasą (łącznie 50 tytułów!), a nawet podziemnym szkolnictwem. Działała także uboga opieka społeczna, działała komisja historyczna i archiwizująca wszelakie dane, pod kierownictwem Emanuela Ringelbluma. Zakopane w getcie i częściowo odkryte po wojnie materiały stały się głównym źródłem informacji o warszawskim getcie i nie tylko. Prezesem warszawskiego getta był Adam Czerniaków, który w roku 1942 popełnił samobójstwo, nie godząc się na wywózkę do Treblinki. W samym centrum getta znajdowała się bocznica kolejowa, sławny Umschlagsplatz, skąd odchodziły transporty na śmierć.

Trochę inne było getto łódzkie, jeszcze biedniejsze od warszawskiego, bo odcięte od nielegalnego handlu żywnością. Los wprawdzie oszczędził jego mury, ale nie uwieczonych w nim ludzi. Ocalały jednostki i trochę barwnych fotografii niemieckiego urzędnika, które – niedawno odnalezione – stały się kanwą średniometrażowego filmu dokumentalnego Dariusza Jabłońskiego, Andrzeja Bodyka i Arnolda Mostowicza pt. FOTOAMATOR (1998), nominowanego do „Oscara”. Z Łodzi usunięto przecież Polaków, ponieważ przyłączono ją bezpośrednio do Rzeszy jako stolicę Kraju Warty – Warthegau. W Łodzi bezwzględną władzę sprawował Chaim Mordechaj Rumkowski, o którym opowiadano legendy. Wtedy, już po sześćdziesiątce, ożenił się z młodziutką dziewczyną i miał maniery wielkorządcy czy absolutnego władcy: urzędy w getcie ozdobiono jego portretami. Formalnie, jak i Czerniaków, był przewodniczącym Judenratu, nowego urzędu mającego kierować i rządzić Żydami. Judenrat miał swoją policję, w Warszawie to było dwa tysiące ludzi, w Łodzi pięćset, on zarządzał spisy i rekwizycje, wysyłał ludzi do pracy, a także na śmierć. W Łodzi dysponował nawet wewnętrznym więzieniem, przez które przewinęło się parę tysięcy osób. Rumkowski, postać chyba skądinąd imponująca, nie poszedł drogą Czerniakowa, nie popełnił samobójstwa, natomiast wysyłał na śmierć transport za transportem, zresztą z osobistą zgrozą. Sam wyjechał z żoną służbową salonką do Auschwitz jesienią czterdziestego czwartego roku. Wtedy rosyjskie czołgi zatrzymały się na Wiśle. Do życia brakowało stu kilometrów... W Warszawie trwało wówczas powstanie.

Jak ocenić działalność Judenratu? Napisano na ten temat niemało. Bernard Mark cytuje na przykład zasłyszana rozmowę żydowskich policjantów, co się bardziej nadaje do bicia: pałka gumowa czy drewniana? Wybrano chyba drewnianą. Judenrat składał się z zauszników niemieckich liczących, że może w ten sposób ocalać życie. Rozpowszechniał i podtrzymywał niemieckie kłamstwa, bo Niemcy w celu spacyfikowania nastrojów ofiar kłamali bez przerwy. Mury getta miały być i dla Polaków, i dla Żydów istnym dobrodziejstwem, rozłączając obie nieprzyjazne nacje. Transporty do obozów zagłady reklamowane były jako wyjazdy do pracy na roli, zdrowe i przyjemne. Nawet na ostatnim etapie męczeńskiej drogi komory gazowe przedstawiano jako łaźnie. Judenrat utrzymywał porządek, ale to nie porządek był Żydom potrzebny! Jeśli już nie decydowali się na zbrojny opór, to jedyną ich szansą był nieład, chaos, zamęt, niesterowny tłum. Nigdy, przenigdy nie potulne transporty do Auschwitz. Zresztą, jakże oceniać ludzi w sytuacjach z gruntu nieludzkich?

Można sobie wyobrazić atmosferę panującą w getcie, stale kielkujące nadzieje na aliantów, na Rosjan, pocieszanie się lada drobiazgiem, niejasne wieści dobiegające z obozów przyjmowane ze zgrozą i niedowierzaniem, głód, choroby, tłok, nędzę i wszechobecny strach. Zapewne w każdej chwili oczekiwano Mesjasza, dopatrywano się cudownych prognostyków, modlono bezustannie o cud. Stare powiedzenie mówi: nie ma ateistów w okopach. Czyż mogli

być w getcie?! Atmosfera była gęsta od modłów, mistyczna i ostateczna. Z jakiejś relacji wynika, że pewnego razu Żydzi tańczyli przed komorą gazową ze szczęścia, że za chwilę spotkają się z Bogiem. Myślę, że to nie tylko raz się zdarzyło, że paroksyzmy mistycznej nadziei harmonizowały zupełnie naturalnie z atmosferą zgrozy i poczuciem zagłady. Pandemonium ginącego, setki tysięcy razy większego „Titanica”, gdzie mogło się przydarzyć i rzeczywiście zdarzyło się wszystko. Myślę także, że prawda o zagładzie zawiera się raczej w firmamentach znacznie bardziej ludzkich i wstrząsających niż skrupulatna kronika dat, liczb i zdarzeń.

Ale same getta to tylko pierwszy krąg tego piekła. Następny akt rozpoczął się wraz z inwazją na Związek Radziecki w czerwcu 1941 roku. Wtedy przecież dostały się w niemieckie ręce dodatkowe ogromne rzesze Żydów, których nie obdarzano już łaską odczekania, ale likwidowano na miejscu. Poza samymi Niemcami swoje porachunki z Żydami załatwiali też Ukraińcy i Litwini, egzekucja goniła egzekucję, masakra masakrę, najstraszniejsze były na podwileńskich Ponarach. Nie wiadomo, ilu w tym czasie Żydów zginęło, zapewne od pół miliona do miliona. Równocześnie trwała w Generalnej Guberni rzeczowa, przemyślana, prozaiczna likwidacja Żydów, prowadzona wszystkimi możliwymi sposobami. Młot uderzał raz za razem; w miastach, wsiach, w miasteczkach trwało nieustanne, ani na chwilę niczym nie łagodzone polowanie na ludzi. Najstraszniejsze jednak apogeum nastąpiło w roku następnym.

W styczniu 1942 roku odbyła się w podberlińskim Wannsee, przełożona nieco ze względu na Pearl Harbor, konferencja poświęcona „ostatecznemu rozwiązaniu” kwestii żydowskiej, co się po niemiecku zwało *Endlösung*. Unicestwienie Żydów zostało zdecydowane już wcześniej, tu postanowiono je przyspieszyć. Małe obozy koncentracyjne, a było ich ponoć 1634 – nie wystarczały. Zbudowano sześć wielkich: Auschwitz, Majdanek, Treblinka, Chełmno, Sobibór, Bełżec. Zainstalowano w nich komory gazowe i krematoria o niebywałej wydajności. Wedle Rudolfa Hessa, komendanta KL Auschwitz, pięć komór gazowych, którymi dysponował, uśmiercało w przeciągu doby sześćdziesiąt tysięcy ludzi.

Nie znam i nie chcę znać Auschwitz. Ale bardzo niedługo po wejściu Rosjan oglądałem Majdanek. Największe wrażenie zrobiła na mnie właśnie komora gazowa, a w czasie okupacji widziałem przecież niemało. Schludna, z siatką przewodów rzekomo wodociągowych pod sufitem, z masywnymi, chyba podwójnymi drzwiami, przez które żaden krzyk ani jęk nie mógł się przedrzeć. Ludzi przywożono na sławną, obecną w każdym obozie rampę kolejową, najsilniejszych zatrzymywano do pracy, resztę rozbierano do naga, kobiety strzyżono i pędzono do „łaźni” z papierowym ręczniczkiem w rękę. Czy już wtedy rozumieli swój los? Wedle literackich relacji ci, wiezieni z daleka, z Francji, Belgii, Holandii, naprawdę myśleli, że jadą do pracy, domagali się realizacji wcześniejszych obietnic, widzenia z komendantem obozu itd. Polscy Żydzi nie mieli chyba takich złudzeń. Chyba. Skazańców starano się łudzić do ostatniej chwili, żeby uniknąć ewentualnego buntu, zrywu rozpaczy. Na końcu pakowano ich w straszliwej ciszy do środka i zamykano drzwi.

O ile istnieje pokaźna literatura poświęcona gettu, to relacji z ostatniego etapu jest stosunkowo niewiele. Nikt nie przeżył samej komory gazowej, nie przeżyli też świadkowie, obsługujący komorę i krematorium Żydzi, bo także byli sukcesywnie zabijani. Zachowali się bardzo, bardzo nieliczni i ze zrozumiałych względów byli skrajnie powściągliwi w swoich relacjach. Komory i krematoria stanowiły strefę zamkniętą i bardzo ściśle strzeżoną. Ich straszliwych czynności można się raczej tylko domyślać, ale skala tego makabrycznego procederu przerasta możliwości wyobraźni.

Na początku 1943 roku na terenie Generalnej Guberni i terenach włączonych do Rzeszy zostało około pół miliona Żydów. Ale byli jeszcze inni, w krajach Europy Wschodniej i Zachodniej. Maszyna do zabijania nie zatrzymywała się ani na chwilę, lokalne władze uzależnione od Niemców opierały się słabo i ostatecznie zawsze kapitulowały – w jednych krajach później, w drugich wcześniej. Ale i na terenach Polski było jeszcze sporo ludzi do zabicia. Rzecz szczególna, w miarę jak zbliżała się klęska hitleryzmu, ludobójstwo stawało się jeszcze

szybsze i bardziej nerwowe, jakby chciano sprostać zapowiedzi Hitlera, że niezależnie od rezultatu wojny Żydzi w Europie wyginą. Równocześnie postępowało także likwidowanie nieużytecznych już obozów i zacieranie śladów, zbyteczne, bo przecież nadaremne. Jeszcze w obliczu oczywistej już klęski pędzono więźniów do Niemiec, by tam ich tym skuteczniej zgładzić. Nic racjonalnego o tym powiedzieć nie można.

Ostatecznie zgładzono około sześciu milionów ludzi, dokładniej określić tego nie sposób. Właściwie cała żydowska społeczność Europy została zamordowana.

Przerażające szczegóły można by mnożyć bez końca. Napisano na ten temat ogromnie wiele książek, rozpraw i artykułów, właściwie całe półwiecze zostało zdominowane przez holocaust. A nie zanosi się wcale na zakończenie tego tematu. Sama organizacja zagłady to biurokratyczna epopeja sama w sobie. Organizacja transportu, przede wszystkim kolejowego. Wielkie pytanie, dlaczego alianci nie próbowali Niemców powstrzymać, bo, częściowo przynajmniej, mogli. Były bombardowane zakłady chemiczne w Oświęcimiu, o parę kilometrów od obozu zagłady, czemu bodaj przy okazji nie zbombardowano komór gazowych? Powstały specjalne trybunały do sądzenia winnych, specjalne organizacje ścigające przestępców i na odwrót – inne organizacje ułatwiające katom ucieczkę. Specjalne prawa, specjalna literatura, specjalne odszkodowania, specjalne instytuty pamięci. Jeszcze długo będziemy borykali się z tą problematyką. A nade wszystko wiele było już odpowiedzi na pytanie, dlaczego Żydzi nie walczyli, a wszystkie niepełne, wszystkie niezrozumiałe dla normalnego człowieka.

Więc tak, było rzeczywiście powstanie w getcie warszawskim. Działo tam parę organizacji, przede wszystkim ŻOB – Żydowska Organizacja Bojowa dowodzona przez Mordechaja Anielewicza, ale i Żydowski Związek Bojowy pod wodzą Pawła Frenkla. Przeszkadzały one w deportacji Żydów, ale tymczasem już i tak getto opustoszało, było w nim ledwie kilkadziesiąt tysięcy odseparowanych od świata ludzi. 19 kwietnia 1943 roku Niemcy wkroczyli do getta, by je zlikwidować zupełnie. Wtedy nędznie uzbrojeni powstańcy stawili opór, który przeciągał się do połowy maja. Anielewicz ze swoim sztabem popełnił samobójstwo. Chyba najbardziej wstrząsającą relację dał Kazimierz Moczarski w swoich ROZMOWACH z KATEM. Kat – to generał SS Jürgen Stroop. Była to pierwsza militarna akcja Żydów od setek lat... Od ponad tysiąca lat. Podobny zryw, na o wiele mniejszą skalę, nastąpił w getcie białostockim.

Jedyny ocalały człowiek z dowództwa powstania w warszawskim getcie, doktor Marek Edelman, nie chce używać wielkich słów. Powiada, że wszyscy byli śmiertelnie przerażeni, że właśnie strach, a nie bohaterstwo, był substancją najbardziej uchwytą i obecną. O żadnej równorzędnej walce, o żadnej wierze w zwycięstwo nie było i nie mogło być mowy. Na czym więc mieli się wesprzeć Żydzi w innych miejscach i wypadkach?

Problematyka zagłady jest tak ogromna, że przytłacza chyba wszystko, co do tej pory o Żydach napisano, a napisano mnóstwo. Każdy człowiek cierpi i umiera osobiście, na własną niejako rękę, a skoro zginęło sześć milionów ludzi, to do opisania byłoby sześć milionów osobnych tragedii, sześć milionów poszczególnych historii o męce i śmierci. To za wiele nawet, by to wyliczyć, same nazwiska ułożyłyby się w długi rząd tomów...

Ale w wyniku tego wszystkiego dokonało się coś po raz pierwszy w historii: sumienie świata zostało rzeczywiście wstrząśnięte, a ci, których to nie obeszło, nie mogli sobie odtąd pozwolić na jawne lekceważenie tego, co się stało. Po prostu wszyscy poczuli się mniej czy więcej winni, jedni bezpośrednio, drudzy przez zaniechanie, trzeci przez to po prostu, że żyli ówczesnie na świecie i byli ludźmi. Bo ogrom zbrodni musiał zaowocować pytaniami w największej metafizycznej, eschatologicznej skali. Nie dało się tego łatwo wbudować ani w historię Żydów, ani w historię kogokolwiek.

Do tego jednak historia dopisała ponury załącznik: dalsze losy Żydów w Polsce. Na pozór zupełnie niezrozumiałe. W Polsce Żydów zabijano nadal – przynajmniej tak to wyglądało. Zdarzył się jeden prawdziwy pogrom Żydów, jako Żydów, z uzasadnieniem tak już zwierzyłem się, że podejrzewano prowokację. Jak zwykle: zaginęło dziecko chrześcijańskie i podej-

rzewano Żydów o mord rytualny. Dziecko zwyczajnie się znalazło, ale tymczasem dokonano kilkudziesięciu morderstw. Był to smutnej sławy pogrom kielecki roku 1946. Równocześnie ruch oporu przeciw Polsce Ludowej dokonuje wielu egzekucji Żydów.

Czy rzeczywiście Polska była jedynym krajem, którego nie poruszyła tragedia holocaustu? Nie, Polska też doznała tego wstrząsu, za krzywdą Żydów stała po prostu krzywda Polaków. Żydzi stali się po wojnie zaufanymi komunistów rosyjskich i funkcjonariuszami aparatu przemocy. Zapewne, nie wszyscy Żydzi, ale fama wiązała ich, nie bez racji, z nowymi, komunistycznymi czy też pseudokomunistycznymi władzami. „Biali” nie zabijali po prostu Żydów, ale komunistycznych funkcjonariuszy. Utożsamianie komunistów z Żydami było tylko częściowo słuszne, na tyle jednak, że kto chciał zabijać, mógł uważać, że ma „czyste sumienie”, a kto to rozgrzeszał, też micwał swoje racje. Żyd nadal był wrogiem.

I kiedy sytuacja znowu się zmieniła, to Polacy nie umieli zapomnieć swoich krzywd i urazów. Pielęgnowali po prostu zemstę, którą partie polityczne nazywają, nie wiadomo czemu, „sprawiedliwością”. Całe stulecie dwudzieste było pod tym względem podłe, nawarstwiły się wszelakiego rodzaju, na ogół wstrętne, uczucia, animozje, urazy i nieporozumienia. Trzebaż nieszczęścia, żeby po takiej krwawej łaźni Żydzi chodzili w glorii „triumfatorów” i krzywdzicieli, jak się Polakom zdawało. Tak naprawdę w żadnej glorii chodzić nie mogli, przeciwnie, straszliwe urazy wielu z nich doprowadziły do samobójczej śmierci. Ale udręczeni Polacy odkryli w nich kolejnego wroga...

Na samym początku Polski Ludowej trwała krwawa wojna domowa, wspierana przez oficerów rosyjskich, a często żydowskich. Ale życie, także żydowskie, trochę się ocknęło. W Lublinie, w którym często podówczas bywałem, na głównej ulicy wisiał olbrzymi transparent, który mnie bardzo intrygował: „Wrócił Morajne!” Okazało się, że to była znana lubelska kolektura loterii państwowej. Powstały żydowskie organizacje kulturalne, a przechodząc ulicą Lubartowską do Gimnazjum Biskupiego, do którego uczęszczałem, mijałem całą kamienicę żydowskich organizacji i urzędów. Wszystko to jednak nie miało przyszłości. Organizacje upadały, a Żydzi myśleli tylko o jednym: o najspieszniejszej emigracji. Ci, którzy zostali, byli już spolonizowani do tego stopnia, że właściwie trudno ich nazwać Żydami...

Ale przyszedł rok 1968, rok małodusznych rachunków za wszystko. Na szczęście tym razem nie połała się krew, tej hańby los nam oszczędził. Ale ruszyły z warszawskiego Dworca Gdańskiego pociągi uwożące naszych przyjaciół, bo inteligencja polska przynajmniej wyzbyła się już raka antysemityzmu i szczerze oburzała się na to, co się stało. Żydzi, a bardzo często Żydzi rzekomi, uwozili w sercach gorycz, poczucie krzywdy i żalu. Do ziemi, która miała być dla nich matką, a stała się macochą. Do ludzi, którzy mogli być braćmi, a nie chcieli lub nie potrafili. Do spopielenych szczątków kultury, która nie stała się wspólna. Do zmarnowanych skutków holocaustu.

Ziemia obróciła się raz jeszcze i teraz Polacy uskarżają się na żydowską „niewdzięczność”. Ale powtarzany często przed kilkudziesięciu laty na Dworcu Gdańskim zwrot: „ziemia jest okrągła”, miał znaczenie o wiele głębsze, bo pełne nadziei powrotu.

Hitler powiadał podobno o Streicherze, wydawcy złowrogo antysemitckiego tygodnika DER STÜRMER, skazanego na śmierć w Norymberdze, że „idealizuje Żydów”. Ciekaw jestem, kiedy doczekam się równie wyrafinowanego komplementu i kto go wypowie?

To, co było, zapewne po prostu być musiało. Wskazywałem na posępne oblicze historycznego fatalizmu, pomnożone jeszcze w późniejszej legendzie. Ale warto na to spojrzeć i z innej strony: Żydzi w Polsce, ogólnie biorąc, byli jednak bardziej u siebie niż w innych krajach. Różni byli polscy królowie, mądrzejsi i głupszy, lepsi i gorsi, ale bodaj nie było wśród nich ani jednego prześladowcy Żydów. Nie był antysemitą Józef Piłsudski, chyba nawet nie był i Władysław Gomułka, przecież żonaty z Żydówką!, chociaż – jak wiadomo – to on jest odpowiedzialny za rok 1968. Polskie państwo podziemne uznało „szmalcownictwo” za zbrodnię karaną bezwzględnie śmiercią. Jeden z przywódców przedwojennej prawicy, autentyczny

antysemita Jan Mosdorf, został rozstrzelany w Auschwitz właśnie za pomaganie Żydom! A osławiony pisarz antysemicki, zresztą bardzo wybitny, Adolf Nowaczyński w czasie wojny także stał się opiekunem i dobroczyńcą Żydów. Nie były to wypadki odosobnione.

Zresztą trzeba powiedzieć sprawiedliwie, że generalnie biorąc, inteligencja polska, szczególnie literacka, co w Polsce wiele znaczyło, odnosiła się do Żydów bez uprzedzeń. Julian Ursyn Niemcewicz pisze przychylną powieść LEJBE I SIORA, najwięksi poeci romantyczni, jak Adam Mickiewicz i Cyprian Kamil Norwid, piszą o narodzie żydowskim per „starszy brat”. Motywy żydowskie znajdujemy u Orzeszkowej i Wyspiańskiego, nie mówiąc o późniejszych czasach, kiedy polsko-żydowski sojusz literacki stał się faktem niezaprzeczalnym, owocował wielkimi przyjaźniami artystycznymi, dziełami wysokiego lotu i trwałymi sympatiami milionów czytelników. Ale są też tacy pomyłeńcy, którzy każdego co wybitniejszego Polaka uważają za Żyda... Bodaj rozciągnęło się to nawet na Karola Wojtyłę, skoro ten jako pierwszy w dziejach papież odwiedził synagogę.

Ale kto wie, czy to rzeczywiście o antysemityzm chodzi, może jest to ogólniejszy problem ksenofobii, właściwy w mniejszym czy większym stopniu wszystkim narodom świata i nasilający się w miarę okoliczności. Po stuleciu niewoli czegoż można by się spodziewać?

Syjon

Od czterech tysięcy lat, od obietnicy, którą Bóg złożył Abrahamowi, to najruchliwsze, najmniej związane z jakimkolwiek krajem plemię jego potomków miało jedną, niemal wszechmocną obsesję terytorialną: Ziemia Obiecana. Cała nauka, literatura i wiara Żydów obracała się wokół tej osi, której centrum znajduje się w Jerozolimie, dokładnie Na Skale, gdzie składano niegdyś w ofierze Izaaka, a potem stanęła Świątynia. O tym najświętszym z miejsc Żydzi myśleli zawsze, gdy przyszło im wędrować, a wędrowali wiele, na ogół nie z własnej woli. Egipt, Babilonia, Rzym, Indie, Europa i obie Ameryki były świadkami, jak rokrocznie życzyli sobie spotkania przyszłego roku w Jerozolimie. Było to kanonem ich wiary, a wierzyli także, że ma ich tam zaprowadzić wytęskniony Mesjasz.

O mój wymarzony, o mój wytęskniony, czy kto kocha cię jak ja? – nawet w błażej piosence kołacze się wprawa w wielkim czekaniu.

Ale dopiero w dziewiętnastym wieku, stuleciu emancypacji i laicyzacji, zaczęła początkowo nieśmiało pojawiać się świętokradcza myśl, że upragnione terytorium można by zyskać także bez pomocy sił nadprzyrodzonych. Był to zamysł tak karygodny, że pobożni chasydzi widzieli w nim pokusę diabelską: Samael nie mógł prześladowaniami zepchnąć narodu wybranego ze słusznej drogi, dlatego zyskał u Najwyższego zezwolenie na użycie bardziej wyrafinowanej pokusy. Ale szatańskie zakusy stawały się coraz bardziej nęcące w miarę tego, jak okazywało się, że Żydzi właściwie nigdzie ani nie są u siebie, ani nie są bezpieczni. A duch czasów nowożytnych sprawił, że przestrogi i klątwy pobożnych brzmiały słabo.

W grę wchodziło także jakiegokolwiek terytorium bezpieczne, a ponieważ niekoniecznie miała to być Ziemia Święta, zastrzeżenia religijne przestawały się liczyć. Bodaj pierwszym, który wpadł na tę myśl, był amerykański dziennikarz żydowski, człowiek wielu zawodów, Mordecai Noah, który w 1816 roku chciał założyć „miasto schronienia dla Żydów” na wyspie rzeki Niagara. Potem już sypnęły się pomysły rozmaite. W grę wchodziło pogranicze Egiptu, Cypr, Uganda, Argentyna... Jak można się spodziewać, wszystkie te pomysły odrzucono. Ale był wiek dziewiętnasty i jeszcze zakładano kolonie. Co prawda najpierw musiało być terytorium, a następnie przyjeżdżali osadnicy. Tu byli tylko kandydaci na osadników. W nowszych czasach założono tak tylko jedno państwo – Liberię. Ale to nie był nazbyt świetlany przykład. Ewentualne państwo żydowskie, o którym na razie pisali tylko utopiści, miało być państwem bezpieczeństwa, zgody i pokoju, stanowiąc pod tym względem przykład dla świata. Lewicowcy i przyszli rewolucjoniści uważali, że to wszystko bzdura, ale projektów i pomysłów pojawiało się coraz więcej. Wszystkie one wskazywały zgodnie na turecką ówczesnie Palestynę.

W owym czasie jednak żydowski stan posiadania był w Ziemi Świętej szczególnie niski. W stuleciach, które upłynęły od upadku powstania Bar Kochby, osadnictwo żydowskie w Izraelu stopniowo malało, utrzymało się raczej na północy kraju, w Tyberiadzie, Galilei, nad jeziorem Genezaret. Główne żydowskie centra były w tym czasie na południowym wschodzie, w Persji, starej babilońskiej Mezopotamii i na zachód – w Egipcie. Potem zmieniało się to zależnie od okoliczności. Bywało i tak, że całe żydowskie zaludnienie Jerozolimy składało się z dwu braci farbiarzy. Przez cały czas jednak zasilane było przez pielgrzymów, którzy często zostawali na dłużej. Zawsze też biedne palestyńskie gminy mogły liczyć na wsparcie

diaspory, przez całe bowiem tysiąclecia płynęły składki mniejsze lub większe. Sama Jerozolima po zburzeniu przez Tytusa zmartwychwstawała na tych samych mniej więcej fundamentach, odbudowywana przez Rzymian, Greków, Arabów, krzyżowców, mameluków i ostatecznie Turków. Dla wszystkich była przecież miastem świętym, choć jej świętość z różnych wpływała przesłanek.

W szesnastym i siedemnastym wieku północnogałilejskie miasto Safed (dawniej Safad) przeżyło wielkie dni, ponieważ tam właśnie było centrum odnowionej Kabały Izaaka Lurii i równocześnie odświeżonego TALMUDU Józefa Karo. Na stałe mieszkało tam wielu Żydów, a równocześnie Safed stał się niebagatelnym miejscem pielgrzymkowym. Ale na początku dziewiętnastego wieku i to było przeszłością. Mury Jerozolimy po raz ostatni wzniesione przez Sulejmana Wspaniałego w szesnastym wieku powoli szły w rozsypkę. Kraj był zdewastowany, ziemia wyjałowiona, a wszystkie lasy i drzewa wycięte. Krajem rządzą tureccy paszowie, a były to rządy przekupne i prowincjonalne. Przywódcy lokalni, Arabowie i Beduini, rządzą się we własnych, praktycznie niezależnych okręgach.

Angielski bogaty Żyd, sławny filantrop sir Moses Montefiore, w roku 1839 został autorem planu utworzenia kolonii żydowskiej w Palestynie. Tenże Montefiore, sławny z długowieczności, bo żył przeszło sto lat, pobudował także wiatrak na jerozolimskiej górze Syjon. Nie jest to ów Syjon, na którym zbudowano Świątynię, ale inna góra, także święta, poza murami Jerozolimy. A pozostała poza murami na skutek oszczędności zarządu miasta, kiedy Sulejman rozkazał wybudować mury. Otóż ów Montefiore tu właśnie ufundował osiedle mieszkaniowe, a wiatrak przydał do mielenia mąki. Niestety, okazało się, że został usytuowany w miejscu bezwietrznym, więc nie miał zbóż na mąkę, ale został za to jednym z symboli Jerozolimy.

Jeszcze większe inwestycje zostały poczynione przez ród Rotschildów; prawdziwe prywatne kolonie, które jednak ostatecznie zostały później подарowane społeczeństwu. Uważa się, że żydowski nacjonalizm w Palestynie narodził się, kiedy w 1878 roku grupa Żydów, zresztą miejscowych, bo z Jerozolimy, założyła pierwszą kolonię wiejską Petah Tiqwa. Początkowo było bardzo mało Żydów, kilkanaście, kilkadziesiąt tysięcy, ale w 1881 roku nastąpiły wielkie prześladowania w carskiej Rosji i w ślad za tym duża fala emigrantów zasilła Palestynę. Była to tak zwana Pierwsza Alija, czyli „wstąpienie”. Zresztą tak zawsze układało się w dziejach, że prześladowani Żydzi powracali nad Jordan. Zwłaszcza wypędzenie z Hiszpanii w roku 1492 skierowało na turecki wschód, a tym samym i do Palestyny, wielką falę sefardyjskich wygnańców. Teraz po Pierwszej Aliji przyszła i Druga, w roku 1904, a potem następne i tak to trwa aż do dzisiaj.

W roku 1895 wiedeńczyk Theodor Herzl (1860–1904) napisał książkę DER JUDENSTAAT, od której datuje się powstanie syjonizmu i w następstwie państwa żydowskiego, którego Herzl jest promotorem i ojcem. Herzl był dziennikarzem, niezależnym finansowo dzięki bogatemu małżeństwu. Osobiście nie znał ani jidysz, ani hebrajskiego, nie praktykował judaizmu, a kiedy u schyłku życia odwiedził synagogę, trzeba mu było podpowiadać tekst modlitw. Swoją książkę napisał pod wpływem procesu Dreyfusa, którego był świadkiem. Ale od tej chwili wszystkie siły poświęcił tworzonemu przez siebie ruchowi. Podróżował po całej Europie, wygłaszał odczyty, organizował spotkania, rozmawiał z politykami. W 1897 roku odbył się w Bazylei Pierwszy Kongres Syjonistyczny, po nim przyszły następne. Co prawda żartowano, że jest to prawdziwa armia żebraków, bo ostatecznie to nie bogaci i kulturalni Żydzi wyjeżdżali, ale wschodnioeuropejska biedota. Żartowano, że syjonista to jest taki Żyd, który drugiego Żyda wysyła do Palestyny za pieniądze trzeciego Żyda. Szło to widać opornie, skoro w roku 1917, roku deklaracji Balfoura, liczba żydowskich mieszkańców Palestyny nie przekroczyła stu tysięcy.

W Europie było Żydów mniej więcej osiem milionów, a nowe centrum tworzyło się w Ameryce Północnej. Ale Ameryka stanie się niezmiernie ważna dla Izraela dopiero w połowie dwudziestego wieku. Na razie liczyły się: Rosja, Wielka Brytania i Niemcy. Rosja dlatego, że

tam po prostu było najwięcej Żydów, ewentualnych przyszłych obywateli nowego państwa, Wielka Brytania, bo była największym imperium kolonialnym świata, a Niemcy, bo tu się mieściło intelektualne centrum żydowskie. I nie tylko, bo Prusy Wilhelma II prowadziły politykę zbliżenia z Turcją, a przecież Palestyna leżała w Turcji. Interwencja niemiecka mogła być bardzo skuteczna i rzeczywiście nastąpiła. Okazało się jednak, że Turcja nie bardzo chce widzieć u siebie niezależnych Żydów; o państwie nie było jeszcze mowy, co najwyżej o autonomii. Niemcy w trosce o przyjaźń turecką zrezygnowały z interwencji. Równocześnie Rothschild popiera Herzla w Anglii i zaczyna się gra kartą angielską.

W 1914 roku, w momencie wybuchu pierwszej wojny światowej, Turcja opowiada się po stronie Niemiec i tym samym wydaje na siebie wyrok. W tym czasie należy jeszcze do niej cały Bliski Wschód, jest więc kolosem, ale na wyjątkowo glinianych nogach, o przestarzałej gospodarce i administracji, bez reszty skorumpowanym i trzymającym się tylko siłą bezwładu. Sympatie Żydów są w tym czasie co prawda po stronie Niemiec, ale w Anglii powstaje plan rozbioru imperium tureckiego. Anglia staje się więc oficjalną opiekunką syjonizmu, chociaż w całym tym regionie byli na razie tylko Arabowie i to przede wszystkim im Anglicy składali wielkie obietnice. Dzieje wojny na Półwyspie Arabskim poznajemy ze znakomitej książki archeologa, pisarza i żołnierza Thomasa Edwarda Lawrence'a, sławnego Lawrence'a z Arabii, pt. SIEDEM FILARÓW MĄDROŚCI. O Żydach jest tam ledwie wzmianka.

Wedle Lawrence'a Anglicy oszukali Arabów. Ale nie wypadli najczyściej i wobec Żydów; w ogóle zresztą składali obu stronom sprzeczne obietnice. Sprawa żydowska stała się przedmiotem bardzo „cienkiej” i skomplikowanej gry politycznej, dzięki której ostatecznie powstała sławna deklaracja brytyjskiego ministra spraw zagranicznych Arthura Jamesa Balfoura z 2 listopada 1917 roku, uznająca prawo do „narodowej siedziby dla ludu żydowskiego” w Palestynie. W miesiąc później generał Allenby zdobył Jerozolimę. W tym czasie Palestyna liczyła sześćset tysięcy mieszkańców, w tym Żydów była niespełna jedna szóstą. A właściwie na skutek tureckiego terroru ich liczba zmalała do sześćdziesięciu tysięcy, to się zresztą ciągle zmieniało, na przykład Druga Alija z 1904 roku przyniosła aż czterdzieści tysięcy imigrantów. Tymczasem Rothschild podarował swoje kolonie i osady Żydowskiemu Towarzystwu Kolonizacyjnemu, powstawały tam także fabryki i przedsiębiorstwa.

W 1909 roku założono pierwszy kibuc – Degania, i w tym samym roku zaczęto budować nowoczesne przedmieście Jafy – Tel Awiw. Oprócz Deganii powstawały teraz inne kibuce i tzw. moszawy, odmienne od kibuców gospodarstwa kolektywne o różnych proporcjach indywidualnej i wspólnej własności. Kibuce miały być najoryginalniejszą formą gospodarowania, spełniając przy tym bardzo złożone role strażnic, a także ośrodków wychowawczych i edukacyjnych dla imigrantów. Miały swoją rozległą legendę, swoje osobliwości, obyczaje i odrębności. Chyba były wyrazem lewicowo-równościowych tendencji, ale godzi się przypomnieć, że powstały znacznie wcześniej niż radzieckie kolchozy i sowchozy. Miały też z gruntu odmienne wyniki gospodarcze. Ale też rękę micwały twardą.

Mój starszy przyjaciel, który trafił do Izraela z armią polską w czasie wojny, a potem wrócił do pozostawionej w Polsce dziewczyny, został skierowany do kibucu na naukę ogrodnictwa. Ponieważ jednak był skrzypkiem, praca na roli niezbyt mu odpowiadała i marzył tylko, żeby się z tego kibucu wydostać, ale nie pozbawić się prawa do opieki. Wziął się więc na sposób. Kiedy wysłano go do pielienia marchewki, bardzo skrupulatnie powyrywał całe warzywo, zostawiając nietknięte chwasty... Zrobiła się straszliwa awantura i jako szkodliwego wariata wylano go na zbitą twarz z kibucu...

Palestynę zamieszkiwała, oczywiście, ludność różnego autoramentu. W Jerozolimie już wtedy liczyła się społeczność pobożnych, osiadła w dzielnicy Mea Szearim, czyli Sto Bram, gdzie i dzisiaj mieszkają Żydzi nie uznający w ogóle państwa Izrael jako niepobożnego. Zwrócili się oni do Allenby'ego z prośbą o wysłanie statku do Triestu, gdzie można było rzekomo kupić najodpowiedniejszy mirt niezbędny wraz z liściem palmy i etrogiem-cedratem do

uczczenia Święta Szalasów. Ale po prawdzie, co w tym właściwie tak bardzo dziwnego? Czyż my nie sprowadzamy choinek z Danii? Czym mirt gorszy od jodły?

Theodor Herzi nie doczekał się utworzenia niezależnego Izraela. Zastąpił go Chaim Weizmann (1874–1952), profesor chemii, uczestnik konferencji międzynarodowych, gorliwy propagator syjonizmu, a z czasem pierwszy prezydent Izraela. Na drodze do niepodległości rozpościerał się jeszcze brytyjski mandat Ligi Narodów, na mocy którego Anglia dysponowała Palestyną od 1919 do 1948 roku. W tym czasie wykrystalizował się już całkiem konflikt żydowsko-arabski. Można by rzec, że jest to problem odwieczny, jeszcze z samego początku dziejów. Przypomnijmy, że Abraham nie mógł się doczekać dziedzica, a był już stary; wtedy jego równie stara żona Sara podsunęła mu niewolnicę Hagar, która urodziła chłopca, Izmaela. Ponieważ później w wyniku cudownej interwencji i sama Sara zaszła w ciążę i urodziła Izaaka, a stosunki między obiema kobietami były fatalne, Abraham wypędził Hagar wraz z chłopcem. Dalsze jego dzieje obfitowały w cuda, ale tu ważne jest, że Izmael – ojciec Arabów, i Izaak – ojciec Żydów, byli przyrodnimi braćmi. Stosunki rodzinne u Semitów, by przypomnieć Kaina i Abla, Jakuba i Ezawa czy Józefa i jego braci, były dość specyficzne. Stosunki dwóch bratnich narodów były właściwie takie same. Im bliżej, tym gorzej. Jeden praojciec, jedno święte miasto, podobna religia, więc perspektywy rysują się smutno.

Konflikty z Arabami trwają przez całe dzieje. Współcześnie sytuacja układała się tak, że Żydzi wcześniej sformułowali zasady swojego narodowego państwa, ale pierwotnie na jego ewentualnych terytoriach mieszkali prawie wyłącznie Arabowie; władza była i tak turecka, a następnie angielska, brakowało jednak organizacji arabskiej. W 1911 roku powstała organizacja młodoarabska Al Fatah, wzorowana na młodoturkach. Po pierwszej wojnie światowej jej centrum było w Damaszku, gdzie mandat sprawowali Francuzi. W 1921 roku powstała Transjordania, która następnie w 1946 roku przekształciła się w królestwo Jordanii ze stolicą w Ammanie. Tymczasem napływali dalsi imigranci żydowscy, zaś Arabowie zaczęli ich atakować. Rodziły się niezliczone konflikty związane z wykupem ziemi, bo przecież Żydzi musieli każdą piędź ziemi kupić.

Po pierwszej wojnie światowej nastąpiła Trzecia Alija i liczba Żydów potroiła się, a następnie Czwarta w latach 1924–1928, głównie z Polski, która wówczas dawała miarę tradycyjnej, demokratycznej i narodowej tolerancji. Niezręczność brytyjskiej dyplomacji spowodowała, że Wielkim Muftim Jerozolimy został żydożerca Hadż Amin, który zresztą w równym niemal stopniu prześladował arabskich zwolenników kompromisu, a zagrożony brytyjskim bardzo niewczesnym aresztowaniem schronił się u swojego przyjaciela i protektora Adolfa Hitlera w Berlinie. Anglicy musieli ponosić konsekwencje swojego celnego wyboru, ale właściwie nigdy nie zrezygnowali z gry na obie strony i nie tylko utrudniali transport broni dla Żydów, ale odsyłali całe statki uchodźców wprost do niemieckich obozów.

Atakowani od początku lat dwudziestych Żydzi musieli się bronić. I tu trzeba wymienić dwa wielkie dla Izraela nazwiska: Włodzimierz Ze'ew Żabotyński i Menachem Begin. Nie byli oni wysłannikami pokoju. Żabotyński (1880–1940), dziennikarz, literat o wyniszczonej, zacieklej twarzy, pochodził z Odessy. Wspomagał go jednoręki Józef Trumpeldor, na cześć którego wzniesiono w Izraelu pomniki: brał udział w pierwszej wojnie światowej, dowodząc forsowaniem Jordanu, następnie założył Legion Żydowski, a po jego rozwiązaniu przez Anglików – Haganaę, tajną armię żydowską, później założył partię Syjonistów-Rewizjonistów, bardzo radykalną... Ale przecież nie ma sensu opisywać wszystkich niezmiernie licznych partii i partyjek politycznych czy referować ich podejrzanych i zmiennych, jak to w polityce, orientacji. Chaos w każdym razie panował straszliwy: żydowski, arabski i brytyjski, przebiły się najróżniejsze programy polityczne, konkurowały ze sobą terroryzmy zmiennej maści. Nie całkiem było jasne, kto do kogo strzela i z jakich powodów.

Kiedy arabscy ekstremiści wymordowali Żydów w Hebronie, Żabotyński założył podziemną terrorystyczną organizację Irgun Cwaj Leumi, która razem z Haganaą i Lohamei Herut

Israel przystąpiła z czasem do organizowania zamachów bombowych, egzekucji i porwań w celu oswobodzenia się od Brytyjczyków. Ale to było później, na razie dotarła do Izraela Piąta Alija (1933) uchodząca przed hitleryzmem. Zamęt był niebotyczny, ale kraj powoli rozwijał się dzięki pomocy Żydów z całego świata. Krzepły związki zawodowe, służba zdrowia, szkoły i instytucje kulturalne, nie mówiąc już o rolnictwie, które rozkwitało, wspomagane przez lepszych ogrodników niż wspomniany już mój przyjaciel.

Szczególnie godne uwagi są osiągnięcia w rozwoju języka narodowego, którego Żydzi – podobnie jak terytorium – nie mieli. Przecież początkowo wchodziły w grę różne języki, bo hebrajski był tylko językiem liturgicznym i nawet w czasach Jezusa Judea mówiła już po aramejsku. Odrodzenie hebrajszczyzny, będące dziełem tak wielkim, że wręcz nieprawdopodobnym, dokonało się stopniowo dzięki wysiłkom wielu ludzi. Wśród nich pierwsze miejsce zajmuje Eliezer Ben Jehuda, który przybył z Litwy w 1881 roku, a więc już z Pierwszą Aliją; to on zaadaptował do potrzeb hebrajskiego mnóstwo nowych pojęć, on napisał pierwszy słownik hebrajski. Jego dziecko było pierwszym człowiekiem, dla którego hebrajski stał się językiem ojczystym. A nawiasem mówiąc, z przewodnika po Tel Awiwie wynika, że przy ulicy Ben Jehudy mieści się „podupadająca dzielnicą prostytutek”. Nie byłem tam, ale podzielał melancholię.

W czasie drugiej wojny światowej Żydom z Palestyny udało się zostać nieco z boku, ale, oczywiście, popierali aliantów; w tych latach bowiem najważniejsze było wspieranie nielegalnej imigracji, tak zwanej Aliji Bet. Poza tym w ogóle nadchodził czas walki z mandatem brytyjskim. Żabotyński już nie żył, ale miał licznych, jeszcze radykalniejszych następców. Wśród nich największe znaczenie miał Menachem Begin, powołujący się na wzór i przykład Jozuego. Ale najwybitniejszym politykiem tamtych czasów był charyzmatyczny przywódca urodzony w Płońsku, Dawid Ben Gurion. I to on właśnie polecił 1 października 1945 roku zaatakować siły brytyjskie. Wyszczono tory kolejowe, a organizacja Beginia Irgun 22 lipca 1946 roku wysadziła w powietrze Hotel Dawida, gdzie mieszkali przedstawiciele administracji brytyjskiej. W efekcie tych i innych licznych wypadków, skomplikowaną grę dyplomatyczną włączając, Anglicy wycofali się, a 14 maja 1948 roku Izrael ogłosił niepodległość. I ZSRR, i USA natychmiast nowe państwo uznały, a Rosja dodatkowo zaczęła zaopatrywać je w broń.

Skrajnie trzeźwy i racjonalistyczny Paul Johnson dwa momenty związane z tworzeniem Izraela uważa za niewiarygodne i cudowne: deklarację Balfoura i uznanie w czterdziestym ósmym roku. Píše: *to było szczęście lub Boska Opatrzność*. Istotnie.

Stosunki z komunistyczną Rosją popsły się po kilku zaledwie miesiącach i właściwie nie nareperowały już nigdy. Można jednak zrozumieć powojenne, powszechne zgoła poparcie dla Izraela: to były przeprosiny i odszkodowanie za holocaust. I tu, gdyby się chciało, można by się dopatrywać czegoś więcej niż zbiegu okoliczności. Można by rzec po prostu, że ofiara została przyjęta. Zapewne wielu Żydów myślało w ten sposób. Tak czy inaczej, niepodległość otworzyła nową kartę, ponieważ zamknęła okres dwutysięcletniej diaspory. Nie całkowicie, bo jak można się było spodziewać, diaspora bynajmniej nie zniknęła, ale przybrała inne proporcje. Zapewne za ileś tam lat to właśnie państwo Izrael roztoczy nad nią swą pieczę, na razie jednak diaspora opiekuje się Izraelem. Ale jaka? Bo w Europie diaspora ogromnie zmalała, w Rosji od lat jest w trakcie emigrowania. Z różnych egzotycznych krajów albo wyjechała już do Izraela, albo jest bardzo nieznaczna. Wygląda na to, że prawie cała diaspora świata skoncentrowała się w Stanach Zjednoczonych.

Dzieje Żydów w Ameryce układały się na tyle odmiennie niż w reszcie świata, że w ogóle nie można tego nazwać diasporą, i autorzy piszący na ten temat szukają innego określenia. Pierwsi imigranci przybyli do Nowego Amsterdamu z Brazylii w roku 1654 i zostali przez Holendrów przyjęci bardzo chłodno. Ale już w 1664 roku kolonia została przejęta przez Anglików, Nowy Amsterdam stał się Nowym Jorkiem i odmieniło się wszystko. Żydzi mieli po

prostu równe ze wszystkimi prawa, a więc nie musieli tworzyć osobnej społeczności. Wprawdzie występowały jakieś wobec nich opory, ale były niewielkie i miały charakter lokalny, tak więc ich sporadyczna obecność nie zmienia ogólnego obrazu. W osiemnastym wieku Żydzi zajęli się wielkim handlem, zarówno zamorskim, jak i kontynentalnym, i osiągnęli na tym polu wielkie sukcesy. Konstytucja 1789 roku stworzyła tak dla nich, jak i dla wszystkich innych rzetelne podstawy równości i rozwoju.

Było ich jednak niewiele – w roku 1820 wszystkiego cztery tysiące. Ta liczba wzrastała względnie szybko, tak że przed wojną secesyjną mieszkało ich już tam sto pięćdziesiąt tysięcy. Byli na ogół Sefardyjczykami, zwolennikami Haskali. Ale już w tym okresie przyjechali do Stanów Żydzi różnych obrządków, tak samo jak protestanci różnego autoramentu, i mieli własne synagogi. Judaizm zreformowany przeważał i później w całych Stanach, aż do dwudziestego wieku, a pewnie przeważa i obecnie. W 1885 roku rabin Kaufmann Kohier powołał tak zwaną Platformę Pittsburską, która nakreślała ogrom przemian. Żydzi wyrzekali się zakazów i nakazów TORY dotyczących jedzenia i ubierania się. Pozostawała oczyszczona wiara w Boga, do przyjęcia dla wszystkich. Przekreślenie ograniczeń obyczajowych sprawiło, że Żyd mógł odtąd przestawać na równi z gojem, nie bojąc się gromów z nieba.

Represje rosyjskie roku 1881 zmieniły sytuację: do Stanów Zjednoczonych w stosunkowo niedługim przedziale czasu przyjechały dwa miliony Żydów, naturalnie przede wszystkim aszkenazyjskich. Żydowska poetka Emma Lazarus witała ich, tak jak i innych imigrantów, sławnym napisem na Statule Wolności. Żydowscy imigranci, chyba przede wszystkim krawcy, w krótkim czasie stworzyli żydowskie centrum Nowego Jorku, skąd docierali we wszystkie strony Ameryki. Dość szybko opuszczali swoje rezerwy biedy. Ale ta masowa imigracja stworzyła też zjawisko amerykańskiego antysemityzmu, którego początki biorą się z oskarżeń Żydów o spekulację w okresie wojny secesyjnej. Nie dałoby się jednak tego amerykańskiego antysemityzmu porównywać z tym, co się działo w innych krajach. Swoiście amerykańską cechą było wielkie zróżnicowanie Żydów, ich poglądów i poczynań – nie mieli przecież powodu przestrzegać jakiejś uniformizacji. American Jewish Committee powstał dopiero w 1906 roku.

Żydzi już w tym czasie zaczęli stawać się potęgą ekonomiczną i prestiżową, mieli wielkie wpływy w bankach, prasie, a zdominowali też całkiem nowy przemysł – kinematografię. W polityce ich wpływy rosły również, ale tu sytuacja była tradycyjnie zmienna, słowem, byli i są normalnymi obywatelami, zawdzięczającymi wszystko sobie samym, a nie jakimś dworskim łaskom. Procentowo nie stanowią jakiegoś imponującego odsetka, w całych Stanach jest ich jakieś sześć milionów. Za to skupili się w wielkich miastach: Nowy Jork stanowi pod tym względem światową stolicę żydowską – mieszka ich tam dwa miliony. Elita żydowska jest drugą elitą amerykańską, tuż za WASP.

Przez cały wiek dziewiętnasty wpływ Żydów na politykę światową, jak zresztą całej Ameryki, był niewielki, liczyły się właściwie tylko państwa europejskie. Ale kongres syjonistów amerykańskich w 1942 roku zapowiadał, że coś się zmieni i w tym zakresie. Tym niemniej stosunek Ameryki do Żydów podczas drugiej wojny światowej i tuż po niej był jakiś dziwny. Domyślam się, że Żydzi mogli być poczytywani za naturalnych sojuszników Związku Radzieckiego, czyli automatycznie wrogów Ameryki. Tak czy owak Izrael przede wszystkim Stalinowi zawdzięcza swoje istnienie i przetrwanie, a w mniejszym stopniu Trumanowi. Dopiero wtedy, gdy sytuacja na lewicy zaczęła się zmieniać, gdy Stalin ocenił, że nie będzie miał z żydowskiego państwa takiej pociechy, jakiej się spodziewał, sytuacja w Ameryce uległa zmianie. Żydzi, mając do wyboru lewicę i narodowe państwo, wybrali zdecydowanie perspektywę Syjonu. Cała międzynarodowa scena spolaryzowała się według tego i Ameryka mogła się stać sojusznikiem, protektorem i przyjacielem państwa Izrael. A nowe państwo, jak kania deszczu, potrzebowało przyjaciół.

Los Izraela rozstrzygał się w konferencyjnych salach międzynarodowych gremiów, w gabinetach możliwych tego świata i nade wszystko w samym Izraelu. Najdziwniejsze państwo świata coraz bardziej zależało tylko od siebie. Konferencja ONZ-towska w roku 1947 proponowała Żydom i Arabom podział kraju, na oko dziwaczny czy zgoła karykaturalny. Chyba żadna ze stron nie mogłaby żyć na terytoriach przypominających w sumie bardzo łaciątką krowę. Alternatywą było wspólne państwo. Praktycznie obie strony wojowały ze sobą i całe terytorium Palestyny było miejscem bitwy. Po wyjściu Brytyjczyków wojska Egiptu, Jordanii, Libanu, Syrii i Arabii Saudyjskiej zaatakowały Żydów. Ale zdecydowanie przegrały i po czterdziestym ósmym roku w rękach żydowskich została większa część kraju, co prawda bez Samarii, Gazy i – co najboleśniej – starej Jerozolimy, w której Legion Arabski starał się nawet zniszczyć zabytki żydowskie. Odtąd były dwie Jerozolimy: żydowska – nowoczesna, i stara – arabska. Na całe lata łączność między nimi się urwała i jedynym punktem kontaktowym była tzw. brama Mandelbauma podobna do Checkpoint Charlie między Berlinem Wschodnim a Zachodnim.

W następnych latach liczba obywateli Izraela wzrosła do siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy i stworzono wszelkie podstawy organizacyjne i prawne nowego państwa. Nowi przybysze pochodzili głównie z państw muzułmańskich, wyglądali niekiedy dziwnie, a przybywali jeszcze dziwniejszymi drogami. Kolejna wojna wybuchła w 1956 roku i była związana z nacjonalizacją Kanału Sueskiego. Izrael wziął w niej udział, ale ten konflikt właściwie niczego nie zmienił, chociaż do Izraela napłynęły nowe fale imigrantów. Natomiast następny konflikt, tak zwana wojna sześciodniowa roku 1967, odmienił wszystko.

Prezydentem Egiptu był wtedy bardzo orientalny pułkownik Naser, beniaminek Związku Radzieckiego. Obie strony dzieliła seria drobnych konfliktów i retoryka. Odpowiedzialność, jak to zazwyczaj bywa, jedna strona zrzucała na drugą. Ale tym razem przeciwnikiem Izraela poza Egiptem była Jordania i Syria. Izrael w przeciągu sześciu dni czerwcowych dotarł do Kanału Sueskiego, zajął zachodni brzeg Jordanu i wzgórze Golan, a co najważniejsze – zdobył całą Jerozolimę oraz święte miasta Betlejem i Hebron. Kolejni Palestyńczycy uchodzili na emigrację, a kolejni Żydzi przybywali do Erec Israel.

Zwycięstwo było błyskawiczne i miażdżące. Władze komunistyczne, przynajmniej w Polsce, wpadły w furję. Ludzie opowiadali sobie bowiem barwne historie o butach wyprodukowanych przez polski „Chełmek”, a gubionych przez żołnierzy egipskich w panicznej ucieczce, o opuszczonych czołgach i porzuconym wyposażeniu. Oczywiście zupełnie nieoficjalnie. Bo zaszła rzecz niezwykła i prawie niemożliwa: Polacy byli dumni ze „swoich” Żydów. To chyba jedyna okazja i jedyny moment, kiedy polski antysemityzm szczył bez śladu. Bardzo, bardzo to osobliwe. Gdy przez stulecia Żydzi byli pokorni, ulegli i właściwie Chrystusowi – nic im to nie pomagało, byli ścigani i pomawiani o wszystko. Ale kiedy się okazało, że to świetni i odważni żołnierze, Polacy zupełnie spontanicznie zaczęli się z nimi utożsamiać.

Bo mimo tego, że z Izraela dochodziły sygnały o jakiejś niewiarygodnej odmianie żydowskiego charakteru, nie bardzo w to wierzono. Opowiadano niezliczone dowcipy o żydowskim wojsku, puszczając perskie oko, i kpiono nadal. Stereotyp bojaźliwego Żyda kształtował się przecież przez tysiąclecia, a zachowanie Żydów w latach okupacji nie poprawiło sytuacji. Żyd, zwyciężając innych nie tylko za pomocą rozumu, ale i *manu militari*, spotkał się z odrochową aprobatą i zrozumieniem. (Nawiasem mówiąc, jak mój naród mógł w ogóle nawrócić się na chrześcijaństwo? Takie Chrystusowe, nadstawiające drugi policzek, miłujące nieprzyjaciół swoje? Tak naprawdę mogło się tu przyjąć jakieś zupełnie inne chrześcijaństwo, może nie Torquemady, ale brata Jałowca czy Godfryda de Bouillon, a najpewniej jakiegoś ojca Maślaczka.)

Zdaje się, że nastroje polskie podzielał świat. Po zakończeniu tej wojny do Izraela zaczęli ścigać turyści, pielgrzymi i nowi osadnicy. Państwo dowiodło, że jest silne i odporne. Problem arabski pozostał, a polaryzacja światowych ośrodków politycznych dobiegła szczytu:

Izrael był amerykański, świat arabski – radziecki. Sam Kanał Sueski przez kilka następnych lat nie był używany. Na wszystkich granicach Izraela toczyły się ospale działania wojenne, grożąc młodemu państwu krańcowym wyczerpaniem. Wreszcie znakomity dotąd wywiad izraelski zasnął i wojska egipskie i syryjskie zaatakowały w 1973 roku, w święto *Jom Kippur*, spędzane przez żołnierzy żydowskich na modlitwach. W pierwszych dniach doszło do sromotnej klęski, potem przyszedł błyskawicznie najnowszy sprzęt amerykański i szanse się wyrównały. Władze żydowskie straciły twarz i odeszła kobieta-premier Golda Meir. Za to władze egipskie zyskały na znaczeniu, co sprawiło, że egipski prezydent Anwar Sadat zawarł z Izraelem pokój w 1979 roku. Pokój ten trwa do dzisiaj. Późniejsze sprawy także mniej więcej zdają się iść w kierunku pokoju, największy wróg Izraela Jasir Arafat zawarł z nim pokój, ale sytuacja w dalszym ciągu pokoju nie przypomina. W tym szczególnym regionie świata prawdziwego pokoju na dłużej nigdy nie zaznano.

W każdym razie powstało państwo Izrael, co przez prawie dwa tysiące lat nie wydawało się realne. W dwudziestym wieku historia narodu żydowskiego potoczyła się w sposób osobliwy i trudny do przewidzenia. A właściwie trzeba mówić o dwóch stuleciach nowożytności, bo wszystkie niemal wydarzenia wieku dwudziestego zostały zapowiedziane i zainicjowane w stuleciu poprzednim. Wszystko się logicznie ze sobą łączyło i wynikało jedno z drugiego, jak to zazwyczaj bywa w historii oglądanej z oddali. Wygląda wręcz na to, że gdy Żydzi odwrócili się od Boga, kiedy zakwestionowali swój status narodu wybranego o dających się przewidzieć od tysiącleci cudownych kolejach losu, zrezygnowali z czekania na swego Mesjasza i tak dalej, i tak dalej, to właśnie wtedy przekorny Bóg spełnił ich oczekiwania i wprowadził do Ziemi Obiecanej. Oczywiście, taki bieg losów może wyglądać na wszystko, ale i o wiele bardziej prozaiczna wykładnia też jest niezwykła. Gdyby naród żydowski nie skreślił na lewo, gdyby we wrogiej mu Rosji i otoczeniu Stalina nie było Żydów-rewolucjonistów, to w stosownym momencie Związek Radziecki nie poparłby ich roszczeń niepodległościowych i nie dostarczył broni. Czy, powiedzmy, gdyby Stalin nie liczył na wzajemność międzynarodowo-rewolucyjną. Był to tylko moment, ale zasadniczy. Podobnie z holocaustem, o którego roli w tym wszystkim już mówiłem. Złe sumienie świata było niezbędnym.

Jestem najdalszy od dopatrywania się w dziejach jakichś cudownych historii. Rzeczywistość jest zgrzebna, składa się z krwi i potu, z nieustannie ponawianych usiłowań, które niemal w całości idą na marne, z nieuchronnych błędów, głupich ocen, złudzeń i kłamstw. Historia wreszcie to tylko szkielec czy zarys dziejów wypełniony nieustanną rywalizacją poszczególnych ludzi, czymś pośrednim między bólami zęba albo głowy, głodem, bólem, pożądaniem, pychą, śmiesznością i niewiedzą. Ale ta głupia i zła istota, jaką jest człowiek, niekiedy dokonuje rzeczy wielkich, chociaż ich wielkość świat dostrzega dopiero z pewnej perspektywy czasowej.

Nie wiem, co się dalej stanie z Żydami. Podobno w Izraelu są dwie formacje duchowe, religijna i świecka. A między nimi konflikty. Podobna sytuacja jest w Polsce i w ogóle na całym świecie i też nikt nie potrafi powiedzieć, jak się to wszystko potoczy. Jeśli idzie o Żydów, to ich historia wskazuje, że zwycięstwa odnoszą raczej fundamentaliści, ponieważ taka właśnie formuła okazuje się najodporniejsza w obliczu prześladowań. A jeśli prześladowań nie będzie?

Państwo Izrael istnieje już pół wieku, przeżyło cztery wojny i Bóg wie jakie trudności. Arabscy przeciwnicy porównują tę sytuację z Królestwem Jerozolimskim z czasów wypraw krzyżowych. Istotnie, pewne analogie istnieją, a Królestwo Jerozolimskie trwało cztery razy dłużej i ostatecznie przegrało. Dziś sytuacja jest zasadniczo odmienna i taki sam rozwój wypadków wcale nie musi się powtórzyć. Ale Żydzi przecież już nieraz przychodzili i odchodzili z Ziemi Obiecanej, a istnieć wcale nie przestawali.

Świat żydowski składa się w tej chwili z trzech członów: jest Erec Israel, jest diaspora i szczególne państwo amerykańskie, zapewniające swoim Żydom rozwój, karierę i prawa oby-

watelskie. Ale takie same prawa zostaną stopniowo wszystkim przyznane we wszystkich krajach, o ile nie jestem niepoprawnym optymistą. Co prawda wydaje mi się, że to już schyłek narodowej historii ludzkości i że pewne formy organizacji i kultury najzwyczajniej miną.

Przeżywamy przecież w tej chwili kolejną wielką rewolucję cywilizacyjną, jak to niekiedy bywa określane. Pierwszą był neolit. Zaczęto wtedy uprawiać ziemię, wynaleziono ceramikę i koło garncarskie, udomowiono zwierzęta, rozpoczęto wytop metali i stworzono tysiąc innych cudów. Dawne plemiona paleolityczne patrzyły na to z wybałuszonymi oczami, dziwiły się, nie rozumiały. W końcu odrzucały dawny obyczaj, rozstawały się z dawnymi formami bogów i odmieniały się. Znikały dawne, drobne plemiona, języki i wierzenia. Dzisiaj będzie, bo być musi, podobnie, ale konkretnie jak, tego nie potrafimy przewidzieć.

W każdym razie stare formy upośledzeń odejdą w przeszłość, może pojawią się nowe, zgoda, ale też nie wiemy jakie. Tradycyjna diaspora żydowska przeminie, chyba żeby miała być tylko turystycznym skansenem, czymś w rodzaju wioski Amiszów. A stanie się to chyba wcześniej, niż sądzimy. Czeką nas przecież jeszcze jedna największa rewolucja: przebudowa genetyczna człowieka. Czy nam się to podoba, czy nie. Kościoły denerwują się klonowaniem człowieka, a sprawa jest jeszcze rozleglejsza, donioślejsza, jeszcze gruntowniej wszystko zmieniająca. A nieunikniona. Można postawić na drodze takich badań klątwy i zakazy, można dowoli apelować, palić uczonych na stosach, zabijać odmieńców, robić wszystko, co mądre i niemądre, a nie będzie to miało żadnego wpływu na zmiany.

Człowiek, który nie zawahał się przed wsadzeniem swojego bliźniego do pieca, pokrojeniem go na kawałeczki lub poddaniem najwymyślniejszym ciśnieniom moralnym, gospodarczym i psychicznym, miałby teraz odstąpić od rekonstrukcyjnego eksperymentu? Kto w to wierzy, jest bezgranicznie naiwny. Czekają nas może czasy przerażających przemian i tragedii, o których grozie przeczytać można w FIZYKACH Dürrenmatta, bo nie może się to obyć bez ofiar. Owocem będą różne rzeczy, dobre i złe, może długowieczność, wspaniałe zdrowie, może zatrać instynkt moralnego, kultury, ciekawości istnienia? Wiem tylko tyle, że lawina ruszyła i nikt i nic jej nie zatrzyma.

Najprawdopodobniej do zapowiedzi tych nowych czasów należy wszystko, co się Żydom przydarzyło w dwóch ostatnich stuleciach. I komunizm, i holocaust, i Ziemia Obiecana. Każde z tych zjawisk było na swój sposób od wieków anonsowane, wymarzone czy przejmujące grozą, ale przecież niespełnialne. Wiem, że żadne także w naszych czasach do końca się nie spełniło czy też spełniło inaczej. Ale to właśnie najlepszy dowód, że odmienił się wiatr, że już nastąpiły takie czasy, o których nie marzyliśmy, czy też nie przerażaliśmy się dotychczas, że coś takiego być może się zdarzy. Wstąpienie Polski do NATO jest też jednym z takich wydarzeń, a ludzie wierzący zapewne uznają i elekcję Jana Pawła II za równą niezwykłość.

Nie, nie sądzę, żeby nadciągało coś w rodzaju apokalipsy czy też „końca świata”. Ale na pewno zbliża się kres świata i człowieka, któregośmy znali. Nie całkiem zdając sobie z tego sprawę, już teraz znaleźliśmy się na równi pochyłej, tylko jeszcze nie wiemy, czy prowadzi ona w górę czy w dół. Sądzę, że przemiana będzie miała raczej charakter technologiczny, chociaż wsparty uogólnieniami w duchu New Age. Wielki i straszny Demon Czasów przed przystąpieniem do najbardziej ważkich przemian niedbałym machnięciem ręki załatwił parę drobniejszych spraw, o które ludzie go prosili: Erec Israel, upadek komunizmu, okcydentalizację Polski i innych krajów, można się teraz spodziewać jeszcze innych podobnych wydarzeń. Jakby się zmiatało ze stołu okruchy, jakby się karmiło ptaki.

EPILOG

Nikt nie wie, kiedy powstał naród żydowski, wiadomo tylko, że było to bardzo dawno temu. Sami Żydzi powiadają, że mają pięć tysięcy lat. Może i mają rzeczywiście, jeśli liczyć od potopu, od Noego i Sema. Bo najwcześniejszą historię musieli mieć wspólną z innymi ludźmi, a co więcej, muszą to uznać, żeby korzystać z praw braterstwa między narodami, chociaż to pojęcie bywa najczęściej szyderstwem. Nie wiadomo, czy właśnie dzieje Abrahama stanowią dobry i właściwy początek. Są historycy, którzy twierdzą, że żadnego konkretnego, historycznego Abrahama nie było, że kilku czy kilkunastu ludzi nosiło takie imię i ich łączne dzieje opisuje BIBLIA. Tego chyba nigdy się nie dowiemy, hipoteza równie dobra jak wszystkie inne.

Dzieje każdego narodu zaczynają się od legendy. Dziwne jednak, żeby ten legendarny okres żydowski trwał tak długo, bo BIBLIĘ podobno redagowano dopiero w VI wieku przed naszą erą, w czasie niewoli babilońskiej. Legendarny miałby więc być nie tylko Abraham, ale i Mojżesz, i Jozue, i sędziowie – strasznie tego wiele jak na naród, który otarł się, co najmniej, o pismo i w Ur, i w Egipcie. Podejrzewam, że zapiski były prowadzone bardzo wcześnie, a nawet bez nich utrzymywała się tradycja, stąd wnoszę, że niesłusznie wątpimy w historyczność wielu postaci. Inna sprawa to daty i tu rzeczywiście jest wiele możliwości. Wedle Charlesa Pellegrino plagi egipskie były związane z wybuchem wulkanu na Terze, datowanym na 1628 rok p.n.e., czyli historia Mojżesza wydarzyłaby się wcześniej, niż dotąd zakładano, a tym samym dzieje Abrahama także odsuwałyby się w czasie.

Nikt nie przeczy historyczności zdobycia Kanaanu, wojen z Filistynami czy postaci Dawida i Salomona. A od tego czasu wydarzenia są dosyć dokładnie datowane, nawet jeśli ich przebieg został odrobinę wystylizowany. Oczywiście w życiu żydowskim było zburzenie Świątyni, niewola babilońska i wystawienie nowej Świątyni w czasach Zorobabela i Ezdrasza. Od tego też momentu spokojnie można datować istnienie zorganizowanego moneizmu – judaizmu. W tych także czasach, w czwartym–trzecim wieku p.n.e. zaczął powstawać TALMUD.

Następnym wielkim wrogiem Żydów po Egipcjanach, Filistynach, Asyryjczykach i Babilończykach, nie licząc bardziej krótkotrwałych zagrożeń, byli Grecy. Po kolejnym odzyskaniu niepodległości w czasach dynastii hasmonejskiej na horyzoncie pojawili się Rzymianie. I wraz z nimi, wraz z upadkiem Świątyni i kolejnych powstań narodowych, państwo żydowskie przestało istnieć na osiemnaście stuleci. Trzeba zdać sobie sprawę z różnorodności wszelakich nacisków i wpływów, jakim Żydzi podlegali. W niebywałym kotle Bliskiego Wschodu gotowało się wszystko i zdarzało wszystko. Brzmi to paradoksalnie, ale niemal jedyną drogą zachowania tożsamości stała się dla Żydów diaspora.

Odtąd historia żydowska rozpięzcha się na wszystkie kraje, ale rozpięzcha pozornie. Ich dzieje są zaczepione na dwóch potężnych zawiasach: tęsknocie do Ziemi Świętej i wierze w Mesjasza. A poza tym przez bardzo długi okres panowało przekonanie, że niezależnie od tego, co by się zdarzyło, *nie będzie odjęte berło od Judy*. Przedziwnie intelektualny sposób organizacji społeczeństwa żydowskiego powodował, że władza polityczna miała znaczenie podrzędne, ba, odzywały się przez cały ciąg historii żydowskiej głosy o jej zbędności, a nawet

szkodliwości! Sprawy doczesne można zostawić innym, a naród żydowski powinien przede wszystkim zabiegać o Boga i wieczność.

Muszę przyznać, że z całą świadomością prawie pominąłem wątek uświęcenia własnego narodu, tę szczególną rolę, jaką sami Żydzi przypisywali Izraelowi. Byłby to temat ogromny i kontrowersyjny, a i tak nie ma i nie było przecież narodu, który by sam siebie lekcewał. Tu jednak było coś więcej: TORA miała być pierwotnie udziałem wszystkich narodów, przyjęli ją ostatecznie tylko Żydzi, a tym samym stali się wedle własnego przekonania szpicą całej ludzkości, „poletkiem Pana Boga”, rozsądnikiem idei. Podobnie jak Jezus cierpiał za całą ludzkość – to porównanie pewnie nie zachwyci samych Żydów – tak i naród żydowski miał być wielkim ofiarnikiem i ofiarą zarazem. Nie działał przeciw ludzkości, ale w jej imieniu.

Aż prawie po kres pierwszego tysiąclecia naszej ery centrum żydowskiego świata przesunęło się trochę na południowy wschód, do Międzyrzecza, tam w spokoju formował się TALMUD, stąd na cały świat szły odpowiedzi na zapytania w kwestiach prawnych. Natomiast królestwo Chazarów nie stało się takim ośrodkiem, choć był to jedyny w dziejach wypadek nawrócenia całego państwa na judaizm. Ale tymczasem powstał taki dominujący ośrodek w Hiszpanii i przetrwał aż do roku 1492.

W tym mniej więcej okresie Żydzi z całej Europy Zachodniej zostali wypędzeni, znajdując schronienie w Polsce. Jeśli idzie o sefardyjskich wygnańców z Hiszpanii, oparli się oni w Turcji, tworząc przy okazji silny ośrodek intelektualny w Safedzie, w Galilei. Dumą diaspory polskiej był Waad, rodzaj autonomicznego sejmiku żydowskiego, a kolejną wielką datą żydowskiej wędrówki był rok 1648 – Chmielnicki i początek upadku Polski. Poczynając od tej daty, Żydzi zaczynają wracać do Europy Zachodniej. Chyba jeszcze ważniejsza jest cezura roku 1881, prześladowań w Rosji i wiążącej się z tym emigracji, która formuje dwa ważne ośrodki: w Stanach Zjednoczonych i w samym Izraelu. W tymże stuleciu działa Karol Marks.

Wiek dwudziesty zapisuje się holocaustem i powstaniem państwa Izrael, czyli czymś z gruntu odmiennym, nie mającym precedensów. Trzeba jednak powiedzieć, że nie jest to historia wszystkich Żydów, a jedynie głównego, najprawdopodobniej głównego wątku ich dziejów. Żydzi po prostu i to od samego początku byli bardzo rozproszeni. Czyż nie została część rodziny Abrahama w Haranie, czyż nie rozproszyła się po różnych miejscach i miastach odległych od dąbrowy Mamre w Hebronie? Czy wszyscy Żydzi wywędrowali do Egiptu? Wiemy dziś, że nie, że duża część tego, co złożyło się na naród żydowski, pozostała w Kanaanie. A czy rzeczywiście wszyscy wrócili z Egiptu? A nawet jeśli wrócili, to przecież były żydowskie kolonie na Elefantynie. Wielka część narodu została w Babilonii, a już na parę stuleci przed narodzeniem Chrystusa była potężna diaspora w Aleksandrii i w pozostałych miastach greckich, z Atenami włącznie.

Żydzi byli po trosze wszędzie. Po najstraszniejszych nawet przeżyciach i doświadczeniach rekonstrukcja narodu mogła zacząć się skądkolwiek. Ale dla historyków jest to sytuacja przełomowa: jak opisać dzieje wszystkich miast Hellady? Tymczasem Żydzi byli wszędzie i dzieje każdej gminy trzeba by ujmować osobno; są w tym całe dzieje świata i szczególnie przy tym punkt widzenia, znacznie bardziej szczegółowy. To prawda zresztą, że wszyscy Żydzi przestrzegali jednych, wspólnych obyczajów, co zresztą nie przeszkodziło temu, że ani nie władali jednym, wspólnym językiem, ani obyczaj nie był literalnie taki sam. Ale już pilnie przestrzegali „warunków brzegowych”, wynikających po prostu z TORY i TALMUDU.

W swoim autonomicznym mikroświecie mieli odpowiedzi na wszystko, ponieważ zgłębili nieskończoność wariantów, jeśli idzie o możliwe pytania. Toteż wszelkie dyskusje z nimi nie miały najlżejszego sensu, ponieważ zawsze była to gra o sumie zerowej. Dlaczego jednak między nimi a ich gospodarzami prawie zawsze dochodziło do konfliktów? Być może za nadto byli zamknięci w sobie, możliwe też, że nie można było im pomóc, bo oni naprawdę nie potrzebowali współczucia. Byli przecież narodem wybranym i nawet gdy nie dawali in-

nym tego odczuć, zawsze stwarzało to specyficzną atmosferę. Jeśli Sartre miał rację i chodziło o „inność”, to ta inność musiała być rzeczywiście potężna.

Kiedy przystępowałem do pracy nad tą książką, znałem już niezłe historię biblijną i Flawiusza, wszak studiowałem na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, znałem polskie piśmiennictwo dawne i współczesne na temat Żydów i różnych problemów polsko-żydowskich, jak każdy aktywny krytyk literacki miałem stały kontakt z licznymi w sumie przekładami na język polski książek autorów żydowskich uprawiających eseistykę naukową, popularnonaukową lub literaturę piękną w różnych kręgach kulturowych, krajach i językach. Nie miałem natomiast usystematyzowanej wiedzy o historii Żydów, mogę więc powiedzieć, że nie miałem w gruncie rzeczy pojęcia o kolejnych tysiącletniach ich dziejów. O udziale Żydów w historii powszechnej też nie da się przeczytać zbyt wiele, chyba żeby sięgnąć do źródeł żydowskich. Oglądana z tego punktu widzenia historia przedstawia się rzeczywiście inaczej, ponieważ najczęściej to Żydom właśnie przypadała rola kozła ofiarnego

Stosunki polsko-żydowskie były jednak wyjątkowo złe i takie są do dzisiaj, jeżeli w ogóle o jakichkolwiek stosunkach tu można mówić, bo sprawy żydowskie otacza u nas wstydlive milczenie. O Żydach mówi się nadal szeptem, konfidencjonalnie, że ktoś jest z „naszych”, że miał Żyda w rodzinie, że z nim coś niewyraźnie. Nie można u nas zapytać nikogo wprost, czy jest Żydem, bo to niestosowne. Żydzi powtarzają często, że sam język polski jest antysemitki, zarzut, na który reagujemy ze zdziwieniem. A jednak coś w tym jest poza przeczuleniem samych Żydów. O ile wiem, denerwowała ich najbardziej forma zdrobniała, dziś już praktycznie nieużywana; „Żydek”, niby ciepła, a protekcyjnalna i pełna poczucia wyższości; „żyd” to także plama, kleks, coś nieczystego, a w gwarze złodziejskiej „żyd” do dzisiaj oznacza pasera. Co prawda z innymi narodami nasz język też nie obszedł się lepiej, skoro słowa „francuz” czy „prusak” oznaczają karalucha. Ale przecież Żydów nie musi to obchodzić. Jesteśmy ksenofobami, co da się powiedzieć o wielu narodach, a z drugiej strony wszelka cudzoziemszczyzna nam imponuje, to splot bardzo zawily. Z kolei posądzenie o antysemityzm bardzo Polaków denerwuje, bo jest to bardzo często antysemityzm mimowolny, bezwiedny, wynikający z niewiedzy, a przecież głęboko zakorzeniony. Może właśnie dlatego zakorzeniony, że wypływający z niewiedzy?

Tego rodzaju antysemitą i ja byłem, powtarzając obiegowe opinie i głupie dowcipy, posługując się mową szyderczą w stosunku do Żydów, bo nią właśnie posługujemy się wszyscy. Za lekarstwo uznałem wiedzę o narodzie żydowskim, który w trakcie gromadzenia materiałów źródłowych i pisania tej książki ogromnie mi zaimponował. Po prostu przestałem być w tej dziedzinie nieukiem na tyle, na ile było mnie stać. Nie można nikogo zmusić do miłości i nie o to chodzi. Można jednak namówić do nauki, a reszta przyjdzie sama.

Wypadałoby zakończyć książkę jakoś bardziej uroczyście, bo dzięki pisaniu jej doznałem wielu nieprzeczuwanych emocji i wzruszeń. Zauważmy, że w objęciach nowej, zjednoczonej, oby lepszej i rozumniejszej ludzkości każdy poszczególny naród będzie mniejszością, będzie ganiony i chwalony za swoje odrębności – o ile potrafi je zachować. Będzie też plemieniem świadomych wygnańców z raju ignorancji, co będzie oznaczało wymóg nieustannego nowatorstwa, nieustannej odkrywczosci, nieustannie lepszego zrozumienia kondycji człowieczej, a zarazem wierność swojej historii, przywiązanie do dobra, wdzięczność dla minionych pokoleń i wszelkich duchów pomocnych. Tak więc wolno mi powiedzieć, że misja narodu wybranego zostanie ostatecznie spełniona, wszystkie narody Ziemi zostaną równie wybrane i po niezliczonych cierpieniach i bojach, klęskach i rozbłyskach rozumu na końcu wszyscy będziemy szczęśliwi, mądrzy i wybrani. Co zresztą wszystko razem brzmi jak okrutne szyderstwo w momencie, w którym niedaleko od nas toczą się bezlitosne wojny etniczne, ponure memento, że okrutna historia bynajmniej się nie skończyła, a słabszy to po prostu słabszy, nie godnego szacunku.

A i ja sam także większość reprezentuję, większość chrześcijańską, nieufną, pełną podejrzeń w stosunku do Żyda. Co prawda to moje chrześcijaństwo w oczach bardziej rygorystycznego katolika nie przedstawiałoby się nadmiernie budująco. Odrzuciłby mnie wszelaki monoteista, równie dobrze Żyd, protestant czy muzułmanin, za brak zrozumienia dla dogmatów, brak poczucia wyłączności jakiejś wiary. To prawda, że mój obyczaj pozostał katolicki i moje modlitwy również, ale ponad wszystko to wznosi się moja przekora, prawie instynktowna potrzeba odchodzenia od zdania większości. Tak więc niejako z potrzeby serca i umysłu należą do formacji „postmodernistycznej”, przez którą wyraża się New Age, niepewna siebie ani czegokolwiek innego uczuciowość. Kiedyś na własną rękę odkryłem dla siebie „dekonstrukcję”, poglądy, że analizując słowa czy wypadki, nie docieramy do niczego ostatecznego i pewnego, o co można by się oprzeć. Jasny promień prawdy rozszczepia się w moich oczach na wiele kolorów i jasnych, i ciemnych, wszystko jest względne, za wszystkim stoją jakieś racje. Więc może i jest paradoksem, że właśnie ja napisałem książkę o dziejach narodu, który na ogół w sprawach decydujących nie znał wątpliwości. Ze smutkiem myślę, że nie zadowolę wszystkich swoich czytelników, ale skądinąd rzeczą pisarza jest raczej pytać, drażnić i denerwować, niż odpowiadać i uspokajać.

Cóż innego można zrobić w świecie, gdzie niepewne są słowa, niepewne przykazania i niepewne przekonania, niepewne czyny i wydarzenia? Nie czuję się upoważniony do wartościowania, do oddzielania tych po prawicy od tych po lewicy, dobra od zła. Zazdroszczę tym, którzy to potrafią, ale na ogół bynajmniej ich nie podziwiam.

Ale kiedy wszyscy spotkamy się w dłoni Boga, a może nawet będziemy częścią tej dłoni, obejrzymy się w Jego wielkim zwierciadle, a On przejrzy się w naszych dramatycznych dziejach.

Warszawa – lasy miedzeszyńskie 1994–1999